

II 720.416

B. CZAYKOWSKI — B. SULIK

POLACY
W
W. BRYTANII

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1961

POLACY W W. BRYTANII

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom LXIII

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

B. CZAYKOWSKI — B. SULIK

POLACY
W
W. BRYTANII

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1961

B. CZAJKOWSKI - B. SUIK

POLACY



II 720.416



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001004537553

1964 W 1308

PRZEDMOWA

Kiedy zaczynaliśmy pisać tę książkę, nie przypuszczaliśmy, że praca nad nią potrwa aż tak długo, dokładnie dwa lata. Byliśmy optymistami. Życie na emigracji płynie, każda zwłoka powodowała potrzebę zmian i uzupełnień, te z kolei wymagały uzyskania dalszych informacji, naprowadzały nas na nowe sprawy, i jedna rzecz wylaniała się niezbitcie: Emigracja nasza nie jest organizmem martwym, żyje, zmienia się i rozwija, rozwija się i kurczy, kurczy i równocześnie zapuszcza korzenie w głąb. Nie pisaliśmy historii emigracji; chcieliśmy dać obraz jej obecnego życia. Ponieważ jednak nie mogliśmy skończyć książki w przeciągu roku, bo to nie było możliwe nawet po odłożeniu wszystkiego innego na bok, przyjęliśmy inne założenie. Książka składa się jak gdyby z warstw — niektóre partie pisane były w r. 1958, jeszcze inne w 1959 i 1960. Część ogólna i analityczna pisana była w r. 1960.

Ktoś, kto stara się uchwycić życie w biegu, naraża się oczywiście na to, że jego praca może szybko ulec zdezaktualizowaniu. Próbowaliśmy uniknąć tego w dwojaki sposób: raz, poprzez ową metodę warstw; dwa, przez próbę uchwycenia istotnych procesów i cech, które rokują pewną stałość. Niewątpliwie część informacji zawartych w tej książce uległa przedawnieniu, ale nie chodzi przecież o to, czy pan X. nadal jest prezesem w mieście B, w organizacji C, itd. Chodziło nam o zrobienie przekroju życia emigracji w pewnym okresie, przekroju jak najbardziej realistycznego i żywego — dlatego zresztą zachowaliśmy nazwiska.

Próbowaliśmy dać możliwie najwięcej żywych sylwetek, sylwetek ludzi najróżnorodniejszych; nie przesadzimy, że byliśmy

gotowi przejechać całą Anglię, aby odbyć jedną ciekawą rozmowę. Nie zawsze wysiłki nasze kończyły się powodzeniem.

Musieliśmy także ograniczyć tło do minimum. Gdybyśmy bowiem dopuścili Anglię do pełnego głosu, książka rozrosłaby się straszliwie i zatraciłaby swój charakter.

Parę słów o części ogólnej. Nie jesteśmy socjologami i nie staraliśmy się dać analizy socjologicznej Polonii brytyjskiej. Książka ma charakter raczej dziennikarski niż naukowy. Nie unikamy sądów wartościujących. Ktoś inny — być może — widziałby emigrację inaczej. Mimo to, gotowi jesteśmy twierdzić, że spojrzenie nasze jest obiektywne: nie będąc skrępowani żadnymi lojalnościami wewnątrzno-emigracyjnymi, nie zaangażowani po stronie żadnej z walczących grup, mogliśmy łatwiej uzyskać potrzebny dystans.

Staraliśmy się jednak, na ile leżało to w naszych możliwościach, nadrobić braki opracowań takich jak Zubrzyckiego „The Polish Immigrants in Britain”, które przy swoich zaletach, jest pracą o wąskim raczej zakresie, nie wchodzącą w głąb wewnętrznych problemów¹.

Zdajemy sobie sprawę, że książka nasza ma wady, że nie ustrzeżliśmy się pomyłek, że być może sądy nasze wydadzą się niektórym krzywdzące, a innym zbyt pobłażliwe. Na pewno pominięliśmy pewną ilość osób, o których stanowczo warto było napisać; może czasem pod złym adresem przypisaliliśmy zasługi albo ich brak. Na swoje usprawiedliwienie mamy to, że nie mieliśmy nigdy intencji wyrządzenia komukolwiek krzywdy, a napisanie o wszystkich było po prostu niemożliwością. Chętniej pisaliśmy o pozytywach i nie szukaliśmy dziury w całym. Wsadzanie kija w mrówisko nie było naszą intencją.

Możemy także dodać, że ustalenie faktów w skomplikowanym życiu emigracyjnym okazało się nieraz wprost niemożliwe. Historycy wiedzą dobrze jak trudną rzeczą jest ustalanie faktów. Ale historyk jest w pozycji i mniej i bardziej dogodnej, niż autor reportażu, ma bowiem do czynienia z przeszłością, a więc z czymś co jest bezpośrednio niepoznawalne, a równocześnie ma do czynienia z sytuacją „statyczną”. Autor reportażu ma do czynienia z sytuacją dynamiczną: relacja jaką słyszy jest jednocześnie legendą, obroną, atakiem, ulotnym słowem. Mało jest ludzi niezaangażowanych, a im dłużej ktoś żyje w jakimś śro-

1. Mamy nadzieję, że uniknęliśmy też naiwności jakie cechują np. pracę J.A. Tannahilla *European Voluntary Workers in Britain* (Manchester University Press, 1958).

downisku, tym trudniej mu zdobyć się na perspektywę, widzi drzewa, nie dostrzega lasu. Poza tym ludzie albo lubią się chwalić, lub są nieufni, lub też zbyt skromni, albo złośliwi. Jakżeż trudno dotrzeć nieraz do najprostszych danych: ilość Polaków w miejscowości; ilość dzieci w szkole sobotniej; ilość członków organizacji; a cóż dopiero, gdy w grę wchodzi sprawy bardziej skomplikowane jak na przykład rywalizacja dwóch organizacji, działalność poszczególnych osób, grup, powody konfliktów, poglądy, no i wreszcie obraz całego środowiska, jego cechy specyficzne.

Dla ludzi których środowisko jest opisywane w reportażu, obraz prawie zawsze będzie zawierać rażące luki. Ale tak jak większość gatunków pisarskich, reportaż jest selekcją a nie katalogiem. Zdajemy sobie dobrze sprawę, jak ważny jest każdy szczegół, jeżeli całość ma być przekonywująca. Wiemy także, że lepiej jest się nieraz pomylić w ocenie ogólnej, niż w mało znaczącym szczególe: np. nazwie ulicy. Ale to odnosi się tylko do czytelników z miejscowości opisywanej. Dla nich pomyłka w nazwie ulicy może podważyć zaufanie do reszty reportażu. Ale dla czytelników z zewnątrz, a dla nich przecież głównie przeznaczona jest ta książka, bo oni stanowią większość, nazwa ulicy czy inny drobiazg tego rodzaju jest rzeczą mniej ważną. Dla czytelnika z zewnątrz, szczegół, aby był istotny, musi być obrazujący, żywy, charakteryzujący. Czytelnik z zewnątrz przyjmuje selekcję za całość, czytelnik od wewnątrz przyjmuje selekcję za pominięcie, lub wręcz krzywdę.

Zdajemy sobie także sprawę, że niektóre z naszych przymiotników mogą się wydać ludziom, do których zostały zastosowane, nonszalanckie i zbywające: np. stwierdzenie, że pokój do którego wchodzimy jest czysto utrzymany, choć na pewno brzmi zdawkowo dla zamieszkałego w nim sympatycznego pana, może być szczegółem „istotnym” dla czytelnika z zewnątrz: oto tak mieszka jeden z inteligentów, robotników czy działaczy, a nawet — oto tak „w ogóle” mieszka w danej miejscowości inteligent, robotnik czy działacz. Czytelnik z zewnątrz natychmiast uogólnia, a autor reportażu, wiedząc o tym, stara mu się podsunąć takie szczegóły, które jego zdaniem są charakterystyczne, a więc uzasadniają uogólnienie. W innych wypadkach zastrzega się, że opisuje wyjątek.

Przedmowa ta nie stawia sobie za cel usprawiedliwienia jakichkolwiek pomyłek czy błędów. Próbuje natomiast — wskazując na trudności — zdobyć pewną wyrozumiałość czytelnika.

Szczególnie, że książka nasza jest pracą pionierską, i w dużej mierze amatorską. Nie podjęlibyśmy się jej nigdy, gdyby

nie to, że nikt się jakoś do takiej pracy nie palił, książki takiej nie było i nie zanosilo się, że będzie. Jeżeli więc przyczyni się ona do lepszego poznania życia emigracji polskiej w W. Brytanii, jeżeli da po raz pierwszy obraz całości, jeżeli pokaże zarówno żywych ludzi z ich problemami, wadami i zaletami, jak i procesy ogólniejsze, jeżeli będzie miała przynajmniej mały wpływ na wytworzenie większej świadomości i zrozumienia wśród Polaków na tej Wyspie, jeżeli stanie się bodźcem do dalszych i lepszych już opracowań, i jeżeli przybliży czytelnikowi w Kraju i w innych polskich skupiskach na Zachodzie życie naszej społeczności, to wydaje nam się, że cel swój w dużej mierze osiągnie.

Wystawiamy się na moc zarzutów i ostry krytycyzm, ale ktoś musiał wreszcie podjąć to ryzyko. Reszta należy do czytelników.



Przedmowy zwykły się kończyć podziękowaniem dla osób, które w jakiś specjalny sposób pomogły w powstaniu książki. Tutaj jednak jesteśmy w niemałym kłopotcie. Gdybyśmy mieli zadośćuczynić temu zwyczajowi, musielibyśmy ogłosić listę nazwisk prawie wszystkich osób, które występują w tej książce, a które swoją chęcią udzielenia nam informacji i poświęcenia czasu przyczyniły się przede wszystkim do jej powstania. Tym wszystkim składamy jak najmocniejsze podziękowanie.

AUTORZY

CZĘŚĆ I
REPORTAŻE

I. - POLACY W SZKOCJI 1958-1959



WSTĘP

Na około 135.000 Polaków zamieszkałych na wyspie brytyjskiej, na Szkocję przypada niecałe 5.000. A był okres kiedy liczba Polaków w Szkocji sięgała 60.000.

Pierwsi polscy żołnierze przybyli do Szkocji w maju 1940 r. Byli to ranni z kampanii norweskiej. Umieszczono ich w szpitalach pod Glasgow. Dla nich też powstało pierwsze, powielane, pismo polskie na ziemi szkockiej: „Kurier Glasgowski”, wydawany i redagowany przez Jadwigę Harasowską. Następnie, w czerwcu 1940 r., przybyły pierwsze oddziały polskie z Francji. Wkrótce całe hrabstwo Lanark pokryte było obozami wojskowymi, a z czasem — cała środkowa Szkocja. Tu mieściło się dowództwo I Korpusu, formowała się 1 Dywizja Pancerna, pod dowództwem gen. Maczka i Samodzielna Brygada Spadochronowa, dowodzona przez gen. Sosabowskiego. Tutaj, w Forfar, Cupar i Glasgowie, powstała część prasy codziennej, z której „Dziennik Żołnierza” połączony z „Dziennikiem Polskim” przetrwał do dziś jako jedyne pismo codzienne w W. Brytanii.

Historia stosunków polsko-szkockich weszła w swoją drugą fazę. Nie trzeba bowiem przypominać, że stosunki te sięgają daleko w przeszłość. Wszystkim jest zapewne wiadomo, że matką popularnego do dziś w Szkocji Bonnie Prince Charlie była wnuczka Jana Sobieskiego. Mniej się wie o takich ciekawostkach historycznych, jak ufundowanie przez Szkotów, zamieszkałych w Polsce w XVIII wieku, dwóch stypendiów dla studenta Polaka i studenta z Polski pochodzenia szkockiego, wiary zreformowanej, na trzyletnie studia w Edynburgu. Lub o tym, że festiwale muzyczne w Edynburgu zapoczątkował Feliks Janiewicz, kompozytor i ceniony skrzypek. Był to rok 1815. Trzeba

też dodać, że w 80 lat później przybyło do Szkocji kilka grup emigrantów zarobkowych z dawnych ziem Rzeczypospolitej (wśród nich pewna ilość Litwinów), którzy osiedlili się głównie w hrabstwie Lanark. Trudno jest dziś trafić na jakiś ślad tych małych i sporadycznych grup.

Ale stosunki polsko-szkockie do czasu przybycia wojsk polskich do tego górzystego, pięknego i raczej surowego kraju, były głównie historią Szkotów w Polsce. Sławny ongiś podróżnik i awanturnik szkocki, William Lithgow, pisał w swoich „Peregrynacjach”, wydanych po raz pierwszy w r. 1632, co następuje:

„And for auspiciousness, I may rather tearme it (to znaczy Polskę) to be a Mother and Nurse of the Youth and Younglings of Scotland, who are yearly sent hither in great numbers...; in cloathing, feeding, and enriching them with the fatnesse of her best things; besides thirty thousand Scots families, that live incorporate in her bowells. And certainly Polland may be tearmed in this kind to be the mother of our Commons, and the first commencement of all our best Merchants' wealth, or at least most part of them”¹.

Na temat Szkotów w dawnej Polsce ukazało się kilka opracowań. Najbardziej źródłowy jest zbiór dokumentów, wydany w roku 1915 w Edynburgu, pt. „Papers relating to the Scots in Poland”. U nas pisał na ten temat w latach trzydziestych Wacław Borowy, w serii artykułów w „Tygodniku Warszawskim”; część z nich ukazała się następnie w tłumaczeniu angielskim, nakładem Scottish-Polish Society w r. 1941, kiedy to historia odwróciła sytuację i przypomnienie dawnej, na ogół życzliwej, gościnności polskiej, było na czasie².

W tych pierwszych latach gościnność szkocka na pewno dorównywała staropolskiej. Obawa przed inwazją niemiecką czyniła z Polaków cennych sojuszników. Już w październiku 1940 r. I Korpus, chociaż niekompletny, przejął odpowiedzialność za obronę wschodniego wybrzeża Szkocji od Rosyth aż po Montrose. Tymczasem trwał napływ Polaków z różnych części świata. W roku 1942 pojawili się zesłańcy z Rosji; przyływały grupy ochotników ze starych zamorskich emigracji, a w roku 1943 przyszły pierwsze transporty Polaków — jeńców z armii niemieckiej. Równocześnie na front poszły I Dywizja Pancerna i Samodzielna Brygada Spadochronowa.

1. W. Lithgow, *The Totall Discoveries of the Rare Adventures and Painful Peregrinations*, Glasgow 1906.

2. Patrz także Jerzego Pietrkiewicza *The Loot and Loyalty*, powieść o Szkocie nazwiskiem Tobias Hume, który na początku XVII w. brał udział w wojnach polsko-rosyjskich. (Heinemann, 1955).

Wiosną 1945 roku, kiedy Samodzielna Brygada Spadochronowa wróciła z Niemiec, a nowouformowana 4 Dywizja Piechoty osiągnęła pełny stan, liczba Polaków w Szkocji przekroczyła 60.000.

Wkrótce potem zaczął się jednak odpływ. Blisko 50 % żołnierzy powróciło do Kraju (wraz z niektórymi dowódcami). Część wyemigrowała za ocean; inni osiedlili się na terenie Anglii.

Obecna liczba 5.000 — to głównie pozostałość stacjonowanych tu kiedyś oddziałów, przemieszana z przybyszami z Niemiec, AK i 2 Korpusu.

EDYNBURG — KRAKÓW POLSKIEJ EMIGRACJI

Do Edynburga chcieliśmy przyjechać wczesnym wieczorem, ale zatrzymały nas górzyste krajobrazy i zamki — zdążyliśmy dopiero na godzinę 12-tą w nocy. Dojeżdżaliśmy od strony wschodniej; droga coraz to doskakiwała do morza, odbiegała w głąb lądu, przebiegała przez piękne, małe miasteczka, by w pewnej chwili strzelić prosto na jarzące się wzgórze stolicy Szkocji. Odszukaliśmy Dom Kombatanta, ale oczywiście był zamknięty. Nasze dzwonki i kołatania nie odniosły skutku. Zaczęliśmy więc objazd po mieście w poszukiwaniu taniego noclegu. Wyciągnęliśmy z łóżek kilku zaspanych właścicieli *guest-house'ów* i tzw. *bed-and-breakfast*, ale odpowiedź była zawsze ta sama: *full up*. Ktoś posłał nas do największego hotelu w mieście — *The Caledonian*. Za noc za osobę płaci się tam £ 2.12.0. Niestety, nie na naszą kieszeń. Szukaliśmy dalej. Wreszcie, zmęczeni do ostatka, uznaliśmy cenę £ 1.12.6 za kilka godzin spania jako zupełnie niską. Był to nasz najkosztowniejszy nocleg.

Rano świeciło słońce, jeszcze świeciło — gdyż przez resztę naszego pobytu pogoda była typowo szkocka, to znaczy nieco gorsza od angielskiej. Wyszliśmy więc na miasto. Śródmieście Edynburga obejmuje szczyt wzgórza i wraz z nim opada dosyć stromo w kierunku zatoki. Najpiękniejszą ulicą miasta jest przestrzenna, w stylu paryskim, *Princes Street* — główna arteria ruchu, biegnąca grzbietem wzgórza. Środkowy jej odcinek zabudowany jest tylko z jednej strony; druga strona otwarta jest na zieloną kotłinę pieczołowicie utrzymanego parku, w którym mieści się „teatr na powietrzu” i z którego wystrzela w górę czarna i brzydka iglica *Scott's Monument* — pomnika ku

czci Waltera Scotta. Budowle z czarnego kamienia są w ogóle cechą charakterystyczną Edynburga.

Zielona kotlina parku kończy się dosyć nagle u stóp nagiej skały wzgórza, które jest warte piękniejszego zamku, niż ten jaki na nim stoi. Jest to istny zlepek budowli wzniesionych w różnych wiekach, systemem dobudowkowym. Najstarsza część zamku to kaplica Św. Małgorzaty, zbudowana w XI wieku.

U wschodniego wylotu *Princes Street*, na osobnym wzgórzu wznosi się kolumnada, która przypomina fronton Partenonu. I, jak się okazuje, jest to rzeczywiście część jego niedokończzonej repliki. Edynburg już od dawna snobuje się na Ateny północy. Budowla stoi niedokończona, gdyż miastu zabrakło pieniędzy. Pomocy finansowej, ofiarowanej przez Glasgow, niechętnie godzący się na prymat Edynburga, nie pozwoliła edynburczykowi przyjąć duma. I tak pozostał fragment aspiracji i pomnik snobizmu.

Tak jak Szkoci nazywają Edynburg Atenami północy, tak miejscowi Polacy nazywają go, czasem z ironicznym uśmiechem, Krakowem polskiej emigracji.

Kraków polskiej emigracji? Można to sobie różnie uzasadniać, szczególnie, że istnieje mit jakoby w Edynburgu skupiała się prawie wyłącznie inteligencja polska. Mit ten zdaje się być odbiciem innego mitu: w popularnym obrazie Edynburga nie ma miejsca na — rozległe przecież — dzielnice robotnicze. Mówi się, że jest to miasto emerytów, urzędników i profesorów.

Określenie „Kraków polskiej emigracji” ma także swoje uzasadnienie historyczne. Polonia szkocka jest najstarszą częścią obecnej emigracji na wyspie brytyjskiej. Pierwsza Szkoła Nauczania Przedmiotów Ojczystych, tzw. Szkoła Sobotnia, powstała w Edynburgu, w r. 1948. Tu były centrale kilku organizacji (np. Światopoli), które przeniosły się później do Londynu. Do roku 1953 Szkocja była samodzielnym okręgiem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. W samym Edynburgu skupiało się kiedyś 2.000 Polaków. Przy miejscowym uniwersytecie istniał Polski Wydział Lekarski, który do momentu likwidacji w r. 1949, wydał 227 dyplomów lekarskich i 19 doktoratów medycyny. Obok niego pracował Wydział Studiów Weterynaryjnych (1943-48), przez który przeszło ponad 60 studentów. Istniało tu także Studium Pedagogiczne (1943-46), które wykształciło pewną grupę nauczycieli-pedagogów (w szkołach szkockich w Edynburgu uczy ok. 20 polskich nauczycieli). Tutaj też zawiązało się Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, dziś z siedzibą w Londynie. Polska Misja Katolicka na Szkocję, której długoletnim rektorem jest ks. prałat Bombas, jest jeszcze

do dziś niezależna od polskiej hierarchii duchownej w Londynie (odzwierciadla to zresztą podział administracyjny Kościoła katolickiego w W. Brytanii na niezależne jednostki Szkocji, Anglii i Walii).

Miano Krakowa polskiej emigracji miało więc kiedyś swoje uzasadnienie. A wciąż można spotkać Polaków-edynburszczyków którzy z niechęcią patrzą na znaczenie Londynu jako centrali życia polskiego i z nostalgią wspominają czasy, kiedy Edynburg mógł się równać Londynowi.

Dzisiaj z 2.000 Polaków zamieszkałych w Edynburgu w r. 1948, pozostało jedynie około 900, i to nie w samym mieście. Co najmniej 200 z nich mieszka w bezpośredniej okolicy. Można zaryzykować twierdzenie, że odpływ ten dotyczył w dużej mierze właśnie inteligencji. Część wyemigrowała za ocean, pewna liczba osiedliła się w Anglii i w Londynie³.

Obecnie ilość inteligencji polskiej nie przekracza 20 % ogółu. W Kole SPK na około 200 członków nie więcej niż 30 zaliczyłoby siebie do inteligencji. W Związku Inwalidów na 120 członków jest 13 oficerów, paru szeregowców posiada wyższe i średnie wykształcenie⁴. Czynny jest Związek Robotników i Rzemieślników. Prywatne lokale w rękach polskich opierają swój dobrobyt na klienteli składającej się głównie z robotników fabrycznych, rybaków i górników.

Co powiedziawszy, trzeba dodać, że w porównaniu z innymi skupiskami Polaków w W. Brytanii (z wyjątkiem Londynu), procent inteligencji w Edynburgu jest rzeczywiście duży. A fakt, że tworzy ona typowo inteligenckie getto, umożliwia zapomnienie o istnieniu innego świata.

Inteligencja

· Istnieją dwa ekskluzywne kluby inteligenckie: Klub Towarzystki i Koło Przyrodników im. Kopernika.

Z Klubem Towarzystkim zetknęliśmy się w jego własnej siedzibie na „poddaszu”, przy eleganckiej *George Street*. Z kory-

3. Odpływ ten, na mniejszą skalę, trwa do dziś. W „Edynburskim Biuletynie Informacyjnym” z 2 kwietnia 1958 r. znajdujemy, m.in., wiadomości następujące: „...opuścili Edynburg państwo E. Bursewiczowie, przenosząc się do Kanady. ...P. Andrzej Turek, syn znanego działacza społecznego w Edynburgu, p. płk. K. Turka, wyjechał z Edynburga... do miasta London w Kanadzie.

Szczęście Boże na nowej drodze”.

4. Ogółem w Edynburgu jest około 15-tu pułkowników.

tarza wchodzi się do podłużnej sali z zakamarkami i małą sceną. Za bufetem dwie starsze panie sprzedają trunki, kawę i ciasta. Na scenie resztki dekoracji: urządza się tu od czasu do czasu improwizowane rewie. W jednej z nich główne osobistości emigracyjnego Krakowa grały same siebie. Rewia miała formę nadzwyczajnego walnego zebrania: uchwalano rezolucje, wygłaszano mowy. Robiono to tak przekonywująco, że gdy jeden z aktorów, symulując typową wadę polską, począł przerywać mówcy, na widowni wstał jakiś jegomość i z całą powagą dał wyraz swemu oburzeniu. Poczucie humoru i dobre maniere, to cechy nadal kulturowane w inteligenckim środowisku w Edynburgu.

Oprócz rewii Klub urządza także wieczorki przy magnetofonie i od czasu do czasu pogadanki. Tego właśnie wieczoru miała się odbyć pogadanka jednego z członków, który wrócił z urlopu z Polski. Pogadanka (nie odczyt, co z naciskiem podkreślano), została odwołana w ostatniej chwili: wchodzących na salę informowano, że prelegent nie przyjdzie. Nikogo specjalnie fakt ten nie zmartwił. Komentowano domniemane powody (względy polityczno-osobiste) — i wieczór potoczył się normalnym trybem. Przy dwóch stolikach zorganizowano brydża, reszta zebranych oddała się przyjemnościom towarzyskiej rozmowy. Jeden z piszących te słowa tak przystosował się do atmosfery miejsca, że natychmiast odnalazł swych krewnych, o których istnieniu nie miał najmniejszego pojęcia. Dłuższa z nimi rozmowa sprowokowała czyjś komentarz, że widocznie rozważania genealogiczne dojść musiały do VI wieku.

Ogółem na sali było 20 osób. Poznaliśmy tam m.in. miejscowego „satyryka” i malarza, p. Fusek-Forosiewiczza, który na temat tegoż Klubu pisał, parafrazując „Grób Agammemnona”:

GRÓB TOWARZYSKI

*Niech fantastycznie wyszczekane pyski
Wtórują myśli posepnej i czarnej,
Bom oto wstąpił w grób ten towarzyski
Rozpaczy pełen wielkiej i koszarnej
I siedzę cichy i blady jak płótno
Z żalu, że pić nie mogę. Jak mi smutno!*

No, tak ponuro to w klubie nie było, szczególnie, że za bufetem stał niezły wybór wódek; ale pito raczej herbatę i kawę, przegryzając skromnie ciasteczkami. Zdawało nam się, że zau-

ważyliśmy pewien rys skąpstwa, widocznie przejęty od tubylców, co potwierdziło się później i przy innych okazjach. Poza tym — niezamożność, o czym niżej.

Nie zauważyliśmy natomiast specjalnego „wyszczekania”, które widocznie występuje przy okazjach innego rodzaju. Rozmowy naszych gospodarzy były uprzejme, bardzo kulturalne, ale zdawkowe. Horyzonty intelektualne — niezbyt rozległe. Widać od razu, że jest to partykularz, ale partykularz cywilizowany i ogląda towarzyską pokrywający podziały jakie w nim istnieją. Przy tym samym stole brydżowym spotyka się zamkowiec ze zjednoczeniowcem (czyli „trojanem”), przy kawie — endek z nidowcem. Gorączka politykierska, bardzo silna jeszcze rok temu, opadła. Zaczęto kłaniać się sobie na ulicy, a nawet podawać ręce.

Pewna grupa inteligencji do klubu nie należy; powodem są nie różnice polityczne, ale jak twierdzą członkowie klubu, zwykła małostkowość: jednych nie zaproszono do komitetu organizacyjnego, innych odstraszył balotaż i formalności konieczne w klubach zakładanych na wzór brytyjski. Niektórzy uważają klub po prostu za stratę czasu.

Krzywdzącą byłaby jednak ocena inteligenckiego środowiska edynburskiego wyłącznie na podstawie wrażeń odniesionych w klubie. Bardziej miarodajny jest tu dorobek Koła Przyrodników im. Kopernika, którego część członków należy także do klubu.

Osobliwa nazwa Koła jest nawiązaniem do tradycji Towarzystwa Przyrodników Polskich im. Kopernika istniejącego w Polsce przed wojną. Koło edynburskie powstało w r. 1948 i w 1957 roku wydało „Pamiętnik” dla uczczenia swego setnego zebrania. Z „Pamiętnika” dowiadujemy się, że celem Koła jest „utrzymanie ciągłości polskiej pracy naukowej i popularno-naukowej”. Spis członków i współpracowników wymienia 77 nazwisk, ale w samym Edynburgu Koło liczy dziś niewiele ponad 40 osób. Poza tym kilka osób, rozrzuconych po różnych miejscowościach Szkocji, jak Glasgow i St. Andrews (gdzie na uniwersytecie wykłada dwóch Polaków), bierze pewien udział w jego pracach. Reszta członków rozsiana jest po wszystkich częściach świata: od Londynu po Nowy York, Malaje i Fidżi.

Przyrodnicze zainteresowania Koła wyrosły na gruncie polskiego Wydziału Lekarskiego i Weterynaryjnego; większość członków rekrutuje się z byłych profesorów, wykładowców i wychowanków tego wydziału. Z biegiem czasu do Koła weszło paru młodszych naukowców, jak np. obecny wykładowca na uniwersytecie edynburskim, Andrzej Malkiewicz (historyk). Na-

dzieje na przyciągnięcie większej liczby młodych polskich pracowników naukowych nie wydają się uzasadnione. W Edynburgu przede wszystkim daje się w ogóle odczuwać brak młodzieży; ilość studentów od kilku lat jest minimalna. Ci nieliczni skłonni są raczej emigrować. Poza tym Koło nie jest atrakcyjne dla młodych naukowców, których pociąga bardziej dla nich autentyczne brytyjskie środowisko naukowe.

Jednocześnie emigracyjne warunki zmuszają Koło do poszerzenia i popularyzacji tematyki. Typowe tytuły wykładów z pierwszych lat istnienia Koła to: „Gruźlica odzwierzęca” (dr Mglej) lub „Zespół gonadowo-przysadkowy” (dr J. Dekański). Później wykłady obejmują już takie tematy jak „Mucha tse-tse i ja” lub latające talerzyki. Niemniej pewna ilość wykładów stoi na dość dobrym poziomie naukowym. Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie za lata 1957-58 w sprawozdaniu z rocznej działalności Koła wyszczególnia np. takie pozycje: „Epoki literatury polskiej” — mgr C. Bobolewskiego, „Trzydzieści lat postępu biologii” — dra B. Śliżyńskiego. „Zasady rozumowania” — mgr. W. Szomek, „Rak u człowieka” — doc. dra W. Tomaszewskiego, „Współczesne poglądy na reakcje chemiczne” — mgr. J. Kruk-Wantuch, „Zmierzch Europy” — wykład inauguracyjny — prof. dra Leona Koczego.

Ostatnio coraz częściej reprezentowana jest humanistyka.

Duszą, a zarazem długoletnim prezesem Koła jest dr B. Śliżyński, któremu zawdzięcza ono swą sprawność, jak na warunki emigracyjne, działalność. Coroczny program układany jest i rozsyłany na parę miesięcy naprzód; zmiany oczywiście się zdarzają, ale są rzadkością.

Dr B. Śliżyński jest także na tym terenie jednym z wybitniejszych przedstawicieli Zamku.

Z rozmów o Kole wywnioskować łatwo, że dla wielu członków jest ono jedyną możliwością kontynuowania zainteresowań naukowych i wymiany myśli. Abstrahując więc od jego wartości naukowej (choć warto dodać, że z natury rzeczy prace badawcze i oryginalne są rzadkością) — spełnia ono niewątpliwie dodatnią rolę kulturalno-społeczną. Prelegenci wyjeżdżają czasami z odczytami na „prowincję”.

Czy polskie środowisko intelektualnie aktywne i twórcze kończy się na Kole Przyrodników? Raczej tak. Chyba, że obejmiemy powyższym zdaniem działalność odczytową Koła Studiów Wojskowych. Powinniśmy je jednak poszerzyć o parę osób takich jak wymieniony już malarz p. Fusek-Forosiewicz; dr Rostowski, znany wśród Szkotów i Anglików malarz i rzeźbiarz, czy pani Mglejowa, której prace uzyskały parę lat temu wyróżnie-

nie na wystawie sztuki religijnej w Rzymie, a która jest ponadto dekoratorem wnętrz. Jest tu także trzech dziennikarzy.

Jak na szczupłe środowisko, nie jest to mało, ale tak nieliczna grupa, odległa od żywych ośrodków polskiego życia intelektualnego i w dużej mierze istniejąca dla samej siebie, musi nabrać ujemnych cech prowincjonalnego getta.

Jest to cena jaką inteligenci polscy w Edynburgu płacą za zrozumiałą i uzasadnioną chęć „utrzymania się na poziomie”. Trudno jest nie mieć podziwu dla ich obrony przed deklasacją i próby utrzymania wartości inteligenckich. Ale trudno też nazwać to środowisko twórczym — broniąc raczej swego stanu posiadania niż zdobywając nowy, niezdolne, z nielicznymi wyjątkami, do zużytkowania swej wiedzy na terenie brytyjskim — jest ono raczej środowiskiem inteligentnych konsumentów i przetwórców. Jest zresztą rzeczą charakterystyczną, że nie spotykamy tu prawie w ogóle osób, których wkład w polskie życie intelektualne na emigracji zaznacza się drukowaniem w „Kulturze”, czy chociażby w „Wiadomościach”. Natomiast opracowania kompilacyjne i krytyczne spotkać można w takich pismach, jak „Teki historyczne” czy „Technika i Nauka”.

Nie jest też najlepiej w polskim Edynburgu z konsumpcją kulturalną. Jakie wydawnictwa się tu czyta? Rozchodzi się (rok 1958) około 15 egzemplarzy „Kultury”, 17 egzemplarzy „Myśli Polskiej” i aż 75 egzemplarzy humorystycznych „Pokrzyw”. Wszyscy oczywiście czytają „Dziennik Polski” i prawie każdy na niego narzeka. Jest rzeczą ciekawą, że czytelnictwo prasy katolickiej przedstawia się tu podobnie jak w ośrodkach czysto robotniczych: do 40 egz. „Gazety niedzielnej”, tylko 3-4 egzemplarze miesięcznika „Życie”.

Z innych czasopism emigracyjnych rozchodzi się trochę „Rzeczpospolitej Polskiej”, organu Prezydenta Zaleskiego; z prasy krajowej głównie „Tygodnik Powszechny” i ilustrowane tygodniki: „Świat”, „Stolica”, „Przekrój”.

Dla wielu sprawy bytu, ożywione życie towarzyskie, lub praca społeczna nie zostawiają wiele czasu na lekturę. Rozmowy rzadko dotyczą nowości wydawniczych.



Grupę najbiedniejszą stanowią ludzie starsi, wśród których przeważają oficerowie zawodowi. Część z nich żyje z zasiłku *Assistance Board*, inni wykonują prace niewykwalifikowanych robotników, jak czyszczenie platerów w hotelach lub sprzątnięcie miasta. Słynna jest tak zwana „Srebrna brygada”, czyszcząca

srebra w hotelu *Caledonian*. Trochę inteligentów pracuje jako urzędnicy lub konduktorzy.

Inteligencja pokolenia średniego potrafiła się na ogół urządzić. Oprócz dwóch wykładowców na uniwersytecie, jest kilkunastu nauczycieli, kilku właścicieli hotelów (dwa najbogatsze i najelegantsze, to *Dorchester* i *Learmonth Hotel*), około 10 zegarmistrzów, grupa 11 lekarzy i dentystów, 5 przedsiębiorców leśnych, trochę właścicieli domów i mieszkań (dorabiających wynajmowaniem pokoi) — i jeden „król wełny”. On to jest bohaterem poniższej sceny (pióra p. Fusek-Forosiewicza), rozgrywającej się każdej niedzieli przed kościołem, w którym odprawia się polska msza:

*Zajeżdżają limuzyny,
Piękne panie pełne gracji —
Skąd też tyle tej benzyny
W politycznej emigracji?
Żeby była zarobkowa
To bym się tak nie dziwował.*

*Zajechał se jeden taki
Prawie jakimś Cadillackiem:
Spojrzał w koło, trzasnął w drzwiczki,
Białe wciąga rękawiczki,
Twarz czerwona, monokl w oku,
Trochę taki drobny w kroku,
Tuszy owszem, w sobie pełny...*

*Mówią, że to sam król wełny.
Ale mówią ludzie pewne,
Że on wżenił się w te wełne!
Ona wełny jest królową!
A on za nią trochę w tyli
Niby taki polski Filip.*

Nie wszyscy jednak zdobyli swoje firmy przez ożenek ze Szkotką. Częściej wymagało to wkładu ciężkiej pracy. Niektórzy startowali z kapitałem przywiezionym z wojska, było paru tzw. kasztaniarzy — tym oczywiście poszło łatwiej. Ale byli przede wszystkim tacy co względną zamożność zawdzięczają pracy własnych rąk, pomysłowości i rzetelności.

Idziemy obejrzeć sklep jubilerski i warsztat zegarmistrzowski państwa Chróścickich. Pan Chróścicki skończył w Polsce

instytut pedagogiczny, choć zamiłowaniem jego była mechanika. Kiedy więc znalazł się w PKPR, poszedł na kurs zegarmistrzostwa. Po ukończeniu kursu przyjmował naprawy do domu, szukając jednocześnie odpowiedniego lokalu na warsztat. Nie szło mu łatwo, gdyż był to okres dyskryminacji gospodarczej wobec Polaków. Wreszcie, w r. 1951, wciąż jeszcze praktycznie bez kapitału, państwo Chróścicy otrzymali pożyczkę i zdołali wynająć lokal w dogodnym miejscu. Początki były trudne: zakup precyzyjnych instrumentów jest rzeczą kosztowną. Klientele trzeba było zdobywać szybszym wykonaniem, punktualnością i troskliwym podejściem nawet do najdrobniejszych zegarkowych kłopotów. Brak pieniędzy na urządzenie wystawy p. Chróścicki obrócił na swoją korzyść w ten sposób, że wykonywał robotę siedząc przed gołą szybą, widoczny dla całej ulicy. Okazało się to dobrym chwytem reklamowym. Dla tak realnego zegarmistrza klientela nabrała szybko zaufania, a co więcej, przekonała się, że tu można naprawić zegarek szybciej, otrzymać go z powrotem w oznaczonym terminie, a nawet zapłacić odrobinę mniej. Konkurencyjne firmy szkockie, zadomowione i prosperujące, przestały od dawna zwracać uwagę na tak drobne udogodnienia. Obecnie, po sześciu latach pracy, witryna kusi oko klienta bogatą wystawą zegarków i sztucznej biżuterii, a p. Chróścicki pracuje w głębi sklepu zaopatrzonego w precyzyjne instrumenty. Przyszłość firmy zapewniona.

Zamożną grupę stanowią polscy lekarze, szczególnie dentyści, chociaż i im dobrobyt nie przyszedł bez dużego nakładu pracy. Do czasu przeprowadzenia nacjonalizacji służby zdrowia, lekarze polscy nie mieli prawa otwierania własnych praktyk. W pół roku po nowej ustawie zostali równouprawnieni z angielskimi kolegami. Istniał wtedy ostry brak lekarzy, tak że nie trudno było znaleźć pacjentów. Oprócz Polaków pacjenci polskich lekarzy rekrutują się głównie spośród „Europejczyków”. Murzynów i szkockich katolików. Katolicy solidarnie popierają lekarza tej samej wiary, a Murzyni w obecności Polaków nie czują się ludźmi niższej rasy.

Na pomysłowy sposób zarobkowania wpadł p. Fusek-Forosiewicz: rok rocznie urządza on wypadki do przyjaciół na *Gold Coast* (Złote Wybrzeże), gdzie maluje portrety lokalnych osobistości i bogatych Polaków. Podobno jeden taki wypad załatwia mniej więcej kłopoty finansowe na przeciąg roku⁵.

5. Po przeniesieniu się do Londynu p. Fusek-Forosiewicz nie zaniedbał tych lukratywnych wypadów.

W Edynburgu, na 900 Polaków jest 27 organizacji! Najlicniejsza z nich, SPK, liczy trochę ponad 200 członków. Większość to członkowie na papierze — co najmniej połowa nie płaci składek. Za członków aktywnych można uznać jedynie Zarząd. Związek Inwalidów PSZ w Edynburgu liczy 120 członków. Sytuacja podobna. Towarzystwo Polsko-Szkockie dawno już ma za sobą okres swej świetności. Członków — 120. W rzeczywistości 40 czynnych — to znaczy płacących składki. Część zapłaciła dożywotnio. Ktoś charakteryzuje nam sytuację powiedzeniem, że w Towarzystwie tkwią jeszcze, siłą inercji, starsze panie których główną czynnością jest urządzenie raz do roku *a lovely tea*. Charakterystyka jest złośliwa (na tle politycznym?) i nie całkiem słuszna. Na przestrzeni roku Towarzystwo wysłało do Polski około 5.000 sztuk ubrań, butów i bielizny dla repatriantów z Rosji (i — jako specjalny dar — futro dla kardynała Wyszyńskiego). Ale jest to dzieło paru osób.

Z innych organizacji dla przykładu warto wymienić: Koło Żołnierzy Dłwa 1 Korpusu W.P. i Oddziałów Pozadywizyjnych, Koło Studiów Wojskowych, Legion Żołnierzy Wiernych Przysiędze, Polską Macierz Szkolną, Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego, Związek Polek, Związek Lekarzy, Związek Ziemi Wschodnich R.P. (który — jak pisze „Edynburski Biuletyn Informacyjny” — „Odczytami p. prof. dr. Leona Koczego podtrzymał naszą dumę narodową oraz przypomniał, że Lwów i Wilno — to miasta polskie”), Sekcję Charytatywną, Komitet Parafialny i... Radę Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu.

Funkcją Rady Stowarzyszeń jest koordynowanie aktywności wszystkich tych organizacji. Powstała ona w r. 1945, jak nas informuje p. Maj, jej prezes — po cofnięciu uznania Michajłowiczowi przez rządy zachodnie. Ponieważ liczone się, że podobne cofnięcie uznania może nastąpić w stosunku do rządu polskiego, twierdzi p. Maj, Rada miała wypełnić lukę jaka by w ten sposób powstała: celem jej więc miało być reprezentowanie Polaków wobec władz szkockich i praca koordynacyjna dla uniknięcia wielotorowości poczynań. Rada posiada swój własny „organ” prasowy, powielany dwutygodnik już przez nas wymieniony: „Edynburski Biuletyn Informacyjny”, istniejący od r. 1948. Jak tytuł mówi, zadaniem „Biuletynu” jest informowanie o życiu Polonii edynburskiej, ale znajdujemy w nim także krótkie artykułiki okolicznościowe, wyjątki z przemówień, a nawet w krótkiej formie podane wiadomości ze świata dotyczące spraw polskich. Każdy numer zawiera na ostatniej stronie

„Kalendarzyk” podający daty i miejsca zebrań, zabaw, odczytów, i innych imprez. Cena — 6 pensów.

Mimo ambicji reprezentatywności (ambicji, którą grzeszy cała prawie zorganizowana emigracja), polegającej m.in. i na tym, że Rada wystosowuje memoriały do rządu brytyjskiego (np. przy okazji konferencji międzynarodowych), nie wszystkie organizacje polskie w Edynburgu do Rady należą. Ogółem należy ich 13. Wśród nie należących znajdujemy dwie bardzo ważne: SPK i Komitet Parafialny⁶.

Wszystkie wymienione wyżej organizacje to w rzeczywistości pięćdziesięciu tych samych ludzi, którzy, by użyć wyrażenia jednego z naszych rozmówców „tylko zmieniają czapki”. A więc dowódcy bez armii, prezesi trzech organizacji na raz (ludzi właściwie trzeba już siłą na prezesa ciągnąć) należący przy tym do różnych partii politycznych, i co wciąż odgrywa rolę, dzielący się na dwie antagonistyczne, chociaż w tej chwili współdziałające frakcje: zwolenników „legalizmu” i zwolenników gen. Andersa i Tymczasowej Rady Jedności Narodowej.

Działalność społeczna? Czy też aktywność organizacyjna i politykierstwo? Prawdę mówiąc, i jedno i drugie.

Dom Polski — a raczej pięć

Polacy mają obsesję posiadania domów. Jest to zrozumiałe: lata tułania się po obozach, hostelach, lata tymczasowości, życia jakby w poczekalni na dworcu, uczyniły z nas ludzi chciwych na domy. Polacy mają więc obsesję domu indywidualnie i gromadnie.

6. W jednym z numerów „Biuletynu” (Nr 26/219), znajdujemy ciekawostkę, która warta jest przedrukowania. Jest to list z życzeniami z okazji Bożego Narodzenia i Nowego Roku przesłany Radzie przez istniejącą w Anglii organizację Kozaków Nacjonalistów. Oto on w transkrypcji Biuletynu:

Prawlennuju Polskoju Rady w Szkotlandii
Prawitelstwu Polskoju Rady i wsiech bratniew rycarej Poliakow prosiwajuszczych na emigracji w Szkotlandii od imieni Kozaków Nacjonalistów na emigracji w Korolestwju Anglii pozdrawlaju s pridstisajuszczym torżestwiennym prażnikom roizdżiestwom Chrystusowym i na nastupajuszczym 1958 nowym godom soizwoltie priniat naszej bratskie kozackie najluszczyje i szczastliwie poislanja w skorom griaduszczym daj Boże Wam i wsiemu Polskamu Narodu byt swobodnym i niezawislym kak od wnutriennego polskawo komunizma a takie samoje i od rosyjskawo krasnawo imperializma.

Sława Polsce — Sława Kozakom!

Podpisano: Zacharnik, Przedstawiciel Kozaków Nacjonalistów w Anglii.

Życie społeczne, kulturalne, organizacyjne, polityczne i towarzyskie, życie narodowe, pielęgnowanie tradycji i poczucia przynależności, sesje spod znaku sentymentalno-patriotycznego, wszystko to nie jest możliwe bez lokalu — bez Domu.

W Edynburgu jest Domów polskich — pięć! (z czego dwa prywatne, ale liczące głównie na klientelę polską). Najstarszy z nich, to Dom SPK, kupiony za ogromną wtedy sumę ponad £ 6.000. Jest to duży i ładny budynek, położony w punkcie dość centralnym, przy skwerze z małym parkiem pośrodku. Oprócz restauracji, otwartej codziennie (obiady i kolacje), mieści się tu bar, biblioteka i czytelnia, kancelaria Koła, kancelaria Polskiej Misji Katolickiej w Szkocji, i sala na większe imprezy. Poza tym kilka pokojów wynajęto na mieszkania, a jeden większy spełnia rolę pokoju hotelowego. Dom miał okres swej świetności, ale od czasu tzw. rozłamu i otwarcia w pobliżu trzech innych lokali, frekwencja i obroty spadły. Obecne utargi tygodniowe wahają się od £ 50 do £ 60. Głównym źródłem dochodu jest bar; nawet urządzenie imprez opłaca się głównie ze względu na dochody z baru; zabawa zaczyna się od wódki, a dopiero po godzinach wyszynku przenosi się na salę taneczną. Pomyślowym sposobem zbierania składek jest notatka umieszczona nad okienkiem baru apelująca o ich zapłacenie (coś w rodzaju: masz na wódkę, zapłać składki, ale ta sentencja jest jedynie implikowana. W ogóle bar i wódka to podstawa życia społecznego — jak się o tym zresztą przekonamy na innych przykładach). Barman więc jest tu równocześnie skarbnikiem. Restauracja nie przynosi dochodu ze względu na ceny klubowe.

Dochód Domu SPK wyniósł w r. 1957-58 — £ 448; z tego ponad £ 350 poszło na wydatki związane z amortyzacją i spłaceniem raty pożyczkowej, a £ 50 zostało odprowadzone do Zarządu Głównego Oddziału W. Brytania w Londynie⁷. Specyfikę miejscowego Domu SPK stanowi fakt, że obywa się on bez płatnego kierownika. Prowadzi Dom dr Mglej, prezes Koła SPK — rzecz w dziejach organizacji bez precedensu. Dzięki temu jedynie, że dr Mglej pensji nie pobiera, Dom przynosi zysk — argument, który musiał zaważyć na decyzji Zarządu Głównego.

Niedaleko znajduje się Dom Inwalidy, piękny i stary budynek, ładnie urządzony, kupiony pod koniec r. 1957. Projekt kupna domu powstał w r. 1950, kiedy to szereg organizacji społecznych, m. in. Towarzystwo Polsko-Szkockie, złożyło na ten cel sumę około £ 1000. Zrealizowanie projektu nastąpiło

7. Patrz: Sprawozdanie z działalności za rok 1957-58, SPK — Oddział W. Brytania.

częściowo ze względu na groźbę wycofania tego funduszu przez ofiarodawców, no a przede wszystkim ze względu na odczuwane potrzeby, chociaż, według naszej opinii, odegrała tu rolę także rywalizacja pomiędzy zamkowcami a zjednoczeniowcami. W przypuszczeniu tym utwierdza nas jeszcze fakt, że mimo iż Związek Inwalidów organizacją zamkową nie jest, miejscowi zwolennicy prez. Zaleskiego chętnie poparli inicjatywę rywalizującą z SPK; natychmiast po jakim takim urządzeniu Domu, przeniosły się do niego takie organizacje jak Rada Stowarzyszeń, Towarzystwo Polsko-Szkockie, Związek Ziemi wschodnich, Koło Byłych Żołnierzy Dłwa I Korpusu i in., a więc organizacje o wyraźnych sympatiach pro-zamkowych.

Czy istniała *rzeczywista* potrzeba kupna Domu Inwalidy? Do czasu kupna Związek Inwalidów wynajmował salę w Domu SPK, płacąc za nią tylko £ 48 rocznie. Dla celów organizacyjnych było to wystarczające, ale uszczuplało kapitał, nie dając równocześnie zarobku potrzebującym członkom. Grały też zapewne rolę względy ambicjonalne.

Na początku r. 1958 powstał w pobliżu jeszcze jeden lokal — Dom Związku Robotników i Rzemieślników. Polski „publiczny” stan posiadania w Edynburgu powiększył się więc znacznie. Nagromadzenie jednak, jeden obok drugiego, czterech lokali (piąty jest nieco dalej) opierających swój dochód na sprzedaży trunków klienteli polskiej i na imprezach taneczno-rozrywkowych nie wróży żadnemu z nich łatwego życia. Zresztą nawet tylko dwa domy: SPK i Inwalidów — to jak na ilość Polaków w Edynburgu — już o jeden za dużo.

Cztery sylwetki działaczy społecznych

Cieszący się sławą „morowego endeka”, dr Mglej, prezes edynburskiego Koła SPK, z miejsca ujął nas swą bezpośredniością i poczuciem humoru. W kołach szkockich, w których ma on trochę przyjaciół z czasów gdy prowadził kursa weterynaryjne przy uniwersytecie edynburskim, nazwisko jego wymawiane jest na modłę szkocką: MacKlej. Obok weterynarii i pracy społecznej, szczególnym zainteresowaniem dra Mgleja cieszy się sztuka Dalekiego Wschodu; zamiłowanie to jest także pasją jego żony, która w czasie wędrówek podczas ostatniej wojny skompletowała wcale pokaźny i ze smakiem dobrany zbiór rzeźby, wyrobów srebrnych i miedzianych (talerze, tace), wyrobów tkackich i akwarel japońskich, chińskich, perskich i hinduskich. Mieszkanie państwa Mglejów ma więc atmosferę małego mu-

zeum. Oprócz tego wynajmują lokatorom dwa pokoje, z czego i my skorzystaliśmy.

Inną dziedziną pochłaniającą dra Mgleja jest polityka. Jest on jednym z czołowych działaczy Stronnictwa Narodowego. Z dumą informuje nas, że Stronnictwo ma w Szkocji kilka silnych ośrodków: w samym Edynburgu, w niedalekim Kircaldy; w Dundee jest nawet zapalony fanatyk stronnictwa, prosty, małorolny chłop, który prenumeruje kilkanaście numerów „Myśli Polskiej” i rozdaje je znajomym w okolicy za darmo. Dowiadujemy się dalej, że akcja Stronnictwa polega na urządzaniu odczytów, działalności uświadamiającej i kontynuowaniu żywej, polskiej myśli politycznej.

Praca społeczna i działalność polityczna pochłaniają dra Mgleja całkowicie i z dużym uszczerbkiem dla jego innych zainteresowań (jest to los większości działaczy społecznych). Widać, że jest nimi już trochę zmęczony. W roku ubiegłym nosił się nawet z zamiarem wycofania swej kandydatury na prezesa Koła SPK, ale zagrała raz jeszcze żyłka społeczna i względy lojalności wobec central londyńskich, a to oznacza nie tylko SPK ale i władze Stronnictwa Narodowego. Dra Mgleja trudno będzie w Edynburgu zastąpić.

Dr Mglej, jest oczywiście, jak i jego Stronnictwo, za Zjednoczeniem, ale jak nas informuje, w jego Kole wiceprezesem jest zamkowiec, a ponadto około 30 członków to także zamkowcy. Są oni najbardziej czynnymi członkami Koła i dobrymi pracownikami społecznymi, mówi dr Mglej.

Na SPK dr Mglej patrzy jako na organizację która ma największe szanse przekształcenia się w ogólnopolską, powszechną organizację emigracyjną w W. Brytanii. Zapytany o stosunek do kraju, odpowiada prosto: „My wciąż wierzymy, że wrócimy do Polski wolnej i niepodległej”.

Gdy jemy nasz ostatni obiad w Edynburgu w restauracji SPK, do stołu nam i innym podają państwo Mglejowie. Jak się okazuje, zachorował pracownik obsługujący restaurację, i czynności jego musi wykonywać prezes i jego żona.



Pan Stanisław Maj, M.A. (z pedagogiki) jest właścicielem eleganckiego hotelu — *Palmerston Hotel*. Przyjmuje nas w ładnie urządzonej sali wejściowej. Wzrostu średniego, z małym wąsikiem, z nieświadomym może i bardzo nieznacznie ironicznym uśmiechem na twarzy — p. Maj jest w obejściu

człowiekiem bardzo dobrze wychowanym, chłodnym i z dużą rezerwą. Już po pierwszych słowach uderza nas jego inteligencja. Ubrany jest bardzo elegancko.

P. Maj jest prezesem aż trzech organizacji: od 11 lat — edynburskiego Koła Zrzeszenia Nauczycielstwa, od czterech lat — Koła Polskiej Macierzy Szkolnej i ostatnio Rady Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu. Poza tym jest członkiem co najmniej sześciu organizacji, w tym SPK, i Inspektorem Szkół Sobotnich na Szkocję. Wypełnianie tak wielkiej ilości funkcji ułatwia mu niewątpliwie jego dobra sytuacja materialna. P. Maj jest zankowcem, gdyż uważa, że lepsze jest nawet złe prawo, od bezprawia. Przyznaje jednak, że podział na zjednoczenie i zamek nie powinien mieć wpływu na pracę społeczną.

Rozłam, według jego obserwacji, w początkowej fazie zaszkodził bardzo pracy społecznej; były np. w niektórych ośrodkach w Szkocji próby tworzenia odrębnych Szkół Sobotnich; zwyciężył jednak rozsądek nauczycieli. Obecnie nastąpiło złagodzenie konfliktu. Rozłam, jego zdaniem, spowodował także upadek autorytetu inteligencji w oczach nie-inteligencji. Widok kłótni publicznych między członkami tej samej warstwy nie pozostał bez rezultatu. Z obserwacji p. Maja wynika, że inteligencja polska na ogół odsunęła się od spraw społecznych i zubożętniała dla spraw polskich. Właśnie raczej inteligencja nie posyła swych dzieci do Szkół Sobotnich. Edynburg jest wyjątkiem o tyle, że istnieje tu silna presja wewnętrzna, środowiska które się dobrze zna nawzajem i które żyje w dosyć zamkniętym kręgu.

P. Maj nie sądzi aby SPK lub jakakolwiek inna organizacja społeczna, mogła się ostać, czy też przekształcić w powszechną organizację polską w W. Brytanii. Nie sądzi także, by Komitety Parafialne podołały w zaspokojeniu potrzeb społecznych i kulturalnych emigracji, lub by mogły stać się bazą przyszłej organizacji powszechnej.

Rowiązanie problemu przerostu organizacji i powstanie jednej organizacji polonijnej p. Maj widzi w akcji scaleniowej. Fazą przejściową mogą być organizacje koordynujące, w rodzaju Rady Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu. Twierdzi, że Rada wyrobiła już sobie pewną tradycję i pozycję, i że z biegiem czasu może mieć szansę przekształcenia się w rodzaj Gminy Polskiej; organizacje skupione w Radzie stałyby się wtedy jej sekcjami.

Innym przykładem potrzeby akcji scaleniowej jest zdaniem p. Maja, szkolnictwo polskie w W. Brytanii.

Interesujące są uwagi p. Maja na temat podręczników krajowych. Jego zdaniem popaździernikowe podręczniki krajowe z punktu widzenia dydaktycznego są dobrze opracowane, ich tematyka jest ciekawa. Ale dla Szkół Sobotnich są one bezużyteczne nie tyle ze względu na to, co w nich jest (parę kartek zawsze można wyrwać), ale ze względu na to czego w nich nie ma. A nie ma w nich zasadniczych momentów polskości — tradycji, religii, obyczajowości (np. brak Świąt Bożego Narodzenia), jak i pewnych wzniosłych momentów z historii polskiej. Te zaś elementy są nieodzowne dla utrzymania polskości na emigracji.

Idealnym rozwiązaniem byłyby oczywiście wyjazdy dzieci na kolonie letnie do Polski. Ale żeby to nastąpiło, muszą być spełnione co najmniej dwa warunki (niezależnie od kwestii czysto politycznej): 1. Sytuacja w Kraju musi się najpierw ustabilizować; 2. Kraj nie może na tym tracić finansowo. Emigracja powinna opłacać kolonie letnie w Polsce. P. Maj nie przypuszcza, aby była to sprawa najbliższej przyszłości.

Stosunek p. Maja do Kraju można by określić najlepiej powiedzeniem: Naród się wzbogaca, reżymy mijają.



P. Wilson, kierownik Domu Inwalidy, ma obywatelstwo angielskie, a wraz z nim angielskie nazwisko. W Szkocji jest już od 17 lat. W czasie wojny służył w 1 Pułku Pancernym, ale na froncie nie był, gdyż zwolniony został z wojska w r. 1943 z powodu choroby płuc. Jest to tytuł p. Wilsona do inwalidztwa. Będąc współwłaścicielem sklepu z aparatami radiowymi, przyjął obywatelstwo myśląc, że to pomoże mu w interesie. Niestety, interes nie poszedł dobrze i sklep zbankrutował.

P. Wilson z dumą pokazuje nam Dom Inwalidy, który, jak nas informuje, kosztował tylko £ 2.900. Mimo, że Dom otwarty został dopiero niedawno, obrót w barze wynosi już tygodniowo (piątki, soboty, niedziele) ok. £ 40. Czysty roczny dochód powinien wynieść ok. £ 500.

Koncepcja pracy społecznej p. Wilsona to głównie dobra gospodarka. Zasadniczym jego zarzutem pod adresem SPK jest marnotrawstwo funduszków i powojkowego sprzętu (na ten temat istnieją na prowincji prawie legendy). Jako radiotechnika boli go najbardziej zmarnowanie przez SPK dużych ilości sprzętu radiowego, jaki znajdował się w magazynach w Szkocji. P. Wilson uważa, że tak majątek społeczny, jak i prywatny jest po to by go pomnażać.

P. Wilson jest także prezesem tak zwanego *wine committee*. W Szkocji „komitet wina” jest fundamentem, na którym opiera się instytucja klubów, a bez przynależności do klubu wypicie w niedzielę kieliszka szkockiej whisky nie jest łatwe. Posiadanie licencji przez klub uwarunkowane jest istnieniem *wine committee*, którego czterej członkowie osobiście są odpowiedzialni za zakup trunków i prowadzenie ksiąg. Tak więc prezesura *wine committee* to funkcja całkiem kluczowa.

Rozmowa z p. Wilsonem przeciągnęła się nam do późnego wieczora. O godzinie 11-tej, w godzinę po zamknięciu barów (a więc także baru w Domu Inwalidy) rozległo się potężne łomotanie do drzwi domu. Był to jakiś spragniony Szkot, któremu zdawało się, że tu można się napić nawet i o północy. P. Wilson stanowczo wyjaśnił zbłąkanemu Szkotowi, że mu się coś musiało pomylić. Po tym incydencie wróciliśmy do rozmowy, którą tym razem przerwał jeden z mieszkańców Domu. Przysiadłszy się do nas, poczęstował nas serią namiętnych uwag na temat Żydów i tych, którzy ich bronią. Zakończył twierdzeniem, że antysemityzmu nigdy w Polsce nie było. Zaisztniała różnicę zdań próbował złagodzić p. Wilson, twierdząc, że antysemityzm był, ale mimo to Żydom nie działo się w Polsce najgorzej.



Miss Young, sekretarz *Scottish-Polish Society*, to drobna szczupła, leciwa już osoba. Oddana pracy społecznej, Miss Young nie mówi o niej chętnie. W jej uprzejmych odpowiedziach czaił się lekki cień nieufności. Rozmowa z nią nie dała nam żadnego klucza do odgadnięcia skąd wziął się jej sentyment do Polaków i sprawy polskiej. Nie cechuje jej ta łatwa, uczuciowa wylewność tak często spotykana wśród propolskich Brytyjczyków. W ostatnim roku absorbuje panią Young głównie akcja pomocy repatriantom z Rosji.

W polskich emigracyjnych swarach Miss Young jest bezpośrednio zaangażowana. Towarzystwo Polsko-Szkockie — informuje nas — jest organizacją apolityczną i dlatego zaprosiło do Szkocji postać politycznie tak niekontrowersyjną, jak prezydent August Zaleski. Dodajmy, że wraz z jego przyjazdem i bezpośrednio potem spadł na Edynburg i okolice grad odznaczeń i awansów. Ze znanych szkockich przyjaciół Polski jedynie Lord Elgin odmówił przyjęcia na wydane na cześć prezydenta Zaleskiego przyjęcie, tłumacząc się, że nie mógłby przyjąć odznaczenia nadanego mu przez prezydenta, którego nie uznaje rząd jego kraju.

Obecny prezes Towarzystwa, płk. J.B.M. Scott, ma swoje własne zdanie na temat polskiego rozbitcia politycznego. W numerze z 2 kwietnia 1958 r. „Edynburskiego Biuletynu Informacyjnego” znajdujemy jego przemówienie, wygłoszone na walnym zebraniu Towarzystwa, w którym strofuje Polaków za skłócenie, które utrudnia Towarzystwu akcję na rzecz wyzwolenia Polski. Rezolucja, wystosowana w tej sprawie do rządu brytyjskiego, nie spotkała się z odpowiednim poparciem wśród społeczności polskiej. Przemówienie nabiera rysów groteski, kiedy płk Scott wyrażając swe głębokie zaniepokojenie postęпами asymilacji wśród miejscowych Polaków, uskarża się na tych, którzy mówili mu, że „tutaj założyli przedsiębiorstwa, przyjęli obywatelstwo, kształcą dzieci i wobec tego nie interesuje ich praca Towarzystwa Polsko-Szkockiego”. Ktoś mu nawet powiedział, że „nie należy do żadnej z polskich organizacji, i nie widzi sensu ich istnienia”.

Towarzystwo Polsko-Szkockie, które w r. 1947 liczyło ponad 5200 członków, wydaje się obecnie organizacją w ostatnim stadium zaniku. Poza centralą w Edynburgu istnieje Koło w Glasgow (nie wykazujące większej aktywności) i przedstawiciel Towarzystwa w Dundee. Przy życiu utrzymuje organizację jedynie upór ludzi takich jak płk. Scott czy Miss Young. Ich wysiłki nie potrafią jednak zmienić faktu, że ogół społeczności polskiej nie odczuwa potrzeby tego typu organizacji. Potrzeby takiej nie odczuwają tym bardziej Szkoci, mimo, że po październiku zainteresowanie sprawami polskimi znacznie wzrosło. Problem polsko-szkocki przestał już obecnie istnieć.

Szkoła Sobotnia

Cokolwiek by można powiedzieć o działalności niektórych organizacji polskich w Edynburgu, nikt nie kwestionuje celowości istnienia Szkoły Sobotniej. A co więcej, ona właśnie nadaje czasem jedyny sens ich poczynaniom. Na dziesięcioletnią nieprzerwaną pracę Szkoły Sobotniej w Edynburgu złożyły się świadczenia i pomoc takich organizacji jak: Komitet Oświatowy, Towarzystwo Kultury Polskiej, Polska Macierz Szkolna, Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego, SPK, Fundusz im. gen. Sikorskiego i inne.

Cechą charakterystyczną dziesięcioletniej historii Szkoły Sobotniej jest stały wzrost dzieci małżeństw mieszanych, nie mówiących po polsku z chwilą rozpoczęcia nauki. Cyfry są tu bardzo interesujące. W roku 1948-49 w szkole nie było

dzieci nie mówiących po polsku. W roku 1951-52, na ogólną liczbę 32, pięcioro nie znało już języka. W roku 1953-54, na 53 dzieci, 25 już nie mówiło po polsku. A w roku 1957-58 proporcja dzieci nie mówiących po polsku przekroczyła 50 %. Ten stan rzeczy zmusił kierownictwo Szkoły do utworzenia specjalnych klas dla tych dzieci, które muszą się uczyć języka polskiego jako obcego. Nie zdarza się na ogół, aby przez cały kurs Szkoły dzieci z klas specjalnych doganiały dzieci z klas na normalnym poziomie. Praktycznie biorąc, tygodniowe przerwy między jedną lekcją a drugą, stosunkowo niewielka ilość godzin w skali rocznej, długie wakacje, podczas których tylko mały procent wyjeżdża na kolonie letnie lub obozy harcerskie (w Edynburgu jest polskie harcerstwo), nieregularna frekwencja, powodują, że uczniowie klas specjalnych opuszczają szkołę bez dobrej znajomości polskiego. Negatywną rolę odgrywają tu takie czynniki jak brak autorytetu „szkółki” polskiej w porównaniu ze szkołą lokalną, brak współpracy ze strony rodziców, a w wypadku małżeństw mieszanych fakt, że w domu mówi się tylko po angielsku. Jeżeli takie dziecko nie trafi do polskiej drużyny harcerskiej (a nie zdarza się to często), straci z czasem nawet tę ograniczoną znajomość języka, jaką uzyskało w szkole sobotniej⁸.

Stąd też spotkaliśmy się w Edynburgu z opinią wśród pedagogów, że główny nacisk w szkole sobotniej powinien iść w kierunku nauczania dziecka historii i geografii polskiej, na danie mu ogólnej wiedzy o Polsce, a nie na uczenie języka. Celem byłoby uczynienie z dziecka z biegiem czasu nie tyle „Polaka”, co przyjaciela Polski, człowieka związanego z Polską sentymentem, świadomością swego pochodzenia, niezależnie od tego, czy będzie on mówił po polsku czy nie.

Ilość dzieci zapisanych do szkoły sobotniej w r. 1957-58 wynosiła 73. Jest to do tej pory cyfra najwyższa. Zlikwidowano natomiast klasę gimnazjalną ze względu na brak zapisów, spowodowany głównie brakiem roczników wojennych.

8. W nr. styczeń-luty „Kultury” z 1957 r. ukazał się krótki artykuł pani Zofii Cunningham, w którym znajdujemy następującą opinię: „Wśród znanych mi czysto polskich domów nie spotkałam ani jednego wypadku zobczania dzieci polskiej mowie... By może w Paryżu są przyczyny do alarmu, wiem natomiast, że w Szkocji taka krytyka jest bezpodstawną... Zachodzą wypadki innej skrajności, kiedy pięcioletnie dziecko polskie nie ma pojęcia o języku kraju, w którym się urodziło i mieszka”.

Zdarzają się i takie wypadki, ale są już obecnie wielką rzadkością (chyba w hostelach). Natomiast obserwacja pani Cunningham w punkcie pierwszym stanowczo nie pokrywa się z naszą, ani z rzeczywistością. Wypadki z obczania nie są regułą, ale zdarzają się częściej (coraz częściej) — niżbyśmy mogli sobie życzyć.

Jeżeli już jesteśmy przy cyfrach, zwrócono nam w Edynburgu uwagę na zależność frekwencji i zapisów do szkoły od spraw wewnętrzno-emigracyjnych. Tak np., gdy w r. 1953-54 ilość dzieci zapisanych do szkoły wynosiła 53 to w roku rozłamu politycznego spadła do 40!

Nauczanie w szkole sobotniej stwarza ogromne problemy nawet dla w pełni wykwalifikowanych sił. Szkoła w Edynburgu rozporządza dobrym zespołem nauczycielskim, w pewnym stopniu dzięki Studium Pedagogicznemu.

Na konto szkoły można już dziś zapisać fakt, że część jej wychowanków, obecnie dorosłej młodzieży, bierze czynny udział w życiu polskim (np. jedną z uczennic tej szkoły spotkaliśmy w Londynie, gdzie była czynnym członkiem młodzieżowego teatru i zespołu tanecznego)⁹.

Na marginesie szkoły sobotniej w Edynburgu warto się pokrótce zająć Funduszem gen. Sikorskiego. Fundusz ten powstał w latach powojennych ze zbiorów głównie wśród społeczeństwa szkockiego z celem otworzenia w Warszawie skrzydła szpitala dziecięcego im. gen. Sikorskiego. Ponieważ prestiż gen. Sikorskiego był w Szkocji duży, zbiórka na Fundusz przyniosła wcale pokaźną sumę około £ 20.000. Z chwilą jednak zebrania pieniędzy powstały trudności z ich użyciem zgodnie z intencjami inicjatorów (wśród których byli Szkoci). Niektóre organizacje polskie wystąpiły z protestem przeciwko przekazywaniu tych pieniędzy do Polski, zgłaszając do nich własne pretensje. Pieniądze zostały zamrożone, a następnie decyzją *Secretary of State for Scotland* powstał tzw. *Memorial Trusteeship of General Sikorski Fund* z przeznaczeniem pieniędzy na nauczanie i leczenie dzieci polskich w Szkocji (w pierwszym rządzie) i w Anglii. Do Trusteeship weszło sześciu Szkotów (Lord Elgin jako przewodniczący) i jeden Polak, gen. Maczek.

Według informacji gen. Maczka, który mieszka i pracuje tuż pod Edynburgiem, 3/4 Funduszu zostało już wydatkowane, i to głównie na cele nauczania. Tak więc oprócz pomocy na kolonie letnie i subwencji dla szkół sobotnich, gros Funduszu poszło na pomoc w formie stypendiów dla dzieci polskich, głównie dzieci inteligencji. Chodziło o to, by dzieci polskie, ze względu na początkową niezamożność Polaków, nie musiały chodzić do najgorszych szkół szkockich czy angielskich, aby otrzymały start w dobrej szkole. Forma pomocy wyrażała się

9. Listę uczeni i uczennic, jak i inne dane o szkole w Edynburgu można znaleźć w jednodniówce wydanej w r. 1958, pt. "Dziesięciolecie Polskiej Szkoły w Edynburgu" (Odbito w Kole Żołnierzy Dłwa I Korpusu W.P.).

głównie w udzielaniu stypendiów na opłacenie kosztów szkoły, tzw. *fees*. Zwracano także koszty dojazdów do szkoły, mundurków i książek. Rozpiętość stypendiów wahała się od £ 50 do £ 250 zależnie od szkoły. Ogółem ponad 300 dzieci korzystało indywidualnie z pomocy Funduszu, z tego 159 (a więc ponad 50 %) w samym Edynburgu.

Zdaniem gen. Maczka Fundusz spełnił ważną funkcję, zapewniając tak znacznej ilości dzieci najlepsze nauczanie i tym samym chroniąc je przed utrudnionym startem życiowym.

Edynburg — rok 1960

Od czasu naszego przejazdu przez Edynburg nastąpiły pewne zmiany w życiu tego ośrodka.

Przed wszystkim doszło do likwidacji paru organizacji, o których nadmiarze pisaliśmy. I tak, po stracie swego lokalu, i przeniesieniu się do innego, rozwiązał się Klub Towarzyski. Zlikwidowało się także miejscowe Koło Polskiej Macierzy Szkolnej, z braku zainteresowania jego pracami wśród członków (na ostatnie walne zebranie przyszło zaledwie parę osób). Ogółem ilość organizacji zmniejszyła się mniej więcej do 20.

Wzrosło poważnie zainteresowanie krajem. Dziś już nie powtórzyłby się wypadek z odczytem o tematyce krajowej, opisany powyżej. Odczyty takie cieszą się bodaj największym zainteresowaniem (czasami prelegentami są Anglicy lub Szkoci; wyświetlane bywają przeźrocza). Zwiększyły się znacznie wyjazdy do Polski. W roku ubiegłym około 30 osób odwiedziło kraj; przewidywane jest potrojenie się tej liczby. Niektórzy żelazni kawalerowie pożenili się z Polkami z kraju.

Ten wzrost zainteresowania nie zmienił zasadniczo stosunku politycznego do władz w Polsce, ale powiązał społeczność edynburską żywymi węzłami z życiem kraju. Jeżeli jednak doszłoby do przeniesienia konsulatu warszawskiego z Glasgowa do Edynburga (o co robione są podobno starania), stosunek Polonii edynburskiej okaże się prawdopodobnie bardziej negatywny niż to ma miejsce w Glasgowie.

Nie sprawdziły się także nasze przewidywania, że w Edynburgu konflikt pomiędzy zamkowcami a zjednoczeniowcami dobiega końca. Konflikt ten istnieje nadal, a nawet miewa swoje zaognienia. Jednym z powodów mogło tu być rozpalenie umysłów niedawnym sporem na tle procesu o zniesławienie przeciwko „Narodowcowi”, i epizodu z „Kurierem Polskim”.

Na odcinku młodzieżowym nastąpiło pogorszenie — młodzieży rzeczywiście nie ma obecnie w Edynburgu prawie na lekarstwo. Jest to jedna z przykrejszych stron tutejszego życia. Nawet dzieci rodzą się jakby niechętnie: w r. 1959 ks. prałat Bombas ochrzcił 7-miorg dzieci... i udzielił 5 ślubów!

Z personaliów warto dodać, że dr Mglej nadal jest czynny w SPK i życiu społecznym. Z życia tego musiał się natomiast wycofać z powodu stanu zdrowia mgr Maj. Jest to na pewno dla środowiska edynburskiego poważna strata.

OKOLICE PODKRAKOWSKIE

Galashiels

SPK w Edynburgu, choć dość dawno już utraciło status macierzystego, okręgowego koła, wciąż jeszcze wykazuje opiekuńcze instynkty w stosunku do niektórych małych okolicznych ośrodków. Takie Galashiels to oczko w głowie dr. Mgleja. Na czas naszego pobytu w Edynburgu przypadło zakończenie roku w Szkole Sobotniej w Galashiels. Pojechaliśmy więc tam zabierając ze sobą dr. Mgleja i płk. Morbitzera, z magnetofonem potężnych rozmiarów i wagi. Z magnetofonem, własnością SPK, wzięliśmy nagrane na taśmie rozrywkowe audycje Free Europe. Płk. Morbitzer, trzeba tu dodać, stał się już swego rodzaju instytucją w Szkocji: nie ma w Szkocji prawie ośrodka, gdzie by nieznanne były jego „wieczorki przy magnetofonie”.

W Galashiels wystąpić miał z rewią Hemara, ponieważ jednak taśma przyszła tuż przez odjazd, poza tytułem, nie znaliśmy jej zawartości.

Galashiels to zapadła miejscina, leżąca z dala od uczęszczanych szlaków, choć w prostej linii odległa od Edynburga nie więcej niż 30 mil. Szosa wijąca się wśród falistego, mokro-zielonego krajobrazu, doprowadziła nas do celu w przeciągu półtorej godziny.

Wjechaliśmy w miasto brzydkie w sposób prawie sympatyczny, murowane, proste, pozbawione wszelkiej kokieterii. Odnaleźliśmy miejscową szkołę, gdzie odbyć się miała impreza. W murowanym budynku drewniane schody zawiodły nas na drewnianą podłogę długiej i gołej sali, zakończonej dość dużą sceną. Jest już trochę ludzi. Poznajemy kierownika Szkółki,

p. Ochojno, i nauczycielkę, 18-letnią pannę Gzowską, która rok temu przyjechała z Polski. Szkołka w Galashiels istnieje dopiero od trzech miesięcy. Powstała w dużym stopniu dzięki inicjatywie i poparciu dr. Mgleja. SPK w Edynburgu zakupiło elementarze i wspiera Szkołkę finansowo. Na lekcje uczęszcza 20 dzieci, prawie wszystko z małżeństw mieszanych, — i rzecz ciekawa: trzy mamy-Szkotki. Eksperyment z matkami, można już dziś powiedzieć, udał się całkowicie. Obecność na ławkach osób starszych pomaga utrzymać w klasie dyscyplinę i nadaje Szkołce w oczach dzieci autorytet, którego brak jest częstą bolączką innych polskich szkół. Większość dzieci przyszła do Szkołki bez znajomości języka polskiego.

Część formalną otworzył kierownik Szkołki krótkim, dorzecznym przemówieniem po angielsku, w którym podkreślił, że przyszłość Szkołki zależna jest przede wszystkim od poparcia jej przez rodziców. Na tle podnieconych głosów zza kurtyny, po polsku i równie krótko, przemówiła panna Gzowska. Rozsunęła się kurtyna — ukazując ustawioną w rzędy grupę dzieci od lat 3 do mniej więcej 12.

Przedstawienie zaczęło się od deklamacji. Renata, dziewczynka na wakacjach z Polski, recytuje „Pozdrowienie z Tatr” Tetmajera ze swobodą urodzonej primadonny. W porównaniu z tą wirtuozerią, skupiona, pełna wysiłku recytacja dzieci miejscowych wytwarzała kontrast aż bolesny. Chuda, długonoga Katarzyna, o szkockiej urodzie i szkockim „r”, deklamuje „W środku ogródka”. Następnym punktem programu jest odśpiewany chórem Krakowiak. Za kulisami p. Ochojno wydobywa symboliczne dźwięki ze skrzypiec, które, jak się potem przyznał, trzymał w ręku po raz pierwszy od lat 18.

Na scenie najmłodsza z aktorek, kędzierzawa, trzyletnia może dziewczynka, klaszcze do taktu w dłonie. Na widowni mamy się cieszą. Dalej, szczerbata Frieda mówi wiersz o „Czarnym Baranie”, który w jej wykonaniu brzmi jak nieznanne jakieś egzotyczne zwierzę. W czasie tej deklamacji, brat Friedy, stworzenie może półtoraroczne, w długich, wełnianych „getrach”, wybiegł na środek sali i poznając siostrę, z wielką uciechą wrzasnął: „Frieda”! Siostra, zamiast odpowiedzieć, dalej wydawała niezrozumiałe dźwięki. Starsi się roześmieli. Chłopak powtórzył okrzyk, tym razem rozbrzmiewający zdziwieniem. Kiedy wciąż nie było pożądanej reakcji, zawołał znowu. Aż do końca przedstawienia rozlegały się raz po razie głośne „Frieda” — coraz bardziej gniewne i agresywne. Ponowna przekładanka recytacji i śpiewu zakończyła przedstawienie. Płk. Morbitzer, ku wielkiej uciechy dzieci i rodziców, odegrał wszystko raz jeszcze

z magnetofonu, a my zasiedliśmy do zastawionych stołów. Przy stole, po zaspokojeniu pierwszego głodu, rozmowa potoczyła się łatwo.

W samym Galashiels mieszka nie więcej niż 50 Polaków, ale w okolicy w każdej wiosce natrafić można na parę polskich rodzin. Wszyscy miejscowi Polacy pracują w przemyśle tkackim. Galashiels to miasto, w którym jeśli się nie jest właścicielem fabryki, jest się robotnikiem. Z Polaków na tym terenie tylko jeden, p. Włastowski, obywatel ziemski z Polski, dorobił się własnego warsztatu. P. Ochojno, który w St. Andrews ukończył ekonomię, pracuje obecnie jako specjalista od porównywania grubości nitek. Ci dwaj, i panna Gzowska, to bodajże całość miejscowej inteligencji.

Jedyną polską organizacją w Galashiels jest Koło SPK, grupujące zresztą tylko część miejscowej Polonii. Wielu na namowy wstąpienia do Koła, odpowiada odwiecznym: „a co mi to da?”. Być może już wkrótce Szkółka dostarczy na to pytanie odpowiedzi.

Co roku SPK urządza tu obchody 3 maja, 15 sierpnia i 11 listopada; jedną zabawę, opłatek i święcone. Klub SPK afiliowany jest do miejscowego Arts Club'u dzięki czemu wynajmuje, skromny wprawdzie, pokój za sumę £ 5.0.0. rocznie.

Nim wstaliśmy od stołu, zjawił się na sali miejscowy szkocki proboszcz. Przywitał się, w rozmowie z nami wyraził przekonanie, że miejscowi Polacy powoli zatracają swoją odrębność, że już wkrótce staną się Szkotami, potem znikną. Na zakończenie części formalnej, prezes SPK, młody robotnik, p. Paliczka, podziękował parze nauczycielskiej za pracę, mówiąc — na złość proboszczowi — dobrą polszczyzną, logicznie i jasno budując zdania. Część zebranych wyszła, reszta obsiadła magnetofon, na który właśnie plk. Morbitzer kładł taśmę z Hemarem. Program okazał się wielkanocną rewią. W lipcowej zadumie wysłuchaliśmy kolejno: Hemara, Toli Korian, Jadzi Czerwińskiej i Władzy Majewskiej życzących nam „Wesołego Jajka” — „Wesołych Świąt”! Po czym zabraliśmy magnetofon z Hemarem, pożegnaliśmy gospodarzy, składając im życzenia bardziej — miejmy nadzieję stosowne — i załadowaliśmy się do samochodu.

Z powrotem do emigracyjnego Krakowa.

Falkirk

Na drugi dzień po wypadzie do Galashiels, wyjechaliśmy znów w teren; tym razem w kierunku północno-zachodnim, do

Falkirk. Za przewodnika służył nam znowu uczynny dr Mglej. W Falkirk zresztą mieliśmy już znajomego. W Edynburgu odbyliśmy długą rozmowę z proboszczem Falkirku, ks. Drobina. Wiedzieliśmy już od księdza o sporze Parafia — SPK, o dwóch konkurencyjnych domach; mieliśmy już jego niezbyt pochlebną opinię o Klubie Kombatanta.

Obliczenia ilości Polaków zamieszkałych w Falkirk z okolicami wahają się od 500 do 800 osób. Co najmniej 200 z nich, to górnicy. Reszta pracuje w stalowniach, przemyśle średnim lub rzemiośle. Zarabiają wszyscy nieźle, górnicy najlepiej. Zarobki w kopalniach „na fejsie” sięgają £ 25.0.0. tygodniowo. Przez pracodawców robotnicy polscy są cenieni wysoko. Absencja wśród Polaków jest rzadkością, a pracują wydajniej od tubylców.

Falkirk to środowisko czysto proletariackie. Polaków na stanowiskach inteligentnych (urzędnicy, inżynierowie) policzyć można na palcach. Zdawałoby się, że w tego rodzaju ośrodku spory polityczne nie powinny odgrywać żadnej roli. Tymczasem, przynajmniej w okresie rozłamu, rzecz się miała inaczej. Ks. Drobina sympatyzował z Zamkiem, SPK formalnie stało po stronie Zjednoczenia. Wydaje się zresztą, że w Falkirk podziały polityczne były tylko wygodnymi czapkami dla konfliktów całkiem innej natury. Od Ks. Drobiny słyszeliśmy, że w Klubie SPK skupiają się małżeństwa dzikie, zawarte w zborach protestanckich, lub w urzędach stanu cywilnego. Kombatanci znów narzekali, że ksiądz całe życie społeczne uzależnić chce od parafii. Przez lata toczyła się podjazdowa, ukryta wojna. Oficjalne stosunki między SPK i Parafią były mniej więcej poprawne. W roku 1954 miały nawet miejsce rozmowy na temat kupna wspólnego domu, którego brak odczuwano. Patrząc z zewnątrz trudno się dziś zorientować, kto ponosi odpowiedzialność za stan obecny. W każdym razie, zamiast jednego, kupiono dwa domy. W jednym jest Klub SPK, drugi administrowany jest przez ks. Drobinę. Obydwa mają bar i restaurację, obydwaj przyciągają klientów tymi samymi metodami.

Odowiedziliśmy najpierw Dom SPK. Dom stoi na uboczu, w środku utrzymany jest czysto i porządkie, ma natomiast jedną wielką wadę — brak dużej sali. W korytarzu na tablicy ogłoszeń w oczy rzuca się zawiadomienie: „Wycieczkę autobusem nad morze urządza Koło SPK Nr 36 w Falkirk, dnia 27 lipca 1958, godz. 15. Dużo niespodzianek dla dzieci i starszych. Przygrywać będzie orkiestra kol. Kordy. Lista zgłoszeń u kol. Szygały”.

Sciana pokoju sąsiadującego z barem ozdobiona jest „freskiem”, przedstawiającym, jak nas przekonywano, Morskie Oko. Na nas robi to wrażenie raczej szkockiego „Loch'u”. U dołu widniał podpis: Kondzella. P. Kądziała, mieszkający w pobliżu Falkirk, ma jako malarz spore wzięcie także u Szkotów. Dekorował on m.in. *Blue-Bell* — jeden z większych miejscowych barów.

Poczęstowano nas obiadem. Mała restauracyjna salka pomалу się zapełniała. Schodzili się, rzecz uderzająca, sami mężczyźni w wieku lat 35 — 40. Zjawił się też miejscowy dowcipniś, przedstawiając się nam jako kawaler od urodzenia. Kobiet nie było. Częstują nas trudną do uwierzenia informacją, że w Falkirk 75 procent Polaków żyje w kawalerskim stanie. Polek nie ma, a ze Szkotkami na tym terenie małżeństwa jakoś nie kojarzą się łatwo. Być może gra tu rolę fakt, że wielu miejscowych Polaków to Ślązacy, którzy na Zachód dostali się poprzez armię niemiecką, organizację *Todt'a* lub roboty przymusowe, i do Szkocji przybyli już po okresie bratania się z tubylcami. Tymczasem, lata mijają. Przed kilku jeszcze laty istniała tu polska drużyna piłki nożnej, ale uganiecie się za piłką dla kawalerów pod czterdziestkę jest już zajęciem zbyt męczącym i nie licuje z powagą łysiejących głów. Istnieje polska orkiestra, dwa razy do roku odbywają się w wynajętej sali huczne zabawy, gromadzące 90 do 120 osób, w tym niestety niewiele panien na wydaniu.

Dom SPK przynosi spory dochód. W roku 1957-58 czysty zysk wyniósł £ 625, z czego 2/3, zgodnie z umową, odprowadzono do Londynu, a resztę otrzymało miejscowe Koło. Jak już z tych cyfr widać, konkurencja Domu Parafialnego w płaszczyźnie handlowej nie przedstawia problemu. „Lepiej nawet”, mówi ktoś z zebranych, „że są dwa domy. Niech tam chodzą łobuzy, niech się nimi policja interesuje, to tu będzie przyjemnie”. Zresztą sporo ludzi chodzi i tu i tam. Sam prezes Koła, p. Grzanka, wytrawny widać dyplomata, jest jednocześnie prezesem Komisji Rewizyjnej Domu Parafialnego. SPK wspomaga finansowo istniejącą przy Parafii Szkółkę, a w roku ubiegłym wpłaciło £ 25.0.0. na utrzymanie duszpasterza. Otwarta wojna pomiędzy Domami już się chyba kończy, znów przybiera formę złośliwych wycieczek raczej, niż głośnych awantur.

Dom SPK w Falkirk, mówią zebrani, dobrze wypełnia swoją rolę. Sprawnie też funkcjonuje Koło. Być może obfitość kawalerów w dojrzałym wieku sprawia, że chętnych do pracy społecznej jest sporo. Czy od SPK jako organizacji chcieliby czegoś więcej? „Tak” — mówi p. Grzanka. „Należałoby rozbudować fundusz samopomocy, można by wtedy pomagać ludziom mate-

rialnie. Niech każdy z Domów SPK wpłaci po £ 100. Z uzyskanego funduszu można wypłacać pożyczki na 5 procent na pokrycie hipoteczne". P. Grzanka, miejscowy górnik, mówi o tym, jak ktoś kto gruntownie już całą sprawę przemyślał.

W podobnej formie wypowiada się i na inne tematy. Powinna być na emigracji ogólna, czysto społeczna organizacja. (Głos z sali: „Czyś ty zwariował? Jedna organizacja dla wszystkich Polaków!”). Partyjnictwo w SPK jest szkodliwe. (Słuchał tego dr Mglej, wybitny członek Stronnictwa Narodowego).

Pytamy się ilu by wróciło do Polski, gdyby zmieniły się stosunki polityczne, a warunki materialne się poprawiły? Ktoś odpowiada, że zostanie tu co najmniej 80 procent. P. Grzanka twierdzi, że powróciłoby w każdym razie mniej, niż 50 procent. „Komu by się chciało w tym wieku zaczynać życie w Polsce od początku?” „Pojechać na wakacje, to co innego”.

Chęć wyjazdu na urlop stopniowo przełamuje opory wobec przyjmowania obywatelstwa brytyjskiego.

Przy deserze nastrój już jest na tyle intymny, że zostajemy obarczeni misją namówienia władz centralnych SPK w Londynie do otworzenia biura matrymonialnego. Czas, aby centrale londyńskie zajęły się w końcu rzetelną społeczną pracą.

Nawet najdłuższy i najciekawszy obiad musi się kiedyś skończyć, a do tego czeka na nas Ks. Drobiną. Podziękowaliśmy więc, pożegnaliśmy się, i pojechaliśmy do konkurencji.



Ks. Drobiną przywitał nas serdecznie, oprowadził po swojej restauracji i barze, po czym zabrał nas na pierwsze piętro do kancelarii. Kancelaria elegancka, ale w nieładzie typowym dla ludzi czynnych, odbijała osobowość człowieka, który jednoczy w sobie funkcje duszpasterza i kierownika Domu. Stół, fotele, na ścianach krucyfiks, wizerunki Serca Jezusowego, Madonny i Świętych, pod ścianą oszklone półki z bogato oprawionymi książkami na tematy religijne, a na biblioteczkę lalka w zielonej sukni i na stercie papierów płyta z modnym szlagerem: „I am in the mood for love”.

Sam ksiądz, niski blondyn, na przemian spokojny i nieoczekiwanie żywy, ruszał się po domu jak udzielny książę po swym zamku, złączony z nim sentymentem, zasiedziały od pokoleń, pewien swych praw. Trudno się zresztą dziwić. Ks. Drobiną na teren Falkirk przybył w 1948 roku, sam zorganizował parafię, i sam ją od tego czasu prowadzi. Kiedy po raz pierwszy w miejscowej sali parafialnej odprawiał mszę, zjawili się Polaków może

z tuzin, choć według gazet szkockich było ich wtedy w Falkirk półtora tysiąca. Odzwyczaili się, mówi ksiądz, od duszpasterza i religii. Już kilka miesięcy potem przychodziło od 60 do 70 osób. W pierwszych latach pracę ułatwiał życzliwy stosunek miejscowego szkockiego proboszcza, ale po jego śmierci, w 1954 nastąpił kryzys. Nowy proboszcz nieomal że wymówił ks. Drobinie gościnę. Zaistniała wtedy konieczność kupna domu, w którym znaleźliby pomieszczenie duszpasterz, mała kaplica i polska szkołka. Zebrano na ten cel £ 500, zaciągnięto dotychczas jeszcze nie spłaconą pożyczkę, i jest dom. Prawnym właścicielem Domu jest Polska Misja Katolicka.

Rozmowa schodzi na tematy ogólne. Ksiądz Drobiną twierdzi że duszpasterz na emigracji wykonywać musi także funkcję społeczną, i stąd podwójna ciężar na nim odpowiedzialność. Nie widzi natomiast konfliktu w wypadku kiedy nie-katolicy znajdują się na terenie parafii. Dzieci nie-katolików w Szkółce katolickiej nie muszą przecież uczęszczać na lekcje religii. Zresztą, mówi ksiądz, kto zerwał z wiarą katolicką, ten zerwał i z polskością.

Mieszka w Falkirk przedwojenny dziennikarz z redakcji IKC'a, który ożenił się tutaj ze Szkotką, przeszedł na protestantyzm, i teraz chodzi „z wielkim protestanckim *bookiem* pod pachą”. Polaków oczywiście unika. Stanowisko Kościoła w takich wypadkach jest jasne: Polak, który bierze ślub w kościele niekatolickim, automatycznie podlega ekskomunice, a więc przestaje być katolikiem.

Zdaniem Księdza, tylko parafia ma szansę utrzymania polskości na emigracji. Dowodem jest tu dla Księdza Polonia Amerykańska.

Zrobił się brzydki, szkocki, błotnisty zmierzch. Wypiliśmy pośpiesznie herbatę, wskoczyliśmy do samochodu, zostawiliśmy za sobą Falkirk, a w nim dwa Domy Polskie, własne — dwa zamki.

Jechaliśmy do Kircaldy.

Kircaldy

Kircaldy, spore przemysłowe miasto i port, rozciąga się na północnym brzegu zatoki Firth-of-Forth, naprzeciw Edynburga. Polaków jest w Kircaldy około 350, skupiła się tu mniej więcej połowa Polonii z całego hrabstwa Fife. Część z nich to górnicy; wielu pracuje w zakładach linoleum, niektórzy w stoczniach. Jest także, jak wszędzie, garść sklepikarzy i rzemieślników. Swego czasu najchętniej szli do świetnie płatnej pracy w stoczniach,

ale niestety, duże wpływy komunistów w miejscowych Związkach zawodowych dały się na tym terenie we znaki. W stoczniach obowiązuje zasada „closed shop”, każdy robotnik musi być członkiem związku. Lokalne komórki wymogły na zarządzie General and Municipal Workers Union zasadę, że w razie spadku produkcji, zwalniani są w pierwszej kolejności cudzoziemcy, a więc Polacy. Znalazło to odbicie w praktyce. Zwalniano Polaków parokrotnie, a w 1952 roku, kiedy Kircaldy przeżywało ekonomiczny kryzys, większość Polaków znalazła się bez pracy. Fakt, że robotnik polski ceniony jest przez pracodawców, nic tu nie pomógł.

W niektórych wypadkach jedynie przyjęcie obywatelstwa umożliwiłoby pracodawcom zatrzymanie tak dobrego robotnika. Ostatnio sami Polacy rzucają pracę w stoczni, szukając pracy może gorzej płatnej ale pewniejszej. Tak na przykład w fabrykach linoleum obowiązuje zasada zwalniania proporcjonalnego do liczby robotników danej narodowości, i Polacy cieszą się tam na ogół życzliwością i pracodawców i szkockich kolegów.

Niepobawiony pikanterii jest fakt, że hrabstwo Fife, twierdza brytyjskiego komunizmu, jest jednocześnie szkocką twierdzą emigracyjnego Stronnictwa Narodowego. W miejscowym Kole SPK prym dzierżą endecy (choć obecnie prezesem Koła jest Zamkowiec, który zdołał pozyskać sobie poparcie Narodowców). W kolportażu prasy „Myśl Polska” zajmuje drugie miejsce po „Dzienniku”. W rozmowie członkowie SN na ogół się zgadzają, że idee Stronnictwa nie mają już szans przyciągnięcia na emigracji świeżych ludzi, ale, twierdzi p. Polański, głowa tutejszych narodowców, stronnictwa odgrywają na uchodźstwie pozytywną rolę dzięki temu, że nie mogąc wyżyć się politycznie w sposób naturalny, cały swój dynamizm wkładają w pracę społeczną. Na przykładzie miejscowego Domu Kombatanta mieliśmy okazję sprawdzić, że przynajmniej w jednym wypadku słowa p. Polańskiego nie są czystą teorią. Nie spotkaliśmy nigdzie w Szkocji tak wzorowo, tak pedantycznie prowadzonej administracji. Podziwialiśmy kompletną kartotekę, listę składek, wykazującą 100 procent płatności członków, porządek panujący we wszystkich kątach Domu. Na innych polach ten endecki ład okazał się dla nas mniej interesujący. Na pytania natury bardziej zasadniczej otrzymywaliśmy tyrady brzmiące jak przygotowane dla prasy wypowiedzi osób oficjalnych. Kiedyśmy powtórzyli pytanie, postawione uprzednio w Falkirk, ilu Polaków wróciłyby stąd do kraju przy zmienionej sytuacji, odpowiedź brzmiała: „Wszyscy!”.

Miejscowe Koło ma 180 członków, Klub 223. Ta dziwna różnica tłumaczy się faktem, że do Klubu przyjmowani są Szkoci. Statutowo liczba nie-Polaków w Klubie nie może przekroczyć 1/3. Regularność w płaceniu składek zapewniona jest przez wyznaczanie kolektorów we wszystkich fabrykach, gdzie pracują Polacy.

Jako ciekawostkę można dodać, że polskich tańców narodowych uczy przy Klubie Szkotka. Natomiast frekwencja dzieci w tutejszej Szkole Sobotniej jest raczej słaba.

Sam Dom SPK to już nie Dom, a rezydencja! Wjeżdża się do niego jak do pałacu, przez szeroką bramę, przecina się zapuszczony stary ogród, by w końcu ujrzeć spory, szary budynek. Pod dachem wyczytać można koślawą datę — 1689. Rzecz nie do uwierzenia — na oko można by ocenić wiek budowli na lat mniej więcej sto.

Do wiarygodności daty przekonuje nas informacja, że w czasie odnawiania jednego z pokojów, zdarto ze ściany 34 tapety! Wnętrze Domu zostało odnowione całkiem nowocześnie. Dom mieści 2 bary, restaurację, dość dużą salkę taneczną, kancelarię administracji, bibliotekę (czytelnictwo słabe) i pokój dla grających w karty — kobietom wstęp wzbroniony. Krzyżują się tu dosadne ciężkie słowa, ludzie wyraźnie przychodzą po to, żeby sobie ulżyć. W Kircaldy nawet nieparlamentarne słownictwo ujęte jest w ramy organizacyjne.

Dom zakupiony w 1954 roku, nie jest jeszcze kompletnie urządzony. Obszerny ogród wymaga szczególnie dużego wkładu pracy. W tej chwili wpływy i rozchody się równoważą. Uniknięcie tymczasowego deficytu jest zasługą miejscowych członków, którzy bezpłatnie wykonali wiele prac związanych z remontem.

Zrobiło się późno. Musieliśmy się żegnać, żeby zdążyć na ostatni nocny prom przez zatokę. Idąc przez ogród do samochodu oglądamy przez szerokie okna Domu polsko-szkockie pary tańczące przy dźwiękach rock-'n'-roll'a. Symbol wynarodowienia? — może. Choć pamiętać warto, że tak samo tańczą teraz w Polsce.

Wracamy do Edynburga. Jutro jedziemy dalej na północ.

Perth i Old Scone

Wyjechaliśmy z Edynburga wczesnym popołudniem, akurat w momencie gdy po czterodniowej niepogodzie zrobił się ciepły, słoneczny dzień. Tym razem nie był to jednodniowy, zaaranżowany uprzednio wypad. Pożegnaliśmy emigracyjny Kraków na dobre. Jechaliśmy uzbrojeni jedynie w parę adresów.

Bezpośrednim celem podróży był dla nas New Scone, wieś o parę mil odległa od Perth. Szczęście nam dopisało. Panią Jarmulską, o której jeszcze w Londynie słyszeliśmy, że jest głównym działaczem na tym terenie, zastaliśmy wraz z mężem w domu. Okazało się poza tym, że p. Jarmulski w Polsce przed wojną znał dobrze rodzinę jednego z piszących te słowa. Trafiliśmy też na dom ogromnie gościnny. Minał wieczór, noc i rano dnia następnego, zanim wyruszyliśmy dalej. Ta gościnność rodaków przestawała zresztą już nas dziwić, spotykaliśmy się z nią na każdym kroku.

W pobliżu domu państwa Jarmulskich stoi okazały budynek miejscowej szkoły, którego fronton zdobi rzucająca się w oczy i dobrze widoczna z biegnącej obok drogi, płaskorzeźba orła — pamiątka po stacjonowanych tu kiedyś oddziałach wojska polskiego. Miasto Perth było, obok Glasgow i Edynburga, jednym z centrów polskiej działalności wydawniczej w okresie wojny. Drukowano tu m.in. pismo „Co słyhać”, wzorowane na amerykańskim „Reader's Digest”, popularne swego czasu wśród żołnierzy.

Dziś w Perth z okolicami mieszka około 200 Polaków. Część z nich pracuje w rzemiośle, część jako robotnicy budowlani, inni w pralniach i farbiarniach. Jest także kilku właścicieli sklepów: trzech ma sklepy kolonialne, jeden — sklep wyrobów skórzanych, jeden — tytoniowy, a jeden sprzedaje turystom szkockie pamiątki. Całe życie społeczne i lwia część życia towarzyskiego skupia się w Klubie SPK. Wynajęty, skromny lokal, otwarty jest wieczorami w piątki, soboty i niedziele. Jest tam bar, zagrać można w bridge'a, odbywają się czasem zabawy i imprezy kulturalne. Raz na miesiąc zagląda tu ks. Drobiną z Falkirk, by odprawić polską mszę, wysłuchać spowiedzi. Przed paru laty istniała w Perth Szkoła Sobotnia, niestety wyjazd jedyne go nauczyciela przerwał naukę. W tym roku jednak odbyło się zebranie, z udziałem Inspektora Szkół Sobotnich, p. Maja z Edynburga, na którym dyskutowano możliwość ponownego otwarcia szkoły.

Pani Jarmulska jest prezesem tutejszego Koła Związku Rolników Polskich. W tej części Szkocji było kiedyś dużo polskich farmerów, dziś pozostała ich zaledwie garstka. Większość wyemigrowała do krajów zamorskich, część przeniosła się do miast. Koło Związku Rolników to instytucja przede wszystkim towarzyska. Zjazdy odbywają się kolejno w domach rozrzuconych w terenie członków; wymiana doświadczeń i poglądów następuje w trybie nieformalnej towarzyskiej rozmowy.

Z jakieś dwie mile od New Scone leży Old Scone, niegdys miejsce koronacyjne szkockich królów, obecnie siedziba Lorda

Mansfield. Tutaj, wewnątrz wysokich murów, w ogromnym, starym parku, na 6-ciu akrach ziemi dzierżawionej od Lorda Mansfield, trzech Polaków prowadzi „ogród handlowy”, to znaczy hodowlę jarzyn i kwiatów. Jednym ze współników jest p. Jarmulski.

Sześć akrów — to brzmi ubogo, ale jak na ogród handlowy, jest to powierzchnia imponująco duża. Wystarcza jej w każdym razie aby wyżywić jarzynami cały Perth, miasto przeszło czterdziestotysięczne. Spółka z Old Scone ma dziś monopol na dostawę do Perth: oznacza to, że od Polaków biorą jarzyny cztery hurtownie i dwadzieścia sklepów detalicznych. Ewentualna nadwyżka wysyłana jest do Dundee. Poza tym współnicy sprzedają co roku kilka tysięcy skrzynek rozsady kwiatowej. Przedsiębiorstwo mocno dziś stoi na nogach, a różnorodność produktów redukuje ryzyko.

Początki były oczywiście trudne. Trzej współnicy ukończyli zorganizowany w Szkocji w ramach PKPR'u kurs rolniczy. Wśród dzierżawionych przez Szkołę Rolniczą gruntów był też ogród w Old Scone. W roku 1948 kurs zamknięto, choć nie wygasł jeszcze kontrakt na dzierżawę. Wspólnicy przejęli kontrakt, przedłużyli go, zakupili narzędzia od SPK, nabyli na licytacji za £ 30.0.0. konia z wozem i rozpoczęli uprawę. Doświadczenia rolników z Polski na nic się tu nie przydawały. Inny klimat wymaga zupełnie innej techniki uprawy; co — nawiasem mówiąc — było jednym z powodów ucieczki polskich farmerów do miast. Organizacja zbytu też, oczywiście, w niczym nie przypomina polskich stosunków. Glasgow, największy rynek jarzyn i kwiatów w Szkocji, jest dla małego producenta praktycznie niedostępny. Kupcy z Glasgow tworzą siwę z londyńskim rynkiem na Covent Garden i nadmiar jarzyn z tego ostatniego nocnymi pociągami przewożony jest do Glasgow.

Rano ten nieświeży produkt sprzedawany jest w Glasgow po cenach dumpingowych. Wynikają z tego nieraz smutne konsekwencje dla małego producenta. W pierwszych latach gospodarki zdarzyło się, że ogród z Old Scone wysłał do Glasgow transport selerów, wartości, wg ówczesnych cen rynkowych, około £ 150.0.0. Nie wiadomo jaką sumę selery zrealizowały, ale współnicy otrzymali ostatecznie £ 3.0.0.

Tego rodzaju „transakcji” niesposób było uniknąć. Doświadczenia takie mają jednak swoją wartość, każdy uczy się na swoich błędach.

Inteligentne wyciąganie wniosków z własnych błędów i duży wkład pracy zaczęły z biegiem czasu przynosić dywidendy. Wspólnicy podzielili się funkcjami: p. Jarmulski odpowiedzialny

jest za handel, pozostali dwaj kierują planowaniem i uprawą. Rynek w Perth zdobyty został jakością jarzyn i kwiatów, solidnością i punktualnością dostaw, oraz czystością produktów (wbrew zwyczajom rolników szkockich, jarzyny z polskiego ogrodu oczyszczane są z ziemi). Przed paru laty przedsiębiorstwem polskim zainteresowała się edynburska szkoła rolnicza. Wspólnicy zgodzili się chętnie, by na terenie ich ogrodu szkoła przeprowadzała własne doświadczenia. Współpraca trwa nadal i przynosi korzyści obu stronom.

Stary koń z wozem dawno został sprzedany. Jarzyny i kwiaty jeżdżą do Perth tak zwanym „vanem”, a pod Klub SPK wspólnicy zajeżdżają własnymi samochodami. Tylko pracy wciąż jest tyle samo. Wprawdzie spółka zatrudnia jedną kobietę-Niemkę, a w sezonie najmuje dorywczych pracowników (przeważnie Polaków), płacąc im po cztery szylingi za godzinę, ale gros pracy wykonują sami wspólnicy. Stąd też nie ma przesady, gdy mówią, że żyją z pracy własnych rąk.

Po obejściu dwu dużych szklarni, w których na zmianę hodowane są pomidory i kwiaty, przechodzimy wzdłuż rzędów rzepy, kalafiorów i sałaty, i przez wąską furtkę w murze wchodzimy w świat całkiem inny. Old Scone to miejsce o tysiącletniej przeszłości. Przed A. D. 1000 była tu stolica Piktawii (królestwa północnych Piktów), a od początku XII wieku siedziba słynnego opactwa i miejsce koronacyjne szkockich królów. Tutaj przechowywany był „Stone of Destiny” — symboliczny głaz, na którym odbywały się koronacje królów szkockich — obecnie znajdujący się pod koronacyjnym krzesłem w Westminster Abbey. W czasach reformacji, w roku 1559 katolickie opactwo Scone zostało całkowicie zburzone. Jedyny ślad tamtych czasów to leżący w parku potrzaskany, kamienny sarkofag, podobno miejsce spoczynku ostatniego opata. Dzisiaj sarkofag jest otwarty. Na wzgórzu obok, z widokiem na rzekę Tay, stoi pałac, zbudowany w roku 1803. Jest to poważna, małoefektowna budowla: surowa kompozycja z prostych brył¹.

W pałacu mieszka tylko rodzina administratora. Rozległy, bezładny, stary park wspaniale zdziczał. Bujne zielska, splątane podszycie, dawno zarosły ślady ludzkiej pielęgnacji. Zdumiewa przepych roślinności. Fantastyczne „małpie drzewa” rosną obok jodeł, cedry tuż obok ogromnych buków. Chyba każde drzewo, które potrafi sobie dać radę ze szkockim klimatem, jest tu reprezentowane.

1. W latach 1941-42 mieściło się tu „Państwowe Liceum i Gimnazjum Zeńskie w Szkocji im. Marii Skłodowskiej-Curie”.

P. Jarmulski, wychowany na wsi, w posiadłości ojca nad Horyniem, poruszał się wśród drzew tak jakby się wśród nich wodził i z nimi wyrósł. Wypatrując ptaki i zwierzęta prowadził nas, zdawałoby się, na węch. Kucając, by w zapadającym mroku lepiej widzieć, czy się co na ziemi nie rusza, mówił do nas: „Pamiętacie, tak się na Polesiu, w czasie rannej mgły, wypatrywało konie. Mgła nie sięgała nigdy samej ziemi”. Patrząc na tego, młodego jeszcze mężczyznę, o szlachetnych, rzeźbionych rysach twarzy, jak skradał się przez polanę do młodego zająca, trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który w obcym społeczeństwie, w nowych, ciężkich warunkach, niezmiernym wysiłkiem potrafił dorobić się własnego, skromnego „miejsca w słońcu”.

Takie to rzeczy dzieją się dziś w Old Scone. Na ziemi używanej prochami szkockich królów Polacy hodują kalafiory, a wieczorem, w dzikim, lordowskim parku, panicz z Polesia zające tropi.

Pszczoly — szczury — indyki

W Old Scone, z pomocą pp. Jarmulskich, układaliśmy marszrutę na dzień następny. Po drodze do Dundee chcieliśmy obejrzeć jeszcze jedno polskie gospodarstwo. W grę wchodziły trzy: Pierwsze to duża polska pasieka, na północ od Forfar, prowadzona podobno świetnie i samochodem łatwo dostępna. Drugie to *Denhead Farm* pod St. Andrews (raczej nie po drodze) gospodarstwo p. Kazimierza Matusiewicza, o którym wiele ciekawych opowieści słyszeliśmy jeszcze w Edynburgu. Trzecie, położone podobnie jak pasieka w okolicy Forfar, to *Cotton of Pitkenedy*, „farma indycza” p. Rusina.

Kusiło nas, by nałożywszy drogi pojechać do p. Matusiewicza i na miejscu sprawdzić rzetelność fascynujących relacji.

Denhead Farm położona jest podobno na terenie starych kopalń, od dawna już nieczynnych. Tunele wprowadzie zasypiano, ale pozostały setki dziur, w których obecnie kwaterują całe armie szczurów. P. Matusiewicz ze szczurami wojuje od lat. Co wieczora prawie wychodzi w towarzystwie psa na polowanie, uzbrojony we flower i latarkę elektryczną. Kiedy spłoszone snopem ostrego światła szczury wypryskują wielkim susem ze swych kryjówek, p. Matusiewicz strzela do nich „w locie”. Nie chybia nigdy

Mimo tych niekonwencjonalnych, groteskowych trochę wieczornych zajęć, p. Matusiewicz nie jest wcale, jak sądzić by

można, ponurym, zdziwaczałym samotnikiem. Wśród polskich rolników w Szkocji ma on opinię człowieka towarzyskiego, gościnnego i sympatycznego gospodarza. Brydż na *Denhead Farm*, połączony z polowaniem na szczury dla wychodzącego, jest wśród miejscowej Polonii znaną i poszukiwaną atrakcją.

W ciągu dnia, dodać trzeba, p. Matusiewicz hoduje świnie. Taki obraz *Denhead Farm* malowali nasi rozmówcy. Niestety, nie sprawdziliśmy go nigdy osobiście. Pojechaliliśmy do pana Jana Rusina głównie chyba dlatego, że zafascynowała nas nazwa jego gospodarstwa.

Znaleźć *Cotton of Pitkennedy* nie jest łatwo. Na północ od Forfar kluczyliśmy czas dłuższy wśród gołych wzgórz po drogach coraz to węższych, zanim błotniste koleiny zaprowadziły nas pomiędzy stada gulgoczących indyków. Odnaleźliśmy gospodarza — czerstwego, małomównego mężczyznę, nie wyglądającego na swoje 60 lat. Przyjęci zostaliśmy, jak zresztą wszędzie, nad wyraz uprzejmie.

Cotton of Pitkennedy znane jest i cenione w kołach zawodowych jako jedno z największych i najbardziej racjonalnie prowadzonych przedsiębiorstw hodowli indyków. Rocznie sprzedaje p. Rusin około 3.000 dorosłych tuczonych indyków i 8.000 indycząt. Fachowe pisma wyrażają się z uznaniem o nowatorskich metodach hodowli, jakie p. Rusin na swej farmie stosuje. By obniżyć kosztą, p. Rusin wpadł na pomysł dodawania do pokarmu drobno siekanej kiszanej trawy, dotychczas używanej w W. Brytanii tylko jako pokarm dla bydła. Eksperyment dał rezultaty po prostu rewelacyjne. Wyprodukowany pokarm nie tylko obniżył koszty, ale też tuczone nim indyki wyrosły większe, zdrowsze, są podobne nawet smaczniejsze. Co więcej, polepszyła się nośność indyczek i jakość jaj. Można twierdzić, że kiszonka stała się kamieniem węgielnym dobrobytu farmy.

Wszystkie pokolenia indyków, które widzieliśmy w *Cotton of Pitkennedy* od wylęgu aż po przysłowiową indyczą sobotę, robią wrażenie ptaków zdrowych i pełnych energii, a jeśli wierzyć p. Rusinowi, nie brak im także inteligencji. Patrzyliśmy zdumieni, jak małe indyczątka wyklują się z jajka: przed wyjściem dziurkuje od wewnątrz skorupę, w płaszczyźnie prostopadłej do osi jajka, zostawiając mały odcinek jako zawias. Poza tym idealnie prostym, mistrzowskim cięciem, skorupa jajka pozostaje nienaruszona.

Indyk — mówi p. Rusin — to stworzenie potrzebujące zrozumienia i pieczołowitej opieki. To nie to, co potulna kura, rodzą od kilkunastu tysięcy lat współżyjący z człowiekiem i cywilizacją już na wskroś przesiąknięty. Indyki — trzeba pamiętać,

żyły dziko jeszcze jakieś 200-300 lat temu. Wciąż właściwie trudno jest je zaliczyć do ptactwa domowego. W porównaniu z kurami są kapryśne, nieobliczalne, delikatne i — tajemnicze. Wciąż mało się o nich wie. Obecny tryb życia, z półmiskiem jako celem ostatecznym, nie jest raczej zgodny z ich naturą.

Nie licząc indyków, jedynymi istotami zamieszkującymi obok p. Rusina *Cotton of Pitkenedy* są: para robotników, dwa wspaniałe, ujadające psy (złote „labradory”) i siedem kotów. A poza tym po 71 akrach gruntu, podzielonego ogrodzeniami na małe poletka, spacerują indyki w różnych stadiach rozwoju. Nawet wron nie ma, bo automatyczna karbidowa strzelba co jakiś czas wybuchami straszy szkodników.

P. Rusin nie ma bezpośrednich sąsiadów. Farma leży z dala od osiedli ludzkich. O jakieś sto metrów od budynków gospodarczych stoi parterowy dom, wybudowany, dowiadujemy się, przed paru dopiero laty. Komfortowe urządzenia, duży telewizor, łagodzą gorycz samotności. Co ważniejsze: p. Rusin posiada temperament dopasowany do tego trybu życia. Polityka emigracyjna go nie interesuje, prasa polska już dawno przestała do niego docierać. Luźny kontakt z innymi polskimi farmerami w Szkocji i korespondencja z dorosłym synem, zamieszkałym w Londynie, to jedyne nici łączności ze światem zewnętrznym.

Po skończonym dniu pracy studuje w domu postępy fermentacji kiszzonej trawy, z której wyrabiać ma zamiar — wino. Proces, jak dotychczas, przebiega pomyślnie i p. Rusin jest pewny, że eksperyment zakończy się pełnym sukcesem. Sam, jako rasowy wynalazca, cieszy się odkryciem bardziej niż ewentualnymi praktycznymi korzyściami.

Opuszczaliśmy *Cotton of Pitkenedy* o zachodzie słońca. Na pastwiskach, na specjalnych rusztowaniach indyki, na wpół drapieżne, na wpół swojskie, sadowiły się do snu.

Dundee

W Dundee z pewnym trudem odszukaliśmy Dom Kombatanta, na końcu wąskiej, stromej i ciemnej uliczki, zwanej *Magdalen Place*. Otoczenie i wyboisty dojazd oczekiwać każą jakiejs ponurej, zbójeckiej meliny, ale rozczarowanie jest raczej przyjemne: murowany, solidny dom oddzielony jest od ulicy zielonym ogródkiem; przy bramie szczeniak-jamnik wesoło obszczekuje przechodniów.

W dniu powszednie Klub jest nieczynny. W kuchni zastałiśmy gospodynię domu, kobietę przeraźliwie wychudłą, o per-

gaminowo-żółtej, ściągniętej twarzy. Mąż jej, kierownik domu, spał po powrocie z nocnej szyci w fabryce. Dom wewnątrz wygląda ubogo, a w dzień powszedni pusty, ciemny i milczący ma obsesyjnie ciężką, duszną atmosferę. Ludzie, których spotykamy, wydają nam się jacyś spłoszeni, niepewni co przynoszą ci niezapowiedziani przybysze z Londynu. Na brak uprzejmości i gościnności i tutaj nie możemy narzekać, ale jest to przychylność automatyczna i martwa, pozbawiona humoru i temperamentu. W Dundee nikt nam nie opowiadał kawałów, nie zauważyliśmy żadnych śladów polskiego animuszu, nikt nawet w rozmowie z nami nie podniósł głosu. Tylko „Prince” — jamnik, uganiał po pokojach i swój wyborny humor wyrażał piskliwym, szczenięcym ujadaniem.

Być może Dundee miało swój zły dzień, być może przyjęliśmy nie w porę. Wydaje nam się jednak, że dzień powszedni w Dundee tak właśnie wygląda. Panują tu nastroje kryzysowe. Większość miejscowych Polaków pracuje w fabrykach juty (czy, dokładniej, w fabrykach przeróbki juty), a w przemyśle jutowym panuje obecnie dość ostry kryzys. Produkcja spada, fabryki masowo zwalniają robotników, zaczynając oczywiście od cudzoziemców. W ten sposób straciło pracę kilku Polaków mieszkających w Domu SPK, z którymi rozmawialiśmy. Kryzys w fabrykach juty, stanowiących główny przemysł Dundee, pośrednio dotknął też ludzi zatrudnionych gdzie indziej, nawet właścicieli własnych przedsiębiorstw. Nie brak bowiem w Dundee Polaków zamożnych. Jak wszędzie, jest trochę polskich sklepów, kilku inżynierów-elektrotechników (którzy studia ukończyli na tutejszym uniwersytecie), jest nawet polski garaż. Miejscową Polonię oblicza się na ok. 300 rodzin, w tym wiele małżeństw polsko-szkockich. Inteligencja, która stanowi niecałe 10 procent ogółu, od tak zwanych „dołów” skupiających się w SPK raczej stroni. Najbardziej popularnym zawodem wśród inteligentów jest nauczanie. Paru Polaków wykłada na uniwersytecie, paru innych w szkołach na poziomie gimnazjalnym. Kilku, przeważnie mężczyźni około czterdziestki, studiuje jeszcze na tak zwanym *Training College* — który daje dwuletni kurs pedagogiczny. Są to przeważnie ludzie startujący w życiu już po raz drugi, a nawet trzeci: po zakończeniu wojny odpadł im zawód oficera, fach zdobyty w PKPR okazał się albo nieprzydatny, albo nieodpowiedni, wybrali więc zawód nauczycielski, korzystając z lokalnych stypendiów, chętnie udzielanych, gdyż w szkołach brytyjskich jest ciągle brak nauczycieli.

W Dundee spotkaliśmy też inteligenta, który swe życiowe kłopoty rozwiązał w bardzo niezwykły, pomysłowy i raczej

niepowtarzalny sposób. P. Tadeusz Wawro jest właścicielem wędrownej angielskiej biblioteki, której kwatery główna mieści się w Tayport, naprzeciw Dundee, po drugiej stronie zatoki, jaką tworzy ujście rzeki Tay. Co rano wyjeżdża stamtąd p. Wawro swym ciężarowym wozem i rozwozi Szkotom książki, jak mleczarz mleko. Często nawet nie spotyka się ze swymi klientami: z progu zabiera książki przeczytane, zostawia nowe. Doskonale zna czytanie i upodobania czytelników.

Na swój oryginalny pomysł wpadł p. Wawro jeszcze w obozie PKPR, gdzie, po zakończeniu kursów ogrodniczych w Findo Gask, na których był instruktorem, oddawać się musiał rozmyślaniom na temat własnej przyszłości. Jeszcze w obozie zabrał się do realizacji projektu. Pierwsze 200 tomów, używanych, zakupił w Perth, w miejscowym oddziale biblioteki „Booths'a”. Po oprawieniu i skatalogowaniu pierwszego zakupu, nabył następnych 600 książek i po-wojskowy „łazik”, którym przetransportował cały swój dobytek do Tayport, miejscowości znanej mu jeszcze z 1940 roku. W pierwszym tygodniu istnienia przedsiębiorstwa rozprosił 40 tomów, głównie wśród osobistych znajomych. Fama biblioteki na kółkach szła z ust do ust i co tydzień klientela wzrastała. Z końcem pierwszego roku wypożyczał 550 tomów tygodniowo. Dziś liczba ta doszła do 2.000.

Oczywiście, rozwój przedsiębiorstwa nie postępował tak gładko, jakby to wynikało z samych cyfr. Firma p. Wawro przechodziła przez szereg kryzysów. „Łazik” okazał się nieekonomiczny, podrywał finanse firmy. P. Wawro zmuszony był się go pozbyć i przez parę miesięcy roznosił książki piechotą w dwóch ciężkich walizach. Kupno motocykla na trzech kołach, do którego p. Wawro dorobił przyczepę z „szafką”, poprawiło sytuację. Dzisiaj p. Wawro jest właścicielem sklepu z domem, garażem i ogrodem, samochodu półciężarowego i biblioteki, składającej się z 10.000 tomów. Przyszłości się nie obawia. W tej części Szkocji wędrowna biblioteka p. Wawro jest już instytucją. Nie zagraża jej chyba nawet konkurencja ze strony telewizji.

Ale wróćmy do grupy inteligentów, którzy poszli drogą bardziej konwencjonalną. Rozmawialiśmy z paru nauczycielami-Polakami, którzy mówili nam, że nie zamierzają zrywać kontaktów ze społecznością polską, ale w pracę społeczną angażować się nie chcą. Trudno ich za to potępiać, ale przykro uderza fakt, że przy obfitości zawodowych pedagogów miejscowa Szkoła Sobotnia (a raczej niedzielna, bo lekcje odbywają się

tutaj w niedzielę), ma tylko jednego wykwalifikowanego nauczyciela.

Do Szkoły Sobotniej w ostatnim roku zapisanych było 40 dzieci. Przeciętnie na lekcje uczęszczało nie więcej niż 25. Jest to liczba bardzo mała, jeśli się weźmie pod uwagę, że na Św. Mikołaja w roku ubiegłym przyszło ich aż 170! W tym roku jednak, kiedy urządzono Św. Mikołaja tylko dla dzieci zapisanych do Szkoły i dzieci członków organizacji, cyfra spadła do około 60. Łatwo obliczyć, że co najmniej 75 procent dzieci nie jest nawet zapisanych do Szkoły Sobotniej. Powody tego są różne. Przede wszystkim duża ilość małżeństw mieszanych. Jak nas informowano, wiele Szkotek — żon Polaków — nie chce by ich dzieci były wychowywane na Polaków, lub uczone po polsku. Na tym tle powstają nieraz konflikty małżeńskie. Jedyne inteligentniejsze Szkotki potrafią zrozumieć problem dwujęzycznego wychowania dziecka. Inny powód, często spotykany, to obawa rodziców, by dodatkowa praca w Szkole Sobotniej nie wpłynęła ujemnie na postępy dzieci w szkole angielskiej. Rodzice bardzo często zabierają dzieci ze Szkoły Sobotniej gdy zbliżają się egzaminy konkursowe w wieku lat 11 (tzw. *Eleven-Plus*). Zdarza się też, że ciężkie warunki materialne i mieszkaniowe utrudniają posyłanie dziecka do polskiej szkoły. W ogóle wychowanie dzieci w wielu rodzinach polskich nie przedstawia się najlepiej. Pogoń za pieniądzem, ciężka harówka nie pozostawiają czasu ani chęci na staranne zajęcie się dziećmi. W małżeństwach polsko-szkockich zapracowany mąż zostawia wychowanie dzieci całkowicie w rękach swej szkockiej żony.

Określenie przynależności klasowej niektórych Polaków jest czasami dosyć skomplikowane. Poznaliśmy byłego oficera, nieukończonego prawnika, który ożeniwszy się ze Szkotką, pracuje obecnie jako tapicer. Praca ta, mówi, nie jest odpowiednia dla człowieka z jego przeszłością, ale nabity banknotami portfel, którym „zaświecił” nam przed oczyma, łagodzi poczucie zdeklasowania i upokorzenia. Zresztą pan ten co sobotę odrywa się od foteli, kanap i żony Szkotki, bierze strzelbę, jedzie do niezbyt daleko położonego Glamis Castle i tam w posiadłościach Earla Strathmore, kuzyna królowej, poluje na bażanty.

Życie społeczne w Dundee nie wygląda budująco. Ujemnie wpływa tu odizolowanie się inteligencji od reszty Polaków, ciąży też przeszłość. Z aluzji, z lakonicznych odpowiedzi, dowiedzieliśmy się coś niecoś o dawnych kłótniach, nadużyciach, awanturach z policją. Rodaków łatwo spotkać w czasie *week-end*u przy barze w Domu SPK. Prócz Polaków miejscowych przychodzą tu też rybacy z Kraju, których kutry często w Dundee

zarzucają kotwicę. Rozmowy pomiędzy rybakami i emigrantami nawiązują się łatwo — mieszkańcy Dundee dawno już wyzbyli się oporów psychicznych w stosunku do przybyszów. Miejscowi Polacy wypytyują o rodzinne strony, rybacy o ceny na szkockich rynkach.

Brak jest zupełny polskich rozrywek kulturalnych. Londyn wydaje się tu odległy o całe światy, a Edynburg promieniuje zbyt słabo. Dociera stamtąd tylko plk. Morbitzer ze swoim magnetofonem. Ulubioną rozrywką miejscowych Polaków jest rybołówstwo, — zajęcie niewątpliwie pełne uroków, ale niezbyt uspołeczniające.

Byliśmy w Dundee na parę dni przed obchodem dziesięciolecia miejscowego Koła SPK. Zapowiedziano przyjazd delegata z Londynu. Duża sala na parterze, w której zaofiarowano nam nocleg, wyglądała już odświętnie. Przez środek ciągnął się rząd zestawionych stołów, na ścianie ponad telewizorem wielkie godło SPK obramowane było trójkątem żarówek. Milczące ściany gotowe już były do przyjęcia podniosłych, patriotycznych słów, do wysłuchania nieodzownych życzeń „dalejszej owocnej pracy”.

Tunelarze

Z „tunelarzami” spotkaliśmy się po raz pierwszy na łamach *Kultury* w noweli Czesława Dobka „Free Country”. Zainteresowani, dopytywaliśmy się o nich w Szkocji wszędzie. Opowiadano nam o zupełnym zdzczeniu tych ludzi, o niezrozumiałym żargonie jakim się posługują. Nikt natomiast nie potrafił nam powiedzieć gdzie dokładnie mamy ich szukać. Otaczająca ich mglista legenda umocniła nas tylko w postanowieniu dotarcia do któregoś z wysoko w szkockich *Highland*'ach położonych obozów tunelarzy. Pomógł nam znowu przypadek. W Dundee, w Domu SPK, spotkaliśmy Ukrainca, który właśnie rzucił pracę w tunelach; pokłócił się, mówił nam, o pobory. Opowiadanie jego roflo się rzeczywiście od dziwnych, niezrozumiałych słów; mówił nam o „lokach” i „imkach”, o „szyłbosach” i „tanel-bosach”, o „mokowaniu” skarżył się, że nie chcieli mu dać „sabsystens”. Brzmiało to egzotycznie i zachęcająco. Co więcej, dowiedzieliśmy się, gdzie mamy jechać.

Szkockie *Highland*'y roją się od bystrych, górskich strumieni i rzek. Już w roku 1948 rozpoczęto prace nad realizacją gigantycznego planu wyzyskania tej wodnej energii. Drażone w skałach tunele zbierają samopas dotychczas płynącą wodę

a rurociągi sprowadzają ją do turbin. Uzyskana stąd elektryczność tak jest tania, że w przeciągu kilku miesięcy zwracają się milionowe koszty konstrukcji. Po ukończeniu jednego projektu, obozy przenoszą się do innej części Szkocji i robota zaczyna się od nowa.

Nasz rozmówca skierował nas w okolice Killin, w zachodniej części Perthshire, gdzie w obozie zwanym *Mitchell's Camp* pracuje, jak mówił, spora ilość Polaków.

Jechaliśmy przez *Highland*'y mokre i mgliste; intensywnie zielone, gdzieśgdy rude od wrzosowisk. Minęliśmy lustrzane jezioro *Loch Tay* i w Killin skręciliśmy w boczną, wyraźnie nową drogę, biegnącą w górę doliny *Glen Lochay*, tuż obok hałaśliwego górskiego potoku. Droga była tak wąska, że minąć się można było tylko na specjalnie w tym celu zrobionych mijankach, odległych od siebie o jakieś 100 metrów. Napotkaliśmy pierwsze ślady prowadzonych prac. Minęliśmy spuszczone stromo z gór, ceglastej barwy, pękaty rurociąg o średnicy około 2 metrów, spotykaliśmy wielkie, z fantazją prowadzone ciężarówki. Obok nas potok coraz bardziej dziczał; gwałtownie zlatywał wodospadami z kamiennych progów, to znów w rozpadlinach skalnych rozlewał się w czarne, ciche bajora. Góry, dotychczas zalesione, wyłysiały. Zobaczyliśmy obóz.

Poszliśmy najpierw do *labour manager*'a. Dowiedzieliśmy się od niego, że na ponad 300 zatrudnionych tu robotników jest 80 Polaków. Pierwszy rodak, jakiego spotkaliśmy, wyróżniał się przede wszystkim użębieniem, stanowiącym chyba kres możliwości ludzkich w tym kierunku. Kilka takich szerokich, biało-żółtych kaffli, zappełniłoby bez reszty normalną jamę ustną. Polaków, powiedział nam, możemy spotkać w jadalni w czasie kolacji, lub, jeśli wolimy, przy tunelu, o tysiąc stóp wyżej. Poszliśmy do tunelu.

Trzy zygzaki błotnistej serpentyny, doprowadziły nas do rozkopu, stanowiącego przedpole tunelu. Z tej wysokości, pomalowane na zielono „beczki śmiechu” z karbowanej blachy wyglądały jak martwe, pokrajane gąsienice. W baraku, u wejścia do rozkopu, huczały jakieś maszyny. Zagadnięty przez nas mechanik w zasmarowanym kombinezonie okazał się, zgodnie z prawami gry, Polakiem. Maszyny, przy których pracuje, sprężają powietrze do hydraulicznych świdrów. Inni Polacy znajdowali się jeszcze „przy twarzy” (czyli „na fejsie”) odległej od wylotu tunelu o dwa kilometry. Z zewnątrz widzieliśmy tylko zalaną wodą czarną jamę, okapującą z pułapu, i ginący w dali rząd jarzących się światełek. Obok otworu stało kilka wagoników; na jednym z nich rzucało się w oczy wielkimi kulami

wypisane kredą nieprzyzwoite anielskie słowo. Znaleźliśmy drugiego Polaka, zwanego tutaj ze względu na spełnianą funkcję *Powder Monkey* — czyli „Prochowa Małpa”. Do *Powder Monkey* należy kontrola uzbrajania i wydawania *jelly* — materiału wybuchowego. P. Maluty, jak się w innym świecie nazywa *Powder Monkey*, przez szereg lat pracował „na fejsie”, aż kiedyś, nalykawszy się gazu, poważnie zachorował. Po przyjsciu do zdrowia, dostał swą obecną, o wiele już lepszą pracę.

Gaz i kamienny pył stanowią główne niebezpieczeństwo roboty w tunelu. W momencie wybuchu, przy samej „twarzy” powietrze jest czyste, ale nieco dalej tworzy się ściana pyłu i gazu. Jadąc przez nią na *loco*, trzeba sobie zatkać nos i usta. Pewną ilość kamiennego pyłu trzeba też połknąć przy wierceniu dziur na naboje dynamitowe. Niektórym wydaje się to służyć, spotykaliśmy Polaków — okazy kwitnącego zdrowia, ale widzieliśmy także ludzi o szarych twarzach i wygasłych oczach. Dodatkowe niebezpieczeństwa, to obrywające się ze stropu głązy i słabo chronione przewody wysokiego napięcia. Uważać trzeba tym bardziej, że tunelarze nie mają własnego związku zawodowego, który użerałby się z pracodawcą o odszkodowanie. Przy akordowej, pośpiesznej pracy wypadków jest sporo. Na przestrzeni ostatniego roku dwóch Polaków poważnie pokaleczonych odwieziono do szpitala, a niedawno jeden z niezbyt licznych tu zresztą robotników szkockich został śmiertelnie porażony prądem.

Doczekaliśmy się powrotu całej szycy, w której większość stanowią Polacy. Ubrudzeni i zmęczeni, w hełmach i ogromnych buciorach, pełni byli jednak rubasznego humoru, a naszą wizytę przyjęli z wyraźnym zadowoleniem. Całą grupą zeszliliśmy do obozu.

Prawie wszyscy nasi nowi znajomi to weterani niejednego już tunelu. Większość rozpoczęła pracę 10 lat temu. Na początku o wiele łatwiej było zapracować na *bonus*. Polacy imali się oczywiście najlepiej płatnej, a więc i najcięższej pracy. Na fejsie zarobić można dobrze dzięki temu, że *bonus* wzrasta progresywnie z każdą stopą tunelu wybitą ponad tygodniową normę. W roku 1948 norma ta wynosiła 45 stóp, obecnie wzrosła do 120, a w rozpoczętych właśnie robotach w Walii ustalona została na 190. Podobno za podwyższenie normy odpowiedzialni są Polacy, którzy potrafili wyrabiać *bonusy* nieprawdopodobnej wprost wysokości. Nawet teraz, pracując w wyłącznie polskiej szycie, wyrabiającej zamiast 120 — 180 stóp tunelu na tydzień, dostać można od £ 25 do £ 30 na rączkę, na czysto. Są dwie zmiany, dzienna i nocna, pracujące po 12 godzin każda. Dziwny

choć może zrozumiały paradoks, że to właśnie tutejszy kapitalistyczny system wytworzył wręcz klasyczny typ polskiego stachanowca, podczas gdy w kraju wydajność robotnika jest tak zastraszająco niska. Wysokie zarobki są oczywiście główną atrakcją pracy w tunelach. Dla niektórych ważne jest także i to, że tunelarzom nikt do duszy nie zagląda. Jeden z Polaków, z podziwu godną szczerością opowiedział nam jak będąc jeszcze w wojsku, po pijanemu zgwałcił młodą Angielkę. Odsiedział za to parę lat, a mając trudności ze znalezieniem pracy po wyjściu z więzienia, poszedł na tunelarza. Tutaj panuje całkowita anonimowość.

Jedyny polski *tunel-boss* to Henry (wymawiany 'enry), człowiek bez nazwiska. Inni nie mają nawet imion — znani są z nadanych im przez kolegów przydomków. Dowcipny i gadatliwy McGregor — to w rzeczywistości p. Skorupa, przed wojną reporter sportowy „Ekspressu Krakowskiego”. Ku swemu zdumieniu znajdujemy tu także „Partyzanta” i „Warszawiaka” — ludzi, którzy o Hłasce i „Następnym do raję” nigdy nie słyszeli.

Polscy tunelarze to przeważnie dawni żołnierze, z różnych oddziałów i różnych stopni, od strzelca po majora. Różnice pochodzenia, rangi i wykształcenia wydają się tu zacierać. Tunelarze tworzą społeczność prawie bezklasową. Istnieją natomiast pewne antagonizmy pomiędzy grupami narodowościowymi. Irlandczycy mają pretensję do Polaków, że pracują zbyt intensywnie, przyczyniając się do podwyższenia norm. Polacy uważają Irlandczyków za leniwych i brudnych. Mieszkanie na wspólnych salach po dwadzieścia do trzydziestu osób stwarza najróżnorodniejsze tarcia. Jako przykład lenistwa, opowiadano nam, że niektórzy Irlandczycy powycinali sobie w blaszanej ścianie na wysokości łóżka otworki opatrzone klapkami, żeby móc się wysiusiać, nie wstając z barłogu. W rzadkie dni kiedy przygrzewa w Szkocji słońce, smród irlandzkiego moczu wędruje pomiędzy barakami, drażniąc, delikatniejsze widocznie, polskie nozdrza.

Foremen'i i *szyft-bos'i* mieszkają w tak zwanych „kubikach”, i może dlatego Henry, ogólnie tu szanowany, ma poprawne stosunki ze szkockimi i irlandzkimi kolegami. Na kolację zaproszeni zostaliśmy do stołówki *foremen'ów*. Przysiadł się do nas Irlandczyk, chłop-olbrzym, szczerbaty, obśliniony, i dobrze już podpity — był to akurat dzień wypłaty. Dowiedziawszy się kim jesteśmy przedstawił się szarmancko, ręką szeroką jak patelnia poklepał nas po plecach i zaprosił do baru. Polacy — mówił — są mimo wszystko *all-right*, szczególnie Henry.

Grupy Polaków pracują i w innych obozach. Wśród robotników wierzących tunel z przeciwnego stoku góry są dwie szczyty czysto polskie. Tak więc z dwóch stron góry — dwie partie Polaków przekopują się ku sobie. Spotkanie nastąpić ma za 4 miesiące. Potem tunelarze zatrą za sobą ślady, zasieją rozorane zbocza trawą — bo kontrakt zastrzega że góra pozostać ma taka jaką ją zastali — i zapewne przeniosą się dalej, dziurawić inne szkockie góry. Nie martwią się o przyszłość. Mówią nam, że praca w tunelach nigdy się nie skończy.

Pisząc, czy choćby myśląc o tunelarzach, wystrzegać się należy gotowych, fikcyjnych wzorów. Łatwo jest spojrzeć na nich oczyma Hłaski, lub Clouzot'a z filmu „Cena strachu”, czy wyobrazić ich sobie jako typowych amerykańskich *tough-guy*ów. Faktem jest, że niebezpieczna praca i odcięcie od „cywilizacji” wytwarza specyficzną atmosferę, pełną brawury, krzepy i rubasznego humoru. Pamiętać jednak trzeba, że trwa to pięć i pół dnia na tydzień. W sobotę po południu tunelarze wsiadają do swoich, eleganckich często samochodów, i rozjeżdżają się do miast, nieraz do własnych domów i rodzin. W parę dni później, w niedzielę, odwiedziliśmy w Glasgow p. Glezmana, mechanika z *Mitchell's Camp*. Państwo Glezmanowie urządzają sobie właśnie niedawno kupiony dom. Dużo czasu spędzają przed swoim telewizorem, częstym gościem jest u nich miejscowy proboszcz, ks. Gruszka. Co najmniej przez półtora dnia na tydzień p. Glezman prowadzi życie typowego mieszkańca. Nie jest to na pewno wypadek sporadyczny. Większość tunelarzy, to nie wyrzutki społeczeństwa, lecz ludzie, którzy dla własnych, indywidualnych celów, wybrali ten ciężki ale dobrze płatny zawód.

GLASGOW

*You go.
I go.
Bus go.
Glasgow.*

W taki to niegramatyczny sposób mieli podobno, prawie dwadzieścia lat temu, żołnierze polscy zapraszać napotkane Szkotki na przejażdżkę do Glasgow — zanim nauczyli się poprawnej angielszczyzny.

Bo Glasgow to pod wieloma względami fascynujące miasto.

Żadne inne miasto szkockie, ani angielskie, nie przyjmowało Polaków tak gościnnie, tak okazale i tak czule — kiedy tu zawitali jako obrońcy i rycerze nie z tej wręcz planety, ze swoimi manierami wielkoświatowych donżuanów i donkiszotów, ze swym całowaniem rączek, elegancją i tym rozbrajającym błagierstwem, w które gdyby uwierzyć, to trzeba by przyjąć, że w Polsce od czasów Mieszka nie było ani chłopów, ani robotników, ani mieszczan, ani urzędników, tylko sami hrabiowie, dziedzice, barony, książęta i trony.

Trzeba przyznać, że mieszkańcy Glasgowa, to rzeczywiście pod wieloma względami typ ludzi rzadko spotykany w W. Brytanii, poza Walią. Nie cechuje ich ani powściągliwość w mowie i wyrażaniu uczuć, ani rezerwa w obejściu. Są bezpośredni, uczuciowi, nawet hałaśliwi. Zresztą, duży procent tego ponad milionowego miasta stanowią Włosi, Irlandczycy lub ich potomkowie.

Stąd jest zrozumiałe, że właśnie pobyt w Glasgowie wspomniany jest przez wielu byłych żołnierzy jako okres wiatatów i glorii. Ale czy warto raz jeszcze sięgać w czasy tak zamierzchłe? Czy warto przypominać, jak to burmistrz miasta chlubił się w swych przemówieniach, że dane mu kiedyś było pracować w kopalni z dwoma Polakami ze starej emigracji, a któreś pismo codzienne drukowało specjalne wydanie dla żołnierzy polskich z wiadomościami w języku polskim? Lub, czy warto przypominać w 2.000 nakładzie rozchodzący się tygodnik polsko-szkocki „The Clasp of Friendship” — „Ogniwo Przyjaźni”, ukazujący się następnie już tylko w języku angielskim jako „The Voice of Poland” (aż do roku 1947!)¹. Czy warto pisać o koncertach Chóru Wojska Polskiego, stanowiących wydarzenia kulturalne sezonu i o setkach przemówień w jakich Glasgow w osobach swych przedstawicieli szczylił się ze swych gości i zapewniał ich o dozgonnej przyjaźni?

I miasta bywają kapryśne, i one mają swoją „krótką” pamięć, która jak wszystko ludzkie, szybko się zaciera. Dzisiejsza rzeczywistość jest inna. A była jeszcze inna. Był moment, kiedy na murach miasta pojawiły się napisy: *Poles, go home!*

Obecnie problem polsko-szkocki istnieje jedynie jako problem paru tysięcy małżeństw polsko-szkockich². W Glasgowie mówiono nam, że ostatnio wielu Polaków żonatych ze Szkotkami zaczęło żałować, iż nie przewidziało polskiego października i przyjazdów Polek z kraju³.

1. Redagowane i wydawane przez panią Jadwigę Harasowską. Działalność wydawniczą p. Harasowskiej stanowczo warto jest przypomnieć. Jej dziełem była „Książnica Polska”, firma wydawnicza i księgarnia. Ukazało się w niej nie tylko wiele broszur w języku ang. i albumów o Polsce, ale cały szereg książek polskich, w tym przedruki niektórych klasyków. Firma zakończyła działalność w r. 1954. Przyczyniła się ona znacznie do zrozumienia polsko-szkockiego, a Polakom spragnionym książki w okresie wojny i tuż po wojnie dostarczyła dobrej polskiej lektury.

Jako ciekawostkę warto dodać, że redakcja „Voice of Poland” organizowała w Glasgowie różne imprezy kulturalne, w tym koncert muzyki Chopina, w tej samej sali, „tego samego dnia” i o tym samym programie, co koncert dany tu przez Chopina w 1848 r.

2. Wg. danych „Annual Report of the Registrar for Scotland” (1946) do r. 1945 włącznie zawartych zostało 2.334 małżeństw mieszanych w Szkocji. Od tego czasu liczba małżeństw mieszanych musiała się znacznie zwiększyć (prawdopodobnie podwójnie), ale wiele z tych małżeństw opuściło W. Brytanię.

3. Podobno pierwsze małżeństwo polsko-szkockie miało miejsce właśnie w Glasgowie, dn. 15 lipca 1940 r. A oto opis jak do niego doszło: „Stanisław przybył do Szkocji 23 czerwca 1940 r., po kapitulacji Francji. Na dancingu spotkał Mary i wbrew tradycji szkockiej, lecz zgodnie z polsko-wiedeńską — po tańcu ucałował jej rękę. Na ten gest rycerski Mary odpowiedziała odruchowo, całując dłoń podchorążego Stanisława, sądząc, że

Nie pozbawionym ironii jest fakt, że właśnie w Glasgowie spotykamy Polaka, byłego żołnierza I Korpusu, pałającego wprost chorobliwą nienawiścią do Anglików, Szkotów i wszystkiego co angielskie. Prosty ten człowiek chodzi do tutejszego konsulatu warszawskiego na przyjęcia i imprezy kulturalne. Opowiedział nam jak na jednym z takich przyjęć jakiś rodak zaczął się krytycznie wyrażać o Polsce i Polakach a on podszedł do konsula i powiedział, że takiego drania to się powinno wyrzucić za drzwi, aby nie bezcześcił tego „skrawka ziemi polskiej”! Obecnie nosi się z zamiarem sprzedania swego sklepu wyrobów skórzanych aby z kapitałem wrócić do Polski. Próbujemy dowiedzieć się przyczyny tej ostrej anglofobii, szczególnie, że powiodło mu się całkiem niezle. Ale doprowadzamy go tylko do wściekłości i zostawiamy za kontuarem powtarzającego w kółko: „Bo ja wam mówię! To są g...rze! g...rze!”. Mentalność jego przypomniła nam trochę — oczywiście na niebotycznie niższym poziomie — stosunek do Anglików Stanisława Mackiewicza.

Wróćmy jednak do Glasgowa. Okolice, wśród których jest położony, należą do najpiękniejszych w Szkocji. Stąd tym mocniejsze jest wrażenie kontrastu gdy wjeżdżamy w to ogromne, brzydkie, brudne, portowe miasto — miasto-dżungłę. Czarne od sadzy gmachy, zaśmiecone ulice, ponure, stare wnętrza kamienic, smrodliwe slumsy, podłe restauracje i wrzaskliwe knajpy, zgrzytliwe tramwaje, ciągłe zatory uliczne, niezliczona ilość uliczek jednokierunkowych — oto cechy rzucające się w oczy. Dodajmy jeszcze, że jest to miasto o jednym z najwyższych procentów przestępczości, i — co w W. Brytanii jest raczej rzadkością — upijające się w piątki i soboty w sztok. Nie sposób wprost przejechać ulicą; pijane pary ściskają się na środku jezdni, zalani robotnicy szukają oparcia w przejeżdżających autach, na rogach ulic ciężko zataczają się dziewczyny lekkich obyczajów, z barów bucha woń piwa i whisky i wrzaskliwe irlandzko-szkockie unisona.

Ale i w samym mieście występują znaczne kontrasty. Są tu i piękne parki i wspaniałe budowle, doskonałe boiska sportowe, piękna galeria sztuki, okazały uniwersytet, biblioteki, nie brak czystych i ładnych dzielnic mieszkaniowych.

Poza tym Glasgow jest fascynujący pod innym jeszcze względem: jest to miasto szalenie dynamiczne, może najbardziej

takie zwyczajnie panują na kontynencie... Odbyło się to tak nieoczekiwanie, że Stanisław nie zdążył przeciwdziałać. Stało się.

„Po dancingu Stanisław wrócił do koszar i tu obwieścił kolegom, że zaręczył się...”. A. Zubrzycki — „Dziennik Polski”, 20 paźdz. 1948. Taka więc to legenda owiewa pierwsze polsko-szkockie małżeństwo.

„amerykańskie” z miast brytyjskich, ambitne i dumne. Jakżeż z góry patrzy się tu na snobistyczny, anemiczny Edynburg! I to ma być stolica Szkocji? Stolicą Szkocji powinien być Glasgow. Paradoks, ale Glasgow ma silniejsze tendencje seperatystyczne w stosunku do Edynburgu, niż Edynburg w stosunku do Londynu (np. katolicki arcybiskup Glasgowa nie uznaje zwierzchności arcybiskupa Edynburga — stąd też parafia polska w Glasgowie nie podlega Polskiej Misji Katolickiej w Edynburgu, a stanowi jednostkę samodzielną, bezpośrednio podległą duchownym władzom glasgowskim).



Można by przyjąć jako zasadę, że skupiska polskie upodabniają się na ogół do środowisk w jakich żyją. Nie jest to zresztą odkrycie jakiejś nieznannej socjologicznej prawdy, chociaż warto dodać, że spostrzeżenie to stosuje się tylko tam, gdzie Polacy nie tworzą zbyt wyraźnego i hermetycznego getta.

Polskie skupisko w Glasgowie to także mała dżungla. Polaków jest tu może 800, może trochę mniej, ale chyba nie 1.200, jak nas ktoś, uniesiony lokalnym patriotyzmem, informował. Jest to jedno z ciekawszych skupisk polskich jakie poznaliśmy: bardzo różnorodne, dynamiczne, na ogół pewne siebie, na ogół robiące pieniądze. Jak nam także zwrócono słusznie uwagę⁴, jest to środowisko nacechowane dużym krytycyzmem tak wobec Polski przedwojennej jak i wszelkich autorytetów (szczególnie wojskowych) i uchodzące w opinii działaczy społecznych spoza Glasgowa za teren „trudny”.

Opisać pełnię życia tego środowiska — na to trzeba by wielu stron, nie mówiąc już o tym, że aż prosi się o pióro powieściopisarza lub nowelisty⁵.

Zaczęliśmy poznawanie tego skupiska raczej nieortodoksyjnie: od młodej Szkotki, żony miejscowego Polaka. Mrs. Kowalska — aby ją tak nazwać — pracuje w transporcie miejskim. Akurat właśnie wróciła z pracy i nie zdejmując nawet munduru zajęła się nami (zgodnie z przysłowiową gościnnością Glasgowian). Spodziewała się nas z dnia na dzień i strasznie się cieszy, że nie przyjechalśmy pięć minut wcześniej, kiedy nie było jej jeszcze w domu. Musimy napić się herbaty i coś zjeść. Co by

4. Por. J.P. Dąbrowski — „W Glasgow czy w Glasgowie”, *Kultura*, Nr 3/137. Marzec 1959, str. 112.

5. Jak dotychczas, jedynym pisarzem, który temat ten eksploatował, jest Czesław Dobek. Mieszkał on przez długi czas w Glasgowie, gdzie pracował jako krawiec. W r. 1958 przeniósł się do Londynu.

to siostra jej męża powiedziała, gdyby się dowiedziała, że puściła nas głodnych. Czy podoba nam się Szkocja? A Loch Lomond? Jest zachwycona Loch Lomond, rzeczywiście pięknym jeziorem o kilkanaście tylko mil od Glasgowa. Nastawiła czajnik z wodą na herbatę, ale tak się rozgadała, że zapomniała zapalić gaz. Przypomniawszy sobie, zapaliła gaz, nakroiła szkockiego ciasta, obok położyła dwie paczki papierosów. Woda mało się nie wygotowała, zanim dowiedzieliśmy się, że pani Kowalska uczy się od siostry swego męża kuchni polskiej i że chciałaby się nauczyć mówić po polsku, żeby jej „Jasiek” więcej z nią rozmawiał. Ale nie ma chyba trudniejszego języka na świecie! Z gotowaniem też nie najlepiej sobie radzi: jej mąż jest najszczęśliwszy kiedy przyjeżdża jego siostra i gotuje bigos. Rozmawia z nią wtedy całymi dniami. Widać, że pani Kowalska zazdrosna jest trochę o te rozmowy.

Dostajemy wreszcie herbatę. Pani Kowalska pije i je razem z nami, stojąc i ciągle mówiąc. Wysłuchujemy długiej i zawilej historii o dwóch papużkach, które skrzecząc przelatują nad naszymi głowami, jak i o tym, że pani Kowalska należy do Koła Polek i że tutejszy konsul jest człowiekiem bardzo miłym. W tej chwili jest chyba jedyną Szkotką w Kole Polek, były inne, ale się obraziły, bo Polki, nie znając języka angielskiego (*imagine!* — mówi pani Kowalska, po tylu latach pobytu w Wielkiej Brytanii!), prowadziły zebrania tylko po polsku. Koło Polek zajmuje się wysyłaniem paczek do Polski. Dowiadujemy się także, że w Glasgowie są dwa kluby polskie: SPK i Dom im. gen. Sikorskiego. Ona z mężem woli ten drugi, bo jest bardziej *respectable*. Jasiek chodzi czasami sam do Klubu SPK, ale ona tego nie lubi.

Podziękowaliśmy serdecznie za przyjęcie i zaczęliśmy się żegnać. Trwało to dosyć długo. Kiedyśmy wyszli, potok wymowy przemilej Glasgowianki rozlał się za nami po korytarzu, dogonił nas przy aucie i szumiął wbrew warkotowi motoru. Położyliśmy mu tamę, ruszając na pełnym gazie.

Pojechalіśmy do Klubu SPK.

Klub SPK

Mieści się on w dużym budynku niezbyt daleko od centrum miasta. Wchodzimy w chłodny korytarz, na ścianach wiszą stare, pożółkłe komunikaty i ogłoszenia miejscowych polskich krawców, fryzjerów, sklepów. Wnętrze jest porządnie utrzymane, ale mimo to nie robi wrażenia czystości: w powietrzu pachnie zbutwiałym

drzewem. Jadalnia jest duża, ale brzydka i trochę ponura. Dom wydaje się zupełnie pusty. Spotykamy wreszcie jakiegoś głuchego Polaka, który po dłuższych próbach zrozumienia o co nam chodzi, mówi że mieszka w tym domu i że kierownik będzie dopiero wieczorem. Idziemy więc do Domu im. gen. Sikorskiego, który — co było zresztą do przewidzenia — znajduje się na przedłużeniu tej samej ulicy.

Zastajemy gospodarza Domu. Jest to starszy już pan, schorowany, bardzo spokojny i uprzejmy. Daje nam nieco informacji ogólnych, ale radzi, przede wszystkim, porozmawiać z inżynierem Kotem, który, jak twierdzi, zna Polaków w Glasgowie lepiej niż ktokolwiek inny i już od wielu lat jest tu jednym z głównych działaczy społecznych. Obiecuje zaaranżować nam spotkanie na wieczór następnego dnia, gdyż inżynier pracuje w miejskiej korporacji i dnie ma zajęte. Dowiadujemy się także, że w Domu nie będziemy mogli otrzymać noclegu, gdyż wszystkie pokoje (jest ich 20) są wynajęte miejscowym Polakom.

Wracamy do Domu SPK i jemy kolację, smaczną ale nieco drogą. Do jadalni zaczynają się powoli schodzić ludzie, otwiera się bar. Zjawia się też Kierownik Klubu. Jest to wysoki, rumiały mężczyzna, kawaler. Robi na nas wrażenie szarmanckiego kawalerzysty z tendencją do koloryzowania. Jego stosunek do dziennikarzy nie konieczne dobrze świadczy o tej profesji. A może po prostu pan Kierownik zwykł jest wszystkie sprawy załatwiać przy kieliszku whisky. Dostyc na tym, że natychmiast stawia nam parę kolejek i z werwą roztacza przed nami obraz polskiego życia w Glasgowie. Z jego opowiadania wynika jasno że rządy w Polonii glasgowskiej sprawuje on. Prowadzenie Klubu z wyszynkiem w Glasgowie nie jest zadaniem łatwym, ze względu na różny element. Trzeba mieć zaufanie policji, a on je ma. Dawniej, zanim jeszcze został Kierownikiem, policja robiła na Klub raidy, teraz to się nie zdarza. Pijaków w Klubie pan Kierownik nie toleruje: upijających się najpierw ostrzega ustnie, za drugim razem pisemnie, gdy to nie skutkuje — skreśla z listy członków. Twierdzi, że wyrzucił już dwudziestukilku!

Klub prosperuje dobrze. Jest co prawda ostatnio „konkurencja” ale... pan Kierownik macha ręką. Pytamy o funkcjonowanie Koła SPK. Otrzymujemy odpowiedź, że Koło SPK właściwie mało się liczy, liczy się Klub. Na walne zebrania Koła przychodzi 17-20 osób; na zebrania Klubu — 100. Koło liczy 150 członków, Klub — 240!

Dysproporcja ta tłumaczy się częściowo tym, że do Klubu należeć mogą także Szkoci — statutowo jedna trzecia członków.

Ale nawet bez Szkotów Kluby są na ogół instytucjami bardziej żywotnymi niż Koła SPK. Jest to zjawisko naturalne: zainteresowanie sprawami Klubu jest zainteresowaniem rzeczami konkretnymi: Domem, finansami, otrzymaniem „dobrego” kierownika, rodzajem sprzedawanych posiłków, a przede wszystkim możliwością wypicia i zabawienia się. Koła SPK, z punktu widzenia wielu członków Klubu, stają się coraz bardziej czymś w rodzaju niepotrzebnej przyczepki, która — co gorzej — pochłania pieniądze na — nie przynoszące oczywistych rezultatów — imprezy społeczno-kulturalne⁶.

Kierownik jest w Glasgowie postacią „kluczową” pod innym jeszcze względem: jak w wielu ośrodkach tak i tu istnieje tak zwany Komitet Koordynacyjny, skupiający przedstawicieli organizacji polskich na tym terenie. Tylko, że w Glasgowie do Komitetu Koordynacyjnego wchodzi nie delegaci poszczególnych organizacji specjalnie w tym celu wybierani, lecz ich prezesowie. A więc bywa, że jeden prezes reprezentuje dwie organizacje. Poza tym, skład Komitetu rzadko się zmienia: prezesi bywają „dożywni”. Kierownik tłumaczy nam, że takie rozwiązanie jest jednak lepsze. Usprawnia działalność Komitetu: prezesi nie muszą się już do nikogo odwoływać przy pobieraniu decyzji. Eliminuje także problem wynajdywania przez mniejsze organizacje jeszcze jednej osoby na jeszcze jedną funkcję. Przewodniczący Komitetu zmienia się co trzy miesiące. Natomiast stałym sekretarzem jest Kierownik.

Jakie są główne organizacje polskie w Glasgowie? Jest ich mniej niż w Edynburgu; poza tym jednak nazwy się powtarzają: A więc jest tu Związek Inwalidów, Związek Rzemieślników, Samopomoc Marynarzy, Akcja Katolicka, Skarb Narodowy „Zjednoczenia” i słabiotko funkcjonujący Skarb Narodowy „Zamku”, Sekcja Studiów Wojskowych, Towarzystwo Polsko-Szkockie i jeszcze parę innych. Działalnością czysto kulturalną zajmuje się Towarzystwo Przyjaciół Kultury, nazywane w skrócie „Kultura”. Jest także kilka raczej mikroskopijnych kół partii politycznych, takich jak SN, NID, PSL i PPS.

Mówiąc o tym Kierownik wstał od stołu i za chwilę wrócił z młodym, krępy męczyzną w rozchełstanej koszuli, który przedstawił się nam jako p. Półtorak. Kierownik postawił nam jeszcze jedną kolejkę whisky, p. Półtorakowi „kazał” zrobić to samo i przeniósł się do innego stolika, gdzie dosyć wesoło urzędowała nad kieliszkami grupa jakichś Szkotów.

6. Na ten temat piszemy bardziej szczegółowo w drugiej części książki.

P. Półtorak okazał się jednym z głównych eks-działaczy PPS w Glasgowie. Według jego informacji miejscowe Koło PPS właściwie się „rozleciało”. To określenie nie jest całkiem ściśle: p. Julian Frączek, zasłużony działacz Koła zwrócił nam uwagę, że w rzeczywistości Koło zawiesiło jedynie działalność zewnętrzną, ale nadal istnieje. Jakiegokolwiek jednak użyjemy określenia, pozostaje faktem, że w czasie naszego pobytu w Glasgowie i mniej więcej od roku (uchwała walnego zebrania o zawieszeniu wystąpień zewnętrznych miała miejsce 18 listopada 1957 roku) Koło znajdowało się w stadium kryzysu.

Te informacje były dla nas o tyle nieoczekiwane, że wiedzieliśmy, iż Koło w Glasgowie było jednym z bardziej dynamicznych kół PPS w W. Brytanii. Liczyło około 50 członków, miało dobre stosunki z miejscową *Labour Party*, wydawało przez pewien czas powielany biuletyn dosyć zadzierzysty w tonie pt. „Wolna Trybuna” i wspólnie z miejscowym oddziałem Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych prowadziło akcję odczytową. Członkowie Koła niejednokrotnie wchodziłi do władz PPS w W. Brytanii.

Przez pewien czas członkiem Komitetu Głównego PPS w W. Brytanii był także i p. Półtorak. Z jego jędrnie i otwarcie, choć chaotycznie opowiedzianej historii wynikało, że głównymi powodami kryzysu były: sojusz PPS z sanacją i krajowy Październik.

P. Półtorak, który jest właścicielem dwóch sklepów wyrobów skórzanych i powoli dorabia się, mówi nam, że nadal czuje się socjalistą i popiera nacjonalizację przemysłu, nosi się nawet z myślą zapisania się do *Labour Party*. Jego stosunek do emigracyjnej „góry” i central londyńskich jest bardzo krytyczny. Grają tu rolę i wspomnienia z Polski, którą opuścił już po wojnie, i niechęć do emigracyjnej prawicy. Październik i dojsćie do władzy Gomułki zmieniły natomiast dotychczasowe negatywne nastawienie p. Półtoraka do Kraju. O ile mogliśmy się zorientować, nie jest on wyjątkiem: paru innych byłych członków PPS sympatyzuje obecnie z Gomułką i bywa w tutejszym konsulacie.

Pytamy p. Półtoraka czy bywa tylko w Klubie SPK, czy także i w Domu im. gen. Sikorskiego. I tu i tam. Ale w Klubie SPK można się lepiej zabawić, szczególnie kawalerowi (Klub urząda od czasu do czasu „Bał Kawalerskie”). Kierownik Klubu na ogół lubiany jest przez tutejszych kawalerów jako dobry kompan i kumpel. „Dlatego go popieramy” — mówi półżartem p. Półtorak. „Zresztą” — dodaje — „ja już wkrótce się ożenię, to będę pewnie stale chodził do „konkurencji”.

Poznaliśmy narzeczoną p. Półtoraka, Szkotkę, kiedyśmy go odwiedzili w sklepie. Uderzyło nas jak sprawnie, uprzejmie a dowcipnie obsługiwał swoich klientów. W małym pokoiku, przy zaśmieconej ulicy, zupełnie jednak blisko centrum miasta, piętrzyły się torebki, żółte teczki, torby; z sufitu zwieszały się paski i piłki; pachniało skórą. Dostaliśmy herbaty z mlekiem i duże kromy chleba z płatami szynki i wysłuchaliśmy wielu pieprznych uwag o tych i o owych. Niektóre z wyrobów skórzanych sprowadza p. Półtorak aż z Indii. Inne kupuje od polskich rzemieślników w Manchester.

*Towarzystwo społeczno-oświatowe
i Dom im. gen. Sikorskiego*

Zanim wieczorem następnego dnia poznaliśmy inż. Kota, obejrzelśmy wpieryw Dom, do którego powstania inżynier w dużej mierze się przyczynił. Jest to spory i ładnie urządzony, schludny budynek. Górne piętra zajęte są na pokoje mieszkalne. Na parterze mieści się kancelaria, czytelnia, biblioteka oraz sala taneczna. W suterynach, w dwóch połączonych salach — bar. Jedna z sal urządzona jest bardzo gustownie. Na ścianach wiszą piękne, ręcznie malowane talerze i makaty o motywach ludowych, wykonane przez wdowę po generale Paśławskim. Celem dekoratorki, która jest także malarką, była stylizacja baru na polską gospodę wiejską. Druga sala urządzona jest jednak w zupełnie odmiennym stylu, przypominającym kawiarnię-espresso: dominuje w niej jaskrawo-buraczkowy kolor tapety. Sala taneczna na parterze jest stosunkowo duża i posiada małą scenkę. Od ścian zdają się odrywać w tańcu barwne pary krakowiaka i mazura, zrobione z papieru. Czytelnia jest urządzona nieco gorzej: na długim stole leży trochę gazet robiących wrażenie jakby ich nikt nie czytał; niektóre numery z zeszłego miesiąca, inne sprzed paru miesięcy. Odczytujemy tytuły: „Jutro Polski”, „Dziennik”, „Narodowiec”, „7 Dni”, „Gazeta Niedzielną”, „Odgłosy”. Gazety nie są specjalnie prenumerowane dla czytelnii, lecz pochodzą z darów członków.

Wracamy do kancelarii gospodarza Domu. Po chwili wchodzi inż. Kot. Jest to człowiek niskiego wzrostu, tęgi, w okularach, niezbyt elegancko ubrany. Wie już o nas wszystko i natychmiast przejmuje inicjatywę w swoje ręce. Przez pierwsze parę minut odpowiadamy na jego pytania. Następnie on sam zgaduje kwestie nas interesujące i udziela informacji. W końcu rozmowa-monolog przechodzi w interesującą dyskusję, w której

my z kolei zaczynamy atakować. Inż. Kot ma odpowiedź na wszystkie nasze kwestie. Do kancelarii coraz to ktoś wchodzi i zostaje nam autorytatywnie przedstawiony przez inżyniera. W pewnej chwili inżynier pyta czy nie jesteśmy głodni i czy mamy gdzie nocować. Dowiedziawszy się, że ostatniej nocy spaliliśmy za miastem pod namiotami, telefonuje do żony i bezapelacyjnie zaprasza nas do siebie. Od tej chwili stanowczo jesteśmy wzięci w gościnną niewolę. Inżynier jedzie naszym autem, jeden z nas jedzie szykownym *Vauxhall-Cresta* em pana Banasiewicza, młodego działacza społecznego i właściciela dużego przedsiębiorstwa wyrobów skórzanych. Trzecim autem jedzie p. Bednarek, także stosunkowo młody działacz społeczny, właściciel dwóch pralni i wspólnik trzeciej. Obaj są najbliższymi współpracownikami inżyniera i członkami emigracyjnego PSL'u. Obaj pochodzą z rodzin przedwojennych działaczy PSL'u i swą działalność społeczno-polityczną zaczynali jeszcze w Polsce. Mówiono nam, że i inż. Kot jest mikołajczykowcem, ale on temu stanowczo zaprzecza. Twierdzi nawet, że pogłoski te tak mu już nadojadły, iż w zeszłym roku wybrał się specjalnie na zjazd PSL'u w Manchester, żeby zobaczyć wreszcie jak wygląda Mikołajczyk. Przynajmniej teraz ludzie będą mieli jakąś podstawę do gadania.

Inżynier Kot mieszka ładnie i wygodnie. W progu przyjmuje nas jego żona, Austriaczka. Przygotowała już dla nas dwa pokoje, na stole — taca z kanapkami, inżynier sięga po wino. Początkowo rozmawiamy po angielsku, żeby nie sprawić przykrości pani domu, ale wkrótce dyskusja na tematy emigracyjne tak nas pochłania, że przechodzimy na polski. Takie dyskusje muszą tu być częste.

Im dłużej rozmawiamy z inżynierem, tym mocniej uderza nas jego dynamizm (inżynier pochodzi z rodziny chłopskiej), duże ambicje i autorytatywność. Inżynier zna polskie środowisko w Glasgowie rzeczywiście jak własną kieszeń i związany jest z nim długim okresem swego życia. Miał tu już swoje klęski i zwycięstwa, okresy większej i mniejszej popularności, ma przyjaciół i przeciwników. Wierzy jednak, że już wkrótce uda mu się zorganizować ten ośrodek na swój sposób — i jako model dla innych skupisk polskich. Ta ostatnia ambicja łączy się z jego pomysłami przeorganizowania całej emigracji polskiej w W. Brytanii. Jak dotychczas na terenie Glasgowa ma on dwie niewątpliwe zasługi: pierwsza to znaczny udział w stworzeniu ośrodka Domu im. gen. Sikorskiego i Towarzystwa Społeczno-Oświatowego; druga to skupienie w ramach i poprzez ten ośrodek, grupy młodych i energicznych działaczy społecznych, kiedyś jego następców.

Historią i obecną działalnością Towarzystwa Społeczno-Oświatowego warto jest zająć się dokładniej, gdyż jest to instytucja na terenie Szkocji (choć nie na terenie Anglii) dosyć wyjątkowa: powstała ona samodzielnie i jest zupełnie niezależna od jakichkolwiek zewnętrznych ośrodków dyspozycyjnych w W. Brytanii; używając może niezbyt ładnego żargonu działaczy społecznych, jest to tak zwany ośrodek „dziki”.

Trudno byłoby wskazać na jakąś jedną główną przyczynę powstania tego niezależnego ośrodka: było ich wiele: personalne, polityczne, a także rzeczywista potrzeba innych form życia społecznego niż te jakie dawał Klub SPK.

Na płaszczyźnie personalnej: do roku 1954 inż. Kot był Przewodniczącym Komitetu Klubu Domu SPK, a Kierownikiem Domu był p. Bednarek. W roku 1954 p. Bednarek zwolniony został ze swojej funkcji, częściowo na tle ówczesnej ostrej walki z mikołajczykowcami. Pociągnęło to za sobą rezygnację inżyniera Kota, który zresztą i przedtem nie był w najlepszych stosunkach z władzami SPK.

Na płaszczyźnie bardziej ogólnej: odejście dwóch energicznych działaczy od SPK samo przez się nie musiało doprowadzić do powstania niezależnego ośrodka. Zaistniały jednak odpowiednie po temu warunki. Jednym z nich był rozłam polityczny: SPK było (i jest) utożsamiane z obozem Zjednoczenia. Pomiedzy miejscowymi zwolennikami Zamku (dziś już bardzo nielicznymi) a organizacją wytworzył się w chwili rozłamu antagonizm.

Jednocześnie trwał proces „mieszczanizacji” — drugi ważny czynnik. Coraz więcej Polaków stawało się właścicielami firm lub warsztatów pracy, kupowało domy i zakładało rodziny. Jak nam zgodnie mówili stali bywalcy Klubu SPK, nie jest on miejscem gdzie należy przyprowadzać żony i dzieci. Spotkaliśmy się nawet z (przesadną) opinią, że Dom SPK nie jest odpowiednim lokalem na lekcje Szkoły Sobotniej. Stąd Towarzystwo Społeczno-Oświatowe nosiło się z myślą utworzenia własnej Szkoły, lub chociażby przeniesienia już istniejącej do własnego lokalu.

Opinia, że Dom SPK nie nadaje się na lokal Szkoły jest o tyle przesadną, iż lekcje odbywają się w godzinach rannych, kiedy Klub i bar są nieczynne. Ale opinie takie dobrze ilustrują zjawisko powstawania wśród dorabiającej się Polonii typowej moralności mieszczańskiej, zabarwionej angielską *respectability*.

Niektórzy członkowie Towarzystwa czują się dobrze w roli obrońców tej moralności.

Tak się złożyło, że w r. 1954 nastąpiło przeniesienie z Glasgow do Londynu ważnej placówki polskiego nauczania, znanej

szeroko pod nazwą Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego. Wcześniej jeszcze, w tym samym budynku mieściły się: szkoła rolnicza i liceum handlowe⁷.

Powstała kwestia co zrobić z budynkiem. Administracją budynku zajmowało się tzw. *Polish Vocational College Ass. Ltd.*, do którego wchodziłi Polacy i Szkoci. Mimo, że budynek obciążony był długiem, polscy członkowie Zarządu tego Towarzystwa uznali za konieczne utrzymanie obiektu w rękach polskich dla kontynuowania pracy oświatowej. Po różnych pertraktacjach, w r. 1955 zawiązało się Towarzystwo Społeczno-Oświatowe, które przejęło budynek wraz z długiem i nazwało go Domem im. gen. Sikorskiego (za zgodą wdowy po Generale). W listopadzie 1955 r. Towarzystwo odwołało się do Polonii glasgowskiej apelując o finansowe i moralne poparcie dla urządzenia obiektu, który wymagał poważnych remontów, i rozszerzenia działalności. W liście do Polaków w Glasgowie (podpisanym przez pp. Ciepiewskiego i Kota) Zarząd Towarzystwa określił cel główny swojej działalności następująco:

„...celem jest stworzenie placówki, która stałaby się naszym wspólnym warsztatem pracy nad utrzymaniem i rozwijaniem polskości”.

Duży nacisk położony został na samodzielność ośrodka, jak i na przekonanie Polonii, że służy on interesom ogółu i jest własnością całej społeczności polskiej w Glasgowie. Projektowano, że nowy ośrodek skupi całokształt życia polskiego. W liście czytamy:

„Pragniemy utrzymać i rozwinąć niezależny organizacyjnie i gospodarczo ośrodek polski w Glasgowie.

W planie ogólnym przewidujemy, że będzie tam się skupiać działalność społeczna, oświatowa i charytatywna. Chcemy, prócz sal wykładowych, świetlicy, czytelnicy, klas szkolnych i pokoiów hostelowych, pomieścić także kaplicę polską, kancelarię duszpasterza, kursy wieczorowe. Pragniemy rozwinąć gry sportowe, pragniemy zachęcić naszych przyjaciół szkockich do odwiedzania domu w celu wspólnych rozrywek, dyskusji, głębszego wzajemnego poznawania się, wymiany poglądów, informowania o sprawach polskich”.

Plan bardzo ambitny! Nic dziwnego, że Towarzystwo nie wszystkie te cele zdołało dotychczas urzeczywistnić. W dziedzinie oświatowej organizowane są jak na razie tylko odczyty, i to niezbyt często, i imprezy kulturalne typu ku czci Wyspiańskiego lub gen. Sikorskiego (ta ostatnia połączona była z koncertem cho-

7. Historię Ośrodka Nauczania Koresp. opisał jego kierownik, dr Jan Dąbrowski w broszurze wydanej w Londynie w r. 1959.

ptnowskim). W Domu odbywają się także wspólne święcone, opłatki i akademie z okazji świąt narodowych. Czytelnictwo w bibliotece jest jednak słabe, w czytelni prawie żadne. Kursy wieczorowe nie odbywają się. Imprez sportowych nie ma. Nie udało się Towarzystwu umieszczenie kancelarii parafialnej we własnym lokalu (nie urządzono także kaplicy). Parafia istnieje osobno i ma swoją własną organizację parafialną.

Nad tą ostatnią sprawą warto się na chwilę zatrzymać. Praca księży polskich wśród emigracji nie zawsze jest łatwa. W czasie rozłamu oba obozy starały się przeciągnąć duchowieństwo na swoją stronę. Udało im się to w niektórych wypadkach, na ogół jednak księża potrafili zachować pozycję neutralną (czasami z wielkim trudem). Obecnie problem ten przestaje istnieć. Ale w skupiskach takich jak Glasgow, gdzie istnieją dwa główne ośrodki rywalizujące ze sobą, problem ten powtarza się, tylko w nieco zmienionej formie. Ks. Gruszka, miejscowy polski proboszcz, stara się zachować pozycję jak najbardziej neutralną w konflikcie, który mógłby jego pracy duchownej tylko zaszkodzić. Zgoda na oparcie Parafii o Towarzystwo Społeczno-Oświatowe oznaczałaby bowiem zajęcie stanowiska w sporze i w pewnej mierze utratę niezależności. Utrzymanie jednak neutralnej postawy powoduje, że obie strony bywają z księdza niezadowolone.

Mimo jednak, że Towarzystwo nie osiągnęło jak na razie swoich celów, Dom prosperuje niezłe, a plany Zarządu i inż. Kota nie uległy zmianie. Przeciwnie: uważają oni, że ich realizacja jest nadal możliwa, i że warunki w Glasgowie ustabilizują się w przeciągu dwóch następnych lat. „Społeczeństwo — mówi inżynier — zaczyna rozumieć naszą działalność”.

Z planem dalszego rozwijania całkowicie niezależnego ośrodka w Glasgowie i skupiania wokół niego coraz to dalszych elementów życia polskiego, tak by z biegiem czasu stał się on tu *jedynym* ośrodkiem, wiąże się koncepcja Polonii zorganizowanej na zasadzie całkowicie niezależnych ośrodków. Zdaniem inżyniera, każde środowisko polskie powinno stanowić samodzielną jednostkę gospodarczą. Miałoby to znaczny efekt psychologiczny: ludzie mieliby zadowolenie łożąc na cele lokalne, konkretne. U podłoża tej koncepcji leży niewątpliwie antagonizm do centralnych organizacji polskich w Londynie i płatnych działaczy społecznych, ale i długoletnie doświadczenie życia polskiego, a także przekonanie, które kazało Ameryce, jeszcze jako kolonii brytyjskiej, postawić zasadę: „nie ma pieniędzy bez reprezentacji”. Zdaniem inżyniera pieniądź publiczny winien być kontrolowany przez ludzi, którzy go dają.

Dopiero na bazie takich samodzielnych ośrodków mogłaby się oprzeć centralna reprezentacja całej emigracji, wyłoniona z Kongresu delegatów wybieranych przez poszczególne ośrodki⁸.

Dynamizm inż. Kota i jego współpracowników jak i działalność Towarzystwa Społeczno-Oświatowego jest bez wątpienia elementem pozytywnym w życiu Polaków w Glasgowie. Są także i ujemne strony. Towarzystwo stawiało sobie na początku cele wyłącznie społeczne i oświatowe. Ale powstała kwestia zdobycia funduszy. Warunki więc zmusiły Towarzystwo do otwarcia własnego baru i konkurencji na tym polu z Klubem SPK.

8. Stanowisko takie jest zwane czasami koncepcją „Gminy”. Piszemy o tym szczegółowiej w drugiej części książki. Tutaj warto jeszcze w przypisku powiedzieć o próbie zorganizowania takiego samodzielnego ośrodka, przeprowadzonej przez inż. Kota w Glasgowie w r. 1953, kiedy stał on na czele tzw Rady Delegatów Stowarzyszeń Społecznych i Zawodowych (Komitet Koordynacyjny, o którym pisaliśmy powyżej, powstał jako konkurent Rady). W dniu 16 marca 1953 r. Zarząd Rady rozesał list „Do wszystkich Polaków i Polek w Glasgowie i okolicy”, którego fragmenty warte są zacytowania. List wzywał do przybycia na Dyskusyjne Zebranie Obywatelskie, na którym przedyskutowany miał być następujący wniosek:

„1. Proponujemy powołanie drogą powszechnych, równych, bezpośrednich, tajnych i proporcjonalnych wyborów np. 25 osobowego Przedstawicielstwa ogółu Polaków w Glasgowie. Nazwę dla przedstawicielstwa ustali Zebranie Obywatelskie.

2. Wyborcami byłiby wszyscy czujący po polsku, którzy ukończyli 18 lat życia, bez różnicy na ich płeć, wyznanie, zapatrywania polityczne i przynależność państwową.

3. Sposób przeprowadzenia wyborów ustali Zebranie Obywatelskie.

4. Wybrane Przedstawicielstwo i wyłonione przez niego władze miałyby za zadanie:

A) Reprezentować gromadę polską w Glasgowie wobec:

1. społeczeństwa brytyjskiego
2. innych polskich ośrodków

B) Koordynować na terenie Glasgowa prace polskich organizacji społecznych i zawodowych bez prawa mieszania się do ich statutowych celów.

C) Zorganizować Biuro Porad i Informacji dla wszystkich Rodaków z terenu Glasgowa i okolicy.

D) Zorganizować Klub Towarzyski wedle przepisów brytyjskich, zyski z którego przeznaczone byłyby na zaspokajanie miejscowych potrzeb z dziećmi:

1. religijnej
2. społecznej
3. kulturalno-oświatowej
4. samopomocowej

List stwierdzał dalej, że oprócz przedyskutowania wniosku, Dyskusyjne Zebranie Obywatelskie miałoby powziąć decyzję „w tej tak istotnej i ważnej dla nas sprawie”.

Wg. informacji inż. Kota, gros inteligencji na zebraniu wypowiedziało się przeciw wnioskowi, uważając go za w danym momencie nierealny. Inżynier uważa, że projekt przedstawiony we wniosku jest nadal aktualny.

Konkurencja ta niewątpliwie na dalszą metę zdąży do wyeliminowania konkurenta. Trudno by jednak było udowodnić, że cele obu ośrodków są w rzeczywistości — sprzeczne. Te sprzeczności, jakie występują, są w dużej mierze pozorne, spowodowane szeregiem nieporozumień. Oba ośrodki mogłyby się doskonale uzupełniać. Natomiast niewątpliwie sprzeczne są stojące za nimi koncepcje. Jak na razie mamy więc rywalizację, odbijającą się na finansach Domu SPK, który w ostatnich latach przynosił deficyt. Mamy także dublowanie wielu robót, trochę marnotrawstwa wysiłków i pieniędzy.

Co nie znaczy jednak, by Towarzystwo było w otwartej wojnie z miejscowym Kołem SPK. Zauważyliśmy rzecz może paradoksalną: to właśnie Koło SPK, czując się zagrożone aktywnością własnego Klubu, szuka czasami oparcia w Towarzystwie Społeczno-Oświatowym.

Także niektóre imprezy urządzone są wspólnie: np. akademii ku czci gen. Sikorskiego w Domu jego imienia odbyła się przy współdziałaniu Koła SPK i trzech innych organizacji polskich w Glasgowie.

Zamożność

Występują tu duże kontrasty. Poznaliśmy działacza społecznego obciążonego dużą rodziną, który zarabia nie wiele ponad £ 6 tygodniowo. Człowiek ten jest ciągle zalatany i jego praca społeczna na pewno nie wychodzi na dobre jego dzieciom. Najprzykrzejszy moment naszego pobytu zdarzył się właśnie w trakcie rozmowy z nim, gdy do pokoju weszła jego córeczka i oświadczyła: *Daddy, will you come out with me?* Ojciec spurpurowiał. Dziecko dalej mówiło coś po angielsku i zostało dosyć opryskliwie wyproszone z pokoju. Byliśmy sami bardzo zmieszani, szczególnie, że kiedy dziewczynka weszła, jej ojciec mówił właśnie o pracy szkoły sobotniej.

Tak niskie zarobki są jednak rzeczą wyjątkową wśród Polaków w Glasgowie. Wielu pracuje w transporcie miejskim, gdzie można wyciągnąć od £ 15 do £ 25 tygodniowo. Spora grupa pracuje w dokach, a tam zarobki są jeszcze wyższe. Stosunkowo niewielu pracuje w fabrykach jako zwykli robotnicy. Wspominaliśmy już, że część tunelarzy to także Polacy z Glasgowa.

Cechą wyróżniającą Polonię glasgowską jest duża ilość właścicieli różnego rodzaju warsztatów i przedsiębiorstw, których ogółem jest ponad 120. Jest kilkunastu zegarmistrzów, z 10 sklepów żywnościowych, trzy masarnie, parę kawiarni i restauracji, trochę sklepów wyrobów skórzanych, i jedna większa firma

importowo-eksportowa i warsztat tych wyrobów, około 30 fryzjerów, szewców i krawców, jedna firma samochodowa-motoryzacyjna (obliczana na £ 100.000 wartości) i koncern sklepów radiotelewizyjnych, podobno wart jeszcze więcej. Ale może najciekawszym zjawiskiem jest ponad 40 polskich pralni.

Jak nam to ktoś miejscowy określił: Polacy mają monopol na pranie brudów miasta Glasgow, tak jak Włosi na restauracje.

Na powstanie tego polskiego prawie-monopolu (bo duża ilość pralni jest także w rękach niepolskich) złożyło się kilka czynników. Jednym z nich to właśnie brud miasta. Tutaj, żeby mieć czystą koszulę, trzeba ją codziennie zmieniać. Z pracy przychodzi się normalnie w zatłuszczonym kombinezonie lub ubraniu lepkiem od brudu. Pranie w domu to duży wysiłek: szczególnie gdy w jednym domu mieszka 20 rodzin — Glasgow jest miastem przeludnionym. Nie zawsze jest miejsce na rozwieszenie bielizny; zresztą suszenie na powietrzu pełnym sadzy, przy ciągłych zmianach pogody, miewa nieraz skutki opłakane: trzeba przepłukiwać bieliznę lub prać po raz drugi. Kobiety na ogół pracują poza domem i na pranie nie mają czasu. Polscy *laundreciarze* twierdzą nieraz, i nie bez słuszności, że kobiety w Glasgowie żyją dzięki nim o kilka lat dłużej. Jeden z nich z żartobliwą dumą opowiadał nam o Szkotce, która odbierając czystą bieliznę, prawie ze łzami wdzięczności w oczach oświadczyła: *Mister, you should get a medal from the Queen!*

Szczególnie, że praca w *laundretkach* nie jest ani przyjemna ani lekka, a większość właścicieli pralni wykonuje ją własnoręcznie. Pracować trzeba w stosach brudów, w wilgotnym, przesyconym chlorem powietrzu, w ciasnych lokalach. Nie pała się do tej pracy Szkoci. Ale Polacy potrafią być ludźmi twardymi. Nie mogliśmy się dowiedzieć kto był pierwszym polskim *laundreciarzem* w Glasgowie. Ktokolwiek nim był, zapoczątkował rzecz godną podziwu⁹.

Innym czynnikiem, który odegrał rolę, były stosunkowo niskie koszty założenia pralni. Początkowo wystarczał zupełnie mały kapitał, około £ 250, a niektórzy potrafili i przy mniejszym. Dzisiaj koszty zwiększyły się prawie dwukrotnie, ale polskie pralnie powstają nadal: ci co mieli dotychczas jedną, zakładają drugą, inni stawiają pierwszy krok w tej branży, przekonani sukcesem rodaków o jego opłacalności. Między rodakami powstaje więc konkurencja. Opowiadano nam, że są i tacy, co zakładają nową pralnię pod bokiem ziomka, który już zdążył

9. Podobno był nim Mieczysław Pożarowski.

przyzwyczać dzielnicę do tego dobrodziejstwa. Wywołuje to oczywiście oburzenie starych *laundreciarzy*.

Zarobki tygodniowe przeciętnie dają właścicielowi na czysto do £ 20 i więcej („na czysto” obejmuje także opłacenie haraczu szajkom gangsterskim. Legenda głosi, że prawie wszyscy *laundreciarze* co tydzień zostawiają na noc pewną sumę pieniędzy w określonym miejscu jako okup. Jeśli okup nie zostanie uiszczony, właściciel pralni często znajduje ją nad ranem w stanie nie do użytku: najulubieńsza forma zemsty to podeptanie i zbrukanie wypranej już bielizny. Tak głosi legenda, ale prawdy w niej raczej niewiele).

Jako jeszcze jeden powód sukcesu polskich pralni podawano nam informację, że woda w Glasgowie jest nadzwyczaj miękka, o wiele bardziej miękka niż gdziekolwiek w W. Brytanii. Ma być ona sprowadzana z niedalekiego jeziora *Loch Catherine*. skąd, podobno, dowożona jest także do Londynu dla Królowej. Przy tak miękkiej, królewskiej wręcz wodzie, pralnie zużywają mniej sody niż normalnie.

Rozmawialiśmy z paroma *laundreciarzami*, pytając ich dlaczego nie założą jakiejś jednej polskiej spółki czy związku chociażby dla obniżenia kosztów transportu chemikaliów przez sprowadzanie ich hurtem. Potakiwali, że to dobra myśl, ale że jej urzeczywistnienie jest raczej nieprawdopodobne. Wiadomo: Polacy nie są najlepsi do spółek. Istnieje natomiast polski przedsiębiorca zajmujący się dostawami maszyn, a nawet całkowitym urządzaniem pralni. Może więc jednak powstanie kiedyś w Glasgowie jedna wielka polska firma: *Polish Laundrette Co.*

Inteligencja

Glasgow nie wydaje się odpowiednim miejscem dla polskiego inteligenta. Niektórzy uciekają z tego miasta. Nie ma tu atmosfery, nie ma środowiska w rodzaju tego jakie istnieje w Edynburgu (co nie koniecznie jest minusem). Stąd też łatwo odnieść wrażenie, że procent inteligencji jest tu dużo mniejszy niż w „emigracyjnym Krakowie”. W tym dynamicznym, portowym mieście inteligent polski zdaje się być rośliną rzuconą na grunt niepodatny i obcy. Jeżeli tu istnieje, to mieszka pewnie w jakiejś okopconej kamienicy, na poddaszu; żyje przeszłością i z utęsknieniem spogląda w kierunku Edynburga czy Londynu, gdzie czułby się o wiele lepiej.

Ale to tylko mała część prawdy. Słyszeliśmy o jakimś oficerze, który zajmuje się zbieraniem niedopałków na ulicach.

Ale jest tu kilku wykładowców na wyższych uczelniach (w tym co najmniej jeden na tutejszym uniwersytecie, dr Łomiński, bakteriolog), jest około 12 lekarzy, trzech adwokatów (*solicitors*) prowadzących własne biura, jedna malarka, pani Pasławska, mieszka tu wspomniany już dr Dąbrowski, historyk, jest pewna liczba inteligentów pracujących fizycznie lub jako wykwalifikowani robotnicy, posiadających nieraz własne auta, jest grupa „młodej inteligencji” zawodowej, wykształconej już na uniwersytetach brytyjskich, głównie techników, stosunkowo zamożnych. Jest też pewna mała liczba żyjąca z zasiłku *Assistance Board* i grupa byłych oficerów, skupionych głównie w Sekcji Studiów Wojskowych, ale rzecz charakterystyczna, odróżniająca Glasgow od Edynburga, nie oni nadają tu ton.

Starsza inteligencja polska na ogół niechętnie bierze udział w życiu społecznym: odgrywa tu rolę praca fizyczna, zaabsorbowanie pracą zawodową, czasami pozostałości uprzedzeń do tzw. „dołów”. Lekarze jako grupa także stoją poza tym życiem. Istnieje natomiast wewnętrzne życie towarzyskie, rozbite na małe grupki, istnieją próby kontynuowania życia kulturalnego. Towarzystwo Przyjaciół Kultury, które w pewnym momencie odbyło zebranie „likwidacyjne”, zdecydowało jednak na tym zebraniu kontynuowanie działalności, polegającej głównie na urządzaniu odczytów i wieczorów dyskusyjnych (przeciętna frekwencja: 20 osób). Towarzystwo to nie jest ani tak dobrze zorganizowane ani też nie ma ambicji takich jak „Kółko Przyrodników” w Edynburgu; tematyka odczytów jest bardziej popularna i literacka.

Prezesem Towarzystwa jest wspomniany już dr Dąbrowski, którego odwiedziliśmy. Rozmowa z nim w dużej mierze rozwiała nasze początkowe wrażenie, że Glasgow nie jest miejscem odpowiednim dla polskiego inteligenta. Dr Dąbrowski mieszka w Glasgowie już od 17 lat. Przez cały ten czas aż do momentu likwidacji, związany był z pracą Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego jako jego kierownik i korespondencyjny „wykładowca”. Dowiadujemy się, że od r. 1941, kiedy Ośrodek powstał, korzystało z niego ogółem około 3.000 uczniów na poziomie szkoły średniej i powszechnej.

Obecnie, mając za sobą 17 lat pracy pedagogiczno-społecznej dr Dąbrowski pragnie być raczej obserwatorem polskiego życia w Glasgowie niż brać w nim czynny udział. Czekają go własne prace, dotychczas odkładane.

W pokoju, w którym stoją rzędy książek na półkach, i od dłuższego już czasu niewidziane roczniki „Kultury”, rozmowa odbiega coraz to od spraw glosowskich aby przejść na tematy bardziej ogólne, dotyczące głównie kraju. Sądząc po dr. Dą-

browskim, Glasgow wydaje się mieć żywszy kontakt z polskim życiem intelektualnym i kulturalnym niż edynburski Klub Towarzyski.

Mimo jednak szerokich zainteresowań i zupełnego braku zaściankowości, dr Dąbrowski jest w duszy zagorzałym Glasgowianinem o silnie rozwiniętym poczuciu lokalnego patriotyzmu. Ten lokalny patriotyzm to cecha charakterystyczna wielu Polaków w Glasgowie.

Konsulat

Ponowne otworenie konsulatu polskiego w Glasgowie stało się możliwe dzięki wypadkom październikowym. Od tego czasu konsulat rozwinął na terenie Szkocji kilka akcji zmierzających do pozyskania sobie miejscowej Polonii. Będąc w Dundee słyszeliśmy o wizytach polskiego konsula, o próbach „przeniknięcia do środowiska emigracyjnego mówiono nam to także w Edynburgu. Między innymi Szkołka Sobotnia w Galashiels powstała częściowo jako wynik obawy, że Szkołkę taką otworzy tam właśnie konsulat warszawski w Glasgowie. Podobne próby otwarcia szkół sobotnich zaobserwowano i w innych ośrodkach. Udały się one dotychczas jedynie na terenie Glasgowa. Do Szkoły prowadzonej przez konsulat uczęszczało tu w roku 1957-58 około 30 dzieci. Na kolonię letnią w Polsce pojechało z Glasgowa 18 dzieci emigrantów. Wydaje się, że możliwość wysłania dziecka na kolonie letnie jest jedną z ważnych atrakcji Szkoły prowadzonej przez konsulat. W szkole tej jest wykładowcą student z Uniwersytetu w Glasgowie, emigrant, który uczy także w Szkole prowadzonej przez tutejsze SPK. „Dwutorowość” tego studenta spotkała się z krytyką, co odbiło się echem nawet na łamach „Dziennika Polskiego”.

Jeśli wziąć pod uwagę, że w Szkole SPK ilość dzieci uczęszczających na lekcje wynosi także około 30 (zapisanych jest więcej, ok. 50), sukces Szkoły konsulatu nie jest mały.

W ogóle wpływy konsulatu w Glasgowie są spore. Mimo bowiem tego, że oficjalnie organizacje polskie całkowicie odcinają się od wszelkich z nim kontaktów, mimo że istnieje atmosfera raczej niechętna w stosunku do utrzymujących kontakty z konsulem; osób takich jest spora liczba.

Były konsul, p. Krawczyk, cieszył się wśród niektórych przynajmniej Polaków dobrą opinią; jeszcze większy mir miał były wicekonsul, p. Semczyk, dobry kompan do kieliszka. Na imprezach kulturalnych, urządzonych w konsulacie, pokazach filmo-

wych itp., frekwencja Polaków miejscowych jest wcale duża. Podobno nawet obchód 22 lipca zebrał pewną liczbę emigrantów.

Co odgrywa niemałą rolę w przełamywaniu nieufności do reprezentacji władz warszawskich, to przyjazdy rodaków z kraju, a nawet tylko starania o sprowadzenie bliskich czy znajomych. Powoduje to konieczność załatwienia tych spraw w Konsulacie, interweniowania itp. Ludzie, którzy to robią, a nawet ci, którzy uczęszczają na imprezy, specjalnie się z tym nie kryją, bywają w obu polskich lokalach. Nie zauważyliśmy, by stosowano wobec nich otwarty bojkot towarzyski, może jedynie w niektórych małych grupach.

Ale niechęć do kontaktów innych niż całkowicie nieodzowne nadal istnieje wśród większości Polaków w Glasgowie. Tak więc, chociaż fakt istnienia konsulatu akceptowany jest obecnie przez Polonię glosgowską, akceptacja ta wciąż jest niechętna i nieufna: będąc częścią życia polskiego w Glasgowie, konsulatu wciąż stoi na jego marginesie.



Glasgow jest milionowym miastem. Polaków jest tu 800, może 1000. Jest rzeczą zadziwiającą, że tak mała garstka nie zagubiła się całkowicie w ruchliwym życiu miasta, ale wciąż utrzymuje ze sobą najróżnorodniejsze więzi. Trudno jest obliczyć, jak dużo Polaków należy w jakimś sensie do „gromady”. Przypuszczalnie ludzi takich jest co najmniej połowa. Druga połowa chodzi, jak to się mówi, „luzem”. Zdarza się, że Polak jakiś znika z horyzontu na pewien okres czasu, aby któregoś dnia choćby tylko na chwilę dołączyć do gromady. O innych nie wiadomo nawet, że w Glasgowie mieszkają. Widocznie nie ciąży im samotność, najczęściej znaleźli swoje miejsce wśród tubylców.

A poza tym w Glasgowie ceniona jest samodzielność. Jest to jedno z bardziej radykalnych środowisk polskich w W. Brytanii: ludzie nie tylko samodzielnie tu myślą, ale i cenią sobie stanie na własnych nogach, o ile możliwości za własnym warsztatem, lub we własnym przedsiębiorstwie.

Polscy Glasgowianie dbają zdaje się także i o własną sławę. Towarzystwo Społeczno-Oświatowe nosi się z zamiarem ufundowania stypendium dla studenta socjologii, który napisałby studium o tutejszym środowisku polskim i jego historii. Tak więc na bazie polskich pralni i sklepów z wyrobami skórzanymi i równoległe do awansu społeczno-gospodarczego, zarysowuje się, być może, przyszły mecenat.

Nie zaszły tu jakieś poważne zmiany, ale życie nie stało w miejscu i pewne rzeczy warto zanotować.

Przede wszystkim Dom im. gen. Sikorskiego i Towarzystwo Społeczno-Oświatowe rozwijają się nadal pomyślnie.

W lutym 1960 r. jury w składzie — dr J. Dąbrowski, dr H. Grosman, dr L. Koczy, inż. Wł. Kot i prof. Stan. Seliga przyznało pośmiertnie nagrodę £ 50, ufundowaną przez Towarzystwo Społeczno-Oświatowe zmarłemu niedawno Stanisławowi Westfalowi za „Rzecz o polszczyźnie”, oraz całokształt działalności literackiej i popularyzacyjnej. Nagrodę przekazano wdowie po zmarłym.

Stanisław Westfal był wykładowcą języka polskiego i litewskiego na Uniwersytecie w Glasgowie i oprócz „Rzeczy o polszczyźnie” wydrukował w czasopismach emigracyjnych wiele prac i artykułów o języku polskim, dawnym i współczesnym. Jego śmierć była dużą stratą tak dla Polonii glasgowskiej jak i dla nauki polskiej w W. Brytanii, tym bardziej że zmarł w wieku stosunkowo młodym.

26 czerwca 1960 roku nastąpiło w Domu gen. Sikorskiego odsłonięcie tablicy pamiątkowej z podobizną Generała. Na uroczystości tej przemawiała generałowa Helena Sikorska, ponadto uroczystość pokazano w telewizji¹⁰. Koszt tablicy wynosił £ 100.

Parę miesięcy temu Dom im. Sikorskiego, regularnie wspomagający szkołę sobotnią w Domu SPK, odmówił wypłaty zasiłku. Spowodowało to naturalnie zaognienie się stosunków pomiędzy rywalami.

W Domu SPK zaszły też pewne zmiany. Ustąpił poprzedni Kierownik Domu, podobno z rozgoryczeniem. W ogóle w pewnym momencie przyszłość Domu wisiała na włosku, gdyż Światowy Zjazd Delegatów SPK, obradujący w Londynie w 1959 r.

10. Oto jak nie bez życzliwej złośliwości opisał tę uroczystość reporter „Glasgow Herald” (z dn. 27.6.1960):
POLES AND PERCHES

After An Comunn on Saturday came the turn yesterday of the equally incomprehensible Poles. Everyone knew that Madame Helena Sikorska was in Glasgow to unveil a memorial to her late husband, General Sikorski, but no one — except the other Poles — knew what she was saying.

To begin with it didn't matter. Not even the Poles could hear above „Jesus Bids Us Shine”, the appropriate tune chosen to serenade the sun bathers by the Salvation Army band at Kelvin-grove Park. After two hours the band had moved on, but the television arc lights had stayed and the non-Polish speakers were wilting from 20 Polish speeches. At least at An Comunn meetings everyone has a seat.

mocno się zastanawiał, czy nie zlikwidować tej deficytowej placówki. Dom otrzymał jednak szansę na dalsze parę lat, o ile stanie finansowo na nogi. Nowy kierownik ma zamiar udowodnić, że jest to możliwe.

Stan posiadania polskiego Glasgowa powiększył się... m.in. o kilkanaście nowych *laundretok*. Oblicza się dziś ich ilość na ok. 70. Powstał nawet Związek Laundreciarzy, liczący ponad 50 członków i otwarty dla Szkotów. Związek stawia sobie za zadanie ochronę istniejących pralni, co oznacza głównie nie pozwalanie na otwieranie konkurencji obok już istniejącej. Odbywa się to w drodze interwencji u władz lokalnych. Związek ma własnego adwokata.

W stosunkach z konsulem nie zaszły większe zmiany. Pewna część Polaków nadal uczęszcza na uroczystości; dobrze rozwija się też szkoła sobotnia prowadzona przez konsulat, do której uczęszcza podobno więcej dzieci niż do szkoły SPK.

Z personaliów warto wymienić dwa nazwiska: Jana Grubiaka i Adama Smolkę, których niestety nie udało się nam poznać podczas naszego pobytu w Glasgowie.

Jan Grubiak (o którym ukazało się parę artykułów w „Dzienniku Polskim”) właściciel 2 sklepów żywnościowych, ożeniony ze Szkotką, kandydował w r. 1959 z ramienia *Social Credit League* na radnego miasta Glasgowa. Niestety, przepadł, ale jest to chyba jeden z pierwszych wypadków kandydowania przez Polaka na radnego. Co prawda, J. Grubiak przez długi okres czasu z Polakami w Glasgowie żadnego kontaktu nie miał, i nawet prawie zapomniał mówić po polsku (w czasie wojny był marynarzem, w Glasgowie mieszka od 15 lat), tak że raczej powinno się go określić jako „pochodzenia polskiego” — niemniej jest to wypadek godny zanotowania.

Nazwisko Adama Smolki natomiast, który w Glasgowie zajmuje się dekoracją witryn, przypomina nam innego Smolkę, znanego swego czasu prezydenta parlamentu wiedeńskiego. Okazuje się, że obecny mieszkaniec Glasgowa jest wnukiem tego sławnego Smolki. Jego stryjcem zaś był inny Smolka — znany historyk.

Muzeum w Banknock czyli na historię kapie z dachu

Banknock to mała miejscina leżąca w połowie mniej więcej drogi między Glasgowem a Edynburgiem, ale na uboczu od głównych szlaków. Miasto nie odznacza się niczym specjalnym — chyba tym tylko, że znajduje się tam filia Instytutu im. gen.

Sikorskiego w Londynie — zwana szumnie Muzeum im. gen. Sikorskiego w Banknock.

Przyjechaliśmy do Muzeum wczesnym rankiem, bez zapowiedzi. Drzwi otworzył nam kierownik działu bibliotecznego, dr Koczy, postać znana tak w Edynburgu jak w Glasgowie. Dr Koczy nie mógł nam niestety poświęcić zbyt wiele czasu, gdyż spieszył się na autobus do Glasgowa. Zajął się nami p. Domański, kustosz Muzeum. Dr Koczy i p. Domański z żoną są jedynymi stałymi pracownikami Muzeum i mieszkańcami dużego, ponurego budynku, w którym się ono znajduje.

Pamiętają oni lata, kiedy Szkocja roiła się od Polaków a budynek Muzeum był elegancką rezydencją, skupiającą życie towarzysko-kulturalne. Lata bieły. Polacy opuszczali Szkocję, a Muzeum stawało się wilgotną pustelnią. Któregoś dnia, podczas wystawy, kiedy zwiedzający byli już raczej rzadkością, przyjechał Lord Elgin, wielki przyjaciel Polaków i przewodniczący Rady Instytutu gen. Sikorskiego, jeden z głównych jego dobroczyńców, i widocznie zbyt żołnierskim krokiem przemierzając salę wystawową, mieszczącą się w starej jak i dom przybudowce, zapadł się po kolana w podłogę. Szczęśliwie obyło się bez obrażeń, gdyż zbutwiałe drzewo ostrych drzazg nie zawierało. Była to ostatnia wizyta Lorda w Banknock.

W muzeum w Banknock znajduje się ponad 30.000 eksponatów i duża biblioteka, licząca ponad 7.000 tomów a także najbogatszy i najkompletniejszy zbiór wydawnictw periodycznych obecnej emigracji, wyrażający się cyfrą ponad 1.000 tytułów.

Informowano nas, że muzeum w Banknock jest największym i właściwie jedynym posiadaczem zbiorów, obrazujących wojskowość polską ostatniej wojny. Od bielizny zwykłego żołnierza po płaszcz generała Sikorskiego, od dział używanych pod Narwikiem, po okazy małej broni palnej, od orzełków wykonywanych własnoręcznie przez żołnierzy polskich w Buzułuku po najwyższe odznaczenia brytyjskie. Znajduje się tu poza tym bogaty dział rycin, druków, map i fotografii, a także trochę zabytków pochodzących ze zbiorów ordynacji Krasińskich, ordynacji Nieświeskiej i innych. Niektóre z tych zabytków sięgają XV wieku. Muzeum przechowuje ponadto około 1.400 prywatnych depozytów. Większość zbiorów znajduje się w skrzyniach i pakach, jedynie kilka eksponatów stoi w gablotkach, w głównej sali trochę rycin i sztandarów wisi na ścianach.

Na pierwszy rzut oka muzeum robi wrażenie wilgotnej, zatłoczonej rupieciarni. W jednej z większych sal pomiędzy skrzyniami i szafami stoją kubelki i miski, do których w czasie deszczu skapuje przez dziury w dachu woda (co zdarza się często).

Zły stan budynku i ciasnota utrudniają jeszcze życie małemu personelowi (trzech stałych pracowników i dwóch dorywczych), który i tak z trudem podolałby ogromowi pracy. W warunkach obecnych konserwacja eksponatów nie pozostawia prawie czasu na inne zajęcia. Zbroje, odznaki, medale, broń szybko powleka rdza a rzeczy skórzane, mundury i sztandary — pleśń. Każdy mundur ma kilkanaście guzików, które trzeba wyczyścić, każda broń wymaga rozebrania na części, wyczyszczenia, naoliwienia, a następnie złożenia i opakowania. Zdumiewające jest, że przy tak żmudnej pracy, p. Domański potrafił znaleźć czas na opracowanie inwentarzy i kartotek — rzecz która wymaga wprost benedyktyńskiej cierpliwości i dokładności. Do muzeum przychodzą poza tym listy ze wszystkich części świata z zapytaniami i prośbami o informacje, nieraz fotografie, nagłące o pośpiech. Towarzystwa numizmatyczne, ludzie zainteresowani historią medali i odznaczeń wojskowych zwracają się o informacje w przekonaniu, że jest to muzeum w pełnym tego słowa znaczeniu. Korespondencja, którą prowadzi p. Domański, sięga 300 listów rocznie, a nie są to zwykle listy, część z nich to prawie referaty. Ostatnio przychodzi wiele kwerend z kraju. Jakieś towarzystwo niemieckie uczyniło niedawno Muzeum swoim członkiem honorowym, zobowiązując je w ten sposób do darmowych usług. Przy całej tej pracy p. Domański znajduje jeszcze czas na redagowanie powielanego biuletynu Sekcji Muzealnej Polskiego Towarzystwa Historycznego w W. Brytanii pt. „Broń i barwa”, odbijanego w 120 numerowanych egzemplarzach, z ilustracjami malowanymi ręcznie!

Z rozmowy z p. Domańskim szybko wnioskujemy, że praca muzealna, a przedtem archeologiczna (p. Domański przyczynił się znacznie do wzbogacenia zbiorów polskich, tak archeologicznych, jak etymologicznych, w trakcie pobytu wojska polskiego w Egipcie) to jego wielka pasja życiowa. To jednak w niczym nie umniejsza naszego podziwu.

Muzeum urządza także wystawy w Szkocji — np. wystawę pamiątek po gen. Sikorskim w r. 1956 w Domu jego imienia w Glasgowie — i wysyła eksponaty do centrali w Londynie.

Przy takim nawale pracy płace pracowników są śmiesznie niskie. Jak pisze z niezrozumiałą dla nas dumą broszura wydana w Londynie z okazji 12-lecia Instytutu: „płace bardzo nielicznego zespołu pracowników stoją poniżej przeciętnego poziomu zarobków robotniczych w W. Brytanii” (na 5 osób £ 1.400 rocznie!).

Ze zbiorem książek i czasopism nie mogliśmy się zapoznać bliżej, gdyż większość z nich z braku miejsca znajduje się

w skrzyniach. Odnieśliśmy wrażenie, że nawet kierownik działu bibliotecznego nie zupełnie się orientuje w swoich bogactwach, nie z jego zresztą winy. Jakże wynaleźć jakieś czasopismo, gdy leży ono na dnie tej czy innej skrzyni? Trzeba się więc grzebać i grzebać.

Muzeum w Banknock nie spełnia już dziś w Szkocji żadnej roli społeczno-kulturalnej. Krótko mówiąc — Muzeum nie jest muzeum a magazynem. Dla pracowników jest to pustelnia i w sensie odcięcia od centrów polskiego życia kulturalnego, i w sensie — z konieczności ascetycznego — trybu życia. Czy warto jest więc utrzymywać zbiory nadal w Banknock? Odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta. Jeżeli bowiem nie warto, to co z nimi zrobić? Londyn nie posiada odpowiedniego budynku, Instytut Sikorskiego i tak już jest przepełniony. Sprzedanie budynku w Banknock równałoby się prawdopodobnie stracie i tak niemałego już kapitału utopionego w obiekcie. Zatrzymanie obiektu także oznacza duże koszty, czy to dorywczego czy całkowitego remontu (jakieś remonty przeprowadza się tam ciągle).

Będąc w Glasgowie spotkaliśmy się wśród członków Towarzystwa Społeczno-Oświatowego z chęcią przejścia przynajmniej części zbiorów i umieszczenia ich w Domu im. gen. Sikorskiego, lub nawet w jakimś specjalnym budynku. Być może nie jest to zły pomysł — w Glasgowie zbiory te na pewno spełniałyby lepiej swą funkcję narodowo-kulturalną, z tym, że wystarczyłaby tylko ich mała część, reszta, a przede wszystkim biblioteka i czasopisma, winny być przeniesione z biegiem czasu do Londynu, szczególnie, że dwie inne biblioteki w Londynie także kompletują czasopisma emigracyjne i często nie wiedzą, czy brakujące numery nie znajdują się właśnie w Banknock.

Czy Glasgow podołałby w przejściu części zbiorów? Na to pytanie odpowiedzieć mogą jedynie sami Polacy w Glasgowie¹¹.

ZAKOŃCZENIE

Opuszczone i bezużyteczne dla Polaków w Szkocji, a równocześnie tak bogate w zbiory Muzeum w Banknock stwarza pokusę, by uczynić je symbolem całej Polonii szkockiej. I niewątpliwie, z perspektywy niedawnej historii, Polonia szkocka znajduje się w okresie schyłkowym.

11. W 1960 władze Instytutu powzięły decyzję zlikwidowania Muzeum w Banknock (dop. późniejszy).

Tym bardziej więc zadziwia dynamizm niektórych ośrodków i różnorodność form życia polskiego. Mimo, że kraj jest biedniejszy niż Anglia, Polacy na ogół nie ustępują zamożnością swym „angielskim” rodakom. Mimo, że nastąpił tak duży odpływ i ludzi i instytucji, Polonia szkocka nasileniem swego życia kulturalno-społecznego dorównuje o wiele ludniejszym skupiskom polskim w Anglii (z wyjątkiem Londynu). Polskie życie organizacyjne w Szkocji nadal grzeszy przerostem raczej niż ubóstwem. A procent Polaków stojących poza tym życiem jest chyba tylko nieco większy niż w Anglii.

Obawiać się jednak trzeba, że bardziej zaawansowane procesy asymilacyjne dadzą tu o sobie znać w sposób widoczny już w najbliższej przyszłości. Chcemy zwrócić uwagę jedynie na dwa czynniki: małżeństwa mieszane i stan szkolnictwa polskiego.

Trudno jest określić nawet w przybliżeniu ilość małżeństw mieszanych, polsko-szkockich. Jedyne dokładne cyfry jakie posiadamy pochodzą z lat 1940-45. Pod koniec tego okresu małżeństw polsko-szkockich było dokładnie 2.334. Nie ma wątpliwości, że cyfra ta musiała wzrosnąć znacznie przez ostatnich lat 13¹². Być może wzrosła ona w dwójnasób: być może nieco mniej. Ale nawet jeśli przyjmemy że wzrosła tylko o połowę, i nawet jeśli przypuścimy że co najmniej 1.500 małżeństw polsko-szkockich opuściło Szkocję, emigrując za ocean lub do Polski, to wciąż otrzymamy drugie tyle małżeństw mieszanych na miejscu. Łatwo jest się domyślić, że większość dzieci „polskich” to dzieci małżeństw mieszanych (z uwagi na pewną ilość małżeństw polskich przedwojennych, które po wojnie były już podeszłym wieku, i z uwagi na dużą ilość ludzi samotnych).

Te fakty łączą się ściśle ze sprawą szkolnictwa polskiego w Szkocji.

W 1954 r. pracowało tu 15 szkół sobotnich. W r. 1956 szkół tych było już tylko 6! Dzisiaj doszła jeszcze szkoła w

12. Zainteresowanych problemem małżeństw polsko-szkockich odsyłamy do ankiety jaką przeprowadził swego czasu prof. T. Sulimirski wśród małżeństw mieszanych polsko-brytyjskich, a której rezultaty ogłosił w *Resumé des Communications. Deuxième Congrès Internationale des Sciences Anthropologiques et Ethnologiques, Bruxelles, 1950*, i do niedrukowanej pracy Jerzego Berenta *A study of the Successfulness of Polish-British Marriages*. Praca ta, wraz z materiałami ankietowymi i innymi opracowaniami znajduje się w Bibliotece Polskiej w Londynie.

Warto przy okazji dodać, że z ankiety wynikało, iż duży procent małżeństw zawarty został ze względu na konieczność — czyli tzw. fatalny przypadek, co raczej podważa opinię, iż większość tych małżeństw była bardzo szczęśliwa.

Galashiels; — istnieje także możliwość otwarcia dwóch dalszych szkół, ale jest wątpliwe by liczba ich doszła do 10.

Od 7 do 10 szkół sobotnich na 5.000 Polaków to nie jest stosunkowo mało. Trzeba jednak dodatkowo zwrócić uwagę na małą frekwencję dzieci. Z obliczeń naszych wynika, że w r. 1957-58 do szkół sobotnich w Szkocji uczęszczało nie więcej niż 250 dzieci, co stanowi w najlepszym razie jakieś 25%. Duża część (w Edynburgu ponad 50%) to dzieci w ogóle nie mówiące po polsku.

Proces asymilacji, mocno zaawansowany w Szkocji, nie jest równoznaczny z wynarodowieniem się, chociaż niewątpliwie bardzo mu sprzyja. Obraz skupisk polskich jaki w tych reportażach próbowaliśmy nakreślić, był wciąż jeszcze obrazem życia polskiego. Ale był równocześnie obrazem świata, który odchodzi i z dniem każdym się zmienia. Polacy w Szkocji wkraczają w okres życia polonijnego. Dla obserwatorów miejscowych różnica jak na razie jest nieznaczna, ale za lat 10 może już być niewidoczna, dla braku skali porównawczej na miejscu.

II. - POLACY W ANGLII I WALII 1958-1960

HOSTELE

Hostele to rozdział dziejów emigracji polskiej w W. Brytanii jeżeli nie zamknięty, to w każdym razie właśnie zamykany. Wiele ludnych niegdyś hosteli przestało istnieć; inne są w fazie likwidacji; w paru pozostałych, którym bezpośrednio likwidacja jeszcze nie grozi, zmieniają się formy życia.

Zetknęliśmy się więc z hostelami w ostatnim stadium ich istnienia; w stadium zamierania. Tak się też złożyło, że nasz kontakt z hostelami rozpoczęliśmy od — cmentarza.

East Moor

W drodze do Szkocji, rozpoczynając nasz objazd, postanowiliśmy wpaść do East Moor, który znany był jednemu z nas jeszcze z dawnych czasów studenckich. Przejechaliśmy przez York, miasto otoczone świetnie zachowanymi murami z czasów rzymskich, słynne ze swojej katedry (w Yorku mieszka obecnie kilkudziesięciu Polaków) i zostawiając obóz po prawej ręce, odnaleźliśmy najpierw mały, wiejski cmentarz, leżący w szczerym polu, niedaleko wioski Sutton-on-the-Forest, o dobry kilometr od obozu. Większa część cmentarza to stare angielskie groby, ale mały kąt zarezerwowano dla zmarłych mieszkańców hostelu. Z wysokiej trawy sterczą małe, kamienne nagrobki z nazwiskiem i datą. Senator Rzeczypospolitej, Konstanty Rdułowski, leży tu obok kresowej babulki, w grobach oznaczonych jednakową płytą. Mogiły przeważnie opuszczone, zarosnięte, bez kwiatów; widać, że bliscy wywędrowali już z East Moor w świat.

Sam obóz zresztą robi wrażenie zapuszczonego i wyludnionego. Tylko część z porozrzucanych bez widocznego planu benczek i baraków jest dziś zamieszkała (około 250 osób). Uderza brak gwaru, ruchu, zewnętrznych manifestacji istniejącego tu przecież życia. Tylko gdzieniegdzie przypominają je starannie utrzymane ogródki. Mieszkańcy to ludzie przeważnie starsi, których parokrotnie ponawiane obwieszczenia o zbliżającej się likwidacji hostelu, nie skłoniły do próby samodzielnego urządzania sobie życia. Na krok taki nie staje im często odwagi i energii, czasem do pozostania zmusza ich po prostu stan zdrowia i brak większych oszczędności. Czekają więc wiedząc z doświadczenia, że czynniki oficjalne jakoś się przecież nimi zajmą. Niektórzy marzą wprawdzie o osiedleniu się na stałe w „stolicy” — Londynie, ale ostateczną decyzję odkładają z miesiąca na miesiąc, z roku na rok.

Informacje o likwidacji hostelu, podawane do wiadomości publicznej, przy jednoczesnym przesuwaniu terminu na coraz dalszy, mają na celu „dobrowolne”, rozładowanie obozu, by przymusowemu przeniesieniu do innych hosteli poddać tylko tych, którzy urządzić się sami nie chcą lub nie mogą. East Moor, kiedyśmy w nim byli, robił takie wrażenie jakby już dojrzał do ostatecznej likwidacji. Później, w Londynie, dowiedzieliśmy się, że zapadła decyzja likwidacji tylko części obozu, położonej na gruntach prywatnych, i przeniesienia wszystkich pozostałych mieszkańców do baraków, znajdujących się na *Crown property* — ziemi państwowej. East Moor istnieć będzie jeszcze co najmniej parę lat.

W hostelu tego typu, opuszczonym przez najbardziej ruchliwą, energiczną część ludności, życie idzie na obrotach niezmiernie zwolnionych. Zbiorowe formy życia towarzyskiego, huczne zabawy i z wiejska sute weseliska, odczyty, seanse filmowe i przedstawienia teatru polskiego z Londynu, gry sportowe, zjazdy, akademie, a także zbierające się rano na pod-obozach (czyli tak zwanych *site'ach*) grupki kobiet w chustach i *welingtonach*, oczekujące na wyjazd ciężarówką do pracy na okolicznych angielskich farmach — wszystko to należy już do przeszłości. Jedyne obozowa kaplica funkcjonuje równie sprawnie jak kiedyś, zbierając mieszkańców hostelu na ranne msze i — zależnie od okazji i pory roku — na specjalne nabożeństwa: majowe, nieszpory, różaniec itp. Poza nawiasem parafii pozostaje tylko kilka rodzin „baptystów”, o których mówi się tutaj tonem poufnym i zgorszonym, jak o rodzinnym skandalu. Przynajmniej niektórzy z „baptystów” zostali podobno sekciarzami dopiero w East Moor. Otrzymujemy szeptane, choć nie koniecznie wia-

rogodne informacje o apostołskich metodach protestantów, sposobach „nawracania” i praktykach podpatrzonych jakoby przez nieszczęśliwie zaciągnięte firanki. Trudno powiedzieć ile w tym prawdy, że na przykład większość z „nawróconych” zrobiła to dla pieniędzy; lub że jedna z baptystek, zachorowawszy i czując, że zbliża się koniec życia, przywołała księdza aby pogodzić się ze swą dawną wiarą i umrzeć jak porządna katoliczka; następnie jednak, po przyjsciu do zdrowia, na powrót oddała się sekciarskim praktykom, tak że ksiądz obecnie omija jej barak, nie odwiedzając nawet mieszkających obok katolików.

Gdyby nie plotki, życie w hostelu byłoby bardzo nudne.

Ksiądz kanonik Bolesław Zabłudowski, kapelan obozowy, pełni jednocześnie obowiązki duszpasterza polskiego w odległym o kilkadziesiąt mil Hull. Jeździ tam swym nowym, lśniącym, nieskazitelnie czystym i mieniącym się *Volkswagenem*, zostawiając na czas nieobecności w domu, położonym nieco na uboczu, pewnych stróżów — dwa wielkie psy-wilki, piękne, hałaśliwe i złe. Ogródek przy wejściu do domu ogrodzony jest drucianą siatką, w korytarzu stoi rząd miseczek z psim obiadem; drzwi wszystkich pokoi pozostają niedomknięte, gdyż przytrzymują je specjalne poduszeczki — oryginalny pomysł księdza — tak że wilki w obrębie otaczającego barak parkanu mają swobodny dostęp do każdego zakątka. Potencjalni złodzieje nie mają żadnych szans.

Zachodzimy na chwilę do pokoju księdza, chociaż nie bez pewnej tremy. Wilki układają się przy nas, obgryzają kości na naszych butach, kręcą się po mieszkaniu. Ksiądz, łagodny wileńczuk o błękitnych oczach wodzi za nimi oczami. To jego towarzysze, przyjaciele i duma. W pokoju księdza, gdzie znajduje się także kancelaria, panuje nieład; ale wilki mają dzięki temu wszelką wygodę.

Można by przypuszczać, że w obecnej sytuacji, gdy życie w hostelu prawie zamarło, ksiądz zwiąże się ściślej z nowym, miejskim ośrodkiem w Hull. Odnieśliśmy wrażenie, że w rzeczywistości jest odwrotnie. Jednym z powodów jest być może trudna sytuacja w Hull. W tym oddalonym od głównych szlaków kacie emigracji, rozłam na „Zjednoczenie” i „Zamek” nie został dotychczas zaleczony nawet na terenie pracy społecznej i życia religijnego. Ksiądz skarżył się, że jakkolwiek się ustawi, jedna, lub obie strony mają do niego pretensję. Poza tym ksiądz przyzwyczaił się patrzeć na East Moor jako na pierwszą prawdziwą przystań po latach włóczęgi. W obozowej kaplicy, znalazły przytułek „skarby”, które ksiądz zebrał od chwili opuszczenia Polski. Jest tam więc figurka św. Antoniego, za pośrednictwem

której, jak twierdzi, doznał łask jeszcze w Rosji, otoczona obecnie stale kwiatami i wotami mieszkańców hostelu; stara kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, która przez lat z górą dwieście była w posiadaniu rodziny Kaczorowskich, a w czasie wojny przez ostatnią z rodu przekazana została księdzu... są pamiątkowe szaty liturgiczne i butelka palestyńskiego wina, którą przechowuje na chwilę, gdy wracając do wolnej Polski, postawi po tylu latach pierwszy krok na ziemi ojczyściej.

Ale jak na razie ksiądz zadomowiony jest w hostelu tak, jak i pozostający tu wciąż starzy jego mieszkańcy, zdecydowani trwać w obozie aż do likwidacji. Tyle tylko, że ksiądz ma swego *Volkswagena*. W szopie, w której to piękne auto stoi pod dachem podtrzymywanym przez zardzewiałe druty, rozwieszono są prześcieradła, celem chronienia karoserii od okupującej rdzy.

Jest coś niepokojącego w tym zestawieniu łagodnych, błękitnych oczu i miękkiego akcentu wileńskiego z groźnym ujadaniem wilków, szmaragdowym *Volkswagenem* pod prześcieradłami i pełną relikwii kaplicą, na której przekrzywiona sygnaturka wydaje jeszcze nikły dźwięk, zwołując gromadkę wiernych na nabożeństwo. Mieszkanie księdza, wilki, opuszczone baraki w okół, dalej płaskie pola, — życie przypominające samotność pustelników. W mieszkaniu stopy książek, stara biblia, ale ksiądz skarży się, że nie ma czasu czytać. Nawet gazety leżą nierozcięte.

Przed odjazdem z hostelu idziemy na kolację do państwa Piotrowskich. Pan Piotrowski, z zawodu inżynier-leśnik, od kilku lat chory jest na serce; o pracy, czy chociażby wyrwaniu się z obozu nie bardzo może być mowa. Życie państwa Piotrowskich jest monotonne, ale wypełnione po brzegi codziennymi zajęciami. Pani Piotrowska, świetna gospodyni, utrzymuje mieszkanie schludnie i bardzo ładnie; przy skromnych środkach zasiłku potrafi przyrządzać najlepsze potrawy; wiosną i w lecie jest mnóstwo pracy w ogródku; wieczorami zostaje trochę czasu na posłuchanie radia i przeczytanie polskich gazet: „Kultury”, „Wiadomości”, „Dziennika” i innych, przesyłanych przez znajomych z Londynu. Wizyty i rewizyty urozmaicają życie. A cóż dopiero, gdy zdarzy się okazja uczenia w obozowej szkółce — pani Piotrowska jest z zawodu z Polski nauczycielką... Życie płynie więc monotennie, ale nieprzerwanie. Jeżeli nastąpi przeniesienie do innego hostelu, będzie to wielka zmiana. Tymczasem państwo Piotrowscy martwią się, że nie uprzedziliśmy ich o naszym przyjeździe. „Kolacja taka skromna” — mówi pani Piotrowska, zastawiając stół wcale wybornymi przysmakami. Podziwiamy równowagę tych ludzi, ich ludzkość i pełną serdecz-

ności gościnność. Być ludźmi — to w tych warunkach wcale nie jest mało.

Stover

Hostelowi Stover likwidacja na razie nie grozi. Swego czasu był to jeden z „normalnych” obozów, zamieszkałych przez pracujące rodziny, z gromadą małych dzieci i własnym przedszkolem. Obecnie żyją tu ludzie niezdolni do zarobkowej pracy: samotni starcy, kalecy, chronicznie chorzy. Obóz leży w niezwykle malowniczej części Devonu, o parę mil od Newton Abbot. Sztynne rzędy baraków obramowane są z trzech stron zalesionymi wzgórzami. Z czwartej strony obóz dotyka szosy. Dojechawszy tu autobusem i wchodząc do obozu przez główną bramę, zwróciliśmy uwagę na ogłoszenie:

OKAZJA

W sali kina 11.IX.58 o 7.00 wieczorem sprzedaż licytacyjna przedmiotów pozostałych po śp. J. Hołowni i śp. J. Kaczmarku.

Podpisany: „Komitet Mieszkańców”. Wprowadzeni w ten sposób w atmosferę hostelu, szliśmy pomiędzy barakami z tym mieszanym uczuciem współczucia i winy, z jakim zawsze zdrowi wchodzą do szpitala. Wrażenie to wzmacniał jeszcze chłodny porządek obozu, widoczna na zewnątrz schludność baraków, i martwy, trochę opresyjny spokój. Gdźieniegdzie przed barakami siedzieli mieszkańcy, przeważnie ludzie starsi, lub fizycznie ułomni, wygrzewając się w skąpym słońcu. Idąc dalej jednak, trafiliśmy na przejawy życia krzepiące przez swą normalność: pojedyncze osoby krzątające się w pięknie utrzymanych warzywnych i kwiatowych ogródkach, dwie kumy plotkujące przez niski płotek, bawiące się piłką dzieci.

Najgłośniejszego i najbardziej chyba oryginalnego mieszkańca obozu, księdza Antoniego Głazewskiego, niestety nie zastaliśmy w domu. Wyjechał właśnie na parę dni do Londynu. Wiadomość ta zmartwiła nas, bo to co słyszeliśmy o osobie i działalności księdza kapelana, wyostrzyło nam apetyt na rozmowę. Ksiądz Głazewski jest amatorem-wynalazcą. W baraku swym podobno konstruuje jakieś dziwaczne maszyny i przeprowadza eksperymenty. Poza tym leczy, bezpośrednio i korespondencyjnie, stosując metody, które trącą jakimś nowoczesnym i nowatorskim znachorstwem. Jego pacjenci korespondencyjni,

przeważnie starsze panie, rekrutują się ze wszystkich części Wyspy. Z relacji, których niestety nie mogliśmy sprawdzić naocznie, ani potwierdzić rozmową z księdzem, dowiedzieliśmy się, że osobom, cierpiącym na różnego rodzaju chroniczne dolegliwości, poleca ksiądz Głażewski kupić zwój miedzianego drutu i nosić go przez parę dni wokół czaszki, pod włosami, po czym wysłać do niego, do Stover, „na badania”. Ksiądz kapelan przycina wtedy drut do długości określonej wynikiem badań i zwraca pacjentowi, do dalszego noszenia. Operacja powtarzana jest parokrotnie, a w międzyczasie pacjenci informują księdza o postępach kuracji. Podobno w wielu wypadkach poprawa następuje w błyskawicznym tempie.

Ogólnie biorąc chorzy w Stover cenią sobie bardzo obecność księdza Głażewskiego i wierzą w jego „praktyki”. Lekarze, nawet jeśli prywatnie przyznają się do pewnego sceptycyzmu, nie protestują przeciwko częstym wizytom księdza w miejscowej izbie chorych. Niewątpliwa popularność księdza otwiera mu wszystkie drzwi.

Naukowiec-wynalazca, cudotwórca, czy po prostu — dziwak? Zdania są oczywiście podzielone, ale — rzecz zdumiewająca — z daleka wyglądająca kontrowersyjnie sylwetka księdza Głażewskiego nie wzbudza w hostelu żadnego fermentu. Wraz ze swym „laboratorium” i „praktykami”, ksiądz jest zaakceptowany, jako część małej społeczności. Nawet ci bardziej sceptyczni mówią o nim nie bez pewnego rodzaju dumy.

Nie zastawszy księdza, odszukaliśmy panią Jadwigę Biszyńską, energiczną, młodą jeszcze kobietę (z dorastającą córką) pełniącą tu funkcję kierownika oświaty pozaszkolnej. Korzystając z pomocy p. Biszyńskiej, zwiedziliśmy hostel na ile pozwalały ograniczony czas i niezbyt stosowna pora (sobota po południu).

W Stover mieszka około 700 osób (oficjalne dane statystyczne z grudnia 1958 r. podają 589. Różnicę stanowi zapewne obsługa z rodzinami). Większość mieszkańców to ludzie starzy, niezdolni do pracy. Jest także trochę inwalidów wojennych i pewna ilość chorych, przeważnie gruźlików w stadium rekonwalescencji, którym podobno służy tutejsze powietrze. Obłożnie chorzy leżą w miejscowej izbie szpitalnej, pod opieką obozowego lekarza. Inni żyją mniej więcej samodzielnie, otrzymując własne łóżko, fotel, światło elektryczne, węgiel na opał, pościel i niezłe podobno, a w każdym razie kaloryczne jedzenie. Kucharze, Polacy, gotują ponoć w stylu raczej angielskim.

Pracujących zarobkowo poza obsługą właściwie nie ma. Zwiedziliśmy natomiast centrum terapii, prowadzone przez pana Steca, gdzie kilkunastu kalekich mieszkańców hostelu spędzało

właśnie czas całkiem produktywnie. Siedząc przy warsztatach tkackich i dziewiarskich (a niektórzy ręcznie) robili dywany, szale, zabawki, abażury itp. Gotowe produkty, zawsze barwne, czasem piękne i oryginalne, znoszono do imponująco bogatego magazynu. Wysyła się je potem na doroczną wystawę do Londynu, lub sprzedaje drogą licytacji w samym obozie. Dochód wraca do inwalidów.

Robotami ręcznymi zajmuje się i wielu innych mieszkańców hostelu, nie uczęszczających na terapię. Na przestrzeni ostatnich paru lat organizowano w Stover kursa dziewiarskie, koszykarskie, szydełkowania, malowania na porcelanie i inne. Wprawdzie frekwencja na kursach praktycznych nie jest, trzeba przyznać, wysoka (wg. danych statystycznych z 1.IV.1958 na nieokreślony bliżej kurs robót ręcznych uczęszczało 18 osób, a na kurs pisania na maszynie zaledwie 6), ale ilość osób zdolnych do wypełnienia sobie czasu pracą dającą zadowolenie, a czasem przynoszącą nawet skromny dochód, po mału się przecież powiększa. Ogólnie biorąc, bardziej popularne są kursy wymagające wysiłku raczej umysłowego, nie fizycznego. Na lekcje języka angielskiego na różnych poziomach uczęszcza wciąż kilkadziesiąt osób, serii wykładów o *Old English Paintings* wysłuchało 32 osoby, o literaturze angielskiej — 18 osób. Seria lekcji z historii Polski, prowadzonych oczywiście w języku polskim, zgromadziła 18 słuchaczy, podczas gdy frekwencja na wykładach historii architektury angielskiej, wygłaszanych po angielsku, wyniosła 34 osoby. Interesującym rysem imprez tego typu jest fakt, że gromadzą one nie tylko inteligencję. Wielu słuchaczy nie wyniosło z Polski wykształcenia nawet średniego.

Stover posiada wcale bogatą bibliotekę (4770 tomów), ale czytelnictwo, biorąc pod uwagę ilość wolnego czasu jakim mieszkańcy rozporządzają, nie jest imponujące. Cyfry za jeden z miesięcy zimowych, kiedy kontr-atrakcji jest niewiele, wynoszą: 320 tomów wypożyczonych przez 134 czytelników, z czego 102 czytało książki polskie, 32 angielskie. Świetlica posiada pisma w obu językach i telewizor.

Teoretycznie więc mieszkańcy Stover nie powinni mieć kłopotu z wypełnieniem sobie dnia. Przeciętnie wygląda to tak: po śniadaniu praca we własnym ogródku, i — ewentualnie — spacer w pobliskim lesie, jesienią połączony ze zbieraniem obfitych tutaj grzybów. Po obiedzie odpoczynek, drzemka, może książka. Wieczorem świetlica i telewizja. Dla upartych społeczników znajdzie się zajęcie w miejscowym Kole SPK, komitecie mieszkańców, czyli „rezydentów”, lub nawet w szkole sobotniej. Nie bez zdziwienia bowiem dowiedzieliśmy się, że w hostelu

jest około 70 dzieci w wieku szkolnym. Rodzice — częściowo personel, częściowo rezydenci — wysyłają je do okolicznych szkół angielskich (np. trzech chłopców jeździ do *grammar school* w Newton Abbot), ale dzięki obozowej szkole sobotniej prawie wszystkie dzieci poprawnie mówią, czytają i piszą po polsku.

Nasze obserwacje, z konieczności powierzchowne, pozwalają jednak stwierdzić, że obóz prowadzony jest dobrze, by nie powiedzieć „wzorowo”. Niczyją winą nie jest ciężka, smutna atmosfera hostelu. Smutek jest chyba organicznie związany z samotną starością — trudno oczekiwać beztroskiego nastroju od ludzi wyrzuconych na margines życia. Poza tym wśród ludzi w podeszłym wieku, często schorowanych, lub inwalidów, śmierć jest częstym i nieraz nagłym gościem. Zdarzają się też wypadki mniej poważne, ale niemiłe, z których każdy na jakiś czas burzy spokój małej, zastygłej społeczności. Tak np. kiedyś z izby chorych wyszedł pacjent, w szlafroku i miękkich pantoflach, wszedł w las i przepadł. Następnego dnia znaleziono go, kompletnie wyczerpanego, o kilka mil od hostelu. Zabłądził.

Northwick Park

Hostel Northwick Park leży na stokach *Cotswold*ów. Łańcucha wzgórz, przebiegającego przez zachodnią część *Midlandów*. Jest to zakątek cichy i krajobrazowo ładny, odległy o kilka mil od ubitych szlaków, a jednocześnie położony blisko wielu miejsc dobrze znanych turystom. *Chipping Camden*, dawny wielki rynek wełny, sławny już w XIV wieku, pełen resztek dawnej świetności, jest najbliższym miastem. Nieco dalej leży *Broadway*, wieś-muzeum, pokazywana Amerykanom jako autentyczny zabytek starej Anglii, a na północ, schodząc ze wzgórz na równinę, — *Stratford-on-Avon*, miejsce urodzenia Szekspira. W okolicy tej występowała do niedawna pewna koncentracja Polaków, bo powyżej Northwick, w odległości dobrego spaceru, znajdował się hostel *Springhill Lodges*, a niedaleko *Stratfordu*, w *Long Marston*, obóz dla Polaków pracujących w tamtejszej składnicy wojskowej. Hostel w *Springhill Lodges* został już ostatecznie zlikwidowany.

W Northwick Park mieszka dziś nieco poniżej 700 Polaków. Jest to więc jakby duża polska wieś, czy, biorąc pod uwagę, że roli tu nie uprawiają, małe miasteczko. W odróżnieniu od *Stover*, Northwick kipi życiem, szczególnie w czasie *week-end*ów. Dzieci spotyka się tu dużo, młodzieży niewiele. Gros

mieszkańców obozu to rodziny, przeważnie z dziećmi w wieku szkolnym.

Jest to społeczność kompletna i z wyjątkiem może szczupłych potrzeb kulturalnych, samowystarczalna. Jest kaplica i ksiądz, doktor i szpitalik, szkoła, poczta i sklepik. Tradycje i obyczaje przywiezione z Polski żyją tu w sposób naturalny, nie, jak to się dzieje w środowiskach miejskich, dlatego, że są sztucznie pielęgnowane. W okresie Bożego Narodzenia ksiądz chodzi po kołodzie; od chaty do chaty. Odtąd na większość roku pozostają święconą kredą nad drzwiami baraku skreślone K-M-B (Kacper, Melchior, Baltazar). Po karnawale przychodzą nabożeństwa wielko-postne, potem majowe, odprawiane czasem na świeżym powietrzu, przed wzniesioną przez mieszkańców obozu kapliczką z figurą Matki Boskiej. Tak jak w Polsce na wsi, wiele osób żyje tu według kalendarza kościelnego (z innych zwyczajów śmigus-dyngus raczej już zaniknął, natomiast Prima-Aprilis utrzymuje się nadal). Niedzielną msza jest wydarzeniem tygodnia. Odświętnie ubrani schodzą się ludzie do kaplicy (za kaplicę służy też, jak w wielu innych hostelach, „beczka śmiechu”, starannie udekorowana i wyposażona we wszystko, od obrusów, aż po stacje Męki Pańskiej), by, poza wypełnieniem obowiązku katolika, zauważyć, co sobie kto sprawił nowego i czy mu w tym do twarzy.

Oczywiście, Northwick nie ogranicza się do podtrzymywania tradycji związanych z religią. Co jakiś czas odbywają się zabawy, obozowe i prywatne; sport jeśli nie kwitnie, to jest w każdym razie wciąż uprawiany; istnieje chór i kółko dramatyczne (w tej dziedzinie tradycja czasów przedwojennych raczej nie sięga), działa kino obozowe. Wszystko to ma charakter bardzo swojski, wyrasta sobie mniej więcej swobodnie w hostelowej atmosferze. Wpływy świata tubylców, świata, w którym mieszkańcy obozu spędzać muszą bądź co bądź przeciętnie ponad 40 godzin tygodniowo, wydają się nie przenikać granic Northwick Park. Praca, obecność Wardena, czyli angielskiego kierownika hostelu, w chatce na uboczu, angielskie regulaminy, to rzeczy z innego wymiaru, nie naruszające sielskiej polskości obozu.

Stosunek do tubylców, adaptacja, przystosowanie się do życia w obcym społeczeństwie, to sprawy, wyglądające w Northwick Park dosyć dziwnie. Zaczniemy od szkoły.

W Northwick Park istnieje polska szkoła powszechna. Jeszcze przed paru laty uczęszczało do niej 140 dzieci, obecnie (rok 1958-59) jest ich 82. Szkoła wyposażona jest doskonale, dzięki temu, że wiele likwidujących się hosteli, przekazało ma-

jątek swych szkół do Northwick. Dzieci podzielone są na cztery klasy, 12 lat stanowi górną granicę wieku. Oficjalny program szkoły jest sumą programu szkoły brytyjskiej z dodatkiem przedmiotów polskich. W teorii lekcje, z wyjątkiem polskich, prowadzone są w języku angielskim, ale praktycznie mówi się przez cały czas po polsku. Trudno się dziwić: dzieci nie mają okazji nauczyć się języka poza szkołą. Spotykamy tu odwróconą sytuację ze środowisk miejskich. Dzieci trudno jest zmusić, by mówiły po angielsku. Nic dziwnego, że ostatnio rodzice zabierają dzieci z polskiej szkoły często jeszcze przed jej ukończeniem. Alternatywa — okoliczne szkoły angielskie — też budzi zastrzeżenia. Ani najbliższa stąd szkoła w Blockley, ani zakład katolicki w *Chipping Camden*, ani *Modern School* w Moreton, nie imponują poziomem. A nie wszyscy podzielają wypowiedzianą tu kiedyś cynicznie opinię, że „większość dzieci nadaje się tylko do łopaty, wszystko jedno, czy do polskiej czy angielskiej”.

W niedalekiej przyszłości, zapewne za rok, lub dwa, przewiduje się zamknięcie szkoły. Trudno jest powiedzieć, czy hostel odczuje to jako poważną stratę. Ludziom pracującym, z drobiazgiem dziecięcym, dałby się zapewne we znaki brak klasy przedszkolnej, istniejącej obecnie. Nowością byłyby też dzieci, mówiące biegle po angielsku, dzieci, o których polszczyznę trzeba dbać.

Kontakty dorosłych z życiem angielskim są całkiem ubogie. Jest rzeczą charakterystyczną, że chociaż w hostelu żyją pary skojarzone już tutaj, nie ma ani jednego wypadku małżeństwa polsko-angielskiego. (Jedno małżeństwo mieszane mieszkało kiedyś w sąsiednim *Springhill Lodges*). Stosunki z okolicznymi Anglikami wcale nie są złe; jest ich po prostu bardzo mało, a tam gdzie istnieją, noszą charakter raczej sztuczny, nie przerażają się w zażyłość. W dalszym więc ciągu, po latach sąsiedztwa, trzeba „organizować” polsko-angielskie kontakty. Istnieje więc polsko-angielski klub szachowy, działa — i sądząc po cyfrach frekwencji — musi być popularne *Anglo-Polish Society*. Do *Anglo-Polish* należy 120 mieszkańców hostelu (cyfra z I.IV.1958). Zebrania odbywają się co dwa miesiące, na zmianę na terenie polskim i angielskim. Anglicy do obozu dojeżdżają wynajętymi specjalnie autobusami; dla Polaków zebrania urządzane są czasem w klubie dyskusyjnym w Blockley. Zdarzyło się raz, że polskich artystów z Londynu zaproszono do kamiennego pałacu, stojącego tuż obok hostelu, a należącego do kuzyna Churchilla i urządzono, dla polsko-angielskiej publiczności, wieczór polskiej muzyki.

Jeżeli więc chodzi o formę kontaktów, nie wiele się tu zmieniło od lat dziesięciu, czy nawet od czasu wojny. Ze strony polskiej w dalszym ciągu tłumacz. Inteligenci szukają Anglików wciągających jakimś językiem kontynentalnym, francuskim lub niemieckim, w którym potrafią prowadzić błyskotliwą, salonową rozmowę. Przypuszczać należy, że wszystko zaczyna się i kończy na wymianie wzajemnych uprzejmości. Podziwiać należy wytrwałość obydwu stron. Natomiast nie zauważyliśmy owej ostrej niechęci do Anglików a nawet do wszystkiego co angielskie, jaka cechowała wielu mieszkańców hosteli jeszcze kilka lat temu.

Mniej więcej w okresie naszej wizyty w Northwick Park, hostel przeżywał dość głębokie zmiany. Sporą grupę ludzi samotnych i niezdolnych do pracy wywakuowano do Stover, w obozie zapowiedziano likwidację wspólnej kuchni. Dotychczas bowiem, część mieszkańców prowadziła samodzielne gospodarstwa, reszta zaś korzystała z obozowej kuchni. Zniesiono stanowisko Kierownika Oświaty poza-szkolnej (*Education Organizer*) Jego funkcje przejął Komitet Kulturalno-Oświatowy, w skład którego weszli prezesi miejscowych komórek polskiej organizacji społecznych (SPK, Związek Inwalidów, ZRRP, Akcja Katolicka, PMS). Na czele Komitetu stanął p. Kapica, poprzedni E.O. Komitet załatwia najbardziej oczywiste i uświęcone tradycją potrzeby kulturalne, np. sprowadza i opłaca przedsiębiorcę z aparaturą filmową, ale brak *full time* organizatora musi w konsekwencji prowadzić do zubożenia życia kulturalnego hostelu. Szczególnie że doświadczony i energiczny p. Kapica, miał zamiar opuścić Northwick i osiedlić się w Londynie.

Przeorganizowany w typową *Housing Estate* hostel istnieć będzie nadal, prawdopodobnie przez długie jeszcze lata. Ludzie, ci co pozostali, przyzwyczaili się do tego trybu życia, a pracy w okolicy nie brak. Część dojeżdża co rano do składnicy wojskowej w Long Marston, inni pracują na budowie czy w fabrykach. Na terenie samego Northwick jest fabryczka przetworów owocowych, zatrudniająca chętnie kobiety.

O bezpośrednią przyszłość tej polskiej wsi w *Cotswoldach* możemy być więc spokojni.

Penrhos

Specyficzny charakter ma osiedle polskie w Penrhos, niedaleko miasteczka Pwllheli, w hrabstwie Caenarvon, obejmu-

jącym zachodnio-północny cypel Walii. Okolica jest piękna, pagórkowata, zadrzewiona. Z Pwllheli do obozu jest około dwie mile: droga wiedzie wśród farm i pastwisk; za pastwiskami, od południa — morze, zatoka Tremadoc.

Obóz powstał w r. 1949. Początkowo miał służyć jako ośrodek wyłącznie dla oficerów polskich, którzy po rozwiązaniu PKPR nie mieli by się gdzie podziać. Większość z nich jednak potrafiła urządzić się na własną rękę, i z braku zgłoszeń, zaczęto przyjmować i nie-oficerów. Stąd przekrój około 200 mieszkańców jest dość różnorodny: od pełnych analfabetów do profesorów uniwersytetu (mieszkał tu przez pewien czas prof. Kościółkowski), od szeregowych po generałów (np. gen. Wołkowyski, bohater jeszcze spod Czuszimy).

Specyfikę obozu stanowi od początku jego czysto polska administracja. Władze angielskie wpłacają jedynie na ręce administracji należny każdemu mieszkańcowi zasiłek *Assistance Board*, który obejmuje także kwotę 7/6 na osobę tygodniowo *pocket money* (kieszonkowego). Obok administracji sprawy obozu prowadzi Zarząd, do którego wchodzi przedstawiciele organizacji społecznych jak SPK, Związek Inwalidów i in. Kierownik administracji, którym od lat już jest energiczny inż. Strzeszewski, zasiada w Zarządzie.

Inną specyfiką obozu jest przeciętny wiek mieszkańców: 65 dla mężczyzn, 64 dla kobiet. Do obozu przyjmowano bowiem z zasady mężczyzn tylko od lat 65 wzwyż, kobiety od lat 60 wzwyż. Wyjątki dla młodszych robiono jedynie w wypadku ludzi poważnie chorych. Stąd w pewnym okresie do obozu nie łatwo było się dostać, szczególnie, że cieszył się on bardzo dobrą opinią.

Mimo tej dobrej opinii, uzasadnionej jeśli chodzi o stronę administracyjną i wygody, życie w obozie nie jest ani za wesołe ani też nie obfituje w wydarzenia.

Grupa inteligencji, która znalazła tu schronienie przed koniecznością walki o byt w obcym społeczeństwie, stara się utrzymać życie kulturalne na pewnym poziomie, z coraz to większym trudem. Kilka lat temu do obozu zjeżdżały polskie teatry; odbywały się częste odczyty prelegentów miejscowych i przyjezdnych; zorganizowano własnym sumptem teatrzyk satyryczny kukielki; poza tym obóz posiada dobrze wyposażoną bibliotekę i nieco gorzej wyposażoną czytelnię czasopism.

Z osób szerzej znanych, szczególnie czytelnikom „Wiadomości”, mieszka tu poetka, pani Bogdanowiczowa z mężem; o smak muzyczny mieszkańców dba plk. Powieża, posiadający spory zasób płyt najlepszych orkiestr i kompozytorów. Urządza

on od czasu do czasu „koncerty z płyt”, cieszące się pewnym powodzeniem. Malarstwo jest zamiłowaniem p. Schmidta, długoletniego prezesa miejscowego koła SPK. Z innych ciekawych ludzi trzeba wymienić p. Franciszka Lisa, który z przedwojennego prezesa sądu okręgowego w Łucku przedzierzgnął się w znawcę języka walijskiego i... lingwistę. P. Lis, nauczył się języka walijskiego już w osiedlu, korzystając z pomocy walijskich przyjaciół. Rezultatem była pewna ilość tłumaczeń z walijskiego na polski poematów i sag, m.in. cztery części sag zwanych „Mabinogie”, a także kilku wczesno-średniowiecznych żywotów świętych. Jeden z tych żywotów odbiega dosyć mocno od konwencjonalnych wzorów. Jak wiadomo, Walijszczyki przyjęli chrześcijaństwo nieco wcześniej niż Anglicy. Późniejsza więc preponderancja Anglików na polu kościelnym nie bardzo szła im w smak. Stąd też chęć podkreślenia walijskiej wyższości nad rywalami. Przykładem tego jest żywot św. Patryka, przetłumaczony przez p. Lisa. W żywocie tym św. Patryk nie tylko „pochodzi” w prostej linii od siostry Najświętszej Marii Panny, ale stawiany jest także jako przykład „tężyzny” męskiej (nie ma wręcz wsi, gdzie nie byłoby jego potomków).

Jako lingwista p. Lis skupił się głównie na badaniach nad podobieństwem rdzeni wyrazów polskich i walijskich, do czego znakomicie mu posłużył znajdujący się w bibliotece słownik Lindego — i doszedł do wniosku, że w wielu wypadkach podobieństwo jest uderzające. To dało mu asumpt do ułożenia porównawczego słownika walijsko-bałto-słowiańskiego, a nawet wypracowania teorii tłumaczącej tę raczej niezwykłą zbieżność. Słownik porównawczy liczy około 2.000 pozycji.

Na tym tle jest ciekawostką, że wyraz na określenie Polski dopiero niedawno wszedł do języka walijskiego. Brzmi on: *Pwyl*. Także stosunkowo niedawno ukazał się szkic literatury polskiej w języku walijskim, napisany przez prof. T. Hudson-Williamsa. Tytuł szkicu: *Bannau Llen Pwyl* — co się tłumaczy „Zarys literatury polskiej”. Obok wstępu znajdujemy tam tłumaczenia fragmentów z „Trylogii” i „Latarnika” Sienkiewicza, „Chłopów” Reymonta, z Orzeszkowej a także wiersze Konopnickiej, Kasprowicza i Słonimskiego.

Tak więc próby utrzymania życia kulturalnego i zainteresowania indywidualne zajmują czas miejscowej inteligencji. Największe ożywienie przynosi jednak lato. Rok rocznie w okresie letnim przybywa do osiedla około 100 letników. Jest to zdaniem kierownika administracji jedna z ważnych funkcji osiedla. Polacy zjeżdżają tu z najdalszych zakątków świata: Afryki, Ameryki; a także z Londynu czy pobliskiego szpitala polskiego w Penley.

Przyjeżdżają w odwiedziny, w celach wypoczynkowych (w roku 1959 był tu z wizytą gen. Anders), a czasami po prostu — by się po długim niewidzeniu — tu właśnie spotkać. Ostatnio coraz więcej jest przyjezdnych z Polski.

Na ten czas osiedle mocno się ożywia; po ulicach uganiają dzieci; w barakach toczą się rozmowy; osiedle chłonie wieści z całego świata. Poza tym letnicy to dla osiedla i mieszkańców poważny dochód.

Rolę atrakcji odgrywa tu niewątpliwie zaciszne położenie, krajobraz, dobre warunki (centralne ogrzewanie, w łazienkach bieżąca woda, gorąca i zimna), polska kuchnia i wreszcie stosunkowo niska cena. W osiedlu jest ponadto kawiarnia i sklepik, ładnie urządzona kaplica, bardzo blisko jest plaża i bezpłatny kort tenisowy.

Zainteresowania nie-inteligenckiej części mieszkańców osiedla koncentrują się w dużej mierze na warzywnictwie. Jest to dla nich, poza zajęciem, także i źródło dochodu, gdyż administracja zakupuje od hodowców produkty ich pieczołowitej pracy na około £ 200 rocznie. A ogródki są rzeczywiście pieczołowicie uprawiane, stanowiąc dumę obozu. Wiele tu także kwiatów, strzyżonych żywopłotów i trawników. Baraki (nie becзки) pomalowane na biało, wyglądają bardzo schludnie. Osiedle odwiedzane jest często przez Walijczyków, którzy z reguły podziwiają polską hodowlę, np. posadzonych pod sznurek kartofli.

W osiedlu istnieje także życie społeczne, wewnątrz-organizacyjne, skupione głównie przy SPK i Związku Inwalidów.

Dopiero w takim obozie, z dala od wszelkich centrów życia polskiego, można ocenić znaczenie prasy polskiej, w tym wypadku szczególnie „Dziennika”. Wystarczy tylko rano, we wspólnej stołówce, poobserwować z jaką chciwością mieszkańcy chwytają swoje egzemplarze tego pisma, zapominając nieraz o jedzeniu. Mimo narzekania, stwierdzeń w rodzaju „nudna gazeta”, „Dziennik” połyka się tu jak narkotyk. Czytanie jego weszło w nałóg.

Oczywiście, w osiedlu nie brak i spraw przykrych: psychika ludzi odstawionych na boczny tor nie należy do przyjemniejszych. Szczególnie, gdy ludzie ci nie muszą właściwie robić żadnego wysiłku żeby żyć całkiem wygodnie i może nawet za bardzo spokojnie. Wytwarza się pewien egoizm, połączony z kaprysem i skłonnością do psychicznej „nadkwasoty”. Ale osiedle spełnia swoją rolę dobrze: daje przytułek ludziom starszym, służąc równocześnie jako *holiday camp* w okresie letnim. Połączenie tych dwóch funkcji jest ze wszech miar korzystne i materialnie i psychicznie.

HOSTELE — WCZORAJ I DZIŚ

Jak już pisaliśmy, hostele to faza dziejów emigracji już należąca do przeszłości. Resztki hosteli, jakie pozostały, interesujące są więc nie tylko same w sobie, ale i jako próbki powszechnych kiedyś form. Likwidacja hosteli, obecnie w stadium końcowym, była dla społeczności polskiej wstrząsem wielkim, o ważnych konsekwencjach. Niesposób jest pojąć rozmiarów tego wstrząsu bez szkieletowego przynajmniej zaznajomienia się z historią hosteli i ich znaczeniem dla emigracji. Chociaż więc interesuje nas przede wszystkim w tej książce teraźniejszość, musimy się cofnąć na chwilę o lat — mniej więcej — dwanaście.

Z punktu widzenia gospodarzy, tworzenie hosteli było najprostszym i kto wie czy nie jedynym rozwiązaniem problemu rozsiadlenia Polaków. Przemawiał za tym, między innymi, ostry kryzys mieszkaniowy w powojennej Anglii, a także narosłe w tym czasie napięcia pomiędzy Polakami a ludnością tubylczą.

Dla Polaków hostele były najczęściej przedłużeniem warunków w jakich żyli nieraz od początku wojny: żołnierze w koszarach i na kwaterach wojskowych, potem w obozach PKPR, ich rodziny w barakach osiedli i obozów porzrzucanych od Indii po Rodezję. Życie w zorganizowanej grupie stało się normą i drugą naturą, nawet jeżeli było odczuwane jako ciężar. Próba usamodzielnienia się stawała się aktem odwagi osobistej; decyzja pozostania w hostelu przychodziła łatwo.

Z obozu PKPR do hostelu, z osiedla rodzinnego do hostelu — dla niektórych przejście odbywało się prawie niepostrzeżenie.

Trudno jest ustalić dokładne dane statystyczne, dotyczące pierwszych lat rozsiadlenia. Odbywał się wtedy nieustanny ruch ludności pomiędzy hostelami (nie koniecznie z wyboru; przymusowe transfery jednostek i całych grup były wtedy na porządku dziennym; niektóre obozy traktowane były po prostu jako tranzytowe). Zanim uporano się z problemem rozsiadlenia wojska (PKPR), rozpoczął się napływ tzw. *E.V.W's* (*European Voluntary Workers*) czyli wolontariuszy europejskich, rekrutowanych do Anglii jako siła robocza spośród dipisów w obozach niemieckich i austriackich. W ramach tej akcji, w latach 1947-49, przybyło na wyspę ponad 14.000 Polaków (wg. cyfr oficjalnych 14.018, w czym 4.667 kobiet i 9.351 mężczyzn). Prawie wszyscy początkowo rozmieszczeni zostali w hostelach.

Jednocześnie przybywały transporty rodzin polskich zza morza: z Indii, Afryki, Libanu itd. W samym tylko roku 1947 przyjechało do Anglii tą drogą około 7.000 ludzi. Pojedyncze grupy przybywały jeszcze, zwiężając się strugą, przez następne

trzy lata. Ostatnie transporty z Afryki wschodniej i Libanu wyładowały się w Anglii w 1950 r. Uznać można, że ta data zamyka dopływ Polaków do hosteli.

Cyfry dotyczące dwóch transportów z 1950 roku mówią, jak wielki procent przybyszów trafiał do hosteli. Z grupy z Libanu, liczącej 711 osób, do hosteli zjechało 670 osób; z 1244 osób przybyłych ze Wschodniej Afryki, 1211 znalazło się w hostelach. Inni zapewne dołączyli do członków rodzin, którzy zdążyli urządzić się już samodzielnie.

Mimo, że obliczenie dokładnych cyfr ogółu mieszkańców hosteli jest niesłychanie trudne, obraz ogólny jest całkiem wyrazisty. W latach 1947-1948, kiedy istniał jeszcze PKPR, ogromna większość Polaków, znajdujących się na wyspie (tzn. ponad 100.000) mieszkała w obozach. Przez „fazę hostelową” w tej czy innej formie, przeszedł prawie każdy. A form tych było dużo. Dla przykładu: według spisu datowanego lipiec 1949, na terenie W. Brytanii istniało 459 hosteli zamieszkałych wyłącznie lub częściowo przez Polaków. (Dowodem ciągłego ruchu ludności pomiędzy hostelami jest fakt, że spis nie podaje stanów nawet w przybliżeniu). 173 hostele prowadzone były przez *National Service Hostels Corporation*, 50 przez *Agricultural Education Committee*, 2 przez *National Coal Board*, 9 podlegało YMCA'ę, 28 *National Assistance Board*. Poza tym istniało 8 hosteli prywatnych i 168 podległych różnym innym, przeważnie lokalnym instytucjom. Charakter hosteli określało zatrudnienie mieszkańców. Istniały wtedy 64 hostele przemysłowe, 84 rolnicze, 2 tekstylne, 63 górnicze. Z pozostałych część miała charakter mieszany, co do reszty brak konkretnych danych¹.

Przy tej różnorodności, próba pobieżnego choćby opisanie wszystkich typów hosteli, nie zmieściłaby się w ramach tej książki; wymagałaby osobnego, obszernego studium. Wiele z nich, były to twory czasowe — dorywcze pomieszczenia w obozach po-wojskowych, po-lotniskowych czy po-szpitalnych, dla samotnych robotników — które rozlatywały się i przestawały istnieć w przeciągu miesięcy. W tych hostelach nie było czasu by życie ująć w jakieś zorganizowane, trwałe formy. Tylko niektóre, niekiedy wbrew intencjom, przetrwały okres dłuższy. Ostatnie cztery hostele pod zarządem NSHC zlikwidowane zostały dopiero w 1955 r., a parę obozów tego typu — dla samotnych męż-

1. Por. W.A. Zbyszewski „Syberia obozowa w Anglii” (*Kultura*, 9/35, 1950). Autor wymienia następujące rodzaje hosteli: rodzinne, dla samotnych mężczyzn i samotnych kobiet, rolnicze, przemysłowe, dla inwalidów, starców, sierot i obłąkanych.

czyn, pracujących w bezpośredniej okolicy hostelu — istnieje do dziś. Wróćmy do nich jeszcze przy końcu tego rozdziału.

Nieco dłużej zatrzymać się warto i trzeba nad historią hosteli rodzinnych, które znalazły się pod zarządem *National Assistance Board*. W odróżnieniu od reszty, hostele NAB oparte były o stosunkowo długofalową politykę, w konsekwencji czego posiadały jednolitą strukturę organizacyjną. W życiu emigracji ta właśnie grupa obozów odegrała pierwszorzędną rolę. Ponadto, istnieją na temat tej grupy dokładne i wyczerpujące dane². Pod zarządem NAB znajdują się też trzy hostele opisane powyżej: East Moor, Stover i Northwick.

Pierwsze hostele NAB powstały na przełomie 1946-47 roku, ale założenia programowe i formy organizacyjne rozwinęły się dopiero po okresie pierwszych doświadczeń. Nastąpił podział kompetencji pomiędzy NAB i Komitet Oświaty (tzw. *Committee for the Education of Poles in Gt. Britain*), z tym, że urzędnicy NAB ograniczyli się do spraw administracyjnych i ściśle bytowych, resztę pozostawiając przedstawicielom Komitetu. Oto jak skryształizowane już założenia i zadania pracy w hostelach określa „Memorandum” z 1948 r., zatytułowane „Przyszłość oświaty dla dorosłych w polskich hostelach”.

Powołanie do życia polskich hosteli dla byłych żołnierzy i ich rodzin, którzy nie mają zamiaru wracać do Polski (dosłownie: nie pragną — *have no desire*) ma jedno na celu: — możliwie szybko i skutecznie przystosować i rozmieścić w życiu cywilnym tych Polaków albo w Anglii, gdzie staną się częścią społeczności brytyjskiej, lub, na mniejszą skalę, umożliwić im emigrację do innych krajów. Tak więc „hostelowy etap” planu ma charakter czysto przejściowy, ale od jego powodzenia lub niepowodzenia zależy będzie późniejsze szczęście wielu tysięcy Polaków zaczynających życie od nowa w obcym kraju. Sprawa ich zatrudnienia, co może stanowić poważną pomoc dla brytyjskiej produkcji, nie dotyczy nas bezpośrednio; ale oświata dla dorosłych pośrednio może się walcie przyczynić do rozwiązania problemu. Nasz współludział można ująć w następujących punktach:

1) Dobrze postawiona nauka angielskiego, jako niezbędna podstawa sukcesu całego planu.

2) Zapoznanie mieszkańców hosteli z brytyjskim stylem życia, z naciskiem na zwyczajne, codzienne życie kraju.

3) Podniesienie ogólnego poziomu społeczności hostelowych pod względem oświatowym i kulturalnym poprzez:

a. zwalczanie analfabetyzmu, który niewątpliwie istnieje,

b. umożliwienie mieszkańcom jak najściślejszego kontaktu z brytyjską kulturą.

4) Organizowanie, gdziekolwiek to jest możliwe, kursów praktycznych, jak robót ręcznych, haftów, garbarskich itp., w celu przygotowania mieszkańców do wzięcia udziału w produkcji gospodarki brytyjskiej.

2. Szczególnie *National Assistance Board Annual Reports*.

5) Pomoc w stworzeniu, w czasie „hostelowego etapu” eksperymentu samodzielnej i szczęśliwej społeczności, która nie czułaby się odizolowana od głównego strumienia życia brytyjskiego, ani od swych rodaków w innych hostelach.

W pierwszym okresie realizacja tych zamierzeń utrudniona była niezmiernie przez wspomniane już ruchy hostelowej ludności, które nie omijały i hostelów NAB. W tych warunkach prawie niemożliwością było zrealizowanie poważnego programu szkolenia, a tym bardziej stworzenie spoiстых hostelowych społeczności. Problem nabrzmiewał w miarę przyływu ludności i wzrostu liczby hosteli. Raport z 25.IV.1947 r. wymienia 11 hosteli pod zarządem NAB, zamieszkałych przez ponad 4.600 Polaków. Z końcem roku cyfry te wzrosły do 37 hosteli z liczbą 16.429 mieszkańców. Liczba hosteli najwyższy swój punkt osiągnęła w marcu 1948 roku — 43. W grudniu 1949 roku istniało już tylko 27 hosteli zamieszkałych przez 13.865 osób, w tym około 11.000 dorosłych. Rok później liczba hosteli zmniejszyła się do 26, ale liczba mieszkańców, z uwagi na transporty Polaków z Afryki i Libanu, wzrosła do 14.263. Natomiast w grudniu 1951 roku, po zaabsorbowaniu ostatnich transportów i dołączeniu obozu polskiego w Penrhos, w 24 hostelach mieszkało już tylko 12.363 osoby. Od tego czasu obserwujemy stały spadek stanów. W grudniu 1952 r. w 23 hostelach mieszkało 11.606 osób; w tym samym miesiącu 1953 r. — 10.512 osób w 21 hostelach; w grudniu 1955 r. — 7.892 w 17 hostelach, a w tym samym miesiącu 1958 r. — już tylko 3.711 osób w 9 hostelach.

Problem zatrudnienia rozwiązany został stosunkowo szybko i pomyślnie. Brak cyfr odnośnie wczesnego okresu, ale już 1.IV. 1949 pracowało 54,2 % dorosłych mieszkańców hosteli NAB; proporcja zatrudnionych wzrastała aż do 64,3% w r. 1953. Pamiętajmy, że ogromna większość Polaków mieszkała w obozach z rodzinami, i że wśród dorosłych znajdowała się pewna grupa ludzi niezdolnych do pracy. W każdej więc rodzinie zarabiała przynajmniej jedna osoba, a często więcej niż jedna. Większość zatrudniona była w budownictwie, rolnictwie i przemyśle, w charakterze robotników niewykwalifikowanych. Kobiety pracowały, oprócz rolnictwa, głównie w tekstylu i fabrykach, np. czekolady. Polacy zdobyli sobie szybko opinię robotników wartościowych i wydajnych. Pracę zmieniali wprawdzie często, co nie zawsze spotykało się ze zrozumieniem pracodawców, ale bezrobocia unikali, jak ognia³.

3. Już Raport NAB z 1948 r. notuje wielką troskę Polaków aby stanąć na własnych nogach pod względem zarobkowania.

Stabilizacja życia w hostelach oznaczała krzepnięcie form i większe możliwości prowadzenia planowej polityki, a także obserwowanie jej rezultatów. Aparat administracyjny składał się głównie z personelu polskiego. W roku 1949 personel ten liczył 2.227 Polaków i 248 Brytyjczyków. Już w rok później liczba Polaków w administracji spadła do 1.494 osób. Liczba ta zmniejszała się w dalszym ciągu w miarę jak coraz więcej mieszkańców rezygnowało ze wspólnej kuchni i przechodziło na własne gospodarstwo.

W każdym hostelu postacią kluczową był „E.O.” — *Education Organiser*, po polsku znany jako Kierownik Oświaty Poza-szkolnej (reprezentant Komitetu Oświaty) — lub po prostu Oświatowy. Oto jak p. Donigiewicz — stojący na czele sekcji Oświaty Pozaszkolnej Komitetu sformułował jej cele w marcu 1948 roku:

- a) Zapelnąć braki w wykształceniu,
- b) rozwinąć późno-dojrzewające zainteresowania i zdolności,
- c) pomóc uczniom w przystosowaniu się do środowiska, w którym będą musieli żyć,
- d) rozbudzić ukryte zdolności intelektualne,
- e) zorganizować i dopomóc w rozwoju zajęć w czasie wolnym od pracy,
- f) pomóc w przyswajaniu zdrowego, pozytywnego światopoglądu (*a wholesome philosophy of life*).

Czytamy dalej:

Przewodnią myślą w tej pracy winno być wzmocnienie istniejących powiązań Polaków z cywilizacją zachodnią. Rozumiemy przez to nie tylko przyswojenie uznanych wartości cywilizacji zachodniej, ale także twórczy udział w obecnej mobilizacji sił ducha, możliwej w panującej w tym kraju atmosferze wolności. Koniecznym jest do tego stworzenie ułatwień, umożliwiających Polakom przechowanie dziedzictwa ich własnej kultury. Liberalizm w dziedzinie kulturalnej jest najlepszą drogą do stworzenia rzeczywiście wartościowych robotników, gotowych do odegrania pozytywnej i twórczej roli w środowisku, w jakim się znaleźli. Gwałtowne zerwanie więzów z kulturą narodową mogłoby prowadzić albo do wewnętrznych, psychicznych konfliktów, szkodliwych dla osobowości człowieka, albo do wytworzenia jednostek anty-społecznych. Człowiek, jakkolwiek jest naturą jego pracy, powinien czuć się pełną indywidualnością, wolną od kompleksów, rozwiniętą umysłowo i emocjonalnie; systematyczna i dobrze zorganizowana akcja oświatowa i kulturalna może waleń przyczynić się do osiągnięcia tego celu”.

Taki to ambitny program (w polskim ujęciu) realizować miał Kierownik Oświaty Poza-szkolnej na terenie hostelu. Ten sam dokument określa następująco konkretne i szczegółowe obowiązki Oświatowego:

- a) zorganizować naukę języka angielskiego w taki sposób, by każdy miał okazję opanowania języka,

b) pouczać mieszkańców, jak mają się przystosować do życia w tym kraju,

c) odświeżyć i uzupełnić ogólne wykształcenie mieszkańców i, przede wszystkim, wypełnić analfabetyzm,

d) uczyć ich, jak mają zaspakajać swe codzienne potrzeby, w ramach hostelowych możliwości, poprzez organizację kursów praktycznych i rozrywkowych,

e) rozwijać wszystkimi dostępnymi drogami naukowe i kulturalne zainteresowania tak młodzieży jak i dorosłych,

f) organizować czas wolny mieszkańców według jakiegoś planu i wypracować zasady takiego planu w świetle miejscowych warunków,

g) współpracować we wszystkich oświatowych, społecznych i kulturalnych sprawach z *Wardenem* (angielskim kierownikiem) hostelu i lekarzem, miejscowymi szkołami i społecznymi i kulturalnymi organizacjami,

h) organizować i popierać instytucje młodzieżowe: harcerstwo i inne organizacje, pracujące na polu oświatowym,

i) doglądać i pomagać personelowi nauczycielskiemu, zajmującemu się oświatą dla dorosłych,

j) wypracować metody propagowania oszczędności,

k) utrzymywać kontakt z lokalnymi brytyjskimi organizacjami oświaty dorosłych i organizacjami młodzieżowymi w celu wymiany myśli, spostrzeżeń, doświadczeń i jak najściślejszej współpracy.

Kierownikami Oświaty Pozaszkolnej mianowano z zasady Polaków, przeważnie ludzi o stażu nauczycielskim. Przez pierwsze trzy lata urządzano doroczne konferencje, obowiązujące wszystkich Oświatowych. W r. 1947 miejscem takiej konferencji był hostel Doddington, w r. 1948 — Londyn, w 1949 — hostel Fairford. Referaty i dyskusje pokrywały szeroki wachlarz tematów, od bardzo konkretnych, jak „Organizacja hostelu z punktu widzenia Oświatowego” (Z. Tonecki, Londyn, 1948), do raczej teoretycznych, jak np. „Szkoły myślenia we współczesnej pedagogice” (M. Giergielewicz, Londyn, 1948), lub „Kultura polska i angielska w ramach kultur zachodniej” (prof. W.J. Rose, Fairford, 1949). Podobne konferencje, choć na mniejszą skalę, wznowiono z inicjatywy polskiej w latach 1953-54 w sali parafialnej na Devon Rd., w Londynie. W pierwszym roku w konferencji w Doddington brali udział także nauczyciele angielskiego. Później organizowano dla nich kursy osobne.

Zasadą Komitetu było nie dopuścić do zasiedzenia się oświatowego w hostelu. Po dwóch-trzech latach pracy przenoszono go gdzie indziej. W ten sposób starano się zapobiec normalnemu zjawisku wygasania energii i nieuniknionemu w warunkach hostelowych gromadzeniu się kwasów wokół osoby Oświatowego. Poza tym niezależnie od wymiany doświadczeń i opinii na konferencjach, wszyscy Oświatowi mieli okazję bezpośredniego zebrania doświadczeń z różnych terenów. Tą drogą Komitet po upływie kilku lat wychował sobie pierwszorzędną

zespół organizatorów, zaradnych i odpowiedzialnych. Ironiczną wymowę ma fakt, że w czasie kiedy zespół ten dojrzał, kończyła się już jego rola⁴.

Funkcja Oświatowego wymagała wszechstronnych zainteresowań i zdolności, choć, oczywiście, osiągnięcia na terenie poszczególnych hosteli zależały w dużym stopniu i od osobistych inklinacji miejscowego Oświatowego i od jego współpracowników, a przede wszystkim od materiału ludzkiego, na jaki trafił. Przy sporym bogactwie form hostelowego życia, wiele obozów kanalizowało swe wysiłki by przynajmniej w jednej dziedzinie stworzyć coś, co miałyby szansę na uzyskanie sławy więcej niż lokalnej. Tak więc Marsworth stał się bazą znanego klubu piłki nożnej „Gwiazdy Gdyni” — dwukrotnego zdobywcy pucharu emigracji; obóz Springhill Lodges dorobił się świetnego i znanego szeroko zespołu tańców ludowych; szereg hosteli miało żywe i przesiębiorcze kółka dramatyczne: p. Dytrych (ornitolog z wykształcenia, obecnie zaś współnik jednej z polskich aptek w Londynie), Oświatowy w East Moor przetłumaczył sam i wystawił *The Importance of Being Earnest* Oscara Wilde’a, w Kelvedon p. Wnuk urządził przedstawienie „Karpackich Górali”; w Fairford, Springhill Lodges, East Moor i Northwick istniały dobre chóry.

Naturalnie, każdy sukces na szerszej arenie, czy to sportowy czy „artystyczny” zespalał małą hostelową społeczność, wytwarzał lokalny patriotyzm. Wyjazdy zespołów do innych obozów stwarzały ponadto poczucie przynależności do szerszej, emigracyjnej społeczności. Podobny efekt miały kontakty kulturalne z „polskim Londynem”. Hostele były zawsze, obok Londynu, największym konsumentem dóbr kulturalnych na emigracji. Odnosiło się to specjalnie do teatru. Problemów z organizacją przyjazdu polskiej trupy teatralnej nie było. Każdy obóz miał duży barak ze sceną, mieszczący paręset osób. Wszędzie istniały pokoje gościnne, a wspólna kuchnia rozwiązywała kwestię aprowizacji. Głód wrażeń kulturalnych na ogół wzrastał z dobrobytem, tym bardziej, że duża odległość od większych miast skazywała Polaków na spędzanie wolnego czasu w obozie (trzeba

4. Wiele osób z tego zespołu znalazło następnie nienajgorsze posady, czy to w BBC, w Polskiej Sekcji, czy jako nauczyciele; wielu z nich odegrało ważną rolę w dalszym życiu polskim. Kierownik Oświaty Pozaszkolnej p. Donigiewicz, Prezes Związku Nauczycielstwa Pol. Zagr. po dłuższej i intensywnej pracy na polu oświaty polskiej w Londynie, ostatnio zmuszony był warunkami materialnymi do przyjęcia pracy nauczyciela w szkole angielskiej w Melton Mowbray, miejscowości gdzie wciąż istnieje polskie osiedle.

pamiętać, że hostele budowane były w czasie wojny, dla wojska, lotników lub jako szpitale; stąd ich odległość od dużych miast i głównych szlaków).

Jest rzeczą ogólnie znaną, że likwidacja hosteli była dla teatru emigracyjnego ciosem śmiertelnym.

O ile bilans pracy na wielu polach wygląda imponująco, z nauką angielskiego było na ogół gorzej. Nie ma powodu do kwestionowania oświadczenia Komitetu Oświaty, że każdy Polak, który przeszedł przez hostele, przynajmniej przez czas jakiś uczył się języka, ale praktyczne rezultaty w wielu wypadkach bywały bardzo mizerne. Wydaje się, że większość ludzi, żyjących jeszcze obecnie w hostelach, zdobyła znajomość języka tylko taką, jaka pozwala im wykonywać nieskomplikowaną pracę w angielskich przedsiębiorstwach. Wielu żyjąc, poza pracą, w zamkniętych, czysto polskich społecznościach, a nawet pracując często w otoczeniu rodaków, nie znajdowało dostatecznego bodźca do pilnego kontynuowania nauki języka. Wydaje się, że znajomość języka nie jest zbyt duża nawet wśród tych, którzy z podziwu godnym uporem uczęszczają na lekcje angielskiego nawet dziś, w 12 lat po otwarciu hostelu. Stosunkowo niedawne cyfry wykazują, że niewielu studentów osiągnęło poziom „zaawansowany” — *advanced*. Według danych z 1.IV. 1958 w Daglingworth istniała jedna klasa „niższa” (*lower*) średniego poziomu (*intermediate*), z czternastu uczniami. Nie było klas na wyższym poziomie. W Fairford były dwie „niższe” klasy typu „średniego” z dwudziestoma uczniami i jedna „wyższa” klasa „średniego” poziomu z ośmiu uczącymi się. „Zaawansowanych” nie było. W Northwick sprawa przedstawiała się nieco lepiej: istniały tam dwie „niższe” i dwie „wyższe” klasy „średniego” poziomu, obejmujące w sumie 58 uczących się i jedna klasa „zaawansowanych”, z 15 uczącymi się. Cyfry te umacniają odniesione przez nas wrażenie, że pęd do nauki języka minął już dość dawno; w wielu wypadkach nie udało się wyjść poza elementarną zaledwie znajomość.

Trudności nauczania języka w hostelach były różnorodne: wspomnieliśmy już o przebywaniu mieszkańców „wśród swoich”; trzeba jeszcze dodać: analfabetyzm, który powodował, że uczenie np. gramatyki obcego języka, a nawet choćby tylko pisowni, było niemożliwe, gdyż uczący się nie znali dobrze nawet języka polskiego, lub też nie rozumieli gramatyki, lub też w ogóle nie potrafili ani czytać ani pisać nawet po polsku; trudności ze zdobyciem odpowiedniej liczby specjalnie dobrych nauczycieli (w niektórych hostelach angielskiego uczyli Polacy, którzy sami

ledwie ów język znali); pewien wpływ miała tu także rozpowszechniona w hostelach anglofobia; często apatia i bierność⁵.

Mimo szeroko zakrojonej akcji oświatowej, władze angielskie dosyć wczesnie zaczęły kłaść nacisk na przejściowy jedynie charakter hosteli. Pierwszą wielką inowacją była likwidacja wspólnych kuchni; mieszkańcy hosteli stawali się po prostu lokatorami, płacąc za mieszkanie i inne udogodnienia (opłaty te były raczej niskie). W ten sposób uzyskano dużą redukcję obsługi hostelowej i idące za tym oszczędności. Mimo bowiem, że Polacy płacili za mieszkania czy też udogodnienia bardzo regularnie (raporty NAB mocno to podkreślają), koszt utrzymywania hosteli był wcale duży (pewna część, raczej mała, Polaków była całkowicie na utrzymaniu angielskim ze względu na niezdolność do pracy — ci utrzymywali ponadto kieszonkowe, wynoszące od 5 szylingów do 7/6 tygodniowo).

Dalej, aby przyspieszyć proces opuszczania hosteli, władze angielskie zajęły się problemem mieszkaniowym, zwracając się do lokalnych samorządów z sugestią traktowania Polaków na równi z tubylcami w dziedzinie przydzielania domów samorządowych, tzw. *Council Houses*. Akcję tę rozpoczęto w r. 1953 i dała ona zupełnie niezłe rezultaty: przed końcem tego roku władzom NAB udało się uzyskać zgodę 53 *Housing Authorities* (z ogólnej liczby 71 do których się zwrócono) na umieszczenie Polaków na listach osób oczekujących na domy. Ogółem w tym roku na listy te wpisanych zostało 1.335 rodzin, razem około 4.000 osób.

Niezależnie od tego sami Polacy zaczęli opuszczać hostele, albo emigrując, albo też znajdując mieszkania w miastach i kupując domy samodzielnie, nieraz przy minimalnym kapitale. Dla przykładu podajemy kilka cyfr obrazujących odpływ Polaków z hosteli. W roku 1951, 1.500 Polaków wyemigrowało z hosteli; 500 znalazło sobie samodzielnie mieszkania lub kupiło domy. W roku 1954, 275 osób emigrowało, 700 znalazło samodzielnie mieszkania, 243 osoby otrzymały mieszkania od *National Coal Board*. W roku 1955 ilość osób jakie znalazły sobie mieszkania na własną rękę wyniosła 1.200. Ogółem w latach 1950-1958 z hosteli wyemigrowało poza Wielką Brytanię około 4.000 osób; ponad 6.500 znalazło mieszkania lub kupiło domy na własną rękę; a około 1.500 otrzymało mieszkania lub domy (za niską opłatą) od samorządów lokalnych.

5. W cytowanym już artykule Zbyszewski pisał: „Politycznie alians polsko-angielski zbankrutował w Jalcie; a jeśli chodzi o stosunki między obu narodami — w obozach. Dużo więcej było anglofilów w Warszawie niż w polskich hostelach”.

Przyglądając się cyfrom zauważymy, że w r. 1955 ilość osób które opuściły hostele samodzielnie wyniosła aż 1.200. Jest to zrozumiałe, jeśli zwrócimy uwagę na fakt, że właśnie w tym czasie, przez cały rok 1955, mieszkańców hosteli odwiedzał specjalny wysłannik NAB, którego zadaniem było zachęcić do wyjazdów z hosteli (równocześnie władze angielskie udzielać poczęły porad w sprawie zaciągania pożyczek na kupno domów itp.). Akcja ta dała pożądany rezultat, mimo, że jak stwierdza raport za rok 1954, „fakt, iż Polacy mieli możliwość, po swych wojennych wędrówkach i cierpieniach, odtworzyć szczęśliwe, pełne życie w hostelach, spowodował pewną bierność, trzymanie się hostelu, do którego zdołali się już przyzwyczaić i niechęć wyjścia z tych małych społeczności, w których udało im się swoje życie zacząć na nowo...”.

Ważnym powodem przyspieszenia akcji likwidacyjnej była potrzeba przeprowadzania poważnych remontów we wszystkich prawie hostelach. Beczki i baraki wysłużyły i tak dłużej niż się po nich spodziewano. Remonty pociągnęłyby za sobą wysokie koszty.

Spadek ilości hosteli i ich mieszkańców spowodowany był i innymi względami. I tak np. zdarzało się, że przejmowały jakiś hostel lokalne władze jako właściciele gruntu, na którym był pobudowany. Mimo więc, że hostel taki przestawał figurować w spisie NAB, jego mieszkańcy nadal mieszkali w beczkach i barakach, czekając na swą kolejkę na liście mieszkań i domów. Inny wypadek zdarzył się w hostelu Ashby Folville (Leicestershire). Tam część mieszkańców przejęła hostel od NAB i zorganizowała go samodzielnie. Wypadek ten warto opisać szczegółowej.

Kiedy pod koniec roku 1955 stan hostelu spadł dość poważnie, władze dały reszcie mieszkańców wypowiedzenie, ofiarowując się jednocześnie przenieść do pobliskiego Melton Mowbray tych, którzy mieliby trudności ze znalezieniem mieszkania samodzielnie. Część Polaków skorzystała z oferty, ale znalazła się i grupa, która nie chciała ruszyć się z hostelu. Ci, w porozumieniu z angielskimi farmerami, którzy ich zatrudniali, rozpoczęli oficjalne rozmowy na temat przejęcia części hostelu. Ostatecznie, komitet farmerów i Polacy, występując wspólnie jako strona, uzyskali dzierżawę części hostelu na lat pięć. W ten sposób pozostało w hostelu 85 Polaków⁶.

6. W kilku wypadkach likwidacji hosteli zdarzyły się przymusowe eksmisje Polaków, którzy odmawiali opuszczenia mieszkań.

Spadek ilości mieszkańców hosteli NAB sponad 16.000 w roku 1948 na trochę ponad 3.700 w r. 1958 nie oznacza oczywiście, że ilość osób która opuściła hostele wyraża się po prostu różnicą pomiędzy tymi dwoma cyframi. Pisaliśmy już o napływie Polaków do hosteli spoza Anglii w latach 1947-1951. Ponadto trzeba także wziąć pod uwagę dosyć duży przyrost naturalny w polskich hostelach. Jak duży był ten przyrost, można jedynie przypuszczać. Dla ilustracji podajmy, że w roku 1950 w hostelach było około 3.800 dzieci do lat 15, w tym ponad 2.000 do lat 5. W roku 1949 w hostelach NAB urodziło się około 700 dzieci. Nie posiadamy statystyki urodzeń za dalsze lata, natomiast posiadamy dane wykazujące, że przyrost naturalny nie był wcale mały. I tak w roku 1951 urodzenia w hostelach przewyższały zgony o 200; w roku 1953 — o 300; w roku 1954 — o 240. Przy tej ostatniej liczbie raport podaje, że liczba zgonów była bardzo niska⁷. Można by więc przyjąć, że przeciętna roczna narodzin w hostelach wynosiła 250 dzieci (w latach 1950-1955). Ilość rodzin w hostelach — wielu w młodym wieku — wynosiła w r. 1951 — ponad 2.200.

Całkowita likwidacja hosteli powinna nastąpić w następnych paru latach. Pozostaną, być może, Stover, Northwick, część East Moor, ewentualnie Daglingworth.



Czy hostele spełniły swoje zadanie? Odpowiedź zależy będzie od tego czyj punkt widzenia przyjmiemy. Wydaje się bowiem, że pomiędzy Polakami i Anglikami, odpowiedzialnymi za organizację życia w hostelach, istniała różnica co najmniej w emfazie, z jaką mówili o różnych aspektach swej działalności. Anglicy, nie żądając bynajmniej, aby mieszkańcy hosteli zrywali więzy łączące ich z własnymi tradycjami kulturalnymi, kładli nacisk głównie na zaznajamianie Polaków z mechanizmem życia i tradycjami społeczeństwa tubylczego, traktując hostele jako etap na drodze do całkowitej asymilacji. Polacy natomiast, mówiąc o przystosowaniu się do życia na wyspie, mieli raczej na myśli aspekt materialny; mówiąc o twórczym udziale Polaków w życiu społeczeństwa angielskiego, rozumieli to jako wkład zorganizowanej i zachowującej swą odrębność mniejszości, nie pojedynczych, zasymilowanych jednostek.

7. W dużej mierze jako rezultat doskonałej służby zdrowia.

O ile nam wiadomo, ta subtelna, ale istotna przecież różnica poglądów, nie ujawniła się nigdy w gwałtownym konflikcie, w każdym razie nie na szczeblu najwyższym (lokalne konflikty pomiędzy polskimi „władzami” w hostelach a angielskimi *Wardenami* były natomiast całkiem częste⁸⁾). Co najwyżej konflikt przyjmował formę łagodnych wymówek, głównie ze strony F.H. Harroda, przewodniczącego Komitetu Oświaty, że Polacy swych rodaków w hostelach „karmią z łyżeczki” (*spoon-feeding*), co — używając polskiego idiomu — oznacza, że „zanadto się z nimi cackają”. Po dyskusji ustępowali często Anglicy. Zresztą trudno jest sobie wyobrazić, by miało być inaczej. Aparat składał się głównie z Polaków i w warunkach hostelowych jedynie Polacy mieli możliwość efektywnego działania. Poza tym, materialne aspekty programu, nie wzbudzające kontrowersji, realizowane były sprawnie i pomyślnie (wysoki stan zatrudnienia, świetny stan płatności), co łagodziło różnice zdań na innych polach.

Nie ulega wątpliwości, że hostele jako faza przejściowa w asymilacji Polaków, roli swojej nie wypełniły, że proces ten hamowały, zamiast mu pomagać. Czy oznacza to, że zwyciężyła tu koncepcja „polska”, że patrząc z naszej strony, bilans tych lat jest pomyślny?

8. Np. ostry konflikt zaistniał pomiędzy Komitetem Rezydentów a *Wardenem* w hostelu *Great Bower Wood*, gdzie *Warden* — Szkot, na własną rękę próbował zorganizować akademię z okazji 11 listopada. Polacy zbojkotowali akademię i następnie stosunki ułożyły się już pomyślniej. Szkot stał się nawet przyjacielem Polaków, za co mu się odwdzięczono np. robiąc dekoracje z okazji Koronacji Królowej za polskie pieniądze. (NB. *Bower Wood* był hostelem bardzo dynamicznym i bogatym — dochód na potrzeby kulturalne i społeczne mieszkańców czerpano z — bilardu, co dawało wraz z innymi imprezami, do £ 2.000 rocznie). W *East Moor* doszło nawet do spoliczkowania *Wardena* przez jakiegoś krewkiego Polaka. W cytowanym już artykule W.A. Zbyszewski pisze, że *Warden* był zwykle „przedmiotem zaciekłej niechęci wszystkich rezydentów”. Jest w tym dużo przesady. Trudno także powiedzieć, czy Zbyszewski miał rację, twierdząc, że *Wardenowie* rekrutowali się głównie z trzech sfer: emerytowanych średniej rangi wojskowych, (ci, zdaniem autora mieli z Polakami jeszcze najlepsze stosunki), z emerytowanych urzędników służby kolonialnej i z zasłużonych dla *Labour Party* mniejszych agitatorów i działaczy. Wszystkie trzy typy były oczywiście reprezentowane, ale byli także i *Wardenowie* z innych sfer, i wielu z nich stawiało sobie za punkt honoru prawdziwą opiekę i obronę interesów mieszkańców hosteli. Poza tym polska niechęć nie zawsze była uzasadniona, szczególnie gdy wypływała z urażonej dumy spowodowanej czasami odrzuceniem przez *Wardena* zbyt daleko idącej usługowości. Trzeba tu bowiem dodać, że w warunkach hostelowych pole do intryg było szczególnie duże, a fakt ogromnego przemieszania socjalnego powodował nieraz chęć wybicia się i walkę o *wardenowskie* łaski. Jest rzeczą zadziwiającą, że życie w hostelach nie znalazło dotąd na emigracji swego epika.

Są ludzie, którzy i na to pytanie odpowiadają negatywnie. U niektórych Polaków pobyt w hostelach pozostawił spory osad goryczy. Zrozumiałe jest, że życie w małych, zamkniętych społecznościach, gromadzi czasem kwasy i zadry, że stosunki pomiędzy mieszkańcami nie zawsze są, czy były, poprawne. Ilustruje to np. taki wypadek, który zresztą miał miejsce już dawno temu, w czasach wspólnych obozowych kuchni i racjonowania⁹.

Jedną z głównych postaci w każdym hostelu jest polski kapelan, otoczony zwykle gromadką nie tylko współpracowników, ale i bigotek. Zdarzyło się kiedyś w hostelu, że jedna z takich pań w kuchni wydzielała racje. Przy tej okazji ksiądz otrzymywał porcje masła nieco hojniejsze niż inni. Pewnego razu ktoś żartem zwrócił na to uwagę. Ksiądz przyjął to w tym samym duchu, ale z czasem udzieliło mu się oburzenie obecnych przy tym starszych pań i uznał się za obrażonego. Nieszczęsny żartowniś potępiony został imiennie z ambony, co z kolei rozpętało w hostelu prawdziwą burzę. Na zebraniach Komitetu Mieszkańców określono sprawcę jako „komunistę” i żądano wydalenia z hostelu, do czego na szczęście nie doszło. Wypadek niewątpliwie krańcowy i trywialny, ale wiele mówiący o atmosferze w niektórych hostelach.

Drugi kierunek ataku na hostele dotyczy cieplarnianych, nienaturalnych warunków, w jakich wypadło żyć ich mieszkańcom. I to zilustrować warto małym, autentycznym obrazkiem. Polak, zamieszkały w hostelu, postanowił wyemigrować do Stanów Zjednoczonych i po kilku latach czekania otrzymał wizę. Kiedy zbliżał się moment wyjazdu, ogarnęła go panika. Przejechał wprawdzie pół świata, ale nigdy sam, zawsze jako członek zorganizowanej grupy, pod czyimiś rozkazami. Przez kilkanaście lat wszystkie sprawy załatwiano za niego. Z cudzoziemcami bezpośredniego kontaktu dotychczas, poza pracą, nie potrzebował. W tej nowej sytuacji, nie wiedział jak się znaleźć. O pomoc zwrócił się w końcu do pracownika firmy paczkarskiej Tazaba, dojeżdżającego regularnie do obozu. Ten zawiózł go swym samochodem do Southampton, dał parę groszy okrętowemu stewardowi, który zobowiązał się opiekować Polakiem w

9. Wiele krwi swego czasu napsuła różnym niewinnym ludziom popierana przez „Dziennik Polski” akcja wykrywania „agentów komunistycznych”. Przez hostele przechodziły fale podejrzeń. Ostre konflikty powodowały różne rozbitcia emigracyjne, z rozłamek na czele. Wystarczy tylko przypomnieć fakt zbierania na dwa różne „Skarby Narodowe”. Skrajnym przykładem był zatarg o proboszcza w hostelu Hiltingbury na tle politycznym, tak że w pewnym momencie hostel miał dwóch kapelanów, dwa komitety kościelne no i dwie zacięcie się zwalczające frakcje.

czasie podróży, pomóc mu zejść na ląd w Stanach i oddać w ręce amerykańskich władz.

Przykład znowu krańcowy, ale charakterystyczny.

Ale mimo tych, i innych minusów, patrząc na hostele z polskiego, czy — ściślej mówiąc — „emigracyjnego” punktu widzenia, w ostatecznym rozrachunku otrzymujemy bilans pozytywny. Polak, opuszczający hostel w roku, powiedzmy, 1958, był najczęściej człowiekiem zamożniejszym i bardziej pewnym siebie, niżby nim był lat temu dziesięć, gdyby przejść musiał do samodzielnego życia cywilnego wprost z wojska. Aspekt materialny jest tu bardzo istotny. Stosunkowo niskie opłaty za mieszkanie i wikt (około £ 3.0.0 tygodniowo), łatwość z jaką kobiety znajdowały pracę, i udogodnienia pozwalające na zostawienie dzieci bezpiecznie na terenie obozu czy to w przedszkolu, czy też szkole, ułatwiały oszczędzanie. W wielu wypadkach właśnie ze względu na korzyści materialne ludzie niechętnie opuszczali hostele¹⁰.

Duże znaczenie miał aspekt zdrowotny. Hostele położone zwykle z dala od miast, wśród zieleni, z dobrą służbą zdrowia na miejscu, podreperowały niejednego Polaka zniszczonego przejściami wojennymi. Dawały często uspokojenie nerwów, przyzwyczajały z powrotem do pracy i do warunków życia cywilnego i rodzinnego¹¹. Wspólna kuchnia co prawda nie zawsze była najlepsza, ale Polacy potrafili sami zadbać o dobre odżywianie: jeżeli hostel położony był w okręgu rolniczym, z aprowizacją nie było kłopotów — zarabiające dobrze na farmach kobiety potrafiły zawsze przynieść coś do domu, lub tanio kupić. Z mięsa w wielu hostelach jadało się przeważnie kury, które hodowano nagminnie i często ku rozpaczy Wardenów i podatników. Ogródki warzywne dopełniały potrzeby polskiego smaku, a przywiezione z kraju kunszta robienia win i konfitur odrodziły się z żywiołową siłą.

Warto tu także wspomnieć o innym ważnym aspekcie: matrymonialnym. Hostele, ze względu na to, że zaabsorbowały większość rodzin i sierot przyjeżdżających z Indii, Afryki i Libanu, stały się swoistym rezerwuarem pańien na wydaniu. Co sobotę na zabawy zjeżdżali z pobliskich miast kawalerowie, w ciemnych garniturach, z wypomadowanymi włosami, skorzy do żeniaczki, imponujący kontem bankowym lub posiadany domem. Pewien w średnim wieku kawaler z Manchesteru objechał.

10. Zbyszewski wspomina o „mieszczanizacji” w ubraniach, tak męskich jak i kobiecych.

11. Zbyszewski, j.w.

po kilku niepowodzeniach w tym mieście, kilkanaście polskich hosteli w poszukiwaniu żony. Zdarzały się i takie wypadki jak następujący: do młodej kobiety mającej nieślubne dziecko („przywieszione” z Persji) zaczął przyjeżdżać kawaler z pobliskiego miasta. Zanosił się na szybki ślub, ale kawaler naraz zmienił zdanie, i to w momencie gdy kobieta spodziewała się już dziecka. Natychmiast znalazł się inny ochotnik na męża i ślub odbył się jeszcze przed rozwiązaniem.

Znaczenie hosteli w życiu całej emigracji było bardzo duże. Ich rola nie kończyła się zresztą z momentem likwidacji. Przenosząc się do miast, przeważnie najbliższych hostelowi, ludzie szukają kontaktu z polskim życiem, a wielu z nich dość chętnie bierze na siebie obowiązki społeczne. W niektórych wypadkach przeniosły się do miast całe szkoły sobotnie i gotowe komórki organizacji społecznych (np. w wypadku Slough). Swego czasu powstały nawet specjalne Rady Międzyosiedlowe, których zadaniem było zabezpieczenie dalszego działania organizacjom, ulegającym rozbięciu w trakcie przechodzenia ludności hostelowej do miast. Skupiska po-hostelowe pod względem spoiwości pozytywnie na ogół odbijają od reszty emigracji.

Grupa Polaków, odpowiedzialna za organizację polskiego życia w hostelach ma pełne prawo do mówienia o swej pracy tonem, w którym łatwo wyczuć zadowolenie.



Hostele dla ludzi samotnych, podobnie jak osiedla rodzinne, należą właściwie już do przeszłości, ale pozostawiły po sobie ślady — uparte, żywotne resztki — liczniejsze chyba niż w wypadku hosteli NAB. Ślady te często trudne są do wykrycia, bo hostele „przemysłowe”, dla ludzi samotnych, nie podlegają żadnej centralnej organizacji w rodzaju NAB. Nie ma też, o ile wiemy, raportów i statystyk. Znane są te obozy pracownikom firm paczkarskich (głównie Tazaba) samochodami przemierzających kraj wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu klientów, lub wędrownym sklepom kontynentalnym („sklepom na kółkach”), rozwijającym polskie i kontynentalne kielbasy, pieczywo i różne przysmaki.

Większość takich hosteli ma dziś charakter międzynarodowy. Obok grupy polskiej spotyka się w nich Irlandczyków, Ukraińców, Włochów, Jamajczyków. Ale mimo tego, że mieszanka jest zwykle ta sama, każdy z hosteli tego typu — sądząc po tych które widzieliśmy — jest inny, każdy ma własną „osobowość”.

Charakter zależny jest nie tylko od mieszkańców, ale i od organizacji, warunków, typu zatrudnienia, otoczenia itp.

Tak więc w Bletchley trafiliśmy na hostel prowadzony przez *London Brick Company*, dla robotników zatrudnionych w okolicznych cegielniach. Była wśród nich i spora grupa polska. Hostel, bez wygód, ale czysty, dobrze prowadzony, leży w środku miasteczka i dzięki temu zapewne pozbawiony jest tej dusznej, ciężkiej atmosfery, częściej w instytucjach tego typu.

W Leighton Buzzard istnieje mały hostel dla robotników kolejowych — kilka starych wagonów, odsuniętych na ślepy, zarzewiały tor. W warunkach nieznośnie prymitywnych mieszkania, między innymi, kilku Polaków. Stare koce zasłaniają przyce mieszkańców; na środku wagonu stoi żelazny, okrągły piecyk, a na nim postawiony przez kogoś bukiet czerwonych kwiatów — akcent aż groteskowy poprzez kontrast z resztą „mieszkania”. Ale na zewnątrz wagonów czyjaś troskliwa ręka usypała kłomby, z misternymi deseniami kwiatów, a w pobliskich krzakach stoją dwie klatki z kanarkami.

Istnieją hostele dla robotników budowlanych, hostele przy składnicach wojskowych. Brak jest miejsca, by obszernie pisać o wszystkich. Bardzo ogólnie podzielić je można na dwa główne typy: Jedne, do których należą dwa wspomniane powyżej, skupiają duży procent ludzi młodych, ruchliwych, zmieniających od czasu do czasu pracę i miejsce zamieszkania. Tak np. w hostelu dla budujących drogi, spotkaliśmy Polaka — marynarza, typ jak z powieści Londona, któremu — mówił — znudziło się pływanie. Ludzie tacy będą zapewne kiedyś patrzeć na lata spędzone w hostelu jako na epizod dzikiej młodości. Typ drugi, to przede wszystkim mieszkańcy obozów przy składnicach wojskowych, ludzie na ogół już starsi, którzy w jednym hostelu spędzili często ponad dziesięć lat, i ruszać się nie zamierzają.

W okolicy Basingstoke jest mieszany, międzynarodowy obóz przy składnicy wojskowej, w którym mieszka także kilkudziesięciu Polaków. W Long Marston istnieje hostel czysto polski.

ROLNICY

Posiadanie ziemi miało zawsze dla nas znaczenie niewspółmierne do jej pieniężnej wartości. Nie trzeba chyba tego udowadniać. W naszej literaturze zadłużony ziemianin, opędzający się od wierzycieli, i żyłasty, zapracowany chłop, to postacie i na swój sposób romantyczne; podczas gdy nasz stosunek do bogatego fabrykanta, czy dobrze płatnego robotnika, nadal cechuje pewna rezerwa (połączona, być może, z niedowierzaniem).

W Kraju sentymenty te miały realne odbicie w dążeniach wielkiej części narodu; na emigracji stosunkowo niewielka garstka Polaków zarabia na życie pracą na roli. Dzieje się tak mimo tego, że przecież dobrze ponad 50 % emigracji pochodzi ze wsi. Swój głód własności zaspakajają tutaj Polacy raczej kupując kamienicę, niż kawałek ziemi.

Istnieją jednak wyjątki. Ogółem na Wyspie pracuje obecnie na własnych gospodarstwach około 300 rolników-Polaków. Większość z nich (podobno ponad 90 %), zrzeszona jest w Związku Rolników Polskich w W. Brytanii, do którego należy także około 300 robotników rolnych. Związek, jedna z najstarszych emigracyjnych instytucji, pamięta czasy, gdy było ich znacznie więcej¹.

Kiedy po zakończeniu wojny powstał problem roziedlenia żołnierzy polskich, przypuszczano że duża ich część znajdzie zatrudnienie w rolnictwie. Dlatego też, jeszcze w 1945 roku, powstały na terenie Szkocji szkoły rolnicze (m.in. w Glasgowie

1. W początkowym okresie demobilizacyjnym polskich robotników rolnych w W. Brytanii było do 15.000. Wielu z nich należało do Związku.

— do 1950 r.), które miały dać Polakom fachowe przygotowanie do pracy w miejscowych, dość specyficznych, warunkach klimatycznych. Z tych szkół wyszła inicjatywa założenia własnej organizacji zawodowej. Związek Rolników Polskich w W. Brytanii powstał w Edynburgu, 8 listopada 1945 roku i przez pierwszy rok swego istnienia ograniczał swą działalność wyłącznie do terenu Szkocji. W lutym, 1947 r., po przyjeździe na Wyspę żołnierzy 2 Korpusu, siedziba Związku przeniesiona została do Londynu. Atmosfera tamtych lat nie sprzyjała jednak tworzeniu organizacji tego typu, opartej na członkach rozproszonych po wszystkich częściach Wyspy. Nic dziwnego, że Związek przechodził dość ostry kryzys. W roku 1948 działalność Związku wygasła prawie zupełnie. Formalnie jednak organizacja istniała nadal, a w miarę stabilizacji życia polskiego, następowało jej faktyczne odrodzenie. Stopniowo, z doświadczenia lat, powstawał twór dość dziwny: dostosowana do warunków organizacja o specyficznym towarzysko-zawodowym charakterze.

W okresie demobilizacji wydawało się, że duża część, o ile nie większość, polskich oficerów zawodowych zechce osiąść na roli. Tradycja miała tu zapewne spory wpływ, ale i niektóre względy praktyczne, jak np. częsta nieznamość języka, zdawały się przemawiać za wyborem tego zawodu. W tym okresie (1947-1949) Związek Rolników udzielił kilku tysiącom osób informacji o warunkach kupna farm. Przy braku bliższych danych można jedynie zgadywać, jaka część zainteresowanych zdecydowała się ostatecznie na kupno gospodarstwa. W każdym razie ilość farm, nabytych w tym okresie przez Polaków przewyższała obecny stan posiadania, a ilość osób pracujących na własnych warsztatach rolnych była poważna, gdyż zjawiskiem typowym była obfitość spółek, często wielosobowych, których celem było nagromadzenie kapitału, wystarczającego obok pożyczki hipotecznej na kupno gospodarstwa. Jeśli nie liczyć kilku „kasztaniarzy”, którzy dorobili się na spekulacjach walutowych w czasie wojny, lub bezpośrednio po niej, skromne oszczędności Polaków nie pozwalały myśleć o samodzielnym gospodarowaniu. Wystarczy powiedzieć, że w roku 1948 — 95 % farm polskich stanowiło własność spółek; obecnie spółki nie przekraczają 5%.

Rozczarowania nie dały na siebie długo czekać. Praca na roli jest zawsze ciężka, a cóż dopiero dla człowieka, który po wstrząsach psychicznych, spowodowanych anormalnym trybem życia w latach wojny, znalazł się na wsi egzotycznie obcej, w wyjątkowo ciężkich warunkach klimatycznych i z niedostatkiem kapitału, który łątać trzeba było dodatkowym wkładem własnej pracy. Jednocześnie rozpoczynała się *prosperity*, co oznaczało,

że w miastach było łatwo o stosunkowo niezłe płatną pracę. Nieuniknione zgrzyty pomiędzy współnikami były często ostatnim żdźbłem, decydującym że ciężar stawał się ponad siły. Tak więc nieomal jednocześnie z osiedleniem, rozpoczął się odpływ polskich rolników do miast. Początkowo dość silny, (masowym trudno go nazwać ze względu na szczupłość samego osiedlenia), odpływ ten słabł w miarę aklimatyzacji Polaków, a przed paru laty ustał właściwie zupełnie. Sporadyczne wypadki sprzedaży gospodarstw, wyrównywane są obecnie przez równie nikły, ale istniejący ruch w stronę przeciwną.

Ucieczka rolników z własnych gospodarstw nie mogła się jednak równać z nasileniem migracji najemnych robotników rolnych. Po wojnie, a szczególnie po wypuszczeniu niemieckich jeńców wojennych, w rolnictwie brytyjskim dał się odczuć ostry brak robotnika. Miejscowe władze nie kryły swego rozczarowania z powodu słabych wyników, jakie akcja rekrutacyjna do rolnictwa dała w PKPR. Polscy żołnierze, choć najczęściej pochodzenia wieśniaczego, nie kwapili się do pracy na cudzym gospodarstwie. Niepowodzenie tej akcji stało się jednym z motywów decyzji rządu brytyjskiego rekrutacji dipisów z terenu Niemiec i Austrii. Wśród tych tzw. E.V.W's, (*European Voluntary Workers*), sprowadzonych na wyspę w latach 1947-1949, znalazło się około 14.000 Polaków, z których większość skierowana została do pracy na roli. Opieka nad tymi ludźmi, rozmieszczonymi w kilkudziesięciu rozrzuconych w terenie hostelach, stała się dodatkową, nieoczekiwaną odpowiedzialnością Związku Rolników, przerastającą raczej możliwości młodej jeszcze i ubogiej organizacji. Na szczęście, po paru latach problem sam się rozładował. Po wygaśnięciu kontraktów, zwerbowanym w Niemczech robotnikom wolno było przenieść się do przemysłu, co większość z nich skwapliwie uczyniła.

Ustabilizowana sytuacja ułatwiła okrzepnięcie form organizacyjnych. Związek Rolników jest dziś jedną z niewielu sprawnie funkcjonujących organizacji społecznych na emigracji. Mimo dość niskich składek („farmerzy” — £ 1.10.0 rocznie, robotnicy rolni £ 1.4.0. rocznie), Związek finansowo jest całkowicie niezależny. Pieniądze płyną z dochodowego, wynajętego na prywatne mieszkania domu i imprez, wśród których najważniejszą są doroczne „Dożynki” — najelegantszy bal polskiego Londynu. Skromny (poniżej £ 2.000) budżet organizacji pozwala jednak na utrzymywanie stałego biura, opłacanie sekretarza generalnego (jest nim od szeregu lat inż. L. Woronowicz) i dochodzącej na przedpołudnia sekretarki, wydawanie drukowanego biuletynu i powielanych „Przewodnika Farmerskiego”, „Przewodnika Ogrodni-

czego" i „Hodowcy Pieczarek" i finansowanie szeregu drobnych a potrzebnych inicjatyw. Związek wydał także niedawno — przy pomocy amerykańskiego *The East European Institute* — „Angielsko-polski i polsko-angielski słownik rolniczy", obejmujący 20.000 słów, i zamierzony raczej jako trwała pozycja w piśmiennictwie fachowym, niż jako podręcznik dla rolników polskich na emigracji (Słownik opracowany został przez inż. Wronowicza²). Biuro Związku nie tylko udziela porad prawnych, zawodowych i ułatwia kontakty z miejscowymi Związkami Zawodowymi, ale załatwia i takie sprawy jak wyrabianie dokumentów podróży i wiz dla członków, spędzających wakacje za granicą, nocleg i zwiedzanie stolicy dla tych, którzy przyjeżdżają do Londynu. Sekretarz generalny, rozporządzając zakupionym przez Związek samochodem, odwiedza regularnie farmerów, osiadłych nawet w najbardziej odległych zakątkach wyspy. Wizyty te, oficjalnie znane jako inspekcje, mają, jak zresztą cała działalność Związku, charakter w połowie przynajmniej towarzyski. Rozwożone po całej wyspie sąsiedzkie ploteczki nawiązują nitki kontaktu silniejsze zapewne od form organizacyjnych, z konieczności luźnych.



Historia Związku Rolników, z dawnymi kryzysami i obecną stabilizacją, jest odbiciem losów pojedynczych polskich rolników. Łatwo jest to zobaczyć na konkretnym przykładzie, niezmiernie zresztą interesującym.

Największym, pod względem obszaru, gospodarstwem polskim na wyspie, jest *Coombe Farm* — 630 akrów pagórkowatej, malowniczej części *Sussex*, obejmujących szmat pól, laski, resztki wspaniałego niegdyś parku i rybne jezioro. Farma jest wspólną własnością pp. Bzikota i Zienkiewicza. Pan Zienkiewicz, którego odciągnęliśmy na parę godzin od pracy, opowiedział nam historię gospodarstwa, którą, bez przesady, nazwać by można sagą *Coombe Farm*.

Pan Zienkiewicz, rolnik z zawodu i powołania, przed wojną był osadnikiem wojskowym na Kresach i właścicielem pasteki, jednej z największych w całym kraju. W wojsku służył w konnym zwiadzie KOP'u. W czasie kampanii wrześnieowej został ranny i wzięty przez Niemców do niewoli. Leczone go w szpitalu w Brześciu nad Bugiem, gdzie wkraczające wojska sowiec-

2. Nakład słownika: 3.000 egzemplarzy. Większość z tego otrzymują instytucje rolnicze i biblioteki w Kraju.

kie przejęły od Niemców rolę okupantów. Wieziony na wschód, p. Zienkiewicz uciekł z transportu i przedarł się na Łotwę, skąd z pomocą miejscowych rodaków, łódką przepłynął na szwedzką wyspę Gotland. Dalsza droga wiodła przez Sztokholm do Anglii i 10 pułku Strzelców Konnych — fakt nie bez znaczenia dla naszej opowieści. W nim bowiem, w czasie kampanii wojennej, zadzierzgnięte zostały więzy koleżeństwa, które egzamin zdawać miały dopiero po zakończeniu wojny. Po rozwiązaniu pułku w r. 1947 kilku przyjaciół, wśród nich p. Zienkiewicz, postanowiło zlać swe oszczędności, na ogół więcej niż skromne i wspólnie zakupić gospodarstwo. Poszukiwania trwały blisko rok. Przyjaciele zwiedzili 60 farm w promieniu 100 mil od Londynu nim zdecydowali się na kupno.

Coombe Farm była wtedy własnością *Timber Company* — towarzystwa wyrębu lasów, ale od czasu wojny znajdowała się pod rekwizycją. Dzięki temu szła stosunkowo tanio. Wojenny Komitet Rolny w *Sussex* zgodził się zwolnić farmę spod rekwizycji, o ile nabywcą okaże się osoba, co do której wiedzy i umiejętności z zakresu rolnictwa można mieć zaufanie. P. Zienkiewicz poddany został egzaminowi i wyszedł z niego pomyślnie. W kwietniu 1948 roku, jeszcze przed dopełnieniem wszystkich formalności, wspólnicy zjechali na farmę. Było ich wtedy czterech, a wkrótce dołączyło jeszcze trzech. Wszyscy — sześciu oficerów i jeden podoficer — byli żołnierzami 10 pułku, znali się od lat. Znalazł się wśród nich były starosta, inżynier-architekt, paru rolników.

Wspólników czekały zadania ogromne. Pola były zachwaszczone i wyjałowione, zabudowania stare i puste. Tutejsza gleba wśród Anglików ma złą opinię, ale, twierdzi p. Zienkiewicz, jest w gruncie rzeczy — wdzięczna; wymaga tylko dużego wkładu pracy, systematycznego nawożenia. Anglicy, żyjący od pokoleń w kraju uprzemysłowionym, uznają tylko gleby wybitnie bogate, kręcą nosem na ziemię, wymagającą większego wkładu pracy niż normalny.

Największym problemem był brak gotówki. Wspólnicy przedłużyli się przy kupnie farmy i teraz wysilać musieli całą swą pomysłowość, by długi jakoś pomnażać. Ludziom, najwyraźniej pozbawionym środków do życia, nawet banki nie udzielają pożyczek. Spółka pożyczala nieraz pieniądze od zasobniejszych przyjaciół na przeciąg miesiąca lub dwóch i całą sumę wkładała na ten okres do banku by w oparciu o nią wytargować jakąś pożyczkę. Za pieniądze, uzyskane w ten sposób kupiono, jesienią 1948 roku, 40 krów — całą oborę likwidującego gospodarstwo sąsiada. I wtedy nastąpiła katastrofa: w dzień po prze-

jęciu obory na pastwisku wspólnicy znaleźli martwe cielę, rezultat poronienia. Po kilku dniach historia powtórzyła się. Sprowadzony weterynarz stwierdził „zakaźne ronienie”, straszną, nieznaną prawie w Polsce chorobę bydła, ogromnie trudną do wyleczenia. „Pozbycie się skutków tej choroby” — mówi sucho p. Zienkiewicz — „kosztowało nas siedem lat ciężkich wysiłków”. Krowy po poronieniu mleka prawie nie dają, trzeba więc je było sprzedawać po cenach śmiesznie niskich. Na domiar złego okazało się, że choroba ta rzuca się i na ludzi, wywołując gorączkę i dreszcze. Po mału, mozolnie, pozbywali się wspólnicy zakażonych krów, na ich miejsce kupując na długoterminowe spłaty fryzy najwyższej jakości.

Były to lata kryzysowe, ale chwile najcięższe nastąpiły wiosną 1951 roku. Marzec zastał spółkę bez pieniędzy na zakup sztucznych nawozów i bez ziarna na zasiew. Polacy zwrócili się o pomoc do Komitetu Rolnego, instytucji, której praca w dużym stopniu polega na ratowaniu zagrożonych gospodarstw. Po paru dniach przyszła odpowiedź odmowna. Wspólnicy zażądali wyjaśnień, na co zjawił się u nich przedstawiciel Komitetu i wyjaśnił, bardzo uprzejmie (uprzejmość Anglików potrafi być mordercza), że instytucja, którą reprezentuje zna ich sytuację, uważa ją za całkowicie beznadziejną i nie może topić swoich funduszy bez widoków zwrotu. Prywatnie radzą Polakom, by jak najszybciej sprzedali gospodarstwo, spakowali walizki i uciekali jak najdalej od *Coombe Farm*. Wyobrazić sobie łatwo, jakim ciosem taka opinia musiała być dla członków spółki, którzy przed wojną nic wspólnego z rolnictwem nie mieli i w swym nowym zawodzie spotykali, jak dotychczas, same niepowodzenia.

Wbrew wszystkiemu, wspólnicy postanowili walczyć dalej. Ze stoickim spokojem zamówili w znanych firmach potrzebną ilość nawozów sztucznych i ziarna, obsieli pola, a gdy przyszły rachunki, wysłali parę groszy jakie mieli — drobny ułamek żądanej sumy — wraz z listem, że więcej pieniędzy na razie nie mają. Zaczęła się przewlekła dyskusja, potem sprawa sądowa, którą Polacy oczywiście przegrali, ale pszenica tymczasem rosła. Do początkowej ceny produktów doszły procenty i trzeba było zapłacić koszty sądowe. Któregoś dnia zjawił się nawet na farmie assessor, aby wycenić meble. Odjechał jak niepyszny — ich wartość nie przekraczała nawet kilkunastu szylingów! Nim jednak cała sprawa została zlikwidowana, upłynęły prawie trzy lata i gospodarstwo zaczynało stawać na nogi. Urzędnicy Komitetu Rolnego, z którymi zresztą p. Zienkiewicz zachował jak najlepsze stosunki, patrzyli w zdumieniu na bardzo nieortodoksyjne, ale skuteczne metody, stosowane przez Polaków. P. Zien-

kiewicz z satysfakcją opowiada o jeszcze jednym przykładzie sceptycyzmu, z jakim Anglicy patrzyli na jego poczynania. Kiedyś, w początkach gospodarstwa, jeden z instruktorów przywiózł na *Coombe Farm* profesora agronomii z Cambridge, który przypatrzawszy się oranym właśnie polom, oświadczył: „w życiu nie widziałem nic gorszego”. W parę lat później, tenże instruktor zjawiał się z tymże profesorem. Profesor przyznał, że w tym roku nie widział jeszcze nic lepszego.

W czasie kryzysowych, chudych lat, spółka poważnie się wykruszyła. Do miasta przeniosło się w sumie 5 przyjaciół: pierwszy już w rok po kupnie farmy, ostatni — brat p. Zienkiewicza — w 1956 r. Na gospodarstwie pozostali pp. Zienkiewicz i Bizkot. Każde odejście dla tych, którzy zostawali, było dodatkowym problemem. Odchodzącym trzeba było zwrócić ich wkład (zresztą rozstanie — mówi p. Zienkiewicz — nie naruszało więzów przyjaźni), w siłach roboczych powstawała luka, wypełniana zaangażowaniem płatnego robotnika, którego praca była z reguły droższa od własnej (wspólnicy brali po £ 10 miesięcznie na utrzymanie siebie wraz z rodziną). Powstała sytuacja, w której produkcja farmy wyśrubowana została nieomalże do granic możliwości (tylko przy intensywnej gospodarce można było myśleć o spłacaniu długów), ale jej koszty pozostały wysokie. Wyjściem było zmechanizowanie farmy, opłacalne jednakże na gospodarstwie większym niż ówczesna *Coombe Farm*. Od 1955 r. wspólnicy zaczęli więc pertraktacje o kupno jeziora i gruntów leżących po jego drugiej stronie, tzw. *Wadhurst Park Farm*. Na tych terenach leżała *Wadhurst Hall*, stara wielkopańska rezydencja z przepysznym kiedyś parkiem. Właściciel Anglik, zupełny jakiś wandał, wyciął większą część parku, w tym aleję cedrów, przez znawców uważaną za najpiękniejszą w Anglii i rozebrał pałac, którego czerwone mury dominowały ze wzgórza nad okolicą. Samą farmę wydzierżawił, z tym, że ze swym dzierżawcą żył w stanie wojny. Po dwóch latach pertraktacji Polacy doszli do porozumienia i z właścicielem i z jego dzierżawcą i stali się właścicielami terenu o powierzchni większej niż całe *Coombe Farm*.

Dzisiaj wartość całej posiadłości oceniana jest oficjalnie na £ 75.000. Obora *Coombe Farm* — 150 rasowych fryzów, uważana jest za drugą co do jakości w całym hrabstwie³. Wszystko co Polacy wystawiają na sprzedaż, kupowane jest skwa-

3. Przeciętna produkcja mleka na krowę wynosi 1230 galonów rocznie. Przeciętny procent tłuszczu w mleku 3.95. Wspólnicy doprowadzić chcą produkcję do 1400 galonów na krowę (ale nie więcej, by nie wyniszczać organizmu krowy), a zawartość tłuszczu do 4%.

pliwie. Za jałówkę otrzymują nie mniej niż 100 gwinei, za byczka powyżej tysiąca. Ze zbóż sieją tylko pszenicę, której wydajność z akra przewyższa o 100 % to co z takiej samej powierzchni zbierają przeciętnie sąsiedzi — Anglicy. Jezioro dzierżawi klub wędkarski, za prawo polowania na terenach całej posiadłości płaci polskie Kółko Łowieckie (z siedzibą w Londynie) Domek w resztkach starego parku dzierżawi rotmistrz Cieśliński, jeszcze jeden kolega z 10 pułku Strzelców Konnych. P. Cieśliński prowadzi w tym pięknym i raczej bezludnym zakątku pensjonat dla „pracującej polskiej inteligencji”, dojeżdżającej tu z Londynu.

Gospodarstwo jest zmechanizowane w 100 %. Wyposażenie jest kompletne, od traktorów, poprzez kombajn, aż po mechaniczne widły. Dzięki temu dwóch wspólników z pomocą trzech robotników może gospodarować na terenach przeszło dwukrotnie większych od tych, na których przed dziesięciu laty borykali się z ogromem pracy w siedmiu. Przyszłość wydaje się względnie jasna.

Mimo to, p. Zienkiewicz nie chce, byśmy teraźniejszość *Coombe Farm* widzieli w barwach przesadnie różowych. Problemów wciąż jest masa. Istnieją jeszcze duże obciążenia, które wspólnicy starają się jak najszybciej spłacić. Ceny produktów rolnych i nabiału podlegają niewielkim tylko wahaniom; jednocześnie drożeją nawozy sztuczne i inne produkty, nabywane przez rolników. Granica opłacalności w gospodarce wciąż się przybliża. Poważną plagą są w Anglii choroby bydła; ciągle tracą wspólnicy przeciętnie dwie krowy rocznie. Równocześnie samo gospodarstwo jest studnią bez dna — ulepszać je można wiecznie. Niezmiernie ważny jest na farmie transport: wspólnicy zaplanowali przeszło dwie mile betonowych dróg, z czego, własnymi rękoma, wykonali dotychczas około pół mili. Dreny, pozakładane w ziemi lat temu 70, pozatykały się. Trzeba by drenać po raz drugi — operacja przewlekła i kosztowna.

Problemem najbliższym jest podział gruntów i rozwiązanie spółki. Obydwaj wspólnicy mają już dorosłych synów, którzy obejmą po nich gospodarstwa. Współpracować chcą ze sobą nadal — maszyny stanowić będą ich wspólną własność. Ale ziemię podzielą pomiędzy siebie⁴.

Na *Coombe Farm* nie ma czasu na życie towarzyskie, lub pracę społeczną. Mimo to, p. Zienkiewicz żywo się interesuje sprawami polskimi. Chętnie przyjmuje kontaktujących się ze

4. Gdy oddajemy książkę do druku, podział jest faktem dokonany. P. Zienkiewicz objął *Wadhurst Park*, p. Bzikot pozostał w *Coombe Farm*.

Związkiem Rolników fachowców z Kraju. Ostatnio zgodził się na przyjazd z Polski, na paromiesięczną praktykę, młodego asystenta wydziału rolniczego jednej z krajowych uczelni. Nie wierzy — mówi — w komunizm Polaków, nawet partyjnych. A zresztą, gdyby nawet trafił się komunista, byle uczciwy, pragnący pracować dla kraju, przyjmie go chętnie.



W skład Związku Rolników wchodzi 20 kół terenowych i 2 specjalne koła zawodowe (pieczarkarzy i ogrodników)⁵. Większość kół składa się z członków tak rozproszonych w terenie, że o jakiegokolwiek poważnej działalności trudno myśleć. Pojedyncze polskie gospodarstwa spotkać można we wszystkich kątach wyspy, ale tylko w paru rejonach zagęszczenia gospodarstw są na tyle silne, że zawoławszy na pomoc patriotyczną wyobraźnię, możemy już mówić o polskich skupiskach rolniczych. Zagęszczenia te występują w Szkocji, Walii i Devonie.

Szkocja, mimo surowego klimatu i gleby nie najwyższej jakości, posiada wysoką kulturę rolną. Specjalizacja posunięta jest daleko, szczególnie w południowej części kraju. Gdzie indziej piszemy o niektórych polskich farmach, a raczej hodowlanych i ogrodniczych przedsiębiorstwach, charakterystycznych dla tej części Szkocji. Wspomnieć tu warto, że dalej na północ w okolicy Aberdeen, istniały (a parę z nich nadal istnieje) farmy polskie, stosujące konwencjonalną, „mieszaną” uprawę, przypominającą gospodarstwa w Kraju. Słaba jednak opłacalność tego typu gospodarki, czy po prostu surowy, nieprzytulny klimat, skłoniły niektórych Polaków do sprzedaży farm (odkupującymi byli czasami rodacy) i dalszej migracji. Część wyjechała za morza, do Kanady lub Stanów Zjednoczonych, część znalazła pracę w szkockich miastach.

Inna trochę sytuacja istnieje w Walii. Kraj ten, piękny, górzysty, ale o ubogich, kamienistych glebach, obfitujący w

5. Na początku, szczególnie wśród oficerów nawet wyższych, powstała wręcz mania hodowania pieczarek — polskie pieczarkarnie wyrastały — rzec by można — jak grzyby po deszczu. Znana była np. hodowla pieczarek gen. Januszajtisa, w starym *Cottage* niedaleko Londynu w Gatwick (gdzie dzisiaj jest lotnisko).

Groteskową, ale sympatyczną sylwetkę majora-pieczarkarza (*Mushroom-Major*), hodującego pieczarki w sypialni pod łóżkiem dał Jerzy Pietrkiewicz w swojej satyrze na emigrację pt. *Future to Let* (Heinemann 1959).

Dzisiaj centralą pieczarkarzy jest Nottingham.

nieużytki, wydawał się specjalnie naszych rolników pociągać. Działała tu przede wszystkim raczej niska cena gruntu, choć nie jest wykluczone, że w niektórych wypadkach grała także rolę dodatkowa atrakcja malowniczego krajobrazu i charakter tubylców przystępniejszych od Anglików, o temperamentie prawie kontynentalnym. Okazało się wkrótce, że piękny ten kraj wymaga od rolnika niesłychanie ciężkiej, pionierskiej wręcz pracy, za wynagrodzenie bodajże niższe niż gdzie indziej. Najlepiej się tu jeszcze opłaca, ze względu na dobre pastwiska, hodowla bydła i owiec, wymagająca wkładu kapitału, na który Polaków rzadko stać. Natomiast małego wkładu gotówki wymagają farmy mleczne, które stały się główną domeną Polaków w Walii, a nawet na całej wyspie, stanowiąc około 90 % całości gospodarstw polskich. Odwiedziliśmy taką farmę mleczną państwa Czernickich *Glanryreryr Farm* niedaleko miejscowości Lampeter, widzieliśmy ile ciężkiej pracy trzeba poświęcić i na takim gospodarstwie (dorabiając, i zmniejszając samotność, przyjmowaniem na okres letni tzw. letników, którzy traktowani są ze staropolską gościnnością).

Odpyły ze wsi zaczął się w Walii także wcześniej i trwa, zmniejszającą się wprawdzie strugą, do dziś dnia. Ale jest już też spora grupa Polaków zasiedziałych i zagospodarowanych, którzy wracać do miast nie mają zamiaru. Ostatecznie Walia ma swe dobre strony. Należą do nich przede wszystkim rzeczywistość przyjemne stosunki z sąsiadami — Walijczykami. Polacy i Walijczycy chętnie udzielają sobie nawzajem sąsiedzkiej pomocy. Istnieje nawet podobno pewnego rodzaju sojusz walijskich farmerów z Polakami, wymierzony przeciwko Anglikom, których sporo osiedliło się w tutejszych okolicach. Zdarzyło się kiedyś, że Anglik kłótnię sąsiedzką z Polakiem postanowił rozstrzygnąć w sądzie. Sprawę wygrał Anglik, nasz rodak skazany został na grzywnę £100. Oburzeni Walijczycy zebrali między sobą pieniądze na pokrycie całej sumy.

Kierowanie sporów na drogę sądową uważane jest na walijskiej wsi za postępowanie nieetyczne. Stosują się do tych norm Polacy — jeśli idzie o Walijczyków — robiąc tylko czasem wyjątki dla rodaków. Opowiadano nam inną charakterystyczną historię. Polak podał do sądu rodaka, nie wiedząc, że ten ma dzierżawcę Walijczyka. Kiedy Walijczyk zjawił się w sądzie, reprezentując stronę pozwaną, speszony Polak skargę czym prędzej wycofał. Cała sprawa jest ironiczną ilustracją niezbitej na pewno prawdy: polscy rolnicy potrafili przystosować się do warunków, ale wynarodowienie im nie grozi.

◆

Zmagania się polskich farmerów z trudnościami i na ogół dobre rezultaty ich gospodarki na ziemi walijskiej wzbudzają od czasu do czasu zainteresowanie tubylców. Ostatnim dowodem takiego zainteresowania był film, wykonany dla telewizji BBC, pt. *The Borrowed Pastures* (Pożyczone pastwiska).

Jego bohaterami są dwaj polscy farmerzy w Walii, Władysław Bułaj i Eugeniusz Okołowicz, obaj pochodzący z Lidy.

Film ukazuje losy tych dwóch polskich pionierów na biednej farmie „Pennygear” w hrabstwie Carmarthen, żyjących w osamotnieniu i zaharowanych po łokcie — z dala od kraju, na „pożyczonym pastwisku”.

Nadspodziewanie dla aktorów (jednemu z nich kazano opuścić brodę, innemu śpiewać melancholijne dumki), a może i autorów, film wywołał niezwykle przychylny oddźwięk w społeczeństwie brytyjskim. Dwaj polscy farmerzy zasypani zostali stosami listów, z których każdy przynosił jeśli nie dary pieniężne, to propozycje przyjsścia z pomocą, a co najmniej rozczulająco życzliwe słowa. Jeden z listów kończył się: „Niech Bóg ma w swej opiece Was i Wasz kraj”, ktoś inny pisał, że podczas wyświetlania filmu płakał.

Co więcej, jakiś ksiądz katolicki oświadczył gotowość pokrycia kosztów sprowadzenia z Polski do Walii żony i rodziny p. Bułaja i zapewnienia im po ich przybyciu pomocy materialnej. Jakaś firma anonimowo zaoferowała współnikom kwotę pieniężną na kupno nowego traktora. Inna firma wykorzystwała okazję dla zrobienia sobie reklamy, ofiarowując nowoczesną kosiarkę. Wręczenie jej polskiemu farmerom odbyło się z wielką pompą: zaproszono prasę, fotografów, okolicznych farmerów, byli i przedstawiciele polskich organizacji z Londynu (m.in. prezes Zjednoczenia Polskiego i Sekretarz Generalny Związku Rolników Polskich).

Tak więc nieznaną do niedawna farmę Polaków, biedną i samotną, stała się na przeciąg kilku miesięcy jedną z najsławniejszych na całej Wyspie, a film o niej spowodował, że przez społeczeństwo brytyjskie, które właśnie dało dowód dużej szczerobliwości w związku z Rokiem Uchodźczym, przeszła ciepła fala życzliwości w stosunku do Polaków.

◆

Devon ze wszystkich skupisk najbardziej jest skryształowane, najmniejszym też podlega wahaniom. Początkowo wpraw-

dzie i stąd wielu Polaków uciekało do miast, ale ta migracja skończyła się już dawno. Obecnie w Devonie, wraz z przyległymi hrabstwami Somerset i Cornwall znajdują się 32 polskie farmy. Wszyscy ich właściciele zrzeszeni są w miejscowym kole Związku Rolników, którego sekretarzem jest p. Tadeusz Zieliński, rodem z Podhala. W gościnnym Wigdon Mill, posiadłości p. Zielińskiego, znaleźliśmy kwatere, wyczerpujące informacje i w osobie gospodarza chętnego przewodnika po okolicznych polskich gospodarstwach.

Wigdon Mill, dawny młyn, (jak z nazwy łatwo się domyśleć), leży na cyplu, u zbiegu dwóch wartkich strumieni. Okolica — jak mówi p. Zieliński — przypomina Podhale. Dom wszystkimi oknami patrzy na zielenie pobliskich wzgórz, u podnóża obrośniętych gęstą, bujną paprocią, z łysymi łąkami na szczycie, z rzadka upstrzonymi kępami drzew. Biegące stokami wzgórz rzędy płotów zamykają na pastwiskach stada „Devonek” — czerwonych krów miejscowej rasy, wyglądających z daleka jak gromady leniwych biedronek. Na południu rysują się na horyzoncie garby Dartmoor’u, odległe stąd o jakieś 10 mil. Dartmoor służy tu jako barometr: jasne, lub lekka mgielką przysłonięte góry wróżą pogodę, przed deszczem czernieją i jakby przybliżają się.

P. Zieliński, oficer Drugiej Pancерnej Dywizji, gospodaruje w Wigdon Mill już od 10 lat. Osiedlił się tu wkrótce po ślubie z błękitno-krwistą Angielką, panną Brendą Harington, córką rodu o prawdziwie wielkich tradycjach, choć materialnie podupadłego. Państwo Zielińscy mają dwoje dzieci, 9-letniego syna i 4-letnią córeczkę; obok nich jedynym ludzkim mieszkańcem Wigdon Mill jest „pan Jan”, robotnik polski.

P. Zieliński uprawia gospodarkę mieszaną, — wszystkiego po trochu. Hoduje bydło, świnie i trochę kur, sieje zboże, ma nawet małą pasiekę. Jest też w Wigdon Mill zwyczaj pieczenia własnego chleba i ubijania masła, co razem nadaje tutejszemu życiu charakter autentycznie wiejski, rzecz niezbyt często spotykana na zmechanizowanych angielskich farmach. Co poniedziałek, raz w tygodniu, pani domu jedzie własnym Austinem do odległego o 8 mil Okehampton, załatwiać konieczne sprawunki. Resztę daje ziemia.

Jak i wszędzie, Polacy w Devonie początkowo musieli pracować w dwójnásób. Prawie wszyscy zaczynali ze szczupłym kapitałem własnym, zaciągając często wysokie pożyczki. Pieniędzy wystarczało jedynie na najbardziej niezbędne narzędzia.

Wszelkie niedostatki łątać trzeba było własnym wysiłkiem. Okazało się też, że uprawa w Anglii niewiele ma wspólnego z gospodarowaniem w Polsce. Odmienny jest klimat i gleba, inne zapotrzebowania i mechanizm rynku. Doświadczenia ze wsi polskiej nieraz wprost tu przeszkadzają. Rzecz charakterystyczna: wśród farmerów polskich dorabiających się, prowadzących nieraz wzorowe gospodarstwa, spotyka się niezmiernie rzadko rolników sprzed wojny. Wielu farmerów klepie dotychczas biedę, nie potrafiąc się nagiąć do zmienionych warunków i metod uprawy. W Anglii każdy, bez względu na doświadczenia, musiał uczyć się rolnictwa od początku, na kosztownych często błędach. Nauka obejmowała nie tylko samą uprawę. W Anglii dobry rolnik musi być także sprytnym kupcem. Musi umiejętnie korzystać z wielu udogodnień, kredytów i subsydiów, jakie rolnictwu w W. Brytanii udostępnia rząd. Tak np. warto jest karmić bydło robioną u siebie kiszonką, nie tylko dlatego, że daje to dobre rezultaty, ale i dlatego, że rząd popierający produkcję „Silasu” pokrywa lwią część kosztów, związanych z wybudowaniem potrzebnych urządzeń; lub — przykład mniej ważny, ale barwny i dobitny — przed zabiciem wieprza na własny użytek należy go sprzedać, następnie czym prędzej kupić z powrotem. W ten sposób realizuje się subsydium, utrzymywane przez rząd, by umożliwić angielskiej wieprzowinie konkurencję na wewnętrznym rynku z mięsem importowanym. Dopiero po takiej transakcji, na której rolnik zarabia na czysto kilka funtów, przystąpić można do robienia polskich kielbas.

Sąsiedzkie stosunki z Anglikami w Devonie są, prawie bez wyjątku, poprawne. W razie potrzeby jedni drugim wypożyczają narzędzia i maszyny i pomagają bezpośrednim wkładem pracy. Ale wzorowe na ogół współżycie prawie nigdy nie przeradza się w ściślejsze, towarzyskie stosunki. Ta towarzyska rezerwa Anglików tym silniej wiąże ze sobą polskich rolników. Kiedy czas pozwala, odwiedzają się, podróżując nieraz poprzez wielkie połacie Devonu, by wpaść do rodaka na chwilę sąsiedzkiej rozmowy. Miejscowe koło Związku Rolników także służy celom towarzyskim. Zjazdy członków (każde zebranie jest — dosłownie — zjazdem) mają miejsce w prywatnych domach, według ustalonej uprzednio rotacji. Gospodarze przyjeżdżają z rodzinami i zebranie, po załatwieniu nielicznych na ogół spraw organizacyjnych, przekształca się w towarzyską „party”. Istnieje jednak i inna, ściślejsza forma zebrań. Przynajmniej raz do roku członkowie koła robią „inspekcję” jednej z miejscowych, polskich farm. Po oględzinach wymieniają doświadczenia, krytykują i radzą.

Emigracyjna polityka w życiu polskich rolników odgrywa niewielką rolę. Współżycie z naturą, bezpośrednia zależność od ziemi, sprzyjają konserwyzmowi i nasze spotkania i rozmowy zasadę tę na ogół potwierdzają. Postawa polityczna polskich rolników nie wychodzi poza ogólny, mało konkretny antykomunizm, a w życiu angielskim poza sympatie do konserwatywnych rządów. W Devonie postacią ogólnie popularną jest gen. Anders, co zresztą w większości wypadków wcale nie jest jednoznaczne z zaangażowaniem się w wojnę pomiędzy „Zamkiem” i „Obozem Zjednoczenia”. Te sprawy interesują niewielu.

Wiejski konserwyzm jest też zapewne czynnikiem ochraniającym polskość emigracyjnych rolników. Wprawdzie, przyjęcia nabierają niektórych cech angielskich *parties*, ale tego rodzaju wpływy nie sięgają głęboko. Polskość pielęgnowana jest pieczołowicie i chyba świadomie.

Małżeństwa mieszane są zjawiskiem raczej rzadkim. Państwo Zielińscy są wypadkiem pod wieloma względami wyjątkowym. Pani Brenda mówi płynnie po polsku i tego języka używa zwracając się do dzieci. Zresztą, nawet przed zamążpójściem, interesowała się ona żywo Polską. Pod swym panięńskim nazwiskiem ogłosiła powieść, *For Hope Remains*, w której postaciami głównymi są Polacy. Dzieci są rzeczywiście dwujęzyczne — obydwoma językami posługują się swobodnie.

Co drugi dzień odbywa się w Wigdon Mill rytuał ubijania masła. Pan Jan wnosi do kuchni uroczyste swój stary, ręczny patefon i stos polskich płyt. W takt starych szlagierów chlupie śmietana. Kiedy płyta dobiega końca, pan Jan wstaje i wolno, z namysłem wybiera następną. Po czym mały emigracyjny dramacik toczy się dalej: „Chlup! Chlup!” sentymentalnie pod „Dwadzieścia mam lat”, „Chlup! Chlup!” bohatercko pod „Maki na Monte Cassino”.

Pan Zieliński, pamiętając, że „pańskie oko konia tuczy” (krowę też?) przynajmniej dwa razy na dzień zagląda na pastwisko. Staje na szczycie pagórka i woła: „Chodź! Chodź! Chodź!” I bydlę przerywa gryzienie trawy i idzie pod górę, w takt kroków kiwając łbami. Pierwszy dochodzi do nas czerwony, młody byk, Wojtek, i ostrożnie, jak pies, obwąchuje nieznanomych.



Materialnie Polakom w Devonie powodzi się nieźle, tj. dochodzą na ogół do poziomu, na którym żyją angielscy farmerzy. Na stosunki miejskie nie jest to poziom wysoki, ale porównanie trudno jest przeprowadzić. Z gotówką prawie zawsze jest skąpo,

ale potrzeby mieszkańca wsi są o wiele mniejsze od potrzeb mieszczucha. „Kieszenie mam puste, ale nikt w mieście nie zjada co dzień tyłu jaj, co ja”, powiedział nam, trochę naiwnie, jeden z naszych rozmówców. Wypowiedź jest dość typowa. Ogólnie biorąc, rolnicy zdając sobie sprawę ze swych skąpych, w stosunku do włożonej pracy zysków, mieszkańcom miast wygód nie zazdroszczą. Niezależność, fakt posiadania ziemi, świadomość, że jest się „panem na własnych śmieciach”, kompensują trudy wiejskiego życia.

Zdarzają się, oczywiście, smutne wyjątki. Opowiadano nam w Devon o pewnym Polaku, chorym nerwowo, któremu doktor zalecił pobyt na wsi. Polak ten za swe skromne oszczędności kupił parę akrów gruntu i kilka świń. Z prasowanych belek słomy sklecił prymitywny szałas i zamieszkał w nim razem ze świniami. Żył tam w straszliwych warunkach przez szereg miesięcy, żywiąc się surową brukwią i odpędzając siekierą ciekawych, a może i współczujących sąsiadów. Kiedy relacje o niezwykłym zachowaniu się rodaka dotarły do miejscowych Polaków, zajęło się nim Koło Związku Rolników. Niefortunna próba „kuracji” zakończyła się sprzedażą gospodarstwa i powrotem Polaka do miasta.

Od budowy szałasów zaczynali też gospodarzkę niektórzy zamężni dzisiaj farmerzy. Tak zaczął, mówiono nam, major Rozwadowski, który mieszkając w szałasie budował własnoręcznie oborę, a dopiero potem — dom. Podobną też drogą dorabiają się państwo Starzakowie, których udało nam się odwiedzić w czasie naszego pobytu w Devon.

Starzakowie, bezdzietne małżeństwo w średnim wieku, wyjechali z miasta przed paru laty, w nadziei, że wiejskie powietrze wzmocni słabe zdrowie kobiety. Oszczędności wystarczyło na zakup kilkudziesięciu akrów ziemi bez zabudowań i narzędzi. Ohoje Starzakowie znaleźli pracę na pobliskiej, angielskiej farmie i co dzień wieczorem, skończywszy pracę na obcej ziemi, zaczynali na własnej. Z uprawą wielkiego kłopotu nie było, bo p. Starzak obsiewał grunta trawą, i siano sprzedawał na pniu. Nie posiadając żywego inwentarza, Starzakowie budowę zaczęli od domu dla siebie. Stan finansów nie pozwalał nawet marzyć o zaangażowaniu architekta i robotników. Pozostało jedno tylko wyjście: zrobić projekt i zrealizować go samemu, w czasie wolnym od pracy zarobkowej, polegając, poza parą rąk własnych, na uczynności rodaków. Dom stanąć miał w szczerym polu, z dala od ludzkich osiedli; trzeba więc było wykopać studnię i założyć kanalizację, doprowadzić elektryczność. Zdarza się często, że gdy ktoś podejmuje się zadania, przerastającego zda-

wałoby się ludzkie siły, los śmiałkom nogę podstawia. Tak było i tym razem. W czasie kopania studni p. Starzak uległ wypadkowi. Diagnoza wykazała uszkodzenie kręgosłupa. Oznaczało to unieruchomienie — dosłowne — na kilka tygodni. Nie zniechęciło to jednak Starzaków, i skoro tylko pan domu (nieistniejącego jeszcze) wstał z łóżka i mógł się swobodnie poruszać, przerwana pracę znów podjęto. Upór Starzaków musiał imponować okolicznym polskim rolnikom, którzy w *week-end'y* — jedyny czas na wsi względnie wolny — przyjeżdżali pomóc sąsiadowi w budowie. Po dwóch latach wysiłków, w pustym polu, o kilkadziesiąt metrów od drogi, stanął ładny, murowany parterowy domek. Państwo Starzakowie mogli w końcu zamieszkać na własnym gospodarstwie. Stopniowo dekorowali i meblowali wnętrze. Dla człowieka przyzwyczajonego do mieszkań urządzonych byle jak, zawsze pełnych nastroju tymczasowości, dom państwa Starzaków jest przeżyciem niezwykłym. Każdy szczegół jest częścią jednego, przemyślanego drobiazgowo planu. Pewnego rodzaju arcydziełem jest pod tym względem kuchnia. Pani domu ma tu wszystko, czego może potrzebować, na odległość wyciągniętej ręki. Z ciasnoty uczyniono cnotę; ekonomia ruchów, racjonalne zużytkowanie przestrzeni, doprowadzone są do ostateczności. Dom pasuje do mieszkańców, jak rękawiczka.

Budowa nie skończyła się z domem. Obok wyrósł garaż z pustaków, w garażu zamieszkał mały *Morris*. Państwo Starzakowie zmienili pracę. Obecnie zatrudnieni są oboje w odległej o kilkanaście mil fabryce cukierków, dokąd udają się co rana swoim *Morrisem*. Wieczorami i w czasie *week-end'ów* dalej rozbudowują gospodarstwo. Plany na najbliższy okres przewidują budowę chlewu, gdyż Starzakowie zamierzają zająć się chowem świń.

Wobec tak ogromnej, prawie anormalnej pracowitości, człowiek staje zdumiony i bezradny. Tego rodzaju tryb życia, ciągnący się przecież przez długie lata, nie pozostawia, oczywiście, miejsca na czytanie, na szersze zainteresowania, na branie bezpośredniego udziału w życiu społeczności polskiej. Ale czyż można potępić życie tak intensywne i tak wierne w stosunku do wytyczonych sobie celów? Patrząc z zewnątrz, można wątpić, czy cele usprawiedliwiają aż tak wielki wysiłek, ale Starzakom argument taki wydałby się zapewne bezsensowny. Ich praca ma w sobie coś z pasji twórczej artysty.

W ten sam dzień, w którym poznaliśmy państwa Starzaków, pojechaliśmy na farmę „czterech Świętych”. „Czterej Święci”, jedna z nielicznych w Devonie spółek, interesowali nas, między innymi, ze względów klasowych. Była to — poinformowano nas

— spółka na równych prawach dwóch majorów z dwoma sierżantami. Nie wiemy jak zrodził się przydomek i czy ma coś wspólnego ze znaną pobożnością jednego z majorów, ale nie dziwi nas, że określenie przyłgnęło do tych czterech samotnych starszych panów, żyjących ze sobą, biorąc pod uwagę warunki i różnice rang, nadspodziewanie zgodnie. (Dla ścisłości powiedzieć tu musimy, że „Świętych” pozostało już tylko trzech. Czwarty sprowadził sobie żonę z Polski i, w kilka tygodni po jej przyjeździe, przeniósł się na stałe do miasta). „Czterej Święci”, wszystko panowie koło sześćdziesiątki, są właścicielami dużej farmy (ponad sto akrów) i kilkudziesięciu sztuk bydła. Łąki i pastwiska stanowią lwią część gospodarstwa, ale w granicach farmy znajdują się i pola uprawne. Moc bieżącej pracy i brak rąk kobiecych odbijają się przede wszystkim na stanie zabudowań i domu mieszkalnego. W głębi błotnistej podwórki stoi krzywa biała chatka, pęknięta w pół, z szeroką rysą biegnącą od dachu aż po ziemię. Pod oknami rośnie jedna kępa wysokich płomienistych kwiatów, znanych tutaj jako *Red-hot Pokers* (tłumacząc dosłownie: „Rozpalone Pogrzebacze”). W środku na parterze, sufit zwisa wielkim brzuchem tak nisko, że wysoki mężczyzna uważać musi, by głową nie zaczepić o belkę. Ma się wrażenie, że byle silny podmuch zmiótłby chatkę z powierzchni ziemi. Obok, w dużym, zapuszczonym sadzie wałęsają się krowy.

Jak dowiedzieliśmy się, „Święci” od dawna myślą o sprzedaży farmy. Główną przeszkodą jest właśnie stan domu mieszkalnego. Krzywa i rozlatująca się, choć malownicza, chała odstrasza zainteresowanych, lub w innych wypadkach, obniża cenę tak dalece, że wspólnicy nie wycofaliby utopionych w farmie kapitałów. Z konieczności gospodarują więc dalej.

W parę miesięcy po naszej wizycie w Devonie mówiono nam, że sytuacja „Świętych” poprawiła się. Chatę podobno wyremontowali i wzięli się do pracy z nową energią⁶.

6. Nie możemy się powstrzymać od powtórzenia anegdoty, jaka ukazała się w „Tygodniu Polskim” (z 2.7.1960 r.) o trzech wspólnikach z których jeden był pułkownikiem, drugi majorem, a trzeci podporucznikiem, i którzy nie mogli dojść do porozumienia na temat dojenia krow. „Gdy pułkownik wydoił jedną krowę, w tym samym czasie — major dwie krowy, a podporucznik — aż pięć! W rezultacie przestali ze sobą rozmawiać uzgadniając przedtem, że każdy z nich co tydzień kolejno obejmie kierownictwo farmy.

Według starszeństwa w pierwszym tygodniu władzę objął pułkownik. Napisał plan pracy dla majora i podporucznika na cały tydzień dokładnie określając czynności i kończąc rozkazem: „Wykonać!” i podpisem z wymienieniem stopnia wojskowego.

W następnym tygodniu taki sam plan pracy opracował major i tak

Jak już pisaliśmy, stan liczebny rolników polskich utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie. W bliskiej przyszłości nie należy oczekiwać większych zmian. Na miejsce tych nielicznych, którzy, zniechęceni warunkami przeniosą się zapewne do miast, przyjdą inni. Są nawet nadzieje, że ilość rolników z czasem wzrośnie. Podobno na Midlandach, w okręgu, który dotychczas farm polskich nie posiadał, nasi robotnicy, pochodzący przeważnie ze wsi, chętnie obecnie lokują swoje oszczędności w ziemi. Urządzają małe, 10 — 20 akrowe gospodarstwa, pracując jednocześnie w fabrykach. Żyją w stylu Starzaków. Być może, że niedługo będziemy mieli czwarte polskie skupisko rolnicze, o odmiennym od innych charakterze.

Związek Rolników czuje się organizacją na tyle permanentną i zabezpieczoną, że podjął ostatnio inicjatywę określoną na szereg lat. Chodzi o kupno i urządzenie gdzieś pod Londynem tak zwanego „Domu Społecznego” — przytulku dla starych rolników, połączonego z hodowlą pomidorów. Otwarty specjalny fundusz rośnie mozolnie. W tym tempie wiele lat minie, nim dom zostanie otwarty. Nikt się tym jakoś nie przejmuje. Obcowanie z ziemią rozwija cierpliwość.

Na tle rzeszy emigracyjnej, mała grupka rolników wygląda raczej sympatycznie. Większość tych zapracowanych i twardych ludzi „urządziła się” w Anglii w głębszym i pełniejszym tego słowa znaczeniu niż to, w jakim używamy go w odniesieniu do obrotnych Polaków w miastach. Co więcej, pozostają oni prawie zawsze, żywymi członkami emigracyjnej społeczności.

samo zakończył: 'wykonać!'. Cóż miał zrobić podporucznik? Skopiował poprzednie plany pracy, zakończył rozkazem: 'wykonać!', podpisał się i do rozkazu' dołączył rezygnację ze spółki".

POLSKI SZPITAL W PENLEY HALL

Walia dla przybysza z Londynu ma wiele uroków. Pierwszym z nich jest zieleń. Pofalowana w pagórki, wszechobecna, początkowo po prostu oszołamia. Kiedy wzrok zaczyna się przyzwyczajać i odpoczywać, nie odczuwamy monotonii — tyle w niej odcieni. Szczególnie, że niebo i światło jest tu ciągle zmienne. Latem przez pola przebiegają szybkie ulewy, trwające po kilka minut, i już po chwili wśród zwelzionych kumulusów, gra spokojem błękit.

Innym razem przez chmury przedziera się słońce i z całą siłą rozpala na wszystkich łąkach, polach i drzewach podeszczowe krople. Ziemia paruje i przed następną ulewą prawie wysycha. Kiedy indziej po pagórkach i kotlinach pełzają cienie chmur, przeplatane jasnością słonecznego światła. Okolice wtedy jest jak szachownica jasno i ciemno-zielona. Czasem robi się naraz ciemno, ponuro, surowo-zielono, nad polami zwisa szara opona już nie chmur, ale zachmurzonego, bez szczeliny błękitu nieba. Tylko horyzont wyodrębnia się jaśniejszą obwódką. Takie szarugi jesienią i zimą mogą trwać całymi dniami.

Innym urokiem są ptaki. Zanim dotarliśmy do szpitala, szliśmy boczną dróżką idącą z wioski, do której dojeżdża autobus (także koloru zielonego) z Wrexham, i już po kilkuset krokach znaleźliśmy się wśród szczyrych pól, chociaż dróżka była zupełnie porządna, asfaltowa, a wieś dosłownie obok. Od razu przywitała nas kukułka, później kilka ich zaczęło sobie podzuchać nawoływania od drzewa do drzewa, potem skowronki, jakieś szpaki, pliszki, i inne ptaki, o nieznanym nam nazwach.

Idąc dróżką z powrotem w kierunku szpitala nie przypuszczaliśmy, że czeka na nas jeszcze jeden urok przyrody: dzie-

siątki wysokich krzaków wspaniale kwitnących róż. Cały szpital robi wrażenie jednego wielkiego ogrodu.

Przy wejściu do szpitala rzuca się w oczy duża tablica: POLISH HOSPITAL — POLSKI SZPITAL. Za tablicą i w lewo od niej rozciąga się szereg pomalowanych na biało domków i baraków. Baraki połączone są chodnikami okrytymi daszkiem dla ochrony przed deszczem; nadaje to charakter jakby w połowie otwartego, w połowie zakrytego labiryntu. Mniej więcej w środku tej wsi powiewa na maszcie brytyjska flaga.

Między domkami stoją z rzadka drzewa i gdzieniegdzie czarne beczki. Za szpitalem rozciągają się pola i pastwiska. Lewe „skrzydło” stoi opuszczone, w dziko rosnącej trawie. Oddziela je od reszty strumyczek, nad którym przerzucony jest mostek. Za mostkiem duża tablica: T.B. SECTION — NO ADMITTANCE. Do części gruźliczej jest także osobny wjazd z głównej drogi.

Dalsza część szpitala to oddział ogólny.

Idziemy do domku, który wskazuje strzałka z napisem: Administracja. Zza stołu wita nas średniego wzrostu mężczyzna w granatowym mundurze służby zdrowia; ktoś z personelu zwraca się do niego „Panie Majorze”, czynimy więc to samo. Szybko też orientujemy się, że wymienianie rang jest tu przyjęte i jest pozostałością czasów, gdy był to szpital przede wszystkim wojskowy.

Major, który okazał się człowiekiem nadzwyczaj uprzejmym i z dużym poczuciem humoru (można powiedzieć — ludzkim, stąd pewnie zwany jest także wójtem szpitala), rozkłada ręce w szczerym zakłopotaniu: przyjechaliśmy akurat w dniu, kiedy Naczelny Lekarz, płk. Bereza ma gości — wysoko postawione osobistości z Ministerstwa Zdrowia, któremu szpital podlega. Trudno byłoby mu dziś znaleźć czas na dokładne poinformowanie nas i oprowadzenie po szpitalu. Musimy poczekać do jutra.

Zgadzamy się chętnie. Dostajemy pokoik i bony na posiłki — koszt minimalny. Kuchnia jest polska: na obiad jemy barszcz, kotlet z kiszoną kapustą, kompot, pijemy czarną kawę.



Następnego dnia rano jesteśmy przyjęci przez Naczelnego Lekarza. Po *interview*, który trwa prawie dwie godziny, oprowadza nas po szpitalu. Gdy przechodzimy przez sale chorych,

odzywają się powitania pod adresem doktora. Jakiś starszy pan wstaje z łóżka, i staje w postawie na baczność. Wypręża się ponownie kiedy wracamy przez tę samą salę. W małym basenie trzech chorych ubranych w pasiaki łowi ryby. Doktor przez chwilę z nimi żartuje. Wspominają Iscoyd Park (skąd przeszli do Penley), gdzie któryś z nich złapał w takim basenie dużego szczupaka. Część chorych wyszła już na betonowe tarasy przed barakami, niektórzy wyjechali wózkami, aby skorzystać z pięknego dnia. Ci którzy boją się zbyt ostrych promieni słońca, siedzą w cieniu kolorowych parasoli. Letnisko, zdawałoby się, nie szpital.



Obecny szpital jest właściwie pozostałością dwóch szpitali wojskowych przejętych przez obsługę polską w pierwszych latach po wojnie: szpitala dla gruźlików i umysłowo chorych w Iscoyd Park (zwanego także czwartym szpitalem) i samego Penley (znanego jako trzeci szpital), który był szpitalem ogólnym. Oba szpitale przeznaczone były początkowo tylko dla wojskowych, następnie jednak otwarte zostały i dla cywilów. W styczniu 1948 roku w Iscoyd Park było około 500 chorych na gruźlicę i 400 umysłowo chorych. Ponieważ prawo angielskie nie pozwala trzymać umysłowo chorych w szpitalach ogólnych, po zbadaniu ich i tzw. scertyfikowaniu, przeniesiono ich do różnych szpitali angielskich. W Iscoyd został tylko szpital dla gruźlików. W roku 1955 zlikwidowano go. Właściciel gruntów, na których znajdował się szpital, zażądał bowiem zwrotu terenu zarekwirowanego podczas wojny. Znajdujących się w tym czasie 150 chorych na gruźlicę (z reszty, przeważający procent wrócił do zdrowia) przeniesiono do Penley, wraz z personelem.

Początkowo cały szpital w Penley liczył 1.200 łóżek — dzisiaj rozporządza tylko nieco ponad 200 łózkami. Mimo to wciąż jeszcze przez szpital rocznie przewija się około 600 osób. Dzisiaj zresztą, aby dostać się do polskiego szpitala, trzeba odpowiadać specjalnym warunkom, stąd liczba „szczęśliwców” ciągle się zmniejsza.



Jakie to warunki?

Przyjmuje się, przede wszystkim, tylko Polaków, i zasadniczo tylko w wypadku gdy pacjenci mają trudności z językiem angielskim i ich leczenie lub opieka nad nimi byłaby z tego

względu albo niemożliwa lub poważnie utrudniona. Pierwszeństwo mają inwalidzi wojenni, otrzymujący rentę z *Ministry of Pensions*, i to w wypadku chorób lub dolegliwości z powodu których przyznana im została renta.

Ponieważ duży procent łóżek zajęty jest przez wypadki stałe — osoby które leżą w szpitalu czasami 10 do 12 lat, lista czekających na przyjęcie jest długa — trzeba czekać od 6 miesięcy do roku, i właściwie coraz mniej osób ma szansę dostania się do legendarnego już dziś *polskiego* szpitala.

Skąd płynie jednak taka chęć znalezienia się w razie choroby w polskim szpitalu? I na czym polega rzeczywista wartość szpitala w Penley dla chorych Polaków w W. Brytanii?

Pokolenie młode i średnie na emigracji nauczyło się dostatecznie języka angielskiego i poznało na tyle angielski sposób życia, że dla nich szpital polski nie ma jakiegoś specjalnego znaczenia. Zupełnie inaczej ma się sprawa z osobami starszymi, lub z ludźmi prostymi, dla których obcość angielskich szpitali stanowi zrozumiałą powód do paniki. Poza tym sami lekarze angielscy mają nieraz duże kłopoty z postawieniem diagnozy, czy leczeniem, wobec niemożności rozmówienia się z chorym (bywa to nieraz szczególnie kłopotliwe w wypadku umysłowo chorych). Do tego dochodzi jeszcze oczywista kwestia skuteczności leczenia chorego, którego psychiczne nastawienie nie jest najlepsze.

Można by twierdzić bez przesady, że nawet gdyby Penley był szpitalem wykorzystującym do maksimum swoje potencjalne możliwości miejsca, nie zaradziłby w pełni poważnemu problemowi jakim jest sprawa najstarszego pokolenia na emigracji. Ludzi starszych, po 60-ce jest wielu na liście czekających. Wiele wśród starszych Polaków to ludzie samotni, którymi nie ma się kto opiekować. Dla tych potrzebny byłby właściwie nie tyle szpital, co ośrodek dla starców. Rolę takiego ośrodka na małą skalę spełnia Penhros, znajdujący się zresztą zupełnie niedaleko Penley. Szczupłość Penhros powoduje jednak, że rozwiązuje on ten poważny problem tylko w nieznacznych procencie — jakieś 200 osób. Poza tym, ostatnio właśnie z Penhros zwiększyły się zgłoszenia do szpitala w Penley.

Angielski system służby zdrowia, chyba jeden z najlepszych w świecie, niewątpliwie przeciwdziała wysokiej stopie chorobowej i śmiertelności wśród Polaków, trzeba jednak brać pod uwagę, że wielu Polaków pracuje do bardzo późnego wieku, chcąc np. pomóc rodzinom w Polsce; wielu musiało się przestać z pracy umysłowej lub urzędniczej na pracę fizyczną, co

nieraz kończy się nagłym zawałem serca lub innymi dolegliwościami. Trzeba także pamiętać, że przejścia wojenne dają o sobie znać bardzo często zupełnie niespodziewanie.

Inna kategoria osób, dla których szpital polski stanowi duże udogodnienie, to kobiety. Nawet bowiem kobietom znającym jako tako język angielski, wy tłumaczenie w tym języku ginekologowi spraw dosyć intymnych i skomplikowanych nie przychodzi łatwo.

A zawsze, w każdym wypadku pomocy lekarskiej, o ile ma ona być skuteczna, wchodzi w grę kwestia porozumienia się i zaufania do lekarza. W szpitalach angielskich każdy zabieg operacyjny wymaga pisemnej zgody pacjenta. Prosty człowiek, który uległ wypadkowi, zamiast dowiedzieć się po prostu, że stan jego nogi wymaga drobnego zabiegu operacyjnego, niepotrzebnie dręczy się podpisując taki papierek, i myśli że grozi mu co najmniej amputacja (przykład autentyczny).

Jedynie na tym ogólnym tle można ocenić jak wielkim dobrodziejstwem był i wciąż jest szpital polski w Penley.



Dr Bereza opowiada nam charakterystyczny wypadek, który najlepiej może uzmysłowić to dobrodziejstwo.

Starszy mężczyzna stracił mowę. Zabrano go do szpitala angielskiego. Ten człowiek oczywiście nadal myśli, nie sypia po nocach, nie rozumie siostr angielskich, nie potrafi po angielsku zadać na piśmie pytania lub o coś poprosić. Nie rozumie lekarzy, nie rozumie współ-pacjentów. Przeżywa bez żadnej wątpliwości straszne chwile. Co więcej, nie można wobec niego zastosować terapii mowy po angielsku!

Przekazany polskiemu szpitalowi, zmienia się nie do poznania. Rozumie, co się do niego mówi. Zaczyna robić wysiłki, żeby mówić samemu. Po pewnym czasie potrafi wypowiedzieć już parę słów, a nawet prowadzić jaką taką rozmowę.

Takie wypadki — mówi Naczelny Lekarz — są niezmiernie ważne. Szpital polski wrócił temu choremu jego człowieczeństwo.



Oprowadzani przez dra Berezę po szpitalu, zwracamy uwagę na wielką schludność i dbałość o estetyczny wygląd. W korytarzach wiszą gablotki z kwiatami, sale błyszczą od czystości. Przechodzimy najpierw przez oddział gruźliczy. Obec-

nie prawie wszystkie baraki w tej części są puste, lub zajęte na magazyny. W jednym tylko leży jeszcze około 20 pacjentów. Pamiętamy, że w roku 1956 było ich 150. Z tej liczby większość została wyleczona — gruźlica w Anglii nie jest już dziś chorobą na którą łatwo się umiera.

Za pomieszczeniami pogruźliczymi widok przesłaniają dwa niezmiernie długie baraki — mieszkania siostr i sanitariuszy. Nie wchodząc do nich, skręcamy w prawo. Tu stoi czerwona budka telefoniczna, specjalnie dla gruźlików, i osobna kaplica, ładnie urządzona i utrzymana. Gruźlicy mają także własną kantinę ze sceną. Filmy i wszelkie przedstawienia są dawane dla nich osobno. Przy kantinie jest także biblioteka. W jednym z dalszych baraków znajduje się sala przyjęć, sala rentgenologiczna i fizjoterapia, obecnie — ze względu na małą ilość pacjentów — czynne tylko w pewnych godzinach.

Z dwu warsztatów, stolarskiego i zegarmistrzowskiego, gdzie wielu pacjentów zdobyło sobie fach, czynny jest obecnie tylko warsztat stolarski, prowadzony przez specjalnego instruktora. Warsztat zegarmistrzowski zmieniony został na tzw. *hobby shop*, w którym pacjenci mogą sobie robić co chcą.

Dalsza część szpitala to oddział ogólny. Zwracamy uwagę na zastosowanie wszelkich środków zapobiegawczych przed zarażeniem gruźlicą.

Na oddziale ogólnym czynnych jest 9 sal, po 22-23 łóżek każda, razem 200 łóżek.

Gros pacjentów stanowią osoby cierpiące na różne schorzenia będące pochodną podeszłego wieku (a więc choroby sercowe, częściowy paraliż, zwapnienia, choroby żołądkowe, czasami rak). Jak na obecny stan chorych szpital posiada pełną obsługę, dostatecznie wyspecjalizowaną aby leczyć i stosować zabiegi w wypadku całego szeregu chorób: od zabiegów chirurgicznych po leczenie zębów. Jest zresztą paru dobrych specjalistów. Główne jednak działy, to chirurgia, interna i ginekologia (w okresie największego nasilenia szpital posiadał wszystkie działy z wyjątkiem chyba tylko psychometrii). Jeżeli szpital nie jest w stanie sam wykonać zabiegu, przeprowadzić pełnego badania lub zastosować jakiegoś leczenia, chorych odsyła się do jednego z pobliskich szpitali angielskich. Z Wrexham przychodzi pomoc dermatologiczna, wysyła się tam także chorych w razie dodatkowej choroby oczu lub uszu; na naświetlanie wysyła się do Manchester; na operacje specjalne do różnych szpitali — może to być np. Birmingham; istnieje ścisła współpraca z tzw. *Blood Unit* w Liverpoolu.

Tak więc szpital polski ma silne oparcie w okolicznych szpitalach angielskich i może liczyć na pełną współpracę, szczególnie, że dobre stosunki z tymi szpitalami trwają już od 13 lat, a obecny lekarz naczelny jest częstym gościem angielskich szpitali.



Oddział ogólny ma także wszelkie udogodnienia, umiilające życie pacjentom i służące ich potrzebom. Obok kaplicy, jest kantyna ze sceną, biblioteka; w każdej sali szpitalnej, a także w osobnych pokojach (dla tych co mają inny gust niż reszta sali) telewizja, prawdziwe dobrodziejstwo ludzi przykutych do łóżka. Chorzy mają także wózki. W środku szpitala stoi cały szereg małych domków pomalowanych na czarno i wyglądających bardzo tajemniczo. Okazuje się, że są to po prostu małe garaże na wózki. Obok warsztaty reperacyjne. (Dawniej garaży tych było dużo więcej, gdyż więcej chorych, absolutnie i procentowo, używało wózków. Byli to głównie inwalidzi wojenni, wśród nich wielu ludzi bardzo młodych, bez nóg lub rąk).



Penley znany był do niedawna z bardzo bogatego życia kulturalno-społecznego, w którym brał udział prawie cały personel, pod zdolnym i miłym kierownictwem pani Chwalibóg. Pani Chwalibóg jest osobą wszechstronną; nauczycielka z Polski, prowadzi w Penley wraz z tutejszym kapelanem, ks. Wysockim, szkołę sobotnią; jest ponadto reżyserem, autorem sztuk, wierszy i inscenizacji specjalnie pisanych dla pacjentów szpitala, potrafi zaśpiewać w chórze i solo, recytować, wystąpić w głównej roli.

Wystawiano tu sztuki i urządzano imprezy, których poziomowi nie powstydziliby się ośrodek polski w Londynie. Powstała silna grupa artystyczna przy miejscowym SPK (prezesem jego jest dr docent Odrzywolski), tym żywsza, że obejmująca sporo młodzieży, młodych sióstr, sanitariuszy, a nawet lżej chorych pacjentów. Penleyowski zespół taneczny i chór znane były w okolicy, zbierały zasłużone oklaski i wyróżnienia na narodowych festiwalach walijskich (np. w Llangollen), pisano o nich w prasie i zamieszczano fotografie. Swego czasu fotografia jednej z najlepiej dobranych par tanecznych zespołu dostała się nawet na okładkę popularnego „Radio Times”.

Obecnie życie to nie jest już tak ożywione. Młodzież rozjechała się, zmniejszyła się wybitnie ilość młodszego personelu, i oczywiście pacjentów, którzy przy tym mniej interesują się

wewnętrzny życiem kulturalnym i społecznym, mając do wyboru telewizję. Mimo to, imprezy urządzone są nadal, zespół wciąż otrzymuje zaproszenia na występy w okolicznych miejscowościach walijskich, a poziom przedstawień nadal jest bardzo wysoki. Oglądaliśmy fotografie — setki fotografii (to staje się w życiu kulturalno-społecznym emigracji swoistym rytuałem) — różnych imprez i przedstawień. Szczególnie uderzyła nas w nich świetna oprawa dekoracyjna i kostiumowa — wrażenie teatru z prawdziwego zdarzenia. I pod tym względem szpital ma szczęście — p. Wernik, instruktor od terapii zajęciowej, jest także niezwykle pomysłowym dekoratorem. Ostatni jego wynalazek, to rodzaj witraży z różnokolorowych bibulek, podświetlonych elektrycznością. Podobno dało to szczególnie dobry efekt na akademii poświęconej pamięci Marszałka Piłsudskiego, gdzie portret Marszałka wykonany tą metodą wyglądał „jak żywy”. P. Wernik stosuje ostatnio inny jeszcze wykwit sztuki dekoratorskiej — fosforyzujące farby.



Bardzo dobre warunki życia ma także personel szpitalny. Rodziny mieszkają w osobnych domkach (jest około 100 dzieci), „bezdzielni” w dwupokojowych mieszkaniach. Prawie wszędzie jest telewizja. Obok życia kulturalnego i społecznego (po SPK najsilniejszą organizacją jest Związek Inwalidów i zawodowy Związek Pracowników Służby Zdrowia) od czasu do czasu jest także okazja na wymianę myśli i poglądów: najczęściej na tematy kulturalne (polityka nie ma wstępu do szpitala). Zdarza się to wtedy, gdy do szpitala zjeżdża jako pacjent ktoś z elity kulturalnej polskiego Londynu czy innego większego ośrodka: kiedyś częstym gościem, przyjeżdżającym w odwiedziny, była Herminia Naglerowa, zawsze chętnie służąca odczytem czy wieczorem autorskim. Bardzo mile wspomniany jest pobyt Ferdynanda Goetla, niedawno zmarłego.

Inny element powodujący ożywienie wprowadzają przybywający tu jako pacjenci polscy generałowie. Tak wśród chorych, jak wśród personelu jest naturalnie wielu byłych wojskowych. Obecnie leczy się tu gen. Czuma. Swego czasu przebywał w szpitalu gen. Anders¹.

1. Niektórzy chorzy śledzą z zainteresowaniem wynalazki wojenne. Był nawet taki, co podczas wojny koreańskiej wykombinował specjalny karabin z peryskopem dla żołnierzy amerykańskich.

Z dużym zainteresowaniem oczekuje się zawsze przyjazd polskich artystów z Londynu — całemu teatrowi przyjazd niestety nie opłaca się.

Z prasy, tak wśród personelu jak pacjentów, najpopularniejszy jest „Dziennik”, dalej idą „Ostatnie Wiadomości” z Niemiec; parę osób prenumeruje „Kulturę” lub „Wiadomości”; czytana jest również „Gazeta Niedzielną” i trochę tygodników polityczno-społecznych.

Często wyświetlane są filmy, dotychczas tylko dwa krajowe.

Szpital odwiedziło w ostatnich latach paru lekarzy z Polski; nie rzadkie są wizyty rodzin i krewnych z kraju w odwiedziny do pacjentów lub personelu.



Obok szpitala znajduje się mały kościółek angielski i cmentarzyk, na którym część miejsca odstąpiono Polakom. Ogółem jest około 100 polskich grobów, reszta zmarłych w szpitalu pochowana jest na cmentarzu w Wrexham.

Odczytujemy napisy na drewnianych krzyżach i nagrobkach z kamienia (przeważających). Większość nazwisk kresowych, nawet parę ukraińskich, wiek bardzo różny. Dużo wojskowych, oficerów (np. lotnictwa). Polszczyzna niektórych nagrobków szwankuje — widocznie rodzina w kraju zamówiła nagrobek na odległość, w firmie angielskiej.

Na uboczu nieco od działki polskiej, wśród starych i omszałych nagrobków tubylców, przyciąga wzrok kilka drewnianych krzyży. To dzieci zmarłe w szpitalu zaraz po urodzeniu: Jacuś, Basia, i inne zdrobniałe imiona. Żyły po parę dni najwyżej, jak wskazują daty. Dwa czy trzy groby bez krzyży i nazwisk; rośnie na nich świeża, szmaragdowa trawa.



Jak długo szpital jeszcze potrwa? Oto pytanie, które nurtuje wszystkich.

Na jesieni 1959 roku znaleźli się nawet Polacy tak zaniepokojeni pogłoskami o zbliżającej się likwidacji, że rozpoczęto akcję zbierania podpisów pod petycją na rzecz utrzymania szpitala; interweniowano również u posła do Parlamentu, p. Cordeaux z Nottingham. W związku z tym „Dziennik Polski” otrzymał wyjaśnienie z Ministerstwa Zdrowia, którego fragment stwierdza:

„...Ponieważ Polacy zamieszkujący w W. Brytanii korzystają ze wszystkich udogodnień jakie daje Brytyjska Służba Zdrowia na terenie całego kraju, od kilku lat ograniczyliśmy dopływ pacjentów do szpitala w Penley Hall tylko do tych, którzy nie posiadają dostatecznej znajomości języka angielskiego, albo są inwalidami wojennymi wymagającymi dalszego leczenia ran lub chorób nabytych w czasie i w związku z wojną.

W ostatnich dwóch latach zredukowaliśmy pewną ilość łóżek, przede wszystkim w departamencie gruźliczym szpitala w związku ze znacznym spadkiem tego rodzaju chorób.

Obecnie szpital posiada 226 łóżek. Aczkolwiek okresowo w dalszym ciągu rewidujemy potrzeby szpitala, nie mamy absolutnie żadnej intencji jego likwidacji².

Istnienie osobnego szpitala polskiego, przyjmującego pacjentów z całej Wielkiej Brytanii, jest niewątpliwie czymś wyjątkowym. Trudno jest powiedzieć, czy pociąga to za sobą specjalnie zwiększone koszty, obciążające nie tylko polskiego podatnika w Anglii. Odpowiedź na to pytanie wymagałaby dyskusji zbyt technicznej i zależałaby prawdopodobnie od punktu widzenia. (Można bowiem twierdzić, że jest to rozwiązanie z wielu względów korzystne dla wszystkich). Niemniej jednak szpitale tego typu są na pewno na świecie dużą rzadkością. Szpital w Penley jest więc, bez żadnej przesady, pięknym świadectwem humanitaryzmu i zrozumienia władz angielskich.



Przyszłość szpitala rozpatrywana być musi nie tylko z punktu widzenia potrzeb, które nota bene mogą się w najbliższych paru latach znacznie zwiększyć, ale i pod kątem zbliżania się momentu krytycznego dla pokolenia, które przybywając do W. Brytanii było w średnim wieku a dziś zaczyna osiągać sześćdziesiątkę. Ten inny aspekt, to sprawa personelu. Przeciętny wiek personelu wynosi dziś 55 lat. Przeciętny wiek lekarzy — ok. 60-tki. (Personel w większości zaangażowany był w r. 1947).

Jakakolwiek byłaby jednak diagnoza tego problemu, jedno jest pewne: od 13 lat szpital spełniał funkcję niezmiernie pożyteczną, głęboko humanitarną, i będzie ją nadal spełniać jeszcze przez pewien czas. Przez szpital przeszło kilkanaście tysięcy Polaków, którzy wspominają go, przeważnie z wdzięcznością.

2. „Dziennik Polski”, 5 sierpnia 1959.

Nawiasem warto dodać, że pod Londynem istnieje specjalne osiedle dla Polaków nerwowo chorych — Mabledon, gdzie pacjentami opiekuje się polska obsługa. Z chwilą jednak scertyfikowania, pacjent zostaje odesłany do zakładu dla umysłowo chorych.

Prawdę mówiąc, wokół szpitala w Penley narosło coś jak legenda, legenda mająca swoje uzasadnienie w faktach.

A to, że Polacy w W. Brytanii, w momencie choroby, wciąż jeszcze w dużym procencie pragną znaleźć się w szpitalu w Penley, stanowi najlepszy dowód jego wartości.

Mówiąc zupełnie prosto: szpitale, nawet najlepsze, rzadko bywają — *popularne*.

MANCHESTER

Manchester jest chyba jednym z najbrzydszych miast angielskich. Przywitał nas niebem ponurym i czarnym. Budynki mają kolor ten sam plus architektoniczną brzydotę. W każdym mieście jest zwykle chociaż jedna budowla, która ma kształt miły dla oka. Budowlę taką trudno jest znaleźć w Manchesterze.

Oglądamy śródmieście. Jest to ogromny plac, będący równocześnie parkiem i stacją autobusową. Wieczorem długie poczekalnie, całe ze szkła, odbijają setki światła. Nie jest to brzydkie. Natomiast brzydki jest pomnik królowej Wiktorii siedzącej pod kamiennym baldachimem na czymś, co trudno nawet opisać.

Manchester ma charakter przede wszystkim centrum handlowego. Tutaj rozpoczął się ruch przeciwko restrykcjom handlowym; zasada wolnego handlu i wiara że handel najlepiej zbliża narody — znane są historykom pod nazwą szkoły manchesterskiej. Ważną rolę w historii Anglii odegrał niezależnie myślący i dumny mieszczański patrycjat manchesterski, który, jeżeli nie posiadał dobrego smaku, to posiadał prawie wszystko inne mając tę podstawową siłę jaką daje pieniądź.

Dla swego ducha niezależności Manchester miał ponadto silne zaplecze: piękne i wciąż jeszcze, mimo kryzysów, bogate i słynne ze swego przemysłu włókienniczego hrabstwo *Lancashire*. Mieszkańcy *Lancashire*, aczkolwiek ceniący swą niezależność, mają na ogół miły i łagodny temperament; potrafią być nawet sentymentalni. Odczuwa się to od razu w autobusie; konduktorzy są nie tylko uprzejmi, ale często rozśpiewani. Weseli konduktorzy w brzydkim mieście to duża zaleta.

Manchester liczy prawie 700.000 mieszkańców i ciągle się rozrasta, najbardziej w kierunku południowym, do hrabstwa

Cheshire, gdzie powstają zupełnie nowe przedmieścia położone wśród soczystej zieleni. Najbardziej wyludnia się śródmieście: do nowych dzielnic i okolicznych miasteczek przenoszą się nie tylko bogate rodziny, pozostałości patrycjatu, ale i ogromne magazyny. Oczyszczono także całe dzielnice slumsów, przenosząc ich mieszkańców do pięknych domków na odległych przedmieściach. W naszych wędrówkach po mieście coraz to napotykamy opustoszałe domy i nieodbudowane jeszcze ruiny po bombardowaniach niemieckich.

A trzeba dodać, że Manchester dlatego rozrasta się tak intensywnie na południe, że północ ma już dawno zamkniętą. Jadąc którąkolwiek z dróg na północ właściwie nie wiadomo kiedy wyjeżdża się z samego Manchesteru, a kiedy wyjeżdża się w okoliczne miasta, znane z przemysłu tkackiego, jak Oldham, Rochdale, Bury, Bolton, Wigan.

Nic też dziwnego, że w okolicy tej osiedliła się duża liczba Polaków, w samym Manchester ponad 4.000, z okolicami bliższymi i nieco dalszymi, jak Bradford i Leeds, do 15.000.

Rozmowa ze starym emigrantem

Polacy zaczęli przybywać do Manchester w drugiej połowie XIX wieku, głównie w ostatnich dwóch dekadach. Nie znamy dokładnych cyfr, ale grupa polska, a także litewska i ukraińska, były dostatecznie silne w pierwszych latach XX wieku, żeby utrzymać kościół i założyć własne stowarzyszenie.

W roku 1903 przybył do Manchester ks. J.A. Foltin. Nie wiadomo czy z pochodzenia był Polakiem czy Niemcem, przyjechał z Gliwic *via* Londyn.

Po przyjeździe ks. Foltina założony zostaje w roku 1904 pierwszy w Manchesterze polski kościół. Kościół ten, pod wezwaniem św. Kazimierza, istnieje aż do roku 1930, kiedy to zostaje zamknięty z nakazu miejscowego biskupa, na tle nieporozumień z ks. Foltinem i wewnętrznych sporów pomiędzy Polakami, Ukraińcami i Litwinami, którzy przez prawie cały ten czas wspólnie łożyli na kościół i wspólnie z niego korzystali.

Pierwsze polskie stowarzyszenie powstaje w roku 1910 pod nazwą „Klub im. T. Kościuszki”. Klub ten powstał przede wszystkim jako organizacja samopomocowa, udzielająca zapomóg w razie choroby lub wypadku. Założycielem Klubu byli pp. Jan Wiśniewski, Bojakowski, J. Kundzielski, K. Port i F. Wandur. Klub liczył około 100 osób, zarówno Polaków jak Ukraińców i

Litwinów. W roku 1919 Klub przestaje istnieć w rezultacie nieporozumień pomiędzy wymienionymi grupami narodowościowymi. Życie polskie, a także dwóch innych grup, skupia się wokół polskiego kościoła.

Potrzeba jednak życia społeczno-towarzyskiego powoduje, że w roku 1931, już po zamknięciu kościoła i prawdopodobnie jako rezultat tego, powstaje w Manchesterze nowe stowarzyszenie polskie, pod nazwą „Koło Polskie”. Życie polskie znacznie się ożywia. W roku 1934 przyjeżdża do Manchesteru ks. Ładyga; po jego odjeździe pracę duszpasterską obejmuje ks. Sławinas, wydelegowany przez kurię kowieńską — Litwin, ale życzliwy dla Polaków. W międzyczasie uruchomiono tu polską placówkę konsularną, która z małą przerwą trwa aż do wojny. Polacy w Manchesterze odwiedzani są przez wybitne osobistości z kraju, jak np. ks. kardynał Hlond, który był tu w r. 1929, prof. Boniakowski z Chorzowa, Kazimierza Hłakowiczówna, która daje w Kole Polskim wieczór swoich wierszy (r. 1937). Równocześnie Koło Polskie rozwija ciekawą działalność: powstaje orkiestra polska i chór. W roku 1937 dają one koncert pieśni polskich w rozgłośni manchesterskiej — pierwsza tego rodzaju impreza. Dyrygentem orkiestry jest Józef Szpak, saksofonista, syn parokrotnego prezesa Koła, Michała Szpaka. Następuje zbliżenie z liczniejszą kolonią polską w Londynie, a nawet wyjazdy do kraju, czy to na zjazdy Polaków z Zagranicy, czy też na wycieczki. Kilkakrotnie Koło Polskie składa małe sumy na różne cele krajowe.

Tak wygląda w wielkim skrócie historia starej emigracji w Manchesterze aż do wybuchu wojny¹. Opowiedziana w ten sposób brzmi bardzo sucho. Kiedy jednak słuchamy relacji jednego z najstarszych działaczy tej grupy, suche dane nabierają życia. Tę opowieść, miejscami o homeryckich wręcz akcentach, chcemy podać prawie *verbatim*. Nie wszystko jest w niej ściśle, poza tym bohater mówi oczywiście głównie o sobie. Ale jego epicka odyseja warta jest zanotowania. Być może jest to ostatnia relacja usłyszana z ust Polaka starej emigracji w Wielkiej Brytanii (a jedyna zapisana prawie w całości).

O adresie pana Wiśniewskiego, chyba seniora Polonii brytyjskiej, dowiedziliśmy się zupełnie przypadkowo. Zresztą, adres okazał się zły, ale nie na tyle, żebyśmy pana Wiśniewskiego nie znaleźli.

1. Powyższe dane oparte są głównie na referacie Jana Woyczyńskiego, sekretarza Konsulatu R.P. w Manchesterze, który został napisany w r. 1939. Patrz: *Polska Misja Katolicka*, Londyn. (Veritas).

Pan Wiśniewski mieszka właśnie w jednej z nowozbudowanych dzielnic Manchesteru, wśród przepięknej zieleni, dobrą godzinę drogi autobusem od centrum miasta. Mieszka przy jednej ze swoich córek zamężnej za Anglikiem. Druga córka Wiśniewskiego mieszka w Polsce, dokąd pojechała z wycieczką w roku 1938, i następnie została. Dwie inne także wyszły za mąż za Anglików; syn żonaty jest z Angielką. Wnuki po polsku nie mówią, z wyjątkiem dzieci syna.

Pan Wiśniewski, wzrostu niezbyt wysokiego, o typowo sło-
wiańskim nosie i niebieskich oczach, przyjmuje nas najpierw w kuchni, gdzie grzeje się przy kominku, chociaż to już wiosna. Ale nie trzeba się mu dziwić; pan Wiśniewski przekroczył już ósmy krzyżyk, jest trochę przygłuchy i skarży się na coraz większą zawodność pamięci. Najpierw indaguje kim jesteśmy i co robimy. Od razu zastrzega się, że w kilka godzin nie potrafi nam wszystkiego opowiedzieć, biada także nad niemożnością, po przenosinach, znalezienia wszystkich dokumentów dotyczących historii kolonii polskiej w Manchesterze. Kiedy jednak zaczyna opowiadać, zagrzewa się na tyle, iż prosi nas do salonu. Słuchamy go z zainteresowaniem, i mimo że się nieraz powtarza, a czasami gubi wątek, nie jesteśmy znudzeni: interesuje nas nie tylko naświetlenie pewnych znanych nam już faktów, ale i sama sylwetka i język, który zachował jeszcze miejscami akcent lokalny. W streszczeniu jego relacji staraliśmy się zachować tu i ówdzie tak akcent, jak i co barwniejsze zwroty.

Ponieważ w Manchesterze zakupiony właśnie został kościół polski, zaczynamy więc pytać o historię dawnego kościoła i tajemniczą postać księdza Foltina.

Kościół św. Kazimierza mieścił się na *Oldham Road*, w diecezji Salfordu. Jego zamknięcie do dziś boli pana Wiśniewskiego jak otwarta rana. Opisując nam kościół, wyciąga z pożółkłych papierów stare zdjęcie, pieczołowicie rozwija je z bibułki, a następnie sam przygląda się przybliżając oczy na centymetr od papieru. Wskazuje palcem. Palec nie pokazuje jednak kościoła, ale jakieś zabudowania obok. „Biskup sprzedał kościół Żydowi na fabrykę — mówi pan Wiśniewski — ale nie sprzedał sklepu i pięciu domów obok”. Pan Wiśniewski do dziś jeszcze biskupowi nie przebaczył. Co więcej, opowiada nam z żalem i oburzeniem jakiego doznał zawodu, gdy dowiedziawszy się o projekcie kupna nowego kościoła powędrował cały świat drogi do obecnego polskiego proboszcza, aby powiedzieć mu, gdzie znajdują się niektóre rzeczy „zrabowane” z dawnego kościoła. Pulpit jest w *St. Joseph Heywood*, inne rzeczy w *St. Hugh of Lincoln* w Bamford. Pan Wiśniewski ma to zapisane na kar-

tecze. Niestety, ksiądz proboszcz nie dał się namówić na próbę rewindykacji. Z panem Wiśniewskim rozmawiał krótko, zrozumienia nie wykazał, a gospodyni dała mu do poznania, że po pięciu minutach audiencji powinien już sobie pójść. Poszedł więc przekonany, że znów zaprzepaszczano polską własność, a zaprzepaszczal ją tym razem polski proboszcz. Że próba odzyskania tych rzeczy mogła okazać się bardzo kłopotliwa (co najmniej) nie stanowi dla pana Wiśniewskiego żadnego argumentu.

Według pana Wiśniewskiego ks. Foltin przyjechał z Gliwic; był chyba Niemcem, a jeśli nie on, to na pewno Niemką była jego siostra, która nie mówiła po polsku. „Był to zły ksiądz, ale dobry organizator. Parę miesięcy po przyjeździe Foltina przyjechał drugi ksiądz z Rzymu. Biskup nie mógł go posłać nazad, dał go tutaj do Włochów, ale ich mało przychodziło. Zebraliśmy mu na wyjazd do Ameryki. Ship-karta kosztowała £ 5.10.0, a myśmy zebrali jeden czy dwa razy więcej i wyprawiliśmy go do Ameryki, a Foltin został”.

Powstanie Klubu p. Wiśniewski opisał tak:

„Bez sześć miesięcy nie pracowałem. Martwe było wszystko. Jak ktoś z Polaków zachorował, to my przecie nie mogli pozwolić, żeby z głodu umarł, a ubezpieczeń nie było. Jak on wyzdrowiał, to ktoś mu potem pokrzywił się: ja na ciebie dał. Byłem wtedy samotny, chodziłem od domu do domu, nie tylko wśród Polaków, ale i Rusinów i tak nazywanych rusinofilów. Znalazłem jakoś czterech wyróżnionych wśród Polaków, upewniłem się z nimi, ale po domach dalej chodziłem, żeby zjednać sobie ludzi. Ułożyłem plan wspólnie z tymi czterema. Idę ja do księdza, żeby powiedział zaproszenie na nieszpórach do klubu przy św. Kazimierzu, dla Polaków i Rusinów (przy kościele był jakiś lokal). Przyszli prawie wszyscy. Ja zabrałem głos i wypowiedziałem swój program. Każdy kto się zapisze płaci tylko 6 pensów miesięcznie, po upływie czternastu tygodni, w razie choroby będzie dostawał zasiłek 10 szylingów tygodniowo. Ja mogłem wtenczas mówić! P. Leśniewski pierwszy z Rusinów prosi o głos i mówi: jak my, Rusini, możemy zapisać się do tego stowarzyszenia, jeśli wy, Polacy, nam tu nie pozwalacie po naszymu śpiewać? Dałem mu odpowiedź: to co ja robie, to jest sprawa prywatna, nie mam nic wspólnego z kościołem. O tam jest Foltin, jeśli on pozwoli śpiewać, my Polacy nie mamy nic przeciwko temu. Nikt w nich kamieniem już nie rzucał. Ale to nie my rzucali, ale Litwini, którzy uważali ich za Rosjan. Litwini też przestali rzucać. My przecież Słowianie. Pierwsza nazwa Klubu była — Klub słowiański”.

Według dalszej relacji ks. Foltin poparł inicjatywę, spodziewając się, że to zwiększy frekwencję w lokalu przy kościele, szczególnie, że otwarto bufet. Na tym tle doszło jednak szybko do ostrego starcia.

„Po upływie paru miesięcy wywiesiliśmy nazwiska członków klubu i sumę pieniędzy. Co miesiąc wypisywaliśmy na tablicy dochód, żeby każdy wiedział, że nikt ich nie rabuje. Jak my mieli pieniądze, to ksiądz zażądał komorne. A gdzież on tam był ten dochód z tego bufetu! — Zaczęła się z tego walka. Postanowiliśmy od księdza wyjść. Ksiądz powiedział, że ja prowadzę walkę z kościołem. Ja mu odpowiedziałem: niech się ta karczma tu spali, a ten kościół zostanie na filarach, to my tu przydziem. Ja nie walczę z kościołem, ino z księdzem! Wynajęli my nowy lokal. Był klub słowiański, ale po paru miesiącach wszyscy Rusini od nas odpadli, zaś Litwini zaczęli przychodzić. Lepszy Litwini niż Rusini. Więcej dobra z 20 Litwinami, niż z 100 Rusinami. Naród to jest na którym można poligać”.

Kiedy wybuchła wojna, p. Wiśniewski poszedł do wojska, a klub podupadł.

„Poszedłem do wojska angielskiego, ale byłem także zapisany do wojska polskiego. Ludzie nieumiejętnie klub prowadzili. Jak ja wróciłem z wojska pieniądź był trudny, a u mnie było już 6 dzieci. Musiałem się wziąć do roboty. To upadł klub polski. Polacy grupowali się kole kościoła. Kościół polski na obczyźnie to jest twierdza polskości. Nawet niech nie umięją po polsku, ale będą się czuć Polakami jak jest kościół. Ale kiedy ten kościół nam zrabowali, myśmy zaczęli myśleć, żeby coś stworzyć. Myśmy byli ludźmi żywymi, nie martwymi. Myśmy się bronili od wynarodowienia — od prędkiego wynarodowienia”.

Po zamknięciu kościoła Polacy zbierali się w domu p. Wiśniewskiego albo w „public” i radzili. Z tego radzenia powstało Koło Polskie. Nie rozwiązywało ono jednak wszystkich potrzeb. Zbliżała się na przykład Wielkanoc, a nie było polskiego księdza do wysłuchania spowiedzi. Znalazł się jednak w ostatniej chwili przejazdem: „był wysłany przez kardynała Hlonda do Południowej Ameryki, i kiedy wracał, zajechał do nas”. Podczas pobytu tego księdza powstało zdaje się ostatecznie Koło Polskie. „Ksiądz przyjechał na mój adres. Myśmy go zaprowadzili do tego kościoła św. Patryka (św. Kazimierz był pod kontrolą), i on tam zamieszkał. Kiedy przyszła Wielkanoc, było przyjęcie w moim domu. I kiedy ja przemawiałem do niego,

wyraziłem się, że moim życzeniem by było, że jak znajdziemy budynek, żeby była nazwa Koło Polskie w Manchester”.

Polacy nie chcieli się poddać łatwo w walce o swój kościół. Wystosowali protest do hierarchii angielskiej i biskupów polskich, który brzmiał:

„We Poles, parishioners of St. Casimir's Church wish to express our sorrow and anguish, by the act committed by His Lordship the Bishop of Salford in closing the Church of St. Casimir.

During the thirty years of existence of that Parish we never in any way neglected our duties as parishioners of St. Casimir. We regret to say that no reasons were given why the Church was closed. Had an act like the closing of St. Casimir's occurred in Mexico or Soviet Russia, the whole world would express its sympathy, and condemn the persons responsible for the act.

Had it happened in Poland it would be brought before the League of Nations as another act of Polish persecution of Nationality. What can we Poles think when an act like this is committed in England where Government allows free practice for every religion and creed taking into consideration the country we are living in.

We Poles, send our Protest, and demands that St. Casimir's Church should be opened at an earliest possible date and restored back to us, and that We, as Catholics shall be free to fulfil our religious duties in a Free Country.

Committee of Polish Parishioners.

A copy of this protest is sent to:

Em. Cardinal Bourne,

Bishop of Salford,

Em. Cardinal Hlond,

Rev. Dean Maspero,

All Polish Bishops and Polish Newspapers”.

Protest ten nie odniósł żadnego skutku. Z relacji p. Wiśniewskiego także wynika, że w walce o kościół i parafię poddać się nie chciał i ks. Foltin. Wśród Polaków musiało wrzeć w tym czasie, jeśli podawano nawet w wątpliwość święcenia ks. Foltina.

„Kiedy ten kościół był zamknięty, przyjechał do nas ks. Majchrzak (zdaje się, że chodzi tu o tego samego księdza, o którym była mowa nieco wyżej). Myśmy jeszcze wtenczas płacili na kościół”. P. Wiśniewski pokazuje nam kilka notesów, w których zapisane są składki na kościół Polaków w Manchester.

„Chodziliśmy do biskupa. Biskup mówił: płacicie, chodźcie, a księdza dostaniecie od kardynała Hlonda. Pisałem list do Kardynała. Opisałem mu historię ks. Foltina i podrobienia papierów. Nie było od kardynała Hlonda odpowiedzi. Ks. Majchrzak chciał u nas zostać, napisaliśmy dwa listy, nie było odpowiedzi. Były potem tylko listy od ks. Majchrzaka, że ks. Foltin chce wrócić siłą, mocą do nas. Za parę miesięcy ks. Foltin przyjechał”.

Jest to zupełnie nowa wersja całej afery, nie zanotowana u Woyczyńskiego. Wygląda zresztą bardzo interesująco.

„Ja już wtedy przyszedłem do wniosku, że główna wina zamknięcia kościoła była ks. Foltina, a nie ks. Biskupa, i kiedy ks. Foltin tu był, a kościół był zamknięty, to on postanowił coś zdziałać, i chciał stworzyć tak zwany kościół narodowy. Bez trzy wieczory rozmawiał z ludźmi. Ja siedziałem z głową spuszczoną; myślałem: jak ja coś powiem, to ci ludzie mnie źle zrozumieją, to koło upadnie. On chciał, żeby to było w naszym klubie.

Podchodzi do mnie na trzeci wieczór kobita i mówi: panie Wiśniewski, i pan tak tego słuchasz!? Krew we mnie zadygotała. Więc ja się podniosłem i mówię: prosiłbym księdza proboszcza o głos. On był pewnie bardzo ciekaw co ja będę mówił, bo żem bez trzy wieczory milczał. Ja byłem wzburzony. I jemu powiedziałem w te słowa: Moja matka katoliczka mnie porodziła, i moje rodzice byli katolikami, i ja swojej religii nie porzucę! Na to ks. Foltin tylko powiedział: gdzie mój oberkoat? Ja jeszcze żem powiedział: ks. Foltinie, czy nie ma już innego wyjścia, czy my się mamy na taką hańbę w oczach Anglików wystawić? To był koniec. Ks. Foltin wyjechał do Polski. Przyszedł list, żeby za pośrednictwem konsulatu powiedzieć, jak on się tu zachował. Każden swoją opinię wypowiedział. Biskup tamtejszy zamknął Foltina do klasztoru i on tam umarł nie jako człowiek wolny. Zapisał na swoją kuzynkę pieniądze, £ 2.000, które były tu w banku”.

Osobista historia p. Wiśniewskiego jest niemniej interesująca, wyjaśniając ponadto skąd wzięła się u niego żyłka pracy społecznej.

Pan Wiśniewski pochodzi z Żyrardowa, gdzie brał udział w jednym z pierwszomajowych strajków. „Ja nie za chlebem, panowie, z Polskim wyszedł. Jak Kozacy do Żyrardowa przyszli, kobiety leli na nich wrzątek z okien. Dlatego ja musiałem uciekać do Niemiec”. P. Wiśniewski czuje się więc także emigrantem politycznym.

Ojciec jego był majstrem kolejowym na kolei warszawsko-wiedeńskiej. „Kiedy ja doszedłem do lat, pracowałem w zakładach żyrdowskich czesalni lnu. Prędko postępowałem. Byłbym został majstrem. Ale musiałem uciekać, bo tam i tam aresztowali, i mnie somsiedzi powiedzieli: będziesz i ty aresztowany. Złapałem marynarkę i jakżem poszedł tak do dzisiaj żem poszedł”.

„Prac to miałem ze sto kilka. Pod ziemią, w kopalni, zamiatiałem ulice w Manchester, robiłem rag-shop. Byłem zawsze niezadowolony, chciałem więcej i więcej zarobić. Pracowałem

przy *ship-kanale*. Jak była japońska wojna, wyjechałem znów do Niemiec i do Polski. Później wróciłem i zacząłem myśleć o przyszłości. Robiłem damskie kapelusze bez dwanaście lat. Robiliśmy także czapki, blisko tysiąc ludzi pracowało; dziś czapka to szmata, wtenczas to było prawdziwe wykonanie. Zastanawiałem się, nie widziałem dalekiej przyszłości. Te czapki dla mnie lepsze są, myślałem. Zacząłem w domu uczyć się robić te czapki. Ja szybko łąpałem jak co robić. Robotę po kryjomu robiłem, a co zrobiłem, to chodziłem po małych sklepach, a przede wszystkim do Żydów. I te czapki sprzedawałem; na papierosy to ja zarobiłem.

„Potem poszedłem na wojnę. Po wojnie zaraz byłem zdemobilizowany, bo ja u tego Żyda byłem głównym człowiekiem, przez *War Office* o mnie prosili.

„W onym czasie jakoś pokazują mnie 6 szali jedwabnych. Ile żeś zapłacił za to? On mówi: tyle i tyle. Pokazał mi, że to były felerowe. *Seconhant*.

„Dał mi adres gdzie on to kupił. Poszedłem tam w niedzielę. Tych szali było z trzy wozy, cała moc. Rozumiałem, że mógłbym to kupować, żebym miał pieniędzy i mogłem setki sprzedawać. Z wojska miałem na pocztę trochę pieniędzy, ale nie chciałem ruszać.

„Miałem tylko 10 szylingów. Kupiłem 4 szale, zarobiłem na tym £ 1. Co dzień na wieczór tam szedłem. Miałem do Bożego Narodzenia £ 300 gotówką pieniędzy. Postanowiłem iść na *Market*. Małe miałem pojęcie o handlu, bo żebym miał praktykę to bym tysiące zrobił. Praktyka w handlu to *pudament*.

„Pracę rzuciłem. Te szale później już nie szli. Zacząłem sam robić czapki, spodnie męskie i dla chłopców, ale wszystko z dobrego materiału. Przettrzymałem ten podły czas. Na torebkach to miałem moje nazwisko, wszyscy wiedzieli, że ja Polak. Nie używajcie panowie pośród Anglików mowy innej jak ich. Ale nazwisko używajcie, tak jak *ajryszmeni, skoczmeni*”.

I tak przyszła druga wojna. Pan Wiśniewski miał już swój własny dom. Kiedy zjawili się w Manchester pierwsi polscy żołnierze, p. Wiśniewski czuł się już pełnoprawnym gospodarzem.

„Przez mój dom w czasie wojny przeszło 2.000 Polaków. Żaden Polak nie wyszedł z mego domu bez filiżanki herbaty (myśmy ją też dostali). A jak był jeden polski generał kilka lat temu, to ja w jego opinii nie byłem godnym człowiekiem, żeby ze mną mówił. To ja go za nic mam, tego generała.

„Dużo Polaków było w szpitalu. Wszedłem na salę — sami Polacy. Jak powiedziałem: dzień dobry panowie, prędzej się

śmierci spodziewali, niż że im Polak dzień dobry powie. Później przyjechała córka Marszałka Piłsudskiego. To ja z nią chodziłem kupować różne drobiazgi. I kiedy ja tam chodziłem, przyjechali Polacy z Blackpoolu z lotnictwa. Przyszło ich na salę dwóch Polaków i konsul francuski i jeden Anglik. I kiedy oni doszli do mnie to ja do tego majora po polsku przemówiłem. Jakoś głupio mi odpowiedział, żeby nie te Francuzy, to bym mu wstydu narobił.

„Ten major prowadził wycieczkę. Jak się dowiedział, że ja jestem z Manchester (szpital był pod miastem), to mówi, że oni chcą jechać do polskiego Koła. Żeby ich zaprowadził. Wszedłem do tego wozu. Jeden się podniósł, każdy miał jakieś odznaczenie, żeby ja usiadł. Ja ich muszę zabrać do domu za te grzeczność, że on wstał. Powiedziałem mu, że ich dwóch chcę zabrać do domu. On mi mówi, że major nie pozwoli. To ja idę do majora. Może ja mu teraz oddam, może jest okazja. Przepraszam majora, i mówię mu tak a tak, a ten pułkownik co tam był się pyta: a kogo? A mówię, tych panów. Pułkownik mówi: a czy ja mogę z panem iść? Mówię, że owszem. U mnie jeszcze wszystkiego było, bo my rok przed tym chowali. Było parę flaszek piwa, wódki. Kiedyśmy jedli, to ja pułkownikowi powtórzyłem, co ten major mi powiedział. Pułkownik przy nich powiedział: panie Wiśniewski, co pan może od wołu żądać, tylko sztukę mięsa. Powiedziałem mu jeszcze, że nigdy tytułu nie mówię, bo się nie znam. Mógłbym jeszcze powiedzieć jakoś śmiesznie. Tylko jak do Polaka, nic więcej”.

Po wojnie p. Wiśniewski jeszcze trochę pracował. W końcu jednak postanowił, że czas mu odpocząć. Ale źle mu żyć bez pracy. „Chciałem jak najdłużej pracować. Póki ja w ruchu, to mi lepiej, tak myślałem. Tak długo będę żył jak będę w ruchu. Teraz jak nie pracuję, gorzej się czuję niż kiedy pracowałem”.

Przed pożegnaniem się dostajemy jeszcze od p. Wiśniewskiego trochę dokumentów. Jeden z nich — protest parafian — już zacytowaliśmy. Dokument drugi dotyczy okresu wojny. Ponieważ i on jest prawie nieznan, podajemy go w całości².

Militarna konwencja rosyjsko-angielska przewidywała, że obywatele rosyjscy znajdujący się w Wielkiej Brytanii mogą być wcieleni do wojska brytyjskiego. Kiedy jednak, po upadku caratu, Tymczasowy Rząd Kiereńskiego ogłosił prawo Polski do niepodległości, Polacy w Anglii wykorzystali to, aby zadeklarować swą polskość i wskazać, że przestali podlegać postanowieniom

2. Nie wspomina o nim Jerzy Zubrzycki w swojej książce *Polish Immigrants in Britain* (1956). Nie zna go także Woyczyński.

konwencji. Związek Stowarzyszeń Polskich w W. Brytanii zwołał więc w Londynie zebranie, na którym uchwalono poniższą rezolucję:

„The Russian Provisional Government having proclaimed the independence of Poland on March 30th 1917 His Majesty Government have in official statement in the House of Commons on April 26th 1917 declared their entire agreement with the Russian proclamation and expressed the hope that new Poland will live in friendly relations with Great Britain.

These two pronouncements leave no doubt that Poles who used to be Russian subjects have ceased to be subjects of the Russian State. Thus the Anglo-Russian convention on military service, regarding as it does Russian subjects, cannot apply to Poles who are no longer regarded as such by the Russian Government nor indeed by the Government of Great Britain.

In view of these facts we Poles assembled at this meeting convened by the Union of Polish Societies in England, held in Albert Rooms, London on July 28th 1917 declare that the terms of a convention concluded between His Majesty Government and the Provisional Government of Russia clearly do not apply in their case.

NOTE. — The Union of Polish Societies in England (temporary addr. 38 Charles Square, Hoxton, London, N.) are in communication with the competent authorities on this subject”.

P. Wiśniewski mówił nam, że kiedy zwołane zostało w Manchester zebranie sprawozdawcze na temat tej rezolucji, policja otoczyła lokal, bojąc się demonstracji.

Cheetham Hill

Polacy grupują się w Manchesterze głównie w dwóch dzielnicach: Cheetham Hill i Moss Side. Na Cheetham Hill mieszka wciąż jeszcze parę osób ze starej emigracji, która kiedyś mieszkała tu prawie w całości. Powody popularności tej dzielnicy były zdaje się dwa: jej taniać i fakt, że jest to dzielnica żydowska, ściślej — żydowskich handlarzy. Polacy, osiedlając się w obcym mieście, szukali dzielnic tanich, i ciągnęli do Żydów, którzy byli mniej obcy niż tubylcy. W wypadku nowej emigracji ten drugi powód występował w mniejszym stopniu; wielu Polaków osiedliło się w tej dzielnicy dlatego, że była ona położona najbliżej pod-manchesterskich hosteli. Niemniej, pewna „swojskość” tych ulic była także atrakcją³. Pojechaliśmy na Cheetham Hill by obejrzeć dom Koła Polskiego, które nadal istnieje, jako organizacja zupełnie niezależna, mimo, że w dzisiejszym Kole, na ok. 300 członków, jedynie 20 to starzy emigranci.

3. Rzecz ciekawa: podobnie w Leeds, większość Polaków osiedliła się początkowo w dzielnicy żydowskiej: *Chapeltown*.

Zmajoryzowanie starych emigrantów przez nowych nastąpiło stopniowo. Kilka miesięcy przed wojną nastąpiły duże zmiany w Zarządzie Koła. Dotychczasowy Zarząd ustąpił, robiąc miejsce ludziom młodym, urodzonym już w Anglii. Podczas wojny Koło prosperowało, mimo, że jego dom zniszczony został przez bombę niemiecką. Szczególnie warto podkreślić wielką gościnność i życzliwość starej emigracji wobec wojsk polskich. Po wojnie Koło zaczęło podupadać. Nie pisaliśmy dotychczas prawie nic o stosunkach wewnętrznych w starej emigracji, ale i ona nie była wolna od sporów. Jednym z nich było ścieranie się dwóch frakcji: p. Wiśniewskiego i rodziny Szpaków. Po wojnie wygrała frakcja druga. Klub Koła stawał się coraz bardziej instytucją rodzinną. Opowiadano nam, może złośliwie, że jego główną atrakcją była stojąca na środku sali beczka piwa, z której członkowie popijali sobie do woli, obsiadając ją dookoła.

W roku 1952 Koło Polskie liczyło około 30 członków, z tego 14 dożywczych i 4 honorowych. Wpływy ze składek w tym roku dały £8.0.0. Obrót w barze wynosił £1.000. Ale od tego roku datuje się także zmiana na lepsze. Do Zarządu weszło paru nowych emigrantów, przyciągając nowych członków, rekrutujących się z przybyszy ze zlikwidowanych okolicznych hosteli. Dzielnica Cheetham nabrała wkrótce charakteru polsko-żydowskiego. Obroty w barze Koła Polskiego wzrosły w roku 1958 do £7.000. Klub przeszedł całkowicie w ręce nowej emigracji.

Polaków ze starej emigracji, głównie seniorów, ale czasami i kogoś młodszego, wciąż można spotkać w klubie; seniorzy przychodzą regularnie, co niedzielę w południe i siedzą aż do zamknięcia, pijąc tylko piwo. Picie piwa przyjęło się także wśród nowej emigracji.

Mimo jednak tych zmian, klub nadal zachowuje charakter robotniczy; jedynie paru inteligentów — lekarzy, oficerów — jest jego członkami lub działaczami.

Idziemy odwiedzić obecnego prezesa Klubu, Kozubowskiego, który jest nowym emigrantem. Zastajemy go u niego w domu, wraz z żoną, która jest dentystką. Dowiadujemy się, że klub prowadzi obecnie robotę społeczną, dając lokal dla szkoły sobotniej i pokrywając część kosztów. Istnieje także w Klubie biblioteka, która posiada sporo książek, a ponadto korzysta z usług Centrali Bibliotek Ruchomych. Czytelnictwo w bibliotece jest jednak słabe — korzysta z niej nie więcej jak 20 osób. Przy Kole Polskim istnieje także Polski Klub Sportowy, który ma sekcję pingpongową, grającą w 1 Lidze Manchesteru.

Kozubowski, człowiek o dużej energii i długoletni działacz polski w Manchesterze, patrzy raczej z pesymizmem na przyszłość polskość w Anglii. Z jego obserwacji wynika, że młode pokolenie nowej emigracji gremialnie emigruje za ocean. Ci zaś, co zostają, są coraz bardziej wciągani przez społeczność angielską, przyjmując jej zwyczaje, zainteresowania, asymilując się coraz mocniej. Dla organizacji polskich w W. Brytanii widzi jedno wyjście: przekształcanie się powoli na modłę organizacji brytyjskich.

Jeden z czynników wynaradawiania się p. Kozubowski widzi w fakcie, który jest cechą skądinąd dodatnią: w wielkich ambicjach jakie rodzice polscy, nie tylko inteligencja, ale właśnie i prości robotnicy, mają dla swoich dzieci. Ambicje te są większe niż u rodziców angielskich i przemówiłyby jako bardzo silny argument przeciwko powrotowi do kraju, w razie gdyby taki powrót okazał się politycznie pożądanym.

Dyskutujemy następnie z p. Kozubowskim sprawę kupna kościoła polskiego w Manchesterze. P. Kozubowski obawia się, by kościół ten nie stał się kościołem jednego pokolenia. Wielu Polaków, ze względu na duże odległości, pozostanie przy swoich lokalnych kościołach angielskich. Młodzież także uczęszcza do lokalnych kościołów katolickich ze względu na przyjaciel i znajomych Anglików. P. Kozubowski daje przykład pewnej młodej Polki, która chodziła na polską mszę do Domu Komatanta, z chwilą jednak gdy poszła na uniwersytet, zaczęła chodzić do kościoła angielskiego, gdzie chodzą wszystkie jej koleżanki.



Idąc w dół Cheetham Hill Road obserwujemy panujący tam ruch. Wre tu handel, aż miło. Pełno jest także rzemiosła. Patrzymy na twarze przechodniów: co drugi ma rysy semickie, a spotykamy także długie brody i klasyczne pejsy.

Idziemy obejrzyć polskie przedsiębiorstwo wyrobu torebek plastikowych p. Romanowskiego.

Polacy w Manchesterze mówią, nie bez pewnej dumy, że cały wyrób i handel torebkarski jest w rękach Polaków i Żydów. W rękach Żydów — wiele w tym prawdy, ale trochę prawdy jest także i w pierwszym twierdzeniu. Ilość polskich warsztatów torebkarskich trudna jest do uchwycenia; jest ich w każdym razie ponad 10 — od bardzo małych, zatrudniających 2-3 osoby, do „dużych” — zatrudniających 10 osób. Większość z nich wyrabia torebki z plastiku, ale parę warsztatów pracuje w skórze. Ogółem oblicza się, że około 200 rodzin polskich związanych

jest tak czy owak z tym rzemiosłem: czy to jako właściciele, czy jako pracownicy stali, lub dorywczo; niektórzy biorą robotę do domu, aby dorobić dozwolonego £ 1.0.0. do zasiłku *Assistance Board*. Bywa, że robotnicy, którym skrócono tydzień pracy ze względu na zastój w jakiejś branży, dorabiają przy torebkach.

Firma p. Romanowskiego jest chyba największa z polskich przedsiębiorstw. Mieści się na Cheetham Hill Road, na przeciw bóżnicy, w starym i brudnym budynku. Wchodzimy po schodach na pierwsze piętro, do dużej sali zastawionej rolkami plastyku. Za drewnianym stołem stoi blada dziewczyna i wywraca gotowe torebki na prawą stronę. Obok niej mężczyzna już trochę siwawy, wyglądający na Polaka, przytwierdza ręczną maszyną metalowe skuwki. Z akcentu poznajemy, że pochodzi z Wileńszczyzny. Po prawej stronie, za przepierzeniem z koców, pracuje parę kobiet. W sąsiednim pokoju furczą maszyny do szycia. Polka i Irlandka obszywają torebki. Warsztat, co się zowie.

Ze składu wychodzi do nas właściciel, a raczej, jak się okazuje z rozmowy, jeden z dwu właścicieli spółki, p. Romanowski. Wita nas bardzo serdecznie, chociaż przeprasza, że jest trochę nie w sosie, poprzedniego wieczoru był na większej popijawie. Widać to po jego twarzy, różowego koloru. Siadamy za stołem w składzie, gdzie na półkach leżą setki i setki torebek, większych i mniejszych, w kształcie wiaderek — ostatnia moda — i płaskich, podłużnych a pakownych, i malutkich, dziecińczych. Po składzie kręci się wspólnik, który zajmuje się stroną handlową firmy, podczas gdy p. Romanowski odpowiedzialny jest za produkcję. Co pewien czas wchodzą klienci: jakiś Żyd z bokobrodami, kupujący tuzin takich i dwa tuziny innych, jakiś Anglik, robiący zamówienie dla sklepu.

P. Romanowski częstuje nas herbatą z mlekiem i zaczyna opowiadać.

Urodził się w Stanach Zjednoczonych. W czasie wojny zgłosił się do wojska polskiego i został przy nim. W ten sposób stracił obywatelstwo amerykańskie. Po wojnie był tak zwanym *welfare officer* w polskich hostelach. Zebrał pewien mały kapitał. Następnie poszedł na praktykę do firmy torebkarskiej; później sam wynajął pokój, w którym pracował jeszcze jego kolega z wojska, krawiec, i wziął się do robienia torebek. Wkrótce mógł już przystąpić do spółki. Dzisiaj jego warsztat zatrudnia 10 osób, i wyrabia tygodniowo do 3.000 torebek, a bywają okresy, kiedy zapotrzebowanie jest tak duże, że cyfra ta powiększa się do 5.000. Oczywiście, zdarzają się zastoje. Pierwsze miesiące 1958 roku przyniosły firmie duże straty, razem ponad £ 1.000. Od tego czasu rynek wyraźnie się poprawił. Firma figuruje w

tak zwanym *Kelly's Directory of Merchants, Manufacturers and Shippers*, i ostatnio otrzymała kilka zapytań z Ceylonu. Na razie jednak nie zajmuje się eksportem, natomiast dostarcza torebki na całą Anglię, głównie jednak do Glasgow, Dundee i miast okolicznych. Powoli p. Romanowski ma zamiar zmodernizować warsztat, wtedy, przy znacznym podniesieniu produkcji, można będzie pomyśleć i o eksporcie.

W każdym razie zarobki już i dziś nie są małe, chociaż dokładne cyfry muszą pozostać dla nas tajemnicą. P. Romanowski, który jest żonaty i ma córkę, posiada także własny domek. Ponadto znajduje czas na pracę społeczną w Kole Polskim.

Nosi się z zamiarem odwiedzenia kraju. Niedawno spotkał swego szwagra z Polski, który pływa na kutrach dalekomorskich. Spotkanie było niespodziewane: szwagier zachorował na morzu i przewieziony został do Aberdeen. Zawiadomiony o tym, telegraficznie, p. Romanowski pojechał go odwiedzić.

P. Romanowski jest stałym czytelnikiem „Dziennika”, a co sobotę „Tygodnia Polskiego”, o którym mówi, że jakkolwiek można mieć o nim opinię, przez sobotę i niedzielę jest co czytać. Z gazet angielskich czytuje regularnie *Daily Express*, od roku 1946. Ponieważ idzie właśnie w Manchesterze „Kanał” Wajdy, (po raz drugi), pytamy, czy wybiera się go zobaczyć. Tak, ma zamiar.

Wychodzimy na ulicę i przez chwilę stoimy przed wejściem firmy. Wychodzi z niego zakonnica, w starym, brudnym habitcie i mijając nas uśmiecha się znacząco do p. Romanowskiego. „Pewnie znowu coś wzięła” — mówi p. Romanowski. Zakonnica ta zbiera na sieroty i nieraz, twierdzi p. Romanowski, chowa jakąś torebkę w szerokich fałdach habitu. Właściciel patrzy na to przez palce, ostatecznie — cel jest dobry.

Na „Citam Hil” — jak wymawiają Polacy — zaczyna padać drobny deszczyk. Wsiadamy do autobusu i jedziemy na drugi koniec miasta, do drugiej „polskiej” dzielnicy — Moss Side.

SPK

Wysiadamy na przystanku *Brooks Bar* i szukamy podanego nam numeru. Stajemy przed dużą budowlą z czerwonej cegły, której część wygląda jak kościół, z dużą czworoboczną wieżą dominującą nad całą ulicą. Na murze przy wejściu tabliczka — SPK. Tak, więc to jest Dom Kombatanta. Wchodzimy do

środku. Przy wejściu do długiego korytarza rzucają się w oczy kolorowe plakaty, ogłaszające różne imprezy, zabawy lub „Żywy dziennik”; w korytarzu na ścianach wiszą ogłoszenia, komunikaty i umieszczone są gablotki ze zdjęciami drużyn sportowych, zespołu tanecznego; w innej gablotce stoją zdobyte puchary; poza tym ściany ozdobione są budującymi hasłami w rodzaju „Polskość nie zaginie w Kombatantów rodzinie”.

Jeszcze w Londynie mówiono nam, że Dom Kombatanta w Manchesterze jest jednym z największych domów polskich w W. Brytanii. I tak jest w istocie. Przede wszystkim trzeba wymienić znowu największą w Anglii salę imprezową, która ma 350 miejsc siedzących i dużą scenę. Poza tym, oprócz biur, znajdują się tu: restauracja i bar, kawiarnia, biblioteka, czytelnia, pokój bilardowy, pokój z telewizją, sala wykładowa, kiosk z gazetami i książkami, i pokój noclegowy na trzy łóżka.

Kombatantom w Manchesterze jednak to nie wystarcza. Już od dłuższego czasu postępują prace nad odremontowaniem, jak się tu mówi, „ruin kościelnych” (wieży groziła rozbiórka, reszta kościoła była w dużym stopniu spalona w momencie kupna). Ma to dać salę o pojemności 700 miejsc siedzących! Plany SPK są jednak jeszcze ambitniejsze. Pomiędzy murami kościoła a właściwym budynkiem Domu Kombatanta znajduje się duży dziedziniec. Planowane jest położenie podłogi i dachu i otwarcie w tak powstałej dużej sali muzeum polskiego.

Dom Kombatanta zakupiony został w r. 1949. Odrestaurowanie budynku i przystosowanie go do nowej roli kosztowało już ponad £ 3.000, informuje nas kierownik Domu, p. Kopeć. Dzięki temu jednak zdołano zaspokoić większość potrzeb życia polskiego w Manchesterze. Trzeba od razu powiedzieć, że Dom Kombatanta w Manchesterze jest jednym z najlepiej prowadzonych przedsiębiorstw i ośrodków społecznych w całej Wielkiej Brytanii. SPK w Manchesterze ma rzeczywiste powody do dumy.

Jak w większości innych ośrodków Dom Kombatanta prowadzony jest jako instytucja dochodowa, oparta o Klub, podczas gdy Koło SPK zajmuje się pracą społeczną. Rozgraniczenie to jest oczywiście nieco sztuczne w praktyce i jedynie od kierownika Domu zależy, czy ogranicza się on tylko do — buchalterii, czy też staje się działaczem społecznym. W Manchesterze Dom Kombatanta spełnia poważną rolę społeczną i charytatywną.

Klub Domu Kombatanta liczył w r. 1958 — 958 członków. W tej liczbie było około 100 członków nie należących do SPK. Samo Koło SPK w Manchesterze liczy około 450 członków. Dysproporcja tłumaczy się tym, że członkami Klubu są także

Polacy należący do okolicznych kół SPK. Dysproporcję tę zauważyliśmy już przedtem, w innych ośrodkach. Każdy członek Koła automatycznie jest członkiem Klubu. Tych 950 członków nie stanowi oczywiście wszystkich korzystających z usług Domu — p. Kopeć oblicza ich na drugie tyle.

Dużym atutem Domu jest jego dobre położenie: na styku Moss Side i Stretfordu. Jest to dzielnica stara i częściowo handlowa — tak, że obecnie Polacy, po dorobieniu się, przenoszą się nieco dalej, do dzielnic czysto mieszkalnych. Zresztą handlowy charakter dzielnicy Moss Side ułatwił usadowienie się tu kilku polskich sklepów a nawet warsztatów torebkarskich. Tutaj ma swoją filię londyński Tazab, niedaleko zaś mają sklepy Skorpion, Wisła, W.K. Stores i Varsovia. Stretford natomiast jest dzielnicą przemysłową, gdzie pracuje wielu Polaków. Robotnicy polscy, z których wielu jest samotnych, idą po pracy do Domu Kombatanta aby coś zjeść; niektórzy przychodzą tu nawet na obiady. Na obiady i kolacje przychodzą też właściciele warsztatów, piekarń i sklepów, a w niedzielę często całe rodziny. Jedliśmy obiady w Domu Kombatanta w dzień powszedni kilkakrotnie i przysłuchiwaliśmy się, chcąc nie chcąc, prowadzonym rozmowom. Inaczej niż u Kombatantów w Londynie, ich tematem nie były wspomnienia wojenne, problemy taktyki i strategii, lub rozstrząsania polityczne, ale ceny domów, podatki, ceny produktów, płace, komorne, spółki akcyjne i kwestie prawne, związane z tymi sprawami. W niedzielę natomiast rozmowy bywają bardziej różnorodne: od sportu do polityki, plotek i kazania księdza.

Pan Kopeć twierdzi, że ostatnio ruch w Domu Kombatanta nieco osłabł, a z nim i dochody. Najlepszym rokiem z punktu widzenia dochodowości był rok 1956/7. Obrót wtedy wyniósł około £ 27.000, z czego dochód brutto sięgnął £ 9.900. Pan Kopeć woli jednak zobrazować nam cyfrowo usługi Domu na podstawie danych z roku raczej przeciętnego — 1955/56. Otóż w tym roku w Domu SPK odbyło się 58 nabożeństw, 36 potańcówek w niedzielę, 33 zabawy, 19 odczytów i dyskusji, 7 przyjęć, 7 przedstawień teatru zawodowego i amatorskiego, 5 akademii, 5 dużych zebrań polskich, 4 seanse filmowe, 3 imprezy dla dzieci, 2 koncerty, 1 mistrzostwa ping-pongowe, i około 200 różnych zajęć, prób tańca itp. W tymże czasie wydano 154.168 posiłków, herbat, kaw i przeprowadzono ogółem 122.200 transakcji kasowych. Rozegrano ponad 700 partii brydża i około 6.000 gier w bilard. Udzielono 570 noclegów. Otrzymano lub wysłano 1.400 listów. Dano bezpłatnie różnych świadczeń (np. salę na akademię lub zabawę dla jakiejś organizacji lub na jakiś cel) na około £ 1.200. Imponujące cyfry.

W ogólnym obrocie ogromną rolę gra oczywiście bufet: dochód z alkoholu stanowi 1/3 całego dochodu.

W Domu Kombatanta mają swoją siedzibę lub korzystają z prawa zebrań prawie wszystkie organizacje polskie w Manchesterze z wyjątkiem organizacji religijnych, które mają własny dom. Wymieńmy te organizacje: Stowarzyszenia Polsko-Angielskie, Techników, AK, Lotników, Spadochroniarzy; Koło Rodzicielskie, Skarb Narodowy (Zjednoczenie), Koło Wiedzy Wojskowej, ZHP., Koło Przyjaciół Harcerstwa, Klub Sportowy „Unitas”, Polska Macierz Szkolna, Chór SPK, Towarzystwo Miłośników Kultury Polskiej, Zjednoczenie Polskie w Manchesterze, które pełni funkcje koordynujące i... Samopomoc Policji Państwowej, bo i taka organizacja tu istnieje.

Nic więc dziwnego, że w Domu Kombatanta skupia się lwia część życia polskiego. Spełnia on poza tym jakby funkcję nieoficjalnego konsulatu (przedwojennego już nie utworzono). Policja na przykład zwraca się w najróżnorodniejszych sprawach do kierownika Domu, który urzęduje ciągle jako pracownik stały. P. Kopeć wymienia kilka z nich: Przychodzą listy z Polski bez adresu, lub ktoś zwraca się do magistratu z prośbą o odszukanie rodziny — magistrat przekazuje listy i prośby do SPK. Bywa, że kierownik Domu musi spełniać rolę arbitra w sporach małżeńskich: kiedyś policja przywiozła skłócone małżeństwo z prośbą by kierownik przemówił do nich w ich własnym języku. Są i sprawy przykre. W r. 1958 dwóch Polaków powiesiło się, obaj byli członkami Klubu. Policja zwróciła się do kierownika z zapytaniem, czy społeczność polska nie zechciałaby się zająć pogrzebem. P. Kopeć oczywiście nie odmówił. Innym razem chodziło o wyperswadowanie jakiemuś wariatowi, żeby zaprzestał pisywania listów do Królowej. Kiedy indziej znowu trzeba było znaleźć pracę i dać bilet kolejowy Polakowi, który odsiedział więzienie.

Wśród Polaków wielu jest ludzi samotnych, zniszczonych nerwowo przez wojnę lub wywózkę: dla tych Dom SPK jest nieraz jedynym oparciem. Okazał się także przydatny dla wielu osób z Polski. Kilkanaście wypadków polegało na tym, że sprowadzona z kraju matka (lub ktokolwiek inny z rodziny) trafia na przykre małżeństwo mieszane i po nieudanej próbie współżycia, ucieka do Domu SPK. Przyjemniejsze i liczniejsze są wypadki odwiedzin Domu przez rodaków z kraju. Prawie każdy Polak, nawet jeśli do SPK nie należy, poczuwa się do obowiązku, także w imię lokalnego patriotyzmu, do pokazania Domu osobie sprowadzonej z kraju.

Mimo to jednak w ostatnich latach obrotu Domu zmniejszają się. P. Kopeć tłumaczy to różnymi przyczynami. Ważnym ale przejściowym powodem, był kryzys w przemyśle, który w Manchesterze i okolicy zaczął się pod koniec r. 1957. Odbiło się to natychmiast na obrotach baru. Drugim ważnym powodem był polski październik, a ściślej mówiąc, otwarcie granicy. Przyjazdy Polaków z kraju uszczupliły kieszeń niejednego bywalca Domu. Obniżyły także zainteresowanie sprawami lokalnymi: ludzie zajęci są sprowadzaniem rodzin, wyjazdami do kraju.

Najważniejszym jednak czynnikiem jest postępująca asymilacja. Na początku istnienia Domu, kiedy Polacy przybywali do Manchesteru z okolicznych hosteli a nawet z dalszych części Anglii, Dom Kombatanta stanowił ogólne centrum zainteresowania, oparcia, miejsce spotkań. „Mury pękały, taki był ruch” — mówi p. Kopeć. Polacy nie byli jeszcze „ośmieleni” do lokali angielskich, czuli się obco i szukali własnego środowiska, często nie znali języka angielskiego, potrzebowali porad prawnych, pomocy w znalezieniu pracy, rady. W Domu Kombatanta nawiązywano znajomości, odnajdywano się, kojarzyły się małżeństwa, zabawy od piątku do niedzieli były pełne. „Nawet żonę Włoszkę to u nas znalazł” — mówi p. Kopeć.

Dzisiaj Dom Kombatanta nie jest już taki potrzebny; aby utrzymać przy nim Polaków trzeba go uczynić jak najbardziej atrakcyjnym, trzeba nowych pomysłów. Pewnym rozwiązaniem na zwiększenie dochodów byłoby dopuszczenie klientów angielskiej, ale jak to pogodzić z polskimi celami Domu?

Pytamy, czy nie było jakichś większych prób konkurencji? Były, ale bez powodzenia. Dwa lokale zbankrutowały, jeden istnieje nadal w dalszej części miasta, ale bez większego efektu.

Mimo, że Dom Kombatanta i jego kierownik spełniają funkcję społeczną, gros pracy społecznej prowadzi samo Koło SPK i inne organizacje. Nie będziemy jednak pisali o pracy Koła SPK w sposób bezpośredni. Wolimy pokazać jego wielkie zasługi w życiu polskim w Manchesterze na konkretnych przykładach. W tej chwili wystarczy zaznaczyć, że ma ono statut koła rejonowego; obecnie prezesem jest p. Wojciechowski, człowiek stosunkowo młody, który do pracy społecznej doszedł przez sport. Reszta Zarządu, z wyjątkiem pułkownika Marchanda, Francuza z misji Weyganda, który stał się w pełni Polakiem, jest także stosunkowo młoda.

Wśród Polaków w Manchesterze jest duży procent inteligencji. Nie jest ona jednak skupiona w żadnym ekskluzywnym klubie towarzyskim, nie posiada także odpowiednika Koła Przyrodników w Edynburgu. Co prawda, istniał tu przez pewien czas przy Kole SPK tak zwany Kącik Artystyczny, założony w roku 1950 przez malarza, p. Ferworna, ale ostatnio przestał funkcjonować. Nie mogliśmy rozmawiać z założycielem Kącika, gdyż wyemigrował do Kanady, ale uzyskaliśmy wiele informacji od pani Dzierżkowej, dekoratorki (m.in. dekoracje Domu SPK i domu Koła Polskiego są jej dziełem), córki malarza i architekta w jednej osobie. P. Dzierżkowa informuje nas, że działalność Kącika szła w kilku kierunkach. Zapoczątkował on zespół tańców ludowych i ufundował pierwsze kostiumy. Urządzał także wystawy malarstwa amatorskiego i odczyty o sztuce (zapraszając np. z Londynu prof. Szyszko-Bohusza). W „Kąciku” odbywały się także ekskluzywne zabawy, zbierające śmietankę miejscowego towarzystwa. P. Dzierżkowa twierdzi, nie bez dumy, że zabawy te przyczyniły się znacznie do podniesienia poziomu życia towarzyskiego. Należało do dobrego tonu przychodzić na nie; wstęp dla nie-członków Kącika był tylko za zaproszeniami. Zabawy te cieszyły się dużym powodzeniem, i w okresie szczytowym gromadziły do 160 osób. Zapraszano często i inne narodowości: Anglików, Włochów i Węgrów. Rzecz charakterystyczna: najbliższe stosunki utrzymywał Kącik z dwoma, jeśli tak można rzec, organizacjami „para-militarnymi”: Oficerską Szkołą Kursów Wojskowych i miejscowym oddziałem „Pogoń” — organizacji kultywującej tradycje Legionów i będącej swego rodzaju załączkową kadrą przyszłych oficerów w razie odrodzenia się na obczyźnie polskich sił zbrojnych. Swego czasu „Pogoń” urządziła nawet dla pań, członkiń Kącika — wolno przypuszczać że tytułem rewanżu, — kurs pierwszej pomocy. Niestety, lekarze, prowadzący kurs, będąc już w podeszłym wieku, pomarli zanim doszło do egzaminów. Kurs z konieczności rozwiązano.

Od kiedy jednak Kącik przestał funkcjonować (choćby istnieją wciąż projekty odrodzenia go), inteligencja w Manchesterze nie posiada własnego ośrodka. Nie jest to może takie złe. Dodatnią cechą polskiego Manchesteru, obok wielu już wymienionych, jest właśnie fakt, że inteligencja tutejsza potrafiła na ogół włączyć się w nurt życia polskiego, w sposób użyteczny i dający nawet pewną satysfakcję. Im większe skupisko polskie, im pełniejsze jego życie jako swego rodzaju społeczności, tym

mniejsza potrzeba ekskluzywności inteligencji. Bogate życie polskie daje inteligentowi szanse utrzymania się na poziomie, zachowania własnej odrębności i wartości, przy równoczesnym znalezieniu sobie odpowiedniej funkcji.

Może ze wszystkich większych polskich skupisk Manchester najbardziej przypomina małe polskie miasteczko: żyjąca w nim inteligencja niewątpliwie myśli o sobie lepiej niż o reszcie tej małej społeczności, poza tym jednak jest tej społeczności integralną częścią. Tu polski lekarz może być polskim lekarzem, polski artysta może znaleźć polską publiczność, polski nauczyciel uczy w polskiej szkole. Oczywiście, nie jest to życie pełne; w wielu wypadkach są to tylko namiastki. Ale potrafi być całkiem pochłaniające. Inteligent polski w Manchesterze nie musi być osamotniony, ani bezużyteczny. Jeżeli jest to w dodatku człowiek młody, lub dzięki swojemu fachowi posiadający dobrą pozycję w społeczeństwie angielskim — jego życie może być nawet pełniejsze, niż bywało życie niejednego małomiasteczkowego inteligenta w Polsce przedwojennej, czy niż bywa w Polsce obecnej.

Oczywiście, są tacy, co stoją na uboczu i cierpią na deklamację, czasami mocno urojoną. I tutaj spotyka się snobów obok ludzi zgorzkniałych w poczuciu urażonej wyższości. Są tu także ludzie marnujący swoje zdolności i wiedzę. Są tacy, co potrafią na każdy temat zabierać głos długo i ważnie. Jednym słowem: różni.

Kącik Artystyczny zaspakajał w pewnej mierze potrzeby kulturalne, a w większej towarzyskie, miejscowej inteligencji. Ale środowisko przeważająco nieinteligentkie posiada potrzeby kulturalne bardzo zróżnicowane. Zaspakaja je kilka form akcji kulturalnej.

Jedną z nich jest działalność Towarzystwa Miłośników Kultury Polskiej. Ta szumna nazwa łatwo może wprowadzić w błąd: ukrywa się pod nią po prostu bardzo dobry zespół polskich tańców ludowych. Prowadzony przez pewien czas przez prof. Garbiaka, byłego nauczyciela tańców i reżysera w polskim gimnazjum pod Cambridge, zespół ten skupia ludzi raczej młodych (w tym paru wychowanków tego gimnazjum, jak Jan Knop, jeden z czołowych tancerzy), studentów i trzy osoby niedawno przybyłe z Polski. Wśród tancerek poznajemy także dwie młode Angielki.

Dużą chlubą zespołu i Towarzystwa są stroje narodowe, których wartość wynosi około £ 400.

Przejrzeliśmy kronikę zespołu, będącą fascynującą historią jego występów w najróżnorodniejszych miastach i środowiskach.

na przeróżnych imprezach i okazjach, zawsze z dużym sukcesem. Zespół wykonywał zresztą nie tylko tańce, ale wręcz całe przedstawienia taneczne, ze śpiewem i rudymenarną grą aktorską (pierwszą większą imprezą były Jasełka). Nie sposób wyliczać miejsc i okazji. Wystarczy powiedzieć, że takie „Wesele Magdy” wystawiane było 22 razy w latach 1954-55, od Londynu po Walię; widziało je ponad 8.500 osób, nie tylko Polaków; przedstawienie zyskało sobie przychylną opinię prasy polskiej i lokalnej angielskiej. Zespół bowiem znany jest także wśród publiczności angielskiej chyba całego Midlandu: przeglądaliśmy miłe i przychylnie recenzje prasy angielskiej, zadowolone, że polskie tańce uświetniły którąś z lokalnych uroczystości.

Zespół tańców ludowych spełnia ponadto jeszcze inną rolę: stanowi atrakcję dla młodzieży, którą tak trudno wciągnąć w życie polskie. Tańce ludowe, sport (dobrze prowadzony przez p. Chmiela) i harcerstwo stanowią nadzieję starszych działaczy społecznych, że ich wysiłki nie pozostaną bez następców.

Manchester jest siedzibą hufca „Gdynia”, którego hufcowym jest hm. Wiktor Tendyra. Jest kilku wyrabiających się młodych działaczy harcerskich (płm. E. Karpiński, L. Pawlik (lat 20) i jego brat Zbigniew, który parę lat temu przyjechał z Polski, A. Bąkowski, J. Szczygieł, J. Olejniczak). Na zbiórki harcerzy przyjeżdżają nieraz chłopcy z dość daleka, np. z Blackburn. Ogółem mamy w Manchesterze: drużynę chłopców, zastęp harcerek, i 3 gromady zuchów.

Mimo tych wysiłków, większość młodych ludzi stroni od czynnego życia polskiego. Ale Dom SPK w Manchesterze w dużej mierze dzięki zespołowi tańców, harcerstwu i sportowi, a także innym atrakcjom, jest jeszcze pod tym względem w pozycji godnej pozazdrosczenia przez wiele ośrodków polskich. Nie tylko przez korytarze Domu przewijają się sylwetki wysportowanych młodych ludzi z „Przeglądem Sportowym” wystającym z tylnej kieszeni spodni: nie tylko młode „krakowianki” furkoczą spódnicami a młodzi „górale” tupią na próbach, że aż słychać na ulicy; widzieliśmy także kręcących się po salach Domu dwóch polskich *teddy-boy*ów, w niebieskich *jeansach*, kolorowych koszulkach, z ufryzowanymi czuprynami świecącymi od brylantyny. To duże osiągnięcie.

O mniejszym zasięgu niż ruchliwy zespół taneczny, ale niemniej ważne jako forma życia kulturalnego i umysłowego, są organizowane przez SPK tzw. „żywe dzienniki”. Odbývają się one raz w miesiącu i cieszą się pewną popularnością. Braliśmy udział w jednym z nich: na sali było ok. 100 osób. Przeciętnie na wieczorach urządzanych w Londynie przez Związek Pisa-

rzy bywa 50-60 osób, i to sama inteligencja. W Manchesterze skład audytorium był zróżnicowany. Niestety, z braku czasu nie odbyła się dyskusja, której byliśmy bardzo ciekawi. Gospodarze wynagrodzili to nam herbatką, urządzoną wieczorem w kawiarni Domu, na którą zaproszeni zostali studenci polscy z uniwersytetu manchesterskiego, którzy, mimo niewielkiej liczby mają aż dwa kółka studenckie⁴. Przysiadło się do stołu i paru członków zespołu tanecznego i osoby starsze. Nawet ks. kan. Bas zasiadł za stołem, mimo, iż uprzednio miał pewne zastrzeżenia co do tematyki „dziennika”, gdyż obok „Doktora Żiwago” i książek Orwella i Huxleya, omawialiśmy książki Hłaski — pisarza raczej „niemoralnego”. Wysłuchawszy naszych wypowiedzi, ksiądz kanonik wycofał swoje uprzednie obiekcje.

Dyskusja przy stole (prowadzona przez inż. Żabę) była żywa i ciekawa. Zadawano nam pytania, krytykowano, uzupełniano, nie bano się kwestii kontrowersyjnych. Największym zainteresowaniem cieszył się Hłasko, którego „Cmentarze” prawie wszyscy czytali. Znalazł się wśród dyskutantów student z kraju, mocno ożywiając rozmowę. Najmniej chyba dopisały panny, przez cały czas pół-formalnej dyskusji milcząc jak zakłète królowny. Kiedy jednak dyskusja zeszała nieco z Olimpu, przemówiły i one. Okazało się, że są bardzo miłe i także czytały Hłaskę.

Ważną funkcją „żywego dziennika” jest m.in. rozbudzanie zainteresowania książką polską. Ponieważ Koło SPK prowadzi tu także bibliotekę, zainteresowaliśmy się miejscowym czytelnictwem.

Kierownikiem biblioteki jest p. Krawiecka. Z chęcią uprzyjętniła nam wszystkie dane i podzieliła się swymi obserwacjami.

W roku 1957/58 biblioteka posiadała dzieł w języku polskim 1743 w 2867 tomach. Przybyło w tym okresie z zakupu 90 pozycji w 100 tomach, z darów — 80 pozycji w 96 tomach. Stan w marcu 1958 r. wyniósł więc 1913 dzieł w 3063 tomach. W języku angielskim biblioteka posiadała w marcu 1958 r. 460 dzieł w 536 tomach. Ponadto biblioteka rozporządzała 325 książkami, wypożyczonymi z Centrali Bibliotek Ruchomych (o której piszemy na innym miejscu).

4. Powodem powstania dwóch kółek był dosyć ciekawy spór, czy do polskiej organizacji studenckiej dopuścić Anglików, czy nie. Ponieważ na zebraniu Koła Studentów Polskich w M/c uchwalono, że nie, część odeszła z Koła i zawiązała tzw. „Polish Society”, gdzie część członków stanowią studenci angielscy. Oba kółka liczą po ok. 20 członków; niektórzy należą i do jednego i drugiego. W „Polish Society” zebrania są prowadzone po angielsku; odbywają się odczyty, jak np. „Poland to-day”, lub wspólne oglądanie filmów krajowych. Wśród studentów jest kilku przybyszów z kraju, głównie w Kole Studentów.

W dniu 31 marca 1958 były w czytaniu 354 książki. Czytelników było 137, z tego 88 członków SPK, 47 nie-członków i tylko 2 studentów. Te cyfry nie świadczą dobrze o czytelnictwie polskim w Manchesterze — gdyż jedynie trochę ponad 3% Polaków korzysta bezpośrednio z biblioteki przy SPK. Samo czytelnictwo może być większe, o ile przyjmemy, że wypożyczoną książkę czyta więcej niż jedna osoba (wypożyczająca).

P. Krawiecka mówi nam, że dawniej biblioteka miała znacznie więcej czytelników. Spadek zaznaczył się już od paru lat: co roku ubywa absolutnie od 10 do 20 osób; są to przeważnie ci co emigrują, a więc często element najbardziej energiczny i wykształcony. Nowych czytelników przybywa bardzo niewiele.

Jakie są powody tak niskiego czytelnictwa? Są różne. Normalnie ludzie za bardzo są zmęczeni pracą, by czytać książki. Stanowczo wolą telewizję. Duży procent ludzi w Manchesterze nie jest w ogóle przyzwyczajony do czytania, tym bardziej do czytania na większą skalę. Przyjezdni z kraju stanowią tu duży kontrast. Część ewentualnych czytelników posiada własne biblioteki, lub kupuje książki; zdarzają się tacy, co kupują prawie każdą polską nowość wydaną na emigracji, a następnie darują książki bibliotece. Niektórzy otrzymują książki od rodzin lub znajomych z Polski. Pewien wpływ na czytelnictwo i zainteresowanie książką mają recenzje w „Dzienniku Polskim” i „Gazecie Niedzielnej”. Bywają także okresowe wzrosty zainteresowania. Tak było w wypadku Hłaski i w ogóle literatury krajowej; październik spowodował duży popyt na książkę krajową.

Pytamy o sympatie i antypatie czytelników. Ogólnie biorąc czytelnicy emigracyjni nie trawia książek wojennych, wspomnień z więzień sowieckich lub obozów niemieckich. Natomiast przyjezdni z kraju rzucają się właśnie na te tematy, szczególnie na wspomnienia z Rosji i wszystko co dotyczy Sowietów. Z książek wojennych największym powodzeniem czytelników z kraju cieszyło się „Monte Cassino” Wańkowicza. Wśród emigrantów powodzeniem natomiast cieszy się literatura rosyjska. Z autorów polskich wciąż najpopularniejszymi są Sienkiewicz, Krasiński i Rodziwiczówna. Ta wielka trójca ciągle jest „w ruchu”; kilka kompletów „Trylogii” na przykład jest stale w czytaniu. Z pisarzy emigracyjnych najpopularniejszy był Józef Mackiewicz — głównie „Droga do nikąd”; popularni byli także Straszewicz i Goetel. Wciąż jest duże zapotrzebowanie na Kosak-Szczucką; jej wyjazd do kraju nie odegrał żadnego ujemnego znaczenia. Duże powodzenie miały książki Miłosa,

szczególnie „Zniewolony umysł” i bardzo lubiana „Dolina Issy”. Natomiast wiersze nie idą w ogóle i biblioteka nie stara się nawet ich kupować. Nawet Mickiewicz przestał „wędrować pod strzechy” i odgrzebywany jest jedynie od święta. Czasami jakaś studentka pyta o „Ojca zadżumionych” i ustanawia rekord jedyne go czytelnika Słowackiego. Ktoś co prawda poprosił kiedyś o komplet dzieł Słowackiego, ale okazało się, że nie w celu przeczytania. Po prostu założył się ze znajomym na temat kształtu sławnego kołnierzyka à la Słowacki i przyszedł sprawdzić czy zakład wygrał. Z pisarzy krajowych popularni są Gołubiew, Andrzejewski, Bunsch.

Bardzo mało czytani są Żeromski, Przybyszewski, Prus; niepopularność Prusa w Manchesterze raczej dziwi.

Pewną pociechą dla bibliotekarki są oczywiście żarłocznicy czytelnicy, którzy zdarzają się wszędzie. Kłopotem są natomiast ci, którzy wchodząc do biblioteki już od progu proszą: „Niech mi pani wybierze jakąś książkę”. P. Krawiecka zna już na ogół gusta swoich czytelników. Często, nie czekając na owe sakramentalne słowa od drzwi, sama woła na powitanie: „Mam dla pana dobrą książkę”. Nie zawsze spotyka się z wdzięcznością. Ogólnie jednak w bibliotece panuje nastrój raczej świetlicowy. Ludzie przychodzą nie tylko po książki, ale i na pogawędkę — wielu z nich to ludzie samotni, żyjący z zasiłku *Assistance Board*, doceniający rolę książki jako przyjaciela, a rolę bibliotekarki jako miłego rozmówcy, z którym o „przyjacielu” można podyskutować. Czasami, uroczyście, jak na spacer, zachodzą do biblioteki młode małżeństwa. Zasiadają, gawędzą, biorą książki i bardzo długo je trzymają.

Co najmniej połowa z 4.000 księgozbioru biblioteki, to są tak zwane „cegły”. Należą do nich różne wielotomowe dzieła, poezja i broszury (tych na emigracji wydano setki). Prawie w ogóle nie czytane są książki angielskie. Wartość księgozbioru jest więc dużo mniejsza niż mówią cyfry. Ma to także pewien wpływ na czytelnictwo; na pewno niejedyn czytelnik przeczytał już „całą bibliotekę”; nowości, jak już podaliśmy, zakupywane są mniej więcej w ilości 80 — 100 pozycji na rok; jest to raczej mało. Częściową pomocą są zestawy książek wypożyczane przez Centralę Bibliotek Ruchomych.

Wpływy biblioteki pochodzą z abonamentu, wpisowego i dodatkowych opłat, oraz z rzadko jednak egzekwowanych kar za przetrzymanie książek; także z darów. Rocznie przynosi to około £ 100. Wydatki przekraczają tę sumę. W preliminarzu budżetowym Koła SPK na rok 1958/59 przewidziano następujące

sumy na bibliotekę: na zakup książek — £ 32.0.0; na oprawę — £ 15.0.0; na koszt prowadzenia — £ 93.0.0. Razem — £ 141.0.0.

Główną bolączką czytelnictwa jest, twierdzi p. Krawiecka, brak towarzyskiego życia. Ludzie rzadko mówią o książkach, rzadko wymieniają poglądy na temat autorów.

Interesującym szczegółem jest fakt, że miesięcznik „Kultura” traktowany jest nie jako czasopismo, ale jako książka. Stąd nie ma go w czytelni (gdzie jest większość pism emigracyjnych), natomiast wypożyczyć „Kulturę” można w bibliotece. Jest około 10 stałych czytelników „Kultury” i każdy numer ciągle jest w ruchu. Czasami jest także zapotrzebowanie na stare numery.

Pełniejszy obraz czytelnictwa uzyskamy zapoznając się z cyframi sprzedaży gazet i książek w kiosku. Kiosk prowadzi obecnie p. Garbiak. Z danych jakich nam udzielił wynika jasno, że dużą część swoich dochodów kiosk czerpie ze sprzedaży czasopism krajowych. Oto cyfry:

Tygodniowo sprzedaje się w kiosku: 30 egzemplarzy „Świata”, 35 — „Panoramy”, 30 — „Przekroju”, około 40 „Przeglądu Sportowego” i innych gazet sportowych, 15 — „Film”, 18 — „Dookoła Świata”, 13 — „Stolicy”, 10 — „Panoramy Północy”, 8 — „Tygodnika Powszechnego”, 5 — „Kierunków”, 5 — „Kulisów”, 2 — „Teatru” i około 30 egz. różnych pisek dla dzieci. Razem prasy krajowej sprzedaje się w kiosku około 230 — 250 egzemplarzy tygodniowo.

Cyfry dla prasy emigracyjnej są następujące: z tygodników: 125 egzemplarzy „Gazety Niedzielnej”, 70 — „Przewodnika Polskiego”, 10 — „Orla Białego”, 5 — „Wiadomości”, 5 — „Życia”. Z innych czasopism: 10 egz. „Kultury” miesięcznie, 5 — „Robotnika”, 5 — „Rzeczpospolitej”, 2 — „Myśli Polskiej”, 35 — „Pokrzyw”, 30 — „Naszej Rodziny”, 5 — „Dziatwy”, i 1 egz. „Horyzontów”.

Sprzedaż „Dziennika Polskiego” wygląda następująco: w poniedziałki i wtorki po 55 egzemplarzy, środy, czwartki i piątki — po 65 egz., soboty („Tydzień Polski”) — 85 egz. (Zachodzą naturalnie wahania — wszystkie cyfry z lat 1957/58).

Sprzedaż książek przedstawia się o wiele gorzej. Książki emigracyjne są niewspółmiernie drogie w porównaniu z książkami krajowymi. Najwięcej książek kupują ludzie w okresie Bożego Narodzenia — od 150 — 200; Wielkanoc jest już słabsza — około 50 książek w okresie wielkanocnym. W innych miesiącach przeciętnie 10 — 20 książek. Duży procent sprzedaży stanowią książki dla dzieci (głównie piękne wydawnictwa krajowe).

Ilość sprzedanych książek i czasopism w kiosku SPK nie

oznacza, że ludzie nie prenumerują polskiej prasy prywatnie. Na pewno większość prenumeruje „Dziennik Polski” bezpośrednio; z innymi czasopismami jest jednak gorzej.

Urozmaicającym czynnikiem życia kulturalnego w Manchesterze jest polski chór. Powstał on w r. 1949 i liczył w okresie swego największego rozwoju 40 osób, mężczyzn i kobiet. Dzisiaj liczy około 20 członków, samych mężczyzn. Młodzieży prawie w chórze nie ma, wiek śpiewaków waha się od 35 — 50 lat. Inną bolączką chóru jest fakt, że wyemigrowały z Manchesteru prawie wszystkie basy; stąd *ambaras de richesse* tenorów. Mimo to chór występuje nadal na różnych uroczystościach i koncertach, czasami wyjeżdża nawet do innych ośrodków polskich.

Manchester jest obecnie jednym z nielicznych skupisk na prowincji, które mogą sobie pozwolić na sprowadzenie teatru polskiego z Londynu. Zdarza się to ostatnio raczej rzadko, dwa razy do roku, gdyż mimo normalnie wypełnionej sali, koszta przewiezienia aktorów, dekoracji, urządzenia sceny, wikt i noclegu, a także zasada, że aktorzy i reżyser muszą też coś zarobić, powodują, że dla SPK każde sprowadzenie teatru z Londynu musi być deficytowe. Przeciętna frekwencja na przedstawieniach teatralnych — 400 osób; Hemar potrafi ściągnąć i 700, Refren do 600; londyński zespół amatorski Olgi Żeromskiej „Pro Arte” miał na dwóch przedstawieniach „Zwiastowania” Claudela 439 osób, prawie trzy razy tyle co w Londynie.

Dochodowe natomiast są seanse filmowe. Do niedawna wyświetlano jedynie przedwojenne filmy polskie. Były one najczęściej bardzo zniszczone, a poza tym mała ich ilość powodowała szybkie wyczerpanie się repertuaru. Wyświetlanie filmów krajowych napotykało na opory (jeszcze parę lat temu było zresztą nie do pomyślenia, by ktokolwiek wysunął taką sugestię). Organizacje społeczne, SPK w Manchester także, okazują dużą niechęć do jakichkolwiek bezpośrednich kontaktów z oficjalnymi czynnikami władz warszawskich. Ponadto, znając produkcję filmową przed październikiem, nie można się dziwić, że organizacje emigracyjne nie przejawiały wielkiego apetytu na wyświetlanie filmów o dużym zabarwieniu propagandowym. Rozkwit filmu polskiego po październiku, jego wielki prestiż na Zachodzie, jego nie tylko wysoki artyzm ale i duża swoboda treściowa, spowodowały, że pomysł wyświetlania filmów krajowych stał się bardziej atrakcyjny. Szczególnie, że wiele z tych filmów wyświetlano na ekranach kin angielskich — np. „Kanał” szedł w Manchesterze dwukrotnie. Argumentem, który znacznie przyspieszył proces dojrzewania SPK w Manchesterze do powzięcia pozytywnej decyzji, stało się zjawisko przez wielu uważane za

groźne. Mianowicie, konsulat warszawski w Londynie wypożyzył na pewien okres manchesterskie kino *Luxor* i zaczął wyświetlać tam filmy polskie nie pobierając żadnych opłat (Instytut Kulturalny Konsulatu nie ma prawa urządzić imprez dochodowych). Nadspodziewanie dla wielu, impreza udała się znakomicie. Kino ciągle było pełne Polaków-emigrantów, a kiedy ogłoszono koniec seansów, konsulat otrzymał nawet pewną ilość listów proszących o kontynuowanie imprezy i rzeczywiście przedłużył seanse o parę tygodni.

Pod wrażeniem tego dyskutowano w SPK w Manchester możliwość wypożyczania nowych filmów polskich z *Films of Poland*, placówki zatrudniającej personel angielski, ale związanej ściśle z ambasadą w Londynie i za wynajm filmów pobierającej nominalne tylko opłaty. Zdecydowano jednak przeciwko kontaktom z *Films of Poland*, ale za wejściem w stosunki handlowe z *Contemporary Films*, firmą prywatną, rozprawdzającą, między innymi, niektóre filmy polskie. Na początek wynajęto „Młodość Chopina”, film zrealizowany zresztą jeszcze w 1951 r.

Byliśmy w Manchester właśnie podczas wyświetlania tego filmu. Sala była wypełniona.

Akcja oświatowa

Już „żywy dziennik” leży na granicy pomiędzy działalnością kulturalną i oświatową. Instytucje takie jak „Pogoń” lub Kursy Wiedzy Wojskowej z terenu akcji oświatowej przechodzą w dziedzinę działalności politycznej. Z inicjatyw wciąż żywych na terenie Manchesteru, tylko szkołę sobotnią i kursy kreślarskie (istniejące kiedyś kursy angielskiego zlikwidowano już dość dawno) uznać można za przykłady akcji oświatowej czystej, bez żadnych domieszek.

Pełny obraz emigracyjnej „szkoły przedmiotów ojczyźtych” dajemy, gdzie indziej. Tutaj poprzestaniemy na zanotowaniu garści informacji, stanowiących o specyfice szkoły w Manchesterze.

Istnieją w Manchesterze dwie szkoły pod wspólną administracją, lub, jeśli ktoś woli, jedna szkoła z filią w odległej części miasta. Filia mieści się w lokalu Koła Polskiego na Cheetham Hill. Naukę pobiera tam około 50 dzieci. Nie ma wśród nich, z jednym wyjątkiem, potomków starej emigracji „czystej krwi”: jest trochę „mieszkańców”: matka ze starej emigracji, ojciec z nowej. Szkoła stworzona została dla wygody Polaków, zamieszkałych w tej części miasta, kiedy okazało się, że godzinna blisko jazda autobusem na *Moss Side* jest dla dzieci zbyt uciążliwa.

Główna Szkoła Sobotnia mieści się w obszernym, murowanym gmachu miejscowej szkoły katolickiej, i jest jedną z największych na terenie W. Brytanii. Uczęszcza do niej ponad 250 dzieci. Personel nauczycielski liczy 13 osób, z czego 11 to siły fachowe (10 — nauczyciele przedwojenni, jedna ukończyła polskie liceum pedagogiczne w Indiach), a pozostałe dwie to praktykantki. Szkoła, mimo swych imponujących jak na warunki emigracyjne rozmiarów, daleka jest od skupienia wszystkich dzieci polskich w Manchesterze. Oblicza się, że dzieci szkolne pochodzą z około 200 rodzin polskich. Można przypuszczać, że stanowi to nie więcej niż 30 % ogółu. Ale jest to i tak bardzo dużo w porównaniu np. z rokiem 1952/53, kiedy do szkoły zapisanych było 32 dzieci, a uczęszczało na lekcje pod koniec roku już tylko 24.

Inaczej niż w wielu innych skupiskach prawie wszyscy rodzice ze sfer inteligenckich posyłają swe dzieci do polskiej szkoły.

Rodzice pokrywają część kosztów szkoły, ale większość wydatków musi być pokrywana z imprez, organizowanych przez Komitet Rodzicielski (rok rocznie urządza się na ten cel dwie zabawy i loterię) i z subwencji udzielanych przez organizacje społeczne. Samo SPK wpłaca £250 rocznie. Poza tym na „Fundusz szkolny” łożą: Koło Spadochroniarzy, Koło Lotników, parafia i Macierz Szkolna.

P. Trybuchowska, kierowniczka szkoły, nauczycielka ze stażem przedwojennym i dużym doświadczeniem, pozwoliła nam być na lekcjach wszystkich klas. Skończyliśmy „inspekcję” mocno zbudowani — poziom nauczania jest wysoki, szczególnie interesująco wypadły klasy p. Garbiaka i p. Serwatko, młodej nauczycielki (z Indii). Podziwialiśmy świetne prowadzenie lekcji, panowanie nad klasą, umiejętność utrzymania uwagi dzieci przez całą godzinę. P. Serwatko uczy także w niedalekim Rochdale; ale czuje się tym już nieco przeciążona; Polacy z Rochdale pragnęliby jednak zatrzymać ją jak najdłużej. Inne nauczycielki także dojeżdżają do szkół sobotnich w pobliskich Ashton i Oldham. Trudniejszą pracę nauczycielską, ze względu na złe warunki pomieszczeniowe mają pp. Kuncewiczowie w szkole na Cheetham Hill. Natomiast nie najgorzej prosperuje tam drużyna zuchowa prowadzona przez żonę inż. Żaby.

Życie polityczne i społeczne

W czasie, kiedy Edynburg zaczynał tracić na znaczeniu, a liczba Polaków w nim zamieszkałych kurczyła się wskutek emi-

gracji za ocean, Manchester dopiero rozpoczynał swoje życie jako ośrodek polski. Dom Kombatanta otwarty został w roku 1949, a wielu Polaków osiedliło się tu nawet później. Przybysze rekrutowali się głównie z okolicznych hosteli, ale pewien procent zjechał z innych części W. Brytanii, zwabiony dużym rynkiem pracy i sławą miejscowego przemysłu tkackiego. Rynek ten okazał się wprawdzie trochę chwiejny, ale pracy wystarczyło w Manchesterze dla wszystkich⁵.

Rosły także ilościowo i bogaciły się okoliczne ośrodki polskie. *Midlandy* zaczęły w życiu polskiej emigracji na wyspie odgrywać coraz poważniejszą rolę, a Manchester stał się ich naturalnym centrum. Już w roku 1951 odbyła się tu wielka manifestacja polska z okazji rocznicy odzyskania niepodległości. Inną wielką imprezą była rocznica Konstytucji 3 Maja, w roku 1953, na której obecny był gen. Sosnkowski. — W półtora roku później, w rocznicę 11 listopada, ponownie odbył się wielki zjazd (m.in. domagający się repatriacji Polaków z Rosji). Było to ostatnie wielkie wystąpienie Manchester na arenie polityki emigracyjnej. Od tego czasu ośrodek ten koncentruje się raczej na szukaniu nowych form pracy społecznej.

Co prawda istnieją nadal małe grupy i pojedyncze osoby reprezentujące partie polityczne, kiedyś wcale tu silne, ale ich działalność ogranicza się do rzadkich zebrań we własnym kółku; zanikły prawie zupełnie wystąpienia publiczne; zanika walka o władzę w organizacjach społecznych pomiędzy partiami. Nawet wybitne osobistości partyjne, jak Ciołkosz, Bielecki czy R. Piłsudski, jeżeli występują obecnie w Manchesterze czynią to bardziej jako znane postaci życia emigracyjnego, niż przedstawiciele swych partii.

Swego rodzaju symbolem, niestety trochę okrutnym, może być następujący obrazek z życia politycznego Manchesteru. Odbyliśmy rozmowę z jednym z działaczy partyjnych. Pan ten, zapytany o działalność swej partii na terenie miasta oświadczył, że działalność taka owszem — istnieje, i polega ni mniej ni więcej tylko — obok kontynuowania myśli politycznej — na „śledzeniu przeciwników politycznych”. Początkowo przyjęliśmy to jako żart, ale z dalszych naszych obserwacji raczej wynika, że była to wypowiedź całkiem serio. Zdaje się, że działacz ten, swych obowiązków partyjnych nie zaniedbywał nawet w stosun-

5. Po wojnie przemysł tkacki cierpiał na ostry brak siły roboczej. Zatrudniano więc chętnie Polaków i z PKPR i z E.V.W.'S. z Niemiec. Płace nie były wysokie, ale małżeństwa zwabiała łatwość znalezienia pracy dla kobiet.

ku do nas. Ilekroć zjawiliśmy się w obrębie Domu Kombatanta, towarzyszyła nam jego krępa postać i dobronudzne, ba — nawet życzliwe, ale jednak czujne spojrzenie.

Oprócz SPK działają w Manchesterze inne, mniejsze organizacje. Ich działalność ogranicza się głównie do akcji samopomocowej, pomocy szkole sobotniej, współpracy przy urządzaniu uroczystości i na kultywowaniu własnych tradycji. Prace ich koordynuje Zjednoczenie Polskie, które zakończywszy na tym terenie swą karierę polityczną, zaczęło odgrywać dużą rolę społeczną, podejmując wiele inicjatyw na własną rękę. Zjednoczenie Polskie w Manchesterze należy jako organizacja członkowska do Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, z siedzibą w Londynie. Pozycja SPK i sprawne funkcjonowanie Zjednoczenia powodują, że mało jest tu starć międzyorganizacyjnych. Jest też prawdopodobne, że z biegiem czasu niektóre z powojkowych organizacji społecznych, jak Stowarzyszenia Lotników, AK i Spadochroniarzy, zleją się z SPK w jedną całość.

Przez szereg lat obok SPK i Zjednoczenia, skupiających swą działalność w Domu Kombatanta, istniał drugi, w pewnym sensie konkurencyjny ośrodek: parafia. Początków organizacji parafialnej szukać należy w roku 1947, kiedy to przybył do Manchesteru ksiądz kanonik Jan Bas. Budowanie parafii rozpoczęło się od budki ogrodniczej przy plebanii angielskiej. Obecnie polski Manchester rozporządza własnym kościołem, dużą salą parafialną i dwoma domami. Rozwój posuwał się następującymi etapami: 1. zorganizować parafian, 2. urządzić księdza, 3. nabyć dom, 4. nabyć kościół.

Powstał Komitet Parafialny, który w roku 1958 liczył około 300 członków. Składki członków stały się głównym źródłem dochodu parafii, utrzymując się na poziomie mniej więcej £ 500 funtów rocznie. Doszły do tego wpływy z imprez dochodowych, loterii itp., pozwalając z końcem 1951 roku na zakup domu, w którym zamieszkał ksiądz i otwarto biuro parafialne, a na poddaszu znalazło się miejsce na małą, ręczną drukarenkę. Na utrzymanie domu szło z rocznego budżetu £ 240; ksiądz brał tylko £ 144.

Do czasu otwarcia własnego kościoła nabożeństwa w każdą niedzielę odprawiane były dwukrotnie: raz w angielskim kościele św. Józefa i raz w sali Domu Kombatanta.

Fakt odprawiania przez ks. Basa mszy w lokalu, będącym domeną SPK i innych organizacji społecznych, jest sam w sobie dowodem, że mimo częstych, ostrych nawet starć, do otwartej wojny pomiędzy parafią i organizacjami społecznymi na terenie Manchesteru nigdy nie doszło. Jest wielką zaletą tutejszego śro-

dowiska, że istniejące konflikty z zasady nie przekraczają rozsądnych proporcji. Współpraca pomiędzy parafią, a innymi organizacjami szła opornie, posuwała się zygzakami od zatargu do zatargu, ale, mimo wszystko, rozwijała się. Jednym z bardziej przykrych momentów w historii tej współpracy był tzw. „spór o ruiny”. Chodziło o projekt odbudowania zrujnowanego kościoła obok Domu Kombatanta i ustawienie stałego, zakrywającego na dnie powszednie ołtarza. SPK ofiarowywało parafii gościnę, parafia wolałaby przejąć obiekt na własność. Zarząd Główny SPK w Londynie ociągał się przez czas dłuższy z decyzją, a gdy w końcu zgodził się przekazać „ruiny” Polskiej Misji Katolickiej w Anglii, Komitet Budowy Kościoła w Manchesterze doszedł do wniosku, że odbudowa ruin i urządzenie wnętrza to dzieło, przekraczające siły Komitetu. Sprawę zaognił krzywdzący SPK artykuł w „Narodowcu” i jedynie takt obu stron, a przede wszystkim działacze SPK, pozwolił na złagodzenie konfliktu.

Złagodzenie, ale czy zlikwidowanie? Wiosną 1959 roku rozmawialiśmy w Manchesterze z p. Piątkowskim, czołowym działaczem organizacji parafialnej, człowiekiem kulturalnym, dalekim od krańcowości. Mówił on wtedy, że ani SPK ani inne organizacje społeczne nie mają na terenie W. Brytanii przyszłości. Przyszłość ma jedynie parafia i od parafii zależy polskość Polonii brytyjskiej. Pan Piątkowski przewidywał, że szkoły sobotnie staną się powoli dziedziną działalności parafialnej i rolę SPK widział przede wszystkim w udzielaniu parafii polskiej pomocy w jej jak najpełniejszym rozwoju.

Trudno się dziwić, że działacze SPK nie chcieli się zgodzić na takie ograniczenie ich roli. Uważają oni, że rozwój parafii uzależniony jest od dobrego funkcjonowania przynajmniej jednej wielkiej organizacji społecznej. Gotowi są ustąpić w pojedynczych wypadkach, jak ustąpili likwidując akcję charytatywną SPK na rzecz Sekcji Charytatywnej parafii. Ale są zdania, że likwidacja organizacji społecznych może jedynie ujemnie odbić się na całokształcie życia czy to polskiego, czy polonijnego środowisk polskich. Wskazują ponadto na fakt, że w Manchesterze jedyną organizacją, która potrafiła wychować sobie działaczy społecznych spośród młodego pokolenia to właśnie SPK.

Dodać trzeba, że od tego czasu sytuacja zmieniła się na lepsze. Powodzenie nie tylko nie zepsuło „parafian” w Manchesterze, ale wprost przeciwnie, rozwinęło w nich poczucie odpowiedzialności. Za naszą trzecią bytnością na tym terenie, w marcu 1960 roku, w parę miesięcy po otwarciu polskiego kościoła, stosunki pomiędzy parafią a organizacjami społecznymi

wydały się nam nie tylko poprawne, ale wprost przyjazne. Symbolem nowego porządku jest fakt, że ksiądz kan. Bas stał się członkiem SPK, regularnie płacącym składki, a nawet zaproponował kombatantom otwarcie drugiej kawiarni w nowonabytej sali parafialnej, by w ten sposób zlikwidować w zarodku możliwe źródło zatargu. Są więc pewne dane by twierdzić, że na terenie Manchesteru, ten specyficzny, emigracyjny konflikt „tiary i korony” zostanie pomyślnie rozwiązany.

Zawieszenie broni i obecna harmonijna współpraca parafii z SPK, zawdzięczają wiele inż. Jarosławowi Żabie. Postać p. Żaby interesująca jest z wielu względów. Jeżeli ktokolwiek będzie kiedyś pisał historię tutejszego ośrodka, będzie musiał poświęcić wiele uwagi jego osobie i działalności. Jest rzeczą zadziwiającą jak duży wpływ może wywrzeć jednostka w życiu środowisk emigracyjnych. Zadziwiającą tym bardziej, że inż. Żaba nie żyje z pracy społecznej. Jest on bardzo cenionym i zajmującym odpowiedzialne stanowisko pracownikiem jednego z największych w świecie przedsiębiorstw chemicznych, *Imperial Chemical Industries*, i często większą część tygodnia musi spędzić poza Manchesterem. Nawet w domu, kiedy chce poświęcić chwilę czasu żonie i dzieciom, doganiają go telefony z zakładów chemicznych. Ale chemia mu nie wystarcza — jest to jeden z rasowych działaczy społecznych. Połączenie tych dwóch „żywiolów” czyni z niego osobowość o dużej sile atrakcyjnej. Preponderancja jednej osoby musi, naturalnie, wywoływać krytycyzm; mimo to, inż. Żaba cieszy się ogólnym szacunkiem społeczności manchesterskiej i to także stanowi o sile jego wpływów.

Pierwszy kościół polski na prowincji

24 października odbyło się poświęcenie kościoła polskiego w Manchesterze — moment historyczny, zważywszy, że jest to pierwszy kościół polski na prowincji i pierwszy w ogóle kościół nabyty przez „nową” emigrację.

Poświęcenie, jak mówią świadkowie odbyło się z pompą wielką i dobrze przygotowaną. Jednym z punktów centralnych uroczystości, obok odczytania depeš od kardynała Wyszyńskiego i arcybiskupa Gawliny, oraz kazania ks. prałata Staniszewskiego, było przemówienie angielskiego biskupa Salfordu, ks. Becka. W organizowaniu polskich parafii czynnikiem chyba najważniejszym są stosunki z miejscową hierarchią kościelną i przychylność biskupa w dużym stopniu tłumaczy pomyślny roz-

wój parafii w Manchesterze. Choćby dlatego warto jest przytoczyć charakterystyczny ustęp z przemówienia ks. biskupa. Mówił on między innymi:

„Jest to polska uroczystość, polski obchód i chciałbym wam tylko wyrazić swą radość i radość swych rodaków, żeście znaleźli w tej świątyni, tak pięknie odnowionej i udekorowanej, centrum polskiej kultury i polskiej religii; i jestem pewien, że te dwa czynniki utrzymają Polaków w tej części kraju w lojalności do ich ojczyzny i ich wiary. Wasi poeci i pisarze, specjalnie w okresie dziewiętnastego wieku, mówili, że Polska ma proroczą, mesjanistyczną rolę do odegrania wśród narodów. Wasz wielki poeta Mickiewicz i Zygmunt Krasiński mówili w różny sposób o cierpieniach Narodu, przez które wszystkie narody mają być odkupione, mówili, że Polska przejdzie okres ukrzyżowania i męczeństwa, ale w przyszłości znowu nastąpi zmartwychwstanie...”

Pod koniec dnia, w trakcie „uroczystej wieczerzy”, Komitet Poświęcenia Kościoła wręczył na ręce nieoczekiwanego znawcy literatury polskiej czek na £ 50, na budowę szkół katolickich — gest, który niewątpliwie pomoże w utrzymaniu przyjaznych stosunków (ks. biskup Beck jest przewodniczącym Komisji Szkolnej Episkopatu Angielskiego).

Na pamiątkę otwarcia kościoła wydano jednodniówkę, w której, między innymi, ks. Bas opisuje historię wysiłków nabycia kościoła polskiego w Manchesterze.

Projekt powstał jeszcze w 1949 roku. Ks. Bas rozmawiał wtedy z biskupem Salfordu, prosząc go o pozwolenie na otwarcie funduszu na kupno kościoła. Biskup kategorycznie odmówił, motywując swe stanowisko smutnymi doświadczeniami z kościołem polskim, jaki istniał w Manchesterze przed wojną. Późniejsze, trzykrotne próby za każdym razem spotykały się z taką samą odprawą. Zamiast kościoła, po zebraniu pewnej sumy zakupiono mały Dom Katolicki. Ks. biskup, zaproszony w marcu 1952 roku na poświęcenie domu, w czasie uroczystości oświadczył, że cofa swój poprzedni zakaz i zezwala na rozpoczęcie zbiórki na kościół.

Otworzono listę ofiar i rozpoczęto specjalne zbiórki na tacę w czasie mszy. Przez pierwsze dwa lata wpływy wynosiły około £ 50 miesięcznie. Od maja 1954 roku ks. Bas rozpoczął „kolędy” po domach polskich we własnym rejonie duszpasterskim, który poza właściwym Manchesterem obejmował Salford, Ashton n/r Lyne, Hyde, Stalybridge, Glossop, Eccles, Stretford, Urmston, Sale, Altrincham i Stockport. W ramach tej kwesty złożył ksiądz Bas około 4.000 wizyt swoim parafianom (dane z końca 1958 r.) i otrzymał dary na kościół od tysiąca pięciuset osób. Jednocześnie na fundusz płynęły zyski

z organizowanych na ten cel imprez, jak np. dwukrotne koncerty Małcużyńskiego. Dzięki tym wysiłkom wpływy wzrosły do £ 130 miesięcznie, a ponad £ 1.500 rocznie. W połowie roku 1958 fundusz przekroczył £ 8.000.

Równocześnie szukano stosownego obiektu. Po wspomnianym już niepowodzeniu projektu przeróbki ruin obok Domu Kombatanta, oddano sprawę w ręce angielskiego adwokata, p. Benjamina Quinn. W lutym 1958 natrafił on na świątynię walijskich Kalwinistów — Metodystów (anty-trynitarystów), stosownie położoną i wystawianą właśnie na sprzedaż. Demokratyczny Komitet Budowy Kościoła przeprowadził wtedy plebiscyt wśród wszystkich ofiarodawców — praktycznie wszystkich parafian — umożliwiając im zwiedzenie kościoła i przyległych budynków i wypowiedzenie się na temat ewentualnego kupna. Z wyjątkiem czterech, wszystkie opinie były pozytywne.

Po dość długich targach cena zjechała z £ 10.000 na £ 7.500. Z chwilą wpłacenia tej sumy, kościół zmienił właścicieli. 15 października 1958 roku umowa została podpisana ze strony polskiej przez członków zarządu fundacji *Polish Benevolent Fund*. Fundusz przekroczył akurat £ 8.000.

Kościół znajdował się w dobrym stanie, ale uposażony był pod kątem widzenia potrzeb poprzednich właścicieli. Wymagał poważnych przeróbek, nim mógłby spełniać rolę świątyni katolickiej. Ks. biskup Beck, zaproszony do obejrzenia zakupionego obiektu, stanowczo sprzeciwił się projektom stopniowej przeróbki kościoła własnymi siłami, korzystając jedynie z pomocy polskich rzemieślników. Ks. Beck zażądał, by zaangażować architekta, którego plany zatwierdzone być winny przez Diecezjalną Komisję Sztuki Kościelnej. Do tego punktu widzenia przyłączył się też ks. prałat Staniszewski.

Zwrócono się ostatecznie do katolickiej firmy Greenhaulgh & Williams z Bolton, w której pracuje architekt Polak, inż. Tadeusz Lesisz. Inż. Lesisz wykonał plany — zatwierdzone bez zmian przez Diecezjalną Komisję Sztuki Kościelnej — i kierował pracami, wykonywanymi przez angielską firmę William Thorpe & Son. Podkreślić trzeba, że tak inż. Lesisz, jak i jego angielscy koledzy z firmy Greenhaulgh & Williams, nie przyjęli honorarium, które wynieść miało około tysiąca funtów.

Widzieliśmy kościół przed i po przeróbkach. Wnętrze rzeczywiście zmieniło się nie do poznania. Trudno twierdzić, że Kościół Miłosierdzia Bożego — taką bowiem nazwę nosi obecnie świątynia — wygląda naprawdę swojsko. Architektonicznie zbyt odbiega od wnętrz, do których przyzwyczailiśmy się w Polsce.

Ale znajome, polskie motywy, wplecione umiejętnie w obce mury, wprowadzają w całość zupełnie nowy ton. Obecnie i Polak i Anglik znajdują w kościele trochę egzotyki. Całość jest harmonijna i estetyczna i — mimo wszystko — wcale sympatyczna.

Przed remontem najbardziej dla Polaka rażącym rysem wnętrza było umieszczenie organów, wyszczerzonych z miejsca, gdzie katolik oczekuje ołtarza głównego. Organów przenieść się nie dało, ale zakryto je zupełnie nowym ołtarzem głównym. Spokojny i poważny ołtarz, zrobiony całkowicie z drzewa, przekreślony jest na kształt krzyża szerokimi liniami drzewa o innej barwie i słojach, które z kolei służy jako tło dużemu krucyfiksowi. Organista zamknięty więc jest w małym i ciasnym pomieszczeniu, jak w łodzi podwodnej; kapłana odprawiającego mszę obserwuje za pomocą luster — peryskopów.

Wszystkie inne inowacje inż. Lesisza, to spokojne połączenia drzewa i kutego żelaza. Takie są np. balaski, 'podparte' metalowymi słonecznikami; ten sam motyw powraca w kratkach chrzcielnicy z tyłu kościoła, ale tu obok słoneczników znajdujemy herby miast polskich, od Wilna aż po Wrocław i Matkę Boską, Królową Korony Polskiej. W bocznych nawach mieszczą się ołtarze Matki Boskiej Częstochowskiej i Serca Jezusowego.

Charakterystyczny dla świątyni Metodystów balkon pozostał na razie bez zmian. Stwarza to dla części kongregacji raczej niezwykle w kościele katolickim, ale atrakcyjne możliwości zaglądania księdzu z góry przez ramię do mszału, nieomalże czytania mszy razem z nim. Barrierki balkonu ozdobione są trzema urnami, w których przechowywana jest ziemia z Kraju, (z cmentarzy na Rossie i Powązkach) z pól bitewnych pod Monte Cassino i Tobrukiem i z cmentarza lotników polskich w Newark.

Na twarzach zebranych na mszę Polaków łatwo jest wyczytać dumę. Ostatecznie, własny kościół jest osiągnięciem wspólnym, osiągnięciem całej parafii. Kościół, mieszczący ponad 700 ludzi, pełny jest w niedzielę na obydwu mszach. Duma ta znalazła wyraz jeszcze bardziej praktyczny. W pierwszym roku po zakupieniu kościoła, ofiarność parafian wzrosła co najmniej dwukrotnie. Samorzutnie powzięto uchwałę, że na remont kościoła każdy pracujący Polak złoży £3. Wywiązała się już z tego większość parafian, z tym że niejeden złożył ofiary o wiele wyższe.

Z przykładu Manchesteru można by wysnuć teorię, że czym bardziej ambitne cele stawia sobie środowisko polskie, tym ruchliwsze staje się jego życie społeczne i większa jego wewnętrzna spoiłość. Manchester zawsze stawiał sobie cele „na wyrost” i — jak dotychczas — dobrze na tym wyszedł.

BIRMINGHAM

Birmingham, to trzecie po Londynie i Manchesterze, największe skupisko polskie w Wielkiej Brytanii: w tym ponad milionowym mieście mieszka około 4.000 Polaków.

Największa liczba Polaków pracuje w przemyśle stalowym — Birmingham słynny jest ze swych wyrobów stalowych a także z przemysłu zbrojeniowego. Zgodnie z tym charakterem miasta znajdujemy tu także i polską firmę szlifowania metali, zatrudniającą około 15 osób. Jest to chyba jedyny polski warsztat w Birmingham, jest natomiast, jak wszędzie, kilka polskich sklepów żywnościowych i trochę drobnego rzemiosła. Ostatnio paru Polaków zamierza spróbować szczęścia w branży, która tak dobrze poszła rodakom w Glasgowie: istnieją projekty założenia *laundretok*.

Większość Polaków w Birmingham to robotnicy i mechanicy. Po przemyśle metalowym największą grupę zatrudnia fabryka czekolady *Cadbury*; wielu pracuje także przy produkcji akumulatorów u *Lucasa*. Obok inżynierów i mechaników, najsilniejszą grupę zawodową stanowią lekarze: jest tu kilkanaście polskich praktyk, kilku lekarzy pracuje w szpitalach, nawet jako konsultanci.

Przyjechaliśmy do Birmingham wieczorem. Zajrzeliśmy do książki telefonicznej pod *Polish* — jest *Polish Club* — Klub Polski. Dzwonimy, aby dowiedzieć się, czy są szanse noclegu. Są akurat dwa wolne łóżka.

Klub Polski na Soho Road mieści się w Domu Związku Inwalidów i prowadzony jest przez członków tego związku. Przyjmuje nas prezes Koła Związku, p. Dybarewicz. Za chwilę zjawia się wraz z żoną — Angielką, która trochę rozumie po

polsku, kierownik Domu, znany działacz socjalistyczny, p. Prokopowicz. Odkładamy rozmowę na dzień następny i idziemy do wyznaczonego nam pokoju. Zastajemy stałego lokatora tego mieszkania, górala.

Samotność niektórych Polaków rzuca się w oczy od pierwszego spojrzenia. Często objawia się w łatwości z jaką ludzie nabierają zaufania do osób spotkanych po raz pierwszy w życiu, zwierając się im ze swych najintymniejszych trosk i problemów. Tym poczuciem osamotnienia tłumaczyliśmy sobie także czasami wielką łatwość z jaką udzielano nam wszelkich informacji: fakt, że okazywaliśmy zainteresowanie natychmiast rozwiązywał języki.

Nasz góral, mężczyzna w sile wieku, pięknie zbudowany, o orlim nosie, okazał się człowiekiem bardzo samotnym i rozgoryczonym. Nie mamy odwagi opowiedzieć jego *curriculum vitae* jego własnymi słowami; Hłasko mógłby być u niego terminatorem.

Góral pracuje jako „malarz”, wrócił właśnie z pracy. Maluje jakąś fabrykę za miastem i sam dojazd zajmuje mu półtorej godziny. Wstaje więc o 7-ej rano, wraca o 10-tej wieczór; żyje sandwiczami i oczywiście choruje na żołądek.

Co go jednak najbardziej gnębi, to chęć wyrwania się wreszcie z bezlitosnej harówki, założenia rodziny, posiadania własnego domu. Tylko, że niestety, nie ma szczęścia do kobiet. O Polkach mówi z sarkazmem, najbardziej boli go ich zarozumiałość. O Angielkach wyraża się nie lepiej. Jedna uciekła z całym jego majątkiem, miała innego faceta. Góral szczególnie nie może przeboleć garniturów, które mu zabrała. Drugą przyłapał na podobnej próbie, gdyż po pierwszym doświadczeniu sypiał już bardziej niespokojnie. Opisuje nam dokładnie jak ją sprzął i wyrzucił za drzwi.

Robi nam się trochę nieswojo — ostatecznie mamy z nim spać w jednym pokoju. Ale góral nabrał do nas pełnego zaufania. Przelicza przy nas plik pieniędzy, które kładzie pod poduszkę. Szpera dalej w portfelu i wyciąga żylastą rękę z fotografią. Tak, jest w jego życiu i ironia: ze wszystkich kobiet najlepiej wspomina pewną Niemkę. Na fotografii stoi obok niej w mundurze żołnierza polskiego i błyska w uśmiechu białymi zębami.

Kładziemy się do łóżek i gasimy światło. Ale góral nie może zasnąć. Chce, żebyśmy mu poradzili. Ma się żenić, czy nie? Jego narzeczona jest młoda, Angielka, ma nieślubne dziecko (nie z nim, z jakimś Anglikiem, który ją rzucił). Góral mówi nam, że jest ładna, chociaż dodaje, że ma jedną nogę krótszą. Jej rodzice mają dom i bardzo chcą, żeby się z nią ożenił. Ale on,

czy uda mu się zapracować na dom, żonę i dziecko? I czy ona go za parę lat nie rzuci? „Ja już jestem za stary dla niej” — mówi góral, „zniszczyła mnie ta praca”. Mimo to, zrywa się z łóżka, zapala światło, aby pokazać nam list od niej. „Dear Witek, — czytamy — przyjedź w niedzielę koniecznie, bardzo czekam”. Gdy kończymy czytać, na męskiej twarzy górala widzimy piękny, radosny uśmiech. „Ona jest ładna, — mówi — chociaż ma jedną nogę krótszą. I dziecko ładne, chłopak. Dom trzeba by odremontować”. I góral znowu się marszczy. Usypiamy, słuchając jego wspaniałych przekleństw.

Rano jemy w stołówce sute śniadanie, w stylu angielskim: porydź, jajka smażone na ogromnych płatach boczku, kawa z mlekiem, chleb, masło. Przy stołach siedzą lokatorzy domu, którego wszystkie pokoje mieszkalne są zwykle zajęte. Do naszego stołu przysiadają się jakiś elegant, lat może 40, wyglądający na Anglika. Zaczyna rozmowę od pogody. Ubrany jest w ciemny garnitur, w kłapie marynarki z dwoma rozporkami z tyłu, wiedeńskie czerwone goździki. Po chwili rozmowy dochodzimy do wniosku, że jest Polakiem. I rzeczywiście, podczas wojny był lotnikiem, teraz pracuje w prywatnej firmie handlu samolotami w Londynie. Po polsku mówi z dużym trudem.

Po śniadaniu zwiedzamy Dom Inwalidy. Oprócz pokoiów mieszkalnych i stołówki jest tu duża sala na bale, akademie i nieczęsty teatr, wygodny pokój z telewizją, ładny bar. Ponieważ jest akurat z wizytą w Birmingham p. Ługomski, członek Zarządu Głównego Związku Inwalidów, założyciel tutejszego Koła, wykorzystujemy okazję, aby dowiedzieć się czegoś z historii ośrodka.

Historia Koła Inwalidów nie obfituje w specjalne rewelacje. Pierwsze zebranie grupy inwalidów odbyło się gdzieś w r. 1950. Przyszło ich sześcioro. Zaczęło się od narzekań na złe warunki mieszkaniowe, ciężką pracę. Postanowiono rozejrzeć się wśród Polaków rozrzuconych po mieście za innymi inwalidami, i ewentualnie powołać do życia Koło. Powstało ono wkrótce, jako sekcja Koła Katolickiego. Zaczęto myśleć o kupnie domu. Na początku chodziło przede wszystkim o dom pracy: dla wielu inwalidów jedyną formą zarobkowania mógł być warsztat w domu, rzadko jednak uzyskiwali pozwolenie od właściciela na urządzenie warsztatu. Dom Inwalidy miał więc rozwiązać i problem mieszkaniowy i sprawę zatrudnienia.

Dalsze koleje ośrodka inwalidzkiego opowiada nam p. Dybarewicz. Zaczyna od tego, że inwalidą został jeszcze w 1920 r., kiedy stracił nogę. Wstąpił do wojska mając 16 lat.

Po najróżnorodniejszych perypetiach, łącznie z wywózką do Rosji, trafił w r. 1949 do Birmingham. Do Koła zapisał się w r. 1952, a w dwa lata później został jego prezesem. Uderzając się łaską po kuli p. Dybarewicz opowiada nam jak walczył o realizację kupna domu.

„Po poprzednikach odziedziczyłem majątek Koła z tą myślą kupna domu. Zbieraliśmy te pieniądze mrówczą robotą. Oglądałem różne domy, był do sprzedania kościół metodystów za £ 11.000. Jadę do Londynu, do prezesa Zarządu Głównego, prosić o pomoc. W kasie mieliśmy coś £ 700-800. Spotyka mnie odmowa, mówią, że nie mają pieniędzy. Mówię im: przecież gdybym ja miał pieniądze, to bym tu w ogóle nie przyjeżdżał, tylko bym już kupił ten kościół. Potem był hotel: 10 pokoi, £ 5.000 z całym urządzeniem. Ale jeden nie może decydować bez drugiego, trzeba robić statutowo. Jakżeśmy zaczęli robić statutowo, to i autobus uciekł. Oglądamy domy dalej, nic nie wychodzi, jeden za mały, drugi za duży, albo też nie można dostać licencji na klub, bo dzielnica mieszkaniowa. Wreszcie jest YMKA do sprzedania. Decydujemy się: będziemy targować YMKE. Dom co prawda opuszczony, brudny. Koszt: £ 7.800. Wysyłamy delegata do Londynu, żeby przedstawił sprawę. Czekamy, Londyn nie odpowiada. Przychodzi licytacja domu, a my nie gotowi. Ale na licytacji nikt nie kupił. Cenę obniżyli do £ 6.500. Dowiaduję się od rzeczoznawcy, że na ten dom dają £ 5.000 pożyczki. Jeżeli dają taką pożyczkę to dom musi być wart dwa razy tyle. Skąd jednak wziąć resztę pieniędzy? Petraktuję ze sprzedawcą. YMKA zgadza się nam pożyczyć £ 1.000 i obniżyć cenę do £ 6.000. Zarząd został przyparty do muru, zgodzili się na kupno. Bali się, że dom nie pójdzie, bo wtedy już się na prowincji domy kładły, ale dom poszedł. Kupiliśmy go 15 marca 1957 roku: spłacamy pożyczkę £ 1.000 rocznie. Dom jest odnowiony, kierownik własnymi rękami robił sufit. Z początku obrót był duży, teraz trochę spadł, bo inwalidzi już się pourządzali, kilku ma własne domy. W Kole jest coś 60 członków, ale tylko 30-40 płaci składki”.

Taka więc jest saga kupna Domu Inwalidy w Birmingham. P. Dybarewicz zadowolony jest z własnego dzieła, chociaż i on ulega nastrojom gorczy.

Na gorycz nie ma jednak zbyt wiele czasu w Związku Inwalidów — wszystkich pasjonuje konflikt z miejscową parafią. O konflikcie tym słyszeliśmy jeszcze w Londynie, z tym większym więc zainteresowaniem jedziemy poznać miejscowego proboszcza.

Zycie parafii polskiej w Birmingham skupia się w samym centrum miasta, przy kościele św. Michała. Centrum Birmingham brak zupełnie charakteru wielkomiejskiego, a sam kościół stoi przy bocznej, ciasnej uliczce. Śródmieście jednak jest śródmieściem, co oznacza przede wszystkim łatwość komunikacji i atmosferę lokalnego, choćby i prowincjonalnego „wielkiego świata”, przyciągającą ludzi zamieszkałych na odległych przedmieściach.

W niedzielę nabożeństwa dla Polaków odprawiane są w kościele św. Michała o godzinie 11.15 i 12.15. Zjawiliśmy się tam około 12-ej i z miejsca wpadliśmy w tłum rodaków stłoczonych na małym dziedzińcu. Strumień wychodzących z kościoła spotykał się i mieszał z ludźmi przybyłymi na drugą mszę. Pod starymi drzewami przyciągają uwagę dwa wielkie plany — projekty przyszłego Polskiego Domu Katolickiego, na który fundusze gromadzone są od lat.

Kościół św. Michała budowany był jako świątynia protestancka i dotychczas nosi wyraźne tego ślady.

Przekonaliśmy się wkrótce, że nie jest to jedyna osobliwość miejscowej parafii. Nie trafiliśmy na występ dobrego chóru męskiego „Echo”, ale dzięki temu podziwiać mogliśmy muzykalność zebranych wiernych i dobry, z gustem zrobiony wybór pieśni. Ani śladu tak powszechnego na mszach polskich działowskiego zawodzenia. Cała ceremonia miała swój własny rytm, jakiego nie spotkaliśmy dotychczas w żadnej z polskich parafii.

Na przeciw kościoła, po drugiej stronie dziedzińca, stoi polski dom parafialny. Po nabożeństwie ciasna restauracja i mały, niedawno otwarty bar wypełniają się po brzegi. Po różnych kątach domu odbywają się spotkania, toczą się prywatne rozmowy, zbierają się zarządy organizacji. Nawet na korytarzach robi się tłumnio. Przez niedzielę (a właściwie przez cały *week-end*) dom kipi życiem.

Z pewnym trudem odnaleźliśmy w tym rozgardiaszu ks. dziekana Kąckiego i p. Maślankę, prezesa Koła Katolickiego. Obaj, mimo licznych zajęć znaleźli czas na dość obszerną rozmowę.

Pomyślny rozwój parafii polskiej w Birmingham, przypisać w dużym stopniu należy szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Kościół św. Michała jest jedyną świątynią katolicką w centrum i ze względu na szczupłą ilość parafian Anglików utrzymanie go stało pod dużym znakiem zapytania. Miejscowa hierarchia katolicka z zadowoleniem więc przyjęła napływ Polaków do Bir-

mingham. Oddanie kościoła św. Michała do użytku Polaków stanowiło szansę ocalenia angielskiej parafii. Postanowiono pójść Polakom jak najdalej na rękę. Na polskie nabożeństwa niedzielne oddano najwygodniejszą porę dnia; nie używany, wymagający remontu dom obok kościoła odstąpiono bez żadnych opłat dzierżawnych. Polacy stali się właściwymi gospodarzami parafii. Przychylność władz kościelnych stworzyła polskiej parafii w Birmingham podstawy rozwoju, których brak wielu innym ośrodkom. Niemniej wykorzystanie tych możliwości, stworzenie organizacji katolickiej o szerszych ramach i większych ambicjach niż gdziekolwiek indziej, jest zasługą miejscowych Polaków, a przede wszystkim ks. dziekana Kąckiego. Wpływ ks. dziekana wyczuwa się na każdym kroku, a w sprawach ważnych odgrywa on decydującą rolę.

Specyfika tutejszego środowiska polega na tym, że nie ma tu organizacji parafialnej, opartej na przyjętych wszędzie wzorach. Wszystkimi sprawami i potrzebami parafii zajmuje się Polskie Koło Katolickie, powołane do życia jeszcze w 1947 r. Koło jest organizacją nadrzędną, która zależnie od potrzeb społecznych środowiska, tworzyć może sekcje i organizacje mniejsze o specjalnym charakterze i celu. W ramach Koła powstał chór męski i żeński, zespół tańców narodowych, teatr amatorski, orkiestra taneczna itp. Związane z nim jest też miejscowe Koło Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej (w skrócie KSMP — nie jest ono afiliowane do francuskiej organizacji młodzieży polskiej o tej samej nazwie, ale możliwości afiliacji są rozważane). Birminghamskie KSMP korzysta z sali domu Koła Katolickiego, gdzie mieści się jego sekretariat. Nawet Koło Inwalidów było kiedyś sekcją Koła Katolickiego.

Potencjalnie Koło Katolickie jest więc zdolne do zaspokojenia wszystkich potrzeb społecznych środowiska. Przyjąwszy taką koncepcję, uznać by trzeba istnienie innych, równorzędnych organizacji za bezcelowe. Patrząc na polski Birmingham z perspektywy ogólnej, miejscowe spory uznać trzeba za najczystszy, klasyczny przykład konfliktu pomiędzy parafią i organizacjami społecznymi. W innych ośrodkach konflikt ten przytłoczony jest najczęściej antagonizmami personalnymi; trudno jest nieraz zorientować się jakie jest źródło i sens kłótni. Aspiracje proboszczów nie są poparte istnieniem aparatu, umożliwiającego zorganizowanie całego środowiska w ramach parafii. Aparatem takim jest natomiast Koło Katolickie w Birmingham. Tutaj rzeczywiście zwycięstwo „koncepcji parafialnej” wyklucza istnienie struktury konwencjonalnej, opartej o organizacje społeczne z centralami w Londynie. Miejscowy spór jest więc najczystszej wody kon-

fliktem sprzecznych interesów i podziwiać tylko należy jego względnie cywilizowaną, jak dotychczas, formę.

Czy ambitny eksperyment, jakim jest Koło Katolickie w Birmingham, uznać można za udany? Mimo blisko 12 lat istnienia Koła trudno jest wciąż dać na to pytanie kategorię odpowiedź. Niewątpliwie, Koło jest tu organizacją najsilniejszą, ale oczywiście nie jedyną, a istnienie dwu walczących stron ma jasność obrazu. Poza tym ewolucja organizacji nie jest jeszcze ukończona. Obecny, zbyt ciasny zresztą budynek Domu Katolickiego, przeznaczony jest na rozbiórkę i gromadzenie funduszy na budowę nowego, własnego domu uważane jest od lat za potrzebę najbardziej palącą, pożerającą gros energii kolejnych Zarządów. O ile ambicje i rozmach stanowią o wartości organizacji, Koło Katolickie cenić by trzeba wysoko. Ale jest chyba spora doza słuszności w twierdzeniu przeciwników, że dzięki pomocy parafii angielskiej Koło dotychczas rozwijało się w warunkach cieplarnianych. Po stworzeniu własnego Centrum Katolickiego nadejdzie zapewne okres właściwej próby.

Koło Katolickie, jak nam mówiono nie bez dumy w Birmingham, jest jedną z najsilniejszych organizacji polskich na terenie całej Wielkiej Brytanii. Według cyfr, podawanych nam w czasie rozmowy, Koło skupia obecnie około 560 płacących członków i rozporządza majątkiem, sięgającym sumy £ 12.000 (SPK ma około 3.000 płacących członków na ogólną liczbę 7.000). Już te cyfry dają wyobrażenie o sile organizacji, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że na ogólną liczbę 4.000 Polaków w Birmingham, jedynie około 1.000 dba o utrzymywanie stałego kontaktu z życiem polskim w jakiegokolwiek formie (z liczby 1280 osób, które przeszły przez Koło od 1947 r., część opuściła Birmingham, część świadomie odsunęła się od rodaków). Zarząd drukuje roczne sprawozdania, w których nagłówek referuje działalność Koła i podaje dane dotyczące majątku, przychodów i rozchodów Koła. Poniżej, dla ilustracji, podajemy wyciąg z jednego ze sprawozdań, sumujący działalność organizacji w 1958 r.

Stan ewidencyjny na dzień 31.12.1958: 513 członków, w tym 83 zalegających ze składkami rok lub dłużej. W ciągu roku przybyło 97 członków, ubyło 26, w czym zmarło 4, a 3 skreślono na ich własne żądanie.

Dział kulturalno-oświatowy podlega wiceprezesowi P.K.K. (dr J. Ossoliński). Działalność na tym polu oparta jest o następujące zespoły: chór męski „Echo” (prezes plk. Znamirowski, dyrygent B. Płonka, członków 46); chór pań „Lutnia” (kierownik S. Piekarski, członkiń 25); zespół tańców narodowych (kie-

ownik J. Orłowski, instruktorka K. Zytkiewicz, członków 15); teatr amatorski (kier. J. Babicz, reżyser F. Znamierowski, członków 10); orkiestra taneczna (kierownik p. Sędzikowski, członków 10).

W czasie roku zorganizowano 5 odczytów: „Wyższe szkolnictwo polskie poza granicami kraju” — dr T. Felsztyn; „Cykl święci polscy — św. Jacek” — ks. F. Kącki, C.R.L.; „Liturgia Wielkiego Tygodnia” — p. T. Foryś; „Zadania Polaka — Katolika na emigracji” — ks. J. Gołąb; i „Kult N.M.P. z Gietrzwaldu” — ks. Kącki.

P.K.K. brało udział w „akademiach narodowych i państwowych”, urządzanych przez Porozumienie Organizacji Społecznych w Birmingham.

W czasie roku zakupiono do biblioteki P.K.K. i oprawiono książek na sumę £ 50. Ilość czytelników wzrosła w stosunku do roku poprzedniego o 20 % i wynosi 259 osób. Biblioteka posiada 1611 tomów. Stałym bibliotekarzem jest p. B. Gołowczyński, B.A.

Świetlica otwarta była w poniedziałki, piątki, soboty i niedziele. Mieści się tam także klub szachistów, prowadzony przez pp. Lipińskiego i Twardowicza. Czynny jest bufet.

P.K.K. zorganizowało następujące wycieczki i pielgrzymki: 18.5. 120 Polaków wzięło udział w dorocznej procesji z relikwiami św. Chada; 25.5. 37 wyjechało autobusem do Fawley Court; 29.6. 75 osób udało się na festyn do zakładu ss. Nazaretanek w Pitsford; 17.8. urządzono w Hednesford połączony obchód święta N.M.P. i rocznicy bitwy warszawskiej, na który z Birmingham wyjechało 200 osób.

Ponadto, 6.7. w ogrodzie Domu T.P.P. (Towarzystwo Pomocy Polakom prowadzi trzeci dom polski w Birmingham), P.K.K. wspólnie z Polską Macierzą Szkolną urządziło festyn i zabawę ogrodową, ze stoiskami rozrywkowymi, tańcami i bufetem. Obecnych było 300 osób, w tym duży procent dzieci.

Koło brało też udział w imprezach organizowanych przez inne organizacje zarówno angielskie jak i polskie. Na przykład: na uroczystość poświęcenia przez ks. prałata Staniszewskiego Polskiego Domu Katolickiego w Redditch wyjechał chór „Echo” i zespół tańców narodowych¹. W sierpniu tegoż roku chór

1. Redditch to małe miasteczko, niedaleko Birmingham. Początkowo mieszkało tam tylko kilka rodzin polskich. Następnie jednak, ze względu na otworzenie nowych fabryk i duże możliwości zatrudnienia, do Redditch zaczęli zjeżdżać Polacy: obecnie jest tam ponad 80 rodzin, razem 360 „dusz”, w tym ponad 100 dzieci. Założono, na wzór Birminghamu Koło Katolickie, które liczy 112 członków (!). W Redditch jest 60 domów polskich, i Dom Katolicki, mający 10 pokoi, wartości £ 3.000.

„Echo” wziął udział w zjeździe chórów polskich w Leicester; w październiku wystąpił w ratuszu miejskim Birmingham z okazji *University Carnival i International Evening*.

Istnieje też w P.K.K. dział opieki społecznej, odpowiedzialny głównie za odwiedzanie i opiekę nad chorymi Polakami w miejscowych szpitalach.

Urządzono ogółem w przeciągu roku 9 imprez rozrywkowo-dochodowych: w styczniu wieczór kolęd w sali *Midland Institute*, na którym przemawiał arcybiskup Birminghamu. Obecnych było około 700 osób. W kwietniu urządzono święcone dla członków P.K.K. z rodzinami i zaproszonych gości; po czym odbyła się zabawa taneczna. Obecnych było 120 osób. W tymże miesiącu urządzono w *Digbeth Institute* koncert chóru „Echo” z udziałem Pawła Prokopieniego. Obecnych ponad 200 osób. W czerwcu dano przedstawienie pt. „Ciotka Karola” wystawione przez zespół Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej ze Swindon. W październiku miał miejsce występ chóru „Echo” w *Digbeth Institute* z udziałem Mariana Nowakowskiego i pianisty Sulikowskiego. W grudniu urządzono kiermasz zabawek na choinkę w świetlicy P.K.K. Dochód w wysokości £ 14.9.0 przekazany został na dzieci polskie w Niemczech. W tymże miesiącu urządzono zabawę taneczną w hotelu *Mermaid*. Obecnych ponad 180 osób. Na koniec roku odbył się sylwester P.K.K. w *Digbeth Institute*. Obecnych ponad 200 osób.

Rozbudowano przedsiębiorstwa Koła: w sierpniu przejęta została przez P.K.K. księgarnia ruchoma Polskiego Instytutu Akcji Katolickiej w W. Brytanii. Kierownikiem księgarni został p. Kalus, członek Zarządu Koła. W tymże miesiącu uruchomiono samochód-sklep dostarczający towary kontynentalne i pieczywo do polskich domów. W tymże miesiącu otwarto bar klubowy P.K.K. w sali odnowionej przez członków Koła bezinteresownie. Z końcem roku klub „barowy” posiadał 139 członków.

Poczyniono dalsze kroki w kierunku realizacji projektu budowy Polskiego Centrum Katolickiego w Birmingham. Rozpoczęto rozmowy z Samorządem Miasta celem wydzierżawienia parceli w pobliżu kościoła św. Michała. Na publicznym zebraniu w listopadzie wybrano stały Komitet Budowy, na który składają się: sekcja techniczno-prawna i finansowa. W skład pierwszej wszedł: ks. Kącki, mgr. Kurtyanek, p. U. Piątkowski, inż. J. Skowroński, oraz z urzędu pp. J. Maślanka i J. Bartnicki (prezes P.K.K. i jego referent Funduszu Budowy Domu). Do sekcji finansowej weszło razem 21 osób.

Tak w suchych faktach przedstawia się roczna działalność Koła Katolickiego. Dochodzi do tego moc roboty papierkowej i

ściśle parafialnej. Wspomnieć też warto o działalności KSMP Oddział birminghamski liczy 38 członków i prowadzi głównie akcję odczytową. Oto tematy poszczególnych zebrań: „Stulecie objawień w Lourdes” (ks. Kącki); „Podróże międzyplanetarne” (plk. Felsztyn); „Osiągnięcia Polski w okresie dwudziestolecia niepodległości” (plk. Felsztyn); „Uczestnictwo w zebraniach i rola przewodniczącego” (J. Hoffman); „O wyrobieniu społecznym” (dr Ossoliński); „Należec do KSMP to nie wstyd” (ks. Kącki); „Młodzież w świecie współczesnym” (ks. Gołąb); „Umartwienie” (ks. Gołąb); „Objawienia N.M.P. w Gietrzwałdzie” (ks. Kącki).

Budżet Koła nastawiony był na wygospodarowanie jak największej sumy na Fundusz Budowy Domu. Potrzeby bieżące załatwiano jak najoszczędniej. Rok 1958 wygląda w cyfrach następująco:

Dochody: Składki członkowskie — £ 513.18.0.; kantyna — £ 975.11.3; różne — £ 20.0.9. Razem — £ 1507.10.0.

Rozchody: Duszpasterstwo — £ 588.11.3. (w tym ksiądz — £ 500.17.0., organista — £ 72.0.0., rekolekcje — £ 15.14.3.). Sekretariat — £ 138.7.11. Lokal — £ 66.17.0. Wydatki kulturalno-społeczne — £ 194.9.3. Różne — £ 79.16.11. Razem — £ 1068.2.4.

Z końcem roku Koło przełało £ 500 na Fundusz Budowy Domu. Poza tym przekazano na Fundusz kwoty następujące: procent od pieniędzy w bankach (po potrąceniu podatku) — £ 139.12.9.; zyski z imprez dochodowych — £ 185.13.5.; ofiary indywidualne — £ 114.0.6.; zbiórki sprzed kościoła — £ 663.0.11. Razem — £ 1602.8.7. Saldo Funduszu na rok 1958 wynosiło — £ 6769.2.8., na rok 1959 — £ 8371.10.3.

Według ustnych, nieoficjalnych relacji, z końcem czerwca 1959 roku Fundusz sięgnął cyfry £ 10.300. Wskazywałoby to na podwojenie wysiłków w stosunku do lat poprzednich. Bo też w czasie, który upłynął od 1953 r., kiedy to po raz pierwszy zaplanowano budowę Centrum jako rzecz bardzo odległą, i trochę, zdawałoby się, nierealną, realizacja projektu stała się naprawdę palącą potrzebą dnia. Zaczął się zbliżać ostateczny termin rozbiórki obecnego Domu Katolickiego. Komitet Budowy chciał rozpocząć prace nad wzniesieniem nowego Centrum, w najgorszym razie wiosną 1960. Magistrat zgodził się już na wydzierżawienie parceli, położonej wygodnie, w centrum miasta, blisko kościoła. Plac ten jest, jak się okazuje, starym, nieużywanym cmentarzem. Przygotowanie miejsca pod budowę polegać więc będzie przede wszystkim na ekshumacji zwłok. Według przewidywanego projektu, stanie tam nowoczesny, dwupiętrowy dom, ze świetlicą, kawiarenką i dwoma sklepami lub warsztatami do

wynajęcia na parterze; gdzie także ma się mieścić sklep kontynentalny (tzn. żywnościowy), prowadzony przez Koło Katolickie; z dużą, piękną salą na 220 miejsc siedzących i obszerną sceną, a także foyer, barem, restauracją i barem klubowym na pierwszym piętrze. Drugie piętro ma być zajęte na świetlicę dla starszych, czytelnię, parę biur.

Koszta wyniosą około £ 20.000. Projekt bierze pod uwagę ewentualną rozbudowę centrum w dalszej przyszłości.

Zapoznanie się z cyframi, potwierdza więc, wydaje nam się, wrażenie, jakie wynieśliśmy z naszych wizyt w Domu Katolickim. Koło Katolickie jest organizacją dynamiczną i na ogół dobrze prowadzoną. Przyznają to zresztą nawet niektórzy przeciwnicy Koła. Głównym zarzutem jaki wysuwają oni pod adresem organizacji jest nie zła praca, ale dyktatorskie, jakoby, zakusy ks. dziekana. Ks. Kącki ze swojej strony źródła kłótni widzi w machinacjach emigracyjnych stronnictw politycznych. W obu zarzutach jest pewne ziarno prawdy.

Zewnętrzny wygląd i sposób bycia ks. dziekana pasują do roli, jaką odgrywa wśród tutejszej Polonii. Jest to człowiek lat czterdziestu kilku, średniego wzrostu, krępy, o szerokiej, ceglastej koloru twarzy, z której para małych oczu patrzy agresywnie i trochę wyzywająco. W czasie wojny był popularnym kapelanem w jednym z dywizjonów polskiego lotnictwa. Robi wrażenie człowieka gwałtownego, który wybuchowość swą nauczył się tłumić wysiłkiem woli. Kiedy rozmawialiśmy w jego kancelarii z p. Maślanką, ksiądz stał odwrócony do nas tyłem, twarzą do okna, i szeptał swe brewiarze. Docierało to do nas jak denerwujące tik-tak zegarowej bomby.

Ks. dziekan jest, jak sam o sobie mówi, przekonany „endekiem”, ale uważa, że parafia nie może być terenem rozgrywek partyjnych. Domyślać się można, że za jego sprawą na okładce statutu P.K.K. (ułożonego wspólnie z polskimi władzami kościelnymi w Anglii) znalazł się obszerny cytat z kazania kardynała Hlonda. Wybór cytatu wydaje nam się tak charakterystyczny, że podajemy go w całości:

„Wspólnocie parafialnej zagrażały zawsze ludzkie nieporozumienia. Dzisiaj naruszają ją głównie swary polityczne. Pamiętajcie, drodzy Diecezjanie, że w dziedzinie kościelnej nie powinny się rozgrywać walki partyjne. Do życia parafialnego nie wolno wnosić zmagani o władzę państwową. Parafia nie jest ani partią, ani kwaterą polityków. Nie może być parafii tego lub owego kierunku politycznego. Parafie są Chrystusowe.

„W życiu parafii nie ma stronnictw, nie ma większości, ani mniejszości, wszyscy tu mają pełne prawa do Boga i Jego łaski. Polityką parafii jako takiej jest realizacja Ewangelii, a więc przede wszystkim życie nadprzyrodzone, kultura katolicka i zbawienie dusz”.

Sam statut jest dokumentem pod wieloma względami fascynującym. Dowiadujemy się z niego, że władzami Koła są: a) Kurator, b) Walne Zebranie, c) Zarząd i d) Komisja Rewizyjna. Kuratorem zostaje z urzędu każdorazowy duszpasterz polski w Birmingham. Oto niektóre z jego uprawnień:

(art. 7. pkt 2(a) „jako naturalny stróż wiary i moralności w działalności Koła, Kurator ma prawo bezwzględnego weta w stosunku do wszelkich uchwał zarówno Zarządu, jak i Walnego Zebrania, które by stały w sprzeczności z zasadami wiary i moralności katolickiej”;

(c) „ma prawo bezwzględnego weta w wypadku uchwały Zarządu lub Walnego Zebrania Koła, zmierzającej do użycia na inne cele całości lub części funduszu na kupno domu”;

(d) „zatwierdza wybór Prezydium Zarządu”;

(e) „wszelkie uchwały Zarządu Koła, dotyczące zmian organizacyjnych oraz spraw gospodarczych, mogą zapaść dopiero po wysłuchaniu opinii Kuratora”;

(r) „w wypadku gdyby Kurator uznał działalność Zarządu lub jego uchwałę za szkodliwą dla interesów Koła, ma prawo zawieszenia Zarządu. W tym wypadku Kurator jest zobowiązany do zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zebrania w przeciągu czterech tygodni od chwili zawieszenia Zarządu”;

art. 7 punkt 3). „Wszelkie nieporozumienia pomiędzy Zarządem a Kuratorem, które mogłyby powstać, a których nie dałoby się zakończyć ugodowo, rozstrzyga Wikariusz Generalny dla Polaków w Anglii i Walii”.

Komentarze są właściwie zbyteczne. Przy takich kompetencjach Kuratora, rozwój organizacji zależy przede wszystkim od osoby duszpasterza. Stąd wątpić trzeba, czy Koło Katolickie, z obecnym statutem, może być koncepcją na eksport, możliwą do zaprowadzenia w innych polskich ośrodkach. Ks. dziekan Kącki jest niewątpliwie człowiekiem o temperamencie społecznika. Z naszych spotkań z kapłanami polskimi wiemy, że nie wszystkie ośrodki są pod tym względem równie szczęśliwe. Mogło być gorzej i w Birmingham.

Inne organizacje

Birmingham jest w pewnej mierze dowodem, że nawet najlepiej zorganizowana parafia, mająca nie tylko ambicje ale i aparat do prowadzenia życia społecznego, nie potrafi zaspokoić wszystkich potrzeb społeczności polskiej. Tak się składa, że w Birmingham życie polityczne wciąż jest stosunkowo ożywione, a do niedawna było całkiem bogate, i obfitowało nawet w dramatyczne momenty. Z partii politycznych do niedawna ogromną rolę odgrywały tu dwa stronnictwa: PPS i Stronnictwo Narodo-

we. PPS ściśle współpracowało ze Związkiem Inwalidów, Stronnictwo Narodowe, do chwili konfliktu, z Kołem Katolickim. Dużą rolę odgrywały tu dwa Koła Związku Robotników i Rzemieślników Polskich. Istnienie 2 kół spowodowane zostało rozłamem jaki nastąpił w ZRRP w 1953 roku. Mówiono nam, że parafia fakt ten próbowała wykorzystać, starając się powiązać jedno z kół z Kołem Katolickim. Ostatnio jednak oba koła zaczęły ze sobą współpracować, a jedno z nich (tzw. Samodzielne Koło ZRRP w Birmingham) afiliowało się, jako sekcja polska, do angielskiego związku zawodowego *General and Municipal Workers Union* (sekcja polska przy tym Związku, posiadająca specjalne legitymacje członkowskie, istniała tu już przedtem — jedyna w W. Brytanii).

Przez społeczeństwo polskie w Birmingham przeszło więc kilka konfliktów. Prawie równoległe z rozłamem w ZRRP nastąpił rozłam polityczny między prezydentem Zaleskim a Stronniczwami i gen. Andersem. W Birmingham tak jak i gdzie indziej doprowadził on do powstania dwóch „skarbow narodowych” i podziału wewnątrz różnych organizacji na zwolenników Zamku i Zjednoczenia. Na tym tle powstał także w Birmingham Polski Komitet Obywatelski, popierający prezydenta Zaleskiego, i mający ambicję reprezentowania całego ośrodka.

W roku 1956 doszło do poważnego starcia pomiędzy PPS a Stronnictwem Narodowym. W dniu 15 lipca 1956 miała się odbyć akademія poprzedzona pochodem manifestacyjnym ku czci robotników poznańskich. Akademię urządzał Komitet Koordynacyjny, który w Birmingham opanowany był przez Stronnictwo Narodowe. Komitet ten zaprosił na prelegenta dr. Tadeusza Bieleckiego, prezesa Stronnictwa Narodowego. Wywołało to oburzenie wśród birminghamskich socjalistów, którzy wezwali do bojkotu akademii, chociaż poparli wzięcie udziału w pochodzie. Protest przeciwko decyzji Komitetu wyrażony został w ulotce, której tekst podajemy:

POLACY!

Ponieważ Komitet Koordynacyjny Polskich Organizacji Społecznych w Birmingham decyduje o sprawach politycznych ogólnonarodowych imieniem całej Polonii na naszym terenie bez porozumienia się i uzgodnienia tych spraw z partiami politycznymi oraz organizacjami społecznymi nie wchodzącymi w skład tego Komitetu.

Ponieważ Komitet Koordynacyjny Polskich Organizacji Społecznych w Birmingham prawie w całości składa się z ludzi jednego stronnictwa (Stronnictwo Narodowe) zrozumieliśmy stąd stanowisko tego Komitetu nie przyjmowania innych organizacji społecznych, które mogłyby tą ich „jednomyslność” podważyć.

Dobór prelegentów na dzisiejszą akademię został dokonany wyłącznie przez członków Stronnictwa Narodowego, którzy wyłącznie sami o tym decydowali.

Ponieważ w Poznaniu połała się krew naszych braci-robotników walczących o „Wolność i Chleb”, w ich imieniu przemawiać powinien człowiek świata pracy, którego na pewno p. dr T. Bielecki nie ma prawa reprezentować.

Niżej podpisane Organizacje Polskie w Birmingham udziału w dzisiejszej akademii w Town Hallu nie wezmą.

Wzywamy natomiast wszystkich naszych członków do wzięcia udziału w pochodzie.

Równocześnie niżej podpisane Organizacje rozpoczynają akcję, która doprowadzi do utworzenia Komitetu wszystkich Organizacji Polskich w Birmingham bez względu na ich przekonania polityczne, ponieważ jedno Stronnictwo nie może uzurpować sobie prawa przemawiana za ogół Polaków w Birmingham.

Koło PPS w Birmingham — Polski Komitet Obywatelski — Związek Ziem Wschodnich R. P. — Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” — Samodzielne Koło ZRRP — Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych — Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych.

Tak więc konflikt ze Stronnictwem Narodowym zatarł różnice pomiędzy zamkowcami i zjednoczeniowcami, którzy wystąpili we wspólnej akcji. Zapowiedziana akcja stworzenia „Komitetu wszystkich Organizacji” doprowadzona została do skutku po odrzuceniu przez Komitet Koordynacyjny wniosku o dopuszczenie do Komitetu wszystkich organizacji polskich z terenu miasta. Nowy Komitet przyjął z początku nazwę Rady Stowarzyszeń, a następnie przekształcił się w Porozumienie Polskich Organizacji Społecznych, do którego weszło 15 z dwudziestu kilku organizacji w Birmingham. Warto wymienić chociażby nazwy tych organizacji. Są to: Towarzystwo Polsko-Angielskie, Klub Polski — Dom Związku Inwalidów, Klub sportowy „Pogoń”, Polska Macierz Szkolna, Polskie Koło Katolickie, Polski Komitet Obywatelski, Samodzielne Koło ZRRP, Stowarzyszenie Ewangelików Polaków, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych, Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych, Związek Inwalidów Wojennych, Związek Nauczycielstwa Polskiego, ZRRP — koło Nr 65, i Związek Ziem Wschodnich.

Porozumienie koordynuje wystąpienia poszczególnych organizacji, chociaż jego przyszłość, ze względu na ambicje Koła Katolickiego, stoi pod znakiem zapytania. (Porozumienie ma 2 sekretarzy: 1 socjalistę — i 1 narodowca). Każda organizacja ma 1 głos. Zasadę tę atakuje Koło Katolickie, które nie chce pogodzić się z anomalią, że przy swojej ilości członków rozporządza takim samym głosem jak np. miejscowe SPK lub TUL, które

są organizacjami słabymi, w stadium zaniku. Koło Katolickie żąda więc aby organizacje wchodzące w skład Porozumienia rozporządzały ilością głosów proporcjonalną do ilości członków. Inne organizacje (żądanie Koła Katolickiego poparte zostało jedynie przez Polską Macierz Szkolną) oczywiście nie chciały się na to zgodzić, obawiając się zmajoryzowania życia społecznego przez Koło Katolickie, które uzyskałoby co najmniej 10 głosów.

Następnym silnym wstrząsem dla Polaków w Birmingham był polski październik, który wpłynął zasadniczo na nastroje tak Koła PPS w samym mieście, jak i okręgowego Koła *West Midland*, obejmującego wówczas 5 ośrodków (dziś już tylko 4). W dwa tygodnie po październiku Koło PPS w Birmingham uchwaliło następującą rezolucję:

STANOWISKO KOŁA PPS W BIRMINGHAM

Klasa robotnicza Polski stanęła do walki trudnej i niebezpiecznej, w której — z zadowoleniem stwierdzić możemy — zwycięża.

Walka ich, nas socjalistów na emigracji napawa dumą i nadzieją, cele o które walczą, a to: suwerenność państwową i socjalizm demokratyczny są przeciw naszym programem.

Jesteśmy zadowoleni, że polska klasa robotnicza zdobywa swe cele etapami, drogą ewolucji oraz że Kraj nasz uniknął losu Węgier.

Partia komunistyczna rządząca naszym Krajem ustępuje przed żądaniami narodu, obecnie słyszymy coraz potężniejszy głos domagający się dopuszczenia do legalnego życia PPS.

Czy stanowisko socjalistów na emigracji odpowiada przemianom zachodzącym w Kraju?

Obowiązkiem chwili jest jak najszybsza rewizja naszej pozycji, a to:

1. Wycofanie się ze zjednoczenia z grupami reprezentującymi byłą magnaterię i reakcję polską lub zbankrutowaną sanację.

2. Zaprzestanie współpracy i odwołanie socjalistów zatrudnionych przez radiostację *Free Europe*, by tym samym odgradzić się od propagandy i porad głoszonych przez tę instytucję do narodu polskiego.

3. Wykorzystać wszystkie nasze możliwości w celu wpłynięcia na rządy zachodnio-europejskie by uznały granicę Odra-Nysa jako ostateczną granicę Polski na zachodzie, oraz udzieliły Polsce pożyczki nie uzależnionej warunkami politycznymi.

To stanowisko Koła PPS w Birmingham poparte zostało całkowicie w styczniu 1957 roku przez resztę kół Okręgu *West Midland*. Komitet Okręgowy PPS — *West Midland* powziął w tym miesiącu rezolucję, która powtórzyła większość punktów rezolucji poprzedniej, domagając się od władz PPS porzucenia tzw. „Programu radomskiego” i wypracowania nowego programu, bardziej dostosowanego do potrzeb obecnych.

Ferment wśród socjalistów polskich w Birmingham i okolicy trwa do dziś: jest dowodem pewnej siły tej organizacji w tym

okręgu. Jednym z wyrazów tego fermentu było przekonanie, że PPS powinna próbować „dogadać” się z Gomułką i dążyć do reaktywowania swej działalności w Kraju. Jako argument podawano nam, że rzekomo Stronnictwo Narodowe próbuje już od pewnego czasu tego samego, i że odbywało rozmowy z przedstawicielami reżymu w Londynie. Rzecz ciekawa, wśród niektórych narodowców w Birmingham spotkaliśmy się z podobnym przekonaniem, że reaktywowanie stronnictw politycznych w Kraju jest rzeczą zupełnie możliwą. Musimy jednak dodać, że jeśli chodzi o PPS w Birmingham, to istnieje tam i silna opinia przeciwna, reprezentowana np. przez p. Prokopowicza, który uważa, że nadzieje takie są nieuzasadnione².



Siła liczebna PPS w Birmingham nie jest duża: wyraża się cyfrą około 23 członków; ale ten kierunek myśli politycznej posiada tu wielu sympatyków; poza tym, inaczej niż w wypadku Stronnictwa Narodowego, sympatie lewicowe objawia także część pokolenia młodszego. Stronnictwo Narodowe liczy w Birmingham także około 20 członków. Uskarża się jednak mocno na brak dopływu młodych. Głównymi działaczami są dr Juchnowicz, posiadający w Birmingham jedną z większych praktyk lekarskich, i inż. Macieliński. Dr Juchnowicz ma obywatelstwo brytyjskie, i w 1958 r. wyjeżdżał na urlop do Polski, aby pokazać kraj dzieciom. Obaj byli do niedawna filarami Koła Katolickiego. Obaj walenie przyczynili się do zbiórek na Fundusz Budowy Domu. Okazało się jednak, że ich koncepcje różnią się od koncepcji ks. dziekana. Wchodzi tu w grę sprawa statutu; ale główna krytyka dotyczy tego, że Dom budowany przez księdza nie będzie własnością, ani w sensie prawnym, ani w sensie symbolicznym, całej społeczności polskiej w Birmingham. Projekt Stronnictwa Narodowego przewidywał spółkę akcyjną, która byłaby właścicielem Domu. Akcjonariusze wybieraliby Zarząd; Dom prowadzony byłby na zasadzie handlowej. Kiedy okazało się, że koncepcja ta nie jest do przyjęcia dla księdza, i gdy stało się jasne, kto ma „rządzić” Funduszem i Domem, a także całą społecznością w Birmingham, narodowcy odsunęli się od Koła Katolickiego; starcie było tak ostre, że doszło nawet do zabloko-

2. W roku 1960 p. Prokopowicz przeniósł się do Londynu, gdzie kupił sklep, co spowodowało całkowite wyłączenie się z życia społeczno-politycznego. Jak dowiadujemy się w momencie oddawania książki do druku, wyjazd p. Prokopowicza oraz dalsze wypadki w łonie PPS, postawiły pod dużym znakiem zapytania istnienie kół PPS w tym rejonie.

wania pewnej części pieniędzy w bankach przez powierników ze Stronnictwa. Pieniądze zostały jednak następnie odblokowane.

Jest rzeczą jasną, że życie polityczne polskie w Birmingham musi istnieć poza życiem parafialnym, w którego ramach zupełnie się nie mieści. Rację ma więc cytat na statucie Koła Katolickiego; rację ma także ks. dziekan, gdy twierdzi, że większość organizacji społecznych podszytych jest wilczą skórą partii politycznych. Ale równocześnie rację mają ci, którzy twierdzą, że wobec tego parafia nie powinna sobie rościć pretensji do monopolizowania całego życia polskiego w danym ośrodku. Konflikt o charakter Domu Polskiego jest konfliktem istotnym. Ks. dziekan stoi na stanowisku, że jedynie te organizacje będą mogły korzystać z Domu Katolickiego, które uzyskają na to pozwolenie od Koła Katolickiego. Jest to zasada trudna do przyjęcia. Ktoś wysunął ważki argument, że przecież w Birmingham istnieje silna grupa polskich Ewangelików, posiadająca własną parafię i własnego proboszcza (ks. Arlt); dlaczego np. ci Polacy mieliby być wykluczeni z życia polskiego, i używania Domu?

Trudno jest także wyobrazić sobie, aby działacze polityczni, i w ogóle inteligencja, podporządkowała się całkowicie kurateli ks. Kuratora. Mimo bowiem tego, że z księdzem współpracuje pewna grupa miejscowej inteligencji, duża jej część nie ma nadal zamiaru rezygnowania z przywódzenia społeczności polskiej na rzecz proboszcza. Do księdza, w sposób zupełnie naturalny, garną się przede wszystkim ludzie pochodzenia wiejskiego. Można by nawet twierdzić, że główną słabością koncepcji parafialnej jest nieumiejętność wyjścia poza wzorzec wiejskiej parafii polskiej przedwojennej.

Współzycie z Anglikami

Koło Katolickie w Birmingham zawdzięcza swój pomyślny rozwój w dużej mierze życzliwości miejscowej hierarchii katolickiej, życzliwości, wpływającej z pewnego układu warunków. Trudno byłoby jednak się spodziewać, żeby Koło to miało także zażyłe stosunki z silną w tym mieście Labour Party, lub by korzystało z życzliwości kwaków, czy też nawiązywało współpracę ze związkami zawodowymi. A dobre stosunki z tymi grupami społeczności angielskiej są jedną z ciekawszych stron życia Polaków w Birmingham.

Dobre stosunki z *Labour Party* oczywiście możliwe są dzięki grupie socjalistów polskich, tak jak dzięki nim i ZRRP możliwe

są dobre stosunki ze związkami zawodowymi (Polacy ponadto należą bezpośrednio do angielskich związków zawodowych w różnych gałęziach przemysłu, niezależnie od powstałej obecnie sekcji polskiej. Przy okazji warto dodać, że sekcja ta powstała dlatego przy GMWU, gdyż jest to związek wolny od komunistycznych wpływów).

Jest rzeczą ciekawą, że stosunki polsko-angielskie nie polegają jedynie na korzystaniu z życzliwości angielskiej w razie potrzeby. Przeciwnie, Polacy potrafili tu oddać pewne usługi Anglikom, szczególnie na polu opieki nad inwalidami angielskimi. Tutejszy Związek Inwalidów urządził niedawno przy pomocy angielskich organizacji inwalidzkich i Czerwonego Krzyża, wystawę prac inwalidów angielskich, która tak się udała, że Polacy mają także reprezentować na cały Midland ociemniałych żołnierzy brytyjskich. Te akcje wywołały żywy oddźwięk w lokalnej prasie: *Birmingham Mail* złożył Polakom podziękowanie za zajęcie się inwalidami angielskimi.

Inną ciekawą rzeczą jest realizowany obecnie projekt założenia Sekcji Żołnierzy Brytyjskich — Byłych Jeńców Niemieckich w Polsce — jest ich w Birmingham i okolicy spora liczba; niektórzy mówią zupełnie dobrze po polsku, zachowując na ogół duży sentyment dla Polski i Polaków.

W Birmingham istnieje rzadko obecnie spotykany poza Londynem, kurs języka polskiego dla Angielek, żon Polaków (małżeństw polsko-angielskich jest tu około 200).

Działa tu także Towarzystwo Polsko-Angielskie, wykazujące nieco większą żywotność niż jego szkocki odpowiednik. Liczy ono obecnie około 50 członków-płatników, i zajmuje się głównie opieką nad Polakami w Niemczech, a także wysyłką paczek do Polski. Mimo, że Towarzystwo to jest obecnie słabe, niektórzy Polacy w Birmingham, biorąc szczególnie pod uwagę słabą frekwencję dzieci w szkole sobotniej (zapisanych w r. 1958 było 180 dzieci, uczęszczało na lekcje przeciętnie około 50), przypuszczają, raczej melancholijnie, że być może w przyszłości będzie ono miało o wiele więcej do powiedzenia niż inne organizacje czysto polskie.

Inni, jak p. Prokopowicz, największą przyszłość widzą w sekcjach polskich przy którychś z angielskich związków zawodowych. Zdaniem p. Prokopowicza, sekcje takie powinny powstać w jak największej ilości skupisk polskich, tak aby dało to Polakom prawo do posiadania swych przedstawicieli we władzach związkowych.

P. Prokopowicz rzucając swój pomysł, opierał się na bogatym doświadczeniu własnym. Przeprowadził on już w Birmingham, z ramienia ZRRP, niejedną sprawę o odszkodowanie dla robotnika polskiego, czy też w ogóle w obronie jego interesów. Czasami obrona interesów polskiego robotnika nie jest jednak łatwa. Do Birmingham często przyjeżdżają Polacy z różnych części Anglii, w poszukiwaniu pracy, bez pieniędzy, czasami chorzy. Przykład tego mamy właśnie w trakcie naszego pobytu w Birmingham. P. Prokopowicz prowadzi nas do baru jednego wieczoru, abyśmy poznali Polaka z pobliskiego Long Marston. W obozie panuje rygor. Polak, którego poznajemy zjawiał się parę dni temu w Birmingham w *battledressie*, tak jakby dopiero co wrócił z wojny. Wdajemy się z nim w rozmowę. Pochodzi z okolic Rygi, skąd wywędrował wraz z wojskiem polskim w czasie wojny polsko-rosyjskiej. Następnie zamieszkał na Wileńszczyźnie, gdzie pracował na paru morgach gruntu. Pytamy, jak znalazł się w Birmingham. Opowiada, że zwolniono go z pracy w obozie, gdzie przebywał od roku 1949. Dlaczego go zwolniono? Patrzy na nas naiwnymi, błękitnymi oczami dziecka i drapiąc się w głowę mówi: „Za palenie papierosów w miejscu gdzie było zabroniono”. Po chwili rozmowy nabiera jednak do nas zaufania, a poza tym widać, że kłamanie nie leży w jego naturze. Zwierza się więc z rozbijającą szczerością: „Bo tak prawdę mówiąc, to za koks ja wpadł”. Okazuje się, że w obozie przydział koks był niewystarczający i wielu podbierało koks z przydziałów administracyjnych. „Ja już nieraz podbierał, dwa razy mnie Anglik przyłapał. Ale za trzecim razem to mnie wezwał mjr. Poliszewski (komendant obozu) i kazał się zwolnić z pracy, bo inaczej on sam mnie zwolni”. Pytamy go, co ma zamiar robić dalej. Odpowiada: „Do szpitalu idę, na przepuklinę”. Pokazuje przez spodnie dużą gułą w pachwinie. Operacja musi nastąpić szybko, gdyż nasz rozmówca zaniedbał bardzo chorobę. Opowiada, że nie przywiązywał do tej guły żadnej wagi. Do lekarza zaś nie szedł, bo lekarz Anglik, a on po angielsku nie mówi. Przepukliny nabawił się pewnie przy podnoszeniu prętów stalowych, dawano mu w obozie najcięższe prace, gdyż był w wojsku kategorii „A”. W obozie, mówi nam, Anglik zawsze dostanie lepszy „dziób” (*job* — pracę). A polskie władze, czy dbają o Polaków? „Z mojej strony to oni są wazeliną dla tych Anglików”, pada odpowiedź.

Nasz chłop w *battledressie* (Anno Domini 1959), nie pozbył się w czasie swoich wędrówek wrodzonego poczucia fatalizmu.

Przyznaje się, że był durny aby tak zaniedbać tę gulę, ale mówi, że już taki jest, a poza tym wola Boska. O powrót do obozu starać się nie będzie. Nie wierzy także, by dostał jakieś odszkodowanie. Z posiadającą nawet pewien urok rezygnacją wygłasza sentencję: „Po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględniają”. W tym powiedzeniu skryzlowała się jego mądrość życiowa.

Pieniądzy uskładanych nie ma, jako stary kawaler nie czuł potrzeby oszczędzania (dla kogo?) i wszystko przepijał. Zostawiamy go nad szklanką piwa, pogodzonego z losem i dziecinnie pogodnego. Patrzy za nami dobrodusznie, z tą dobrodusznością którą obok śpiewnego akcentu zachował z dawnych lat. Ten chłop z północnych kresów nie zmienił się ani na jotę. Gdyby nie pomoc polskiej organizacji zginąłby ze swą bezradnością i filozofią kwiatyzmu.

Na tle dorabiających się Polaków w Birmingham nie jest on jedynym wyjątkiem. Takich ludzi, których ominął awans społeczny, jest w Birmingham, i w każdym innym ośrodku polskim, dużo więcej. Najczęściej siedzieli oni do ostatniego momentu po różnych hostelach. Rzuceni do wielkich miast, mają szczęście gdy znajdują oparcie przy jakimś polskim ośrodku.

MIGAWKI I SYLWETKI

Bradford

Zycie społeczne każdego, nawet najmniejszego ośrodka posiada wiele aspektów i z rozmaitych stron można je oglądać. Jeden z naszych rozmówców w Bradford na pytanie, z jakich sfer pochodzą miejscowi Polacy, odpowiedział, że najwięcej jest gajowych i policjantów. Gajowi, mówił, to owszem, element zdrowy, ale policjanci — nic tylko krytykują. Mimo oczywistych fascynujących możliwości zawartych w tym temacie, konflikt „Gajowi vs. Policjanci” pozostawiamy jakiemuś przyszłemu, bardziej skrupulatnemu badaczowi. My chcemy spojrzeć na Bradford w sposób raczej konwencjonalny.

Bradford, miasto ponad trzystotysięczne, żyje przede wszystkim z wełny. Wełna przewija się przez całą kilkusetletnią historię miasta, odpowiedzialna jest za jego rozwój, i względną obecną zamożność. Podobno tutejsza wyjątkowo miękka woda, nadaje się idealnie do mycia wełny, co ma tłumaczyć usadowienie się w tym miejscu tej gałęzi przemysłu włókienniczego.

Obecność tego przemysłu i łatwość znalezienia pracy zarówno dla mężczyzn jak i kobiet przyciągnęła do Bradford Polaków. Jest ich tu około 3.000. Większość do dziś pracuje — jak tu mówią — w tekstylu. Zarobki, jak na brytyjskie stosunki są nie więcej niż średnie, ale pracując dużą ilość nadgodzin dorobić się można domku, samochodu, z czasem ewentualnie własnego przedsiębiorstwa. W małżeństwach przeważnie pracują także i żony, co przyspiesza oszczędzanie. Niestety, proces dorabiania się zahamowała pewna depresja w przemyśle włókienniczym. Bezrobocia wprawdzie nie ma, ale nadgodziny znikły a niektóre fabryki wprowadzają tzw. „krótki tydzień”.

Niektórzy z tych, co oszczędzali w pomyślniejszym okresie, są już właścicielami przedsiębiorstw handlowych. Jest w Brad-

ford ponad 20 polskich sklepów: rzeźnicze, delikatesy, kontynentalne pieczywa. Ich zaplecze tworzą polskie piekarnie i masarnie. Są to przeważnie dobrze idące, rozrastające się przedsiębiorstwa. Polska piekarnia ma dzienny wypiek 6.000 bochenków chleba i zatrudnia 8 pracowników. Polscy przedsiębiorcy to przeważnie ruchliwi, energiczni ludzie. Mieszka tu np. dawny pilot myśliwski, który w swojej karierze kupieckiej przehandlował już 12 sklepów, a dziś jest właścicielem prosperującego klubu nocnego, sklepu rzeźniczego i sklepu z delikatesami. Przedsiębiorstwa takie opierają się w Bradford nie tylko na klienteli polskiej; są tu dość liczne kolonie Ukraińców, białych Rosjan, Litwinów, Łotyszów, Węgrów — ogółem liczba „Europejczyków” sięga 6.000. W pewnym stopniu z przedsiębiorstw polskich korzystają Anglicy; właściwie można powiedzieć, że jak Anglia długa i szeroka, odbywa się dzięki Polakom (i innym kontynentalnym narodowościom) powolne urabianie u tubylców bardziej kontynentalnego smaku.

Życie społeczne Polonii bradfordzkiej kształtowało się podobnie jak i w innych większych polskich skupiskach. Wśród tuzina organizacji społecznych, SPK i parafia grały i grają czołową rolę. Z ugrupowań politycznych „działają”: Stronnictwo Narodowe, NID i PPS. Struktura organizacyjna jest więc taka sama jak wszędzie, a i problemy, a nawet miejscowe swary, nie są specjalnie oryginalne. Specyfika Bradford polega na personaliach.

Osobą, która na tutejsze życie polskie wywarła duży wpływ, a pośrednio, poprzez swoje tajemnicze zniknięcie, przyniosła Polonii bradfordzkiej szeroki rozgłos, był ksiądz Boryński. Sądząc z rozmów, które w Bradford od czegokolwiek by się nie zaczęły, kończą się zawsze na księdzu Boryńskim, musiała to być postać rzeczywiście niezwykła. Duszpasterz i społecznik, człowiek dynamiczny i wszechstronny, gotów w każdej chwili zarówno do wygłoszenia referatu jak kopania piłki nożnej, ks. Boryński nadał polskiemu życiu w Bradford niespotykaną przedtem intensywność. Jego niespełna rok trwający pobyt był swego rodzaju „złotym wiekiem” miejscowej Polonii. Tajemnicze, niewytłumaczone do dziś zniknięcie księdza w r. 1954 stało się tym większym wydarzeniem. Zaczyna on już być postacią legendarną, a co do natury zajścia i tożsamości sprawców krzyżuje się w Bradford tysiące przypuszczeń. Ludzie na ogół wierzą, że ciało księdza dotychczas leży w okolicy miasta, w jednej z licznych, starych, opuszczonych kopalń.

Pięć lat z górą minęło od zagadkowego zniknięcia ks. Boryńskiego, ale konsekwencje są nadal widoczne. Wydaje się, że

na tym tle powstał swego rodzaju zbiorowy kompleks. Tu zapewne, drogą reakcji wtórnych, leżą źródła gorliwej pobożności parafian i, z drugiej strony, podejrzliwości tutejszych Polaków. Nowy proboszcz, ks. Chowaniec, stanął przed zadaniem specjalnie trudnym. Rozpoczęły się wkrótce swary pomiędzy parafią i SPK. Życie społeczne powoli się rozprzęgało.

Na tym tle doszło do rozłamu w Radzie Organizacji Społecznych. Wbrew nazwie, Rada obejmowała także stronnictwa polityczne, co było stale otwartym źródłem konfliktu. Bezpośrednim powodem rozłamu stała się sprawa przyjęcia parafii do Rady, ale chodziło i o to, że stronnictwa, w Radzie reprezentowane, chciały przy okazji wprowadzić jeszcze i paru swoich ludzi. Wystąpiło z Rady SPK, najpotężniejsza z miejscowych organizacji. Rozpoczęła się długa podjazdowa wojna, w czasie której na SPK spadały gromy z ambony, a kombatancki odpowiadali księdzu umyślnymi, brzydkimi nieraz nietaktami. Kulminacyjnym i jednocześnie zwrotnym punktem stał się obchód dziesięciolecia SPK (28-31.VIII, 1958). Gen. Anders, świadek ostatniego, ostrego starcia, podjął się mediacji pomiędzy ks. Chowańcem i mjr. Czechowiczem, prezesem Koła SPK. Po dłuższej, szczerzej rozmowie, proboszcz i prezes postanowili w interesie społecznym opuścić wojenne ścieżki i współpracować ze sobą w sprawach, dotyczących całej miejscowej Polonii. Powiedzieć trzeba, że pogrzebanie całej masy wzajemnych pretensji musiało ich drogo kosztować, i wydaje im obu jak najlepsze świadectwo.

Pewne uregulowanie stosunków pomiędzy parafią a SPK nastąpiło zresztą już nieco wcześniej, kiedy dwie rywalizujące ze sobą szkoły sobotnie połączyły się w jedną, która pod kierownictwem p. Janiny Wysockiej rzeczywiście świetnie funkcjonuje. Szkoła w Bradford, jedna z nielicznych pod tym względem na terenie całej W. Brytanii, wydała w 1958 r. kilka świadectw małej matury, jako rezultat kursów gimnazjalnych. Obecnie uczy się w Szkole ok. 330 dzieci. Nauka odbywa się w dwóch domach: szkoła powszechna zajmuje stary dom SPK (Dom SPK mieści się obecnie w dużym, nowonabytym budynku, z imponująco obszernym, pełnym zieleni dziedzińcem); klasy gimnazjalne korzystają z Domu im. Św. Stanisława Kostki, utrzymywanego przez Klub Przyjaciół Dzieci i Młodzieży. Na czele Komitetu szkolnego stoi ksiądz, sprawami gospodarczymi szkoły zajmuje się SPK.

Szkoła była do niedawna najbardziej rzucającą się w oczy i chyba największą inicjatywą społeczną Polonii bradfordzkiej. Zgoda na tym odcinku utorowała drogę do zgody ogólnej.

Następnym krokiem było pogrzebanie starego już trupa Rady Organizacji Społecznych i stworzenie na jej miejsce Międzyorganizacyjnego Komitetu Koordynacyjnego, do którego weszły chyba wszystkie organizacje społeczne, łącznie z parafią. Nie wchodzi natomiast do Komitetu partie polityczne. Komitet przyjął statut zasugerowany przez Zjednoczenie Polskie w Londynie i uznany został za członka Zjednoczenia.

Od tych spraw organizacyjnych oderwało uwagę Polaków bradfordzkich radosne wydarzenie: Bradford stał się drugim (po Manchesterze) ośrodkiem polskim na prowincji, posiadającym własny kościół. Z tym że w Bradford kościół nie został kupiony, a wdzierżawiony na 21 lat, z prawem przedłużania dzierżawy na następny tak samo długi okres. Opłata za dzierżawę jest jedynie symboliczna — £ 20 rocznie. Na własność nabyty został natomiast stojący obok kościoła dom parafialny. Przejęcie kościoła przez parafię polską odbyło się bardzo uroczyście, z dużym udziałem Polonii miejscowej i przyjezdnych z okolicznych ośrodków (grudzień 1959).

Poza nawiasem zgody pozostanie chyba inicjatywa wprowadzie prywatna, ale nie bez społecznych ambicji: klub „Europa”.

„Europa” jest własnością p. Berki, członka Stronnictwa Narodowego, tęgiego mężczyzny po czterdziestce, poruszającego się z nieoczekiwaną, jak na swoją tuszę, szybkością. Klub p. Berki otwarty jest dla wszystkich narodowości. Obok Polaków członkami i bywalcami klubu są Węgrzy, Włosi, Jugosławianie, Anglicy i inni. Przy klubie istnieje nosząca tę samą nazwę drużyna piłki nożnej, złożona głównie z Węgrów i Polaków; korzysta też z lokalu grupa namiętnych brydżystów. Właściwa działalność „Europy” to oczywiście taneczne week-endowe wieczory, urozmaicane czasami „kabaretem”¹.

Przychodzi się tu wtedy by wypić parę głębszych i poszczytać europejskie dziewczoje (małżeństwa międzyeuropejskie stanowią w Bradford duży procent) W ładnej, dużej sali wielkie, kolorowe balony giną w oparach tytoniowego dymu. Międzynarodowy hałas utrudnia rozmowę. Z tematów ogólnych zauważamy, że modne tu jest psioczenie na SPK.

1. Nawiasem warto dodać, że parę lat temu istniał w Bradford swego rodzaju zespół literacki, zwany „Litart” i „Południca”. Zespół ten skupiał się wokół osoby Franciszka Kmiotowicza, który wydał bardzo dziwną, pisaną narzeczem powieść pt. „Czarownica” (nakładem opola literackiego „Południca”, 1951) i jeszcze dziwniejszy poemat pt. „Wieża Babel — Saga naszych czasów”, „w czterech blokach, kilku kondygnacjach” (wyd. Południcy, Bradford, 1953). Autor obecnie jest w Kanadzie.

Na dziedzińcu Domu SPK tymczasem rośnie, zasadzony przez gen. Andersa, podczas obchodu dziesięciolecia Koła, pamiątkowy dąb.

Napis pod dębem głosi:

POLACY KOMBATANCI, walczący o Wolną Polskę
— zbrojnie w czasie drugiej wojny światowej,
— czynną postawą w czasie pokoju,
uczčili w dniu Święta Żołnierza R.P. 1958 —
10-lecie swego istnienia i działania w tym mieście.

Rochdale

Rochdale to niewielkie miasto położone prawie na przedmieściach Manchesteru. Centrum miasta odznacza się kilkoma ładnymi budowlami, stylizowanymi z lekka na zamki, z lekka na baraki. Kiedy pada deszcz, szarość nieba i szpakowaty jakby odcień światła harmonizują dobrze z szarym kamieniem budynków.

Przyjechaliśmy tam po południu i przez pewien czas nie mogliśmy znaleźć ulicy, na której mieszka prezes SPK. Ulice w tej dzielnicy były jakoś opustoszałe, rzadcy przechodnie nie umieli nam nic poradzić, tak że w końcu postanowiliśmy wykozystać otwarte drzwi jednego z domów aby zapytać o drogę.

W małym ogródku przed domem stał wózek z dzieckiem, śpiącym pod różową kołderką. Otworzyliśmy więc jak najciszej furtkę, i skierowaliśmy się do drzwi. Wyjrzała z nich blada twarz młodej kobiety, niemile zdziwionej naszym najściem.

Kobieta okazała się Polką. Mąż jej pracuje o kilkadziesiąt mil od Rochdale i przyjeżdża tylko na weekendy. Ona na razie nie pracuje, stołuje lokatorów; nie jest im lekko. Rozmowa zeszła na kłopoty życiowe, później na przeszłość. Na temat Polaków w Rochdale młoda kobieta nie chciała się wypowiadać. Wołała mówić o Ukraińcach, o tym jak są dobrze zorganizowani, że mają parafię, szkółkę, że żyją zgodnie. Stosunki między nimi a Polakami są tu poprawne ale raczej chłodne.

Pokazała nam jak iść i za chwilę pukaliśmy do drzwi domu p. Brodowskiego, prezesa Koła SPK, który drzwi otworzył nam w podkoszulku, bo przyszedł właśnie z pracy i zasiadał do kolacji. Szybko włożył marynarkę i zaprosił nas do stołu. Pani

Brodowska dostawiła talerze; zjawił się także na kolację młody człowiek, lokator.

Opowieść p. Brodowskiego streścić można jednym zdaniem: społeczność polskiej w Rochdale, a szczególnie SPK, krzywdą się dzieje ze strony parafii i księdza proboszcza. Krzywdą tym boleśniejsza, że tak on sam, jak i członkowie Koła, pomagali do niedawna parafii we wszystkim, dokładali do szkółki sobotniej, dali nawet pewną sumę na dom, który początkowo miał być kupiony przez całą społeczność w Rochdale, ale później zdecydowano, że będzie domem parafialnym. Nawet i na to SPK było gotowe pójść i ofiarowywało poważną sumę (ok. £ 200) na pokrycie kosztów domu, pod jednym tylko warunkiem, że zostanie zrobiona pisemna umowa, w której Stowarzyszeniu będzie przyznane prawo używania domu. Pieniądze ksiądz gotów był wziąć, ale umowy pisać nie chciał, co najwyżej mówił, że wystawi kwit.

Dom został kupiony przez parafię i księdza. Zapisano go na własność Polskiej Misji Katolickiej (która pomogła finansowo), ale nie wszyscy w Rochdale w to wierzą. Na jakimś zebraniu wołano, aby ksiądz pokazał papiery, że dom jest Misji, a nie jego

Tak daleko idąca podejrzliwość spowodowała, że ksiądz poczuł się dotknięty do żywego i odmówił wykonania tej, prostej zdawałoby się, formalności. W ogóle z opowiadań wynikało, że nawet z własnymi zwolennikami miał ksiądz duże trudności: podobno rozleciały się dwa komitety, podobno zebrania parafian były bardzo burzliwe i rozchodziły się z trzaskiem.

Ale w każdym razie dom jest. Stosunek do tego faktu p. Brodowskiego był co najmniej ambiwalentny. Z jednej strony szczegółowo rozpatrywał wszystkie trudności, z jakimi ksiądz będzie musiał walczyć, żeby obiekt utrzymać. A więc remonty, brak dużej sali na imprezy, brak sceny, konieczność spłacania pożyczek. Z drugiej strony opowiadał z dumą o tym, co już w domu zrobiono.

Bo przecież każdy wie, że dom to wielka rzecz, to atut i prestiżowy i społeczny i finansowy.

„Polacy są religijni. Przy księdzu jest szkołka i kościół. Podatków więc nie będzie płacił. Taki dom to zawsze pójdzie”.

W międzyczasie zjawił się z jakimś interesem niepozornie wyglądający mężczyzna, Polak. Początkowo nie wtrącał się do naszej rozmowy. A p. Brodowski przeszedł na temat miłszy jego sercu, chociaż również łączący się z tą sprawą i pasją — domu. Mówił o dorobku Koła w Rochdale. O młodzieżowym zespole tańców ludowych, który wprowadzał w życie tyle ruchu.

O przyjeżdżających zespołach aktorów z Londynu, z których paru zawsze nocowało u niego, a on im niczego nie szczędził, zawsze było picie. Kosztowało go to każdorazowo „cyferkę”, ale to była przyjemność.

Później młodzież w zespole pożeniła się i wyfrunęła w świat. Zresztą, od początku można było przypuszczać, że tak będzie: musieli się pożenić, a kto się żeni, gdzie mu tam przez pierwszych parę lat w głowie praca społeczna. Aktorzy też przestali przyjeżdżać. Zresztą — teraz już by nie mogli, bo dom parafialny nie ma sceny. I tu wróciliśmy do początku wszystkiego złego i dobrego — domu.

Wtrącił się wtedy do rozmowy milczący dotychczas przybysz.

„Panowie chcecie wiedzieć jaki to ksiądz? Ja proszę panów ożeniony jestem z Angielką. Ślub wziąłem w angielskim kościele. Przyjechalśmy do Rochdale. Nie wiedziałem, że tu są Polacy i nie szukałem ich. Kiedyś zachodzę do sklepu. Sprzedawca mówi trochę jak Anglik z Kołomyi — zgadaliśmy się, żeśmy obaj Polacy. Od niego dowiedziałem się, że w Rochdale jest dużo Polaków, że jest ksiądz i jakiś klub. Myślę sobie, pójdę do klubu, pogadam trochę z rodakami. Poszedłem. Jak się dowiedzieli, że ja nowy, zaraz mnie ktoś ciągnie, żebym poszedł do księdza proboszcza. Poszedłem. Ksiądz się pyta: — Polak? — Polak. — Żonaty? — Żonaty. — Z kim? — Z Angielką. — A w jakim kościele? — W anglikańskim. — Wiecie panowie, co mi ksiądz powiedział? Powiedział mi: — Panu nie wolno tutaj przychodzić. Pan nie jesteś Polakiem. Panu do kościoła nie wolno chodzić.

„Wróciłem do domu zły, jak cholera. Żona pyta — *What's wrong?* Nie chciałem powiedzieć. Po tygodniu powiedziałem. Żona się obraziła. Ja zrażony, Angielka zrażona. A może nawet wzięłaby ślub w kościele katolickim, może przeszłaby na katolicyzm? Dużo jest Polaków żonatych z Angielkami. Jak idzie któraś żona Angielka, to ksiądz oczy odwraca. Zamiast przyciągać takich jak ja, on im daje *a kick in the back*”.

Czy historia ta powstała dla uspokojenia sumienia, czy była autentyczna, czy przesadzona — trudno powiedzieć. Ale nawet jeśli w tym wypadku była przesadzona (a o przesadę przecież bardzo łatwo), historie takie na pewno się zdarzają, zbyt często opowiadano nam rzeczy bardzo podobne.

Zanim wyszliśmy zjawił się u p. Brodowskiego jeszcze jeden rodak, miejscowy, elegancki, prezes miejscowego Koła Stronnictwa Narodowego, w kapeluszu, z czarnym parasolem

przewieszonym przez rękę, na wzór bankowych urzędników angielskich. Ponieważ spieszyliśmy się, odprowadził nas do autobusu, a po drodze poinformował, że Koło S.N. jest najstarszą organizacją w Rochdale, i jedyną organizacją polityczną. Liczy 22 członków. Ono zaczynało tutaj pracę polityczną i społeczną, a kiedy przyszło SPK i inne organizacje, członkowie S.N. weszli do nich, zachowując jednak własną odrębność. Polega ona na tym, że zbierają się od czasu do czasu na dyskusje we własnym gronie, prenumerują i czytują „Myśl Polską”.

Krocząc z parasolem przez ramię, p. Horendalski powiedział nam również, że właśnie kupił dom, a na przystanku autobusowym podzielił się z nami poglądem na emigracyjną młodzież, która, jego zdaniem, myśli płytko. I tak pożegnaliśmy się.

Szybkobieżny autobus wiozł nas do Manchesteru na nocleg. Rozmawialiśmy o naszych wrażeniach, gdy z tyłu ktoś zaczął nas poszturchiwać. Polak, robotnik, wraca z żoną, Angielką z wizyty u jej rodziców. Rozmowa potoczyła się gładko, i szybko byliśmy spoufaleri, tą poufałością którą powoduje spotkanie się w podróży ludzi przed chwilą zupełnie nieznanymi, ale tej samej narodowości. Przez cały czas naszej rozmowy żona milczała, a jej mąż nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wreszcie, gdy przez grzeczność zapytaliśmy, czy rozumie choć parę słów po polsku, mąż pogardliwie odpowiedział za nią, że ani w ząb. i nie tylko że nie umie mówić po polsku, ale ani gotować ani gospodarstwa w domu poprowadzić, ani dzieci wychować, których on pilnuje, żeby mówiły językiem ojca.

I tak przez resztę podróży wysłuchiwaliliśmy jego zwierzeń o tej kobiecie, siedzącej tuż przy nas.

„Ależ to przecież pana żona” — zachnął się wreszcie któryś z nas.

„Żona to ona i jest, ale my tak między sobą to możemy mówić. Angielka”.

Kiedyś (nie w Rochdale zresztą), byliśmy w domu u pewnych państwa, gdzie wśród paru innych gości był Polak ze swoją kochanką, Angielką. Opowiadał całemu towarzystwu o tym jak ona go utrzymuje, jak dba o niego, jak nawet dała mu pieniądze na paczki dla żony do kraju. Ci-że żeby się z nią ożenił, uczy się po polsku. Ale on o żeniaczkę nie myśli.

„Co ty mówisz?” — zapytała Angielka.

„Że jesteś głupia” — odparł zadowolony z siebie Polak. Angielka zrozumiała. Stały jej łzy w oczach.

◆

Następnego dnia odbywało się właśnie w Rochdale zakończenie roku szkolnego szkoły sobotniej. Pojechaliśmy, aby poznać księdza.

Uroczystość nie odbywała się w domu parafialnym (który po drodze obejrzelśmy — stary budynek, w tudorowskim stylu, o charakterystycznej szachownicy czarno-białej na frontonie), ale w wynajętej sali St. John's Ambulance. Opisaliliśmy już jedną taką imprezę w Galashiels. W Rochdale cała impreza różniła się może tylko tym, że była lepiej zorganizowana, a dzieci były o wiele lepiej przygotowane, dzięki dobrym siłom nauczycielskim, a szczególnie dzięki dojeżdżającej z Manchesteru pani Serwako. Niektóre inscenizacje wykonane przez dzieci były świetne. Publiczności bardzo się podobało o komarze, co to z dębu spadł i złamał sobie w krzyżu gnat. Dzieciom-aktorom bardziej natomiast przypadła do gustu inscenizacja znanej piosenki „Na marchewki urodziny”: przebrane w kostiumy różnych jarzyn: kalarep, marchwi, pietruszki, kartofli, bawiły się doskonale. Potem były deklamacje, patriotyczne także. Jakaś dziewczynka deklamowała „życiowy” i dowcipny wierszyk o sroce co poczuła się Angielką, ale „piórkiem nie przemalujesz”. Jakiś chłopczyk wymawiając „Polska” i „Wawel”, rozwodził się rymami nad pięknosciami krakowskiego grodu, dobitnie na zakończenia wiersza deklarując, że niechybnie „wróci do Krakowa”. W przerwie zaś banda chłopaków wyleciała z za kulis, poderwana do akcji okrzykiem urwipółcia o nastroszonej czuprynie, wymachującego drewnianym pistoletem: „Come on, boys!”.

Przyglądamy się rozbawionym rodzicom. Widać, jak ponosi ich duma, że ich milusińscy tak sobie na scenie występują, deklamują, śpiewają i tańczą. Nawet Angielki są dumne ze swoich dzieci. A cóż dopiero gdy później sprawozdawca lokalny dokładnie wymieni całą smarkaterię w „Dzienniku Polskim” po imieniu i nazwisku, dodając tu i ówdzie ciepłe słówko pochwały i zachwytu. Ale jakie konkretne rezultaty będzie miał ogromny wysiłek włożony w to wszystko, kiedy przed młodymi chłopcami i dziewczętami stanie sprawa ich przynależności — czy chociażby, kiedy przed ich rodzinami stanie problem przygotowania dziecka do *eleven-plus*? Co z tego wszystkiego zostanie? Na razie jest dla dzieci zabawa — i dla rodziców.

Całością imprezy kieruje p. Jakubczyk, przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego, inwalida. Podchodzimy, aby z nim porozmawiać. Na dźwięk słowa „dziennikarze” p. Jakubczyk podrywa się w sobie. Nie mamy mu tego za złe. Jak się okazuje

z rozmowy, większość czasu wolnego od pracy poświęca szkole sobotniej. „Wszystko samemu trzeba robić. A nie jest się zdrowym. Przeszedłem trzy operacje”. A więc nic dziwnego, że za swoje trudy i on chce jakiejś rekompensaty, chociażby notatki w piśmie. Jako były wojskowy, wychowany w Polsce przedwojennej, ciężko kapitał wartości ulokował w tym jednym, krótkim słówku: „Pol-ska”. I chce, by wiadano, że i on coś dla niej, tutaj... wtedy, kiedy tylu rodaków, tyle rodziców zabija się, po prostu zabija się i dla czego? — dla telewizji, lodówek, aut. „Oni zabijają się dla telewizji, ale gubią dzieci” — mówi i słychać w tym echo słów, wypowiedzianych może z ambony przez księdza proboszcza, ks. Polaka.

W kłapie ciemnej marynarki inwalidy dostrzegamy wstążeczkę Virtuti Militari. Zapytany, p. Jakubczyk woła: „O tym to panowie musicie napisać. Ten krzyż to ja dostałem — pośmiertnie! — za 39-ty. Myśleli, że zginąłem. A i ja nic o tym nie wiedziałem, choć byłem w wojsku, we Francji się biłem. Dopiero w r. 1957 spotkałem przypadkowo gen. Podhorskiego, i trzebaż było widzieć zdziwienie Generała, że ja żywy jestem. I wtedy dopiero dowiedziałem się, że mnie Virtuti przyznano. No to i było uroczyste wręczenie”.

Na scenę wchodzi ksiądz. Otoczony dziećmi, dziękuje wszystkim uczestnikom i organizatorom, po polsku i po angielsku. Mówi impulsywnie, *staccato*, twarz ma bladą, wymęczoną, ruchy kanciaste, szybkie, nerwowe. Podchodzimy do niego po uroczystości, zaprasza do siebie. Naprzód jednak siadamy przy stołach aby się posilić: rodzicom i dzieciom należy się coś do przegryzienia, niektórzy jechali z daleka. Liczymy obecnych — kilkadziesiąt osób, prawie 50 dzieci.

Jedziemy następnie do księdza eleganckim autem jednego z parafian. Z nami jedzie, oprócz księdza pani Serwatko, której całkiem szczerze gratulujemy wyników. Ale p. Serwatko nie chce już dłużej uczyć w Rochdale — czuje się przepracowana, do jazdy zabierają jej tyle czasu. Poza tym wewnętrzne konflikty tego środowiska wybitnie utrudniają pracę, atmosfera wiecznie pełna jest krótkich spięć, trudno w niej wytrzymać nerwowo.

Ks. Polak jest w średnim wieku — wyświęcony został dopiero kilka lat temu. Sadza nas na pokrzywionych fotelach i krzeselkach w swojej kancelarii — nieuporządkowanej, obdrapannej. Częstoje winem. Przy mankietach ciemnej marynarki brak guzików, spodnie dawno straciły kanty. Rozmawiamy o kłopotach parafialnych. Ksiądz zdecydowany jest nie ustąpić. Docho-

dziło przecież do tego, że pisano na niego listy do biskupa angielskiego. Wobec kłótni politycznych emigracji jest bardzo krytyczny — widać, że wiele spraw go nurtuje. Swoją osobistą walkę o parafię widzi prawdopodobnie na jakimś ogólniejszym tle. Niechętnie jednak o tym mówi, nie operuje nazwiskami, chwilami tylko wybucha jakimś ostrzejszym zdaniem ogólnym. „Ja wygram — mówi — musi być jakaś głowa”.

Leicester

Leicester — to serce Midlandu. Miasto przemysłowe, ale równocześnie posiadające całe dzielnice zatopione w soczystej zieleni. Osiedliło się tu około 2.000 Polaków, częściowo z pobliskich hosteli. Są dwa kluby: SPK i Klub „Polonia”, prowadzony przez Stowarzyszenie b. Więźniów Sowieckich. Naturalnie, rywalizują ze sobą.

Podczas naszego pobytu dowiadujemy się, że na tutejszym uniwersytecie podobno jakiś student angielski opracował socjologiczne studium o trudnościach asymilacyjnych Polaków w W. Brytanii. Niestety, nie udało nam się ani do tego studenta ani do jego pracy dotrzeć.

Kolację jemy u starszych państwa prowadzących coś w rodzaju *boarding-house*'u. Zażywna pani cieszy się z naszego przyjazdu, ma ciężki problem, który chciałaby przedyskutować: czy lepiej jest wziąć na lokatorów studentów czy studentki? A może wziąć żołnierzy? Kolacja upływa nam na roztrząsaniu wad i zalet poszczególnych alternatyw.

Następnie pan domu przynosi futerał, z których wyjmuje skrzypce. Narzeka, że nie są najlepszej marki, i że myśli o kupnie lepszych. Prosimy starszego pana, żeby nam coś zagrał. Broni się, że jeszcze za wcześnie. Uczy się gry na skrzypcach dopiero od niespełna roku. I chociaż nauczyciel twierdzi, że zrobił już duże postępy (zręczność jego dłoni oglądamy na przykładach wyrobów z drzewa), to jednak wzbrania się jeszcze. Ale tak za rok, to kto wie..

Patrzymy na niego uważnie. Ma lat 69. Na lekcje gry zaczął chodzić niespełna rok temu...

Czasem szkoda, że reportaży nie można pisać piórem Gombrowicza.

Podjeżdżamy autem do Klubu SPK. Dom mały, wewnątrz trochę szare. Zachodzimy do stołówki napić się piwa. W jadalni prawie pusto. Przy stoliku pod ścianą dwóch starszych panów je kolację. W kącie samotny mężczyzna, o młodej choć wyniszczonej twarzy, blade odbijającej od jasno-granatowego garnituru, pali papierosa. Próbujemy nawiązać rozmowę. Dwaj panowie mruczą niechętnie, i milkną zupełnie, kiedy mówimy o celu naszej wizyty. Rozwiązują się natomiast usta samotnego mężczyzny.

We wszystkich naszych podróżach nie spotkaliśmy nikogo bardziej krytycznie nastawionego do Polaków. Był to istny polakożerca, aż furczało kiedy z poczuciem jakiejś ogromnej krzywdy mówił o generałach, politykach, prasie, przezesach, starych i młodych, o wszystkich. Ci mu nie dali stypendium, tamci nie drukują jego listów do redakcji; kobiety uważa za zarozumiałe, mężczyźni zbabiali, wszyscy — istni wariaci. Cytował i cytował litanie przykładów.

Do stołówki weszło parę innych osób. Zaczęliśmy rozmawiać z nimi, ale co pewien czas dolatywały nas z kąta złośliwe inwektywy.

„On zawsze tak” — uspokoili nas bywalcy klubu.

Na sali było już około ośmiu — dziesięciu osób. Przy stolikach rozmawiano raczej spokojnie, bez ożywienia. Zjawił się kierownik domu, piastujący uprzednio tę funkcję w Edynburgu. Rozmowa potoczyła się na temat miejscowych organizacji (m in.: działa tu Koło Młodych „Pogoń”), problemów, z których najpoważniejszym jest brak dużej sali. Na większe imprezy trzeba wynajmować sale od samorządu miasta lub prywatnych instytucji. Kosztuje to Polonię w Leicester do £ 600 rocznie.

Gdy tak rozmawiamy, naraz na schodach wybucha wrzawa, i do stołówki wpada hurmem gromada dziewcząt i młodzieńców. Kierownik domu przedstawia nas pannom, mówiąc z dumą: „To Orkan”. Ach, „Orkan” — najlepsza żeńska drużyna siatkówki wśród całej Polonii Brytyjskiej. Dalszą część wieczoru spędzamy wesoło. Panny pełne są werwy i nie stronią od dyskusji. Jedna spośród nich jest z Polski: w Anglii zostanie na stałe. Na tle reszty drużyny robi wrażenie niezwykle spokojnej i trochę smutnej.

Na drugi dzień rano jedziemy odwiedzić księdza Murata, miejscowego proboszcza. Ksiądz Murat mieszka w ładnym domu, przy którym jest i garaż. Otwiera nam drzwi człowiek średniego wzrostu, mocno zbudowany, o grubych rysach twarzy, ale dobrotliwych i inteligentnych oczach. Spokojnym, szerokim ruchem zaprasza nas do wnętrza. Rozmawiamy najpierw w kan-

celarii, później w saloniku, którego oszklone drzwi wychodzą na przepiękny ogród róż, pielęgnowany przez księdza.

Na stole leży „Tygodnik Powszechny” i inne czasopisma katolickie. Zza szkła półek wyglądają grzbiety książek.

Z każdym zdaniem toczącej się rozmowy nabieramy do księdza coraz większej sympatii. Okazuje się, że nie my jedni. Przy nas telefonuje parę osób z prośbą o radę. Jakiś Polak z okolicy chce, aby ksiądz mu polecił kogoś na towarzysza podróży własnym autem do Polski. Podobno kiedyś zjawił się nawet jakiś prosty człowiek o poradę w sprawie rozwodu. Ksiądz się śmieje — nie jest to w zwyczaju, aby katolicy księża doradzali najlepsze przeprowadzenie sprawy rozwodowej. Niemniej, widocznie ksiądz wzbudzał pełne zaufanie. Że doradził trochę inaczej, niż się petent spodziewał... to już inna historia.

Ksiądz Murat nie ma ambicji społecznikowskich. Wydaje się raczej rozumować, że otwieranie domu parafialnego ma sens tam, gdzie nie ma żadnego innego polskiego lokalu. Za istotniejsze uważa życie religijne parafian. Stąd w Leicester nie ma konfliktu między parafią a organizacjami społecznymi.

Mieszkając na uboczu, uprawiając swój ogród róż, malując, ksiądz Murat ma nie tylko opinię niezaangażowanej, a tym samym bezstronnej instancji, ale i rzeczywistą niezależność. Pozwala mu to na czynienie różnych obserwacji, i wygląda, że rola taka całkowicie mu odpowiada, a obserwowanie ze specjalnym naciskiem na charakterystyczne cechy polskości, nawet go pasjonuje. Zapala się do tego tematu, opowiada o swoich spostrzeżeniach, analizuje przyczyny, porównuje z tubylcami.



Nasz następny wyjazd do Leicester odbyliśmy w związku ze Świętem Pieśni Polskiej, organizowanym regularnie przez Związek Chórów Polskich w W. Brytanii, którego prezesem jest dr Leon Surzyński, piastujący równocześnie prezesurę Związku Lekarzy. Oprócz Związku Chórów, współorganizatorami uroczystości w Leicester było Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych i Koło Młodych „Pogoń”.

Uroczystość odbywała się w niedzielę. Wyjechaliśmy z Londynu raniutko autobusem, który wiozł część jednego z polskich chórów: na przodzie autobusu zasiadł dr Surzyński, siwowłosy, postawny. Usiedliśmy bliżej nielicznej grupki młodszych chórzystów.

W uroczystości, według polsko-angielskiego programu, brały udział następujące chóry polskie: trzy chóry Zrzeszenia Chórów

Polskich „Londyn”, a mianowicie: Chór Akademicki (dyrygent H. Hosowicz), Chór Polski im. F. Chopina (b. Chór Wojska Polskiego — dyrygent Z. Gedl), i Chór im. K. Szymanowskiego (dyr. H. Hosowicz). Ze Zrzeszenia Chórów Polskich Południowo-Zachodniej Anglii: Chór P.K.K. „Echo” z Birmingham (dyr. B. Płonka), Chór Polski z Bristol (dyr. Cz. Dzikowska), Chór „Halka” z Leicester (dyr. J. Wroński), Polski Chór Kościelny z Derby (dyr. M. Smolny). Ze Zrzeszenia Chórów Polskich Północnej Anglii: Polski Chór „Arion” z Sheffield (dyr. E. Bęben), Chór „Bard” z Oldham (dyr. L. Ogórek), Polski Chór „Harfa” z Leeds (dyr. S. Nowakowski), Chór im. St. Kostki z Blackburn (dyr. R. Łukaszczyk), Chór S.P.K. im. St. Moniuszki z Manchester (dyr. B. Opeldus) i P.K.K.S. „Varsovia” z Huddersfield (dyr. E. Bęben). W zjeździe nie wzięły udziału chóry ze Szkocji i Walii.

Ponadto jako soliści występowali: Krystyna Granowska, primadonna Opery Carl Rosa, i Marian Nowakowski, wówczas jeszcze bas Królewskiej Opery Covent Garden, występujący często z pieśniami polskimi w BBC, stały artystyczny dodatek wielu polskich uroczystości. Akompaniowali na fortepianie: Jerzy Kropiwnicki, popularny w Londynie, szczególnie w „Ognisku” i młoda Angielka z Leicester, Miss Shirley Roberts, przyjazna Polakom. Przy organach zasiadł lokalny ich mistrz, V. Thomas. Dyrygować miało tylko 5 dyrygentów, w tym dwóch z Londynu: p. Hosowicz, brunet z wąsikiem o czarującym uśmiechu, lubujący się w stylu kwiecisto-zaklinającym, ekwilibrysta, i p. Gedl, skromniejszy trochę niepozorny, w technice dyrygowania raczej suchy, ale wcale nie rezygnujący z efektów mocy i pianissimo.

W ogóle, polscy dyrygenci chórów: gdybyż byli przynajmniej śpiewakami-solistami, wtedy byłoby wiadomo, że to nie chórom, ale im należą się te wszystkie oklaski, odmierzane zresztą z chronometrem na pochybel rywalowi. No ale cóż poradzić, w warunkach gdzie o każdy występ trzeba było walczyć, bo świątek polski w Londynie na trzy „wielkie” chóry jest trochę za mały... Zresztą, czyż można zapomnieć o warunkach pracy, o troskach, jak chór utrzymać, jak znaleźć głosy świeże, młode, jak zebrać wszystkich na próby... To ciężka harówka.

Koncert miał się zacząć o 4.30 po południu. Przedtem jednak musiała odbyć się próba. Chóry miały śpiewać nie tylko każdy z osobna, ale i w różnych kombinacjach: połączone męskie, połączone żeńskie, połączone mieszane — kilka permutacji. Nie śpiewały zaś ze sobą co najmniej od ostatniego roku i ostatniego Święta Pieśni. Na scenę, w ogromnej sali — De Montford Hall,

wynajmowanej często przez Polaków w Leicester — weszło więc trzynastacie chórów, około 350 osób, w tym 60 kobiet. Kobiety ubrane różnie, ale mężczyźni jak jeden mąż w ciemnych garniturach, w białych koszulach, poważni, uroczyści. Przewaga twarzy wiejskich, duża przewaga łysin.

Impreza rozpoczęła się z małym opóźnieniem. Czekając, obserwowaliśmy przygotowania 5 kibiców ustawiających magnetofony przed estradą: to na pamiątkę i konsumpcję po powrocie do siebie.

Odśpiewano hymny polski i angielski. Na estradę wszedł dr Leon Surzyński, swego czasu wybitny działacz chórów w Poznańskim. Zaczął od tego, że nasz postój brytyjski zbyt się przedłuża, ale że walka o wolną Polskę trwa, i coraz bardziej jest to walka o pełną świadomość narodową wśród młodzieży. „Dajcie rodzice dzieciom pieśń polską, jak w Poznańskim przed 1914!” — mówił. Następnie ogłosił listę darów, odczytał depesze i życzenia, z których najgorętszym przyjęciem publiczności spotkały się życzenia z kraju, od chóru „Harfa”. Wreszcie zwrócił się po angielsku do Brytyjczyków, „naszych aliantów”, z którymi *Polish soldier side by side* i poinformował wszystkich, że z okazji 100-cia „Halki” Moniuszki, i zwyczajem zjazdów śpiewaczych w Polsce, pierwsza pieśń — „Przylecieli sokołowie” Moniuszki — odśpiewana zostanie wspólnie przez chóry i słuchaczy.

O samym koncercie można by różnie pisać. Można by podnieść ilość wysiłku włożonego w całą imprezę, zupełnie znośną organizację, można by obliczyć ilość chórogodzin, odbytych przez każdego członka prób, ilość wyłożonych z własnej kieszeni pieniędzy na przejazdy, itp..., których lista byłaby długa. Z takiego punktu widzenia zjazd i koncert trzeba by uznać za wy czyn prawie heroiczny.

Różnie więc można by o tym koncercie myśleć, gdyby... gdyby publiczność przyszła go wysłuchać. Ale co któryś chór zaczynał śpiewać, na sali zaczynały się jakieś specyficzne kontrakcje hałasowe, w których najpierw dała się odróżnić faza pokąśływania, później poprawiania się na krzesłach, później szelest papierków i chrupanie orzeszków, co uciszyły jedynie występy solistów, nagrodzone bukietami kwiatów wręczonymi przez dzieci ubrane w stroje krakowskie. Wtedy to dało się dosłyszeć słowa, m.in. ów wspaniały dwuwiersz z Floriana Szarego, śpiewany przez Mariana Nowakowskiego:

„Kopia była w pierś mu wbita
I wydarte miał jelita”.

Cóż kiedy po oklaskach dla Krystyny Granowskiej kontrakcja sali rozpoczęła się znowu. Uciszyła go ponownie śpiewaczka, wracając raz jeszcze zza kulis nie dla bisu, ale by oświadczyć, że „Niestety, ja muszę zrobić *announcement...*” z którego wynikało, że w czasie przerwy odbędzie się zbiórka do puszek z okazji Miesiąca Inwalidy (koncert odbywał się 31 sierpnia).

Po tym *announcement* chóry zaczęły śpiewać znowu, ale szkoda było ich trudu: Jacys energiczniejsi inwalidzi, bojąc się może, że na przerwie publiczność będzie się raczej cisnęła do bufetu, puścili w ruch puszki zbiórkowe. A ponieważ część chórów zaczęła schodzić z estrady, część publiczności także poszła za ich przykładem, i zaczęła opuszczać swoje miejsca, wyszukując znajomych. Dzieci wykorzystaly odprężenie, aby sobie pobiegać.

Po przerwie publiczność była już trochę spokojniejsza, zmęczona i znudzona. Koncert ciągnął się jak guma do żucia i zakończył o 7.30 wieczorem, odśpiewaniem przez połączone chóry męskie „Sztandarów Polskich na Kremlu”.

Liverpool — Birkenhead

Liverpool i Birkenhead to bliźniacze miasta, rozdzielone tylko szerokim ujściem rzeki Mersey. Liverpool zapisał się wybitnie w historii emigracji polskiej na tej wyspie. Tutaj, w r. 1942 powstała Polska Szkoła Architektury przy miejscowym uniwersytecie, wypuszczając w okresie swego czteroletniego istnienia 49 inżynierów architektów. Liczba nieduża, ale jakość — pierwszorzędna. Polska Szkoła Architektury zdobyła sobie najwyższe uznanie wśród brytyjczyków¹. Od tego czasu datuje się wielki prestiż jakim cieszą się architekci polscy w W. Brytanii, którym powierza się nieraz ogromne zadania przebudowy całych dzielnic, i których prace wielokrotnie były nagradzane.

Dzisiaj w Liverpoolu mieszka około 200 Polaków i o Szkole Architektury mało kto pamięta.

W Liverpoolu idziemy najpierw do ks. Walczaka, który jest obecnie proboszczem polskiej parafii. Z radością wykorzystujemy okazję, żeby odetchnąć trochę od problemów społeczno-politycznych, i porozmawiać o rzeczach bardziej nieprzemijających. Ks. Walczak jest erudytą, ale wbrew przyjętym przekonaniom o erudytach, posiada umysł żywy, otwarty i szybki dowcip. Gdziekolwiek natykaliśmy się na byłych wychowanków gimnazjum polskiego w Bottisham, wszędzie wspominali oni księdza z sympatią; w gimnazjum lekcje religii prowadzone przez ks. Walczaka cieszyły się sławą nadzwyczajnych.

Ksiądz nie może ofiarować nam noclegu, sam mieszka w jednym pokoju, ale prowadzi nas do lekarza polskiego, który

1. Przeniesiona w r. 1946 do Londynu, kontynuowała swoje krótkie ale świetne tradycje, do roku 1954, kiedy nastąpiło zamknięcie. W tym drugim okresie uzyskała dyplomy 198 osób, a tytuł inż. architekta — 61 osób.

naprzeciw ma dom. Nocujemy w pokoiku obok gabinetu lekarskiego. Opiekę nad nami doktor powierza swoim lokatorom mieszkającym o piętro wyżej.

Poznajemy najpierw młodą kobietę, wysoką, o smagłej urodzie, matkę trojga dzieci. Najstarsza córeczka natychmiast wyciąga ze schowka polskie książki i demonstruje nam co potrafi. Najmłodsze dziecko śpi w wózku. Natomiast trzyletnia smarkata nabiera do nas naglej sympatii, i mimo nieśmiałości, ulega naleganiom matki, która wyraźnie jest z niej strasznie dumna, przynosi sobie stołeczek i stając na nim jak na estradzie, zaczyna koncertowo śpiewać — po angielsku i trochę po polsku. Matka kraśnieje z radości. Najstarsza córka już uczy się grać na fortepianie, ale ten brzdąc zapowiada się o wiele lepiej: będą ją uczyć nie tylko gry ale i śpiewu.

Zjawia się następnie ojciec tych trojga, młody, wysoki, przystojny Ślązak. Pracuje przy obróbce wielkich głazów na odbudowę katedry. Kiedy siadamy do stołu, wiemy już że mamy do czynienia z niedoszłym rzeźbiarzem. Zaczął strugać i wystukiwać w kamieniu jeszcze jako mały chłopak, próbował również gliny. Po przyjeździe do Anglii z Niemiec znajomi zachęcili go, żeby poszedł na studia. Zrobił pierwszy rok rzeźby na college'u — pokazuje nam swoje rysunki, fotografie rzeźb w glinie, wydobyte gdzieś ze strychu. Ale poznał w międzyczasie swoją obecną żonę, ożenił się, przyszło dziecko, i zdecydował studia rzucić. Wziął pracę przy rzeźbieniu nagrobków i różnych figurek. Przyszło jednak drugie dziecko, a później trzecie, co spowodowało, że musiał porzucić i tę, przynajmniej trochę oryginalną, pracę i teraz po prostu oszlifowuje ogromne kamienie. Gliny nie miał w rękach już bardzo dawno.

Nie łatwo jest się w takich wypadkach powstrzymać od wyrażenia żalu, chociaż robimy to delikatnie, aby nie urazić żony. Ona jednak przemysłała to już dokładnie, i widać, że wołałaby sprawy nie poruszać. Ale ponieważ już to się stało mówi, że przyszły dzieci na świat, trzeba się dla nich poświęcić. Jest to punkt widzenia wielu żon i matek. A kiedy mąż zaczyna w pewnej chwili oddawać się marzeniom, że może rzeczywiście mógłby wrócić przynajmniej do rysowania — nauczyciele zawsze chwalili jego rysunki, żona przypomina mu, co trzeba jeszcze do domu dokupić, że najstarszej trzeba może będzie dać korepetycje, a utalentowanego brzdąca zacząć posyłać na prywatne lekcje, a później trzeba będzie wybrać jakąś bardzo dobrą szkołę. Nie, z tych rzeźb czy rysunków na pewno nic już nie będzie. W projekcie jest również kupno domu.

Kiedy mąż wychodzi na chwilę, młoda kobieta jakby usprawiedliwia się przed samą sobą: „Ja lubię dzieci. Zawsze chciałam mieć kilkoro”. Bierze na ręce niemowlę, śmieje się do niego, huśta, obciera nosek i usta, smarkatej daje klapsa, najstarszą zagania do pianina — króluje.

Wychodzimy, urzeczeni siłą kobiecości, potęgą natury.

Na drugi dzień rano jedziemy promem przez Mersey do Birkenhead, obejrzeć fabryczkę p. Karpińskiego, o której nam mówiono.

Na Birkenhead spadło kiedyś sporo bomb niemieckich. Fabryczka p. Karpińskiego znajduje się niedaleko Mersey, w dzielnicy wciąż jeszcze wyszczerbionej po nalotach.

Wchodzimy do ładnie i nowocześnie urządzonego biura. Sekretarka zawiadamia wewnętrznym telefonem o naszym przybyciu. Zostajemy poproszeni na górę.

Wita nas mężczyzna w średnim wieku, silnie zbudowany, trochę tęgi, o wyraźnych rysach twarzy i dobrych ale bystrych oczach. Rozglądamy się po pokoju: na ścianach wiszą zdjęcia samolotów, m.in. oprawne w ramkę zdjęcie Komety IV. „To nasza duma” — mówi p. Karpiński. Dlaczego — wyjaśni się za chwilę.

Zwiedzamy fabryczkę. Jest to długa hala, w której stoi kilkadziesiąt maszyn. Obrabiarki, szlifierki, grawerki, frezerki, heblarki, tokarnie, wiertarki — piękne maszyny, o szlachetnych nazwach.

P. Karpiński prowadzi nas jednak do osobnego, oszklonego pomieszczenia, gdzie stoi wspaniała, wysoka wiertarka, największa — jak twierdzi — w północnej Anglii, kosztująca tylko £ 17.000 z groszami. Zaraz obok znajduje się tzw. *inspection room*, gdzie na stole leżą precyzyjnie obrobione, półkoliste, okrągłe, romboidalne, płaskie, większe i mniejsze, *komponenty* — części. Niektóre z nich właśnie do Komety IV. Firma p. Karpińskiego, jest, jak się okazuje, tzw. *sub-contractorem* de Havillanda, czołowej firmy samolotowej w W. Brytanii.

Każda część samolotu ma swoją metrykę, każda robota przy każdej części musi być sprawdzona. Temperatura w *inspection room* musi być taka sama jak w pomieszczeniu, gdzie stoi wiertarka.

P. Karpiński zatrudnia 67 pracowników, w tym większość wykwalifikowanych. Z 17 Polaków, 5-ciu to pracownicy wysokiej klasy. Główny majster — Polak, pracował przed wojną w Pol-

skich Zakładach Lotniczych na Okęciu. Jeden Czech jeszcze parę lat temu w zakładach Skody.

Najwyższe zarobki tygodniowe sięgają tu £ 35. Między pracodawcą a pracownikami stosunki są bardzo przyjazne, p. Karpiński dba o nich, a zresztą wiadomo, że o takiego robotnika nie łatwo. W fabryczce, przy pracy, przestrzegane są wszelkie względy ostrożności: np. przy maszynach umieszczone są lusterka, tak aby pracujący widział gdy ktoś zbliża się do niego z tyłu.

Oprócz tej fabryczki, noszącej nazwę K.W.K.Ltd., p. Karpiński ma jeszcze drugą oddaloną o parę minut drogi autem. Zabiera nas tam swoim wozem. Ta druga fabryczka nosi nazwę M. & G. Birkenhead Ltd., od imion dzieci p. Karpińskiego: Mary and George. Głównym inżynierem jest tu Anglik, uprzedni pracownik I.C.I. Właśnie stoi zamyślony nad jakąś tajemniczą maszyną. Już od progu p. Karpiński woła: „A to jest nasz *top secret!*” Pewna fabryka konstruowała przez 18 miesięcy maszynę do pakowania cukierków i nie mogła sobie z nią poradzic. Tutaj zrobiono taką maszynę w 3 tygodnie. Ma jeszcze parę wad, ale na pewno uda się ją ulepszyć. P. Karpiński rozmawia ze swoim głównym inżynierem całkiem fachowo, okazuje się, że on też jest inżynierem-mechanikiem.

Jedziemy następnie do domu p. Karpińskiego, gdzie poznamy jego żonę, Angielkę, mówiącą trochę po polsku, i paroletniego syna, który po polsku nie mówi. Zanim siadamy do obiadu, gospodarz prezentuje nam wcale pokaźną kolekcję szlachetnych trunków. Popijamy i wypytujemy o dzieje p. Karpińskiego.

Właściciel dwóch fabryczek ukończył w Polsce gimnazjum mechaniczne. Następnie przez zamiłowanie do ciekawego życia pracował w pewnym specjalnym wydziale. Podczas wojny przebywał najpierw w Pirenejach, jako oficer tzw. *Special Force* miał za zadanie w razie wejścia Hiszpanii do wojny, wysadzić linie kolejowe łączące ten kraj z Francją. Jak wiadomo, Hiszpania do wojny nie weszła i p. Karpińskiego odwołano do Londynu, gdzie przeszedł kurs radiooperatorów, znowu ze specjalnym zastosowaniem na Francję i Podziemie. Po wojnie został oficerem uzbrojenia jednostek dywizyjnych Sztabu Naczelnego Wodza w Szkocji.

Po powrocie do Londynu znalazł pracę w firmie jako kierownik techniczny. Mówi, że nauczył się tam jak się nie powinno pracować. Zarabiał niewiele i szybko przerzucił się do handlu. Handlował różnymi rzeczami z demobilu, i zrobiwszy trochę pieniędzy, kupił prasę do metali, sam własnoręcznie wykonał drugą, i zaczął robić zabawki — łopatkę dla dzieci, itp.

Następnie, z trzema jeszcze współnikami, założył spółkę skupu skrzyń poamunicyjnych. Spółka wkrótce się rozpadła i p. Karpiński chwycił się reperacji samochodów w Birkenhead. Kupił plac, na którym obecnie stoi hala fabryczki, za £ 450. Od reperacji przeszedł na handel samochodami. Za każdy zarobiony pieniądź kupował maszyny.

Pierwsze zamówienia otrzymał na pasy i okładziny do hamulców. Pracował nad tym sam przy warsztacie. Następnie robił przyrządy do piecyków gazowych. Trzecie zamówienie okazało się najszczęśliwsze: opiewało tylko na sumę £ 176, ale było od de Havillanda. Dalej poszło już łatwiej — aż do zamówienia na ćwierć miliona funtów sterlingów różnych samolotowych części, m.in. właśnie do Komety IV.

Obecnie p. Karpiński planuje rozbudowę. Kupił już nowy plac; chce powiększyć fabrykę 12-krotnie i zatrudniać 500 osób. Przewiduje, że osiągnie to w przeciągu 2 lat, o ile nie nastąpi zła koniunktura. Myśli również o otworzeniu filii w Kanadzie.

Przy obiedzie, sutym, ugotowanym po polsku, obfitującym w wina, rozmawiamy o życiu polskim w Liverpoolu. Wbrew temu, co najczęściej się zdarza w takich wypadkach, p. Karpiński od życia tego nie stronił. Był przez trzy lata prezesem Koła SPK, przez rok kierownikiem Klubu „Orla Białego”. Teraz jednak zamierza się wycofać zupełnie, częściowo ze względów zdrowotnych i przeciążenia pracą, częściowo z uwagi na „rozbijacką robotę”, którą ktoś w tym ośrodku prowadzi.

W ogromnym salonie w domu państwa Karpińskich — gdzie odbywają się zabawy i *coctail parties* dla pracowników firmy, i dyrektorów różnych innych, większych firm, z których wielu p. Karpiński zna osobiście — leży poukładana w stosy odzież, piętrzą się sterty obuwia. To pani Karpińska zajmuje się wysyłką paczek do Polski.

Jedziemy jeszcze raz do biura, gdzie p. Karpiński chce nam pokazać książki rachunkowe firmy — byliśmy naturalnie ciekawi, jak w cyfrach wyglądał rozrost i jaki jest roczny obrót. Najpierw jednak otwierają się przed nami drzwiczki jeszcze jednego kredensu z wódkami i likierami, przemyślnie skrytego w ścianie. Pijemy we trójkę jakieś specjalnie dobre brandy, później jakiś likier. Przy okazji dowiadujemy się, że rocznie na tzw. „reprezentację”, a więc przyjęcia dla dyrektorów, podpisywanie kontraktów, itp., p. Karpiński wydaje około £ 6.000.

Kiedy wreszcie p. Karpiński otwiera książki rachunkowe — cyfry skaczą nam przed oczyma i dziś już nie przysięgniemy, czy obrót za ostatni rok sięgnął ćwierć miliona, czy mniej, czy więcej.

Zajęliśmy p. Karpińskiemu prawie cały dzień, toteż na pożegnanie dowiadujemy się, że poświęcił nam tyle swego czasu tylko dlatego, że jeden z nas jest jego krajanem i pochodzi z Wołynia. Inaczej nie mógłby tego zrobić.

Odwozi nas jeszcze swym autem do stacji kolejki podziemnej, która tu kursuje pod Mersey, i z głośnym i szerokim śmiechem mówi, że przejazd promem mógłby być dla nas niebezpieczny.

Sheffield

Któż w Polsce nie zna, a w każdym razie któż nie znał przed wojną sheffieldzkiej stali? Teraz w niektórych fabrykach własnie wyrobów stalowych ciężko pracują i dobrze zarabiają Polacy, których tu jest ponad 1.200. Kilka fabryczek jest nawet w rękach polskich, a także co najmniej cztery garaże i ponad 200 domów.

Polskie życie w Sheffield organizowane było głównie przez dwa ośrodki: Klub YMKI mieszczący się we własnym domu (sprzedanym później) i SPK, również posiadające dom. Trzecim zorganizowanym elementem, poczynającym sobie bardzo energicznie, był Krąg starszoharcerski „Chrobry”. Kiedy odwiedziliśmy Sheffield (wrzesień, 1958 r.) YMKA walczyła już z dużymi trudnościami, a działacze Kręgu z nostalgią wspominali swoje wyczyny i udane imprezy sprzed paru lat. Trudności YMKI zrodziły się głównie na tle ucieczki Polaków z dzielnicy, gdzie znajduje się jej lokal. Kiedy Polacy byli biedniejsi, osiedlali się w gorszych i tańszych dzielnicach, teraz przenoszą się do droższych i lepszych.

Trudności Kręgu „Chrobry” mają podłoże bardziej skomplikowane. Czesław Kardasiński, ówczesny kierownik Kręgu i Czesław Zychowicz, winę za rozprężenie się działalności składali przede wszystkim na dwie rzeczy: wewnętrzne walki wśród emigracyjnej „góry”, także i harcerek, co odbijało się np. w próbach skaptowania różnych ośrodków harcerek dla jednego z politycznych obozów, lub opanowania przez ludzi partyjnych; i na ogólną apatię wśród młodszego pokolenia.

Skąd wzięła się ta apatia? Obok różnych przyczyn, może najważniejszą jest naturalny proces usuwania się z nadmiernej emigracyjnej aktywności na rzecz zorganizowania sobie własnego

życia, szczególnie po założeniu rodziny. Jak naturalna jest ta chęć, zobaczyć można na przykładzie wyjątków jak np. p. Zychowicz. Jest to człowiek lat trzydziestu kilku, żywy jak rzeź. Mówi szybko, zapala się, pasjonuje go aktywność. Jest na prowincji jednym z ruchliwszych działaczy NIDu, działa w Kręgu starszoharcerskim i SPK, pracuje, a w chwilach wolnych od tego wszystkiego prowadzi we własnym domu sklepik z książkami i różnymi artykułami, które mają popyt wśród Polaków (m.in. na wysyłkę do kraju). Ma również dobrze zaopatrzoną własną bibliotekę, lubi czytać i dyskutować, ciągle ma jakieś nowe pomysły. Dla jego żony, działaczki harcerskiej jeszcze z Indii, aktywność męża rysuje się w trochę innych proporcjach: prowadząc dom, zajmując się dzieckiem, przyjmując bez przerwy gości-interesantów, wie jedno: że męża nigdy nie ma w domu. Nic więc dziwnego, że często się zastanawia, czy cały ten wir aktywności ma sens. Co prawda, i ona wciągnęła się w węć od dawna, stąd łatwiej jest się jej pogodzić. Ale na dalszą metę?

Czesław Kardasiński jest przynajmniej człowiekiem samotnym, kawalerem; mieszka przy rodzinie. Jest zresztą w ogóle przeciwnieństwem p. Zychowicza. Wysoki jak tyka — podczas gdy Zychowicz jest niski i krępy — bardzo spokojny, flegmatyczny, rozważny, przypomina typowego Anglika — naprawdę zaś pochodzi z najrdzenniejszej polskiej rodziny chłopskiej. Cechuje go poza tym głód wiedzy i chęć dołożenia swojej cegiełki do ogólnego wysiłku społecznego emigracji. Oprócz tej ostatniej wspólnej płaszczyzny, obaj mają jeszcze jedną cechę wspólną: chęć reformowania. Dla nich emigracja jest rzeczywiście czymś więcej niż tylko stanem przebywania poza ojczystym krajem. Wierzą w jej celowość, jej misję. I dlatego chcieliby ją naprawiać, aby była lepszym instrumentem do działania. Gotowi są także na eksperymenty.

Nasz przyjazd do Sheffield był okazją do takiego eksperymentu. Krąg starszoharcerski urządzał tu często zjazdy młodzieży, organizował uroczystości i dyskusje. Napotykając jednak na wznrastającą apatię, i rozprzegając się wewnętrznie, spróbował akcji nieco nieortodoksyjnej. Zwołując zjazd młodzieży, zaprosił jako prelegentów na żywy dziennik, trzech członków redakcji kontrowersyjnych „Konturów” i „Merkurysza”.

Zjazd młodzieży okazał się niewypałem: podczas żywego dziennika na sali było około 30 osób, w tym młodych — 16. Organizatorzy byli tym bardzo zgnębieni. Ale sama dyskusja była bardzo udana. Ludzie, którzy na nią przyszli, z wyjątkiem paru najmłodszych, okazywali wyraźną potrzebę wypowiedzenia się; na temat różnic między młodzieżą krajową a emigracyjną,

na temat przyjmowania czy nie przyjmowania obywatelstwa angielskiego, i na temat stosunku do kraju. Poziom wypowiedzi nie był równy, ale ich świeżość kontrastowała dodatnio z podobnymi imprezami urządzanymi często w Londynie. Z pełnym pasji przemówieniem wystąpił Zychowicz. Jeden z nielicznych przyjezdnych, wyraźnie wykształcony już w Anglii, gros winy za rozbicie emigracji zwałił na Anglików, którym jego zdaniem na rozbiciu takim jak najbardziej zależy, i którzy świadomie robią wszystko aby nas wynarodowić, chociaż jest to robione delikatnie. Ktoś inny nie zgodził się z tym, mówiąc, że nawet gdyby polskie klótnie szły Anglikom na rękę, to i tak nie musiliby się wysilać, gdyż klócić potrafimy się bez niczyjej pomocy. Wreszcie były głosy starszych broniące emigracji.

Po dyskusji udaliśmy się na zabawę młodzieży, urządzaną w jednej z angielskich sal. Przy dźwiękach polskiej orkiestry tańczyła jakaś setka młodzieży. Kilku studentów z pobliskich miast uniwersyteckich wraz z resztą młodzieży robotniczej bawiło się z werwą i z ogniem tańczyło rock and roll'a. Rozmowy były ożywione, przeważnie po polsku, czasem pół po polsku, pół po angielsku. Zgnębieni małą frekwencją na żywym dzienniku, organizatorzy oddychali z ulgą. Przynajmniej zabawa się udała.

Swindon

Swindon jest ośrodkiem rozrastającym się. Likwidacja okolicznych hosteli spowodowała napływ nowych ludzi do miasta. Obecnie Swindon liczy już pewnie ponad 1.500 Polaków.

Pojechaliśmy tam w charakterze obserwatorów na zjazd działaczy Polskiej Akcji Katolickiej w W. Brytanii, zwołany przez Instytut tej Akcji, urzędujący w Londynie w postaci jednego płatnego Dyrektora, p. Onyszkiewicza, działacza katolickiego jeszcze z kraju. Kiedyś Akcja Katolicka i jej Instytut, to były organizacje żywotne; wydawnictwa rozchodziły się całkiem znośnie, prowadzono akcję oświatową, samopomocy i pogłębienia życia religijnego. Zjazdy urządzone przez IPAK i kursy przodowników mają na celu ożywienie tej działalności, szczególnie, że w ostatnich latach napływ funduszy bardzo zmalał.

Spóźniliśmy się niestety na otwarcie konferencji, a była i o nas mowa. Po przemówieniu Prezesa Zarządu Akcji, p. Balińskiego-Jundziłła, odczytane zostały depesze i listy nadesłane na konferencję. W jednym z listów z życzeniami (od pewnego księdza zajmującego wysokie stanowisko w Polskiej Misji Katolickiej na prowincji) napiętnowani zostali autorzy reportażu, drukowanego swego czasu w „Kulturze”, którzy zacytowali opinię pewnego działacza społecznego krytycznie oceniającą duszpastery polskich w W. Brytanii.

Wchodząc na salę, natknęliśmy się w progu na p. Gasia, przedstawiciela i współpracownika „Narodowca”. Stał on z plikiem egzemplarzy tego pisma. Dostaliśmy numer okazowy, w którym na pierwszej stronie była notatka o odbywającym się właśnie zjeździe. Ponieważ „Dziennik Polski” wówczas żadnej

notatki o zjeździe nie zamieścił, wygrana w tym wypadku była po stronie „Narodowca”.

Nie będziemy opisywali całego zjazdu. Większa jego część składała się ze sprawozdań delegatów, których była zresztą mała liczba. Najdumniej i najszumniej wypadło sprawozdanie przedstawiciela Koła Katolickiego z Birmingham, który opisał rozwój Koła i jego plany na przyszłość, szczegółowo przedstawił również stronę finansową działalności, jak prowadzenie sklepiku z delikatesami w Domu Katolickim, dochody sklepiku na kółkach i baru. Powołał się przy tym na artykuł w „Gazecie Niedzielnej” polemizujący z tymi, którzy krytycznie oceniali prowadzenie baru przez organizacje parafialne.

O działalności lokalnego Koła Akcji Katolickiej mówił P. Martynowicz. Ze sprawozdania wynikało, że liczy ono 50 osób, które pracują na wewnątrz i na zewnątrz. Praca na wewnątrz polega na zebraniach, na które przychodzi przeciętnie po 20 osób, gdzie po odmówieniu modlitwy, rozmowie o aktualiach, odczytywany bywa rozdział z „Naśladowania Chrystusa”. Następnie dalej pogadanka lub odczytanie artykułu z któregoś z pism katolickich. Akcja na zewnątrz polega na wprowadzaniu w życie przykazania o miłości bliźniego, ma charakter charytatywny jak odwiedzanie chorych w szpitalach itp. (w pobliżu, w szpitalu angielskim jest kilkudziesięciu Polaków umysłowo-chorych). Część akcji zewnętrznej polega na pomaganiu w imprezach parafialnych, zbiórce na Dom Parafialny itp.

W Swindon duży procent Polonii stanowią ludzie młodszego i średniego pokolenia. Istnieje też przy Akcji Katolickiej Koło Młodych. W chwili powstania liczyło 60 członków, obecnie, po trzech latach działalności, liczy faktycznie około 30. Jest zespół teatralny i zespół tańców ludowych. Zebrania Koła Młodych odbywają się dwa razy w miesiącu, czasami tylko raz. Organizowane są wieczory towarzyskie.

Delegat mówił następnie o trudnościach z jakimi boryka się Koło. Szczególnie młodzież wykazuje minimalne zainteresowanie pracą społeczną, chociaż wykorzystuje okazję do rozrywki.

Sala z pewnym poruszeniem przyjęła szczegół, podany przez delegata jednego z rodzinnych osiedli przy Long Marston, że w osiedlu tym na 8 dzieci, 7 spowiada się już w języku angielskim. Padły różne głosy, podnoszące trudności na jakie napotyka praca parafii, łączące z przeszkodami stawianymi przez katolików angielskich. Jeden mówca, ubolewając nad pędem do przyjmowania obywatelstwa angielskiego, zwrócił uwagę, że Polak i katolik, to jedno, a życie angielskie jest życiem pogańskim.

Wynikał z tego wniosek, że kto przyjmuje obywatelstwo może być szybko dla katolicyzmu stracony. Obrona przed wynarodowieniem sprzegła się tu nierozzerwalnie z kwestią zachowania wiary katolickiej.

W swoim referacie o działalności, celach i metodach pracy Akcji Katolickiej, p. Onyszkiewicz wystąpił m in. z delikatną krytyką zbytniego koncentrowania się parafii na zdobywaniu środków materialnych, co może prowadzić do pomieszenia celów ze środkami.

Ta delikatna krytyka spotkała się z repliką delegata z Birmingham, który nie mógł zrozumieć dlaczego katolicy mieliby się pozbawiać środków materialnych. „My świeccy jesteśmy i katolikami i Polakami, my musimy także robić robotę społeczną”.

W dalszej dyskusji zabrał głos jeden z księży, który zarysował następujące wytyczne dla pracy w ośrodkach polskich: 1) musi być plebania, 2) ksiądz musi mieć wehikuł, 3) następnie trzeba pomyśleć o szkole i na tej bazie planować kupno kościoła. Jeżeli jest wojna parafii z księdzem, wina leży po stronie parafian. Wszyscy którzy chcą się kłócić winni być wyrzuceni za drzwi. Raz wreszcie trzeba skończyć z katolickim lenistwem. Zrezygnuj, kto zerwał z kościołem, musi się z księdzem kłócić. Trzeba oczyścić bałagan. Apostołów było 12, a wyrócili Imperium Rzymskie. „Jeżeli w ten sposób podchodzić będziemy do naszej pracy, to wówczas pogodzimy kielbasę z sałwą parafialną i łaską Bożą”.

Na zakończenie przemawiał również ksiądz infułat Michałski.

Z innych opinii wypowiedzianych na zjeździe warto zanotować opinię działacza oświatowego, który przyczyn kurczenia się życia społecznego szukał w fakcie, że gros inteligencji polskiej opuściło ośrodki prowincjonalne, przenosząc się do Londynu, i to wbrew nakazowi wypowiedzianemu kiedyś przez gen. Andersa aby oficerowie osiedlali się we wszelkich małych ośrodkach i obejmowali przywództwo. „Niech by inteligencja ruszyła z Londynu na Prowincję”.

Zjazd zakończył się wysłaniem depeszy do Papieża, apelem o więcej powołań na księży i przyjęciem opracowanych rezolucji.



Wieczorem pojechaliśmy na przedstawienie miejscowego teatru amatorskiego. Szła jakaś sztuczka emigracyjna z odpowiednim morałem. Aktorzy jak na zupełnych amatorów grali nienajgorzej; największe zachwyty zbierała młoda dziewczyna,

która przyjechała niedawno z kraju. Zasiadzieli w Anglii Polacy łatwo ulegają czarowi dziewcząt przyjeżdżających z kraju. Publiczność była poza tym na ogół przychylna, chociaż śmiechy odzywały się często właśnie w momentach najtragiczniejszych, cecha, którą już dawno zaobserwowali aktorzy objazdowych teatrów (obecnie już nie istniejących). Sala była prawie pełna. Z tyłu sali, stojąc, przyglądała się sztuce cała družyna harcerzy — w furazerkach, szortach, z chustami na szyi.

Slough

Do Slough kolejką z Paddington (jednej z londyńskich stacji) dojeżdża się w pół godziny; podróż autobusem trwa ponad trzy kwadranse. Zanim sobie człowiek uświadomi, że wyjechał z Londynu, czas wysiadać.

Samo Slough też nie pozwala zapomnieć, że Londyn jest niedaleko. Na głównej ulicy, High Street, prawie wszystkie większe sklepy są filiami firm londyńskich. W kinach idą filmy, które przed tygodniem opuściły południowy Londyn.

Slough to jedno z miast planowo rozbudowywanych po to, by przerzucić tu część przemysłu przeludnionego Londynu. Nowe i nowocześnie urządzone fabryki, stosunkowo dobre warunki pracy, przyciągają Polaków. Pierwsza ich fala osiedliła się po likwidacji PKPR. Druga, o wiele większa, po likwidacji kilku okolicznych hosteli, zabierając ze sobą często hostelowe organizacje i ich majątek. Na przykład Great Bower Wood przeniósł się praktycznie w całości, z własnym księdzem i Kołem Macierzy Szkolnej. Przeniosło się także trochę hostelowych animozji, ale te powoli zanikały. Trzecia faza rozrostu trwa do dziś w formie stałego choć powolnego napływu pojedynczych osób i rodzin, zwabionych łatwością uzyskania dobrych warunków pracy. Szacunki miejscowe obliczają liczbę Polaków na 1.500 do 3.000.

W Slough, podobnie jak w Londynie w Brompton Oratory, odbywa się co niedzielę msza polska o godzinie pierwszej po południu. Celowaliśmy więc na godzinę drugą, by spotkać ludzi pod kościołem. Spóźniliśmy się parę minut. Idąc High Street zastanawialiśmy się kogo by spytać o SPK. Sądząc, że mamy już węż wyostrzony, i kierując się nim wyłącznie, wprost dla sportu, postanowiliśmy wytypować spośród przechodniów jakiegoś działacza społecznego. Chodnikiem wśród

strumienia sarmackich postaci kroczył szybko i zadzierzyście Polak rozmiarów pana Wołodyjowskiego. Przychwyciliśmy go za połę płaszcza i zapytaliśmy o SPK. Zapytał kogo tam szukamy. Odpowiedzieliśmy, że — powiedzmy — prezesa. Na to Polak przedstawił się: „Jestem Potocki, prezes SPK”.

Poszliśmy z nim na kawę do włoskiej kawiarenki. P. Potocki jest rodem z Pomorza; ukształtowało go Stronnictwo Narodowe, 3 Dywizja Strzelców Karpackich, a następnie praca społeczno-polityczna w hostelu w Great Bower Wood. Teraz działa na terenie Slough, uważając że pewna świeżość tego skupiska czyni z niego wdzięczny teren dla eksperymentów. Zdradza nam jeden ze swych pomysłów: jeżeli np. środowisko polskie wykazuje apatię, należy na pewien czas przerwać urządzenie imprez, aby ludzi pobudzić. Po pewnym czasie na każdej imprezie będzie pełno. Uważa także, że „Dziennik Polski” powinien drukować więcej lekkich i krótkich artykułów, i to właśnie z życia różnych polskich środowisk. Na przykład, ktoś z Slough ukrywający się pod pseudonimem XY, pisuje do „Dziennika” krótkie notatki o życiu Polaków tutaj. Wywołują one zainteresowanie, a ponieważ czasami wytykają jakieś wady lub są złośliwe, nawet poruszenie. Ktoś kiedyś odgrażał się, że gdyby poznał autora tych notatek, porachowałby mu kości. Ktokolwiek jest tym autorem, p. Potocki jest gotów wziąć go w obronę. Ludzi trzeba ciągle pobudzać.

Oprócz prezesowania i członkostwa Stronnictwa Narodowego, p. Potocki prowadzi referat Samopomocy SPK. Udziela porad prawnych przy zakładaniu przedsiębiorstw, uzyskiwaniu licencji, pomaga w typowaniu i kupnie domów, tłumaczeniach. O ile sam nie potrafi poradzić, posyła do SPK do Londynu.

Od p. Potockiego dowiedzieliśmy się, że istnieje w Slough Klub Polski, ale nie jest prowadzony przez SPK. Dał nam adres członka Zarządu Klubu p. Maślony i działacza Macierzy Szkolnej, mającej tu w szkółce do 90 dzieci, — p. Szwejkowskiego. Odnaleźliśmy ulicę, wzdłuż której w jednym rzędzie stało z tuzin oddzielnych, nowiutkich domków, każdy z własnym ogródkiem, kilka z garażami. Żółciutka cegła wyglądała jakby dopiero co położona, w oknach wydymały się nieskazitelnie białe firanki. Są to tzw. *Council Houses*, domy wybudowane przez samorząd miejski i wynajmowane przede wszystkim rodzinom z dziećmi za bardzo niską opłatą. Jak się dowiedzieliśmy, 7 czy 8 z nich wynajęto tutaj Polakom.

P. Szwejkowskiego nie zastaliśmy — wyjechał z całą rodziną nad morze własnym autem. Natomiast zastaliśmy p. Maślone, dwudziestoparoletniego studenta telekomunikacji na Re-

gent Street Polytechnic w Londynie. Po zdaniu matury w gimnazjum polskim w Bottisham, otrzymał on jak wielu wychowanków tej szkoły stypendium od *Ministry of Education*. Mimo że musi dojeżdżać do Londynu na wykłady, zamieszkał w Slough przy swojej zamężnej siostrze — bardziej mu się to opłaca, niż mieszkanie w Londynie. On zaprowadził nas do Klubu.

Po drodze minęliśmy nowowypbudowane centrum rekreacyjne dla robotników kilku wielkich fabryk. Położone przy parku, nowoczesne w stylu, kusilo do środka. Zarząd Klubu robił starania o uzyskanie tu dla siebie lokalu, ale na razie mu się nie udało. Natomiast Klub i tak korzysta z pomocy Magistratu, mieszcząc się w jednym z jego domów. Zajmuje pięć pokoi: w jednym mieści się bar, nowoczesnie i bardzo ładnie urządzone, w innym biblioteka, w trzecim telewizor, skupiający zawsze grupkę ludzi.

Początek Klubu sięga 1952 roku. Zebrało się wtedy grono członków SPK i uradzili, by wystąpić do Zarządu Głównego z prośbą o fundusze na lokal. Okazało się, że będą musieli długo czekać. Zawiązał się wówczas Tymczasowy Komitet Kupna Domu, który opracował statut niezależnego klubu, oparty o wzory angielskie. Statut przesłany został do zatwierdzenia przez *County Council* (z grubsza — odpowiednik samorządu wojewódzkiego). Następnie Magistrat przydzielił Klubowi jeden pokój, a później całe, pięciopokojowe piętro, zajmowane obecnie. Otrzymanie lokalu spowodowało wzrost członków Klubu z 160 osób na ponad 300. Zebrane pieniądze, z przeznaczeniem na kupno domu, musiały być jednak wydane na urządzenie lokalu. Kupno domu odwlekło się nieco, ale dochody z baru w Klubie stanowią gwarancję zarobienia w szybkim czasie (kwestia paru lat) wystarczającej sumy.

Przy Klubie istnieje Koło Młodych, które ma swoją sekcję taneczną, zespół tańców ludowych „Narocz” — mogący się pochwalić pięknymi trofeami i nagrodą na międzynarodowym konkursie tańców ludowych. Wystawione były również dwukrotnie jasełka. Kiedy rozmawiamy z p. Sorawskim, jego kierownikiem, przez klub przewijają się młode pary. Zespół ma akurat próbę w sali wypożyczanej na ten cel przez Magistrat, w tym samym domu. Widać, że Magistrat idzie tutaj Polakom na rękę.

Nowi przybysze do Slough, osiedlający się w ciągle rozbudowywanej części fabrycznej miasta, wydają się elementem dynamicznym. Natomiast na drugim krańcu miasta, z dala od fabrycznej dzielnicy, atmosfera jest inna.

Zajechaliśmy tam do robotniczego hostelu Rochford, gdzie

mieszka 30 Polaków. W ubogo wyglądającej, pustej, typowo angielskiej jadalni hostelu, jedyną polską nutą są słoiki z cwiłką i chrzanem, poustawiane na drewnianych stołach. Rochford to 38 akrów cieplarni, gdzie pod szkłem, w dusznym, wilgotnym cieple, dojrzewają pomidory i ogórki.

W cieplarniach, za 3 sh. 8 d. za godzinę, pracują Polacy. Mówił nam jeden, że ostatnio był w Londynie przed czterema laty. Mówi inny, że przez pięć lat pracy w hostelu był, owszem, parę razy w Londynie, ale po co ma jeździć, jeśli nie ma tam znajomych. Kiedyś wieczory spędzali na grze w karty, obecnie przed telewizorem, za który właściciel potrąca im jakąś sumę z poborów. Z forszą w ogóle nie jest zbyt dobrze, bo każdy przecież pomaga rodzinie w kraju. Mieszkają więc wśród setek szklanych domków, chodzą od ogórków do pomidorów, od pomidorów do ogórków, od ogórków do telewizora, od telewizora do pomidorów...

Na przestrzeni jednego, niedużego miasta, kontrast jest ogromny. Takie kontrasty są jednak typowe dla polskiego życia na emigracji.

Miasta typu Slough, powstając sztucznie i trochę odgórnie, a nie przez rozrost od wewnątrz, cechuje dosyć niski stopień więzi społecznej i poczucia wspólnoty. Jest to problem o którym dużo się mówi i pisze w Anglii. Za młode, aby mieć własną tradycję, i mimo dynamizmu — jakby anonimowe. Wydaje się, że podobny brak osobowości zbiorowej cechuje również grupę polską. Więzy hostelowe nie wytrzymują próby nowego życia, szczególnie przy dalszym stałym napływie. Bliskość Londynu stanowi dla wielu atrakcję silniejszą niż lokalne życie. Za wcześnie jest jeszcze powiedzieć, czy wokół niezależnego Klubu skonsoliduje się życie ośrodka, tym bardziej że na razie Klub nie ma właściwie zainteresowań społecznych (poza płacaniem na szkołę sobotnią £25 rocznie). Społecznie, Slough jest wciąż na dorobku. Te czynniki, jak i mała ilość obciążeń z pierwszej fazy emigracyjnego życia, czyni ze Slough ośrodek wart obserwowania. Przegrupowywanie się, jakie wciąż — choć nie na wielką skalę — następuje wśród Polaków na Wyspie brytyjskiej, skłania do ostrożności w formułowaniu wniosków co do ostatecznych form społecznych Polonii Brytyjskiej. Trudno jest dziś jeszcze powiedzieć, czy skupisko polskie w Slough zadowolony się jedynie klubem towarzysko-rozrywkowym, czy też spróbuje odnowić i zaktywizować którąś z instytucji, przeniesionych z hosteli. A może raczej z biegiem czasu właśnie Klub zacznie przejmować różne sektory działalności społecznej, stając się centrum całego skupiska?

FAWLEY COURT

Do zakładu w Fawley Court wybraliśmy się specjalnie w Zielone Święta, w dzień dorocznego festynu. Zmienna, typowo angielska pogoda, była zapewne głównym powodem słabszej niż zwykle frekwencji. Dwa lata temu zjechało się tu około 5.000 Polaków; tym razem ilość zebranych nie przekroczyła 2.000. Sądząc jednak po ilości lśniących, nowych limuzyn, ustawionych szeregami na pobliskiej łące, przyjechała zamożna część Polonii. Ojcowie zapewne prosili Boga by ich ofiarność dorównywała zewnętrznym oznakom dobrobytu. Nie ma bowiem co ukrywać, że głównym celem festynu jest zebranie pieniędzy na zafatanie najbardziej palących potrzeb zakładu. Niedostatek kapitału jest największą bolączką szkoły, którą prowadzą tu polscy Marianie, wciąż znajdującej się w stadium rozrostu, potrzebującej wciąż nowych inwestycji.

Fawley Court to wielkopańska rezydencja, zbudowana w XVII wieku według planów Krzysztofa Wrena, największego angielskiego architekta owych czasów (który projektował, m in., kopułę londyńskiej katedry św. Pawła). W roku 1688, w nowiułtkim wtedy, świeżo ukończonym pałacu, zatrzymał się Wilhelm III w trakcie swego marszu na Londyn. O zdarzeniu tym informuje tablica, umieszczona tuż obok głównego wejścia. Czasy się zmieniały, nadszedł okres rewolucji przemysłowej i w XIX wieku dwór przeszedł w ręce bogatego rodu Mackenzie'ich, którzy majątek swój zawdzięczali inwestycjom w kolejach. Dokumentem z tych lat jest portret jednego z Mackenzie'ich, wiszący do dziś w hallu. Widzimy na nim mężczyznę o dumnej, napoleońskiej niemal postawie. W rogu obrazu, na wpół rozwinięty arkusz papieru obwieszcza: „Francuskie Kołaje”.

Kiedy w 1953 roku Fawley Court przeszedł w ręce Ojców Marianów, pałac wyglądał jakby splądrowany przed chwilą

przez horde barbarzyńców. Salę ogołocono ze wszystkiego co dawało się spieniężyć; pozrywano nawet ze ścian bezcenne, jedwabne tapety; w niektórych pokojach na piętrze opadł tynk, ściany były murem nagiej cegły. Aż trudno było uwierzyć, że pałac znajduje się pod opieką „Komisji dla Ochrony Zabytków Państwowych”.

Szczęśliwym dla „zabytku” trafem remontem kierował Ojciec Jarzębowski, obecny prowincjał zakonu na terenie W. Brytanii, zapalony kolekcjoner i człowiek o głębokim kulcie dla przeszłości. Jego jest w dużej mierze zasługą, że nowa szkoła dla polskich chłopców łączy się bez żadnego zgrzytu z tłem starego angielskiego pałacu. W salach dworu mieszka zresztą obecnie obok przeszłości angielskiej — historia polska. W jednej z najbardziej ozdobnych i najlepiej zachowanych komnat złożył Ojciec Jarzębowski swe bogate i wciąż powiększane zbiory. Obok zbioru autografów królów polskich poczynając od Zygmunta Starego, obok „białych kruków” takich jak Statut Łaskiego i Biblia ks. Wujka, są tam pozycje łączące przeszłość polską z historią angielską: portret Klementyny, żony Jakuba Stuarta i matki Bonnie Prince Charlie, z domu Sobieskiej, córki króla Jana i Marysienki; współczesne angielskie tłumaczenie mowy Ossolińskiego wygłoszonej na dworze angielskim, na który przybył z dyplomatyczną misją. Ostatnio zaś doszły odpisy nieogłoszonych dotąd listów Norwida¹. Obok oczywistej pasji kolekcjonerskiej, można w tym zbiorze dostrzec i intencje wychowawcze. Chodzi o wpojenie w chłopców przekonania, że i naród polski jest narodem historycznym i posiada kulturę i tradycje nie gorsze od brytyjskich.

Siedmioletnie dzieje Kollegium Ojców Marianów są historią nieustannego rozwoju. U źródła tej ekspansji leży twarda konieczność, nie jakiś nadmiar energii lub funduszy. Sprawa jest prosta: zakład prowadzony na obecną skalę musi być deficytowy. By stać się samowystarczalnym, musi się rozrosnąć. Ale, by się rozwijać, trzeba mieć pieniądze. I tu zamyka się błędne koło. O zwiększeniu opłat nie ma co myśleć. £ 55 za tryestr (łącznie z internatem), to z punktu widzenia rodziców i tak dużo. Przełamać błędne koło można: a) poprzez zwiększenie pojemności zakładu, b) poprzez obniżenie kosztów utrzymania, c) lub stały dopływ pieniędzy z zewnątrz. Ojcowie Marianie próbują wszystkich trzech sposobów.

W Kollegium uczy się 85 chłopców, w tym kilku docho-

1. Fragmenty z nich ogłosił O. Jarzębowski w broszurze pt. „Norwid i Zmartwychwstańcy” (Veritas, 1960).

dzących. Zaczyna robić się ciasno — Krzysztof Wren niestety nie przewidział potrzeb zakładu. Ojcowie obliczyli, że 150 uczniów stanowiłoby absolutne minimum opłacalności. By zwiększyć pojemność zakładu zakupili i zwieźli szereg baraków. Zamierzone jest przeniesienie tam klas, utworzenie własnego sklepiku i nowej kaplicy i obrócenie opróżnionych sal pałacu na sypialnie. By zwiększyć ilość zgłoszeń projektowane jest rozszerzenia akcji propagandowej. Główną atrakcją stać się winien możliwie wysoki poziom szkoły. Po paru latach „obserwacji” przez brytyjskie Ministerstwo Oświaty, Kollegium uzyskało tzw. „końcową rejestrację”. Oznacza to, że szkoła ma prawo ubiegać się oficjalnie o prawa *grammar school*. Uzyskanie tych praw, zapewnia nas Ojciec Rektor Frankowski (który przyjechał tu ze Stanów Zjednoczonych) jest już tylko kwestią czasu. Na razie jednak „rejestracja” zobowiązuje, nie dając jeszcze żadnych formalnych ani finansowych korzyści. Tak np. nauczycielom „cywilnym” płacić trzeba według oznaczonych stawek, ale nie otrzymuje się stypendiów i ułatwień przysługujących angielskim *grammar schools*. Należy też pilnie strzec poziomu, a pamiętać trzeba, że uczniowie w Fawley Court poza pełnym programem szkół angielskich uczą się również języka i historii Polski. Utrudnia też trochę sprawę obecność kilku chłopców przybyłych niedawno z kraju, bez żadnej znajomości angielskiego. Mimo to, wyniki są wcale dobre. Pierwsza grupa wychowanków zdawała egzamin *General School Certificate, Ordinary Level* (jest to, używając analogii bardzo odległej, rodzaj „małej matury”) przed trzema laty. Większość spisała się doskonale. Obecnie zakład przygotowuje do *G.C.E. Advanced Level*.

Ojcowie próbują obniżyć koszty utrzymania przez prowadzenie własnej farmy na zakupionych, sąsiadujących gruntach. Inwestycja ta zjadła między innymi, £ 2.000 przekazane Kollegium przez SPK. Są tam pszczoły i kurv, jest wzorowo i na dużą skalę prowadzona hodowla świń. Nad farmą nadzór sprawuje jeden z nauczycieli, major Malcolm Morris. Szkot wychowany w Polsce, człowiek niesłychanie ofiarny i pracowity. Przeciężonemu już i tak pracą personelowi pomagają prowadzić farmę chłopcy. Spotkaliśmy jednego z nich, ucznia najstarszej klasy, z sypiącym się już wąsem, przechadzającego się wśród dobytku z miną gospodarza.

Pieniądze z zewnątrz to sprawa w tym stadium jeszcze najważniejsza. Głównym i potencjalnie najobfitszym źródłem jest Towarzystwo Przyjaciół Kollegium Księży Marianów w Fawley Court. Towarzystwo liczy około 500 członków, dzielących się

na „zwykłych” ze składką 6/ — rocznie, i „wspierających” — £ 1.0.0. rocznie. Prezesem organizacji jest gen. Duch. Poza przekazywaniem składek Towarzystwo urządza na cel zakładu doroczny bal „na Bielanach” i pomaga w urządzaniu festynu na Zielone Świątki. Ambitnym celem Towarzystwa jest zgromadzenie w swych szeregach 10.000 Polaków.

Oprócz nauczycieli-księży, w zakładzie uczy paru „cywilów”, byłych nauczycieli gimnazjum polskiego w Bottisham.

Wielką atrakcją Fawley Courtu jest jego malownicze położenie i przepiękny park, w którym rosną rzadkie okazy drzew. Tuż obok pałacu, widać ją z tarasu, przepływa „słodka Tamiza”, o wiele tu piękniejsza niż w Londynie. Nad nią schylają się i kapią w wodzie długie i elastyczne jak liany gałęzie angielskich wierzb. Niedaleko znajduje się ładne miasteczko Henley, gdzie odbywają się doroczne regaty. Trasa regat przebiega wzdłuż pałacu w Fawley Court, tak że nazwisko świetnego polskiego zawodnika Kocerki jest tu dobrze znane. Już on, chociażby, przybliżył uczącym się tu chłopcom i jakoś bardziej skonkretyzował daleką, współczesną Polskę.

Ze względu więc na swoje położenie (a stąd bardzo blisko również do Oxfordu) i swą malowniczość, Fawley Court ma ciągłych gości. Raz do roku zjeżdża się tu nieco starsza już młodzież: studenci i absolwenci uniwersytetów brytyjskich, z Londynu i z prowincji (odbywa się to około Wielkiej Nocy). Weekend poświęcony jest na obrady, potańcówkę, dyskusje. Raz na takim zjeździe bawiło ponad sto osób: przyjechali na skuterach, własnymi autami, koleją. Radzili o problemach ich organizacji, wymieniali doświadczenia, zastanawiali się nad przyszłością emigracyjnej młodzieży i nad zaradzeniem odchodzeniu od polskości. Niektóre z ich uchwał jak na emigracyjny świat brzmiały całkiem światoburczo. W roku 1960 przyjechało ich już jednak o wiele mniej: w sobotę dwadzieścia osób, w tym przewaga dziewcząt. W niedzielę liczba dobiła z trudem 60-ciu.

Fawley Court jest dobrym miejscem na takie zjazdy: z dała od Londynu, a jednak dostatecznie blisko by wyczuć tętno polskiego życia w tym najsilniejszym z ośrodków. Równocześnie jednak malownicza okolica skłania do spacerów raczej niż debat. Czy zwyczaj tych zjazdów utrzyma się, trudno przewidzieć. Jeśli nie, będzie to prawdopodobnie zerwanie się jedynej tego typu więzi między młodzieżą polską w Londynie i na prowincji.



Oprócz Fawley Courtu, księża Marianie prowadzą ponadto internat dla chłopców w hrabstwie Hereford, niedaleko miasta

o tej nazwie, w miejscowości Lower Bullingham. Otrzymują element dosyć trudny, chłopców z rozbitych małżeństw, z małżeństw mieszanych, półsieroty.



Szkołę internatową dla dziewcząt prowadzą SS. Nazaretanki w Pitsford, niedaleko Northampton. Powstała ona w 1947 r. i również wybitnie się rozwinęła. Początkowo szkoła mieściła się w obszernym pałacu, następnie dobudowano nowe pomieszczenia w stylu nowoczesnym, wraz z piękną kaplicą. Tak jak w Fawley Court szkoła w Pitsford położona jest w malowniczej okolicy, posiada piękny park i własną farmę rolniczą. W ostatnich latach liczba uczennic doszła do 150, co nie stanowi jeszcze maksymalnej pojemności zakładu. Problemy finansowe rozwiązywane są podobnie jak w Fawley Court, przede wszystkim przez apel do społeczeństwa polskiego. I tutaj corocznie odbywają się wielkie festyny, na które zjeżdża parę tysięcy osób z całej Anglii, w tym duże grupy nawet z Londynu.

Szkoła w Pitsford przygotowuje do egzaminów *General Certificate of Education, Ordinary Level*.

W zakładach męskich nauka trwa od 11 do 18 roku życia. W Pitsford od lat 6 do 11 (szkoła powszechna) i od 11 do 16 (*grammar school*).

Wszystkie zakłady stawiają sobie za cel z jednej strony danie dobrego angielskiego wykształcenia, z drugiej — wychowanie i wykształcenie w duchu istotnie katolickim i polskim. Jak pisze broszura SS. Nazaretanek: „Szkoła ma na celu wychowanie w duchu szczerze katolickim i polskim, strzegąc przed utratą podstaw religijnych i wynarodowieniem”. Zakład w Fawley teoretycznie dzieli swoich wychowanków na dwie grupy: ogólną i grupę aspirujących do kapłaństwa.

Po likwidacji polskich gimnazjów w W. Brytanii, są to jedyne w polskich rękach znajdujące się szkoły gimnazjalne, i w tym leży ich wartość. Jaka jest ich przyszłość? O ile nie zajdą jakieś specjalne okoliczności, szkoły te mają przed sobą długie lata dalszego rozwoju. Specjalne okoliczności zaś mogą być różne: jedną z nich może być powtarzający się od czasu do czasu nacisk ze strony katolików angielskich, zmierzający do wyjęcia tych zakładów z rąk wyłącznie polskich. O kłopotach na tym tle słyszeliśmy niejednokrotnie: katolicy angielscy nie zawsze i nie wszędzie wykazują zrozumienie dla potrzeb polskich współwyznawców.

„Pan Tazab” na kółkach

Tadeusz Zaleski, wysoki, trochę już łysiejący, w grubym, białym swetrze pod szyję, zawsze w ruchu, zawsze pogodny, jest sprzedawcą u Tazaba.

Co tydzień, w środę rano, p. Tadeusz wyrusza z domu, w „Tazab House” ładuje towary, zjada szybki obiad w Gospodzie Kombatanta i przez następnych pięć dni krąży od Basingstoke po Leighton Buzzard, Bletchley, Oxford, Birmingham, Kidderminster, śpiąc w przydrożnych hotelikach, zaglądając do najbardziej zapadłych i zagubionych zakątków emigracji. Do domu wraca w poniedziałek wieczorem, dwie noce i dzień spędza przy żonie i dzieciach, i wyrusza znowu.

Odbyliśmy z nim jedną taką podróż. Zajechaliśmy do samotnej ukraińskiej rodziny, do dwóch Polaków mieszkających w karawanie („drzymałce”?) nad rzeczką, na skraju nie pamiętamy już jakiego miasteczka, jeździliśmy do najróżniejszych robotniczych hostelów: przy cegielniach, magazynach wojskowych, kolejach, drogach. Klienci p. Tadeusza to cały wachlarz ludzkich typów: od starszych, bezradnych raczej panów, niezdolnych już do życia poza ramami hostelu, do kanciastych, pełnych krzepy włóczęgów, dla których robotniczy hostel jest przystankiem dla nabrania oddechu i złapania kilku funtów, i osiadłych, prosperujących mieszczańskich rodzin. Metody handlowe p. Tadeusza przypominają agenta ubezpieczeniowego raczej niż kupca. Pierwszym krokiem jest jednanie ufności klienta. P.Zaleskiemu przychodzi to całkiem naturalnie. Nawet sprzedając towary robi to z takim przyjaznym i szczodrym gestem, że stwarza od razu platformę osobistego stosunku. Starzy klienci mówią z nim często o swoich bolączkach, pytają o radę. Zdarza się, że niektórzy, np. ci co

wydają na paczki do Polski po £200 — £300 rocznie, rozpedzają się nierozsądnie, p. Tadeusz — „Pan Tazab” dla klientów — hamuje ich dobrodusznie. Lwia część handlu odbywa się na kredyt i klienci spłacają jak mogą i chcą. W jednym z obozów twarz p. Zaleskiego przypomniła jakiemuś olbrzymiemu Polusowi, że przed siedmiu laty wziął od niego parę artykułów na kredyt na sumę 30 szylingów. Wkrótce potem opuścił Anglię i pływał po świecie na statku-cysternie. Teraz, po przypadkowym spotkaniu, uiścił dług, po czym zamówił paczkę do kraju („raz na siedem lat”) płacąc tym razem gotówką.

Wielu swoich klientów p. Zaleski szczerze polubił. Co roku w okresie Bożego Narodzenia wybiera paru najbardziej samotnych, bez względu na przynależność klasową i stopień oglądy towarzyskiej i zabiera do siebie do Londynu na uroczystą wieczerzę wigilijną. Ten symboliczny gest na pewno nie jest pusty. P. Zaleski wszedł w swą pracę głęboko i choć czasem narzeka (każdy *week-end* poza domem), znajduje chyba w niej, poprzez obcowanie z ludźmi, prawdziwe zadowolenie. Pochodząc z rodziny raczej „endeckiej” (jest bratem niedawno zmarłego Wojciecha Zaleskiego, znanego publicyisty i ekonomisty), nie posiada żadnych zainteresowań partyjno-politycznych. Interesują go natomiast ludzie i zawsze szuka z nimi kontaktu. W swych sądach jest pobłażliwy, nawet szczodry. Ludziom daje kredyt nie tylko pieniężny.

Jest to chyba najsympatyczniejszy ze znanych nam kupców.



W jednym z miast leżących na trasie wędrownego sklepiku p. Zaleskiego, żyje rodzina Wnuczyńskich: ojciec Franciszek, matka Aniela, trzech synów — Antoni, Czesław, Franciszek, dwie córki — Ewa i Jadwiga. Najstarszy syn, Antoni ma lat trzydzieści parę, najmłodszy, Franciszek — siedemnaście. Wszyscy synowie w kawalerskim stanie, córki niezamężne. Antoni zaręczony jest z Polką, pielęgniarką w lokalnych szpitalu. Ewa zaręczyła się niedawno z polskim zegarmistrzem. Najpierw, mówi stara wiejska tradycja, trzeba z domu wydać najstarsze dzieci, potem, po porządku, młodsze.

Wnuczyńscy mieli gospodarstwo gdzieś na Mazurach. Przez dwadzieścia lat ciężkich przejść i osiedlenia w obcym kraju, nie zmienili się prawie w ogóle. Dwaj synowie pracują w fabryce, córki w zakładzie krawieckim, najmłodszy syn zdaje właśnie *General School Certificate, Advanced Level*. Cała rodzina mieszka w typowo angielskim domku (tzw. jednorodzin-

nym), umeblowanym skromnie i w miejscowym stylu, ale ze świętymi obrazami na ścianach. W sposobie bycia (z wyjątkiem najmłodszych), w mowie, ruchach, utrzymywaniu sztywnej rodzinnej hierarchii i dyscypliny, wszystko pozostało jak dawniej. Wąsaty tata Franciszek, głowa rodziny, gospodarskim ruchem zaprasza gości do stołu, dla wszystkich chleb kraje, Bogu za dary dziękuje, i daje znak do rozpoczęcia posiłku. Przed wyjściem każde z dzieci mówi mu, gdzie idzie, co będzie robiło i kiedy wróci do domu. Podporządkowuje się temu nawet Antoni, kierownik koła harcerskiego i jeden z czołowych działaczy społecznych w tutejszym środowisku, człowiek energiczny, szanowany i samodzielny. Chudy, żyłasty, niebieskooki, od lat pcha on robotę społeczną z prawdziwie chłopskim uporem. Nie żażą go miejscowe kłótnie, chociaż naprzykrzyły mu się już bardzo; w dyskusji, przy swych kilku klasach szkoły powszechnej, jest równorzędnym partnerem dla inteligentów. Ma przy tym ambicje osobiste, nad których realizacją też pracuje. Chce zostać nauczycielem. Od roku chodzi na kursy wieczorowe, a po zdaniu wstępnych egzaminów będzie się starał o stypendium do *Teachers' Training College*. Ma wszelkie dane, żeby cel swój osiągnąć.

Rodzina państwa Wnuczyńskich należy do wyjątków: nie zdarzyło nam się spotkać drugiego takiego wypadku, gdzie mimo dużego awansu społecznego tradycyjne formy życia rodzinnego zostały zachowane w takiej czystości.

III. - POLSKI LONDYN

Wstępny katalog cnót

Stanisław Mackiewicz w irytacji nazwał go Londyniszczem. Stefan Kisielewski w jednym ze swoich felietonów z podróży do Anglii nazwał go „bardzo dziwnym miastem”.

W tym bardzo dziwnym mieście, w tym ponad 8-milionowym *metropolis*, w tej ośmiornicy-kolosie, rozłazącej się tysiącami ulic na kilometry wokół — mieszka 30.000 Polaków. Kropla w morzu. Ale kropla wystarczająca by w niej całkowicie utonąć. Wiedzą o tym liczni przyjezdni z kraju: zamiast poznawać Anglię, zwiedzać Londyn, giną wśród polskiej społeczności. Co ciekawsi, w dwojakim sensie tego słowa, podawani z rąk do rąk, wędrujący od pisarzy do społeczników, od społeczników do polityków, od bibliotek do kawiarni, od kawiarni do najróżnorodniejszych instytucji, pod i spod Brompton Oratory, zaglądając na Zamek, lub — równie rzadko — do Rady Tymczasowej, zaczytując się w niezliczonych ilościach czasopism, bezsenni po długich nocnych rodaków rozmowach, nie znajdują często nawet chwilki czasu aby zejść do któregoś ze wspaniałych muzeów, obejrzeć którąś z wielkich galerii, zobaczyć zmianę warty przed pałacem Królowej, popatrzeć jak funkcjonuje brytyjska demokracja wśród mówców w Hyde Parku, zapoznać się z systemem Służby Zdrowia, posłuchać obrad w Matce Parlamentów i oglądnąć City.

Kropla w morzu. A jednak jakoś zabarwiająca morze. Dzielnice Earl's Court'u, Kensingtonu, Clapham, Ealingu, Chiswick, Islingtonu, Fulham i Putney, Lewisham aż po Croydon (osobne miasto w wielkim Londynie) — brzmią polską mową. Rodacy są wszędzie. Uśmiechają się do ciebie w kasach kolejki podziemnej (tzw. podziemki), podadzą ci kawę z uprzejmym „pro-

szę" w kawiarni (polską twarz nie trudno rozpoznać), zrobią ci befsztyk (choć o tym nie wiesz), zapakują pudełko czekoladek, zmontują rower, zreperują auto, radio, maszynę do pisania, buty i zegarek, zaniósą walizki, ubezpieczą na życie, od pożaru, wypadku, rabunku, wypiorą bieliznę, uszyją ubranie. Sprzedadzą ci wszystko: od szpilki i guzika po auto, telewizję, obrazy, biżuterię, domy, parcelę, kielbasę, obrabiarki, plastik, antyki, drukarnię. Zatrudnią cię w setkach przedsiębiorstw: w polskich kawiarniach i restauracjach, fabrykach, warsztatach, firmach wysyłkowych, księgarniach, galeriach obrazów, pośrednictwach pracy, szwalniach, sklepach spożywczych, aptekach, jubilerkach, masarniach, piekarniach. Wybierasz się do Paragwaju — najsporniej załatwi ci to polska agencja podróży; chcesz zamieszkać w polskim hotelu — jest ich kilkanaście. Chcesz pójść na polską rewie — przeczytaj kalendarzyk imprez w „Dienniku Polskim”. A może wolisz zobaczyć „Dziady”, „Księcia Niezłomnego” lub „Wyzwolenie”? — pamiętaj o datach wielkich rocznic. Twierdzisz, że wolisz sztuki weselsze. Ha, przy kompletach idzie w „Ognisku” „Królowa Madagaskaru”; zeszła właśnie z afiszu „Moralność Pani Dulskiej”. Nie mogłeś zobaczyć w kraju „Milczenia” Brandstaettera — niestety, spóźniłeś się na nie i tutaj. Chociaż chwileczkę: jeszcze dwa przedstawienia odbędą się na Clapham.

Chcesz wziąć polski ślub? Chcesz pójść na polskie nabożeństwo? Chcesz kupić dewocjonalia? Nic łatwiejszego. Nawet pewien angielski zakład pogrzebowy ogłasza, że ma polskie przedstawicielstwo i urządza „polskie” pogrzeby.

A może chcesz się zapisać do któregoś z historycznych stronnictw polskich? — taka chęć dziś się rzadko zdarza — mają one w Londynie nie tylko swoje centrale, wydziały wykonawcze, rady i koła, ale niektóre nawet i organy prasowe. Chcesz poszukać przyjaciół z kampanii norweskiej? — dowiedz się o koła oddziałowe. Chcesz się dowiedzieć o losach kogoś z łagrów sowieckich — zgłoś się do Związku b. Więźniów Sowieckich. Jednym słowem zajrzyj do Kalendarzyka Kombatanta lub Rocznika - Polonii, a i za rok nie dasz rady odwiedzić wszystkich instytucji, firm, lokali, zarządów organizacji, bibliotek, uniwersytetu, Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych, towarzystw naukowych, filatelistycznych, samopomocowych, zawodowych, bractw religijnych, zrzeszeń młodzieżowych, Instytutów, siedzib i domów: Pisarza, Inwalidów, Polskich Żydów Kombatantów, Zjednoczenia Polek, ZHP, YMKI, Związku Robotników i Rzemieślników, Rolników, Kupców i Przemysłowców, Lotników, Zrzeszenia Ewangelików-Polaków w W. Brytanii i parafii

ewangelickiej, Polskiego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego itd., itd.

Łondyniszczce. 14 szkół sobotnich, w których uczy się ponad 1.400 dzieci. 2.000 warsztatów, firm i przedsiębiorstw, 4.000 (jeśli nie więcej) polskich domów i kamienic. Co niedzielę kilkanaście mszy polskich. Raz na pięć lat — opera. 30.000 Polaków. Każdy z nich prawie to instytucja, stronnictwo, firma, prezes, kamienica, dom. A przynajmniej tak się zdaje.

Przeszłość i terażniejszość

Ten wstępny, trochę retrospektywny i syntetyczny katalog cnót i zalet polskiego Londynu brzmi imponująco. Słowa mają siłę zmieniania rzeczywistości. Ale bo też w istocie życie polskie w Londynie nadal jest bogate. Mimo dużej śmiertelności wśród starszych, mimo odchodzenia wielu na „emeryturę”, mimo kłopotów pieniężnych prawie wszystkich instytucji i organizacji (gdyby nie Stany Zjednoczone, strach pomyśleć, co by było, a raczej — czego by już dawno nie było!), mimo „wewnętrznej emigracji” emigracji, mimo braku twarzy młodych. Ilość organizacji sprzed paru lat tylko nieznacznie się zmniejszyła; większość instytucji istnieje nadal, przynajmniej jako nazwy; ilość firm i przedsiębiorstw, domów i aut, ciągle się zwiększa, chociaż niektóre branże zaczynają podupadać lub się przestawiać (głównie firmy paczkowe). Księgarnie żyją z płyt (Mazowsze i in.), prasy krajowej, ceramiki, encyklopedii, słowników... i innych książek.

A jednak polski Londyn prowadzi nadal swoje życie — cóż z tego, że tu i ówdzie jest to życie zamulonej sadzawki? Cóż z tego, że w sadzawce jest coraz mniej szczupaków z naszywkami i politycznych okoni, kiedy wzrasta liczba tłustych płotek, karpia i karasi, nie mówiąc już o bardziej specjalnych rodzajach ryb. I kiedy rośnie jak na drożdżach pokolenie, z którego nie wiadomo: żaby będą czy ryby? I podczas gdy już dorosło tak zwane *Coca-cola generation*?

Czyje sądy zabarwia nostalgia za przeszłością, kiedy Londyn był jeszcze centrum Polski; komu tęskno do Rubensa; lub do tych lat gdy Londyn był uznawanym centrum emigracji i wygnańczą kontr-stolicą niemego narodu; a nawet do czasu kiedy jeszcze 6-7 lat temu wstrząsany był rozłamami politycznymi, buntami i rokoszami generałów; a nawet kiedy jeszcze 4 lata temu uderzył w niego polski październik, powodując wstrząsy w jednych dziedzinach, w innych ożywczy ferment —

kto te czasy pamięta, ten może nie znajdzie słów życzliwych dla dzisiejszego Londynu. To prawda, że niedawno największa walka toczyła się (i wciąż toczy) o władzę... — nie tyle na Olimpie politycznej hierarchii, ale głównie w namiastce sejmu, Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej — w redakcji i fundacji „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”. A powstanie drugiego dziennika i jego szybki zgon, stanowiły i wciąż stanowią bogatą pożywkę dla kawiarnianej plotki, posiadając dostateczne znamiona skandalu. Że nie był to spór ideologiczny, ani nawet w rzeczywistości polityczny? Dlaczego dla kogoś zainteresowanego rozwojem społeczności ludzkich mniej ciekawy ma być spór odzwierciedlający konflikt pomiędzy formami emigracyjnymi a polonijnymi? Zresztą — kto chciałby dowodu na to, że dawne żary w politycznym kociołku wcale nie wygasły, ten wskaże na proces o zniesławienie przeciwko redaktorowi i współpracownikowi „Narodowca”, wytoczony przez gen. Andersa, proces, który przekształcił się w wielką debatę polityczną, i dając gen. Andersowi 3/4 zwycięstwa, równocześnie zostawił wspomnienie namietności politycznej doprowadzone do nierozsądnych granic.

A z innej strony — ileż nowego życia wprowadziły w polski świat londyński przyjazdy rodaków z Kraju? W polskim Londynie, tak jak na całej emigracji, pewne formy zamierają, ale na ich miejsce rodzą się inne; pewne sadzawki zamulają się do reszty; ale życie płynie nadal i w ogromnych procencie, jest ono wciąż — polskie.



Politycznie polski Londyn traci coraz bardziej na znaczeniu. Latem 1959 roku „Dziennik Polski” korzystając z bytności w Londynie delegatów na Światowy Zjazd SPK urządził wśród nich ankietę na następujące pytanie: Czy w ośrodku, który pan reprezentuje, polski Londyn uważany jest nadal za stolicę emigracji i czynnik przewodni?

Na 15 odpowiedzi, 8 brzmiało „nie”, jedna była niezdecydowana, 2 wymieniały jako główne znaczenie Londynu fakt, że jest to największe skupisko inteligencji i ośrodek polskiego życia intelektualnego, a jedynie cztery widziały w nim nadal ośrodek dyspozycyjny w znaczeniu politycznym. Niektóre wypowiedzi negatywne podkreślały ujemny wpływ politycznego skłócenia Londynu; dwie zarzucały zbyt wrogi stosunek do kraju. Jedna odpowiedź brzmiała: „Nie! Żaden polski ośrodek nie cieszy się autorytetem. Wskazówkami politycznymi Londynu nikt się nie przejmuje. Londyn nie jest centrum emigracji, ani poli-

tycznym, ani kulturalnym, ani nawet organizacyjnym". Dwie odpowiedzi podkreślały wzrastające znaczenie Kongresu Polonii Amerykańskiej. Jedna widziała znaczenie polityczne Londynu w fakcie, że przebywa tu gen. Anders¹.

Londyn przestał więc być w dużym stopniu centralą polityczną emigracji, chociaż nadal rości sobie do tego pretensje. Mimo tego, że w Londynie znajduje się centrala światowego SPK, czy centrala Światopoli, Londyn nie jest centralą społeczno-organizacyjną emigracji. Emigracje zamorskie, te dawniejsze jak i nowe, żyją swoim własnym życiem społecznym, i mają własne ośrodki dyspozycyjne, jak np. Kongres Polonii Kanadyjskiej. Londyn najczęściej stanowi dla nich bodziec w postaci prasy; rodzaj ubogiej ale wymagającej ciotki, czasami przyczynę zamętu poprzez swą chęć wpływania. Pod względem prasy Londyn pozostał jednak ośrodkiem głównym i promieniującym: stąd pisma rozchodzą się wszędzie. Ale nawet mimo to, „Wiadomości” nie mogą się równać z zasięgiem paryskiej „Kultury”, a zagraniczne wydanie „Tygodnia Polskiego” idzie w setki raczej niż w tysiące egzemplarzy.

Życie towarzyskie stało się także mniej huczne, chociaż próbuje się ciągle nowych pomysłów. Niedawno obserwator z Polski zwrócił uwagę na pewną atomizację społeczności polskiej: atomizacja ta, naszym zdaniem, stanowczo nastąpiła, ale jest ona nie tyle jednostkowa, co grupowa. Jednostki rzadko chodzą zupełnym luzem, natomiast stada są znacznie mniejsze i bardziej zamknięte w sobie. Minęły czasy, kiedy na zabawy polskie trudno było się dopchać — teraz jedynie może doroczne „Dożynki” cieszą się pełną frekwencją, lub takie nowe pomysły, jak puszczanie wianków na Tamizie połączone z całonocną zabawą na pięknej wysepce przy wspaniałym Hampton Court. Sylwestra natomiast obchodzi się w małych kółkach; spotkania odbywają się we wszystkich prawie kawiarniach Londynu, nie zaś tylko w kilku znanych lokalach polskich, chociaż i te prosperują. Istnieje też parę zamkniętych, intymnych, nocnych klubów, ciemnych nie tylko w sensie oświetlenia. Stali bywalcy bawić się tam mogą w oparach alkoholu do godz. 4-5 nad ranem. Zaniechano rocznicowych obchodów-monstre w Albert Hallu, słynnym londyńskim okrągłaku.

Salę wybiera się mniejsze, frekwencja tysiąca osób uznawana jest za nadzwyczaj zadawalającą. Kiedyś Albert Hall zbierał

1. Odpowiedzi pochodziły od delegatów z następujących krajów lub miejscowości: Bradford, New York, Holandia, Lille, Montreal, Bruksela, Rzym, Paryż, Nowa Zelandia, Szwajcaria, Ottawa, Sztokholm, Południowa Afryka, Belgia, Madryt.

do 5.000 osób. Wielkie, monumentalne przedstawienia rocznicowe w wynajętych teatrach londyńskich okazały się na ogół deficytowe i wywołały w ostatnich trzech latach wiele głosów krytycznych.

Atomizacja idzie w parze z decentralizacją, a to jest proces trwający już dobrych parę lat. Nastąpiło pokaźne przesunięcie się punktów ciężkości na peryferie londyńskie: Islington, Chiswick, Ealing, Clapham, Lewisham, Highgate, i poza Londyn — Middlesex, Surrey, Kent. Na peryferiach tych powstają nowe parafie, nowe Domy Polskie, samodzielne organizacje pod nazwą „gmin”, niezależne ośrodki. Koncentracja „central” w dzielnicy Kensingtonu zaczyna być powoli anachronizmem.



Nie ma chyba miasta na kuli ziemskiej, gdzie Polacy nie pozostawiliby jakichś śladów, jako podróżnicy, emigranci, żołnierze, misjonarze, inżynierowie. Nie możemy opisywać tu historii stosunków polsko-angielskich od samego początku; nie możemy poświęcić miejsca na relacjonowanie tak ciekawych epizodów jak działalność Towarzystwa Przyjaciół Polski, wysiłki Lorda Dudleya Courta Stuarta, czy dzieje Gromady „Grudziądz”, szczególnie, że rzeczy te są na ogół znane. Co prawda, stosunki polsko-angielskie nigdy nie były tak bogate jak stosunki polsko-francuskie, sympatie nigdy tak silne, wpływy o wiele mniejsze. Londyn ma także o wiele mniej pamiątek polskich niż Paryż. Zwykle wymienia się nazwisko Łaskiego, powinno się więcej pamiętać o Hartlibie, który był jednym z — jakbyśmy dziś powiedzieli — ideologów jedynej rewolucji przez jaką Anglią przeszła (nie licząc rewolucji przemysłowej); pamięta się o koncertach Chopina na uchodźców Wielkiej Emigracji; mniej już o Londynie jako ośrodku polskiego socjalizmu na przełomie XIX i XX wieku; zapomina się o pobycie w Londynie Reymonta i jego powieści osnutej na tym tle; zapomina się o wizytach Niemcewicza, a bardziej jeszcze o jego pięknych tłumaczeniach poezji angielskiej; pamięta się może bardziej pobyt Słowackiego, uwieczniony w „Kordianie”; pamięta się opis Londynu i Angielek w Hyde-Parku przez zachwyconego nimi Sienkiewicza w jego „Listach z podróży” (Polacy w Anglii nie są skłonni do podtrzymywania tej opinii); mniej wie się o tłumaczeniach na angielski powieści Kraszewskiego, o działalności i pisarstwie Lach Szyrmy, o „oficynie wydawniczej poetów” któregoś tam kalibru, walczącej z trudnościami na jednej z ulic Londynu, o pierwszym tłumaczeniu „Konrada Wallenroda”, czy o sukcesie

powieści Goetla „Z dnia na dzień”, i o dziesiątkach innych, mniej lub bardziej drobnych wydarzeń i powiązań, które zebrane razem stanowiłyby ciekawą książkę. Bardzo mało wie się na ogół o dziejach starej Polonii londyńskiej od połowy XIX w. począwszy, dziejach, które oprócz sporów wewnętrznych, zaznaczyły się głównie walką o własny kościół i własny dom.

Devonia Road

Jeżeli więc zaczynać zwiedzanie polskiego Londynu, to chyba od małego, gotyckiego kościółka pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej i św. Kazimierza, siedziby Polskiej Misji Katolickiej, położonego na peryferiach City, w bocznej uliczce, wciśniętego w rząd piętrowych, zwykłych domków.

Tutaj mieści się faktyczne — i formalne — centrum życia religijnego polskiej emigracji. Kościół na Devonia Rd., bo tak się nazywa owa boczna uliczka, ma się tak do Brompton Oratory jak Washington do Nowego Jorku: Brompton to tłumna i pstrokata metropolia, Devonia Rd., to skromna, cicha, ale godna stolica świadoma swej ważności i wartości.

Konwencjonalnie neo-gotycka fasada kościoła nie przygotowuje wchodzącego na wewnątrz bogate i różnorodne, gdzie polskość panoszy się we wszystkich kątach. Rzuca się w oczy przede wszystkim obfitość śladów z okresu ostatniej wojny, który dla kościoła, paradoksalnie, był także okresem szczytowej świetności. Tutaj na mszach i uroczystych nabożeństwach zasiadał, uznawany wtedy przez cały świat Prezydent, tutaj swoje votum składał gen. Sikorski; w ogóle Devonia Rd. była głównym punktem wszelkich obchodów państwowych i uroczystości a także schroniskiem dla żołnierzy. Nic dziwnego, że napotykamy co krok na pozostałości z tamtych czasów. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w ołtarzu głównym (pędzla Marka Świącickiego) okolony jest licznymi wotami, pochodzenia prawie wyłącznie wojennego; są tu krzyże wojskowe, ordery, szable, godła oddziałów itp. Wisząca przed ołtarzem wieczna lampka — dar Polskiej Marynarki Wojennej — ocieniona jest rzędem metalowych orłów; w bocznej nawie (kościół ma dwie nawy), stoją figury św. Stanisława Kostki — dar kontrtorpedowca „Burza” i św. Andrzeja Boboli — dar okrętu „Błyskawica”. W tejże nawie wisi ciekawie wykonana kopia obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, dzieło żołnierzy z Palestyny. Z tyłu, poniżej chóru, odnajdujemy ślad z czasów trochę późniejszych — tablice pamiątkową, wmurowaną po śmierci prezydenta Raczkiewicza w 1947 r. W ogóle,

nic może w Londynie, z wyjątkiem Instytutu gen. Sikorskiego, nie przypomina tak bardzo wojskowej genezy emigracji polskiej w W. Brytanii. Jedynym „skarbem” kościoła nie związanym z losami Polaków w okresie ostatniej wojny jest „lampka narodów” poświęcona i zapalona po raz pierwszy w Rzymie przez Papieża Piusa XII w 1951 r., z nazwami uciemnionych narodów wyrytymi na podstawie. Największa ozdoba kościoła, witraże, dzieło Adama Bunscha, znowu związane są z okresem wojny.

Witraże te stanowczo zasługują na szerszy rozgłos. Zajmują dwanaście okien, pokrywających powierzchnię 80 metrów kwadratowych — największa praca jaką prof. Bunsch, znany i ceniony w kraju artysta, kiedykolwiek wykonał. Opowieść o trudnościach, w jakich były wykonywane, od zdobywania wręcz „cudem” pieniędzy, po materiały, mogłaby służyć za osobny rozdział. Szczególnie, gdy opowiedziana jest ustami ks. prałata Staniszewskiego, który z wszystkimi tymi trudnościami osobiście się borykał, a do witraży podchodzi ze wzruszającym pietyzmem i znawstwem.

Przyglądając się wnętrzu kościoła, twierdzić można, że jasne, czyste, nowoczesne barwy witraży nie godzą się z gotyckimi murami, ale może dlatego są silniejszym elementem charakteru wnętrza niż angielskie mury świątyni (będącej kiedyś świątynią sekty Swedenborgianów).

Największe okno, nad wejściem do kościoła, ponad chórem, to obraz Matki Boskiej, Królowej Pokoju, zagarniającej pod swój płaszcz ludy dotknięte klęską wojny. Dalsze witraże w nawie głównej, gdzie okna umieszczone są wysoko i światło pada z góry, pod ostrym kątem, to Chrystus, dobry Pasterz, błogosławiony Czesław — patron Ziemi Zachodnich, i najazd tatarski; dalej św. Barbara, patronka Armii Podziemnej ze znakiem Polski Walczącej i w końcu św. Andrzej Bobola, reprezentant Kresów Wschodnich za tło mający najazd bolszewików i Niemców. W nawie bocznej — okna, jak sama nawa, są niskie, na wysokości głowy ludzkiej — przy ołtarzu św. Kazimierza witraż przedstawia scenę wręczenia przez Jana Kazimierza korony polskiej Matce Boskiej. Na kolejnym witrażu anioł wręcza żołnierzowi polskiemu sztandar z rąk Polaka powalonego w kampanii wrześniowej i przekazuje go żołnierzowi walczącemu na Zachodzie. Dochodzimy dalej do witraża kompozycyjnie wyjątkowo udanego: przedstawia on „Gehennę Narodu”: w jednej płaszczyźnie Chrystus dźwigający krzyż, w drugiej Polak, zgięty pod krzyżem. Ostatni witraż, „Ku czci poległych”, to godła wszystkich rodzajów broni z napisami: „Lotnikom poległym w

obronie polskiego i obcego nieba", „Marynarzom poległym dla Polski na morzach świata" i in.

Patrząc na te witraże, trudno oprzeć się uczuciu, że tutaj, w tym małym gotyckim kościółku, zawarła się tragedia obecnej emigracji, tutaj jest prawdziwy Wawel jej pamiątek, tutaj po raz już nie wiadomo który odtworzona została w barwnym szkłe, w ostrołukach okien martyrologia polska.

Co czuje dzisiejszy Polak londyński, właściciel domu czy przedsiębiorstwa, robotnik fabryczny czy inwalida-emeryt, kiedy patrzy na te pamiątki? Czy przyjmuje je jako odległą przeszłość, inny świat, do którego należał, ale już nie należy?

Adam Bunsch, który jest także twórcą obrazu „Ostatnia wieczerza" i serii płaskorzeźb Drogi Krzyżowej, w czasie wojny znalazł się w polskich oddziałach stacjonowanych w Szkocji. Już w r. 1941, podczas jego pierwszego pobytu w Londynie, powstał projekt witraży. Pierwsze kartony wykonał artysta na swej kwaterze w Forfar, w środkowej Szkocji. W czasie krótkiego, parotygodniowego urlopu w Londynie, w lecie 1943 r. powstały pierwsze dwa okna. Następny urlop, wiosną 1944 r. i dłuższy już pobyt od lipca 1944 umożliwił zrealizowanie całego projektu. Prof. Bunsch własnoręcznie musiał wykonać całą pracę we wszystkich jej stadiach, realizując przy tym swój projekt w czasie kiedy Londyn ostrzeliwany był pociskami V.1 i V.2. Ukończył pracę na dzień przed zawieszeniem broni, w maju 1945 r., następnie wyjechał na stałe do Polski. Siedem okien było już wtedy osadzonych, reszta leżała w suterynach. Dopiero w 1950 r. wszystkie witraże zajęły swe miejsce w kościele.

Tyle o bogactwach kościoła. Ale poza tym znajduje się tu jeszcze, w domu obok, kancelaria Misji, w suterynach są dwie duże sale: w czasie wojny schron dla żołnierzy i sąsiadów, a dziś stanowiące m.in. pomieszczenie dla największej w Londynie szkoły sobotniej (ok. 340 dzieci). Na piętrze jest siedziba Wikariusza Generalnego, ks. prałata Staniszewskiego.

Ks. Władysław Staniszewski jest rektorem Polskiej Misji Katolickiej od roku 1938. Przyjechał do Londynu tuż przed wojną, by przejąć placówkę ubogą, ale już wtedy dość starą: Misja powstała w r. 1894, a kościół na Devonia Rd., poświęcony został przez Kardynała Hlonda, i oddany do użytku w r. 1930. Zawierucha wojenna i niespodziewany liczebny wzrost kolonii polskiej zastał ks. Staniszewskiego w Londynie „na własnym". Czuł się w pełni gospodarzem. Dzięki temu Misja, a przez nią i cała organizacja życia religijnego na emigracji nigdy nie była dotknięta duchem tymczasowości. Kto wie, czy tutaj nie leży jed-

no z ważniejszych źródeł konfliktu pomiędzy parafią a organizacjami społecznymi.

Brompton Oratory

Od czasu gdy ustały wielkie akademie w Albert Hallu, miejscem gdzie spotkać można najwięcej Polaków jest „deptak” przed Brompton Oratory. Co niedzielę, o godzinie 1-ej po południu, odprawiana jest w tym kościele msza polska, na której przeciętnie bywa do 1.000 osób, ze wszystkich części Londynu. Podczas mszy w święta i dni uroczystości narodowych śpiewają chóry polskie. W najgłębszej nawie bocznej, na wysokości mniej więcej ołtarza głównego, jest coś w rodzaju polskiej kapliczki z obrazem Matki Boskiej Kozielskiej, wokół którego zawieszono są wota, głównie odznaczenia wojskowe.

Msza trwa normalnie prawie godzinę. O drugiej więc po południu z kościoła wylewa się strumień odświętnie ubranych rodaków, spotykając się z pokaźną liczbą tych, którzy przyjechali jedynie pod Brompton, aby spotkać znajomych. Wzdłuż szerokiego trotuaru, przez całą długość kościoła i muzeum Alberta i Wiktorii, po obu stronach drogi, w bocznych uliczkach, wzdłuż długiej i pięknej ulicy Exhibition Rd., stoją auta Polaków. Wśród wychodzących z kościoła nie widać biedoty. Są tu na pewno tacy co żyją z zasiłku, ale zasiłek to jeszcze daleko do nędzy.

Całą godzinę mniej więcej trwa polska okupacja trotuaru przed kościołem i przyległościami. Powoli tłum się przerzedza; pozostają tylko małe grupki, później trójki i pary, wreszcie i te ruszają w drogę. Brompton Oratory leży w dzielnicy, gdzie skupiają się polskie domy, kawiarnie i instytucje — do nich dąży większość osób po mszy. A więc do Ogniska Polskiego, idzie towarzystwo ziemiańsko-dorobkiewiczowsko-artystyczne i niektórzy politycy, do Domu Kombatanta — grupki starszych wojskowych, część działaczy społecznych, ludzie prostsi, biedniejsi; do Dakowskiego — kawiarni i restauracji, sfery polityczne, pisarze, trochę młodzieży; reszta okupuje wszystkie możliwe lokale w najbliższej okolicy, przystaje w pasażu przy stacji kolejki podziemnej, South Kensington, żegna się kilkakrotnie. W końcu, o godzinie 5 po południu, Polacy rozjeżdżają się do domów. Tylko stali bywalcy siedzą jeszcze nad czarną lub herbata z cytryną. Za dwie godziny zacznie się zresztą nowy napływ, tym razem na różne imprezy, odczyty, kabaret, rewie, zabawy, brydża itp.

Brompton Oratory stanowi coś w rodzaju przedwojennego Nowego Świata w Warszawie. Kiedyś pokazywano powozy, dzisiaj pokazuje się auta, kiedyś rozmawiano o kobietach, teatrach, operze, rzadziej książkach, dziś pod Brompton mówi się o kamienicach, cenach ubrań, nowych modach, ostatnich zaręczynach i małżeństwach, wyjazdach i przyjazdach, turystyce, wiadomościach i przybyszach z kraju, podróżach do Polski, przyjmowaniu obywatelstwa, warunkach pracy, chrzcinach, domach i autach.

Młodzieży i dzieci nie jest dużo, ale brak ich nie rzuca się w oczy na tyle, by uważać to za objaw specjalny. W okresie wakacji letnich zdarza się nawet, że na deptaku przeważają twarze młode: kolorowe sukienki dziewcząt, eleganckie kostiumy panien i młodych mężatek, nieraz wymyślne fryzury, ciemne garnitury i buty chłopców; lub sportowe ubrania, skórzane kurtki, skutery, motocykle, znowu auta. Trochę rozmów prowadzonych jest pół po polsku, pół po angielsku; dzieci, o ile są zostawione same sobie, od razu przechodzą na angielski, jedynie pod czujnym okiem rodziców siłą się na polski, często już z akcentem.

W rocznice narodowe msze bywają uroczyste. W pierwszych rzędach zasiadają przedstawiciele polityczni, najczęściej Obozu Zjednoczenia, a więc gen. Anders, lub gen. Bór-Komorowski, lub cała Rada Trzech, a więc i amb. Raczyński, niedowidzący już i pochylony, zwracający uwagę swą autentycznie hrabiowską dystynkcją ruchów; obok zasiada prezes Stronictwa Narodowego, z siwymi wąsami, znacznej tuszy, Tadeusz Bielecki; rzadziej Ciołkosz, dbający coraz bardziej o wyprostowaną sylwetkę, do niedawna przywódca socjalistów, szef Egzekutywy, dziś prezes rozłamowej grupy socjalistycznej, nadal członek Tymczasowej Rady. Obecnie szefem Egzekutywy, czyli rządu jest p. Czerwiński i jego więc spotkać można w pierwszym rządzie, niedaleko prezesa SPK, p. Soboniewskiego, lojalnego zwolennika gen. Andersa, i paru innych wybitnych osobistości. Prezydent Zaleski jest bardzo rzadkim gościem w Brompton Oratory. W każdym razie teraz nigdy nie zjawia się tam w charakterze oficjalnym. Rzadko w charakterze oficjalnym zjawiają się przedstawiciele „rządu legalnego”, z premierem p. Pałakiem na czele. Zdarzyło się jednak podczas mszy za duszę Marszałka Piłsudskiego, że oba „rządy” były w pełni reprezentowane.

Na mszach rocznicowych często przed ołtarzem stoją poczty sztandarowe harcerzy, w wyjątkowych okolicznościach sztandary wojskowe.

Kazania z reguły łączą katechizm katolika z katechizmem Polaka. Nie ma prawie niedzieli, aby z ambony nie ogłaszano zbiórki na jakiś cel: pomocy repatriantom z Rosji, paczek do rodzin w kraju, szkółek sobotnich, pomocy dzieciom w Niemczech i całego mnóstwa innych. Poziom kazań nie jest najlepszy. Co pewien czas odczytywane są Listy Pasterskie arcyb. Gwliny, Opiekuna Uchodźstwa Polskiego, czasami Prymasa Wyszynskiego. Kazania idą po linii tezy o politycznym charakterze emigracji, częstym tematem jest komunizm. Na zakończenie mszy wszyscy śpiewają „Boże coś Polskę”, z ostatnią linijką: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Śpiewa się też często:

*O Panie któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,
Wołamy z cudzych stron do Ciebie
O Polski dach i polską broń.*

*O Boże skrusz ten miecz co siekł nasz Kraj!
Do wolnej Polski nam powrócić daj —
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz dom.*

W Brompton odbywa się także przynajmniej raz w tygodniu polska spowiedź, w okresie Wielkanocy — rekolekcje.

Kiedyś do Brompton przyjeżdżało dużo więcej Polaków. Obecnie, gdy powstały parafie w prawie wszystkich dzielnicach większych skupisk polskich, mieszkańcy tych dzielnic uczęszczają normalnie na mszę do swoich kościołów. Oblicza się, że ogółem na mszach polskich w niedzielę bywa od 3.000 do 5.000 Polaków. Na 30.000 całej liczby Polaków w Londynie, stanowi to od 10% do 17%. Reszta albo chodzi na msze angielskie, lub zaniedbuje się w swoich obowiązkach religijnych. Jedynie pasterkki, rezurekcje i msze z okazji uroczystości cieszą się pełną frekwencją.

Od kilku lat istnieje projekt kupna kościoła dla parafii w śródmieściu Londynu, ale napotyka na duże trudności².

Ponieważ jesteśmy przy parafiach londyńskich, przejdźmy się jeszcze do jednej z parafii peryferyjnych, na Clapham.

2. Jedną z nich jest zakaz odsprzedawania katolikom kościołów nie będących uprzednio w rękach katolickich. Jeden z proboszczy polskich w Londynie opowiadał nam, jak chcąc kupić kościół po metodystach, wpadł na pomysł, żeby podstawić przy licytacji angielskiego agenta, swego zresztą znajomego. Kiedy zwrócił się do niego w tej sprawie, spotkał się z rozbawionym uśmiechem. Okazało się, że agent był właśnie — Metodystą.

Trzy Claphamy

W Londynie są trzy „Claphamy”: Clapham North, Clapham South i Clapham Common (nie licząc Clapham Junction). Na tych trzech Claphamach i w okolicy mieszka około 2.500 Polaków. Nie są to dzielnice ani specjalnie bogate, ani ładne, chociaż i tutaj występuje charakterystyczna cecha Londynu: przemieszanie dzielnic i ulic brzydkich z zadrzewionymi, prawie willowymi. Na Claphamach mieszkają głównie robotnicy, dużo Murzynów i wschodnich narodowości. Polacy osiedlili się tu ze względu na taniość domów i mieszkań: jeszcze wciąż można tu wynająć u rodaka dwupokojowe mieszkanie z kuchnią za £ 2.0.0. do £ 2.10.0. tygodniowo, co jest wcale tanio.

Centrum życia polskiego na Claphamach jest parafia i kościół — St. Mary's Church, udostępniany Polakom za opłatą przez katolików angielskich na msze, śluby, pogrzeby i chrzty. Również duża, choć niezbyt ładna sala parafialna wykorzystywana jest przez parafię na imprezy: przedstawienia polskiego teatru ze śródmieścia (coraz rzadziej), zabawy i potańcówki.

Proboszczem parafii polskiej na Clapham jest ks. mgr. Cynar, autor monografii o biskupie Raczyńskim, wydanej przez „Veritas”. Ks. Cynar z miejsca ujmuje swą rzeczowością i spokojem. Pracuje w parafii ciężko i wytrwale. Rocznie udziela ok. 30-40 ślubów, 50 chrztów. Pogrzebów jest mniej — 6-7 rocznie. Ale jest to tylko wycinek jego pracy. Od porad wszelkiego rodzaju, po utrzymywanie stosunków z miejscowym duchowieństwem angielskim, współpracę z lokalnym proboszczem, zafatwianie spraw administracyjnych związanych z użytkowaniem kościoła, odwiedziny w szpitalach (25-ciu), dojeżdżanie do kolonii polskiej w Guildford, opiekę nad polskimi działami w miejscowych bibliotekach publicznych — zajęć jest aż nadto dużo. Poza tym ksiądz Cynar próbuje utrzymywać się własnym przemysłem (kupno, odnawianie i odsprzedaż domów). Do tego dochodzą jeszcze wewnętrzne prace parafialne, jak kółka różańcowe, sodalicja, komitet miłosierdzia, który zajmuje się wysyłką paczek do Polski i pracuje anonimowo, i prowadzenie szkoły sobotniej. Nie pozostaje mu więc wiele czasu na kontynuowanie zainteresowań i pisanie prac historycznych.

Pytamy księdza o religijność parafian. Ksiądz oblicza, że na 2.500 Polaków, około 1.000 chodzi na polskie msze, drugie tysiąc chodzi na msze angielskie, a reszta do kościoła nie uczęszcza. Daje nam także cyfry porównawcze ilości osób odbywających spowiedź wielkanocną w parafii polskiej a angielskiej: w parafii angielskiej jest ok. 5.000 osób, do spowiedzi wielkanocnej

przystępuje ok. 4.000. W parafii księdza — 800 (procentowo: 80 % i 32 %). Na ogół duchowieństwo polskie w Anglii nie jest specjalnie zbudowane religijnością Polaków.

Organizacja parafialna jest bardzo luźna, do niedawna istniał doraźny Komitet kościelny, który jednak ostatnio przekształcił się w instytucję bardziej stałą w związku z zamiarem kupna kościoła i zbieraniem funduszy.

Ksiądz Cynar jest pierwszy polskim proboszczem w Anglii, który zaczął wprowadzać przy zbieraniu na cele kościelne metodę wpłat na tzw. Deed of Covenant. Polega ona na tym, że można zadeklarować pewną kwotę — równoważnik np. datków na tacę — jako roczną wpłatę. Po wpłaceniu tej kwoty, powiedzmy £ 10 rocznie, parafia może otrzymać pod koniec roku podatkowego zwrot podatku od tej kwoty. Uzyskana w ten sposób dodatkowa kwota wcale nie jest do pogardzenia. Warunki uzyskania od władz podatkowych tego dodatkowego dochodu są dwa, instytucja musi być instytucją dobroczynną (*Charity*), a deklaracja wpłacania składki zrobiona musi być przynajmniej na okres siedmioletni.

Przy próbie wprowadzenia takiego systemu zbierania na cele kościelne, potrzebna jest oczywiście robota biurowo-administracyjna. Akcja księdza Cynara jest eksperymentem, nie wiadomo czy parafianie zechcą poddać się formalnościom wymaganym przez prawo, szczególnie, że dawanie na tacę i jednorazowe wpłaty nie przedstawiają takich problemów.

Niedaleko od St. Mary's Church na Clapham South, na wielkim placu przy siedzibie OO Ksawerianów odbywa się rok rocznie procesja Bożego Ciała, na którą z całego Londynu zjeżdża trzy do czterech tysięcy osób.



Obok parafii polskiej na Clapham istnieje tam także tzw. Gmina Polska. Autorem pomysłu był podobno Cat-Mackiewicz, który pragnął pokryć całą W. Brytanię gminami polskimi (choć pierwsza polska gmina powstała w Petworth, w hrabstwie Sussex, w 1948 r.).

Gmina na Clapham powstała w r. 1954 i była ośrodkiem zamkowym. Następnie, w r. 1956 doszło do nieporozumień pomiędzy zwolennikami zamku a resztą członków Gminy; po zmianach w zarządzie i — jak twierdzą obecni przedstawiciele Gminy — dopuszczeniu do głosu szerokiego ogółu — Gmina

określiła swój charakter jako a-partyjny i a-polityczny w sensie wewnętrznej polityki emigracyjnej (jak nam to sformułował jeden z jej przedstawicieli: My, członkowie jesteśmy emigracją polityczną, ale nie na wewnątrz). Ilość członków zwiększyła się. Nowy zarząd objął zarówno zamkowców, jak i zjednoczeniowców i osoby niezaangażowane po żadnej stronie.

Gmina postawiła sobie za cel: 1. zorganizować rozbite społeczeństwo („Ludzie się nie znają, nawet mieszkający na tej samej ulicy”); 2. zorganizować młodzież („Dużo teraz opuszcza szkołę, idzie do klubów angielskich”); 3. zebrać pieniądze na dom i kupić lub wybudować Dom Polski, jak i wielką skalę („Na wynajmowanie sal idą bajonkie sumy”).

Przedstawiciele Gminy obliczają, że w okolicy Londyn-Południe — taka jest nazwa Gminy — mieszka około 4.000 Polaków. Swój zasięg terytorialny Gmina pojmuje bardzo szeroko: Clapham, Lewisham, Crystal Palace, Camberwell, Peckham, Putney, Stretham, Brixton; jednym słowem — od Morden do Kensingtonu.

Mimo, że w pracach Gminy biorą udział ludzie młodzi, niektórzy z wykształceniem, jak wybijający się kreślarz, czy paru studentów, pierwsze skrzypce grają byli wojskowi. Panuje jednak przekonanie, że młode pokolenie zaczyna przejmować ster. (Sceptycy jak zwykle pytają: czy kilka jaskółek robi wiosnę?).

Stosunki między Parafią a Gminą są poprawne. Członkowie Gminy twierdzą, że nie chcą wojny z parafią. Jak się w dalszym ciągu ułoży podział kompetencji, to inna sprawa. Gminę cechuje pewna zachłanność, co wyraża się szczególnie w jej stosunku do miejscowej szkoły sobotniej, do harcerstwa i innych możliwości działania.

Oprócz Gminy Londyn-Południe, zorganizowała się na terenie Londynu w r. 1959 Gmina Londyn-Zachód, w jakimś stadium organizacyjnym znajduje się Gmina Londyn-Północ.

Powstawanie gmin odzwierciadla przesuwanie się punktu ciężkości ze śródmieścia na peryferie.



Oprócz parafii i gminy. Clapham ma jeszcze inny dorobek, i to w dziedzinie na emigracji niezmiernie ważnej: wychowania dzieci i młodzieży.

Piszemy, że jest to dorobek Clapham, gdyż miejscowi Polacy pomogli walnie w pracach instytucji, o której za chwilę. I tak np. zawdzięcza ona wiele ks. Cynarowi i pomocy członków parafii. Ale zasługa stworzenia tej instytucji, jej rozbudowy, podtrzymywania a następnie walki o jej istnienie należy przede wszystkim do Melanii i Tomasza Arciszewskich. Pani Melania Arciszewska włożyła w tę instytucję swoją ogromną energię, czas i całą duszę. Tomasz Arciszewski — stanowił jej moralną podporę, aż do momentu swojej śmierci na peronie londyńskiej kolejki podziemnej.

Stąd też dzisiaj dom pod numerem 50 Nightingale Lane — Alei Słowika nazwany jest jego imieniem i nazwiskiem.

Wchodzi się do domu przez mały dziedziniec, nieco zapuszczony. Nad dużymi drzwiami orzeł biały. Otwiera pani Melania Arciszewska, od r. 1946, a więc od założenia, prezes Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży, które ma tutaj swoją siedzibę.

Pani Melania prowadzi nas do kancelarii. Po drodze zamienia kilka słów z prostą kobieciną, która cały czas zwraca się do niej „Pani Prezes”. Normalnie raziloby to nas. W tym wypadku wywołuje jedynie życzliwy uśmiech: dla Pani Melanii trudno nie mieć szacunku a dla jej pracy uznania.

Pani Prezes jest dzisiaj mocno przygnębiona. Jest właśnie w ostatniej fazie walki o ratowanie Domu Dziecka, znajdującego się w Heathfield, w hrabstwie Sussex. Likwidacja tego domu oznaczać musi bowiem początek końca szerokich prac Towarzystwa.

Cała rzecz rozbija się o brak funduszy i zrozumienia ze strony społeczności emigracyjnej tak prostych potrzeb jak utrzymanie domu dla dzieci nieślubnych, sierot i kalek.

Niestety, walkę tę Pani Melania przegrała — w parę miesięcy później dom został zlikwidowany.

Ktoś powinien napisać kiedyś historię Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży. Na przestrzeni 14 lat swego istnienia założyło ono i prowadziło dwie bursy: dla chłopców i dziewcząt, Dom Dziecka, kolonie letnie, a równocześnie wydawało raz na rok zbiór materiałów pomocniczych dla urządzania obchodów miesiąca dziecka, podczas którego odbywały się zbiórki na cele Towarzystwa. Ponadto Towarzystwo miało kilka swoich oddziałów na prowincji i przyczyniło się poważnie do zainteresowania się problemami najmłodszego pokolenia i rozwoju szkół sobotnich. Pewne rezultaty, a nie jest winą Towarzystwa, że nie były one większe, dała także stała troska i ciągle poszukiwanie autorów nowych utworów dla dzieci. Utworów dobrych,

pisanych z myślą przede wszystkim o dziecku polskim na emigracji, napisano bardzo niewiele. Te które zostały napisane powstały w wielu wypadkach w odpowiedzi na apel Towarzystwa³.

Ale główny dorobek Towarzystwa to obie bursy, Dom Dziecka, a obecnie licząca 120 dzieci szkoła sobotnia.

Już w drugim roku swego istnienia Towarzystwo zakłada bursę dla chłopców w domu, w którym właśnie jesteśmy. Dom zakupiony został z funduszy specjalnie na ten cel zebranych z okazji miesiąca dziecka a także z darów Polonii amerykańskiej. Rok później założona zostaje w pobliżu bursa dla dziewcząt, nazwana na cześć ofiarności Polonii amerykańskiej (która złożyła na jej powstanie ok. £ 1.000) — Detroit House. W następnym roku zapoczątkowano kolonie letnie dla dzieci w Diddington, na które zjechało 100 dzieci. W tymże samym roku założono przedszkole w pawilonie niedaleko obu burs, a w roku następnym — żłódek. W r. 1953 zakupiony został dom w Sussex. W następnym roku Towarzystwo zmuszone zostało zamknąć bursę dla dziewcząt, ze względu na wygaśnięcie dzierżawy i brak funduszy na zakup odpowiedniego domu.

Dalsza historia, to powolne kurczenie się bursy męskiej, coraz większe trudności finansowe, wreszcie zamknięcie Domu Dziecka (w r. 1955 w bursie było 27 chłopców, w 1957 — 18). Ogółem przez bursę męską przeszło 211 chłopców, przez bursę żeńską — 118 dziewcząt. A więc ponad 300 młodzieży polskiej (głównie sierot) znalazło opiekę, polskie wychowanie, pomoc w pokierowaniu życiem i wyborze fachu, atmosferę koleżeństwa — coś, co zastąpiło im dom.

W Domu Dziecka w Heathfield znalazło schronienie i opiekę na przestrzeni istnienia tej instytucji ponad 30 dzieci. Były to głównie sieroty i półsieroty, dzieci z rozbitych małżeństw, nieślubne lub opuszczone. Pani Melania opowiada nam o wstrząsającym wypadku chłopca 2 i pół letniego, którego matka zostawiła w domu samego. „Dla niego pokarmem i zabawą był kał i mocz”. W Heathfield chłopak odżył, poszedł następnie do szkoły angielskiej.

Pani Melania nie może odejść od tematu Domu Dziecka, widać jak bardzo ją boli zbliżająca się likwidacja. Z szaf wyjmuje setki fotografii dzieci, wychowanków i wychowanek burs, zdjęć ślubnych (w domu przy Alei Słowika odbyło się kilkanaście przyjęć ślubnych skojarzonych tu małżeństw), wszelkiego rodzaju imprez i przedstawień. Coraz to przewijają się piękna

3. Patrz pisemko „ONO”, wydawane przez Towarzystwo.

twarz i sylwetka jej męża, bawiącego się z dziećmi, przemawiającego.

Obecnie nawet bursa męska została prawie zlikwidowana. W Domu mieszkają lokatorzy, byli wychowankowie; na pierwszym piętrze odbywają się lekcje szkoły sobotniej — na dużym dziedzińcu za domem, gdzie stoi kilka grusz — zbiórki zuchów i harcerzy.

Ale i te prace stoją pod znakiem zapytania. Gmina Londyn-Południe chciałaby przejąć szkołę sobotnią i opiekę nad harcerstwem; doroczne wydawnictwo Towarzystwa ostatnio już się nie ukazało. Ale to co Pani Melania już dokonała pozostanie jej trwałym dorobkiem.

Odwiedziny w Szkole Sobotniej

Z Clapham, z południowego Londynu, jedziemy na północ, do Willesden, gdzie mieszka duża kolonia polska i gdzie odwiedzamy szkołę sobotnią.

Ośrodek polski na Willesden zorganizował się dzięki szkole sobotniej, a nie jak to zwykle bywa, odwrotnie. Założenie szkoły sobotniej i potrzeby związane z jej rozwojem i utrzymaniem, spowodowały potrzebę zorganizowania się tutejszej Polonii.

Do szkoły sobotniej w Willesden zapisanych jest 160 dzieci — na lekcje przeciętnie uczęszcza 140. Szkoła korzysta z budynku miejscowej szkoły angielskiej, płacąc £ 4.5.0. za sobotę.

Przyjechaliśmy tu specjalnie, żeby posłuchać lekcji. Idziemy więc najpierw na lekcję pani Otwinowskiej, znanej dzieciom emigracyjnym (i starszym) ze swych utworów, przeróbek i sztuk oryginalnych, a także urządzanych przez nią imprez dziecięcych (np. świetne przedstawienie jasełek siłami szkoły na Willesden) i prac w Teatrze dla Dzieci. Pani Otwinowska prowadzi na Willesden najstarszą klasę. Liczymy: 21 dzieci.

Trafiliśmy na lekcję polskiego. Dzieci czytają sielanek Brodzińskiego „Wiesław”, a następnie własnymi słowami opowiadają historię jego perypetii. P. Otwinowska pyta: „Powiedz Zosiu, co Stanisław mówi do Wiesława”. Dziewczynka odpowiada: On mówi do Wiesława: „Mój Wiesławie, pojedź do rynku...”. Nauczycielka interweniuje: „Jaki Zosia zrobiła błąd?” Poprawia sama z braku reakcji klasy. Dalej mówi Hania: „Przed tobą jest długa droga, tu masz kanapki na drogę”. Pani Otwinowska się śmieje: dobre mi kanapki, pewnie wianek kielbasy, parę bochnów chleba. „No a co powiedziała do Wiesława Halina?”. Halina powiedziała: „Nie zapomnij przywieźć mi podarunek ..”.

A więc znowu błąd. Tym razem poprawia chłopak, że powinno być „podarunku”. Jakaś inna dziewczyna parafrazuje to po swojemu, i bardziej kolokwialnie: „Oj, przywieź mi podarunek...”. Następnie dochodzimy do momentu gdzie Wiesław wraca zmartwiony i bez podarunku, po drodze spotkał inną w pubie — czyli karczmie i o niedawnej ukochanej zapomniał. „Co mówi Halina do Wiesława?”. Jakaś dziewczynka odpowiada: „Jak mogłeś tak do mnie zrobić...”. Klasa natychmiast poprawia, równocześnie odzywa się głos: „Ona mówi: „Ty świniol”. Ktoś inny podsuwa: „zdrajca”. P. Otwinowska prostuje, że to za mocne określenia. Wystarczy: „Ty niewdzięczny”. I tak lekcja toczy się wśród żywego zainteresowania całej klasy. Podziwiamy sposób prowadzenia lekcji, dowcip i umiejętność utrzymania uwagi. Jest to jedna z najlepszych lekcji, na jakich byliśmy.

Podczas przerwy, kiedy dzieci dostają mleko, słuchamy deklamacji Halinki, urodzonej aktorki, grającej główne role w przedstawieniach urządzanych przez panią Otwinowską. Trudno o piękniejszą dykcję polską, nawet zaśpiew. Dziewczyka nosi warkocze i ma grację ruchów jakby żywcem przeniesioną z Mazowsza, Kujaw, Podola czy Wołynia. Jest to tak naturalne, że aż dziwne, chciałoby się podejrzewać, że dziewczynkę uczono na wzorach tancerek z Mazowsza. Dopiero w porównaniu z tą tak typową polską twarzą i gracją ruchów i postaci, widać jak bardzo niektóre dzieci nabrały „fizycznych” cech dzieci angielskich.

Większość dzieci w szkole ma duże trudności z wymową, może nawet większe z pisownią. Oto np. pisownia „książki” — „kczowska”; lub „zatrzymał się” — „zaczynał się”; „iść” — „isch” itd. Im dzieci starsze, tym gorzej piszą po polsku, tym większy wpływ angielskiego — mówi p. Otwinowska.

Idziemy następnie także na lekcję języka polskiego, prowadzoną przez Danutę Pniewską, działaczkę harcerską jeszcze z Indii, poświęcającą z zamiłowaniem większość wolnego od pracy czasu na sprawy harcerskie, kolonie letnie, szkołę sobotnią, pisanie dla dzieci, redagowanie dziecięcych i młodzieżowych pisemek itp. Klasa Danuty Pniewskiej to dzieci od lat 9 do 10. Raczej niesforne, jak większość dzieci w szkołach angielskich, gdzie istnieje niezmiernie poważny problem dyscypliny.

Dzieci czytają wiersze, robiąc wprost fantastyczne błędy w wymowie. Mimo, że lekcja prowadzona jest dobrze, klasa coraz to wyłamuje się spod kontroli. Niektóre dzieci rozmawiają ze sobą po angielsku. Ich polszczyzna jest już strasznie uboga. Nauczycielka pyta co to jest, i pokazuje statek na obrazku. Odpowiedź brzmi: „To jest ship”. Inny chłopak poprawia: „Nie,

to motor boat". Następnie przechodzimy do określania czasu i opisywania zegara. Z tym są też ogromne trudności.

Po lekcji Danuta Pniewska pokazuje nam wypracowania swoich uczniów. Niektóre z nich nadają się stanowczo do uwiecznienia.

Oto wypracowanie 9-letniego chłopca, pt. „Mój kolega”.

Na rogu kartki: 9 late

Mój kolega nazywa się chunky, jest mały i marmoladowe włosy. jest wesoly i gryzie. bo on jest cot”.

A oto wypracowanie prawie 10-letniej Danusi

latd 9 3/4

„Moja koleżanka sie nasjwa Olivia. Ona jest wesowa i ma ciemne wołsy i bronsowe oczy. Ja zawsze sną hosze do skoły i do domu z skoły. Ona ma dwoje siostry. edna ma 15 latd a druga ma 13 latd”.

Ten sam temat, w opracowaniu 10-letniego Czesia B.

„Mój kolego

Ja nie mam kolegi chopcy, to ja mam kolegi jeża. On je robacki i mleko z chlebem. On jest bronzowy i ma żółte ocy. On jest mały i wesolo. Ja jego pouce co dzień w ognku. My oba luby się barzo. On ma duze clatke i zabije myszy. On ma 3 lata”.

P. Pniewska słusznie zbiera te wypracowania jako okazy swoistej poezji i językowego dowcipu. (Ktoś powie, że nie zamierzonego?).

Mimo tych trudności, z podziwem patrzymy na tłum dzieci wybiegających ze szkoły po lekcjach. W r. 1953, informuje nas p. Bojakowski, długoletni działacz tutejszej szkoły sobotniej, na lekcje chodziło 7 dzieci, a odbywały się one w prywatnych mieszkaniach.

P. Bojakowski pokazuje nam z dumą wycinki z lokalnej gazety angielskiej, opisujące występy polskich tancerzy na dorocznym konkursie tańców. Każdy taki konkurs daje okazję nie tylko do zebrania oklasków i gratulacji, ale i zapoznania czytelników lokalnej gazety z polskim dorobkiem na tym terenie. Artykuł omawia także pracę szkoły sobotniej i w ciepłych słowach opisuje życie Polaków w ich nowej, przybranej ojczyźnie.

Quartier Polonais

South Kensington z okolicami, to jedna z piękniejszych części Londynu. I ciekawszych. To także dzielnica, która najbardziej zasługuje na nazwę *Quartier Polonais*.

Przejdźmy się po niej spacerem, zaczynając od stacji kolejki podziemnej, Hyde Park. Za nami jest Green Park (trochę w lewo) i Piccadilly Circus, centrum Londynu. Po prawej stronie mamy ogromny i słynny park, Hyde Park, którego przedłużeniem jest Kensington Park. W lewo droga prowadzi do stacji kolejki podziemnej i stacji kolejowej, Victoria Station.

Idąc przed siebie po prawej stronie ulicy, uderza nasze oczy elegancka witryna wystawowa pod Nr 38, Knightsbridge, dająca wgląd do wnętrza sklepu — gdzie — na dalszym planie — obok pięknej ceramiki w stylu nowoczesnym, wyrobów z tego żelaza, ludowych ozdób, tkanin, nowoczesnych wyrobów ze szkła, waz i płyt (Mazowsze, kolędy, pieśni żołnierskie, przeboje), stoją także rzędy polskich książek na półkach i można kupić polskie czasopisma. To księgarnia „Orbis” (Polonia), prowadzona przez dyr. Olechnowicza, człowieka zasłużonego dla polskiego ruchu wydawniczego na emigracji („Orbis” istnieje już 16 lat), szczególnie jako wydawcy „Biblioteki Autorów Polskich”, w której ukazały się takie pozycje jak przedruk słynnej przed wojną powieści Goetla „Z dnia na dzień”, Józefa Mackiewicza „Droga do nikąd” i „Karierowicz” i in., a także wydawcy wspólnie ilustrowanego dzieła zbiorowego pt. „Polska i jej dorobek dziejowy”.

Dzisiaj „Orbis” wyłączył się nieco z ruchu wydawniczego, i jak wskazuje nasz krótki opis sklepu, sprzedaż książek znalazła się na dalszym planie. Niemniej „Orbis” pozostaje najelegantszą polską księgarnią w Londynie. Sama ulica Knightsbridge jest dziś jedną z najdroższych i najwykwitniejszych w mieście. Ceny kwadratowego yarda wzrosły na niej do fantastycznych proporcji. X metrów sześciennych zajmowanych przez księgarnię dyr. Olechnowicza ma dziś wartość grubych pieniędzy.

Idąc dalej wzdłuż Knightsbridge, mijamy po prawej stronie okazały budynek stojący przy przejeździe z Knightsbridge do Hyde Parku — to dawna siedziba klubu „Orla Białego”, słynnego z hucznych zabaw, wystawnych przyjęć, i pożarów, które w końcu doprowadziły do zamknięcia i sprzedaży tego, przez długi czas najbardziej reprezentatywnego centrum polskiego życia w Londynie⁴.

Z Knightsbridge wchodzimy na Brompton Rd., gdzie znajduje się wspólnie wyposażony sklep Harrodsa. Zanim jednak minie go, aby popatrzeć na wystawę w witrynach sklepo-

4. Po zamknięciu Klubu „Orla Białego” słynny był w polskim Londynie okrzyk Lawińskiego: „Bar wzięty!”.

wych, zajdźmy na chwilę do redakcji „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” i „Tygodnia Polskiego”, pod Nr. 45 Brompton Rd. Wchodzimy na ostatnie piętro, gdzie w paru obskurnych pokoikach mieści się redakcja jedyne go codziennego pisma polskiego w W. Brytanii. Tutaj, jeżeli posłużyć się określeniem W.A. Zbyszewskiego: „najbardziej ponury Polak w całym Londynie, Karol Zbyszewski, pisze w swym ubogim chlewieku codzienną porcję dowcipów i kawałów” i piątkowy „Tylon w Londynie”. Tutaj redaktor naczelny, Aleksander Bregman, rumieni się jak piwonია i chrząkając bez przerwy, sprawuje swą redaktorską funkcję, próbując uczciwie wypośrodkować jakąś kompromisową linię między Rowmundem Piłsudskim i NID'em z jednej strony, a dr. Stahlem, gen. Andersem i Stronnictwem Narodowym z drugiej. Tutaj jeszcze do niedawna odbywały się co pewien czas zebrania zespołu „Konturów”, autonomicznej, jak się wydawało, strony młodych, ukazującej się raz na dwa tygodnie, — wielkiej grudy soli w oku pewnych niezłomnych, porcji drożdży dla umysłów bardziej otwartych — aż okazało się, że w tym wypadku wypośrodkowywanie już się dalej nie uda, i zespół zwinął swoje manatki, aby zrobić miejsce innym, o których zresztą nie łatwo (chyba, żeby redagowaniem zajęło się Brygadowe Koło Młodych „Pogoń”). Tutaj spotkać można Wiesława Wohnouta, Prezesa Związku Pisarzy, człowieka suchego, mającego w swej twarzy jakiś rys uduchowienia, noszącego się dumnie i właśnie wydającego swą drugą napisaną na emigracji książkę. W redakcji Wiesław Wohnout pełni funkcje redaktora technicznego i redaktora „Środy literackiej”, strony ukazującej się co dwa tygodnie, poświęconej omawianiu nowości wydawniczych, wywiadom z pisarzami i wydawcami i plotce literackiej. Tutaj z elegancją w ubiorze i gestach a krasomówstwem na ustach urzęduje Juliusz Sakowski, jeden z powierników „Fundacji Dziennika”, pisujący cotygodniowy felieton, poza tym stały współpracownik „Wiadomości”. Tutaj Wacław Zagórski, autor „Wichru Wolności”, socjalista, redaguje „Tydzień Polski”, sobotnie, powiększone wydanie „Dziennika” o charakterze polityczno-popularnym, — szumnie uważane za tygodnik. Tutaj zagląda czasem Stanisław Baliński, Skamandryta, człowiek za-możny, autor cotygodniowej rubryczki „Rozmaitości”, robionej z polotem i ciekawie; tutaj można również spotkać, dwumetrową postać jednego z redaktorów, Stanisława Grocholskiego, znanego działacza NID'owego i katolickiego. Od czasu do czasu bywa tu gen. Anders, obecny przewodniczący Fundacji. Tutaj przewijają się i inne postacie, ale brak wśród nich Tadeusza Horki, uprzedniego redaktora naczelnego, brak dr. Leszka Kirkena, do

chwili konfliktu o „Dziennik” jednego — wydawało się — z największych potentatów emigracji, sięgającego po rząd dusz, brak Czesława Dobka, nowelisty, który przeniósłszy się z Glasgowa do Londynu, wybił się jako dziennikarz, autora kilku powieści odcinkowych; brak też Janusza Kowalewskiego, uprzedniego redaktora „Tygodnia”, ognistego antykomunisty, autora opowiadań o tematyce emigracyjnej, który po niepowodzeniu „Kurierza Polskiego”, przeniósł swoje pióro na łamy „Rzeczypospolitej”, organu Prezydenta R.P. Brak wreszcie Zygmunta Kona, wygi dziennikarskiego, a brak nie dlatego, żeby odszedł, bo ani on bez „Dziennika”, ani „Dziennik” bez niego, ale dlatego, że znowu go gdzieś poniosło w poszukiwaniu materiału.

Polish Hearth

Przyjrząwszy się wystawom u Harrodsa (sklep ten cieszy się wielką popularnością u polskiego rodzaju niewieściego), przechodzimy na drugą stronę ulicy i po paru minutach spaceru znajdujemy się przed Brompton Oratory. Idąc dalej mijamy Victoria and Albert Museum, i skręcamy w prawo, w szeroką, piękną ulicę Exhibition Road, której nazwa nie wydaje się przypadkowa: Na rogu — wspomniane Muzeum Alberta i Wiktorii, obok — Królewska Szkoła Sztuki, po lewej stronie ulicy (z wejściem od Cromwell Road) wspaniale wyposażone muzeum przyrodnicze, parę kroków dalej: Science Museum (Nauki). Ulica jest prosta jak strzała, wieczorami pięknie oświetlona i wychodzi na Kensington Park. Idąc nią dalej w kierunku parku, napotykamy po prawej stronie szereg wysokich, okazałych domów, z gankami na kolumnkach, o dużych oknach — jeden z nich, pod Nr. 55, to właśnie „The Polish Hearth” — „Ognisko”.

Właścicielem domu jest Towarzystwo Pomocy Polakom, które ma tu swoją siedzibę, wypożyczalnię książek, biuro pomocy i wysyłki paczek, ale samo „Ognisko” zorganizowane jest jako klub, liczący ok. 500 członków, z wybieranym na trzy lata zarządem, TPP zaś poddzierżawia dom. (W Klubie członkami są również Anglicy).

W.A. Zbyszewski nazwał kiedyś „Ognisko” Wawelem emigracji. Do tego miana pretenduje co najmniej jeszcze parę innych instytucji w Londynie i może z większym uzasadnieniem (np. Instytut gen. Sikorskiego, chociaż niektórzy nazywają go „Arsenałem”). W każdym razie Wawel czy nie Wawel, „Ognisko” jest równocześnie i Teatrem Narodowym, i Resursą

Obywatelską, i Pałacem Prezydenckim, i Klubem Brydżowym i Księgarnią, i siedzibą kilku organizacji⁵.

W życiu polskim w Londynie, szczególnie na szczeblach najwyższych, wszystko się o siebie zajeżdża, wydarzenia kulturalne nabierają równocześnie charakteru politycznego, nawet wystawiane od czasu do czasu szmiry noszą piętno wyczynu narodowego, a kluby towarzysko-społeczno-kulinarno-brydżowe urastają do roli pół-oficjalnych lokali reprezentacyjnych. „Ognisko” chlubi się z tym, że gościło u siebie 4 koronowane głowy: króla Norwegii, króla Jugosławii, królową Holandii, wielką księżnę Luksemburgu, a także księżnę Kentu, dwukrotnie: raz w 1943 roku, drugi raz z okazji uroczystości jubileuszowych dwudziestolecia „Ogniska”, które przypadło w lipcu 1960 r.

Nic dziwnego, że mimo iż nieoficjalnie, prywatnie, do „Ogniska” wstęp mają wszyscy, to jednak z reguły odmawia ono sali na zebrania tym osobom z kraju, które zajmują stanowiska urzędowe we władzach reżymu komunistycznego.

Zresztą wynajęcie dużej sali „Ogniska” na imprezy nie jest rzeczą łatwą. Terminy rezerwowane są na miesiące naprzód.

Wejźmy jednak do środka, a wchodząc po schodach, rzucmy okiem na wmurowaną w frontową ścianę pamiątkową płytę z brązu, ku czci rewolucji węgierskiej z 1956 r. Płyta nie jest piękna, chociaż powstała z pięknego gestu.

Otwieramy duże, czarne drzwi i wchodzimy do korytarza, urządzonego w stylu niezbyt gustownej kawiarni *espresso*. Po prawej stronie szatnia, obok kiosk z książkami i gazetami, gablotki, na ścianach afisze przedstawięń, akademii, koncertów chóarów, odczytów. W lewo drzwi do baru, kawiarni i restauracji, na wprost i w dół po schodach — do baru „Pod Pegazem” (gdzie przez pewien czas barmanem był poeta, Marian Czuchnowski).

Kawiarnia, bar i restauracja, po przeróbkach, stały się bardziej eleganckie, z lekka unowocześnione, przestrzenne. Dawniej były to dwie osobne sale, ale dziś dzieląca je ściana została przebita, tak że otrzymaliśmy długi, wysoki hall, ze sztukateriami i ozdóbkami na suficie i ścianach, z dywanami przez całą długość podłogi. Ściany pomalowane są na kolor błękitny, kolor porcelany Wedgewooda; z sufitu rozczapierzają się żyrandole. Na wprost drzwi bufet suto zaopatrzone w napoje alkoholowe i bez-alkoholowe, i maszyna do kawy; wzdłuż dwóch ścian po lewej stronie zrobiono coś w rodzaju sofy przy której stoją

5. A więc T.P.P., Polska Macierz Szkolna, Związek Artystów Scen Polskich, Polskie Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych, Związek Rzemieślników i Robotników Polskich, Związek Ziemi Północno-Wschodnich.

okrągłe stoliki i parę foteli; przy bufecie postawiono wysokie, okrągłe taburety, na których eleganckie panie w obcisłych spódniczkach i z utlenionymi włosami wyglądają trochę groteskowo. Cała reszta hallu to restauracja. Biel obrusów na stołach aż razi oczy; krzesła mają również białawe obicia i czarne nóżki — taka trochę mieszczkańska elegancja. Podają panie kelnerki (podobno tylko z wyższych sfer). Potrawy są dobre i na ogół niezbyt drogie, kuchnia polsko-kontynentalna.

Kto przychodzi tu na obiady?

Utarło się jakoś przekonanie, że przede wszystkim nasza londyńska finansjera i wyższe sfery towarzyskie. W tym jest trochę prawdy: rzeczywiście można tu spotkać właścicieli różnych firm, którym co prawda daleko do milionowych fortun, ale są to, jak na stosunki polskie, ludzi stosunkowo bogaci, a w każdym razie — właściciele.

Co do śmietanki towarzyskiej, to i w tym jest trochę prawdy, dużo jednak snobizmu. Jadają tu i hrabiny i hrabiowie, ale jedni twierdzą, że „sztuczni”, inni, że „austriaccy”, inni, że w każdym razie bardzo nieliczni. Prawdą jest natomiast, że „Ognisko” nastraja zarówno do patriotyzmu, jak i do pewnego rodzaju manier i stąd wrażenie wysokiej *society*.

Poza tym spotykają się tu różni ludzie: pracownicy polskich instytucji kulturalno-polityczno-naukowych, firm polskich i angielskich z okolicy, pisarze, aktorzy, oficerowie, starsze angielskie *ladies*. Często gościem jest Hemar, kiedyś cięty satyryk, autor granej niedawno w teatrze angielskim sztuki „Cud biednych ludzi”, ciągły i główny dostawca „ogniskowych” rewii i szopek politycznych, dziś już mocno się powtarzający i chyba gotów oddać królestwo za nowy koncept. Zresztą sfery artystyczne bywają rzadziej na obiadach, a częściej na kolacjach i w kawiarni. Można wtedy spotkać reżysera Leopolda Pobóg-Kiełanowskiego, który jest ponadto kierownikiem londyńskiej filii Radia Wolna Europa — sylwetka wysoka, nobliwa, orli nos, siwy włos, czarujący uśmiech — i jego ciemną jak Hiszpanka żonę; Renatę Bogdańską, pieśniarkę estradową, występującą w brytyjskiej telewizji, i w klubie „Pigalle” na Piccadilly (właściciel — Polak), żonę gen. Andersa; z aktorek: Milę Kamińską, już nie grywającą, żonę dr. W. Czerwińskiego, prezesa Egzekutywy Z.N., Romanę Pawłowską, Jadwigę Domańską, (do niedawna, gdyż właśnie wyjechała do Stanów), Marię Arczyńską, Ninę Oleńską, Krystynę Dygatównę, Korę Brzezińską, Władę Majewską (z dawnej „Lwowskiej Fali”) — aby wymienić tylko połowę nazwisk. Z aktorów i reżyserów: Józefa Bzowskiego, Zygmunta Rewkowskiego, Szpiganowicza, Stanisława Kostrzew-

skiego. Witolda Sikorskiego — sekretarza generalnego ZASP'u, Ryszarda Kiersnowskiego, Ludwika Lawińskiego, Zięciakiewicza, Ref-Rena, Malicza.

Regularnie na kolacjach bywa dr Zygmunt Nowakowski, patriarcha emigracji politycznej, prezes rzeczywisty i honorowy wielu organizacji, pisujący nadal felietony do „Dziennika”; siwiutki, niedowidzący. Krąży legenda (a jest to postać pół-legendarna nawet w Londynie), że zaczyna najpierw od podwójnej porcji, (tzw. *dabla*) ginu w barze „Pod Pegazem”, a zjadłszy kolację, szuka ponownie wzmocnienia, ale już przy bufecie w restauracji.

Oprócz tego kręgu artystyczno-śpiewaczego, do kawiarni i restauracji uczęszczają co pewien czas Polacy ze wszystkich stron Londynu; jedni na plotki, inni dla odświeżenia swej polskości (co bywa równoznaczne), inni na spotkanie, dla załatwienia interesów, pisarze dla przedyskutowania nowego wieczoru literackiego; najpełniej jest w dniu przedstawień i obchodów uroczystości. Warto jest przyjść czasem do „Ogniska” po to tylko, by poobserwować i posłuchać rozmów, które polskim zwyczajem często prowadzone są głośno. Można zresztą, o ile ktoś nie obraca się w tych sferach ciągle, popełnić gafkę, rozpoczynając np. rozmowę z pewnym pułkownikiem, który akurat jest towarzysko bojkotowany za artykuł krytykujący Marszałka (Piłsudskiego). Można także dowiedzieć się niezliczonej ilości plotek, w rodzaju tych, że państwo X, których dotychczas uważało się za małżeństwo, wcale nim nie są, a że do pana Z przyjechała żona z Polski i biedak na ten czas musiał swoją tutejszą żonę, Angielkę, wysłać do rodziców na głęboką prowincję; można czasem usłyszeć dysputę polityczną z rodakiem z kraju, i nie trzeba się dziwić gdy w dyspucie tej okazuje się, że rodak z emigracji zna lepiej kraj niż przyjezdny, a w każdym razie, że jest o tym święcie przekonany; częściej jednak można posłuchać wrażeń kogoś wracającego z urlopu z Polski, a takich jest z każdym rokiem więcej. Można się poza tym dowiedzieć całej masy szczegółów dotyczących spraw kupna i sprzedaży. Czasami komentuje się — rzadkie zresztą — wygrane na pool'u, są i tacy co spekulują na londyńskiej giełdzie.

Dysputy polityczne wewnętrzno-emigracyjne są już coraz radsze; ostatnim ich wybuchem był okres procesu przeciwko „Narodowcowi”.

Częstymi gośćmi w „Ognisku” są przyjezdni rodacy z Ameryki, Kanady, Afryki i Bóg wie skąd. Odwiedzają Londyn nieraz jakby swą drugą ojczyznę; odbijają od polskich tubylców

opalenizną, pełniejszą kieszenią, aparatem fotograficznym. Po krótkim pobycie normalnie wracają do siebie rozczarowani widocznym brakiem wigoru i dynamizmu polskiego środowiska w Londynie.

Ostatnie przeróbki w „Ognisku”, szczególnie ograniczenie miejsc w kawiarni do paru stolików i taburetów przy bufecie, oznaczają, że ciężar życia towarzyskiego przeniesie się do restauracji — a to wpłynie pewnie na rodzaj klienteli: rzadziej zjawiać się będą starsze panie na pogawędkę trwającą kilka godzin, przy jednej herbatce, mniej będzie konferencji przy kawie, itp. W tych ostatnich przemeblowaniach widoczna jest chęć przyciągnięcia ludzi, których stać na porządną kolację czy obiad, może przyciągnięcie szerszej klienteli angielskiej, a więc ogólnie biorąc, podwyższenie dochodowości lokalu.

Na pierwszym piętrze, dokąd prowadzą szerokie schody, jest też stosunkowo duża, z dwóch części składająca się, sala teatralna, służąca coraz częściej brydżowi rzadziej na przedstawienia, akademie i zabawy (jednym z czołowych brydżystów jest gen. Anders). Scena jest mała, kulisy wiecznie czymś zapchane, siedzenia niezbyt wygodne, ale za to z sufitu ochładza publiczność elektryczny wiatraczek. Tutaj odbywają się różne uroczyste przyjęcia z okazji wizyt wybitnych Polaków zjeżdżających do Londynu z całego świata, jak np. herbatka wydana na cześć Kazimierza Wierzyńskiego, na której był świat towarzysko-polityczno-literacki, szły mowy, całowano się z dubeltówki, były recytacje; lub wieczór autorski tegoż poety, kiedy sala była wypełniona po brzegi, a na scenie odbywały się deklamacje, melo-deklamacje i udramatyzowane deklamacje (tak jakby dobrej poezji nie wystarczała — dobra recytacja). Dla wielu sympatyków poezji skamandryckiej było to jakby odzicie ich wczesnej, warszawskiej młodości, kiedy nad głowami „pękała im bania z poezją”. Niemniej — poezja w „Ognisku” jest rarytasem: większość wieczorów literackich odbywa się w jednej z sal Instytutu gen. Sikorskiego.

Na następnym piętrze znajdują się mniejsze salki, służące na zebrania; z jednej z nich korzystał od czasu do czasu Klub „Piątego Koła”; jeszcze wyżej są pokoje gościnne.

Zjedźmy teraz na parter w pudełeczku małej windy i zanim skierujemy się w podziemia, gdzie jest bar „Pod Pegazem” i kuchnia, przejrzyjmy wydawnictwa sprzedawane w kiosku. Z wyjątkiem „Tygodnika Powszechnego” i „Stolicy”, czasopism krajowych tu się nie sprzedaje. Nie można znaleźć tu także „Oblicza Tygodnia”, „Jutra Polski” i „Rzeczypospolitej”. „Obli-

cze Tygodnia" uważane jest za pismo „na bakier” z postawą niepodległościową: „Rzeczpospolita”, organ zamkowy, początkowo nie uzyskała w „Ognisku” debitu, później jednak, kiedy „Ognisko” było gotowe debitu udzielić, redaktor nie skorzystał z okazji, „Jutro Polski” — to organ nikolajczykowców. Oprócz tych pism, znajdziemy tu jednak większość czasopism emigracyjnych, z „Wiadomościami”, „Kulturą”, „Dziennikiem”, „Orłem Białym”, „Myślą Polską” i „Gazetą Niedzielną” na czele. Sprzedawane są również książki emigracyjne i niektóre krajowe oraz angielskie o tematyce polskiej (głównie). Poza tym w kiosku sprzedaje się bilety na prawie wszystkie przedstawienia i imprezy; miejsca można zamawiać telefonicznie.

„Pod Pegazem” — to mały, przytulny barek. Stoliki stoją pod ścianami, zostawiając środek podłogi na tańce. Przygrywa orkiestra Jamajczyków. Ruch bywa tu różny, coraz częściej przychodzi młodzież. Jest to na ogół młodzież bardziej wrośnięta w życie emigracyjne — członkowie Zrzeszenia Studentów i Absolwentów, Stowarzyszenia Polskiego na Uniwersytecie Londyńskim, Brygadowego Koła „Pogoń”, wychowankowie nieistniejących już polskich gimnazjów. Kawalerów — często jeszcze młodych tylko dzięki przebywaniu na emigracji, przyciąga niezbyt zresztą duża szansa poznania ewentualnej przyszłej żony; niektóre panny przychodzą w podobnych celach, ale przychodzą także małżeństwa. Czasami spotyka się twarze zupełnie nowe: są to albo studenci z kraju, znajdujący się przejazdem w Londynie, lub młodzi z kraju, którzy przybyli tu na stałe; jesienią może zdarza się nowy narybek uniwersytetów i kolegów londyńskich. Czasem dziewczęta, na przykład z wydziału sztuki, przychodzą w strojach wskazujących na powiązania z cyganerią artystyczną Chelsea, a w każdym razie na wpływ tej cyganerii na modę; wysokie, spiętrzone sztucznie fryzury, kolorowe szminki, mocno podmalowane oczy, zdarzają się zamiast spódniczek — spodnie, krwawe lub srebrne paznokcie. To *Coca-Cola generation*, dwudziestolatki, nie zawsze mówiące dobrze po polsku, dla których bar „Pod Pegazem” nie różni się specjalnie od wielu innych, podobnych lokali angielskich. To pokolenie rzadko już myśli o „Ognisku” kategoriami polskiego Wawelu.

Utarło się zresztą przekonanie, że „Pod Pegaza” przychodzi tak zwana złota młodzież. Tak, i tutaj snobizm odgrywa swoją rolę: blondyni około trzydziestki błyskają sygnetami przybierając wytworne pozy, ale kiedy orkiestra zaczyna grać jakąś skoczną melodię, mały barek zdaje się pękać od roken-rolujących par, co wciąż jeszcze oburza bardziej statecznych bywalców, którzy uskarżają się na inwazję młodzieży. Stąd inne znaczenie okre-

ślenia „złota młodzież”, stąd także przekonanie o szybkich postępach wynaradawiania się.

Zarząd „Ogniska” świadomie dąży do uczynienia potańcówek młodzieżowych „Pod Pegazem” modnymi. Jak wszędzie, względy patriotyczne łączą się ze względami finansowymi. Myśli się o stworzeniu jakiegoś klubu.

Ale na razie przychodzi kto chce, najtańsza opłata za napoje wynosi 2/-, Jamajczycy grają z werwą, a młodzież bawi się po swojemu. Od czasu do czasu ktoś próbuje tańczyć kujawiaka. Przy tangach stosuje się metodę „policzek do policzka”, przy innych tańcach jak najszybsze obroty; jedynie niektórzy członkowie „Pogoni” poruszają się z pełną powagi godnością. Z młodych bardzo rzadko ktoś się upija.

Biblioteka Polska

Z „Ogniska” do Biblioteki Polskiej, jednej z najpożyteczniejszych i najlepiej prowadzonych polskich instytucji na emigracji, jest dosłownie dwa kroki. Wychodząc z „Ogniska” kierujemy się w prawo i skręcamy w pierwszą uliczkę także na prawo. Dom w którym mieści się Biblioteka znajduje się po lewej stronie, pod Nr. 5. Zanim wejdziemy, zwróćmy uwagę na stan budynków obok: okna zasmarowane wapnem; drzwi zamknięte na kłódki. Wytlumaczenie tego smutnego widoku jest następujące: plac, na którym stoi dom Biblioteki, zakupiony został przez znajdujący się niedaleko *Imperial College*, o światowej sławie uczelnię nauk ścisłych (jest tam paru polskich wykładowców i rocznie kilkunastu polskich studentów). Oznacza to, że dom w którym lokatorem jest Biblioteka, stoi na cudzym gruncie. Dzierżawa domu wygasa za lat 16, ale Biblioteka jest zmuszona wyprowadzić się już niedługo, znów prowizorycznie, do sąsiedniego budynku.

Właścicielem budynku, w którym mieści się Biblioteka jest tzw. PUCAL, czyli *Polish University College Association Limited*, organizacja społeczna dysponująca funduszami pozostałymi po likwidacji *Polish University College* (polskiej filii Uniwersytetu Londyńskiego, zlikwidowanej w r. 1953). Fundusze te ułożone są po części w domach, z których jednym jest właśnie dom pod Nr. 5.

Jak doszło do tego, że Biblioteka nie posiada własnego locum? Aby odpowiedzieć na to, musimy pokrótce przedstawić historię Biblioteki.

„Początki Biblioteki sięgają roku 1942, w którym powołana została do życia jako Biblioteka Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W lipcu 1945 po cofnięciu uznania Rządowi Polskiemu Biblioteka została przejęta przez *Interim Treasury Committee for Polish Questions* i zreorganizowana jako Biblioteka Polska w Londynie. Od roku 1947, pracowała przez kilka lat w ramach *Polish University College*, po czym powróciła do dawnej nazwy Biblioteki Polskiej”⁶.

Był to rok 1953, rok w życiu Biblioteki może najbardziej krytyczny, kiedy jej dalsze istnienie stało pod poważnym znakiem zapytania. Dzięki jednak zrozumieniu ze strony władz brytyjskich, i dzięki staraniom społeczeństwa polskiego w W. Brytanii, Biblioteka okres ten nie tylko przetrwała, ale wyszła z niego wzmocniona, z ustalonym statusem i prestiżem.

Starania społeczeństwa polskiego w W. Brytanii o utrzymanie Biblioteki są jednym z przykładów zgodnej akcji całej społeczności w imię wspólnej potrzeby. Konkretnie, akcja wyglądała w ten sposób, że do Rządu Brytyjskiego skierowana została petycja prosząca o zapewnienie Bibliotece dalszych możliwości służenia Polakom w W. Brytanii. Podpisy pod petycją złożyło 21.360 osób. Akcją kierował „Dziennik Polski”, ale z pomocą pośpieszyło wiele innych czasopism i organizacji. Petycja, złożona na ręce ówczesnego Ministra Oświaty przez delegację której przewodził b. amb. w Anglii, Edward Raczyński, spotkała się z przyjęciem pozytywnym ze strony Ministerstwa.



Biblioteka finansowana jest przez brytyjskie Ministerstwo Oświaty, które przekazuje roczną subwencję Komitetowi Oświatowo-Bibliotecznemu. Pozwala ona na utrzymanie 7 osób personelu stałego i 4 pracowników dorywczych; umożliwia systematyczne zakupy nowych książek, prenumeratę czasopism i inne wydatki. Nie pokrywa natomiast wydatków na lokal. Taki był zresztą warunek Ministerstwa, kiedy przychyłając się do prośby, zawartej w petycji, zaznaczyło jednak, że Polacy będą musieli sami zająć się znalezieniem i opłaceniem lokalu dla Biblioteki.

Obecny lokal udostępniony został Bibliotece bezpłatnie, ale mimo przysłowia, że lepszy rydz niż nic, nie jest on ani wygodny, ani wystarczający. W budynku, oprócz Biblioteki, mieszczą się biura i sala imprezowa Stowarzyszenia Techników Polskich oraz salka wykładowa Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Biblioteka zajmuje cały parter — dwie większe sale

6. Cytat z broszury „Apel na Polski Fundusz Biblioteczny”, P.R.C. Londyn 1959. Str. 12.

i pokoik, suterynę i mały pokoik na piętrze. Uderza przede wszystkim ciasnota. W pierwszym pokoju znajduje się Czytelnia i pracownia naukowa. Wzdłuż ścian stoją półki zapchane książkami Biblioteki Podręcznej (do korzystania tylko na miejscu), na dużym stole, przy którym pracować może 8-10 osób, leżą aktualne numery czasopism krajowych i emigracyjnych; jeżeli ktoś chce robić notatki, musi albo czasopisma odsuwać na przeciwległy koniec stołu, lub pisać na nich. Nie ułatwia to pracy, szczególnie, gdy przy stole siedzi parę osób. Z obu stron okna stoją gablotki z periodykami naukowymi i literackimi, głównie krajowymi, ale jest także pewna ilość angielskich i amerykańskich, oraz te, które ukazują się na emigracji. Tutaj tłok jest niesamowity: „Studia Filozoficzne” zasłaniają jakiś inny periodyk filozoficzny, „Dialog” skrył się za „Teatrem”, „Encounter” wychyla się spoza „Slavonic Studies” itd.

W wypożyczalni miejsca jest również skąpo i coraz to trzeba przenosić książki do suteryny. Tam zaś tysiące książek spiętrzone na górnych platformach półek, tak że praktycznie są one wycofane z obiegu. Praca personelu jest szczególnie utrudniona w zimie: jeżeli są mrozy, w suterynie zaczynają pękać rury; jeżeli pada deszcz, książki wilgotnieją i trzeba rozstawiać piecyki naftowe i palić w *boilerze*; czasami rwą się przewody elektryczne i gaśnie światło, lub opada tynk.

Biblioteka liczy 55.000 dzieł skatalogowanych, sklasyfikowanych i ustawionych działowo, 1154 tytuły czasopism (głównie emigracyjnych i krajowych), 153 mapy, 565 nut, 1912 wydawnictw powielanych oraz 206 rękopisów (w tym dziennik Lechońia, z którego drukowane były tylko fragmenty, listy Conrada do J. Galsworthy'ego, korespondencję redaktora „Polski Walczącej” i in.). Roczny przyrost książek wynosi ok. 3.000 tomów, w czym z zakupów mniej więcej połowa, reszta z darów i wymiany z bibliotekami krajowymi.

Z Biblioteki korzystają przede wszystkim Polacy w Londynie, rocznie około 3.000 czytelników, ale istnieje serwis korespondencyjny, który obsługuje rocznie około 500 Polaków zamieszkujących, do których książki wysyłane są w przysyłkach. Roczna cyfra wypożyczeń wynosi od 55.000 — 60.000, co miesięcznie daje prawie 5.000. Przez czytelnie przewija się miesięcznie od 200 — 250 osób.

Biblioteka jest więc miejscem ruchliwym, szczególnie w dnie sobotnie; wtedy dr Zofia Wilczyńska i pani Jadwiga Nowak, pracujące w wypożyczalni, nie mają nieraz nawet chwili wytchnienia. Wypożyczalnia prowadzona jest systemem wolnego dostępu do półek; pozwala to czytelnikom na samodzielne wy-

szukiwanie książek, ale często potrzebna jest pomoc personelu w wyborze lub znalezieniu książki. Zjawisko interesujące: duży procent czytelników (ok. 20 %) stanowią ludzie młodzi, do lat 35. Wychowani na bibliotekach angielskich, zachowują się spokojnie, czytelnie wypełniają pokwitowania. Niektórzy, ale poważnie starsi, korzystają z życzliwej atmosfery aby przedyskutować z bibliotekarkami jakąś książkę, lub między sobą wymienić opinie a nawet po prostu porozmawiać.

Wśród młodych korzystających z czytelni można wyodrębnić dwie główne kategorie czytelników: studentów uniwersytetów, kolegów technicznych i kursów wieczorowych, którzy wypożyczają podręczniki, głównie techniczne, angielskie, i czytelników belestryki. Pewien mniejszy procent stanowią przygotowujący się do prac doktorskich lub magisterskich, czytelnicy zdradzający głębsze zainteresowania humanistyczne, i grupa pisarzy powojennych. Wśród starszych przeważa kategoria czytelników belestryki, ale pewien procent wypożycza również polskie książki naukowe, historyczne, biografie, krytykę literacką itp.

Mówiąc o czytelnikach Biblioteki, warto wspomnieć o rosnącej liczbie czytelników „anonimowych”. Biblioteka współpracuje w wymianie międzybibliotecznej, która polega na tym, że otrzymuje się listy książek poszukiwanych przez różne biblioteki i instytucje i dołącza do nich własne. Biblioteka Polska poszukuje zwykle poloników, natomiast biblioteki angielskie dobijają się coraz częściej o krajowe wydawnictwa techniczne, lekarskie, z dziedziny chemii, fizyki, w ogóle — naukowe. Czasopism tego typu poszukuje najczęściej przemysł angielski (np. koks, smoła, gaz), laboratoria i biblioteki uniwersyteckie, instytucje naukowe, lub biblioteki publiczne. Widać w tym wyraźny wpływ polskich pracowników naukowych, inżynierów, techników, chemików, rozsianych po całej wyspie. Widać rosnące zainteresowanie nauki i przemysłu brytyjskiego dla osiągnięć polskich w tej dziedzinie. Czasami zdarzają się poszukiwania bardziej osobiste: jakiś Mr. Brown z Torquay poszukuje „Pana Tadeusza” w przekładzie na esperanto, ktoś inny „Małżeństwo doskonałe”, jakiś samotny Polak zwraca się przez lokalną bibliotekę publiczną o dzieła Sienkiewicza. Adres Biblioteki znany jest więc nie tylko Polakom, ale i Anglikom, liczba kwerend, listów i telefonów z zapytaniami o informacje bibliograficzne lub z prośbami o wypożyczenie książek lub czasopism wzrasta.

Oprócz tych prac, połączonych oczywiście z katalogowaniem, oprawianiem, itp., Biblioteka prowadzi prace wydawniczo-bibliograficzne. Od roku 1950 ukazuje się w formie kwartalnika

wykaz nowych nabytków Biblioteki pt. „*Books in Polish*”, obejmujący obok wydawnictw krajowych, wszystkie wcielane do zbiorów Biblioteki druki wydane poza krajem oraz obcojęzyczne *polonica*.

Dziełem ogromnej pracy, cierpliwości i poszukiwań jest opracowywana przez zastępcę kierowniczkę Biblioteki, mgr. Janinę Zabielską bibliografia druków emigracyjnych lub książek o tematyce polskiej wydanych poza krajem. Ukazały się dotychczas dwa potężne, powielane tomiska pt. „*Bibliography of Books in Polish or relating to Poland published outside Poland since September 1939*”, obejmujące opisy prawie 10.000 pozycji. W przygotowaniu jest tom trzeci.

Innym wydawnictwem bibliograficznym opracowywanym w ramach działalności Biblioteki jest rozdział pt. „*Polish Studies*” w „*Year's Work in Modern Language Studies*” (Cambridge Univ. Press), wydawany przez *Modern Humanities Research Association*. Jest to bibliograficzny przegląd prac naukowych z zakresu językoznawstwa, teorii i historii literatury polskiej, przygotowywany od r. 1951 przez M. Danilewiczową, długoletnią kierowniczkę Biblioteki.

Obok czytelní, w małym pokoiku kierowniczkę Biblioteki którego ściany zrobione są jakby z książek, zbiegają się nici wielu prac twórczych, sięgające Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Nowego Jorku, Montrealu, Paryża, Rzymu, Indii, Afryki — pięciu kontynentów. Oczywiście, prowadzenie Biblioteki wydawać się może rzeczą nie powodującą kontrowersji, z samej swojej natury — neutralną. Tak mogą twierdzić tylko ignoranci.

A poza tym, kto potrafiłby prowadzić Bibliotekę nie tylko tak dobrze, ale i tak — ujmująco?

Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego

Z Biblioteki Polskiej przejdźmy do Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, który znajduje się o kilkaset kroków dalej (za zakrętem, wzdłuż Kensington Park), na Princes Gate pod Nr. 20.

Jest to okazały budynek, sąsiadujący m.in. z ambasadą Liberii. Wnętrze także robi wrażenie imponujące: przestrzenny hall, szerokie schody, sale duże, wysokie, wielkie okna⁷.

7. Piękno dzielnicy w której znajduje się Instytut i okazałość samego budynku i wnętrza stanowią powód do dumy wielu Polaków. Broszura, wydana w 1957 r. (Instytut Historyczny imienia gen. Sikorskiego) stwierdza że „Siedziba Instytutu... jest najbardziej reprezentacyjną placówką polską w W. Brytanii. I śmiało do niej prowadzić można każdego cudzoziemca”.

Na parterze w wielkim frontowym pokoju mieści się biuro generała Andersa (w pokoju tym znajduje się także biblioteka); równocześnie na parterze i pierwszym piętrze znajdują się ekspozycje zbiorów Ordynacji Krasińskich, reszta budynku zajęta jest przez zbiory i biura Instytutu, gdzie mają swoją siedzibę następujące instytucje: Polskie Towarzystwo Historyczne z redakcją „Tek Historycznych”, redakcja wojskowego kwartalnika „Belona”, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie (wraz z redakcją swego „Rocznika”), Samodzielna Sekcja Historyczna, redagująca wydawnictwo „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”; mieści się tu także biuro byłego Ministerstwa Obrony Narodowej posiadające całą ewidencję z drugiej wojny światowej i wystawiające zaświadczenia odbytej służby wojskowej, stopni i odznaczeń, (w ostatnich latach biuro otrzymuje wiele próśb o zaświadczenia od byłych żołnierzy z Kraju), jest i pracownia dla naukowców.

Instytut jest więc ważnym centrum życia naukowego i prac historycznych, związanych szczególnie z wojskowością. Służy również jako lokal, z którego korzysta pokaźna liczba stowarzyszeń i organizacji polskich: tutaj odbywają się zebrania i zjazdy kół oddziałowych, wystawy z okazji rocznic i o charakterze specjalnym jak wystawa prac dzieci szkół sobotnich, nie mówiąc już o wystawach pamiątek wojskowych obrazujących zbiory Instytutu, oraz zebrania informacyjne, konferencje prasowe, wieczory Związku Pisarzy i nienależącej do niego grupy pisarzy młodych. Specjalną okazją była wystawa dorobku „Pogoni”, poprzedzona przyjęciem raportu przez gen. Andersa.

Ogółem w Instytucie odbywa się około 200 imprez rocznie. Większość z nich ma miejsce w tzw. sali sztandarowej, na pierwszym piętrze, gdzie pod sztandarami, na czołowym miejscu na kominku i na tle lustra, stoi popiersie gen. Sikorskiego. Na przeciwległej ścianie, wysoko, wisi portret generała Andersa, którego nieco marsowy wyraz twarzy widać w lustrze za popiersiem. Spojrzenia obu generałów zdają się krzyżować w przestrzeni.

Poza tym w sali znajdują się inne ekspozycje, na ścianach lub w stojących gablotkach. Obok jest druga wielka sala, (1-go

I dalej: „Z zapadłych nieraz kątów zjeżdżająca do Londynu młodzież nasza, zwiedzając sale Instytutu, zachwyca się, że to polskie, że to własne. Jak doniosło niedawno jedno z pism, gdy wycieczka polskiej młodzieży szkolnej z prowincji zwiedzała wystawę urządzoną w Instytucie, pewien chłopiec zawołał z zachwytem: 'czy to jest naprawdę polski lokal?'”

Autor cytując ten okrzyk zachwyty, nie zauważył oczywiście, ile zawarło się w nim nieświadomej ironii.

Korpusu), w której także znajdują się eksponaty. Zbiory archiwalne, pokatalogowane i uporządkowane są na dalszych piętrach.

O filii Instytutu w Szkocji pisaliśmy już na początku książki. Główną wartość zbiorów w Londynie stanowią archiwa, chociaż i tutaj jest biblioteka i pewna ilość pamiątek wojskowych.

Tak się złożyło, że przy prawie wszystkich większych jednostkach wojsk polskich w czasie wojny powstały komórki archiwalne, zajmujące się gromadzeniem materiałów i dokumentów. Większość zbiorów tych komórek przekazana została następnie do Instytutu, który powstał w lutym 1945 roku, kiedy zarysowała się możliwość cofnięcia uznania przez rządy zachodnie władzom polskim w Londynie. Celem zabezpieczenia tych zbiorów i ich zgromadzenia, powstał właśnie Instytut gen. Sikorskiego.

Ponieważ zbiory te mają dużą wartość historyczną i są nieodzownym źródłem dla badacza dziejów naszej emigracji, podajemy za cytowaną już broszurą dokładny ich opis.

„Posiadane zasoby — pisze p. Regina Oppmanowa, kierowniczka archiwum — można podzielić chronologicznie na trzy grupy:

- 1) odnoszące się do okresu sprzed drugiej wojny światowej;
- 2) odnoszące się do kampanii 1939 roku w Polsce;
- 3) obejmujące okres walk o niepodległość poza granicami

Kraju.

Materiały przedwojenne są stosunkowo nieliczne. Do nich należą akta dyplomatyczne, odnoszące się do pertraktacji pokojowych z Sowietami w 1919-20; stosunków polsko-niemieckich za lata 1931-1939; stosunków polsko-francuskich 1928-1939; negocjacji polsko-brytyjskich o układ sojuszniczy 1939; tyżące się Gdańska od 1935 roku; konwencji polsko-rumuńskiej o współpracy lotniczej i tranzycie lotniczym na wypadek wojny; oraz depesze Ambasady R.P. w Londynie od 1919 roku, raporty i sprawozdania attaché w Lizbonie itd.

Grupa druga — akta kampani polskiej 1939 roku w dużej mierze uległy zniszczeniu. Zachowała się część aktów operacyjnych Sztabu Naczelnego Wodza oraz aktów jednostek lotniczych.

Trzecia grupa, najliczniejsza, obejmuje akta obrazujące odbudowę polskiego życia państwowego poza granicami Kraju oraz działalność Rządu zarówno w dziedzinie politycznej jak wojskowej. W skład tej grupy wchodzi: akta Prezydium Rady Ministrów od 1939 do 1945, część protokołów Rady Narodowej R.P., część akt Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego; część akt Wydziału Akcji Kontynentalnej

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, akta Ministra Delegata Rządu R.P. na Wschodzie, Ambasady R.P. w Londynie oraz Poselstwa R.P. przy Rządzie Jugosławii.

Oddzielny dział stanowią akta obozów internowanych w Rumunii, na Węgrzech i na Litwie.

W dziale akt Armii Polskiej we Francji na uwagę zasługują akta Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, Głównego Kierownictwa Ewakuacji, akta dotyczące wysiłku wojennego 1. Dywizji Grenadierów i Brygady Podhalańskiej oraz akta dowódcy Wojsk Polskich gen. Kleeberga.

Zbiory odradzających się Polskich Sił Zbrojnych po upadku Francji obejmują większość akt władz centralnych jak; Naczelnego Wodza, Ministerstwa Obrony Narodowej, Sztabu Naczelnego Wodza i Sądownictwa Wojskowego oraz jednostek I korpusu. 1. Dywizji Pancerniej, Brygady Spadochronowej, Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie, Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR oraz 2. Korpusu wraz z podległymi mu jednostkami.

Osobne grupy stanowią akta Lotnictwa i Marynarki Wojennej.

Poza zwartymi zespołami akt, Archiwum posiada: 1) zbiór rozkazów obejmujący rozkazy jednostek wojskowych od batalionu począwszy a skończywszy na rozkazach Naczelnego Wodza i Ministra Obrony Narodowej; 2) zbiór dzienników działań i kronik jednostek wojskowych; 3) zbiór rękopisów w postaci relacji, sprawozdań, wspomnień, opracowań odnoszących się w przeważnej mierze do kampanii wrześniowej oraz 1. Dywizji Pancerniej, obozów jeńców w ZSSR, 2. Korpusu i innych jednostek Polskich Sił Zbrojnych; 4) kolekcję materiałów odnoszących się do działalności gen. Sikorskiego, zbiory papierów gen. Andersa, amb. Lipskiego, płk. Zamoyskiego i innych.

Klucz do tych materiałów stanowią poza inwentarzami i katalogami skorowidze osobowe i rzeczowe oraz kartoteki zespołów, organizacyjne, dzienników działań i kronik, rozkazów, kartoteki chronologiczne i rzeczowe akt odnoszących się do stosunków polsko-sowieckich w drugiej wojnie światowej.

W Archiwum Sił Zbrojnych został zestawiony i rozpracowany Dziennik czynności gen. Sikorskiego, stanowiący podstawę i punkt wyjścia do studiów nad całokształtem walki o Polskę od września 1939 do 4 lipca 1943 roku. Właściwy Dziennik czynności prowadzony z dnia na dzień przez adiutanturę Naczelnego Wodza podaje w sposób całkowicie kronikarski w formie lakonicznych zapisków całokształt działalności Generała ściśle chronologicznie, aż do godzin. Część druga — załączniki —

stanowi zbiór materiałów historycznych, ujęty w cztery grupy: 1) materiał dokumentacyjny akty w odpisach; 2) relacje, wspomnienia, opracowania; 3) wiadomości i głosy prasy; 4) fotografie. Całość materiału zawarta jest w 47 tekach. Posiada kartotekę osobową, chronologiczną i rzeczową.

Od czasu ogłoszenia tego spisu, doszły m.in. następujące materiały: część akt Biura Ogólno-Organizacyjnego M.O.N., akta Radia Polskiego, materiały P.O.W.N. w Belgii i Holandii 1940-44; przekazane zostały również z Polskiego Ośrodka Naukowego i Polskiej Misji Katolickiej; część akt I i II Rady Narodowej R.P., część akt Ministerstwa Sprawiedliwości z Komisją powołaną w związku z wynikiem kampanii wrześniowej 1939 r., część akt Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z wydziałem krajowym; materiały Ministerstwa Prac Kongresowych, Min. Przemysłu, Handlu i Żeglugi, Min. Inf. i Dok. i część akt Ministerstwa Spraw Zagranicznych, odnoszących się do stosunków polsko-sowieckich w latach 1941-45 (44 teki). Przekazali również do Archiwum teczkę z korespondencją i akta: gen. W. Anders, gen. M. Kukiel, min. Jan Kwapiński i inni.

Władze Instytutu słusznie dążą do rozbudowania możliwie najpełniej obecnych, już i tak bogatych, zbiorów archiwalnych. Poza Instytutem, nie objęte jego ewidencją, jest np. Archiwum Kancelarii Prezydenta R.P. i archiwa różnych ministerstw. Miejsca przechowywania niektórych akt nie są znane. Niemniej Instytut ma wszelkie szanse skupienia gros akt w swoich zbiorach, pożądana jest chyba dalsza i jak najszersza akcja w tym kierunku, a także unikanie łączenia Instytutu z jednym z obozów politycznych na emigracji. Abstrahując od sprawy tzw. płaszczyny niepodległościowej, Instytut musi mieć pełne zaufanie jako ośrodek czysto naukowy⁸.

Władze Instytutu składają się z Rady, Komisji Rewizyjnej i Zarządu. W Radzie i w Komisji Rewizyjnej zasiadają m.in. ze strony angielskiej: Lord Elgin, jako jej przewodniczący, lord

8. Polityka wynajmowania sali na imprezy jest rzeczywiście bardzo liberalna, i ta strona społecznej akcji Instytutu jest dużą zasługą jego administracji.

Sprawa dostępu do Archiwum ujęta została w następujący sposób: „Archiwum udostępniane jest przede wszystkim dla prac podejmowanych przez instytut lub instytucje i osoby polecane przez deponentów akt. Wyjątkowo mogą być udostępnione wyłącznie dla celów naukowych innym badaczom po dokładnym określeniu tematu i zasięgnięciu opinii Prezydium Komitetu Naukowego. Badacze zwracający się o informacje do Archiwum Instytutu będą otrzymywać nadal zgodnie z przyjętym trybem postępowania potrzebne wiadomości i wyjaśnienia w granicach tego, co jest wskazane w interesie publicznym. („Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie”, t. IX, str. 104).

Barnby (wiceprzew.), lordowie: Ismay, Thurso, Sir Harold Mitchell, bryg. gen. Anthony Drexel Biddle, b. min. Hugh Dalton — socjalista, Auberon Herbert; ze strony polskiej: b. amb. E. Raczyński (wiceprz.), generałowie: Wł. Anders, T. Bór-Komorowski, Marian Kukiel, i inni. Długoletnim prezesem Zarządu jest gen. Marian Kukiel, jeden z najwybitniejszych historyków polskiej wojskowości, autor wielu prac, m.in. książki w języku angielskim „Prince Adam Czartoryski and the European Unity”, prezes Polskiego Towarzystwa Naukowego w W. Brytanii (od jego założenia w r. 1946), przewodniczący Komitetu Redakcyjnego „Tek Historycznych”, członek wielu instytucji, człowiek wybitnie zasłużony dla polskiej nauki historycznej na emigracji. Prezesem honorowym jest p. Helena Sikorska.

W roku 1957 powołany został przy Instytucie Komitet Naukowy, którego zadaniem jest udzielanie Zarządowi i Radzie Instytutu porad i sugestii w sprawach związanych z naukową działalnością⁹. Komitet opracował m.in. plan wydawnictwa serijnego „Akta i materiały do dziejów Polski w dobie drugiej wojny światowej”, które ma obejmować w pierwszej serii trzy grupy akt: 1) Polityczna i wojskowa korespondencja gen. Sikorskiego 1939-43; 2) Akta do stosunków polsko-sowieckich 1939-45; i 3) Akta do dziejów Armii Krajowej. Poczyniono już zaawansowane prace, szczególnie w wypadku akt stosunków polsko-sowieckich*).

W ramach serii „Polski Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej” ukazały się tomy dotyczące kampanii wrześniowej i części Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie (część o lotnictwie wywołała ożywioną kontrowersję).

Fundusze na założenie Instytutu pochodziły ze źródeł wojskowych, i poszły na zakup budynku itp. Następnie powstała kwestia znalezienia nowych źródeł. W czasie swego 15-letniego istnienia Instytut przechodził parę kryzysów finansowych, w związku z niepowodzeniem akcji zbiórkowej wśród społeczeństwa brytyjskiego (której patronował Winston Churchill) i braku stałego źródła wpływów. Mimo to subwencje władz brytyjskich, pomoc amerykańska i dary tak przyjaciół Anglików (których Instytut posiada ok. 100) jak Polaków, pomogły mu przetrwać, a nawet przefamać kryzys. Poważny wynik finansowy dała wśród społeczności polskiej akcja ks. Radziwiłła i pplk. dra Zamoyckiego (członków Zarządu), którzy zwrócili się z osobistym apelem do ok. 200 osób. Kampania ta została następnie poparta

9. Przewodniczącym Prezydium Komitetu jest E. Raczyński; wiceprzewodniczącymi: prof. T. Komarnicki, gen. M. Kukiel.

*) Tom I ukazał się w r. 1961 u Heinemana. Przyp. późniejszy.

przez prasę emigracyjną i przyniosła ok. £ 4.800. Z pozytywnym oddźwiękiem spotkał się również apel o zapisywanie się na członków-przyjaciół Instytutu.

Dzisiaj Instytutowi nie grozi kryzys, ale za parę lat sytuacja może być poważna, pomoc finansowa ze strony społeczności polskiej jest mu więc jak najbardziej potrzebna. Z punktu widzenia wydawniczego, archiwa Instytutu są wciąż jeszcze za mało wykorzystywane, prace postępują raczej powoli, właściwie dopiero niedawno pomyślano o rynku angielskim, a wydawnictwa w języku angielskim mogłyby się stać, oprócz innych ważnych pozytywów, poważnym wsparciem finansowym. Na dalszą metę stronę ujemną, stanowi również wiek ludzi odpowiedzialnych za prace Instytutu. Prawdą jest, że młodych historyków polskich w W. Brytanii jest niewiele, niemniej Instytut uczynił bardzo mało, żeby ich ze swymi pracami związać¹⁰.

Polskie Towarzystwo Naukowe

Wspomnieliśmy już że w Instytucie gen. Sikorskiego ma między innymi swoją siedzibę Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie. Jak wiele instytucji na emigracji powstało ono w myśl założenia, że jest obowiązkiem emigracji utrzymywać lub powoływać odpowiedniki tych instytucji, które w kraju, ze względu na warunki polityczne, albo uległy likwidacji, lub nie mają swobody działania. Ponieważ po zakończeniu wojny pozostała na Zachodzie poważna liczba polskich naukowców, z których tylko część mogła pracować w pełni w swoim zawodzie, a następowała równocześnie likwidacja polskiego szkolnictwa wyższego, powstała w r. 1947 Polska Rada Naukowa na Obczyźnie, do której powołani zostali przebywający poza krajem przedwojenni profesorowie i docenci szkół akademickich, członkowie PAU, Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Towarzystwa Naukowego we Lwowie. Rada miała na celu „reprezentować wobec świata zachodniego wolną naukę polską”. W roku 1949 liczyła ona 48 członków.

W roku 1947 wydany w Warszawie XXV tom „Nauki Polskiej” omawiający polską działalność naukową w Stanach Zjednoczonych, Francji, Belgii, Szwajcarii i Libanie, nie uwzględ-

10. Istnieje tendencja wśród osób odpowiedzialnych za prace tego typu tworzenia z instytucji im podległych czegoś w rodzaju własnego warsztatu pracy. Tak było np. z PRC, który był jakby prywatnym warsztatem pracy prof. Żółtowskiego. W niczym nie umniejsza to zasług prof. Żółtowskiego, ale ma swoje ujemne strony.

nił jednak W. Brytanii. Aby wypełnić tę lukę Rada Naukowa wyszła z inicjatywą założenia organu pt. „Polska Nauka na Obczyźnie”, którego dotychczas ukazały się dwa zeszyty. Dal- szym krokiem, w związku ze zbliżającą się likwidacją Polskiej Akademii Umiejętności i Warszawskiego Towarzystwa Nauko- go, było przekształcenie Rady Naukowej na towarzystwo nau- kowe o ograniczonej ilości członków, nazwane Polskim Towarzy- stwem Naukowym na Obczyźnie. Kiedy w r. 1951 nastąpiła oficjalna likwidacja PAU, PTN-O, jako swego rodzaju spadko- bierca tych instytucji rozesłało do zachodnich instytucji nauko- wych protest w tej sprawie.

W inauguracyjnym przemówieniu, pierwszy prezes Towa- rzystwa, Tadeusz Brzeski (zmarły w 1958 roku) sformułował założenia Towarzystwa w następujący sposób: „czujemy się czę- ścią przedstawicielstwa polskiej myśli naukowej, tej samej, która była przed nami i która żyje pod uciskiem w kraju, zastępujemy ją mocą pracować w warunkach wolności i połączymy się z nią, kiedy będzie mogła znowu swobodnie oddychać”.

Następujące w latach 1955-57 zmiany w kraju i pewna libe- ralizacja także i w zakresie swobód naukowych, dały w wyniku konieczność rozwinięcia tych założeń. W tomie VIII „Rocznika” Towarzystwa znajdujemy następujące sformułowania:

„Jakkolwiek jednym z założeń Towarzystwa jest reprezentowanie, popie- ranie i obrona niezależnej nauki polskiej na obczyźnie, to jednak stoimy na stanowisku, że istnieje tylko jedna nauka polska i uważamy za jej prawdzi- wych przedstawicieli tych wszystkich pracowników naukowych w Kraju, którzy uprawiają ją w czystej, nieskażonej wpływami politycznymi formie”.
.....W myśl tych założeń nawiązujemy kontakty z przedstawicielami świata naukowego w Kraju, które stają się coraz żywsze”.

I dalej:

„Należałoby zadać sobie pytanie, jak na tle sytuacji w Kraju zarysowują się w chwili obecnej zadania Towarzystwa. Od czasu istnienia Towarzystwa zaszły zmiany, które nakładają na nas nowe obowiązki. Instytucje naukowe w Kraju, które znajdują się w stanie zależności od nakazów reżymu, nie mogą reprezentować wolnej nauki polskiej i celem naszego Towarzystwa jest spełnianie tego obowiązku. Stosunki pod tym względem obecnie nieco się poprawiły, jednak droga do uzyskania pełnej wolności nauki wydaje się jesz- cze dość długa”.

Tak więc uprzednie założenia zostały właściwie utrzymane, z tym, że w wyniku nowej sytuacji, zmieniło się nieco zrozu- mienie zakresu działania. Wychodząc z założenia, że nauka w Polsce nie posiada dostatecznego oparcia ekonomicznego, autor cytowanych powyżej słów w dalszym ciągu stwierdza:

„Na poprawę tego stanu niestety nie mamy żadnego wpływu, natomiast wysiłek nasz winien iść w kierunku pewnych osiągnięć, które mogą przynieść pożytek nauce polskiej. Mianowicie, poza granicami Kraju od zakończenia wojny wyrosło nowe pokolenie pracowników naukowych korzystających z najbardziej nowoczesnych urządzeń i pomocy naukowych, a spośród nich coraz większa ilość zdobywa mimo silnej konkurencji wybitne stanowiska naukowe dzięki swym uzdolnieniom... jesteśmy przekonani, że liczne rzesze młodych pracowników naukowych na obczyźnie mogłyby w przyszłości stanowić bardzo cenny nabytek dla Kraju, wolnego od okupacji”.

Autor dalej stwierdza, że w imię właśnie takich przesłanek Towarzystwo popierało zwołanie Kongresu Wolnej Kultury Polskiej (który nie został zwołany, a na jego miejsce odbyła się dwudniowa Konferencja Wolnej Kultury Polskiej w Instytucie gen. Sikorskiego w 1957 r.), „który miał stworzyć organizację skupiającą rozsypanych w świecie pracowników naukowych. Tylko w ten sposób bowiem można zapobiec procesowi bezpowrotnego zespolenia się tych pracowników z nauką kraju, w którym pracują”.

W ostatnich latach Towarzystwo próbowało więc zaradzić w swoim zakresie temu problemowi przez skupienie możliwie dużej ilości młodszych pracowników naukowych.

Członkowie Towarzystwa dzielą się na czynnych miejscowych i czynnych zamiejscowych, ponadto Komisje Naukowe (których jest 6) posiadają współpracowników. W roku 1956 Towarzystwo liczyło 103 członków, z czego 57 na wydziale humanistycznym i 46 na wydziale przyrodniczym, i 77 współpracowników. W roku 1957 — 106 członków, w czym 56 na wydziale humanistycznym, 50 na wydziale przyrodniczym, i 95 współpracowników. W roku 1959 — 117 członków, w czym 66 na wydziale humanistycznym, 51 na wydziale przyrodniczym i 82 współpracowników. Tak więc stan liczebny Towarzystwa utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie, przerzedzany z jednej strony przez śmierć wielu wybitnych polskich naukowców, znanych z okresu przedwojennego, jak Tadeusz Brzeski, Adam Zółtowski, Tadeusz Grodyński, Florian Znaniecki i in., z drugiej strony zasilany pewną liczbą młodych naukowców polskich, wykształconych już na Zachodzie. Liczba ta nie jest duża, i bez wątpienia poważny procent wybitnych lub wybijających się polskich naukowców na Zachodzie pozostaje nadal poza ramami Towarzystwa, niemniej w latach 1957-59 doszli do niego tacy naukowcy, jak dr Jerzy Zubrzycki, wykładowca na Uniwersytecie w Canberra, socjolog; dr inż. Z.S. Makowski, wykładowca na jednym z kolegów Uniwersytetu Londyńskiego; dr Zbigniew Brzeziński, „assistant profesor” nauk politycznych na Uniwersy-

tecie Hawardzkim, czy Ryszard Syski, B. Sc. wybitny specjalista telekomunikacyjny, — wszyscy z młodszych roczników.

W związku ze spodziewanym dalszym napływem młodszych naukowców polskich na członków Towarzystwa, nastąpiła zmiana w statucie, podwyższająca ilość członków ze 120 na 144.

Równocześnie jednak nastąpiła zmiana statutu w związku z coraz częstszymi wyjazdami polskich naukowców do Kraju i możliwością wyjazdów na stałe. Nowe sformułowanie stwierdza że w razie wyjazdu członka na stały pobyt do Polski, ulega on skreśleniu z listy członków Towarzystwa z upływem roku od chwili wyjazdu.

Prace Towarzystwa mają dwojaki charakter: wewnętrzno-naukowy i wydawniczy. Oprócz „Nauki Polskiej na Obczyźnie” wydaje ono „Roczniki”, w których ukazuje się skład osobowy Towarzystwa, sprawozdanie za okres ubiegły, przemówienie Prezesa, tekst referatu wygłaszanego na dorocznym zebraniu publicznym i sprawozdania z posiedzeń naukowych. Towarzystwo wydało także książkę „Adam Mickiewicz — w stulecie zgonu”.

Rocznie odbywa się od 10 do 20 posiedzeń naukowych wydziałów i komisji, na których wygłaszane są referaty i komunikaty. Wydział humanistyczny posiada Komisje: Historyczno-Filologiczną i Etnograficzną. Wydział przyrodniczy — Biologiczną, Lekarską, Techniczną, i Fizyczną. W roku 1958-59 największą ilość posiedzeń odbyła Komisja Historyczno-Filologiczna (6), po niej — Komisja Lekarska (5).

PTN-O nie posiada własnych funduszy i swoją działalność wewnętrzną i wydawniczą utrzymuje z darów. W roku 1957 dary pochodziły ze źródeł następujących: ze Stowarzyszenia Techników, Funduszu Oświaty, Rządu R.P. na Obczyźnie, Komitetu Obywatelskiego, PUCAL'u, Samopomocy Lotników i osobisty dar K. Płoskiego. Razem dało to £ 270. Z wydawnictw uzyskano £ 153. Deficyt na rok 1958 wyniósł £ 50. W roku 1958 z darów uzyskano £ 290, z wydawnictw tylko £ 24. (nie wliczając w to wyd. „Adam Mickiewicz, w stulecie zgonu”). Deficyt wyniósł £ 63. Podstawy finansowe Towarzystwa są więc bardzo kruche.

Mniej więcej 1/3 czynnych członków Towarzystwa mieszka w Londynie lub w bliskiej okolicy; ponad połowa mieszka w Anglii; Wydział przyrodniczy liczy bardzo niewielu członków zamiejscowych.

Przy okazji PTN-O warto wymienić, że działalność naukową prowadzą również: Sekcja Naukowa Związku Lekarzy Polskich na Wychodźstwie, zarządzająca odczyty, przeważnie

wspólnie z Komisją lekarską PTN-O i Stowarzyszenie Elektryków Polskich w W. Brytanii, w ramach miesięcznych zebrań odczytowych. Poza tym w Londynie wydawany jest kwartalnik „Technika i Nauka”, będący organem Polskich Stowarzyszeń Technicznych na Obczyźnie.

Wyższe uczelnie

Po zjedzeniu kolacji w pięknym budynku Stowarzyszenia Lotników Polskich — gdzie znowu mamy Klub, hotel, restaurację, bar — przy 14, Collingham Gardens, obok zielonego skwerku (skwerki są cechą charakterystyczną tej dzielnicy) — odwiedzamy dom Instytutu Wschodniego „Reduta”, pod Nr. 32, przy Bolton Gardens.

Instytut Wschodni „Reduta” powstał na Bliskim Wschodzie w czasie przebywania tam jednostek wojska polskiego i początkowo główne zainteresowanie skupiał na problemach tego właśnie rejonu. Później zajął się problemami Rosji, szczególnie azjatyckim. Po przeniesieniu się do Anglii, miał okres intensywnej pracy, a jego wydawnictwo „The Eastern Quarterly” (pod redakcją M. Chmielewskiego) cieszyło się dużym uznaniem. Wyczerpanie funduszków spowodowało likwidację periodyku i ograniczenie działalności Instytutu. Obecnie urządza on rocznie pewną ilość odczytów, wydaje część wykładów w formie skryptów, prowadzi bibliotekę, liczącą ponad 3.500 tomów. Działalność Instytutu wyznaczana jest obecnie skromnymi dochodami z domu. Na czele Instytutu, jako przewodniczący Rady, stoi gen. Wiatr.

W budynku ma ponadto swoją siedzibę Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych, wynajmująca dosyć dużą salę na pierwszym piętrze.



Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych powstała w r. 1948. Założeniem Szkoły było danie możliwości ukończenia studiów ludziom, którym wojna przerwała naukową pracę. W czasie powstania Szkoły i jeszcze przez kilka następnych lat była to potrzeba bardzo realna i sala wykładowa była zawsze pełna. Odbywały się cykle wykładów — po 2-3 godziny 4 razy na tydzień — z takich dziedzin jak: historia Polski, nowoczesna historia polityczna, doktryny polityczno-społeczne, prawo narodów i stosunki międzynarodowe, współczesne ustroje i prawo polityczne, administracja publiczna, ekonomia, socjologia i służby społeczne, wreszcie studium Polski współczesnej, studium

krajów Europy środkowo-wschodniej i inne. Wśród byłych i obecnych wykładowców spotykamy takie nazwiska jak: dr H. Paszkiewicz, dr M. Kukiel, dr P. Skwarczyński, dr J. Jasnowski, dr J. Starzewski, dr W. Sukiennicki, dr T. Komarnicki, dr B. Hełczyński, dr T. Brzeski, dr A. Zaubermań, dr T. Sulimirski, mec. J. Bloch, Juliusz Poniatoński, Józef Poniatoński, dr M. Grażyński, dr S. Stroński. Już te nazwiska (a nie wymieniliśmy wszystkich) wskazują, że poziom wykładów w szkole był wysoki. Można to zresztą sprawdzić na skryptach, których szkoła wydała, w formie powielonej, sześćdziesiąt kilka (razem ponad 3.000 stron).

Wydawanie skryptów stanowi zresztą podstawę naukowej działalności Szkoły ze względu na charakter uczelni, która w ostatnim okresie właściwie nie prowadzi wykładów, a przez cały czas swego istnienia uwzględniała studia drogą korespondencyjną (będące zresztą główną formą studiów).

Ogólna liczba studentów Szkoły, zamyka się, na podstawie wpisów, cyfrą 800 (do r. 1960). Nie wszyscy, zwłaszcza studenci korespondencyjni, pokończyli studia, pewien procent nie wyszedł nawet poza wpisowe. Cyfra studentów aktywnych za cały okres, tzn. takich, którzy złożyli jakąś pracę pisemną, wynosi około 200 osób (dane z oficjalnego sprawozdania). Liczba egzaminów złożonych z dobrym rezultatem przez słuchaczy i studentów korespondencyjnych wyniosła za cały okres istnienia szkoły — 601, liczba ich prac pisemnych — 949. W porównaniu z tymi cyframi ilość wydanych świadectw i dyplomów wygląda skromnie i świadczy że Szkoła nie wydawała ich lekko-myślnie: Ogółem Szkoła wydała 9 dyplomów ostatecznych, 25 dyplomów na Kandydata Nauk Politycznych i Społecznych, oraz 13 świadectw studiów częściowych i 2 dyplomy na stopień magistra nauk ekonomicznych i społecznych.

Jaka jest wartość tych dyplomów? Otóż nie są one właściwie uznawane przez uczelnie zachodnie, i nie dają startu życiowego porównywalnego z tym, jakie daje każda uczelnia zachodnia. Mogą natomiast w starcie takim pomóc. Na ogół dyplomy Szkoły mają większą wartość poza W. Brytanią. Tym zresztą, m.in. tłumaczy się uporczywość z jaką niektórzy zamiejscowi Polacy całymi latami studiują korespondencyjnie w celu uzyskania dyplomu.

Posiadając nadal dostatecznie silną obsadę i współpracę szeregu naukowców, Szkoła prowadzi obecnie przede wszystkim prace oświatowe w formie urządzanych rok rocznie cykli odczytów publicznych i dyskusji. I tak w ostatnich latach, przy współudziale Instytutu Badania Zagadnień Krajowych, lub wyłącz-

nie we własnym zakresie, szkoła zorganizowała Seminarium Spraw Krajowych, i szereg odczytów o Polsce współczesnej, połączonych z dyskusją, w których wzięli udział również naukowcy z kraju. Odbywały się ponadto wieczory dyskusyjne, w formie bardziej popularnej, na tematy młodego pokolenia w kraju i na emigracji (przy współudziale młodszej generacji emigracyjnej) i odczyty na tematy aktualne (np. współczesna inteligencja sowiecka — L. Łabędź) lub historyczne.

Odczyty te i dyskusje cieszyły się różną frekwencją i stały na różnym poziomie — na ogół dość dobrym. Normalnie zresztą zaznaczała się dysproporcja między poziomem odczytów a dyskusją publiczną, z uwagi na pewne stereotypy jakie wkrały się w prawie wszystkie dyskusje, czy to naukowe czy polityczne na emigracji, jak i ze względu na zróżnicowany kaliber dyskutantów. Na większość bowiem imprez tego rodzaju w Londynie uczęszcza pewna stała grupka osób, często już starszych, niezmiennie zabierających głos na każdy temat. Niemniej szkoła spełnia poprzez swoje wieczory rolę ważną — szczególnie w zakresie współczesnych zagadnień krajowych — chociaż ograniczoną do *summa summarum* około 100 osób.

Z okazji wieczorów dyskusyjnych i odczytów, powiększa się zasób naukowych opracowań. Stąd kładzie się obecnie większy nacisk na wydawanie tych prac w formie kontynuacji skryptów i poszerzenie akcji wydawniczej. Mianowicie, SNPS planuje wydanie kilku publikacji, które będą stanowiły wybór ważniejszych tekstów ekonomicznych, socjologicznych itp. w przekładzie na język polski. Jako pierwsza z tych publikacji ukazała się, opracowana przez mgr. J. Ostaszewskiego, „Bibliografia celniejszej współczesnej literatury zachodniej z zakresu nauk społecznych (ze szczególnym uwzględnieniem literatury naukowej w języku angielskim i francuskim)” — część I. Książka zawiera ponad 3.000 pozycji. Część druga jest w przygotowaniu.

Dziekanem SNPS jest prof. B. Hełczyński, prodziekanem — prof. W. Sukiennicki, Przewodniczącym Rady Naczelnej — E. Raczyński, wiceprzewodniczącym — Adam Ciołkosz. Sekretarzem Generalnym — mgr. J. Ostaszewski.



Ponieważ jesteśmy przy wyższym szkolnictwie polskim, zajmijmy się obecnie Polskim Uniwersytetem na Obczyźnie, działającym w Londynie.

Wspomnieliśmy już, że jego siedziba i sala wykładowa (raczej — salka) mieści się w tym samym budynku co Biblioteka

Polska. Może się wydać dziwne, że tyle instytucji i organizacji w Londynie ma już nie po jednym ale po dwa domy i więcej, a PUNO musi się zmieścić w jednym pokoju — ale w polskim Londynie ci co o istnieniu Uniwersytetu w ogóle wiedzą, zdążyli się już do tego faktu przyzwyczaić. Mała grupa, którą ta dysproporcja razi widzi w niej symbol rozbieżności między frazeologią a rzeczywistym traktowaniem spraw kulturalnych wśród Polaków na emigracji. Pewne wytłumaczenie leży w tym, że PUNO powstał dopiero w r. 1951, a więc kiedy większość funduszków powojkowych była rozdzielona, a nawet przetrwoniona, a domy były już przeważnie pokupowane. Poza tym PUNO, być może niesłusznie, nie ma charakteru, chciałoby się powiedzieć — prawdziwego, — normalnego uniwersytetu, chociaż sytuacja jest tu lepsza niż w SNPS. Do niedawna PUNO pocieszał się tym, że jego dyplomy uznawane były sporadycznie przez zachodnie instytucje naukowe¹¹. Ostatnio nastąpiło polepszenie o tyle, że brytyjskie Ministerstwo Oświaty uznało dyplomy PUNO za równoznaczne z dyplomami przedwojennymi uniwersytetów w Polsce, co praktycznie oznacza, że na ich podstawie kandydaci mogą ubiegać się o stanowiska nauczycieli w brytyjskich szkołach średnich. Jest to niewątpliwie sukces PUNO, ale nie oznacza jeszcze uznania uczelni za równą brytyjskim uniwersytetom.

Lepiej niż w SNPS przedstawia się w PUNO sprawa wykładów i słuchaczy. Najsilniejszym, i praktycznie jedynym w pełni funkcjonującym wydziałem PUNO, jest Wydział Humanistyczny. Sprawozdanie za rok akademicki 1958/59 stwierdza, że w roku tym „prowadzone były w Londynie regularne wykłady, seminaria i ćwiczenia na Wydziale humanistycznym w zakresie

11. W broszurze „Szkolnictwo wyższe i nauka polska na obczyźnie” (Londyn, 1957) znajdujemy na ten temat następujący pasaż:

„...student PUNO, służący w lotnictwie amerykańskim, złożył egzamin uzupełniający z prawa (celem uzyskania magisterium PUNO), przed profesorem Uniwersytetu w Princeton, będącym zarazem kierownikiem tzw. Education Office amerykańskiej bazy lotniczej w N. Yorku. Profesor ten podkreślił w swoim piśmie do PUNO, że mając upoważnienie ze strony uniwersytetów amerykańskich do przeprowadzania egzaminów studentów tych uniwersytetów, służących w lotnictwie amerykańskim, potraktuje PUNO na równi z uniwersytetami amerykańskimi”. (Str. 11).

Dalej autor broszury pisze: „Dyplomy doktorskie i magisterskie PUNO uznawane są przez obce uniwersytety. Tak np. pierwszy doktor PUNO, a obecnie wykładowca na Uniwersytecie Australijskim w Canberra, zawiadomił PUNO, że tytuł doktorski, nadany mu przez PUNO, został oficjalnie uznany przez powyższy uniwersytet. Podobny wypadek zdarzył się w stosunku do jednego z wykładowców Uniwersytetu w Addis Ababa w Abisynii”.

studium historycznego i polonijnego". Były to następujące wykłady:

Historia:

Prof. dr J. Jasnowski: Seminarium historyczne (I i II semestr), Prof. dr M. Kukiel: Seminarium historii nowoczesnej (I i II), Mgr P. Wojtowicz: Paleografia łacińska (II semestr).

Polonistyka:

Dr J. Bujnowski: Z zagadnień metodologii badań literackich:

Analiza estetyczna wybranych utworów literackich (I i II)

Dr W. Guenther: Ideowi spadkobiercy Krasińskiego (I semestr), Prof. dr W. Kwiatkowski: Ćwiczenia z zakresu semantyki (I) Prof. dr W. Kwiatkowski: Analiza różnorodnej wartości wyrazu w twórczości poetyckiej przełomu XIX/XX wieku (II), Dr J. Pilatowa: Gramatyka historyczna języka polskiego (I i II).

Wykłady wspólne:

Prof. dr C. Jędrzejewiczowa: Polska pieśń tradycyjna (II),
Dr W. Strzałkowski: Historia filozofii (II).

Tak, dla przykładu, wyglądał program roku akademickiego 1958/59. Oprócz tego, dla studentów zamiejscowych prowadzony był systematyczny kurs korespondencyjny, oraz działały Komisje Wydziałowe: prawnicza, ekonomiczna, i przyrodniczo-matematyczna. W wymienionym roku, Komisja wydziałowa ekonomiczna przyznała dyplom magistra nauk ekonomicznych kandydatowi z Londynu, prawnicza dyplom magistra praw 2 kandydatom ze Stanów Zjednoczonych, a przyrodniczo-matematyczna dyplom magistra kandydatowi z Londynu.

Komisje wydziałowe nie prowadzą więc systematycznego szkolenia studentów, umożliwiają natomiast dokończenie studiów przerwanych, nostryfikację studiów „zagranicznych” i uzyskanie stopni naukowych.

W roku 1955/56 na Wydziale humanistycznym było 25 studentów miejscowych, oraz 8 doktorantów i 4 magistrantów. Kurs korespondencyjny liczył 54 studentów — razem 91 studentów. Na wydziałach było dodatkowo 10 kandydatów. W roku

1957/58 Wydział humanistyczny liczył: 67 studentów, w tym 37 na kursie korespondencyjnym. Komisje wydziałowe liczyły 18 studentów — w sumie Uniwersytet liczył 85 studentów i doktorantów. W roku 1958/59, Wydział Humanistyczny liczył 60 studentów, w tym korespondencyjnych — 37, a komisje wydziałowe — 14. W sumie — 74 studentów.

Łatwo zaobserwować powolny, ale stały spadek studentów. Niemniej utrzymanie wykładów i fakt, że wciąż do 25-30 studentów w Londynie gotowych jest uczęszczać na wykłady i seminaria, świadczy, że PUNO odpowiada jakiejś potrzebie. Oczywiście, można postawić tu pytanie: dlaczego studenci ci nie studiują polonistyki lub historii Polski na Uniwersytecie Londyńskim, który posiada wydział sławistyczny, z tymi przedmiotami, wyodrębniony w *School of Slavonic and East European Studies*? Odpowiedź musi być uzależniona od poszczególnych wypadków: niektórzy studenci — to trzeba powiedzieć — nie byłiby w stanie uzyskać przyjęcia na Uniwersytet Londyński, lub ukończyć studiów w języku angielskim; innych przyciąga fakt, że w PUNO polonistyka traktowana jest bardzo szeroko, podczas gdy na *School of Slavonic Studies* ujęta jest w ramy sławistyki, a kurs uniwersytecki traktowany jest jako kurs języka obcego. Odkładając jednak na bok względy patriotyczne, jest zrozumiałe, że wartość dyplomu uniwersytetu angielskiego musi być większa. Czyż więc znowu nie mamy do czynienia z produkcją pseudo naukowców czy „intelektualistów”? W dużym procencie wypadków na pewno nie, ale niebezpieczeństwo to jest całkiem realne — powiększanie w taki sposób tytułów naukowych emigracji środowiska i tak już dostatecznie utytułowanego musi wywołać głosy krytycyzmu.

Problem nie jest prosty. Siły profesorskie PUNO na pewno są na poziomie, czego zresztą nie trzeba podkreślać, jako że nazwiska większości profesorów znane są jeszcze sprzed wojny. Ale robienie Uniwersytetu z na pewno pożytecznej imprezy — może wydawać się groteskowe.

Tak jak SNPS, PUNO, ze względu na studentów korespondencyjnych, wydaje niektóre swoje skrypty w formie powielanej. Niektóre z nich ukazują się również drukiem, jak np. „Polska Przedhistoryczna” T. Sulimirskiego i „Rym i wiersz” M. Giergielewicza.

PUNO oczywiście nie może utrzymać się jedynie z opłat studentów. Otrzymuje więc subwencje i zasiłki od powołanego specjalnie w tym celu Funduszu Oświaty Polskiej Zagranicą, a także od *Polish University College Ass. Ltd.* i Komitetu Pomocy Uchodźcom Polskim. (Ostatnio PUNO zorganizowało

cykl wykładów o literaturze polskiej XX wieku dla studentów polskich na Uniwersytecie Londyńskim).

Rektorem PUNO jest obecnie dr Cezaria Beaudouin de Courtenay-Jędrzejewiczowa, wicerektorem przebywający w Stanach Zjednoczonych historyk dr Oskar Halecki; dziekanem Wydziału Humanistycznego (po rocznej przerwie w której dziekanem był dr W. Kwiatkowski), jest ponownie dr T. Sulimirski. Sekretarzem Uniwersytetu jest dr J. Gawenda.



Oprócz tych dwóch uczelni działa ponadto Studium Malarstwa Sztalugowego przy Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego. Społeczność Akademicka USB, której nestorem i Prezesem Rady Naukowej był do swojej niedawnej śmierci prof. Stanisław Kościółkowski, prowadzi wydawnictwo pt. „Alma Mater Vilnensis”, w którym ukazują się opracowania członków „Społeczności”.

Studium Malarstwa Sztalugowego jest domeną znanego malarza Mariana Szyszko-Bohusza, który jest jego kierownikiem i profesorem. Historię i filozofię sztuki wykłada dr Stefania Zahorska. W roku 1959/60 Studium liczyło 42 słuchaczy, w tym 26 cudzoziemców. Dotąd wydało 34 dyplomy. Rok rocznie odbywają się wystawy prac studenckich i dyplomowych.



Pracowników tych uczelni skupia Zrzeszenie Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich na Obczyźnie, którego prezesem po śmierci prof. Adama Żółtowskiego został dr W. Wielhorski, historyk. Zrzeszenie urządza odczyty, ogłasza sprawozdania zawierające przegląd rocznej działalności własnej i członków, bibliografię prac publikowanych oraz sprawozdania z udziału w konferencjach międzynarodowych, o ile takie się odbyły. Ponadto Zrzeszenie w skromnym zakresie pomaga w formie paczek rodzinom profesorów z Kraju.

U Kombatantów

Następnym celem naszej przechadzki po polskim Londynie jest Dom Kombatanta (a właściwie trzy domy, jeden obok drugiego) pod Nr. 18 przy Queen's Gate Terrace — jeszcze jeden „rezerwuar rodactwa” (określenie M. Danilewiczowej), jeszcze

jedna siedziba wielu organizacji, jeszcze jeden bar, restauracja, kawiarnia i lokal taneczno kabaretowy „Pod Grzybkiem”¹².

Kawiarnia znajduje się na pierwszym piętrze, nad restauracją. Mimo corocznego odnawiania, nie posiada ona charakteru tak reprezentacyjnego jak „Ognisko”; przychodzi tu zresztą inna publiczność. Przy stolikach siedzą najczęściej byli wojskowi wspominający dawne klęski i zwycięstwa. Częstym gościem jest płk. A. Kędzior, publicysta pisujący do „Narodowca”, swego czasu mający pewne znaczenie jako Prezes Związku Polskich Żołnierzy Zawodowych (Oficerów i Podoficerów) w W. Brytanii¹³, wyznawca „moralnej siły” emigracji. Z generałów, częstym gościem jest gen. Wiśniowski, mający pieczę nad Kołami Oddziałowymi, i gen. Głabisz, prezes Związku Klubów Sportowych.

Drugą grupę stanowią działacze społeczni, szczególnie działacze i pracownicy Zarządu Głównego, Rady i Kół SPK. Można ich tu spotkać już od 9-tej rano: układowego prezesa Soboniewskiego; p. Krasonia — energicznego działacza sportowego; p. Lewickiego — Sekretarza Generalnego SPK, L. Bojczuka — nieustrudzonego działacza oświatowego (szkoły sobotnie, Związek Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą); harcmistrza Szadkowskiego; b. prezesa Oddziału W. Brytania, p. Domańskiego — członka władz SPK.; A. Czułowskiego, polonistę, swego czasu wielkiego protektora eksperymentalnego teatru młodych „Pro Arte”;

12. W Domu Kombatanta mają siedzibę lub adres następujące organizacje: Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii, Sekretariat Kół Oddziałowych P.S.Z., Związek Polskich Spadochroniarzy, Stowarzyszenie Prawników Polskich w Zjed. Królestwie, Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, Polski Związek b. Więźniów Politycznych niemieckich więzień i obozów koncentracyjnych, Związek Ziem Połudn.-Wschodnich, Związek Polskich Klubów Sportowych przy Radzie Kult. Oświatowej Zjednoczenia Polskiego, Referat Szkolny Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

13. Związek ten stawiał sobie za cel obronę praw i walkę o polepszenie warunków życiowych i warunków pracy b. polskich oficerów zawodowych i podoficerów. Był on na ogół krytycznie nastawiony do PKPR, uważając, że PKPR nie spełnił swego zadania w stosunku do żołnierzy starszych wiekiem, zwłaszcza zawodowych oficerów i podoficerów. Uważając zasilek udzielany tym starszym i często bezrobotnym oficerom za niewystarczający, a „tryb jego udzielania za poniżający dla godności osobistej” władze Związku rozpoczęły akcję zdobycia od rządu brytyjskiego prawa do emerytury dla swych członków na równi z żołnierzami brytyjskimi. Akcja ta, mimo zmobilizowania do niej szeregu wybitnych osobistości brytyjskich ze sfer wojskowych i politycznych (których listy-odezwy popierające tę akcję drukował londyński „Times”), nie powiodła się. Związek próbował również wpływać na wewnętrzne sprawy emigracyjne, występując np. z krytyką gen. Andersa. Sam płk. Kędzior w biuletynach Związku próbował formułować program ideologiczny. Związek zamarł parę lat temu, nie bez pomocy ze strony jego przeciwników.

p. Jurowskiego, prezesa Koła Nr 11, i wielu innych. Odbywają się ciągle konferencje, spotkania prezesów z prezesami, działaczy różnych organizacji, z całego Londynu i Anglii.

Trzecią wyraźną grupę bywalców kawiarni i restauracji tworzą zwolennicy gen. Andersa. Zbierają się zwykle przy jednym stole (najczęściej „Pod Grzybkiem”). Należą tu tak znane postacie oficjalnej hierarchii emigracyjnej, jak gen. Odzierzyński, b. premier jednego z rządów przy Prezydencie Zaleskim i przewodniczący pierwszej Egzekutywy; publicysta, b. redaktor „Orła Białego” — R. Piestrzyński; dr Mękowski, publicysta, działający w Instytucie Badania Zagadnień Krajowych, b. sanator; dr Z. Stahl, również publicysta, b. ozonowiec; Z. Stermiński, również publicysta, przed wojną członek Falangi ONR’u, i wymienieni już Zygmunt Szadkowski i S. Soboniewski.

W soboty po południu, w osobnej grupie znajdziemy Stefana Łochtina, b. członka Stronnictwa Narodowego, który przeszedł dużą ewolucję poglądów po odejściu od prawicy, dziennikarza i publicystę, współpracownika BBC, coraz bardziej wybijającego się specjalistę od zagadnień sowieckich, w towarzystwie paru osób, wśród których jest i zoolog, i geolog i inżynier-elektryk, i paru wykładowców na kolegiach londyńskich, jak Ludwik Angerer, wykładowca na *Battersea Polytechnic*, również były członek Stronnictwa Narodowego, ale nadal przekonany prawicowych, swego czasu główny działacz młodzieżowy na terenie Londynu i wieloletni prezes Zrzeszenia Studentów i Absolwentów; do grupy tej dołącza często Antoni Czułowski, członek S.N.; z pokolenia młodszego, Jerzy Kulczycki, inżynier lądowodny, także długoletni działacz Zrzeszenia S.A.P.U. i były prezes tej organizacji, obecnie redaktor techniczny „Odnowy”, pisma grupy Karola Popiela; czasami przy tym samym stoliku siada Maciej Winiarski, prowadzący pracownię kreślarską (wraz z J. Kulczyckim i dwoma innymi współnikami), zapalony meloman. Grupa ta jest o tyle interesująca, że na ogół nie operuje się w niej schematami, rozmowa bywa bardzo ożywiona, cechuje ją rzeczowość, znajomość przedmiotu. Wśród bywalców kawiarnianych utarło się określać ją mianem grupy niezależnie myślącej inteligencji i określenie to pasuje. Ludzi tych nie łączą jednakowe przekonania polityczne, chociaż paru z nich przeszło przez tę samą szkołę myślenia politycznego, nie łączy ich też tylko więź towarzyska — spotykają się w kawiarni SPK lub u Daquisa, żeby wymienić opinie, podyskutować, omówić ostatnie wydarzenia czy to światowe, czy polskie, czy emigracyjne.

Młodzież rzadko do SPK zagląda, i raczej małymi grupkami. Przez pewien czas miewał tutaj swoje zebrania wyłoniony

przez wszystkie organizacje młodzieżowe na terenie Londynu Komitet Kupna Domu Młodzieży — ale na zebraniach przeciętnie bywało dziesięć osób. Więcej młodzieży, łącznie z tą po trzydziestce, bywa w SPK przy okazji prób zespołów tanecznych (jak zespół im. Kolberga, prowadzony przez Olę Żeromską) — niemniej minęły już te czasy kiedy tak próby zespołów tanecznych jak próby grupy „Pro Arte” czyniły z Domu SPK centrum aktywności młodych¹⁴.

B. Świdorski

Jednym z najczęstszych bywalców kawiarni jest wysoki, silnie zbudowany, z ciemnym wąsikiem na ruchliwej twarzy, Bolesław Świdorski, (swego czasu sekretarz redakcji „Prosto z Mostu”), prowadzący Kiosk w SPK i własne wydawnictwo. Kawiarnia jest zwykle miejscem gdzie omawia i załatwia swoje liczne interesy z Władysławem Kowalewskim, z „Gryfu”, lub z pisarzami, których książki wydaje, czy z przedstawicielami władz SPK. Jego donośny głos wybija się wśród gwaru i zwraca uwagę.

Kiosk prowadzony przez p. Świdorskiego stanowi poważny cień w oku kombatanckiej ortodoksji. Nie tylko sprzedawane są w nim te czasopisma emigracyjne, które stoją poza kręgiem tzw. niepodległościowego obozu, ale można w nim dostać cały szereg czasopism krajowych, od „Polityki” począwszy, przez „Nową Kulturę”, „Kierunki”, po „Tygodnik Powszechny”. Największym zbytem cieszą się krajowe pisma sportowe i tygodniki ilustrowane, jak „Przekrój”, „Stolica”, „Panorama”, „Świat” i in. Nieortodoksja wtargnęła również do działu książkowego, gdzie na czołowym miejscu leżą „Zielone oczy” Mackiewicza, i angielskie książki o Polsce współczesnej, nie zawsze aprobowane przez niezłomnych. Świdorski uważa jednak, że nie jest rzeczą księgarni wykonywać pracę urzędu cenzury i że osoby korzystające

14. Już po oddaniu książki do druku, odwiedziliśmy lokal SPK; stwierdziliśmy, że jest całkowicie przeobrażony, i że powyższy opis ma wartość raczej sentymentalno-historyczną. Mimo jednak, że kawiarnia i bar znalazły się w suterynach, starzy bywalcy zdają się nadal grupować w ten sam sposób jak uprzednio, z dodatkiem nowych twarzy. Spotkaliśmy między innymi dyrektora Biura Podróży Fregata, dyskutującego sprawy wyjazdów do Polski na tle nowoczesnej dekoracji na ścianie. W ogóle kawiarnia i bar urządzone są dość ładnie, chociaż nie jest to już to samo, co przedtem. Reszta dwóch budynków, z wyjątkiem Księgarni B. Świdorskiego, przerabiana jest na mieszkania (flaty), celem zwiększenia dochodowości.

z kiosku są dostatecznie dorosłe, aby wiedziały co i dlaczego chcą czytać. Tak więc Kiosk SPK był chyba pierwszym (z wyjątkiem Cracovii), gdzie zaczęto sprzedawać prasę krajową (i kolportować ją po ośrodkach polskich na prowincji). Było to jeszcze w czasie, gdy w większości instytucji emigracyjnych wszelkie druki krajowe uważane były za godne jedynie kosza lub spalania na stosie. Stąd też dzierżawiąc od SPK lokal księgarni, Świdorski spotkał się na przestrzeni sześciu lat z trzykrotnym wymówieniem. Ostatnie wymówienie miało miejsce zupełnie niedawno, a sprawa oparła się o sąd angielski, który przyznał Świdorskiemu prawo do dzierżawy na następne 4 lata.

Ale prowadzenie kiosku stało się już w tej chwili zajęciem drugoplanowym, na czoło natomiast wysunęła się akcja wydawnicza.

Księgarnia Świdorskiego powstała w 1949 roku, zdobywając szersze podstawy w 1954 roku, kiedy SPK powierzyło Świdorskiemu prowadzenie Księgarni Kombatanckiej. Akcja wydawnicza rozpoczęta została tomem „Mickiewicz Żywy”, który zapoczątkował całą serię „Żywych” — Wyspiańskiego, Krasińskiego, Conrada i Norwida. Szereg innych książek ukazało się na zasadzie subskrypcji, między innymi „best-seller” — „Dzieje Polski Nowożytnej” Konopczyńskiego. W ramach „Londyńskiej Biblioteki Literackiej” ukazały się dotychczas powieści, eseje, wspomnienia i wiersze następujących pisarzy z Londynu i terenu W. Brytanii: W. Czereśniewskiego, M. Danilewiczowej, Sławoja Składkowskiego, Wita Tarnawskiego, Tymona Terleckiego i J. Żywimy. Pytamy Świdorskiego o plany wydawnicze na rok 1961.

„Na rok 1961 przewiduję ukazanie się między innymi następujących pozycji (w ramach LBL): W. Solskiego — „Czarna spowiedź” (nowele), S. Zahorskiej — „Ziemia pojona gniewem” (powieść), antologia grupy poetów londyńskich pt. „Ryby na piasku”, Marii Czapskiej — „Szkice mickiewiczowskie”, J. Węgrzyńskiej-Kościalkowskiej — „Sprawa Nr 1” (powieść), Bohdana Pawłowicza — „Kurki wodne znad Guaiba” (powieść), W. Wohnouta — „Księga z Thurloe Square” (eseje) i inne”.

A poza Londyńską Biblioteką Literacką?

„Tutaj też mogę wymienić wiele tytułów. Przede wszystkim kontynuuję przygotowania do wydania dużego tomu „Pism wybranych” Krasińskiego w opracowaniu dr. Tymona Terleckiego. W moich warunkach wydanie tak dużej rzeczy (tom liczy 600 stron) jest przedsięwzięciem na tyle poważnym, że trudno je urzeczywistnić w krótkim okresie czasu. Oprócz tego w roku

1961 ukaza się: Alf-Jacewicza — „Miranda” (o słynnym obozie odosobnienia w Hiszpanii), Władysławy Zamoyskiej — „Wspomnienia” i Marii Ginalskiej monografia o polskim Bożym Narodzeniu. Będzie to pierwsza tego typu monografia. Dla dzieci wydają piękną książkę — „Złote legendy” M. Lisiewicza”.

Jak ocenia Pan obecny rynek czytelniczy na emigracji?

„Dzisiejsza sytuacja na polskim rynku wydawniczym napawa mnie raczej pesymizmem. Wydaje mi się, że szeregi czytelników, a w każdym razie nabywców książki na emigracji zdecydowanie maleją i wydawca emigracyjny musi rozstać się z marzeniami o większych nakładach. Konsekwencją małego nakładu jest wysoka cena książki. A więc książka wydana na emigracji dziś i w najbliższej przyszłości w małym nakładzie, nie może być tania. Z drugiej strony, znając polski rynek księgarski na emigracji dość dobrze, twierdzę, że istnieje parę tysięcy fanatycznych odbiorców książek polskich, którzy na zmianę każde wydawnictwo popierają i w oparciu o nich odważny ale trzeźwy wydawca może planować”.

Do sierpnia 1960 roku B. Świdzki wydał łącznie 20 tytułów, których ogólny nakład wyniósł 30.000. Największy nakład miał „Nowy Sekretarz Polsko-Angielski” — 5.000, dowód, że tego rodzaju wydawnictwa są nadal potrzebne. Nakłady innych książek wahają się od 800 do 2.000.

Już dziś można powiedzieć, że zapoczątkowanie Londyńskiej Biblioteki Literackiej wpłynęło ożywiająco nie tylko na życie literackie na emigracji, ale i na twórczość samych pisarzy.

Praca

Biuro Pośrednictwa Pracy SPK prowadzi od 13 lat mec. S. Konieczko.

Biuro na początku miało za zadanie pomóc w rozładowaniu PKPR. Nie był to okres łatwy: brak było kontaktów z firmami brytyjskimi i pracodawcami, brytyjski rynek pracy nie wiedział jeszcze, czego może się po polskich robotnikach spodziewać, angielskie związki zawodowe z tradycyjną już nieufnością odnosiły się do nowej siły roboczej, bojąc się konkurencji, w prasie ukazywały się artykuły nieprzychylnie dla Polaków, widząc w nich ciężar dla społeczeństwa brytyjskiego; poważną trudnością był materiał ludzki, dla którego Biuro miało znaleźć pracę: albo wieśniaczy, albo inteligencko-urzędniczy i wojskowy.

Najpierw przełamana została nieufność pracodawców angielskich, gdyż Polacy jako pracownicy szybko zdobyli dla siebie szacunek. Początkowo, może nawet za bardzo szybko. Robotnik brytyjski pracuje dobrze, ale nie lubi nadgorliwości i bardzo się szanuje. Polacy rzucili się na robotę jak szaleńcy. Przekraczanie norm stało się jakby niepisaną zasadą wszędzie, gdzie znalazło się choćby kilku polskich robotników. Inteligencja, która w większości poszła wówczas do pracy fizycznej, nie liczyła się w ogóle z wysiłkiem. Przyczyny tego były różne: jedną z nich był, być może, kompleks niższości, jaki Polacy czuli wobec Anglików, głęboko ukrywany i kamuflowany odnośnieniem się z wyższością do wszystkiego co angielskie. Inną przyczyną była oczywiście chęć utrzymania się w pracy, wyrobienia sobie marki, zdobycia zaufania pracodawcy. Pracodawca angielski szybko połapał się w wartości robotnika polskiego i zaczął jego zapł wykorzystywać. W niejednej firmie normy poszły w górę, bez równoczesnego podwyższania płac — rzecz w Anglii niezwykła. Nic też dziwnego, że opory Związków Zawodowych okazały się tym większe, a stosunek robotników angielskich do Polaków chwilami nawet wrogi.

Powoli jednak, szczególnie że ekspansja przemysłowa Anglii rozproszyła groźbę bezrobocia, opory Związków Zawodowych malały. Polacy zaś zaczęli się uczyć od robotnika brytyjskiego ekonomii sił i zasady, że dawanie z siebie maksimum opłaca się przy pracy akordowej, natomiast jest nierozsądne przy normalnej dniówce.

Powoli też Biuro nawiązywało kontakty z firmami, wyrobiło sobie markę i znaczenie: firmy automatycznie zaczęły przysyłać zawiadomienia o wakansach a pracownicy skierowani przez Biuro mogli być pewni dobrego przyjęcia.

Zanikały również trudności z polskimi klientami biura. Jeżeli początkowo Polacy mieli mało zrozumienia dla pracy takiego Biura, jeżeli kategorycznie żądali właśnie takiej a nie innej pracy, jeżeli do wszelkich problemów odnosili się z irytacją i niezrozumieniem — to powoli wszystko to się zmieniło. Biuro stosowało zasady kredytowe: żadnych opłat rejestracyjnych, po zaakceptowaniu pracownika przez firmę — 50 % od pierwszej tygodniówki. W pierwszych latach jedynie około 65 % klientów wywiązywało się ze swych zobowiązań. W latach ostatnich, można by powiedzieć, uczciwość Polaków londyńskich, mierzona tym miernikiem, wzrosła do 87 — 89 %! (p. Konieczko zauważył przy okazji, że wzrost wypłacalności uzależniony był również w jakimś stopniu od sytuacji na rynku pracy: w okresie

bezrobocia wypłacalność wzrastała, na wszelki wypadek, gdyby zaistniała konieczność ponownego zwrócenia się do Biura¹⁵.

Do dziś Biuro przeprowadziło około 17.000 — 18.000 rejestracji na pracę, z czego około 50 % załatwiono pozytywnie. Jest to procent bardzo dobry, według kryteriów agencji brytyjskich, 33 % zatrudnionych w stosunku rocznym uważa się za dobrą proporcję.

Z ogólnej cyfry zarejestrowanych, około 80 % stanowili mężczyźni, 20 % kobiety. Z długoletniego doświadczenia Biura wynika, że kobiety okazały się jako klientki lepsze. Nauczyły się wielu zawodów, na rynku są dla kobiet większe możliwości, poza tym jako pracownice są tańsze. Szybciej też uczyły się języka angielskiego.

Najbardziej potrzebowała usług Biura inteligencja — co najmniej 60 % klientów należało do tej warstwy. Był to element najtrudniejszy do uplasowania. Inteligencja starsza z trudem uczyła się języka, a jeszcze trudniej przychodziła jej całkowita zmiana fachu lub wzięcie pracy fizycznej, co było konieczne, gdyż jedynie wyjątkowo udawało się uplasować inteligenta w jego zawodzie. Inteligenci okazywali się też najbardziej bezradni, często w pracy schodzili do roli popychadeł, cierpieli z powodu deklasacji, ulegali łatwo wypadkom. Z biegiem czasu, przy pomocy kursów czy to języka angielskiego, czy zawodowych, inteligencja podniosła się z dołów roboczych, i dziś według obserwacji Biura ok. 80 % inteligencji przeszło na pracę umysłową. Duże znaczenie odegrał rozrost w Londynie polskich przedsiębiorstw, od 2 w r. 1947 do ponad 2.000 w 1960 roku. P. Konieczko szacuje, że do 40 % Polaków w Londynie zatrudnionych jest w firmach polskich.

Biuro obserwuje również awans wszystkich kategorii pracowników, na tyle poważny, że dziś wśród najniższej kategorii robotników znajdują się tylko resztki polskiej siły roboczej.

Elementem czującym się najpewniej wśród klientów Biura są Polacy pochodzenia wiejskiego oraz studenci i absolwenci uczelni brytyjskich. Pierwsi ze względu na poczucie awansu społecznego, drudzy dzięki znajomości angielskiej *way of life*. Drugich cechuje poza tym na ogół rozsądek w planowaniu życia i wiedza, że ich wykształcenie zawodowe daje im duże możliwości. Na ogół nie rzucają pracy gdy nie mają nowej.

15. Biuro mogło co prawda w każdym z wypadków nieuiszczenia opłaty za znalezienie pracy, zwrócić się do firmy, która wtedy miała prawo potrącić należność z zarobków pracownika. W praktyce Biuro wolało nie stosować tego środka, aby nie wpływać negatywnie na stosunek firmy do innych Polaków.

Biuro Pośrednictwa Pracy SPK nie jest dochodowe. Spełnia bowiem także rolę społeczną, nie pobierając opłat od pewnych kategorii klientów przynajmniej za pierwszą znaną pracę. Do tych kategorii należą uciekinierzy z kraju, studenci, rekonwalescenci. Niedobór, zresztą nie przekraczający 15% — 20% obrotu Biura, pokrywa organizacja.

Biuro jest nadal potrzebne, chociaż już w mniejszym stopniu. Dziennie przewija się od 15 do 20 interesantów, pewien procent zapytań i rejestracji odbywa się telefonicznie. Pożyteczna praca Biura trwa nadal.



Wielką bolączką polskiego Londynu jest brak jednego centralnego ośrodka. Odwiedziliśmy już wiele domów i instytucji — odwiedzimy jeszcze co najmniej drugie tyle — są one rozrzucone po dużej połaci Londynu. Gdyby ktoś potrafił choć kilka z nich połączyć, gdyby udało się namówić władze organizacji posiadających te różne domy do ich sprzedania i — na ich miejsce — kupienia lub wybudowania jednego dużego gmachu, gdzie byłaby i porządna sala teatralna, i miejsce na sporty, i lokal dla młodzieży, i duża restauracja — jednym słowem, gdzie byłoby prawdziwe Centrum Polskie, zasługa tej osoby byłaby przeogromna.

Prowadzone są dyskusje pomiędzy paroma organizacjami nad połączeniem sił przy stworzeniu takiego centrum (głównie między SPK, Stowarzyszeniem Lotników i Związkiem Marynarzy, którzy niedawno sprzedali swój piękny dom nad Tamizą). Szanse pozytywnego załatwienia tej sprawy nie są jednak duże.

W Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej

Z Domu Kombatanta pod numer 42/43 na Emperor's Gate jest tylko parę minut piechotą.

Dla Polaków starszej generacji, zamieszkałych w Londynie, adres ten kojarzy się natychmiast, chociaż coraz mgliściej, z Tymczasową Radą Jedności Narodowej. Dla młodszej generacji kojarzy się ze Zrzeszeniem Studentów i Absolwentów. Dla paru tysięcy Polaków rozrzuconych po całym świecie jest to także adres siedziby Skarbu Narodowego (Zjednoczenia). Poza tym ma tu swój lokal Światpol, Koło AK. Frontowy pokój na parterze odnajmuje polska pracownia kreślarska, inne pokoje wynajmowane są lokatorom.

Na pierwszym piętrze budynku znajduje się duża sala, ozdobiona plakatami apelującymi o dary na Skarb Narodowy; odbywają się w niej posiedzenia Tymczasowej Rady Jedności Narodowej. Formalnie jest to także siedziba Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego — czyli namiastki rządu.

Byliśmy na jednym z posiedzeń. Za stołem prezydjalnym siedział Prezes Bielecki, przewodniczący Rady — szeroki, mocny, jakby trochę podobny do któregoś z królów polskich (z obrazów Matejki?). Po jego prawej stronie, wzdłuż ściany, na „ławie rządowej”, zasiadali członkowie Egzekutywy: Adam Ciołkosz, przewodniczący — z nastroszonym wąsikiem, dobry mówca, szybki w riposie; uśmiechnięty Kazimierz Sabbat, w życiu prywatnym właściciel wytwórni kołder „Limba” — w życiu politycznym Kierownik Działu Finansowego Egzekutywy; dr Jan Starzewski, człowiek oschły, były emeszetowiec, Kierownik Działu Spraw Zagranicznych. Na wprost stołu prezydjalnego, zasiadły w krzesłach Kluby i Stronnictwa: od Stronnictwa Narodowego, poprzez Ligę Niepodległości, Socjalistów, po opozycję do ówczesnej Egzekutywy: NID, Stronnictwo Demokratyczne i odłam Stronnictwa Pracy, zajmujące miejsca na lewym skrzydle i pod ścianą.

Ogółem było na sali do 60 osób. Usiedliśmy na ostatnich krzesłach i po uroczystym otwarciu posiedzenia przez Przewodniczącego, wysłuchaliśmy *exposé*. Przewodniczący Egzekutywy, p. Ciołkosz, szedł przez salę z plikiem „Robotnika” w ręku. Podszedł do nas, wręczył nam jeden egzemplarz, wymieniając równocześnie cenę. Zapłaciliśmy.

Dyskusja po przerwie nie chciała ruszyć z miejsca. Prezes Tadeusz Bielecki długo szukał pierwszego mówcy. Wreszcie ktoś się zgłosił. Mówił słabo; po nim przemówiło paru innych, zacinając się: red. Bregman, który wprowadził do dyskusji elementy polemiczne, p. Dargas, z pewną swadą. Podczas tej krótkiej dyskusji „ławy” poselskie przerzedziły się, na sali panował lekki gwar, załatwiano przy okazji różne, osobiste, polityczne, interesy.

Później przyszły interpelacje. Było to jedno ze spokojniejszych posiedzeń, gdzie jedyną okazję do ostrzejszych wystąpień, nawet do paru okrzyków, dał *casus* dr. Stanisława Olszewskiego, Prezesa Stronnictwa Demokratycznego, będącego wtedy właśnie pod ostrzałem ze względu na współpracę z pismem ostro napiętowanym przez Obóz Niepodległościowy. W odpowiedzi na interpelację w tej sprawie Przewodniczący Rady przedstawił zebrany przebieg konferencji z „winowajcą” i zdał sprawę z

wymiany listów, jaka po niej nastąpiła. Naciskany aby zajął mocniejsze stanowisko, oświadczył rozkładając ręce, że ponieważ nie posiada uprawnień trybunału, nie może ze swej strony nic więcej zrobić.

Zachowywanie form obrad parlamentarnych i innych parafernalii, utrzymywanie placówek dyplomatycznych, wystosowywanie memoriałów do rządów państw zachodnich, występowanie w imieniu „najżywotniejszych interesów” Polski i całego narodu, sprawowanie roli zwierzchnictwa politycznego nad emigracją, wszystko to na tej sali, w tym szczupłym gronie, robiło wrażenie nie bardzo realne. Bez wątpienia, skupił się tutaj kwiat politycznego przywództwa emigracji i historycznych stronnictw politycznych. Kwiat... „Wyleniały trybun” (jak go nazwał Zbyszewski) — Adam Ciołkosz, umysł chyba najbystrzejszy i politycznie może najcięższy kaliber w tym zgromadzeniu, już wkrótce musiał ustąpić z funkcji Przewodniczącego Egzekutywy. Na jego miejsce przyszedł dr Czerwiński, postać więcej niż drugoplanowa, człowieka, którego jedną z głównych zalet jest dar uprzejmości. Dr Bielecki, wytrawny gracz polityczny, okazała sylwetką kompensujący braki Rady, w kilka miesięcy później znalazł się w szpitalu, a na jego miejsce, tymczasowo (znowu — tymczasowo) przyszedł p. Podoski, człowiek o wiele lżejszego kalibru¹⁶. Spośród innych, mec. Zbigniew Stypułkowski, ze Stronnictwa Narodowego, posiada dobrą prezencję, i jest jednym z najwybitniejszych brydżystów Londynu; p. Dargas jest niezgorszym mówcą, Rowmund Piłsudski nosi sławne nazwisko i wzburzył opinię emigracyjną telegramem do Gomulki w imieniu władz NID'u (ale to było już parę lat temu); Michał Grażyński, przywódca Ligi Niepodległości, ma wciąż duże wpływy, wzbudza namietności polityczne i szacunek; dr Stanisław Olszewski — postać jakby niechęć kontrowersyjna, człowiek z kośćmi dobry, czytany, odsunął się po pewnym czasie od kontrowersyjnego pisma i nadal reprezentuje w Radzie Stronnictwo, o którym złośliwi twierdzą, że odbywa zebrania w budce telefonicznej; Thugutt przesuwają się jakby w cieniu; Stanisław Sopicki, mały, w ciemnym i zniszczonym płaszczu, został niedawno wydany z własnego Stronnictwa, (zresztą również odłamu), za swój stosunek do Niemiec; dr Zdzisław Stahl, absolutny bezkompromisowiec w rzeczach niepodległościowej wiary, z lwią, szpakowatą czupryną, czarującym uśmiechem niebezpiecznego tygrysa, przemawiający głosem tubalnym, brytan na

1. Po udanej operacji, dr Bielecki przyszedł do zdrowia, ale ostatnio znowu nastąpiło pogorszenie.

straży ideałów, stacza nadal swe bitwy; Z. Stermiński, figura oschła, sekunduje mu niezmiennie; dr Męcarski jest w tym samym obozie co dwaj poprzedni; Józef Poniatowski, znawca spraw rolnych, człowiek ujmujący i, jako naukowiec z prawdziwego zdarzenia, roztargniony także bywa na Radzie. Spotkać tu można również dr. Bronisława Hełczyńskiego, prezesa Światpolu, dziekana Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych, S. Soboniewskiego z Niezależnej Grupy Społecznej, prof. Wielhorskiego i Adama Treszkę, ze Związku Ziemi Wschodnich, Józefa Żywinę, autora „Wilczych Ziól”, jednego z głównych krytyków legalizmu, czy raczej pseudo-legalizmu w Radzie, Kazimierza Mochlińskiego, człowieka w średnim wieku, ale wyglądającego bardzo młodo, członka Egzekutywy, zajmującego się sprawami Ziemi Odzyskanych.

Są jeszcze inni, jak np. dr Tymon Terlecki, ale czy historia będzie tą stroną ich działalności zainteresowana?

Zresztą podawanie nazwisk członków Rady jest procederem niebezpiecznym, można bowiem szybko być zdezawuowanym przez wypadki, które biec zaczęły w przyspieszonym tempie po naszej wizycie. Konflikt w PPS, ustąpienie z Rady niektórych członków (np. R. Zakrzewskiego, który później wrócił) i inne burze, spowodowały że działalność RJN znalazła się prawie w zawieszeniu.

Światpol

Po upływie dłuższego czasu zaszliśmy znowu któregoś dnia do domu Nr 42, przy Empor's Gate, aby zajrzeć do Światpolu. W małym pokoiku na najwyższym piętrze przyjął nas Prezes Światpolu, dr Bronisław Hełczyński. Światpol istnieje, chociaż pracuje w bardzo utrudnionych warunkach, głównie z braku funduszy. Przed wojną Światpol spełniał rolę łącznika między macierzą a Poloniami na świecie: organizował wycieczki do kraju, kursy o Polsce, serwis prasowy dla prasy polonijnej, itp. Tej roli, ze zrozumiałych względów nie może spełniać dzisiaj Światpol emigracyjny. Stąd, dopóki były fundusze, a nie było ich wiele nigdy, Światpol podejmował się wydawnictw o życiu Polaków za granicą, informując w ten sposób poszczególne środowiska o reszcie Polonii. Ale ostatnie takie wydawnictwo, „Polonia Zagraniczna”, ukazało się w 1955 roku. Obecnie Światpol koncentruje się na utrzymywaniu kontaktów z ośrodkami polskimi na świecie. Najlepszy kontakt istnieje z ośrodkami mniej-

szymi, jak Nowa Zelandia, Afryka, Dania, czy nawet Argentyna, które nie są samowystarczalne jak np. Stany Zjednoczone czy Kanada.

Ożywienie działalności Światopól zależy jest przede wszystkim od tego, czy poszczególne Polonie poczują potrzebę ściślejszego kontaktu między sobą i jakiejś wspólnej akcji — a więc na zasadzie odwrotnej niż przed wojną, kiedy to Światopól miał w swoich rękach inicjatywę, nie oglądając się na składki członkowskie, ale subwencjonując wiele akcji z funduszy udzielanych mu przez państwo i społeczeństwo w kraju.

Ponieważ na to ożywienie nie zanoszą się, Światopól zawieszony jest w swoistej próżni.

Najstarsze polskie stowarzyszenie w Anglii

Z placynu, przy którym stoi dom Skarbu Narodowego, wychodzimy małą uliczką na Cromwell Road, jedną z głównych arterii ruchu londyńskiego. Tu, zaraz na prawo, znajduje się polska apteka Greené'a, a w okolicy kilka polskich hoteli. Mijając je, dochodzimy do dzielnicy Earl's Court i ulicy o tej nazwie. Skracamy w prawo i po kilkudziesięciu krokach dochodzimy do dużego budynku. Przy drzwiach, po lewej stronie, tablica dzwonek, na kartkach polskie nazwiska lokatorów, po prawej zaśnieżona płyta, na której wyryte: THE POLISH SOCIETY.

Dzwonimy. Zostajemy zaproszeni do dużego pokoju wyglądającego jak biuro lub kancelaria. Okazuje się, że rozmawiamy z prezesem Towarzystwa Polskiego — najstarszego stowarzyszenia Polaków na tej wyspie, założonego w roku 1886. Pan Franciszek Haluch nie jest jednak ze starej emigracji: przed wojną był sekretarzem generalnym związku zawodowego w Przemyśle, podczas wojny delegatem opieki społecznej na Środkowy Wschód, w r. 1945, w rządzie Arciszewskiego wiceministrem Opieki Społecznej, a w roku 1948 został prezesem Towarzystwa.

Ostatnim najburzliwszym okresem Towarzystwa była walka z konsulatem rządu warszawskiego o poprzednią siedzibę, która mieściła się na Regents Park Road. Obecny Zarząd Towarzystwa okres ten uznał za całkiem naturalny na tle dawniejszej przeszłości. W broszurze, wydanej w 1955 roku, kiedy został zakupiony i otwarty nowy dom Towarzystwa, znajdujemy następujące streszczenie jego historii:

„Towarzystwo Polskie, założone 29 sierpnia 1886 roku w Londynie, jest organizacją społeczno-kulturalną, opartą na zasadach Wolnej, Demokratycznej i Niepodległej Polski¹⁷.”

Ta najstarsza placówka polska w Londynie była nie tylko samopomocą i koncentracją życia polskiego na emigracji, lecz była również bazą walki od 1892 o niepodległość Polski, dla wielu działaczy, a m.in. J. Piłsudskiego, T. Arciszewskiego, S. Wojciechowskiego, I. Daszyńskiego, I. Mościckiego, I. Paderewskiego, L. Wasilewskiego, Baja-Jędrzejewskiego, F. Perla, (...), kardynałów: Hlonda i A. Kakowskiego.

Ta polska placówka pod przewodnictwem: Raucha, Zabelskiego, Piotrowskiego, Jakubowskiego, Królikowskiego, Reichla, Krupińskiego, Szala, Biejata, Marczaka, Kuleszy, Witty, Penkula i innych, niepokoiła wówczas carów w Moskwie, którzy często domagali u władz angielskich jej zlikwidowania, niepokoj też dziś czerwonych carów na Kremlu i z ich rozkazu reżym warszawski próbował już w roku 1946 za wszelką cenę przyciągnąć starą emigrację na łono komunistycznego reżymu i poróżnić starą emigrację z wojenną. Gdy ta próba zawiodła agentów kremlowskich, wówczas skorzystaliby z wadliwego zabezpieczenia siedziby Towarzystwa Polskiego i wystąpili na drogę sądową. Siedzibę przy ulicy 23, Regents Park Road w ten sposób odebrali i założyli tam swoje towarzystwo...

Zarząd Towarzystwa Polskiego w tym stanie rzeczy, nie mógł dopuścić do zlikwidowania działalności i choć w trudnych do pokonania warunkach dokonał kupna domu i otwiera z powrotem własną siedzibę”.

Mimo tak świetnej przeszłości i chociaż dom kupiony został już 5 lat temu, Towarzystwo nie prowadzi na razie prawie żadnej działalności z wyjątkiem wynajmowania niższego parteru na prywatny klub i sporadycznego wynajmowania sali na zebrania (PPS'u i Ludowców). P. Hałuch brak aktywności tłumaczy trudnościami finansowymi: dom nabyty został przy bardzo skromnych funduszach i dotychczas trzeba było spłacać długi. Ale rozpoczęcie akcji kulturalno-społecznej jest planowane już na najbliższy okres.

Członkostwo Towarzystwa otwarte jest tak dla starej jak i nowej emigracji, z tym, że liczba pierwszej jest minimalna. P. Hałuch mówi o mniej więcej 40 osobach, z którymi Towarzystwo ma kontakt. Są wśród nich ludzie, którzy kiedyś brali w pracy Towarzystwa czynny udział; w ostatnich latach wielu z byłych działaczy wymarło. Większość z tych 40 osób, mówiących jeszcze do dziś po polsku, przyjechała do Anglii w latach 1910, i podczas pierwszej wojny światowej. Ta ostatnia kategoria to przeważnie uciekinierzy z armii niemieckiej, którzy internowani na okres wojny przez Anglików, uzyskali następnie prawo pobytu. Działalność Towarzystwa w latach po pierwszej wojnie koncentrowała się na samopomocy, wspólnym zakładaniu war-

17. Warto dodać, że Towarzystwo powstało z połączenia Towarzystwa Demokratycznego i Związku Robotników Polskich W. Brytanii.

sztatów, i trzymania się razem żeby nie stracić języka¹⁸. Klub na Regents Park Road cieszył się wcale dobrą frekwencją. Niektórzy z najstarszych emigrantów do dziś nie przyjęli obywatelstwa angielskiego. Większość Polaków ze starej emigracji dorobiła się: są właścicielami fabryczek i warsztatów (przeważnie stolarskich). Drugie i trzecie pokolenie na ogół nie mówi już po polsku, ale zdarzają się wyjątki.

Cracovia

Z Earl's Court Road mamy tylko kilka kroków do Cracovii. W witrynie trochę książek polskich. Trudno po zewnętrznych oznakach osądzić, że tutaj mieści się jedna z bardziej ruchliwych księgarni polskich w Londynie.

Cracovia od samego początku specjalizowała się w książkach i wydawnictwach periodycznych krajowych. Zajmowała się głównie dostawami do bibliotek uniwersyteckich i różnych instytucji naukowych, w Anglii, w obu Amerykach, i na Kontynencie. Można tu było dostać prawie wszystkie wydawnictwa krajowe, ale w Londynie o istnieniu księgarni wiedziało początkowo tylko niewiele osób. Dopiero rok 1955, odwilż i październik, uczyniły z Cracovii jedną z bardziej popularnych księgarni. Pozwoliło to na jej bardzo szybki wzrost. Z suteryny i parteru Cracovia przeniosła się na wyższe piętra, gdzie otworzono pokoje wystawowe. Ostatnio zaś, na tyłach domu, dobudowany został magazyn na książki o pojemności 10.000 tomów.

Cracovia prowadzi na emigracji największy serwis prasowy czasopism krajowych, które otrzymuje drogą lotniczą bezpośrednio z Warszawy. Oprócz wydawnictw krajowych, można również dostać rzadkie wydawnictwa przedwojenne.

Praktycznie Cracovia jest dzisiaj głównym pośrednikiem między odbiorcą emigracyjnym a wydawcą krajowym. Niektóre księgarnie polskie, nawet biorąc czasopisma czy książki bezpośrednio z Polski, rozliczają się przez Cracovię.

Hospicjum

Wzdłuż Warwick Avenue, dochodzimy do serca dzielnicy Earl's Court, gęsto upstrzonej instytucjami polskimi. Najpierw

18. Towarzystwo współpracowało z Polską Misją na Devonia Road, przy której istniała szkoła przedmiotów ojczytych.

mijamy siedzibę i hotel Zjednoczenia Polek, organizacji w swoim zakresie pożytecznej, ale wolącej pozostawać w cieniu¹⁹. Skracając w lewo zachodzimy do Hospicjum św. Stanisława, które mieści się w dużym budynku przy 21 Earl's Court Square. Przyjmuje nas p. Władysław Witrylak, kierownik Hospicjum, człowiek niski, ruchliwy, dobroduszny.

Hospicjum jest jedną z paru instytucji prowadzonych przez Veritas. Dom zakupiony został w 1945 roku; jego celem było danie taniego mieszkania i utrzymania studentom polskim na uczelniach brytyjskich. Oprócz sypialń, jest tu więc i świetlica i pokój studiów. Początkowo korzystali z Hospicjum tylko polscy studenci, tworząc żywy ośrodek towarzysko-kulturalny. Następnie, w latach 1954-55, ilość studentów zmniejszyła się i Hospicjum zaczęło przyjmować osoby pracujące, które dziś stanowią 2/3 mieszkańców. W okresie wakacyjnym natomiast Hospicjum staje się hostelem dla przyjezdnych studentów katolików z całego świata. Otrzymują oni mieszkanie z utrzymaniem, lub nocleg, po bardzo przystępnych cenach, niektórzy za pomoc przy odnawianiu domu itp. prace (dom stoi w bogatej dzielnicy mieszkaniowej, i stąd p. Witrylak bardzo dba o jego wygląd). W roku 1957 przez dom przewinęło się 16 narodowości — od Francuzów, Holendrów, Niemców po Wietnamczyków, Chińczyków, Murzynów. Normalna liczba 31 miejsc w czasie akademickiego roku, podczas wakacji powiększana jest do 37.

W ostatnich latach Hospicjum stało się również miejscem zaczepienia się dla przyjezdnych studentów z Polski. P. Witrylak ma duży podziw dla młodzieży w kraju. Kiedy rozpoczęły się przyjazdy, powiedział sobie: „Jeśli przyjdzie prosić o miejsce student z Polski, na głowie się postawię, a miejsce musi być” — i tej obietnicy, danej samemu sobie, jest jak najbardziej wierny. W roku 1958 mieszkało w Hospicjum w okresie wakacyjnym około 25 studentów, za 3/4 ceny.

Dom, dzięki wysiłkom kierownika i szczupłego personelu, jest samowystarczalny.

W domu Hospicjum mieści się kaplica i kancelaria Polskiej Parafii Londyn-Śródmieście. Ma tutaj także swoją siedzibę Sekretariat Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „Veritas”, którego sekretarzem generalnym jest p. Czosiowski. Z rozmowy z nim dowiadujemy się, że działalność Stowarzyszenia bardzo się skurczyła nie tylko w Anglii, ale na całym świecie. Do roku 1953 miało ono kilkadziesiąt kół, z tego

19. Wnioskujemy to z faktu, że mimo prób z naszej strony, nie udało nam się dotrzeć do władz tej organizacji.

do 40 w samych Niemczech. Dziś ma ich zaledwie kilka. W samym Londynie — dwa: Koło Mężczyzn i Koło Pań. Urządzone są zebrania odczytowo-dyskusyjne, głównie na tematy związane z katolicyzmem, na które przychodzi po 20 osób. Nie ma kół młodych — tę akcję przejęło „Juventus Christiana”, liczące kilkudziesięciu członków (i pod-sekcję filozoficzną).

Tazab

Na peronach londyńskiej kolejki podziemnej afisze deklamujące „Jeśli leki to z apteki” Grabowskiego, walczą o pierwszeństwo z tymi, które zapewniają, że „Największy polski dom wysyłkowy” to „Tazab”²⁰. Grabowski rozlepia poza tym dowody swego mecenatu — ogłoszenia wystaw w „Grabowski Gallery”; „Tazab” popisać się jeszcze może plakatami w języku ukraińskim i flotyllą samochodów z wielkim białym napisem „Tazab” na boku, a także powiedzeniem — po pewnym śniadaniu, na którym jego właściciel dał £ 100 na cele kulturalne na *Deed of Covenant* — że jeszcze nigdy żadne śniadanie nie kosztowało go tak drogo.

Centrum tazabowego imperium jest „Tazab House” na 22 Roland Gardens, w sercu Kensingtonu. Tutaj, w spokojnej, rezydencjonalnej dzielnicy, w małej kamienicy, na najwyższym piętrze pod samym dachem, urzęduje p. Tadeusz Zabłocki, „Tazab” we własnej osobie, tycoon chyba największy na emigracji. Niżej na piętrze i parterze, mieszczą się biura przedsiębiorstwa, a w suterynach magazyny i pakownie.

Tadeusz Zabłocki w czasie wojny pełnił funkcję referenta prasowego przy premierze londyńskiego rządu. Po wojnie założył firmę antykwarską do spółki z Johnem Churchillem, bratanikiem wielkiego Winstona. Interes szedł kulawo. Kiedyś, wieczorem w „Ognisku”, w czasie rozmowy z przypadkowo spotkanym kolegą, narodził się pomysł obecnego przedsiębiorstwa. Był to rok 1947. W przeciągu paru lat firma rozrosła się niebywale. Dzisiaj zatrudnia ponad 70 osób, ma oddziały w Ameryce, Australii i w wielu większych ośrodkach polskich w W. Bryta-

20. Polski Informator Przemysłowo-Handlowy za rok 1960 wylicza 54 londyńskie firmy paczkarskie. Za największe uważa się powszechnie „Tazab” i Grabowskiego. Do bardziej znanych należą Brownjones Ltd., Fregata Merchants Ltd., Haskoba Ltd., Java Trading Co. Ltd., Lampert & Polimex Co., Wintrex Co. Ltd., Zygmunt Pharmacy.

ni. Wśród pracowników jest sporo starszych inteligentów, często ludzi wysoko postawionych w hierarchii emigracyjnej. Pracuje tu w suterynie jeden z generałów i były premier zamkowy. Ale spotkać też można ludzi niewykształconych, robotników i wieśniaków, a nawet nie-Polaków. Polacy bowiem nie stanowią większości klientów firmy. Paczki przez Tazaba wysyłają także Ukraińcy, Litwini, Łotysze, Rosjanie, Jugosławianie, a nawet Włosi i Irlandczycy. Społecznie, geograficznie, narodowościowo, przekrój klientów idzie od ormiańskiego kardynała z Rzymu do polskiego drwala z Ziemi Ognistej.

P. Zabłocki podkreśla, że to Polacy właściwie „odkryli” przemysł paczkarski i uczynili z Londynu jego centralę. Anglicy rzadko zdają sobie sprawę, że jest to przemysł, zarabiający dla tego kraju miliony dolarów. Poza tym firmy paczkowe wpływają na rozwój i pewną specjalizację rzemiosła. Tazab ma umowy z krawcami i szewcami, pracującymi tylko dla niego. Robią oni ubrania o kroju kontynentalnym i buty na inną niż angielska stopę — większe, szersze, solidniejsze. W poszukiwaniu stosownych produktów Tazab trafia i zagranicę. W Szwajcarii, z jego inicjatywy pewna firma po stuletniej przerwie wznowiła wyrób chust w deseń, o motywach ludowych, polskich i ukraińskich. Przychodzą brzytwy i kosy *made specially for Tazab*.

P. Zabłocki z pewnym zadowoleniem mówi, że jego firma prowadzona jest w sposób wysoce nieortodoksyjny. Klienci mają nieograniczony prawie kredyt na słowo, handel odbywa się na zasadzie wzajemnego zaufania. Były nawet wypadki, że firma udzielała stałemu klientowi pożyczki na kupno domu.

Na dłuższą metę system ten się opłaca. Zdobyte u klientów zaufanie chroni Tazaba od konkurencji. Klienci bardzo rzadko nabierają firmę, najrzadziej ludzie prości. Z narodowości, najgorsi są Irlandczycy, najuczciwsi — Serbowie. Konkurencja zaś jest coraz ostrzejsza, tym bardziej, że punkt szczytowy koniunktury na firmy paczkowe już minął i w przyszłości rynek będzie się prawdopodobnie jeszcze bardziej kurczył. Dziś Tazab wyraźnie traci grunt w wypadku Ukraińców, którzy stanowią poważny procent jego klienteli. Zachęcenii powodzeniem Tazaba na rynek weszli również Ukraińcy; wśród nich znaleźli się ludzie bez skrupułów, którzy zaczęli wykorzystywać momenty nacjonalistyczne, rzucając hasło: „nie kupuj u Lacha”. Szczególnie tam gdzie istnieją zwarte skupiska ukraińskie i można było zorganizować jakąś społeczną presję, handel bardzo ucierpiał. A jednocześnie przyszedł Październik, który otworzył możliwości przyjazdów rodzin lub podróży do Kraju, a przez to zwiększył wydatki i to z tych zasobów, które normalnie szły na paczki do kraju.

(Można powiedzieć, że na czym traci Tazab, na tym zyskuje „Fregata” — największe polskie Biuro Podróży). Poza tym, w bezpośrednim zetknięciu pryskał często wyidealizowany obraz dalekiej rodziny, dochodziło do starć i w konsekwencji ofiarności emigracji zaczęła maleć.

Mimo to, odnieśliśmy wrażenie, że ten względny kryzys p. Zabłockiego zbyt nie przeraża. Dowodem pewności siebie jest fakt, że ostatnio rozpoczęto budowę nowego i większego „Tazab House”. Nie ma obawy by p. Zabłocki wyszedł na paczkach tak, jak kiedyś jego „przodek” na mydle.

Trzeba przyznać, że wpływ Tazaba na emigrację jest pozytywny i to nie tylko dlatego, że daje ludziom zatrudnienie, lub że jest kanałem, który odprowadza część polskich zarobków do ubogiego wciąż kraju. Tazab jest jednym z największych emigracyjnych mecenasów. Funduje nagrody Związku Pisarzy, subsydiuje wydawnictwa w rodzaju „Żywych”, ufundował kiedyś nagrodę na najlepszy wiersz dla dzieci. Poza tym na spółkę z p. Kamińskim, polskim potentatem finansowym z Kanady, Tazab utrzymuje polską szkołę w Mannheim.

Grabowski Gallery

Galeria Grabowskiego — *Grabowski Gallery*, otwarta została uroczyście na początku 1959 roku. Mieści się ona o parę minut drogi piechotą od stacji kolejki podziemnej South Kensington, przy Sloane Avenue, w dzielnicy Chelsea, która znana jest jako londyński Montmartre. Rozciągająca się wzdłuż Tamizy, zamieszkała jest w dużej mierze przez artystów, pisarzy, poetów i towarzyszących im nieodłącznie snobów. Posiada swój specyficzny urok, swoje wyszukane stroje, odrębny styl życia. W pobliżu *Grabowski Gallery* znajduje się wiele antykwariatów, sklepów z wyrobami artystycznymi, większych i mniejszych galerii.

Pierwsza wystawa była wystawą prac członków Zrzeszenia Plastyków Polskich w W. Brytanii, zgromadziła 41 prac 13 malarzy i 2 rzeźbiarzy. Zrzeszenie Plastyków, było bardzo pomocne przy organizowaniu wystawy (zwłaszcza Marian Szyszko-Bohusz).

Mgr Grabowski jest poza tym właścicielem znanej w Londynie apteki, przez którą przeszło wiele tysięcy paczek z lekami do kraju. Galeria — jakby dla podkreślenia faktu, że nie istniałaby bez apteki — połączona jest korytarzem z biurami tej ostatniej, tak że ma dwa wejścia z dwóch różnych ulic: wejście

główne od Sloane Avenue, wejście „biurowe” od Draycott Avenue. Sale urządzone są bardzo nowocześnie, ściany koloru białoszarego, sufit ciemno-niebieski, obelkowanie ugrowe. Wzdłuż korytarzy stoją duże, oszklone gablotki, w których znajdują się eksponaty polskiego przemysłu ludowego, porozwieszane są także kilimy i stroje ludowe.

Od chwili założenia w galerii odbyło się już kilkadziesiąt wystaw: polskich malarzy londyńskich, malarstwa krajowego, grafiki krajowej, a także malarzy angielskich, fińskich, jugosłowiańskich i innych narodowości. Ten rozrost galerii i zasięgu „geograficznego” w doborze artystów i wystawianych prac oczywiście odbił się nieco na nadziejach polskich malarzy londyńskich, którzy przed otwarciem galerii Grabowskiego mogli w większości korzystać prawie wyłącznie z uczynności polskiej YMCI i jedynie rzadko wystawiali w galeriach angielskich. Było jednak rzeczą do przewidzenia, że rozrost galerii zmniejszy częstotliwość wystawiania w niej artystów emigracyjnych. Wyrobienie sobie opinii ciekawej i dobrej galerii nie jest w Londynie rzeczą łatwą — konkurencja z wiekową nieraz tradycją jest nader silna. Najmniej egzotyczni są oczywiście dla Anglików polscy emigranci — nikt nie jest prorokiem we „własnym” kraju. Sprawa doboru prac i nazwisk jest więc sprawą kluczową. — W każdym razie p. Grabowski wychodzi z tych różnych trudności obronną ręką, uskarżając się jedynie na brak młodych krytyków wśród Polaków londyńskich. Dowodem, że galeria przy Sloane Avenue, rozwija się jest fakt, że niedawno Grabowski otworzył drugą galerię w znanej miejscowości wakacyjnej na południu Anglii — w Bournemouth.



Oprócz galerii Grabowskiego istnieje w śródmieściu Londynu jeszcze jednak polska galeria, *The Drian Gallery*, własność Halimy Nałęcz, energicznej, inteligentnej malarki, wystawiającej w swej galerii również sztukę nowoczesną.

Ośrodek Naukowy i Centrala Bibliotek Ruchomych

Polski Ośrodek Naukowy powstał 1 grudnia 1939 roku z inicjatywy ówczesnego ambasadora R.P. w Londynie, Edwarda Raczyńskiego. Od początku jego pracami i rozbudową kierował prof. Adam Żółtowski. Celem tej instytucji, noszącej wówczas nazwę Polskiego Biura Badań Politycznych, miało być groma-

dzenie i opracowywanie materiałów, dotyczących spraw polskich o charakterze politycznym. Nie bez znaczenia był fakt, że Biuro powstało przy pomocy Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (słynnego *Chatham House*).

W tym pierwszym okresie PRC prowadził pracę oświatową, społeczną i wydawniczą. Podczas wojny i zaraz po wojnie oświatowa sekcja Ośrodka miała ręce pełne roboty, umieszczając na studiach szereg polskich studentów, wyrabiając im stypendia dzięki pomocy *British Council*, pomagając w dostaniu się na kursy języka angielskiego. Poza tym Ośrodek przygotował i opracował na początku wojny szereg memoriałów dla rządu polskiego i dla różnych instytucji brytyjskich, wydając ponadto broszury po angielsku na takie tematy jak sprawa Gdańska, Górnego Śląska itp.

Po tej serii broszur przyszła kolej na wydawnictwa poważniejsze. PRC. wydał m.in.: dzieło historyczne Franciszka Dvornika „*The Making of Central and Eastern Europe*”; księgę pamiątkową ku czci Juliusza Słowackiego w stulecie jego zgonu w językach polskim, angielskim, francuskim i włoskim, i „*Dzieła Architektury w Polsce*” Z. Dmochowskiego po polsku i po angielsku. W roku 1949 Ośrodek przyczynił się do powstania *Hospital Visiting Committee*, który następnie przekształcił się w *Association of Friends of Polish Patients*, działające do dziś i spełniające wybitnie humanitarną funkcję. Ośrodek współpracował również z instytucjami angielskimi jak *Catholic Council for Polish Welfare*, *Catholic Committee for Poland* i in.

Z biegiem czasu na pierwszy plan prac Ośrodka wysunęło się gromadzenie księgozbioru, który w drodze zakupów, darów od poszczególnych osób i ministerstw (szczególnie po cofnięciu uznania rządowi polskiemu), a także drogą wymiany, doszedł do ponad 40.000 tomów cennych wydawnictw.

Ogólnie, charakter księgozbioru można określić następująco: obejmuje on wszelkiego rodzaju dzieła wchodzące w zakres historii kultury polskiej i historii Polski, a więc dzieła historyczne i nauk pomocniczych do historii, ekonomiczne, socjologiczne, sztukę, muzykę, naukę, powieść i poezję; bogate są działy: przedwojennych i powojennych publikacji polskich, szczególnie periodycznych, cennych dla badaczy ze względu na luki w dziale polskim w *British Museum*. Księgozbiór obejmuje ponadto wydawnictwa i czasopisma polskie wydawane na emigracji od r. 1939, oraz prasę podziemną z czasów wojny (odbitki fotograficzne): kolekcję starych druków — ok. 900 pozycji; kolekcję starych map Polski; wiele dzieł w językach obcych traktujących

o zagadnieniach polskich, dział podręcznych pomocy naukowych, jak encyklopedie, słowniki itp.

Z ciekawszych książek lub wydawnictw warto odnotować pierwsze wydanie Kopernika *De Revolutionibus Orbium Coelestium*, Konstytucje Sejmowe — ogromny tom wydany w Krakowie w 1637 roku, oporinowskie wydanie Kromera, pisma Przypkowskiego z 17 wieku, Matthiao Casimiri Sarbievi... *Lyricorum Libri Tres (Antverpiae 1630)*, a z późniejszych czasów, rozkazy Rządu Narodowego z pieczęciami tegoż rządu z okresu powstania styczniowego i inne materiały dotyczące powstania, „Poezje” Mickiewicza (t. I i II w jednej oprawie) z dedykacją odręczną autora dla Ankwiczówny, „Reports of the Literary Association of the Friends of Poland” (nie ma ich British Museum), pochodzące z biblioteki polskich socjalistów w Anglii, komplet Chimery (także nie ma w British Museum), Roczniki Krakowskiego Towarzystwa Naukowego (protoplasy PAU) od 1817 roku i Roczniki PAU (komplet z okresu dwudziestolecia), i wiele innych.

Zbiory czasopism wynoszą około 2.000 tytułów (wśród nich rzadki na Zachodzie „Monitor” z okresu dwudziestolecia niepodległości, czy — niekompletna — „Niepodległość”). Niezmiernie bogaty jest dział dokumentów i wydawnictw dotyczących okupacji niemieckiej w Polsce, zawierający m.in. prasę gadzinową i różne wydawnictwa niemieckie lub wydawane przez Niemców w języku polskim, które nie zawsze znajdują się nawet w najlepszych zbiorach w Niemczech. Należy dodać, że około 10.000 tomów nie jest jeszcze skatalogowanych.

Ośrodek nie wypożycza książek, udostępniając je na miejscu, w małej czytelni, gdzie stoją dwa stoły i półki z encyklopediami i słownikami.

Bibliotekę prowadzi mgr. R. Małachowska, poświęcająca się tej pracy z zapałem i znanstwem, chętnie udzielająca pomocy i wskazówek. Pomaga jej dr W. Zaleski i mjr. Kałaur. Ten mały personel nie jest w stanie podolać ogromowi pracy katalogowej, korespondencji, obsługiwanian czytelników, wysyłki tysięcy tomów do Polski na wymianę i innym pracom. Praca katalogowa, doprowadzona do pewnego punktu przez mgr. Halinę Heitzman, idzie naprzód bardzo powoli. Niemniej gros pozycji uwzględniono w katalogu działowym i katalogu autorów. Kierownikiem Biblioteki, po śmierci prof. Żółtowskiego, jest dr Tytus Komarnicki.

Z czytelni korzystają przede wszystkim naukowcy, tak polscy jak angielscy, historycy, poloniści, dziennikarze, publicyści.

Wymiana z krajem, obejmująca nie tylko książki (głównie angielskie) ale i czasopisma, osiągnęła już kilka tysięcy pozycji.

Głównymi bibliotekami w Polsce biorącymi udział w wymianie są: Biblioteka Narodowa, Jagiellońska, Ossolineum, i uniwersyteckie jak KUL i inne.



Poza Biblioteką Ośrodka, w tym samym budynku mieści się Centrala Bibliotek Ruchomych, licząca około 35.000 tomów.

Centrala Bibliotek Ruchomych, której kierownikiem od czasu jej założenia jest kpt. M.A. Stopa, powstała w 1948 r., celem udostępnienia książek polskich Polakom rozsianym po całej Wyspie. Rozprowadzanie odbywa się przez punkty biblioteczne angielskie, i polskie, istniejące przy organizacjach społecznych, parafiach lub lokalach polskich. W roku powstania Centrala obsługiwała 2 punkty biblioteczne, a obrót książek wyniósł 880. W roku następnym punktów bibliotecznych było już 58, wypożyczeń — 23.315. W roku 1958/59 punktów bibliotecznych było 165, a ilość wypożyczeń przekroczyła 68.000. W pierwszym roku istnienia Centrala miała około 100 czytelników, w roku 1958/59 czytelników było 10.000. Centrala okazała się więc instytucją nader pożyteczną, odpowiadającą realnym i rosnącym potrzebom. Likwidacja hosteli polskich, powstawanie nowych ośrodków, fakt, że część Polaków nie korzysta z bibliotek polskich przy organizacjach społecznych, brak polskich ośrodków społecznych w niektórych miejscowościach, wreszcie potrzeby pacjentów w szpitalach angielskich oraz więźniów — wszystko to doprowadziło do rozrostu Centrali. Z wymienionych 165 punktów bibliotecznych (w r. 1958/59), na angielskie biblioteki publiczne przypadało 112 punktów, na osiedla mieszkaniowe — 8, hostele przemysłowe — 6, organizacje polskie — 27, szpitale — 7, więzienia — 5 (z tego cztery w Londynie).

Przeglądając cyfry książek wypożyczanych bibliotekom angielskim, widzimy, że naturalnie, największe ilości biorą biblioteki publiczne w tych ośrodkach gdzie liczba Polaków jest duża: Birmingham — 500 tomów rocznie (plus 100 tomów dla Biblioteki Parafii Luterańskiej i 24 tomy dla szpitala), Leeds — 350, Nottingham — 300, Bradford, Coventry, Huddersfield, Leicester — po 250, Swindon — 225, Edinburgh, Sheffield — po 200. Kilkanaście bibliotek bierze po 50 i mniej — normalnie są to małe skupiska polskie. Manchesterska biblioteka publiczna nie bierze książek z Centrali, natomiast Biblioteka SPK bierze

400 tomów, 25 tomów bierze ośrodek parafii prawosławnej znajdujący się pod Manchester.

Ponadto niektóre biblioteki publiczne w Londynie również zaopatrują się w polskie książki z Centrali: na pierwszym miejscu jest Lewisham — 500 tomów.

Biblioteka operuje specjalnie dobranymi zestawami książek, po 100 tomów, wymieniając je co pewien czas na inne. Najpopularniejszy zestaw obejmuje 100 książek następujących kategorii: młodzieżowych — 5, obyczajowych (powieści) — 65, podróże — 10, historia — 5, pamiętniki — 5, życiorysy — 5, popularnonaukowe — 5. Jak z tego widać największą poczytnością cieszą się powieści obyczajowe, książki historyczne, podróżnicze oraz pamiętniki. Według obliczeń stanowią one około 85 % ogółu czytanych książek. Pozostałe 15 % — to dzieła popularnonaukowe, utwory sceniczne i poezje. Zdaniem p. Stopy poczytność tych ostatnich kategorii zaczyna wzrastać, a ogólny poziom czytelnictwa znacznie się wykryształizował, czytelnik nauczył się określać swoje zapotrzebowania. Nie oznacza to, że poziom wzrósł chociaż i tutaj nastąpiła pewna poprawa. Około 90 % księgozbioru Centrali stanowią książki wydane w kraju po roku 1945.

W ramach Centrali istnieje Komisja Oceny, przeprowadzająca selekcję książek przy ich kupnie. Dyskwalifikuje się jaskrawą propagandę, złą literaturę, i książki zbyt awangardowe lub uważane za nieodpowiednie dla pewnego typu i poziomu czytelnika²¹. Dr Jasnowski, historyk, jeden z członków Komisji Oceny, wymienił nam jako przykłady zdyskwalifikowanych książek: Broniewskiej „Pod Arsenalem”, „Master of Lancut”, jakieś tłumaczenie Conan Doyle'a, wydane w Polsce — ze względu na wstęp — i Kafkę (jako przykład książek „chorobliwych” — z angielska *morbid*).



Polski Ośrodek Naukowy zarządzany jest przez Radę, na czele której stoi Edward Raczyński jako Prezes; jej Sekretarzem

21. Na wstępie naszej rozmowy p. Stopa zaznaczył, że praca Centrali leży w interesie tak Polaków jak Anglików, gdyż Centrala dba o wyselekcjonowanie dla czytelnika książek z jednej strony nie będących złą literaturą, z drugiej — ideowo opowiednich. W takim nastawieniu może oczywiście kryć się pewne niebezpieczeństwo — wiele zależy od tego, kto dokonuje selekcji. Odnieśliśmy wrażenie, że Komisja Oceny nie ma zapędów cenzorskich, a swoje zadanie traktuje po prostu jako najlepsze gospodarowanie pewną sumą pieniędzy przeznaczoną na zakup, w połączeniu ze zwracaniem uwagi na rodzaj czytelnika, do którego książki mają trafić. Oczywiście, można dyskutować poszczególne wypadki zakupu lub odrzucenia takiej czy innej książki.

jest Jan Baliński-Jundziłł. W Radzie ogółem zasiada 4 Polaków i 3 Anglików. Przy PRC istnieje również tzw. Komitet Oświatowo-Biblioteczny, który po likwidacji Komitetu do Spraw Oświaty Polaków w W. Brytanii przejął niektóre funkcje pozostałe po tym Komitecie. Część z tych funkcji skurczyła się z biegiem czasu (jak prowadzenie Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego i in.), pozostały jednak sprawy biblioteczne. W roku 1954 Biblioteka Polska związana została z Polskim Ośrodkiem Naukowym, i — zachowując formę instytucji autonomicznej — podporządkowana wraz z Centralą Bibliotek Ruchomych Komitetowi Oświatowo-Bibliotecznemu, który następnie wyłonił Podkomitet dla spraw selekcji zakupowanych książek.

W Komitecie Oświatowo-Bibliotecznym prezesem jest Anglik, p. R. H. Hill, emerytowany dyrektor *National Central Library*; Sekretarzem Komitetu i Dyrektorem jest Stanisław W.J. Szydłowski, uprzedni polski Dyrektor Komitetu do Oświaty Polaków w W. Brytanii. Ogółem zasiada w KO-B 13 osób, 8 Anglików, 5 Polaków, wśród nich gen. Anders. Prezesem Podkomitetu jest p. R. H. Hill, sekretarzem — S.W.J. Szydłowski.

Obie Biblioteki, Biblioteka Polska i Centrala Bibliotek Ruchomych, finansowane są przez Brytyjskie Ministerstwo Oświaty. Do niedawna otrzymywał subwencję również Polski Ośrodek Naukowy, w roku 1960 została mu jednak cofnięta, co spowodowało konieczność ograniczenia godzin otwarcia biblioteki.

Sytuacja obecnie jest więc następująca: mamy w Londynie trzy wielkie biblioteki, rozporządzające razem do 135-140.000 tomów, których zbiory bardzo często się dublują i które prowadzą właściwie pracę równoległą. Wszystkie znajdują się w ciasnych pomieszczeniach, i żadna z nich nie ma własnego budynku, jednej zaś z nich grozi bliska przeprowadzka.

Wniosek, nawet z tak zwięzłego postawienia sprawy, jest logiczny: połączyć wszystkie trzy biblioteki w jedną i stworzyć jedną, wielką, centralną Bibliotekę Polską w Londynie, mieszczącą się we własnym gmachu, gdzie wtedy mogłoby skupić się polskiego życie intelektualne, naukowe i twórcze.

Kilka lat temu Zygmunt Nowakowski zainicjował akcję zbiórki na cele Biblioteki Polskiej. Następnie w roku 1956 specjalnie do tego powołany podkomitet — rozpatrując przyszłość bibliotek polskich i ewentualnego apelu publicznego dla otrzymania odpowiednich funduszy — doszedł do wniosku, że apel winien mieć na celu zdobycie środków na odpowiednie pomieszczenie trzech bibliotek, ich rozbudowę i utrzymanie i że te trzy biblioteki winny być połączone. Zdecydowano także, że admini-

stracja zebranych funduszy będzie spoczywała w rękach Komitetu Oświatowo-Bibliotecznego i że apel winien być skierowany osobno do społeczeństwa polskiego i brytyjskiego.

Powstały więc dalsze komitety, a mianowicie: Komitet Apelowy Polskiego Funduszu Bibliotecznego, na czele którego stanął Sir George Rendel, b. ambasador brytyjski w Belgii, a jego honorowym skarbnikiem został p. Anthony W. Tuke, prezes Barclays Bank. Wśród brytyjskich członków Komitetu Honorowego znaleźli się Sir Winston Churchill, Premier Macmillan, przywódca opozycji Gaitskell, kardynał Godfrey i wiele innych wybitnych osobistości brytyjskich. Z polskiej strony do Komitetu Apelowego weszli: Edward Raczyński jako wiceprzewodniczący, gen. Bór-Komorowski, Jan Baliński Jundziłł, Maria Danilewiczowa, Alfons Poklewski-Koziół, Stefan Soboniewski, Tadeusz Zabłocki i S.W.J. Szydłowski jako sekretarz Komitetu. Powstał także polski Komitet Honorowy, do którego m.in. weszli gen. Anders i arcybp. Gawlina.

Jak widać z powyższego, rzecz rozwija się powoli, a cel £ 100.000 — nie może być osiągnięty w zbyt szybkim czasie. Na razie zaapelowano do społeczeństwa polskiego (w momencie kiedy piszemy te słowa, wrzesień 1960, do społeczeństwa brytyjskiego z apelem jeszcze nie wystąpiono). Dotychczas, w przeciągu niecałego roku, dary w gotówce od Polaków wynoszą ponad £ 3.000, a dary w formie *Deed of Covenant* i zobowiązań na przyszłość — ok. £ 5.000. Jest to więc jeszcze kropla w morzu w porównaniu z realnymi potrzebami.

Poza tym nie brak i oporów przeciwko połączeniu, których przełamanie nie jest łatwe.

„Veritas”

Poza *Quartier Polonais* znajduje się jeszcze wiele emigracyjnych instytucji i lokali. Odwiedzamy niektóre z nich.

Z wydawnictw londyńskich największą ilość książek polskich, przy stosunkowo — jak na warunki emigracyjne — wysokich nakładach, wydaje Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”. Mieliśmy już okazje zapoznać się z prowadzonym przez „Veritas” Hospicjum św. Kazimierza, obecnie jesteśmy w centrum Ośrodka, na 12, Praed Mews, kilka kroków od stacji Paddington.

Paddington, to dzielnica bardzo ruchliwa, brudna, będąca właśnie w stadium przebudowy. Obok nowoczesnych gmachów o kilkunastu piętrach i tysiącach okien, stoją stare rudery, brudne

sklepiki, małe domki. Niektóre partie ulic są właśnie burzone — sterczą z nich samotne domy jak spróchniałe, żółto-czarne zęby, czekające na dentystę.

Przy ruchliwych ulicach kryją się dziesiątki zaułków, zwane „mews”. Co to są „mews”?

Londyn nie zawsze był tak zmotoryzowany jak dzisiaj. Jak i wszędzie, były czasy gdy głównym środkiem lokomocji był koń, powóz lub ciągniony przez konie omnibus. Ale nawet kiedy pojawiły się pierwsze auta i autobusy, część mieszkańców Londynu nie chciała rezygnować z przejażdżek konnych, nadal używano powozów, a mieszkające w *country* rodziny arystokratyczne utrzymywały dla własnej wygody i przyjemności powozy i konie w metropolii. W tych to, wcale nie tak odległych czasach, dziesiątki i setki małych zaułków przy ulicach Londynu zajętych było na — stajnie.

Pewna ilość *mewsów* wciąż jest używana na stajnie. Większość przekształciła się w garaże, prywatne, reperacyjne, i stacje benzynowe.

Nad garażami zwykle są mieszkania, jedne z najdroższych w Londynie, towarzysko bardzo wysoko cenione. Zresztą pewna część *mewsów* w ogóle została zamieniona na mieszkania lub warsztaty, składy i pracownie.

W jednym z takich właśnie *mewsów* mieści się drukarnia, księgarnia i biura wydawnictwa „Veritasu”.

Wydawnictwo „Veritas”, które powstało w r. 1948, stało się wkrótce największym wydawnictwem polskim w Londynie. Kapitał zakładowy Ośrodka wynosił około £ 10.000 (pieniądze pochodziły z różnych źródeł z Bliskiego Wschodu, Ameryki i Anglii). Początkowo Ośrodek zajmował jedynie lokal pod numerem 12, następnie skorzystał z okazji by wykupić dzierżawę 5 innych domków w *mews*'ie. Dzierżawa tych 5 domków opiewa na 999 lat, z automatycznym przedłużeniem do 2.000 lat bez jednego dnia. Czynnosc roczny jest nominalny — jedno ziarnko pieprzu.

Ogólna suma wydanych przez „Veritas” pozycji sięga 300 tytułów, ale odrzucając broszury i ulotki, otrzymamy ponad 200 pozycji większego formatu, przeważnie książkowego. Z tego 1/3 stanowią książki religijne: katechizmy, modlitewniki, encykliki, Pismo św., rozważania religijne. Mniej więcej drugą 1/3 stanowią powieści, nowele, dramaty, poezje, wspomnienia i pamiętniki. Dalszą pozycją są książki dla dzieci — około 20. Z dziedziny historii ukazało się 7 pozycji, z ekonomii — 1 pozycja, z filozofii — 2 pozycje, nauki przyrodnicze — kilka pozycji, podobnie życiorysy.

Wśród około 50 pozycji powieściowych, mniej niż połowa napisana została przez autorów emigracyjnych, reszta to albo tłumaczenia (jak Guareschi „Mały świat Don Camilla”) lub przedruki (jak Sienkiewicza „Ta trzecia”, drukowana najpierw w odcinkach w „Gazecie niedzielnej”).

Best-sellerami wydawnictwa — mówi nam p. Kuczyński, kierownik księgarni — były: na pierwszym miejscu: „Wielka tajemnica” ks. Okońskiego, wydana w 29.000 egzemplarzy, z którego 4.000 rozeszło się na emigracji, a 24.000 poszło jako dar do Polski; „Dzieje duszy” — pamiętnik Św. Teresy — nakład 12.000; trzy wydania Felsztyna „Świat w oczach współczesnej nauki” — łączny nakład 8.000; oprócz tego wyczerpane są dwa wydania „Armii Podziemnej” gen. Bora-Komorowskiego. Z beletrystyki najlepiej sprzedawano: „Mały świat Don Camilla”, „Pieśń o Bernadecie”, Danilewiczowej „Blisko i daleko”; z religijnych — „Szaleniec niepokalanej”, „Podróż do Lourdes” — Carrella, „Matka Boska w naszym życiu”, „Fatima”; z historycznych — „Historia Polski” Haleckiego. Całkiem nieźle sprzedają się Giertycha — „Wrześniowcy”. Z poezji najlepiej idzie J. Pietrkiewicza „Antologia liryki angielskiej” i Borowego „Od Kochanowskiego do Staffa” (wersja poprawiona przez autora i zmodernizowana). Inne pozycje leżą na składzie, lub idą bardzo słabo. Do cegieł należą „Poezje” Mickiewicza, „Pamiętki Soplicy” Rzewuskiego, „Rzecz o polszczyźnie” Westfała, „Z ziemi chełmskiej” Reymonta.

Rozpiętość nakładów nie jest duża. Nakład „Wielkiej tajemnicy” był nakładem wyjątkowym. Większość nakładów waha się między 1.000 a 2.500. Rzeczy ocenione na mniej „chodliwe” ukazują się w 700-800 egz. Cyfra globalna przypuszczalnie przekroczyła 100.000.

Ruch w księgarni, która oprócz wydawnictw własnych ma na składzie setki pozycji krajowych i emigracyjnych, utrzymuje się od trzech lat na stałym poziomie. P. Dłużewski z dumą oświadcza, że „Veritas” z początkowego kapitału zakładowego nie przejął właściwie ani grosza — cały kapitał jest zainwestowany w książkach i nieruchomościach, te ostatnie są o tyle dobrą formą inwestycji, że wzrastają ciągle w cenie. Dom Hospicjum kupiony za £ 3.000 wart jest dziś około £ 10.000, książki natomiast są, niestety, dużo gorszą formą inwestycji, wszystko zależy od tego czy zostaną sprzedane. Spadek subskrypcji na książki wydawane w serii „Biblioteki Polskiej” nie nastraja optymistycznie.

Zupełnie nie optymistyczny wydźwięk ma także fakt zamknięcia jedyne go na emigracji periodyku katolickiego na pozio-

mie. „Życie” zaczęło wychodzić w 1947 r. W pierwszych latach istnienia rozwijało się bardzo pomyślnie, szczególnie pod redakcją Jana Tokarskiego, a później Jana Bielatowicza. Po pewnym jednak czasie zaczęło podupadać, z tygodnika stało się miesięcznikiem, z miesięcznika kwartalnikiem i mimo apeli do czytelników w końcu przestało się ukazywać. Ostatnim jego redaktorem był Józef Kisielewski.

O wiele lepiej przedstawia się sytuacja „Gazety Niedzielnej”, tygodnika popularno-religijnego, wydawanego przez Ośrodek „Gazeta Niedzielna”, której redaktorem jest jowialny Tadeusz Borowicz, reprezentuje punkt widzenia emigracyjnej hierarchii duchownej, a w życiu społecznym forsuje koncepcję parafialną. Bez żadnej przesady, jej poziom jest raczej niski. Większość nakładu, który waha się od 6.000-7.000, sprzedawana jest w W. Brytanii²².

Podziemia Emigracji

W Londynie jest kilkanaście drukarni i drukarenek polskich i prawie tyleż wydawnictw. Omówiliśmy na razie „Veritas”. Dużą i nowoczesną drukarnię (zakupiono niedawno nowe maszyny) ma wydawnictwo „Gryf”, gdzie ukazuje się tygodnik „Orzeł Biały”, oficjalny organ gen. Andersa i jego zwolenników. „Gryf” wydaje obecnie książki polskie dosyć rzadko, natomiast drukuje kilka czasopism i książki dla innych wydawnictw (np. dla B. Swiderskiego). Jest ponadto przedstawicielem paryskiej „Kultury” na W. Brytanię. Kiedy w „Dzienniku Polskim” doszło do konfliktu i skoro musiał on przenieść się do drukarni angielskiej, „Gryf” zakupił maszynę rotacyjną, aby móc przejąć druk „Dziennika”. Jak na razie do tego nie doszło, chociaż projekt nie został porzucony.

Nie tak duże, ale ruchliwe, są dwie drukarnie położone na przeciwległych krańcach Londynu: „Hornsey Printers” i „White Eagle Press”. W pierwszej, oprócz sporadycznych książek, drukowane są takie pisma jak „Technika i Nauka”, niezależny miesięcznik „Kontynenty”, pismo studentów i absolwentów — „Merkuriusz Polski”, miesięcznik Stronnictwa Pracy Karola Pięta — „Odnowa” i inne, mniejsze druki. Podstawę finansową

22. Jeśli chodzi o książki, Polacy w W. Brytanii stanowią jedynie ok. 40% odbiorców „Veritasu”. Reszta to Kanada i Stany Zjednoczone (ok. 50%), dokąd idzie gros wydawnictw religijnych, i kontynent (ok. 10%).

drukarni stanowi angielski miesięcznik filmowy „Continental Film Review”, bogato ilustrowane i nieco sensacyjne pismo o dużym nakładzie. Ostatnio drukuje się tu także kwartalnik krytyki filmowej „Definition”, wydawany przez młodą grupę angielskich filmowców (w zespole redakcyjnym jest jeden Polak).

„White Eagle Press”, oprócz drukowania od czasu do czasu książek (także poezji pod własną firmą) drukuje „Rzeczpospolitą” organ Prezydenta i legalnego rządu; robi skład dla „Tygodnia Polskiego” (poza tym drukowane są tutaj takie curiosa czasopiśmiennictwa emigracyjnego jak na przykład „Miryzm — pismo dla studji (sic) o miłości we współżyciu człowieka i narodów. Organ Organizacji Charytatywnej Miryzm”). — Od czasu do czasu zanoszą się także na druk nowego pisma codziennego, ale jak dotąd kończyły się zawsze na projektach. Tutaj drukowane jest też „Oblicze Tygodnia”.

Drukarnia „West London Offset Co.”, obok drobnych prac, drukuje dwutygodnik „Fotorama”, dający fotograficzny przegląd (minimum tekstu) życia polskiego na wyspie. „Jutro Polski” drukowane jest w „St. Martin’s Press”. Istnieje również polska powielarnia (większość okólników, komunikatów etc. jest powielana).

Na ogół drukarnie polskie w Londynie wciąż mają masę roboty, chociaż przy kurczeniu się ilości i nakładów wydawnictw periodycznych, zawsze ostra konkurencja wzmaga się jeszcze bardziej. Drukarze znają się najczęściej na wylot, zakładali przecież kiedyś wspólnie różne spółki, które w końcu rozchodziły się w atmosferze wielkiego niekiedy wzburzenia temperamentów — i to temperamentów śląskich lub pomorskich, gdyż większość drukarzy i zecerów rekrutuje się z tamtych ziem; część przeszła przez wojsko niemieckie. Dobrych zecerów nie jest poza tym wielu, stąd ich pozycja jest szczególnie silna. Niedawno powstał Związek Drukarzy Polskich w W. Brytanii.

Polskie drukarnie w Londynie to świat bardzo dziwny. Przy wszystkich zawiściach i niechęciach, istnieje w nim współpraca. Wydawca często nawet nie wie, że zmieniając drukarnię nie zmienił linotypisty; składanie pisma, lub przynajmniej jego części odbywa się nadal w dawnej drukarni, bo ta, do której się przeniósł nie daje rady. Wrażenie niesamowitości powiększa fakt, że większość drukarni mieści się w suterynach. Jest to więc swoisty polski „underworld”, gdzie pasje wyładowują się nie tylko na szpaltach produkowanych wydawnictw. Kto w podziemiu te nigdy nie zstąpił, nie wie, czym jest naprawdę emigracja

polityczna, nie potrafi pojąć tego specyficznego braterstwa i tej wspólnoty, która pozwala na druk w tej samej drukarni zaciekle zwalczających się pism.



Ciekawym i niekonwencjonalnym wydawnictwem jest „Oficyna Poetów i Malarzy”, własność Czesława i Krystyny Bednarczyków (niekonwencjonalnym nie dlatego, żeby wychodziła całkowicie poza ramy nakreślonych przed chwilą stosunków). Historia wydawnictwa jest dosyć skomplikowana. W skrócie wygląda tak: już przed rokiem 1949 istniały projekty utworzenia wydawnictwa wraz z własną drukarenką, które stałoby się wspólnym warsztatem pracy pisarzy i malarzy. Nic z tego nie wyszło, ale p. Bednarczyk, którego pomysł ten zainteresował, a przy tym sam poeta, mimo że nie znał się na drukarstwie, zaczął powoli realizować go na własną rękę. Jednocześnie w Domu Pisarza zamieszkał w tym czasie grafik Gliwa, który miał tzw. adamkę, ręczną drukarenkę. Bednarczyk, mając już za sobą dwa tomiki poezji: Olechowskiego i Czuchnowskiego, dołączył do Gliwy, wnosząc trochę czcionek i dokupując tzw. pedalik lub inaczej — tygiel. Niestety, zamiar umieszczenia drukarenki w Domu Pisarza spełził na niczym: „bali się, że im wibracja będzie przeszkadzać tworzyć” — mówi p. Bednarczyk, nie bez złośliwości. Ponieważ ani on ani Gliwa nie rozporządzali gotówką, zaczęli szukać pracy: uzyskali ją w osiedlu dla nerwowo chorych w Mabledonie (Kent): Gliwa jako instruktor drukarstwa, Bednarczyk jako instruktor ogrodnictwa. W czasie wolnym od pracy robili pierwsze wspólne tomiki: pięknie wydany Przyłuskiego „Akord”, Winczakiewicza tłumaczenia poezji Lorki. Współpraca nie trwała długo, wspólnicy rozeszli się, nie bez wzajemnych rekryminacji. Gliwa został w Mabledonie, gdzie przez pewien czas prowadził własną oficynę, Bednarczyk przeniósł się do Tonbridge Wells i tam kontynuował druk tomików. Przenosił się jeszcze parę razy, aż wreszcie wyładował — pod mostem. Dosłownie, pod mostem, gdyż oficyna mieści się obecnie w obszernej wnęce pod mostem Charing Cross Bridge, niedaleko Tamizy i słynnej nowoczesnej sali koncertowej: *Festival Hall*. W jednej z pobliskich wnęk mieści się pracownia malarstwa Feliksa Topolskiego.

Bednarczyk wychodzi z założenia, że książka, prócz treści, winna być tak wykonana, by stała się dziełem artystycznym sama w sobie. Wygoda czytania musi być utrzymana, nie chodzi więc o książki „szkatułowe”, ale o książkę „do ręki” a

przy tym piękną. W każdej książce winno występować dwóch autorów: poeta i grafik; nie chodzi więc o ilustrowanie tekstu, ale o współistnienie obu sztuk.

Nie wszystkie książki wydane przez Bednarczyka odpowiadają tym założeniom, bardzo trudnym do zrealizowania. Niemniej udało się Bednarczykowi wydać kilka książek pięknych, a równocześnie zawierających niezłą poezję.

Może najciekawszym wydawnictwem drukowanym przez pevien okres w „Oficynie” była „Kronika” Topolskiego, rysunkowy „dwutygodnik” przez którego karty przewinęło się setki sylwetek i twarzy najwybitniejszych ludzi lat 50-tych, cała galeria typów, scen z wielkich wydarzeń tego okresu, obrazków obyczajowych itp. Drukowana u Bednarczyka w latach 1951-56, „Kronika”, jako druk, zyskała dwukrotnie złote medale na wystawach międzynarodowych.

Początkowo Bednarczyk, oprócz „Kroniki”, drukował prawie wyłącznie poezję. Z ciekawszych pozycji, warto wymienić „Vademecum” Norwida, „Ostatnie Utwory” Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, T.S. Eliota „Zabójstwo w katedrze” w tłumaczeniu na polski, „Pisma polityczne i filozoficzne” Norwida (tom zrobiony na podstawie korekt składu złożonego tuż przed wojną do serii wydawanej przez Miriam-Przesmyckiego) i szereg tomików poetów zamieszkałych w Londynie i poza Anglią.

Z wydawania poezji żyć jednak nie można. Na początku „Oficyna” miała 220 stałych prenumeratorów, dzisiaj ma ich tylko 35! Przy wydawaniu wierszy potrzebna jest więc często pomoc autora.

Wydawanie poezji stało się w tej chwili zajęciem raczej ubocznym. Bednarczyk chce je jednak dalej kontynuować, wydając obok rzeczy przynoszących mu dochód, książki nieopłacalne, w małych nakładach, które zresztą także od czasu do czasu znajdują — nawet hurtowego nabywcę. „Oficyna” ma szczególnie dobrą markę w Polsce, skąd przychodzi wiele indywidualnych zapytań czy to o możliwość nabycia jej wydawnictw, czy też o możliwości wydania. Jak na razie jedynym wydawnictwem autora z kraju był tomik wierszy Stefana Flukowskiego, sprzedawany tylko na emigracji.

„Oficyna” ma również bliski kontakt z Kanadą, drukuje dla McGill University, wydaje poezje angielskie Polaka — Louis Dudka, i inne. W roku 1958 tutaj drukowało londyńskie wydawnictwo Peter Russell’a wiersze Borysa Pasternaka w tłumaczeniu na angielski. Tutaj też drukowane są pisma emigrantów estońskich, węgierskich i łotewskich.

W przeciwieństwie do większości polskich instytucji naukowo-kulturalnych, Instytut Józefa Piłsudskiego znajduje się nieco na peryferiach Londynu, pod numerem 454 przy Upper Richmond Road. Jest to trzypiętrowy budynek, w którym na dole znajduje się biblioteka, kancelaria i sala zebrań, a na górze pokoje lokatorów. Dom jest samo-opłacalny.

Instytut jest kontynuacją Instytutu Badań Najnowszej Historii Polskiej, założonego w Polsce przed wojną, i przemianowanego następnie na Instytut Józefa Piłsudskiego, poświęcony badaniom najnowszej historii Polski.

Pierwotnie, kontynuacja Instytutu powstała w Nowym Jorku, gdzie zdołano zebrać dość poważne archiwum. Następnie, w roku 1948 gen. Bortnowski przyjechał z myślą stworzenia podobnego Instytutu w Londynie. Instytut taki stworzono. Początkowo miał on charakter oddziału nowojorskiego, ale potem zamienił się w samoistny równoległy Instytut.

Istnieją więc od tego czasu jakby dwa człony jednego Instytutu, mające odrębny charakter ze względu na środowisko, ale blisko ze sobą współpracujące. W Ameryce istnieje szeroka baza polonijna i możliwości posiadania archiwów, choć jest tam nieznaczna ilość osób, które w wydarzeniach tej epoki brały udział. W Londynie odwrotnie — jest duża ilość osób, które mogą wnieść do wzbogacenia materiałów pewne przyczynki, natomiast brak poważniejszych własnych zbiorów archiwalnych. Baza archiwalna w ogóle musiała być tworzona od nowa.

Kontynuując prace Instytutu przedwojennego, Instytut Londyński wznowił wydawanie „Niepodległości”. Do tomu VI wydawał je osobno, obecnie pismo ma się ukazywać jako wydawnictwo wspólne obu Instytutów.

„Niepodległość” zamieszcza głównie prace badawcze dotyczące okresu po powstaniu styczniowym i osoby Marszałka, a także relacje pisemne osób, które z własnych przeżyć i przejść mogą coś wnieść do historii tego okresu. Jest także dział dokumentów i recenzyjny. Pismo ukazuje się w dużym jak na stosunki emigracyjne i charakter pisma nakładzie — 650 egz. Co miesiąc odbywają się w sali zebrań Instytutu wieczory relacyjne, mające na celu poddanie relacji dyskusji czy uzupełnieniom. Wieczory te są protokołowane.

Instytut londyński liczy około 300 członków, którzy składkami wspierają jego prace, lub też dają udział bardziej bezpośrednio związany z jego charakterem badawczym. Warto

zauważyć, że Dom Instytutu w Londynie (Nowy Jork jest w o tyle gorszej sytuacji, że posiadając archiwa, nie posiada własnego domu, i korzysta z gościny Fundacji Kościuszkowskiej) zakupiony został wyłącznie z dobrowolnych datków i składek członkowskich, i funkcjonuje dzięki całkowicie bezinteresownej pracy członków.



Także na peryferiach Londynu, bo na Ealingu, mieści się Studium Polski Podziemnej (11, Leopold Road). Cały parter domu zajęty jest na Archiwum Polski Podziemnej. Ogółem, Studium posiada około 60.000 dokumentów do historii AK i innych formacji Podziemia. Zbiory powiększają się z roku na rok, drogą darów, zakupów i depozytów. Szczególnie dobrze udokumentowane jest Powstanie Warszawskie. Studium prowadzi dokumentację, udziela zaświadczeń, ale przy braku funduszy systematyzowanie zbiorów i katalogowanie postępuje bardzo powoli. Na razie nie zanośi się też na wydanie choćby części dokumentów, znowu przede wszystkim z braku pieniędzy.

Niemniej zbiory udostępniane są dla celów naukowych i publicystycznych. W roku 1958/59 korzystało z nich na miejscu około 40 osób. Załatwiane są kwerendy, nawet w formie dłuższych opracowań.

Jak w większości tego typu instytucji, na czele Studium stoi Rada, której przewodniczącym jest gen. Bór-Komorowski. Oprócz tego istnieje zarząd. Przewodniczącym zarządu jest gen. Tadeusz Pełczyński, jednym z członków — płk. K. Iranek-Osmecki, mający na swoim koncie wiele prac na temat AK. Kierowniczką Archiwum jest p. Halina Czarnocka.



Jeszcze jeden instytut powinien być wspomniany: jest nim Instytut Badania Zagadnień Krajowych, którego prezesem jest inż. O. Stepan (architekt). Instytut ten zajmuje się urządzaniem odczytów na tematy krajowe, najczęściej wspólnie ze Szkołą Nauk Politycznych i Społecznych. Ostatnio wydał on tom opracowań (będących najczęściej tekstami wygłoszonych uprzednio odczytów i referatów) dotyczących różnych zagadnień krajowych w latach 1958/59 pt. „Rocznik Spraw Krajowych”. Istnieje plan kontynuowania tego wydawnictwa, o ile znajdą się fundusze. Instytut nie posiada własnego domu i — (nie tylko zresztą z tego powodu) — bardziej byłaby dla niego odpowiednia trochę skromniejsza nazwa.

YMCA

Polska YMCA w Europie Zachodniej posiada sekcje we Francji, Niemczech, Szwajcarii i W. Brytanii. Sekcja w W. Brytanii prowadzi Ognisko w Londynie, w Barnsley (na prowincji) i koło w Sheffield (poprzednio również było tu Ognisko, ale z powodu odpływu Polaków z tej dzielnicy, dom został sprzedany). W W. Brytanii mieszka obecny Dyrektor Polskiej YMCA na Europę Zachodnią, Tadeusz Zawadzki. Ognisko w Londynie prowadzi p. Lisiecki. Poza tym w pracach YMCA bierze udział wiele osób, których nazwiska już częściowo wymieniliśmy przy innej okazji, jak p. M.A. Stopa, kierownik Centrali Bibliotek Ruchomych, Marian Bohusz-Szyszko i inni. Przez ponad 30 lat swojej działalności polska YMCA wyrobiła sobie metodę wszechstronnej działalności, szczególnie na polu kulturalno-oświatowym. Londyńskie Ognisko, stojące nieco na uboczu, (na Bayswater niedaleko od Paddingtonu), nie roszczące sobie pretensji do jakiegokolwiek reprezentacyjności, przez szereg lat prowadziło bardzo ciekawą pracę, która obejmując o wiele mniejszy wycinek terenowy niż praca takich organizacji jak SPK, była równocześnie w swej różnorodności może nawet i bogatsza.

Przez długi czas jedyną organizacją, która interesowała się rozwojem polskiego malarstwa w Londynie, była polska YMCA. W sali wystawowej Ogniska odbyło się wiele wystaw zarówno początkujących jak i dojrzałych malarzy, grafików, rzeźbiarzy. Ponadto, z ramienia YMCA co niedzielę odbywają się wycieczki po galeriach londyńskich dla Polaków zainteresowanych poznaniem malarstwa, oprowadzane przez prof. Bohusz-Szyszko. Wycieczki te, odbywające się regularnie od szeregu lat, musiały przynajmniej w pewnych grupach Polaków londyńskich podnieść poziom zrozumienia malarstwa. Korzystające z lokalu w Ognisku, Studium Malarstwa Sztalugowego SAUSB, również prowadzone przez Szyszko-Bohusza, nawet jeśli przyciąga pewną ilość nie mających nic do roboty pań, ma na swoim koncie wcale poważny dorobek.

YMCA zrobiła także dużo w dziedzinie krzewienia wiedzy muzycznej. Odbywają się cykle odczytów na tematy muzyczne czasami ilustrowane koncertami z płyt, na których częstym prelegentem jest młody pianista, B. Maciejewski. Istnieje od kilku lat szkoła muzyki fortepianowej i teorii muzycznej, prowadzona przez prof. S. Niekraszową, wielką entuzjastkę muzyki, przy współdziałaniu Marii Jankowskiej, wychowanki Królewskiej Akademii Muzycznej w Szkocji. Do Szkoły uczęszcza kilkadziesiąt dzieci i młodzieży. Po skończonym kursie uczniowie zdają egz-

miny konkursowe w „The Royal School of Music”, co stawia ich na równi z uczniami brytyjskich szkół muzycznych. Szkoła pochwalić się może wybitnymi osiągnięciami, jak celujące wyniki egzaminów lub nagrody zdobyte przez uczniów na konkursach młodych talentów. W styczniu 1959 roku odbył się pierwszy publiczny wieczór muzyki fortepianowej uczennic i uczniów szkoły. Publiczność stawiała się licznie. W koncercie brało udział 20 pianistów i pianistek w wieku od lat 5 do 18.

YMCA zainteresowała się także gałęzią sztuki, w której Polacy w W. Brytanii i na Zachodzie mają ciekawe osiągnięcia, a która na ogół traktowana jest po macoszemu — mianowicie fotografią. W r. 1958 powstało przy YMCA w Londynie Stowarzyszenie Fotografów Polskich, skupiające takie nazwiska jak S. Arway, E. Zaziuk, J. Lewiński, L. Stanton-Święcicki, W. Marynowicz i inni. Urządzane są wystawy zbiorowe i poszczególnych fotografów.

Niekonwencjonalnie, na tle manii brydżowej, jaka ogarnęła wyższe sfery Polonii londyńskiej, a nawet i małuczkich, wyróżnia się istniejący przy YMCA Klub Szachowy, reprezentujący wcale dobry poziom. Filatelistyka może być traktowana jako zajęcie niegodne emigranta politycznego, niemniej przy tak dużym nagromadzeniu politycznej siarki w atmosferze *Quartier Polonais* i ona ma swoje atrakcje. YMCA i tutaj potrafiła pójść na rękę, urządzając wystawy i oddając lokal na zebrania Związku Filatelistów Polskich w W. Brytanii.

YMCA prowadzi ponadto imprezy sportowe, urządza obozy letnie dla młodzieży na kontynencie i w Anglii, posiada jeden z najlepszych zespołów tanecznych (pod kierownictwem J. Ciepłińskiego) z tak dobrą parą solistów jak Różycka i Piotrowski, — zdobywcy nagród na międzynarodowych festiwalach tańców ludowych, urządza co środę publiczne odczyty o różnorodnej tematyce (książki, film, historia, itd.), współorganizuje pokazy filmowe, współpracuje ściśle z jedną ze szkół sobotnich, ma wypożyczalnię książek (którą prowadzi p. T. Rokicki); przy Ognisku YMCA istnieje także tzw. *Y's Men's Club* (którego kierownikiem jest Bohdan Brodziński, ekonomista). W klubie tym odbywają się co miesiąc zebrania przy kolacji, na których wygłaszane są referaty i odbywają się dyskusje. Członkami są nie tylko Polacy — na wprost nas podczas kolacji siedział Murzyn, świetnie czujący się w polskim towarzystwie — zgodnie zresztą z założeniem Klubu, zbliżania członków różnych społeczności.

Jak większość polskich organizacji na Zachodzie, YMCA ma trudności z przyciąganiem młodzieży, chociaż stworzyła w

tym celu szereg atrakcyjnych form działalności. Pewna grupa młodych skupia się w tzw. Konfraterni Obozowców. W ostatnich paru latach działacze YMCA postawili sobie jako jedno z palących zadań poznanie środowisk młodzieżowych i próbę zrozumienia ich potrzeb i poglądów.

Wielką szkodę i cios dla kulturalno-oświatowej działalności YMCA w W. Brytanii stanowi zawieszenie w r. 1960 „Poradnika kulturalno-oświatowego”, który przez 19 lat udostępniał działaczom nie tylko na Wyspie brytyjskiej, ale w całym świecie, wybór nieraz doskonałych materiałów i opracowań, wskazówek, tekstów, a po przejściu redakcji przez Jakuba Hoffmana, historyka Wołynia i wysokiej klasy oświatowca, zaczął przekształcać się w kwartalnik popularno-naukowy, ze szczególnym naciskiem na poznawanie i analizę życia polonijnego i emigracyjnego. Obok syntetycznych omówień polskiego życia kulturalnego Londynu, opracowywanych rok rocznie przez Jana Ostrowskiego (specjalizującego się, nawiasem mówiąc, w cybernetyce i prakseologii), w „Poradniku” ukazywały się przedruki i tłumaczenia fragmentów prac Floriana Znanieckiego, z socjologii emigracji, materiały z życia innych Polonii, sylwetki wielkich polskich naukowców na Zachodzie i analityczne artykuły na temat przemian kulturalno-społecznych w Polsce. Gdyby nie brak funduszy i skurczenie się liczby odbiorców, spowodowane m.in. likwidacją polskich osiedli w Anglii i zanikiem świetlic, „Poradnik” mógł być stać się warsztatem ciekawej pracy poznawczej, a może i miejscem gdzie rodziłyby się nowe koncepcje form pracy kulturalno-oświatowej w polskich środowiskach polonijnych, czy emigracyjno-polonijnych.

„Konsulat” — Komitet Pomocy

Pod Nr. 33 przy Weymouth Str., w eleganckim śródmieściu Londynu, na roku Harley Str., gdzie najbardziej wzięci lekarze otwierają prywatne przychodnie, mieści się kwatera główna Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polakom. Komitet Obywatelski jest jedną z tych instytucji, które powstały w pierwszym okresie wojny, obok organów rządowych, by ostatecznie przeżyć te organy i przyjąć część ich funkcji. Komitet powołany został do życia w 1940 roku przez londyński Konsulat Generalny Rzeczypospolitej, w momencie kiedy fala uchodźców z podbitej Francji stworzyła problemy, przerastające możliwości działania samego Konsulatu. Komitet miał być społeczną przy-

budówką Konsulatu, organem pomocniczym, udzielającym uchodźcom doraźnej pomocy, przeważnie materialnej. W r. 1940 Komitet powołał do życia Przychodnię Lekarską. Akcja pomocy uchodźcom wkrótce dobiegła końca i działalność Komitetu w tej dziedzinie praktycznie ustała. Ale instytucję utrzymano aż do zakończenia działań wojennych. W czerwcu 1945 roku, kiedy przewidzieć już było można bliskie cofnięcie uznania rządowi londyńskiemu, zwołano walne zebranie Komitetu, na którym uchwalono pewne zmiany statutowe i przekazano tej instytucji majątek konsulatu. Na czele Komitetu stanął dr Karol Poznański, dotychczasowy konsul generalny, prezesem honorowym jest pani Helena Sikorska, wdowa po generale.

Przejąwszy majątek konsulatu, Komitet starał się przejąć także pewne jego funkcje. Istniała paląca potrzeba prowadzenia dokumentacji, wydawania ludziom zastępczych aktów i świadectw. Ze zrozumiałych psychologicznych i praktycznych względów Polacy nie zawsze mogli i chcieli chodzić w tych sprawach do konsulatu reżimowego. Nie tylko zresztą Polacy: wielu zdemobilizowanych żołnierzy decydowało się wtedy na osiedlenie w krajach zamorskich. Rządy wielu z tych państw, przyjmując chętnie Polaków bały się infiltracji komunistycznej i żądały „zaświadczeń moralności”, które by, między innymi, świadczyły że okaziciel ma poglądy politycznie strawne. Świadectwo z instytucji „reżimowej” miałoby więc wartość wątpliwą. Poza tym władze angielskie żądały często takich dokumentów jak np. metryki urodzenia lub ślubu, które mało kto posiadał. Po zlikwidowaniu konsulatu zaistniała więc próżnia. Dr Poznański przekonany, że próba negocjacji z władzami brytyjskimi nie może przynieść żadnych pozytywnych wyników, zdecydował się na politykę faktów dokonanych. Zaczął podpisywać dokumenty, w nadziei, że znany w urzędach podpis generalnego konsula będzie nadal honorowany. Obliczenia te okazały się słuszne. Anglicy, jak wiadomo, szczerzą się swoim zdrowym rozsądkiem i na tego rodzaju praktyczne kompromisy idą bez wahania. Dokumenty wydane przez Komitet rozchodzą się więc oficjalnymi i pół-oficjalnymi kanałami. Dr Poznański podpisał już ich około 30.000.

Tak więc komitet stał się pewnego rodzaju nieoficjalnym „konsulatem” i konkurentem Konsulatu Polski Ludowej. Nie wiemy, czy przypadek, czy arcypolski temperament ludzi stojących na czele Komitetu sprawił, że Komitet usadowił się w bezpośrednim sąsiedztwie Konsulatu. Na tej samej i po tej samej stronie ulicy, o parę dosłownie kroków jeden od drugiego.

Poza działalnością quasi-konsularną, Komitet w dalszym ciągu pozostał instytucją filantropijną. Prawdziwie biednym dawano zapomogi. Przez czas jakiś udzielano bezpłatnych porad prawnych — teraz, mówi dr Poznański, Polacy już ich nie potrzebują, sami dają sobie świetnie radę. Ważną akcją Komitetu było udzielanie bezprocentowych pożyczek Polakom, zamierzającym założyć własny warsztat pracy i nie posiadającym na to środków. Od 1946 roku udzielono 2.300 pożyczek, na ogólną sumę około 300.000 funtów. Oblicza się, że co najmniej 1.500 emigrantów dzięki tym pożyczkom założyło, utrzymało i rozwinęło własne warsztaty pracy. Spłata normalnie obejmowała okres dwóch lat. Straty wyniosły wszystkiego 3.1/2%, tj. na tyle mało, że akcję uznać można za całkowity sukces. W okresie ostatnich 5 lat spłaty długu wyniosły nawet 99,9 procent sumy wypłaconej. Fundusz ten otwarty jest w dalszym ciągu.

Od czasu do czasu Komitet udziela też pożyczek lub subwencji organizacjom, i instytucjom społecznym, charytatywnym, kulturalnym i oświatowym, (z pomocy korzystały np. PUNO, Polskie Towarzystwo Naukowe, ZHP, ZASP itp.). Niektóre domy społeczne zakupione zostały przy pomocy Komitetu. Zdarza się, że Komitet finansuje specjalne, jednorazowe inicjatywy, np. wydanie książki („The Origin of Russia”, prof. Paszkiewicza, prace Instytutu Badania Zagadnień Krajowych itd.), wystawienie sztuki, ufundowanie nagrody literackiej (trzykrotnie), lub teatralnej. Gra więc Komitet poniekąd rolę emigracyjnego św. Mikołaja, którego podarunki płyną zresztą strugą coraz to cieńszą. Zasoby topnieją.

Dwie własne i dość szeroko znane inicjatywy Komitetu to „Antokol”, zakład dla starszych i Przychodnia Lekarska na Weymouth Street. Przychodnia powstała jeszcze w 1940 r., tuż po założeniu samego Komitetu. Polscy lekarze, których zebrало się w Londynie sporo, nie mieli wtedy prawa praktyki, a polscy pacjenci nie znali języka i niechętnie udawali się do Anglików. Na mocy specjalnej umowy, władze zgodziły się, że polscy lekarze będą mieli prawo praktyki tylko we własnej przychodni i tylko dla pacjentów Polaków. Grupie lekarzy umożliwiono pracę, pacjentom Polakom zapewniono bezpłatną opiekę. Był to swego rodzaju prototyp angielskiego *Health Centre*. Po wojnie i po wejściu w życie labourzystowskich reform, całą przychodnię wbudowano w *Health Scheme*. Władze płacą za *surgery*, lekarze otrzymują normalną pensję. Ewentualne, niewielkie zresztą, deficyty pokrywa Komitet.

Antokol

„Antokol” to instytucja o której istnieniu większość londyńskich Polaków wie, ale mało kto potrafi ją umiejscowić na planie wielkiego Londynu, a bardzo tylko nieliczni, poza gronem osób ściśle związanych z „Antokolem”, mogą się pochwalić, że byli tam osobiście. Czuliśmy się więc zaszczytzeni zaproszeniem na kolację i zwiedzenie domu.

„Antokol” leży w Beckenham, odległej dzielnicy południowego Londynu, zamożnej, zielonej i eleganckiej, ale odznaczającej się najgorszymi na terenie Londynu drogami.

Na jednej z alei, Foxgrove Rd., pod numerem 40, mieści się „Antokol”. Na zewnątrz nie odbija niczym od reszty tutejszych domów. Ot duża, nieforemna, pałacowata kamienica. Wewnątrz te same pałacowate pretensje jeszcze bardziej tylko podkreślone. Z hallu, okazała klatka schodowa prostopadłe wspina się trzema kondygnacjami aż pod dach i zakończona jest plafonami z ozdobnego szkła. Brzydkie to bo brzydkie, ale pewien rozmach w tym jest. Przestrzenny salon ma piękne parkiety (w Anglii rzadkość), jadalnia — boazerie. Za domem leży ogromny i bez zastrzeżeń piękny ogród: okolony starymi kasztanami, z ogromnym dobrze utrzymanym trawnikiem i kwietnymi kłombami.

Mieszka tu obecnie 28 osób, nie licząc stałego personelu. Na więcej, w obecnym pomieszczeniu i przy utrzymaniu obecnych założeń, nie ma już miejsca.

„Antokol” powstał z inicjatywy Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim i zawdzięcza wiele przewodniczącemu Komitetu, dr. K. Poznańskiemu. Projekt narodził się w parę lat po wojnie, kiedy szybki powrót emigracji do kraju stał się co najmniej mało prawdopodobny i powstał problem opieki społecznej w jego różnych aspektach. Najbardziej podstawowe potrzeby materialne załatwiły reformy *Labour Party*. Dla starych i niedołączonych Polaków, którzy znaleźli się w obcym społeczeństwie, często zupełnie sami, parę funtów tygodniowej zapomogi nie-rozwiązywało problemu. „Antokol” załatwić miał tylko jeden, specyficzny wycinek problemu. Założeniem było, aby znaleźli się tam tylko ludzie w jakiś sposób zasłużeni w życiu publicznym, a obecnie samotni i ubodzy. Nie chodziło — twierdzi konsul Poznański — o to, by zebrać elitę w sensie klasowym, czy nawet umysłowym. Miała to natomiast być „elita z punktu widzenia karty życia”. Paszportem do „Antokolu” jest zasadniczo jakiś osobisty wkład w dorobek „dwudziestolecia”, wszystko jedno w jakiej dziedzinie: polityce, wojskowości, literaturze, nauce.

W „Antokolu” ludzie ci są wolni od trosk codziennych, mieszka ją przyzwyczajeni, mają możność kontynuowania swych zainteresowań i spotkania na stopie towarzyskiej rodaków „na swoim poziomie”. Ochrania ich to od świadomości deklasacji, zabezpiecza ich ludzką godność.

Dom zakupiony został przez Komitet w 1950 roku i, po uzyskaniu pozwolenia od magistratu, wyremontowany gruntownie i przygotowany do przyjęcia mieszkańców wiosną 1951. Pierwsi mieszkańcy wprowadzili się już w marcu, a w czerwcu 1951 dokonano oficjalnego otwarcia. Ochrzczono dom „Antokolem” dlatego, że z możliwych nazw z ładunkiem sentymentu i tradycji („Wawel”, „Wilanów” itd.), była to jedyna, którą Anglicy wymawiają identycznie jak Polacy. A sprawy „Antokolu” dotyczą i tubylców i to nie tylko dostawców żywności. Instytucja ta współdziała z *National Assistance Board*²³. Gospodarczym założeniem było bowiem doprowadzić „Antokol” do samowystarczalności, w oparciu o zasiłki NAB, jakie należą się jego mieszkańcom. Na podstawie specjalnej umowy NAB wypłaca zasiłki bezpośrednio kierownictwu instytucji, które przekazuje mieszkańcom pewne „kieszonkowe” (przeważnie 12 szylingów tygodniowo). Resztą gospodarować trzeba oszczędnie, by starczyło na żywność, utrzymanie domu i opłatę czteroosobowego personelu.

Budżet przeważnie jest nieznacznie przekraczany i drobne deficyty pokrywać musi Komitet. Ale niedobór jest tak mały, że założyciele uważają swój eksperyment za zupełnie udany pod względem gospodarczym. Mają już dziś pewność, że „Antokol” utrzymałby się nawet gdyby Komitet przestał istnieć.

Założyciele uważają także „Antokol” za udany eksperyment społeczny. Jeżeli przyjmie ich założenia, trzeba się z tym zgodzić. Nadzieje, jakie żywili niektórzy, że dom stanie się ośrodkiem twórczym, dając możliwość kontynuowania pracy ludziom, którzy stanowili śmietankę umysłową przedwojennej Polski, zapewne się nie spełniły, ale nie mogły się spełnić, jeżeli z samego założenia przyjmowano do „Antokolu” ludzi najbardziej potrzebujących opieki. Są to przeważnie ludzie sędziwi, a często chorzy i ułomni. Najstarsza z pań ma lat 86, najmłodsze — dwa „podlotki”, jak się tu o nich mówi — skończyły 62 lata, i mają mężów o wiele starszych. Tylko parę osób, silniejszych fizycznie i o sporym zasobie energii jeździ stale do Londynu i działa tam społecznie i kulturalnie (m.in. p. Courtenay-Jędrze-

23. Roczne sprawozdania finansowe wysyłane są do NAB, które poza tym w administrację się nie wtrąca.

jewiczowa, rektor PUNO). Dla innych, samodzielna wyprawa do Londynu to zbyt duży wysiłek i fizyczny i finansowy. Żyje więc „Antokol” w izolacji, jak wysepka o bardzo specyficznym klimacie. Normalne, codzienne troski życiowe do mieszkańców domu nie docierają. Samotność mniej daje się we znaki. Ten cel został więc osiągnięty. Ale byłoby niezgodne z prawdą malowanie obrazu dojrzałej, sytej i pogodnej, niezakłóconej niczym jesieni życia. Już sam fakt braku normalnych trosk, uspienie instynktu samozachowawczego, rodzić musi nowe problemy. Kiedy brak spraw ważnych, kłótnie wybuchają o każdą drobnostkę. Zainteresowania polityką, w szerszym słowa tego znaczeniu, na ogół brak, ale czasem odzywają się i tu echa emigracyjnych sporów. Dość późno dotarł tu rozłam na Zamek i Zjednoczenie, i przez jakiś czas robił sporo zamętu. W takich wypadkach kierownictwo stara się konflikt rozładować, lub sprowadzić na inne tory. Ktoś mówił nam żartobliwie, że wystarczy uciąć gałąź kasztanu, a wybuch oburzenia mieszkańców zniweluje wszelkie pomiędzy nimi różnice i oczyści atmosferę.

Uporządkowany tryb życia pozostawia ogromny margines zupełnie wolnego czasu. Latem wiele osób pracuje w ogrodzie, sadząc i pielęgnując kwiaty. W salonie zainstalowany jest duży, nowoczesny telewizor, który ma swych namiętnych zwolenników i gwałtownych przeciwników (dość nieoczekiwanie, największą popularnością cieszą się transmisje sportowe. Istnieje mała biblioteka, zasilana przez Centralę Bibliotek Ruchomych. Z emigracyjnych pism dochodzi „Dziennik Polski”, „Wiadomości”, „Kultura”. Z angielskich — „Daily Mail”. Rzecz zdumiewająca: kartograjstwa nie ma wcale, nawet brydża! Tworzą się natomiast małe grona towarzyskie, namiastki rodzin, które spotykają się stale i długie godziny spędzają na rozmowach. W sukurs przychodzi ogłada towarzyska, zdolność nawiązania i podtrzymania rozmowy na każdy, błahy nawet temat. Trzy główne posiłki je się razem w jadalni, ale każdy otrzymuje swoją tygodniową rację herbaty, cukru, masła, powideł i mleka i sam nią gospodaruje. Na każdym piętrze jest jedna mała gazowa kuchenka, gdzie zrobić można herbatę dla siebie i gości.

Prawdziwym wstrząsem w życiu „Antokolu” jest śmierć jednego z mieszkańców. A wypadków takich było już zdaje się 12, Beckenhamski cmentarz staje się, obok Powązek, Rossy i Montmorency miejscem spoczynku zasłużonych Polaków. Polityką kierownictwa jest, by ciężko chorych czy po prostu dogasających mieszkańców w miarę możliwości nie odsyłać do szpitala. Szok łagodzony jest wtedy świadomością, że nie była to

w każdym razie śmierć samotna, że umierał człowiek w domu i wśród „swoich”. Opróżnione miejsce zajmuje kto inny.

Jest cała kolejka ludzi starających się o przyjęcie do „Antokolu”. Nie ma dla nich miejsca, tym bardziej że Komitet trzyma się zasady, że każdy z mieszkańców, nie licząc małżeństw, musi mieć swój własny, przyzwoity pokój. Pojawił się też nowy problem: ludziom z każdym rokiem ciężiej jest wspinać się na pierwsze lub drugie piętro. Zafatwić to ma projektowana budowa z tyłu parterowego budynku. Pojemność „Antokolu” zwiększy się wtedy do 42-44 miejsc. Projekt czeka obecnie na zatwierdzenie przez magistrat.

Jedliśmy wspólnie kolację przy jednym z małych, czteroosobowych stoliczków. Kolacja jarzynowa, lekka: kalafior, fasolka szparagowa, twarog i biskwity. Większy, cięższy posiłek je się w południe. Wokół nas szmer grzecznej rozmowy. Przy sąsiednim stoliku pani pyta księdza z kraju, który przyjechał do „Antokolu” spowiadać, czy zna Wilno. Z drugiej strony pan opowiada o oglądanym przed chwilą programie telewizyjnym. Piękny był — mówi — przez całą godzinę konie. Jest na sali dwóch generałów, wdowa po prezydencie, wdowa po premierze, wdowa po ministrze spraw zagranicznych, wdowa po znanym pisarzu — kobiety, jak wiadomo, żyją dłużej. Po kolacji zaproszeni jesteśmy do paru pokojów: schludnych, porządnie umeblowanych (w niektórych wypadkach meble są własnością mieszkańców), z szerokimi weneckimi oknami wpuszczającymi słońce i zieloność drzew. W korytarzu mijamy drzwi, na których wisi wielka karta z wykaligrafowanym starannie: WYPOCZYWAM.

SRODOWISKO INTELEKTUALNE I TWÓRCZE

Świat londyńskiej *Little Poland* tworzą przede wszystkim politycy i byli wojskowi, ale jego ozdobą jest część środowiska intelektualnego i twórczego, które poglądy i problemy tego świata artykułuje, nadaje im czasem formę artystyczną, wzbogaca teatrem i wieczorem literackim, występem chórów, rewią, patriotycznym wierszem. Czasami buntuje się przeciwko niemu, sięga po ironię i groteskę, ale te głosy pochodzą najczęściej spoza grona pisarzy, literatów i artystów, którzy związani są z tym światem instytucjonalnie, materialnie, ideowo, którzy są częścią swoistego, emigracyjnego *The Establishment*.

Spróbujemy pokazać różne aspekty tej twórczej nadbudowy.

Teatr

Od czasów niepamiętnych teatr polski na emigracji — a to znaczy... w Londynie — przechodzi kryzys. Od razu można powiedzieć, że warunki nie sprzyjają stworzeniu wielkiego teatru. Natomiast dziś jeszcze stać emigracyjną scenę na pokazanie dobrej, średniej klasy przedstawień. Jeżeli więc mówimy o kryzysie, to mamy na myśli głównie fakt, że przedstawienia wystawiane na scenie Ogniska Polskiego (obecnie prawie wyłącznie), nie osiągają nawet tego poziomu. Ma to wiele przyczyn.

W czerwcu 1953 roku pisząc w „Kulturze” o zamarcu teatru emigracyjnego, Tymon Terlecki, krytyk i teatrolog, tak charakteryzował ten stan zamarcia i jego przyczyny:

„Właśnie dobiegł końca proces, który ludzi przytomnych już od wielu lat niepokoił i alarmował. W całej W. Brytanii jest w tym momencie

czynny jeden kabaret 4-osobowy. Zniknęły liczne, w niektórych okresach zbyt liczne, współzawodniczące ze sobą i wzajemnie się unicestwiające, zespoły dramatyczne.

„Aktorzy zdarli siły, zniechęcili się, poszli do innych zawodów, rozproszyli się po świecie. Stoimy wobec ruiny i próżni.

„Jest to wynik wyjątkowo zgodnego współdziałania dwóch bezwładów: bezwładu społeczeństwa emigracyjnego i bezwładu zbiorowości aktorskiej.

„Ludzie teatru wykazali brak poczucia rzeczywistości, brak dyscypliny. Ich organizacja zawodowa... dopuściła do obniżenia poziomu, do zacierania granicy między teatrem zawodowym a amatorem, do grasowania jednostek artystycznie nieodpowiedzialnych, do marnotrawstwa możliwości materialnych i moralnych...

Ale jeszcze większa wina obciąża społeczeństwo emigracyjne. Przyglądało się ono najzupełniej biernie wszystkiemu co się działo w tej dziedzinie. Z równą obojętnością kwitowało bohaterskie wysiłki jak słabości... Żadna instancja oficjalna (od końca wojny), żadna organizacja społeczna nie wystąpiła z zaoferowaniem stałej pomocy, opieki, rady. Zabiegi o zainteresowanie rozmaitych stowarzyszeń i zjednoczeń, stworzenie tzw. teatru społecznego, zbudowanie domu aktora, spełzły na niczym”.

Ten proces upadku teatru był bardzo szybki. Jeszcze bowiem w roku 1951 istniało w Londynie i wyjeżdżało na prowincję sześć(1) „teatrów”: Teatr im. Słowackiego, Teatr Aktora, Teatr Komedia, Teatr Sztuk Czytanych, Teatr Hemara, i Budzyński. W tymże roku odbyło się 31 premier, z czego — 7 prapremier polskich sztuk emigracyjnych, 10 polskich sztuk klasycznych i retrospektywnych, 6 fars i komedii autorów obcych, 1 sztuka religijna, 7 premier kabaretów literackich.

Jednym z powodów upadku teatru emigracyjnego było to, że traktowano go zbyt komercyjnie. Właściwie, z wyjątkiem Studium Dramatycznego, które prowadził czołowy reżyser polski w Londynie, Leopold Kielanowski, i warsztatu teatralnego Mireckiego, nie było ani jednego teatru zawodowego, który pracowałby wokół jakiejś koncepcji artystycznej. Powstające „teatry” (tak szumnie określane) były albo kontynuacją teatrów z okresu wojkowego, albo przypadkowymi zlepkami, powstającymi nierzadko na tle zawiści osobistych, lub marzycielskich wizji zrobienia pieniędzy. Repertuar dobierano głównie z uwagi na publiczność, o której na ogół nie miano dobrego wyobrażenia. Było to może i słuszne, ale nikt nie próbował wychowywać sobie publiczności, co mści się do dziś. Oczywiście były sztuki na dobrym poziomie, dobrze grane i reżyserowane, bywały ciekawe dekoracje, były, jak wspomina cytowany autor, bohaterskie wysiłki i próby, ale nie dały one prawdziwych rezultatów. Wymienione zaś już Studium Dramatyczne i warsztat teatralny kładły nacisk na dobre rzemiosło teatralne, ale nie były teatrami. Zresztą, na ogół nie wykorzystano młodego narybku, nie dbano żeby się najlepiej rozwijał, odsuwano od gry. Zawodowi akto-

rzy często odnosili się z pogardą do amatorów i żółtodziobów i w ogóle zawiści w tym środowisku osiągały duże proporcje. Oczywiście, nie było jeszcze środowiska aktorskiego, gdzie ambicjonalne motywy nie odgrywałyby roli, ale rekompensatą był zwykle fakt rywalizacji artystycznej i poczucie — na tym tle — pewnej wspólnoty. W środowisku aktorskim w Londynie tego czynnika najczęściej brakowało, obnoszono się ze swoją „fachowością” zapominając, że nadwreżęła się ona mocno przez długie lata ciężkich warunków pracy, czasami bezczynności, opuszczania się w rzemiośle.

Jedyną próbą teatru o koncepcji artystycznej, próbującego eksperymentować, był Teatr Grupy „Pro Arte”, prowadzony przez Olę Zeromską. Był to teatr właściwie amatorski, grupujący młodzież, wśród której było kilka niezłych talentów. Przedstawienia tego teatru cechowała pewna świeżość, ciekawy repertuar i niezłe koncepcje reżyserskie, niemniej nie dało się zmienić faktu, że aktorami byli amatorzy. Próba stworzenia teatru eksperymentalnego na wzór amerykańskich *little theatres* właściwie więc nie udała się, chociaż w pewnym momencie miała widoki powodzenia, szczególnie że poparta została, w formie pomocy finansowej, przez SPK. Zawiodła jednak publiczność a młodzi adepci powoli wykruszyli się. W tej chwili „Pro Arte” istnieje już tylko raczej jako wspomnienie, i jedynie niezmiernie rzadko przejawia jakąś aktywność. Trzeba przyznać, że środowisko aktorów zawodowych i reżyserów nie pomogło temu teatrowi prawie w ogóle — raczej przeciwnie.

Faza, w której teatrem polskim rządził komercjalizm, była jednak chyba ciekawsza od fazy, w której uległ on patriotyzmowi. Niewątpliwie bardzo ambitnie prezentował się zamiar wystawienia „Wyzwolenia” Wyspiańskiego — ale premiera pokazała, że sięgnięto zbyt wysoko bez odpowiedniego przygotowania. Natomiast seria takich przedstawień-monstre, jak przeróbka „Pana Tadeusza”, „Książę Niezłomny” i „Reytan” (wystawienie tej ostatniej sztuki połączone było z akademią) poszła po linii doboru repertuaru w imię kryteriów polityczno-patriotycznych, przynosząc równocześnie deficyt. (Zresztą „Wyzwolenie” grano między innymi dlatego, że rzekomo nie mogło ono być wystawione w Polsce). W ogóle wytworzyła się atmosfera, podtrzymywana w prasie, piętnująca słabą frekwencję publiczności jako objaw braku patriotyzmu; znaleźli się aktorzy i autorzy, którzy z chodzenia do teatru chcieli uczynić obowiązek narodowy. A w międzyczasie, obok tych kilku przedstawień-akademii, szły na scenie emigracyjnej szmiry i prawie-szmiry i trzeba chyba przyznać słuszność Ognisku Polskiemu jeżeli rzeczywiście między

innymi i dlatego tak niechętnie udzielało sali na teatr (choćby były i inne powody, mniej chwalebne).

Niemniej wystawiono także kilka dobrych sztuk, osiągając może nie wysoki, ale przyzwoity poziom. Przede wszystkim powiało dobrym teatrem podczas gościnnych występów najpierw Modzelewskiej, a później Eichlerówny, która zachwyciła widza emigracyjnego wspaniałą kreacją w „Profesji Pani Warren”. Warto wspomnieć, że sztukę reżyserował Władysław Scheybal, młody aktor i reżyser z kraju, który później wystawiał parę sztuk w angielskim teatrze w Oxfordzie, i do polskiej sceny na razie nie wrócił. W obsadzie czysto emigracyjnej warto wymienić „Milczenie” Brandstaettera, Szaniawskiego „Kowal, pieniądze i gwiazdy”, Goetla „Mr. Gill”, „Moralność Pani Dulskiej”; nieco gorzej wypadły dwie sztuki Morstina.

W porównaniu z rokiem 1951, ilość premier spadła mniej więcej sześciokrotnie. W ostatnich latach wystawiano przeciętnie w przeciągu roku: jedną komedię muzyczną, dwie sztuki, dwie rewie. Sztuki sły przeciętnie 6-7 tygodni, rewie trzymano na afiszu nieco dłużej — 7-8 tygodni. Przeciętna frekwencja (z tym, że normalnie gra się tylko trzy dni w tygodniu), w wypadku rewii: 2.500-2.800, w wypadku sztuk — 2.200. Tak więc można przyjąć, że nie wiele więcej niż 10% Polaków londyńskich chodzi do polskiego teatru, a obliczenie to nie uwzględnia faktu, że na niektórych przedstawieniach do 50 % publiczności stanowią przyjezdni z kraju. (Szczególnie na rewiach Hemara).

Powiedzieliśmy już, że teatr polski w Londynie mógłby wystawiać sztuki na dobrym średnim poziomie. Trudno uwierzyć, ale w Londynie, mimo śmiertelności i akcji rekrutacyjnej monachijskiego Radia Wolnej Europy, jest wciąż około 45 polskich aktorek i aktorów, w tym kilkoro z młodego pokolenia aktorskiego. Wielkich indywidualności aktorskich w tej liczbie raczej nie ma, ale stanowczo można dobrać całkiem znośną obsadę nawet do sztuk wymagających kilkunastu aktorów, a bardzo dobrą w wypadku sztuk kilkuosobowych. Najbardziej brak amantów, szczególnie po wyjeździe Wojteckiego do Monachium.

W ostatnich miesiącach wśród aktorów i reżyserów powiało jakimś nowym duchem. Przyznano, że poziom teatru polskiego bywał nienajlepszy, że za bardzo koncentrowano się na repertuarze dawnym, starym. Postanowiono zapobiec dalszej serii szmir przez wprowadzenie kontroli artystycznej widowisk, którą ma wykonywać Komisja Artystyczna ZASP'u, złożona z trzech osób: Toli Korian, Barbary Reńskiej i Tadeusza Orłowicza (dekorator). Stworzono także Teatr ZASP'u, oparty o zasady

koleżeńskiej spółdzielczości. Kierownictwo artystyczne nad teatrem przejął Leopold Kielanowski, on też będzie głównym reżyserem, chociaż przyjęto zasadę, że nastąpi podział wystawianych sztuk między paru reżyserów, takich jak Kora-Brzezińska, Szpiganowicz, Barbara Reńska, Kowalewska. Zasada taka wydaje się bardzo słuszna, pozwalając na większą różnorodność. Zrewidowano także stosunek do repertuaru. W roku 1960/61 położony ma być większy nacisk na sztuki o problematyce współczesnej, repertuar krajowy i europejski, nowoczesny. Z chwilą ukazania się tej książki w druku część repertuaru będzie już zresztą zrealizowana: na pierwszy ogień poszła adaptacja (dokonana przez L. Kielanowskiego) „Cmentarzy” Marka Hłaski. Przewiduje się także wystawienie którejs z sztuk Ionesco, Garcia Lorki „Dom Bernardy Alby”, z autorów krajowych Sławomira Mrożka i być może, anonimowo, jedną lub dwie sztuki, które nie mogłyby być wystawione w Polsce. Ponadto jest w projekcie wystawienie którejs z sztuk o tematyce emigracyjnej młodego dramaturga anglo-polskiego, Leo Lehmana, piszącego po angielsku i wybijającego się w teatrach angielskich. Projektowany jest także powrót na scenę emigracyjną rewii Hemara. Ogółem ma być wystawionych 4-5 sztuk dramatycznych i 3-4 programy rewiiowe.

Czy ta próba odrodzenia teatru polskiego uda się? Trudno cokolwiek przewidywać. Małomiasteczkowa mentalność środowiska polskiego w Londynie położyła już niejedną ciekawą imprezę. Wszystko zależy od tego czy w środowisku aktorskim zapanuje atmosfera zdrowsza i rzeczywista chęć osiągnięcia dobrego poziomu artystycznego. A i bez tego pozostaje wiele trudności do przezwyciężenia. Jedną z nich jest sala. Ognisko Polskie, będące właściwie w położeniu monopolisty, poszło na układ z teatrem ZASP'u, dając mu prawa w dysponowaniu salą na okres roczny. Ale czy będzie skłonne współpracę tę przedłużyć? Poza tym scena w Ognisku jest rzeczywiście bardzo mała. Przy różnych przeróbkach prosiłoby się i o powiększenie sceny. Wielką trudnością będą oczywiście finanse, i tutaj jasne postawienie sprawy, że teatr polski na emigracji nie może być komercyjny, jest bardzo ważne. Właściwie powinna być jakaś stała pomoc z zewnątrz, od instancji społecznych, które dotychczas teatrowi emigracyjnemu właściwie nic nie pomogły.

Ale obok ułożenia się współpracy w należytej atmosferze wśród samych aktorów i reżyserów, największym problemem jest publiczność. Jak zareaguje ona na nowy repertuar? Czy Hłasko, Mrozek, Ionesco przyciągną tych, którzy odwrócili się od emigracyjnego teatru, nie odstrasząc jednocześnie dotychczasowej

publiczności, przyzwyczajonej do innego rodzaju sztuk i nie tak ostrej i współczesnej problematyki? Czy uda się w ten sposób przyciągnąć pokolenia młodsze, szczególnie pokolenie młodej inteligencji technicznej, które na pewno w jakimś procencie uczęszcza na współczesne sztuki do teatrów angielskich?

Ale z drugiej strony, czy sprawa nie jest czasami już z góry przegrana? Przecież teatr emigracyjny nie ma warunków aby rywalizować z teatrami angielskimi na polu tego samego (częściowo) repertuaru. Tu wiele zależy od tego czy fakt wystawienia sztuk w języku polskim będzie czynił je bardziej atrakcyjnymi. W każdym razie zanosi się na ciekawy eksperyment, który może wykazać, że na ogół nie doceniało się publiczności polskiej w Londynie.

Nasze krótkie omówienie sytuacji w teatrze emigracyjnym nie stosowało taryfy ulgowej. Aktorzy, reżyserzy emigracyjnego teatru często oburzają się na krytykę. „Jednego odebrać nam nie możecie” — oświadczył p. Sikorski, który włożył wiele wysiłku w ostatnie zmiany i w zdobywanie funduszy na kupno Domu Aktora — „nie odbierzecie nam tego cośy zrobili”. Inaczej mówiąc żadna krytyka nie zmieni faktu istnienia teatru polskiego w Londynie przez 15 lat, nie umniejszą ilości włożonego wysiłku. To prawda. Teatru emigracyjnego mogło już dawno nie być — na jego miejscu powstałyby pewnie teatry amatorskie, ale to nie byłoby to samo. Jednak wszelka krytyka, jeżeli wypływa z chęci nie szkodenia a pomożenia, jest nieodzowna. Wobec teatru emigracyjnego prasa polska w Londynie ma duże grzechy: grzech zbytnej taryfy ulgowej i grzech nieodpowiedzialności, wyrażającej się recenzjami à la przedwojenny Słonimski.

Jest rzeczą niewątpliwą, że istnienie teatru polskiego w Londynie, zapewnienie mu jak najdłuższego bytu, więcej — rozwoju, to sprawy ogromnie ważne. Żadna emigracja nie ma takiego teatru. Polskie życie kulturalne stałoby się o wiele uboższe, gdyby teatr ten zupełnie zamarł, lub upadł. Ceniąc go sobie, musi się więc być szczerym.

Osobnym problemem w teatrze emigracyjnym jest sprawa dramaturgii. Ktoś obliczył, że na emigracji napisano około 250 sztuk (można wymienić takie nazwiska, jak Teodozja Lisiewicz, Z.M. Jabłoński, W. Grubiński, Budzyński, Napoleon Sądek, Chudzyński). Ale jaka jest ich wartość? Jeżeli sądzić po tym, co wystawiano w Londynie (a sam Kielanowski reżyserował coś 12 sztuk emigracyjnych autorów), nie są to sztuki w żadnym wypadku dobre, z wyjątkiem paru (jedną z lepszych była sztuka

Pietrkiewicza „Sami swoi”, ma on poza tym parę jednoaktówek, dotychczas nie wystawionych). Nie zanosi się na to by dobrych sztuk przybywało. Jeżeli eksperyment obecny się uda, można mieć nadzieję, że przyczyni się to także do powstania nowych sztuk autorów emigracyjnych.

Dużym wzbogaceniem życia kulturalnego, nie wyłączając starszych, jest powstanie Teatru dla Dzieci, który rozwija się dobrze i stanowi przykład jak wiele można zrobić wspólnym wysiłkiem.

Przy okazji teatru warto wspomnieć krótko o innych formach artystycznej rozrywki. Nie są one bogate. Jeżeli wyłączyć akademie, które chociaż posiadają zwykle program artystyczny, nie należą właściwie do omawianej w tej chwili kategorii — pozostają nam koncerty chórów połączone z występami solistów. O chórach pisaliśmy już przy innej okazji (patrz „Leicester”). Śpiewaków polskich w Londynie jest kilku: bas, Marian Nowakowski, bardzo popularny i chętnie się udzielający, Stanisław Pieczora, obecnie występujący w operze Carl Rosa, Alfred Orda, występujący w Covent Garden.

Z operowych śpiewaczek jest Krystyna Granowska i Janina Wtórzecka. Pieśniarek jest też kilka, niektóre już wymienialiśmy, brak młodych (najmłodszą jest Irena Delmar). Popularna swego czasu Zofia Terne nie występuje już prawie w ogóle, prowadzi natomiast w śródmieściu klub, zwany „Chez Sophie”.

Właściwie nie ma koncertowych pianistów (młody Andrzej Czajkowski przyjechał parę lat temu z Polski). Z muzyków jest jedynie Andrzej Panufnik, do niedawna dyrygent orkiestry symfonicznej w Birmingham, ostatnio przeniósł się do Londynu. Jego dorobek kompozytorski od czasu opuszczenia Polski nie jest bardzo bogaty. W wywiadzie udzielonym Czesławowi Halskiemu (jest to jeden z nielicznych krytyków muzycznych wśród Polaków brytyjskich), drukowanym w „Wiadomościach”, Panufnik wymienił trzy utwory, z których dwa to rzeczy raczej drobne: „Rapsodie”, „Symfonię elegijną” i suitę na orkiestrę pt. „Polonia”, opartą na motywach pieśni ludowych. Dwa z tych utworów kompozytor sam dyrygował w ramach tzw. *Promenade Concerts* (odbywających się rok rocznie przez kilka tygodni w Albert Hallu). Oba były przyjęte entuzjastycznie przez publiczność, mniej dobrze przez angielską krytykę.

Wielkie ożywienie natomiast wprowadzają artystyczne występy gościnne czy to polskich pianistów spoza Wielkiej Brytanii, czy z Polski; szczególnie Witold Małcużyński cieszy się wielką popularnością wśród Polonii londyńskiej (trzeba podejrzewać, że

u części trochę ze względów patriotycznych). Podobnie przyjazd Filharmonii Warszawskiej był nielada wydarzeniem, ściągając na koncert w Festival Hallu tłumy Polaków (niestety program nie obejmował ani jednego współczesnego kompozytora polskiego). Orkiestra ta odbyła *tournee* po prowincji, gdzie również przyciągnęła masy polskich słuchaczy. Ogromną popularnością cieszy się każdy występ Artura Rubinsteina.

Z kraju, występował w Londynie Teatr Polski, z Fredrą i Nałkowską („Dom kobiet”); pantomima wrocławska, wielką popularnością cieszyły się występy „Mazowsza”. Był także Teatr Żydowski i balet Parnella, który cieszył się pewnym powodzeniem na prowincji. Z teatrów eksperymentalnych gościł krótko zespół „Tralabomby”, ale okazał się dla wielu widzów emigracyjnych niezrozumiały i szokujący. Jak na okres pięcioletni przyjazdów tych nie było wiele.

Plastycy

Jak liczne jest polskie środowisko malarskie w Londynie i jaką przedstawia wartość? Galeria Grabowskiego tylko do pewnego stopnia pozwoliła poznać prace tego środowiska. Nie wystawiał w niej ani Piotr Potworowski, ani Marek Żuławski, ani Józef Herman, ani Tadeusz Ruszkowski, ani Feliks Topolski, ani Henryk Gottlieb, ani Stefan Knapp (który zyskał sobie wielką sławę swoimi emaliami), a to są nazwiska najbardziej przez krytykę angielską cenione, osadzone już na rynku, nawet sławne.

Poza tymi siedmioma malarzami, którzy zdobyli już sobie pozycję (choćby jedynie paru z nich żyje wyłącznie z malarstwa), mieszka w Londynie ponad 50 malarzy, grafików i rzeźbiarzy polskich, którzy tak poważnej pozycji jeszcze nie mają. Są wśród nich malarze gorsi i lepsi, starsi i młodszy. Ze starszych entuzjastyczne recenzje uzyskała niedawno wystawa obrazów Bohusza-Szyszki w Galerii Grabowskiego. Szyszko-Bohusz ma w polskim środowisku malarskim pozycję specjalną, jako kierownik Studium Sztalugowego, mieszczącego się w polskiej YMCE, jako dawny nauczyciel i mentor pewnej grupy malarzy, którzy kiedyś się przy nim skupiali, jako historyk sztuki, i wreszcie jako malarz, szczególnie cyklu obrazów religijnych. Styl Szyszko-Bohusza można określić mianem ekspresjonizmu, chociaż młodszy malarze, którzy odeszli już dawno spod jego wpływów, określają go jako „zdenerwowany akademizm”. W każdym razie jest Szyszko-

Bohusz malarzem żywotnym, wywołującym kontrowersję, wielkim entuzjastą, w sądach swoich apodyktycznym, ale wybitnie zasłużonym dla malarstwa polskiego na emigracji.

Z malarzy młodszych wiekiem (35-50 lat) warto wymienić takie nazwiska jak: Tadeusz Beutlich, malarz i artysta-łkacz, znakomity rysownik, eksperymentator; Piotr Mleczek, górą, pracujący również w rzeźbie, o ciekawej wizji malarskiej; Marian Kościółkowski, człowiek o niezwykłym temperamencie, cięty, nie widzący świata poza malarstwem, niedawno nawrócony na abstrakcjonizm, i chętnie eksperymentujący; Stanisław Frenkiel, nauczyciel rysunków w szkole angielskiej, dobry znawca historii sztuki i inteligentny krytyk, intelektualista w malarstwie; Kazimierz Dźwig, wyznający świadomy prymitywizm formy; Leon Piesowocki, malarz i grafik, jeden z nielicznych nie-abstrakcjonistów, ujmujący kolorytem i poetyckością, Zygmunt Turkiewicz, subtelny rysownik, w malarstwie skłonny do liryzmu; Alexander Werner, dużej klasy grafik (linoryty i in.), do niedawna pracujący w wydawnictwie angielskim, kupił ostatnio dom, aby móc w pełni poświęcić się swojej sztuce, zaczął malować abstrakcyjne obrazy dopiero niedawno; Stefan Starzyński, malarz świata fantazji; Tadeusz Znicz-Muszyński, abstrakcjonista o bardzo silnym zmyśle konstrukcji i wrażliwości na kolor, artysta skupiony, umiejący w abstrakcyjnych kształtach zawrzeć duże napięcie liryczne, którego dorobek wyraża się ok. 300 obrazami. Malarzem i wybitnym ceramikiem jest A. Kossowski, nie o takiej może sławie jak wymienieni na początku malarze w rodzaju Knappa czy Potworowskiego, niemniej wysoce ceniony za niektóre prace ceramiczne, szczególnie cykl Ukrzyżowania.

W porównaniu z malarzami i grafikami, rzeźbiarzy jest jedynie paru. Wybija się Tadeusz Bobrowski, robiący ciekawe eksperymenty w kutym żelazie. Bardzo interesującym rzeźbiarzem jest Tadeusz Koper, jedyny chyba w tej chwili rzeźbiarz polski pracujący w marmurze. Koper odniósł niedawno wielki sukces — rzeźby jego wystawia jedna z najpoważniejszych galerii Londynu — Marlborough Gallery.

Środowisko artystyczne posiada w Londynie swoją własną organizację, Zrzeszenie Plastyków Polskich w W. Brytanii. Liczy ono około 60 członków. Celem Zrzeszenia jest urządzenie wystaw i propagowanie twórczości członków. Jest to chyba jedyna organizacja, która nie ma prezesa.

Polskich krytyków malarstwa w Londynie z nielicznymi wyjątkami, właściwie brak.

Pod Nr 312, przy Finchley Road, na północy Londynu, stoi Dom Pisarza, zwany także Przytulkiem. Taka była zresztą pierwotna koncepcja przy jego kupnie, że stanie się on przytulkiem dla pisarzy starszych, chorych lub — jako że pisarze z natury bywają niepraktyczni — nie mogących sobie dać rady z życiem. Jakby na potwierdzenie tego planu, ostatni zarządca domu, zmarły niedawno poeta Tadeusz Sułkowski, był właśnie jednym z najbardziej niepraktycznych ludzi jakich ten dom widział. Zarabiając na bardzo skromną tygodniówkę sprzątaniem domu, odnawianiem go, prowadzeniem rachunków, doglądaniem ogródka, był jednocześnie Sułkowski jednym z nielicznych pisarzy, którzy w tym domu najdłużej mieszkali. Początkowo bowiem dom rzeczywiście zamieszkał był przez pisarzy, ale jedni wyprowadzili się do własnych mieszkań, inni trafili do osiedla dla nerwowo chorych w Mabledon, inni do szpitala, inni przenieśli się stąd wprost na cmentarz. Tak że dzisiaj mieszka tu z pisarzy Teodozja Lisiewicz, Czesław Bednarczyk i Jerzy Niemojowski, poeta i tłumacz Pounda. Wśród reszty lokatorów jest nawet jeden Hindus. Dom stoi tak daleko od wszelkich polskich instytucji, że nawet zaniechano urządzania w nim herbatek dla pisarzy przyjezdnych z kraju i że właściwie przestał ogniskować polskie życie literackie w Londynie.

Właścicielem domu jest Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, teoretycznie skupiający wszystkich pisarzy polskich na Zachodzie. Teoretycznie, gdyż jedynie pewien procent do Związku należy. Na walnych zebraniach bywa po kilkanaście osób, wśród których nie wszyscy są pisarzami sensu stricto (ciągle nie rozróżnia się piśmiennictwa od literatury). Powody takiego przeredzenia się Związku były różne. Śmiertelność — powód pierwszy. Sprawa drukowania w kraju zaważyła może nawet bardziej. Wielu członków Związku wystąpiło na tle znanej uchwały przeciwko drukowaniu w kraju, a chociaż później uchwała ta została zmodyfikowana, a Związek stał się świadomie platformą zbliżenia z pisarzami krajowymi, część członków, z chwilą gdy raz wystąpiła, nie kwapiła się z powrotem. Nie należy do Związku grupa pisarzy młodszych i najmłodszych, skupionych wokół pisma „Kontynenty”, a grupa ta stanowi dziś 1/6 środowiska pisarskiego w Londynie. To środowisko nie jest już bowiem tak liczne, jakby się mogło wydawać. Stosując taryfę bardzo ulgową, z trudem doliczyliśmy się 50 nazwisk (nie licząc dziennikarzy i publicystów — tych ostatnich jest nadal legion, a publicystyka w ogóle jest królową twórczości emigracyjnej).

Związek, jak wiele podobnych organizacji, pracuje właściwie siłami paru osób. Kiedyś byli to: Maria Danilewiczowa, Hermi-
nia Naglerowa (zmarła), Tadeusz Sułkowski (zmarł), Tymon
Terlecki; dzisiaj są to: Teodozja Lisiewicz, Władysław Guenther,
Ignacy Wieniewski, Wiesław Wohnout (prezes po raz trzeci).

Główną działalnością Związku jest urządzenie wieczorów literackich, które stanowią jedno z ważniejszych, choć raczej skromnych, źródeł dochodu (Związek jest bez wątpienia biedny). Wieczory literackie odbywają się najczęściej w Instytucie gen. Sikorskiego, bardzo rzadko w Ognisku Polskim. Jest kilka rodzajów tych wieczorów.

Osobną kategorię stanowią wieczory pisarzy z kraju, często poprzedzane herbatkami. Podczas herbatek (które odbywają się w różnych lokalach, zależnie od tego, czy spodziewana jest duża czy mniejsza frekwencja, lub czy pisarz jest do strawienia dla zarządu Ogniska — herbatka dla Zawieyskiego i reszty delegacji odbywała się w prywatnym hotelu, wieczór autorski także), nigdy nie obywa się bez przemówień, których ciągłym motywem jest podkreślanie, że jest tylko jedna literatura polska — ta pisana w kraju i ta pisana zagranicą. Formułkę tę wygłaszają zarówno pisarze z emigracji jak pisarze krajowi, jest ona dostatecznie nic nie mówiąca. Na wieczorach autorskich pisarzy z kraju zazwyczaj autorzy odczytują jakieś swoje utwory, nierzadko już drukowane w prasie krajowej, tak że chodzi się często raczej dla poznania pisarza lub zobaczenia jego sylwetki i posłuchania głosu, niż z ciekawości dla jego utworów. Ale wieczory pisarzy krajowych bywają najbardziej udane, cieszą się też dużą stosunkowo frekwencją (w ogóle przeciętna frekwencja na wieczorach w Instytucie wynosi 50-60 osób, na wieczorach pisarzy z kraju czasami nawet się podwaja, wyjątkowo bywa do 200 osób, na co trzeba sali Ogniska i popularności — Wierzyńskiego. Kiedyś na wieczorze Stefana Kisielewskiego w Instytucie ludzie stali na schodach).

Częstą imprezą są także wieczory autorskie pisarzy emigracyjnych, czy to przyjezdnych, czy to miejscowych. Normalnie wieczór zaczyna się od wprowadzenia przez prezesa Związku. Później referat o autorze wygłasza prelegent. Najczęstszym takim prelegentem bywał Tadeusz Sułkowski, który dwoił się i troił, aby sprostać zadaniu mówienia bez mała co miesiąc o kimś nowym. Poziom takich zebrań bywa bardzo różny, wiele zależy od tego, oczywiście, kto jest bohaterem wieczoru. Na ogół władze Związku wolą wieczory autorskie zbiorowe, przyciąga to bardziej publiczność, urozmaica.

Innego rodzaju są wieczory poświęcone jakimś specjalnemu tematowi (jak np. „nieprzystojność w literaturze”) lub autorowi. W pierwszym wypadku wygłaszane są referaty, na ogół rzeczowe, chociaż panuje zwyczaj krasomówstwa i błyskotliwych dywagacji (o ile prelegentów stać na błyskotliwość). Wieczory poświęcone jakimś autorowi przeradzają się zwykle w wieczory-monstre, obchody ku czci wielkich postaci z literatury polskiej z okazji różnych rocznic. W wieczorze poświęconym Wyspiańskiemu brało udział około 10 osób (odbywał się w Ognisku). Oczywiście, regułą na takich wieczorach jest patos i pompatyczność. Idealizuje się zresztą także i pisarzy współczesnych, szczególnie gdy właśnie zmarli. Okazję do swoistej panteonizacji futurystów przynajmniej dla jednego z prelegentów dała śmierć Młodożeńca. W ogóle dla niektórych krytyków w tym środowisku śmierć jakiegoś pisarza natychmiast winduje jego postać na wyniosły piedestał, niższy od tego, na którym bez przerwy stoją wieszczowie, ale równie „niehumanitarny”. Można się dopatrzeć wyraźnej granicy pomiędzy prywatnymi sądami wielu osób w tym środowisku, a górnolotnością ich publicznych wypowiedzi. Jest jakiś pęd do kultywowania legend, umacniania ich, tworzenia nowych. Krytyka przyjmowana jest zbyt często ze znanym podejściem: „świętości nie kalać”. Jest to objaw ogólnego poczucia defensywy, ogólnej chęci wspierania się i podtrzymywania na duchu. Niewątpliwie wypływa to także z pojmowania roli wolnej kultury polskiej na emigracji. Politycznie mamy obronę pieczęci, symbolów i, bez wątplenia, pewnych wartości istotnych; w literaturze mamy obronę świętości, wypełnianie luk (Kraśiński jest krzywdzony w kraju, my na emigracji musimy mu to zrekompensować — w imię niezniszczalnych wartości kultury polskiej). I tutaj także zdarza się obrona wartości istotnych, ale jest to obrona przede wszystkim — tradycji. Jeżeli szukamy jakichś nowych ujęć, rewizji pojęć i przyjętych poglądów, odkrywczości, rewaluacji, musimy szukać tego wszystkiego raczej na zewnątrz tego środowiska (np. u Pietrkiewicza, czy — na drugiej półkuli — u Gombrowicza). Podobnie zresztą brak oryginalnych opracowań naukowych — polscy historycy, historycy literatury, poloniści, produkują na ogół prace kompilatorskie, lub marginesowe. Najczęstszą formą wypowiedzi jest referat, wygłaszany na jakimś wieczorze i następnie drukowany w „Wiadomościach” czy w „Tekach historycznych”. Najbardziej popularną formą opracowania jest szkic, nawet krótkie rozprawy są rzadkie. Charakterystyczne są tu np. dwa szkice Tymona Terleckiego o krytyce i egzystencjalizmie, wydane osobno, jako małe książeczki, lub tegoż zbiór szkiców pt. „Ludzie, książki, i kulisy”. Innym cha-

rakterystycznym przykładem jest seria „Żywych”, której patronuje Związek Pisarzy. Nie są to książki jednego autora, ale opracowania zbiorowe, składające się z serii szkiców (przeplatanych czasem wierszami na cześć danego autora). Zresztą wydawnictwo to jest charakterystyczne i z innego powodu, jako ilustracja owej tendencji defensywnej, a równocześnie mitotwórczej.

Charakter tego środowiska doskonale oddają „Wiadomości” Grydzewskiego. Są one bez wątpienia świetnie redagowane, ale coraz bardziej trącą myszką. Typowe dla tego pisma jest traktowanie literatury jako pola do ćwiczeń w biografomanii, za manifest mógłby mu posłużyć szkic jaki ukazał się zupełnie niedawno pt. „Tragikomiczne narzeczeństwo — nieznaną kartą z biografii Sienkiewicza”, pióra Juliana Krzyżanowskiego, gdyby nie to, że biografizm wiadomościowy nie zawsze dorasta do poziomu Krzyżanowskiego.

Można by powiedzieć, że „Wiadomości” to kontynuacja biografizmu i próby kontynuacji stylu Boya *minus* jego mania odbrązawiania, która tutaj przekształciła się w odwrotność. Nadal też panuje w „Wiadomościach” magia nazwisk.

Byłoby może błędem łączyć grupę Związku Pisarzy z „Wiadomościami”, Grydzewski zarzuca swoje sieci o wiele szerzej, ale są pewne zbieżności w pojmowaniu literatury a także związki personalne.

Zresztą w środowisku tym występują duże zróżnicowania, najczęściej na płaszczyźnie osobistej, różne konfiguracje, obrazy, dąsy, sojusze, nagle przypląwy krytycyzmu. Jednemu z takich przypląwów uległ nie tak dawno W.A. Zbyszewski, na pewno pióro typowe dla „Wiadomości”, chociaż jakoby po dłuższym okresie harmonijnej współpracy, odsunięte. Nie śmiemy powtarzać wszystkich jego zarzutów jakie postawił Grydzewskiemu w paryskiej „Kulturze” (z marca 1959 r.). Wybieramy fragment dosyć łagodny:

„95 % emigracji w Anglii kształci się, rzecz jasna, na „Dzienniku Polskim”... Ale pozostałe 5 % — te które się liczą — ulegają batucie Dra Grydzewskiego. My wszyscy z niego. I jeżeli dzisiaj ta emigracja jest tak umysłowo wyjałowiona, tak konformistyczna, tak zbanalizowana — to tak się niestety stało za sprawą tego niepospolitego człowieka, jego żelaznej woli, jego niepohamowanej, osłupiającej pracowitości, jego bezinteresowności, jego samozaparcia”.

Zbyszewski, dyletancki i błyskotliwy, człowiek wielosłownych uogólnień, ale doskonały w charakteryzacji osób, na pewno jedno z najlepszych polskich piór w publicystyce, oczywiście musiał nieco przesadzić. Jeżeli prawdą jest, że Grydzewski jest odpo-

wiedzialny za ogłupienie emigracji polskiej w Anglii, to w równej mierze emigracja jest odpowiedzialna za zbanalizowanie Grydzewskiego. Czytelnicy mogą na „Wiadomości” narzekać, ale czytelnicy w większości właśnie takiego pisma pragną — większość zaś czytelników to argument decydujący, jeżeli się chce wydawać regularnie tygodnik literacki. Szczególnie jednak ubóstwiają „Wiadomości” różne literackie panie, które same popełniają od czasu do czasu jakąś „perełkę”.

Zresztą, gdyby ktoś chciał się zagłębić w te sprawy, bez trudu mógłby udowodnić, że *milieu* w którym kwitną „Wiadomości” jest — jeśli nie takie same, a po części jest takie same — to bardzo podobne do *milieu*, w którym przed wojną kwitły „Wiadomości Literackie”. Charakter pisma odpowiada charakterowi zainteresowań.

Oczywiście ze względu na emigracyjne warunki, inaczej trzeba traktować wiele imprez tego pisma, niż gdyby wychodziło w Polsce. Taka Akademia Literatury Emigracyjnej jest naturalnie pół-żartem. Niemniej udziela ona nagród i podtrzymuje świetnie, przedwojenne tradycje.

Nagród udziela również Związek Pisarzy. Odbywa to się raz około Bożego Narodzenia, ale w ostatnim roku nastąpiło już znaczne opóźnienie i były kłopoty z funduszami, które normalnie pochodzą z darów od emigracyjnych mecenasów. Udziela się między innymi jednej nagrody za całość twórczości, jednej nagrody młodych. Granicę młodości stanowi 35 rok życia. Jeszcze parę lat, a nagród tych nie będzie pewnie komu dawać (chyba, że po raz drugi).

Wracając jeszcze do „Wiadomości”: I Grydzewski miewa swoje momenty nieortodoksji, szczególnie w wypadku artykułów pisanych przez ustalone sławy; pozwala więc i on od czasu do czasu na wystąpienia ostrzejsze; drukuje poetów młodszych.

Może największą zasługą „Wiadomości” (obok tego, że stanowią one bez wątpienia ośrodek życia literackiego i intelektualnego) jest ciągle rozbudzanie zainteresowania książką polską, i w ogóle popularyzacja literatury i literatów, malarstwa, teatru, muzyki. Nie brak zresztą komentarzy politycznych, w których specjalizuje się stała rubryka „Puszka Pandory” (pisywana czasami wspólnie przez Stefanię Zahorską i Adama Pragiera). Poza tym można się utopić w powodzi wspomnień, relacji, szczegółików, sylwetek królów, itp. (znowu historia — biografia). Przykładem dobrej prozy są felietony Felicjana Sławoja Składkowskiego. Od czasu do czasu ukazuje się szkic historyczny któregoś z polskich historyków przebywających na Zachodzie, jak Marian Kukiel, Halecki, Kościałkowski...

Spécialité de la maison, stanowią olbrzymie objętościowo (i drogie) numery świąteczne, wielkanocne, bożenarodzeniowe... Mają one trochę charakter almanachów, reprodukują „kartki wyrwane z albumu”, przynoszą opowiadania większego formatu (np. Ireny Bączkowskiej, — w ogóle obok „Kultury” tylko „Wiadomości” mogą sobie pozwolić na druk dłuższych opowiadań) i długie poematy. Czasami numery takie zogniskowane są wokół jakiegoś tematu, a raczej postaci, powodują je też zwykłe rocznice lub chęć „uczczenia pamięci”. Tu Grydzewski potrafi nieraz zebrać bogaty i ciekawy zestaw opracowań, jak np. w numerze poświęconym Schillerowi (mniej już — Lechoniowi).

Jak już powiedzieliśmy, te dwa środowiska — współpracowników „Wiadomości” i czynnych członków Związku Pisarzy zazębiają się, ale się nie pokrywają. Poza nimi istnieją jakby namiastki salonów artystyczno-literackich i mniejszych ugrupowań (np. Stefani Zahorskiej), ale na ogół kontakty plastyków z pisarzami nie są ścisłe. Próbuje wokół siebie skupiać pisarzy i plastyków „Orzeł Biały” (który wydaje dodatek „literacki” „Lekkim piórem”), ale ma nikłe rezultaty. Do niedawna o pewnym zgrupowaniu można było mówić w wypadku katolickiego „Życia”, ale od czasu likwidacji pisma, środowisko to uległo rozbitciu. Na jego miejsce powstał Klub Inteligentów Katolików, na razie w stadium początkowym.

Są jeszcze i inne małe grupki, o których nieco później. Teraz zajmujemy się na chwilę paru pisarzami, którzy stoją na boku i idą w pojedynkę. O tych wie się zazwyczaj najmniej.

W żadnej emigracyjnej kawiarni, na żadnym emigracyjnym zebraniu, i chyba w ogóle na żadnej szpalcie emigracyjnej gazety nie można spotkać Stefana Themersona i jego żony, Franciszki.

Mieszkają oni niedaleko Warwick Avenue, jednej z bardziej przestrzennych i ładniejszych dzielnic Londynu, trochę przypominającej Paryż, na najwyższym piętrze wysokiego budynku. W dużym, jasnym pokoju na poddaszu mieści się pracownia Franciszki Themerson, pełna pędzli, tubek farb, obrazów i rysunków; niżej — pracownia Stefana Themersona, pełna książek i wielkich tek. Zawartość jednej z nich poznaliśmy: znajdują się w niej klisze i zdjęcia pierwszych polskich awangardowych filmów, które Themerson robił wspólnie z Anatolem Sternem w Warszawie w latach 1930.

Oglądamy także oryginalny *collage*, zrobiony w pracowni Themersona podczas wojny przez Kurta Schwittersa, bardzo dziwnego artystę.

Obok pracowni jest podłużny pokój, gdzie stoi fortepian, mały stolik i szafa. W szafie znajdują się maszynopisy niedokończonych utworów Themersona, niektóre pisane po polsku, inne po angielsku — tych ostatnich jest więcej. Parę pisanych było na przemian po polsku i po angielsku. Na fortepianie leżą trzy grube zeszyty nut. Themerson pisze operę. Sam napisał libretto, teraz kończy komponować muzykę. Skąd u niego, pisarza, pociąg do opery? Odpowiada, że chciał spróbować czy potrafi.

Następnie idziemy z Themersonem do biura wydawnictwa, które prowadzi już od kilku lat: *The Gaberbocchus Press*. Jest to wydawnictwo bardzo nieortodoksyjne, świetne postawione graficznie, pomysłowe. Ogółem ukazało się kilkanaście pozycji, od książek Themersona, przez tłumaczenia pisarzy francuskich, po współczesne poezje angielskie, ilustrowane Abecadło Bertranda Russella, „Bajkę Ezopa” — piękną pozycję bibliofilską i rysunki Franciszki Themerson. Większość książek jest także przez nią ilustrowana. Oto niektóre tytuły wydawnictwa: „Exercise in Style” Raymonda Queneau w tłumaczeniu na angielski, „Ubu Roi” Alfreda Jarry, wydane w formie manuskryptu w tłumaczeniu na angielski, książka pamiątkowa o Schwittersie... Ceny niektórych wydawnictw są raczej wysokie. Bertranda Russella „The Good Citizen's Alphabet”, wydany w 100 numerowanych egzemplarzach, z autografem autora i rysunkami Franciszki Themerson, kosztuje £ 2.12.0. A jest to cieniutka książeczka.

Po obejrzeniu książek, schodzimy na dół do podłużnej piwnicy, która do niedawna służyła jako pomieszczenie dla Klubu Gaberbocchusa. Na ścianach wiszą jeszcze afisze, na sofach leżą czasopisma i książki. Obok wyświetlania awangardowych filmów, odbywały się tu odczyty na najróżnorodniejsze tematy — psychologiczne, cybernetyczne, filozoficzne, ktoś wygłosił odczyt pt. „Geometria a sztuka”; odbywały się też wystawy obrazów i wieczory poezji i prozy. Kółko liczyło około 70 osób. Znajdujemy i parę polskich nazwisk: psychologa Tarkowskiego, malarzki Halimy Naęcz, socjologa Stanisława Andrzejewskiego (który wyjechał ostatnio na posadę wykładowcy do Chile). Klub istniał przez trzy lata. Obecnie piwnica będzie służyć jako biuro wydawnictwa, a pokoje na górze mają być wynajęte.

Stefan Themerson znany jest czytelnikom polskim przede wszystkim jako autor niezwykle popularnej książeczki „Pan Tom buduje Dom”, która, nawiasem mówiąc, rozeszła się po całym świecie w licznych tłumaczeniach w 250.000 egzemplarzy.

Niedawno ukazała się polska wersja (poprzednio drukowana w „Nowej Polsce”) „powieści” pt. „Wykład Profesora Mmaa”, wyróżnionej przez „Nową Kulturę”. Wydał ją także Themerson w swoim wydawnictwie po angielsku, z przedmową Bertranda Russella. (Inne utwory ukazały się po polsku jedynie we fragmentach).

Themerson jest zjawiskiem rzadkim w polskiej literaturze — jest typem kosmopolity, sceptyka, człowieka o suchym, intelektualnym dowcipie, racjonalisty, pisarza należącego bardziej do XVIII niż XX wieku, wyszydającego przywary ludzkie i różne nieugruntowane w niczym wierzenia. Z XVIII wieku najbliższy mu duchowo jest Swift ze swoimi „Podróżami Gulliwera” (do których Russell przyrównał „Wykład Profesora Mmaa”), z XIX wieku — Lewis Carroll, autor „Alicji w krainie czarów”, filozoficznego absurdu. Themersona może jednak bardziej pasjonuje filozofia, chociaż tak „Pan Tom” jak i powiastka filozoficzna „Przygody Pędka Wypędka” to książki cieszące się wielkim powodzeniem wśród rzeczywistej polskiej młodzieży.

Obok tego istnieje w Themersonie pierwiastek bardziej współczesny: typ artysty awangardowego, będącego za pan brat ze światem surrealistów, dadaistów, ekspresjonistów, merzistów i innych istów, w połączeniu z zagorzałym anty-romantyzmem. Poza tym specjalnym zainteresowaniem Themersona jest filozofia i semantyka.

Franciszka Themerson nie zdobyła sobie szerokiego uznania jako malarka, ale jej rysunki cieszą się dużym powodzeniem — w ich cienkich i subtelnym liniach, fantastycznej deformacji, dowcipie i grotesce, kryje się również intelektualna pasja. Charakterystyczne dla jej obrazów jest grube impasto, z wyżłobionym rysunkiem. Uderza także jasny koloryt, biel zabarwiona błękitnie, lub w odcieniu cytrynowym, różowym, kształty groteskowe, nierealne, całość odznaczająca się poetyckością i surrealistycznym widzeniem świata.

Oboje odwiedzili niedawno Polskę, ale wrócili w nastroju raczej melancholijnym. Trudno chyba o większy kontrast niż współczesna Polska a tych dwoje ludzi, tak esencjonalnie intelektualnych, racjonalnych, ironicznych i kosmopolitycznych. Nie zauważyli w Polsce, w polskim charakterze, zbyt wielu zmian w porównaniu z tym, co było przed wojną (a Themerson ma doskonale wytrenowane oko na podobieństwa — co jest przecież podstawą filozoficznego ujmowania świata). Właściwie „Wykład Profesora Mmaa” jako satyra jest nadal całkiem aktualny.

Rozmawiamy z pykającym fajkę Themersonem do późnego wieczoru. Jest on postacią wśród pisarzy polskich na Zachodzie

raczej wyjątkową. Emigracja o nim wie bardzo mało, a on nie czuje się jej członkiem. Interesują go poszczególni ludzie, a środowisko angielskie i międzynarodowe, w którym się z łatwością obraca, daje mu więcej satysfakcji niż polskie.

Niewielu jest polskich pisarzy na Zachodzie, a tym bardziej w Anglii, którzy należeliby, tak jak Themerson, do międzynarodowej *republic of letters*.

Ale jednym z nich jest bez wątpienia Jerzy Pietrkiewicz, a raczej Peterkiewicz.

Pietrkiewicz debiutował w Polsce przed wojną, zbierając dosyć szybko pokaźne laury. Zapowiadał się na czołowego poe­te skrajnej prawicy. Na emigracji drukował głównie w „Myśli Polskiej” — organie Stronnictwa Narodowego — do mniej więcej 1950 roku. Poezja jego przeszła w międzyczasie dużą ewolucję, tak że stał się jednym z nielicznych kontynuatorów polskiej awangardy poetyckiej na emigracji. Dużą ewolucję przeszły także jego poglądy. Jeszcze przed odsunięciem się od społeczności polskiej różnice między nim a środowiskiem polskim zaczęły się wyraźnie zaznaczać. Wystarczy czytać wiersze drukowane w „Myśli Polskiej”, gdzie niezwykle musiał brzmieć Pietrkiewiczowski „Anty-wiersz” z jego zakończeniem:

*Wiersz spina (na wszelki wypadek) ojczyzna niczym agrafka
a w wąskim przetyku wieszczą: tęsknota, patos i czkawka!
Kto tak nakłamał...*

Poezja Pietrkiewicza stawiała się coraz bardziej eksperymentalna, aż w końcu wyparowała. Pietrkiewicz przestał pisać wiersze po polsku: poezja i polszczyzna przestały mu wystarczać.

Urodzony na wsi kujawskiej, przekonany że tylko autentyzm prowadzi do wielkiej, czy raczej — prawdziwej poezji, Pietrkiewicz nie wytrzymał naporu emigracyjnej fikcji, zastępowania twórczości uchwalaniem apeli i urzędzaniem wieczorów, zastępowania polityki sporządzaniem memoriałów itd. W wojsku przeżył wiele konfliktów. Zrobił doktorat na Uniwersytecie Londyńskim z anglistyki, pisząc pracę porównawczą o liryce polskiej i angielskiej. Został wykładowcą polonistyki na uniwersytecie londyńskim i zaczął pisać po angielsku. Ukazały się dotychczas cztery powieści Pietrkiewicza po angielsku, które krytyka przyjęła na ogół bardzo dobrze. W trzech z nich tematyka jest polska, w czwartej ogranicza się już tylko do marginesowej postaci.

Te cztery powieści wyrobiły Pietrkiewiczowi pewną pozycję, ale nie przyniosły pełnego sukcesu. Jeżeli jednak kariera Conrada, której śladami Pietrkiewicz idzie, może tu być jakimkolwiek wskaźnikiem, Pietrkiewicz na sukces ma jeszcze trochę czasu — zresztą nie doszedł jeszcze do pięćdziesiątki.

Wspominaliśmy już o antologii liryki angielskiej w tłumaczeniu na polski, wydanej przez „Veritas”. Niedawno weszła na półki księgarskie antologia liryki polskiej w tłumaczeniu na angielski Pietrkiewicza i szkockiego poety, Burnsa Singera. Pietrkiewicz napisał także serię esejów krytycznych o pisarzach polskich od Kochanowskiego po Czechowicza, drukowanych w „Slavonic Review”, którego Pietrkiewicz jest współredaktorem. Wraz z żoną tłumaczy również poezje i listy Norwida (drukowane np. w *Bothege Obscure*), drukuje szkice literackie i krytyczne w „The Twentieth Century”, miesięczniku wydawanym w Cambridge, wyklada polonistykę.

Pietrkiewicz, może niesłusznie, nie stara się stworzyć jakiejś szkoły, ale prace jego powinny utorować drogę innym, z pokolenia powojennego.

Kiedy emigracja decydowała się na pozostanie na Zachodzie ukazywało się wiele artykułów, uzasadniających tę decyzję, rozstrząsających zadania i rolę polskiej diaspory. Pisało się wtedy, między innymi, o potrzebie reprezentowania wolnej kultury polskiej, uprzystępnienia jej Zachodowi, przez studia i tłumaczenia. Ale ilu polskich literatów w Londynie zna na tyle język angielski, by móc to robić? Ilu potrafiło zatroszczyć się o to, by ich własne utwory trafiły do angielskiego czytelnika? Właściwie, dobrych tłumaczy jest bardzo niewiele i to zarówno z angielskiego na polski, jak odwrotnie. Zrobiono także bardzo niewiele w dziedzinie studiów krytycznych, biografii itp.

Ukazało się mnóstwo broszur, ale na palcach można policzyć książki po angielsku czy to z historii Polski czy o polskiej literaturze. Prof. Żółtowski wydał książkę pt. „The Borderlands of Europe”, prof. Paszkiewicz dzieło o początkach Rosji, gen. Marian Kukiel studium „Prince Adam Czartoryski and the European Unity”, prof. Komarnicki wartościowe dzieło „The Rebirth of the Polish Republic” — studium dyplomacji międzynarodowej w związku ze sprawą polską i pisze następne, ukazało się jeszcze parę innych książek i opracowań, jak studia dr. A. Zaubermana z zakresu gospodarki polskiej, dr. P. Skwarczyńskiego z historii ustroju polskiego. Z. Jordan wydaje pracę o marksizmie, wkrótce powinna się ukazać książka Z. A. Pełczyńskiego, wykładowcy na Uniwersytecie Oxfordzkim o przemianach w Polsce współczesnej, ale jak na 20 lat pobytu w Anglii, jest to niezwykle mało. Tak samo niewiele jest tłumaczeń z literatury polskiej na język angielski. Były tłumaczenia Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego, Gombrowicza... ale nie ma tu zupełnie literackiego środowiska londyńskiego.

Powojenne pokolenie pisarzy (powojenne — gdyż debiutujące już po wojnie), grupuje się wokół pisma „Kontynenty”: „Kontynenty” są miesięcznikiem, objętościowo bardzo ciekawym, z trudem i powoli zdobywającym emigracyjnego czytelnika, częściowo z pokolenia młodszego. Pismo ma charakter głównie literacki, ale nie stroni od spraw politycznych, społecznych i kulturalnych. Na 12 członków zespołu redakcyjnego, tylko dwóch nie pisuje wierszy. Z pozostałych część należy do pokolenia już średniego (30-35 lat), ich poezje drukowane były przez najpoważniejsze pisma emigracyjne i przez wiele czasopism krajowych. Prawie wszyscy z nich mają studia ukończone na Zachodzie, w Anglii lub Irlandii. Jest wśród nich dwóch anglistów, jeden hispanista, jeden polonista (obecnie piszący doktorat z historii) jeden teatrolog, dwie osoby skończyły psychologię, dwie ekonomię (w robocie są trzy doktoraty, 2 MA). Poza tym jest jeden filmowiec i krytyk filmowy i jeden zecer. Jerzy Sito, poeta który mimo wyjazdu na stałe do Polski, pozostaje członkiem grupy, z wykształcenia jest inżynierem.

Na ogół grupa ma lepszy kontakt z życiem i środowiskiem angielskim, niż pokolenie starszych literatów. Florian Śmieja, poeta i tłumacz, jest wykładowcą hispanistyki na *London School of Economics* (poza tym ma kontakt z środowiskiem naukowotwórczym w Hiszpanii i drukuje swoje prace po hiszpańsku oraz tłumaczy z hiszpańskiego na polski), Maria Badowicz pracuje jako *Probation Officer* przy sądzie angielskim, jeden z piszących te słowa jest członkiem angielskiego zespołu redagującego kwartalnik krytyki filmowej, drugi pracuje jako nauczyciel w szkole angielskiej. Znajomość języka angielskiego w tej grupie jest na ogół bardzo dobra: co najmniej połowa włada nim równie dobrze jak polskim.

Naszukujemy parę sylwetek członków tej grupy.

Adam Czerniawski, lat 26, poeta i krytyk, skończył anglistykę. Następnie pracował przez dwa lata w monachijskim *Voice of America*, i częściowo na podstawie zdobytych obserwacji nad środowiskiem polskim, szczególnie w radio Wolnej Europy, wyniósł przeświadczenie, że aby móc pisać na emigracji, trzeba się materialnie całkowicie uniezależnić. Po powrocie do Londynu przyjął pracę w biurze towarzystwa ubezpieczeniowego. Ożenił się z Angielką, ma córkę, własny dom. Żona uczy się po polsku, dziecko będzie co najmniej dwujęzyczne.

Oprócz poezji (Czerniawski ma za sobą tom wierszy, wydaje obecnie drugi tom, zredagował antologię grupy poetów londyńskich) i krytyki, pisze opowiadania, tłumaczy poezję i prozę pol-

ską na angielski (np. jego przekłady wierszy Różewicza drukował *New Left Review*).

Najmłodszym członkiem grupy jest Andrzej Busza, lat 21, anglista, piszący pracę na M.A. (trochę więcej niż polskie magisterium) o polskich elementach w twórczości Conrada. Busza stoi przed nielada dylematem: pociąga go pisanie poezji i prozy równie mocno po polsku jak po angielsku. Na razie wybrał język polski.

Zygmunt Ławrynowicz, jeden ze starszych członków grupy, skończył ekonomię w Dublinie, w Irlandii i pracuje na całkiem niezłej płatnej posadzie w angielskim banku Lloydsa. Urodził się na Litwie, pisze poezje i eseje krytyczne po polsku.

Jan Darowski jest zecerem. Poezje zaczął pisać po polsku, później przerzucił się na angielski, aby po pewnym czasie znowu wrócić do pisania po polsku. Ma własny dom, ożeniony jest z Polką, ma dwoje dzieci. Planuje otworzenie własnej drukarni.

Bolesław Taborski, przeszedł przez Powstanie Warszawskie. Skończył studia w Bristolu, gdzie otrzymał M.A. za pracę o teatrze angielskim. Parokrotnie odwiedzał już Polskę, skąd przywiózł sobie żonę, polonistkę. Obecnie pracuje w Polskiej Sekcji BBC. Ma na swoim koncie tom wierszy (wydany w kraju i na emigracji), tłumaczenie Grahama Greene'a „*The Power and the Glory*” (wydane w Bibliotece „Kultury”), szereg esejów o teatrze, drukowanych w czasopiśmie krajowych i emigracyjnych; poza tym jego wystąpienia publicystyczne wywołały na emigracji szeroką kontrowersję.

Najstarszym w grupie jest Gustaw Radwański, uczeń Stefana Witwickiego, kończący obecnie doktorat na Uniwersytecie Londyńskim z psychologii osobowości. Radwański ma wybitne zacięcie filozoficzne, i jak Witwicki — wychowawcze i w dobrym sensie, popularyzacyjne.

Jan Ciechanowski skończył ekonomię na *London School of Economics*, obecnie pisze pracę na M.A. o ideologii Armii Podziemnej. Specjalizuje się ponadto w problemach jugosłowiańskich, ma duże sympatie dla skrajnego lewego skrzydła *Labour Party*.

Oto garść sylwetek młodszego pokolenia pisarzy i naukowców z grupy „Kontynentów”. Trudno nam jest, będąc członkami tej grupy, oceniać jej wartość i perspektywy na przyszłość. Czytelnik musi sobie sam wyrobić zdanie czego po grupie tej można się spodziewać, na podstawie tej krótkiej charakterystyki.

Z boku tej grupy stoi poeta Mieczysław Paszkiewicz jeden z założycieli pisma, którego kontynuacją są „Kontynenty” (daw-

nego „Merkurjusza Polskiego”, ukazującego się obecnie jako „Merkuriusz Polski — Życie Akademickie” — organ Zrzeszenia Studentów i Absolwentów). Pracując jako grafik w agencji reklamowej, Paszkiewicz drukuje rzadko; jest natomiast zapalonym zbieraczem wszelkich antyków, zna bardzo dobrze londyńskie antykwarnie i wyłowił w nich już niejedno ciekawe polonicum. Jego zainteresowania są w ogóle bardzo szerokie: od poezji, przez literaturę staropolską, do muzyki, malarstwa, kultury i sztuki antycznej.

Część członków grupy „Kontynentów” należy, lub prowadzi Klub „Piątego Koła”, skupiający grupkę osób, na ogół „wyobcowanych” z „głównego” środowiska literackiego. Jednym z założycieli Klubu był Zdzisław Broncel, pracownik Polskiej Sekcji BBC, krytyk i eseista. Sporadycznie na zebraniach Klubu można spotkać Leopolda Łabędzia — socjologa, współpracownika jednego z najlepszych miesięczników angielskich „Encounter” i współredaktora „Soviet Survey”, Zbigniewa Grabowskiego — powieściopisarza, autora książek o Anglii, obecnie pisującego prawie wyłącznie eseje (tak do pism polskich jak angielskich), pracownika Polskiej Sekcji BBC. Przychodzi paru malarzy, jak Stan. Frankiel czy Aleksander Werner, spotkać można (ale rzadko) Bogumiła Andrzejewskiego, wykładowcę języków afrykańskich na Uniwersytecie Londyńskim, coraz rzadziej już drukującego wiersze po polsku, Wiktora Poznańskiego, germanistę, Niemojowskich, Lwa Sapiechę, i wielu innych, zależnie od tematu prelekcji lub osoby prelegenta.

Klub nie ma żadnej ścisłej organizacji. Jego założeniem jest wymiana myśli w atmosferze zupełnej swobody, bez hołdowania jakimkolwiek tabu. Odczyty odbywają się normalnie raz na miesiąc, najczęstszymi prelegentami są przyjezdni z kraju pisarze i naukowcy. Częstą formą wieczorów są sympozja, dużo czasu poświęca się na otwartą dyskusję. Zebrania Klubu nie są ogłaszane w prasie, wstęp jest za zaproszeniami i dla osób wprowadzonych, ale właściwie nie ma żadnych rygorów w tym względzie.

Osobną grupę stanowią polscy pracownicy Polskiej Sekcji BBC, opisał ich niedawno nieco złośliwie w „Kulturze” Zbyszewski:

„Na uboczu... trzyma się polska ekipa BBC; słusznie dumna z zapewnionych poborów na pierwszego, z obiecaniej emerytury, nie udziela się byle komu: Grabowski, Zarański, Faecher (przechodzący obecnie na emeryturę — przyp. nasz), Sapieha, Zuławski, w obcisłych angielskich ubrankach, w dęciakach okrywających zaledwie szczyt czaszki, każdy ze zrolowanym parasolem, mówiący rączym staccato stylem Huxleya czy innej Young Bright

Thing i z akcentem już nie oksfordzkim, a Balliol, są raczej mitem, niż rzeczywistością, w najlepszym wypadku jak błyskawice rozświetlające na chwilę posępny horyzont emigracyjny. Wszelako przeciętny emigrant, a już zwłaszcza emigracyjny pisarz tak jest wytrenowany, tak wzięty do galopu, tak przyzwyczajony, że każdy, kto jakoś się wkręcił w jakiś angielski światek, odwraca się od niego z lekceważeniem i pogardą, że nikt nie doszuka się odcienia zawiści czy zazdrości wobec tej elity. Jak dawne chłopstwo, nie dyskutujemy obyczajów jaśniepaństwa, a tylko nabożnie skuleni i schyleni, z daleka podglądamy tempo kuligu, wspaniałość polowania czy splendor Poloneza....

Niewątpliwie, nie okazujemy zawiści wobec tego co jest w sferach zbyt wysokich, ale bez przesady, nie wiadomo, czy rzeczywiście jest czego zazdrościć. Jeżeli ktoś chce utrzymać się na powierzchni jako pisarz, Polska Sekcja BBC nie jest dla niego rozwiązaniem (co innego dziennikarz lub publicysta). Wciąża ona swoich pracowników w wir zajęć, zajęć pożytecznych, noszących na sobie piętno prestiżu jakim musi się cieszyć każda sposobność „bezpośredniego przemawiania do Kraju”, ale na pisanie nie pozostaje czasu ani energii.

Natomiast praca dorywcza jest w niej rzeczywiście rozwiązaniem bardzo pociągającym. A pracownicy Sekcji coraz to „schodzą w lud” ze swej podniebnej mansardy, aby dobrać współpracowników do jakiejś audycji — pisarzy emigracyjnych do pisania pogadanek i brania udziału w dyskusjach, aktorów do odczytywania recenzji książkowych i regularnych felietonów. Z szóstego piętra wielkiego budynku na Strandzie sływa więc na wielu emigracyjnych pisarzy niejedno dobrodziejstwo tak materialne jak i prestiżowe.

Zresztą polska sekcja BBC jest wyjątkowo obiektywna w swych audycjach do kraju, programy stoją na ogół na wysokim poziomie (choć często szwankuje dykcja), ciągle szuka się urozmaiceń, wiadomości podawane są z angielską ostrożnością. Niewątpliwie, jest to polska sekcja radia brytyjskiego, a więc trudno mówić, że reprezentuje ona jakiś czysto polski punkt widzenia, niemniej, o ile można się zorientować, cieszy się zasłużenie dobrą opinią w kraju i słuchana jest chętnie. Jak wszystko, ma i ona swoje ograniczenia, wpływające częściowo z ogólnego charakteru tej instytucji, o której w prasie angielskiej często się pisze, że jest jednym z filarów tzw. *The Establishment*. Ale kto w dzisiejszym świecie szuka doskonałości?

Czyż szuka się jej np. w Monachium? Polska Sekcja Radia Wolnej Europy w Londynie to także źródło wielu beneficji dla pisarza polskiego w Londynie, chociaż ograniczonych raczej do pewnej grupy pisarzy i dziennikarzy. Kierownikiem Sekcji jest dr Leopold Kielanowski, dział dyskusji i audycji literackich pro-

wadzi dr Tymon Terlecki. Odbywają się one zazwyczaj przy lampce wina i są starannie przygotowywane. Sekcja prowadzi ponadto dział zbierania informacji o emigracyjnym życiu dla programów radiowych w Monachium, nagrywa na taśmy przemówienia wybitniejszych emigracyjnych osobistości, różne uroczystości, koncerty itp., przygotowuje audycje o życiu W. Brytanii itd.

Osobną „instytucją” (a można chyba tak powiedzieć) jest Juliusz Mieroszewski. Mieszka w pięknej i zielonej dzielnicy Chiswick i trzyma się zupełnie na boku. Ale jego życie dalekie jest od pustelniczej samotności. Można bez przesady napisać, że na Chiswick ciągną pielgrzymki, czy to przyjezdnych z kraju czy zza oceanów. Nie bywając na emigracyjnych uroczystościach prawie w ogóle (ani sam, ani z żoną), nie chodząc na zebrania, nie piastując żadnych funkcji społecznych czy politycznych, Mieroszewski jest świetnie o wszystkim poinformowany. Od lat jest czołowym publicystą „Kultury”, od lat każdy jego artykuł jest porcją drożdży dla emigracyjnych i krajowych umysłów.

Przy okazji warto zauważyć, że wbrew temu co można by sądzić, główni współpracownicy paryskiej „Kultury” nie rekrutują się, z paroma wyjątkami, ze środowiska pisarzy londyńskich.



Pozostaje nam jeszcze zapytać, z czego i jak żyją pisarze polscy.

Jest bardzo różnie. Nie wszyscy, chociaż jest to reguła, korzystają z zarobków czy wprost pomocy od Wolnej Europy; widzieliśmy, że tylko paru pracuje stale w BBC. Dorywcze zaś dorabianie w obu tych radiach nie może oczywiście zastąpić stałego źródła dochodu.

Na ogół nie ma już pisarzy-nędzarzy i Lyons przestał być symbolem harówki polskiego literata. Jest wszakże wciąż kilku pisarzy czy naukowców, którzy pracują fizycznie. Do nich należy Marian Czuchnowski, zmieniający ciągle hotele, restauracje, bary, i... fachy, piszący coraz mniej, chociaż jego emigracyjny dorobek liczy parę powieści i kilka tomów wierszy; fizycznie pracują: Józef Jaksziński*), Jerzy Niemojowski, Jakub Hoffman — historyk, Czesław Bednarczyk; w nienajlepszej sytuacji finansowej jest Józef Bujnowski, przejściowo znalazł się bez stałego źródła dochodu Wacław Zbyszewski (po likwidacji monachijskiego oddziału *Voice of America*), podobnie Janusz Kowalewski

*) Ostatnio znów wyjechał do RWE w Monachium.

poszedł do pracy w drukarni po upadku „Kuriera Polskiego”. Jan Tokarski próbuje utrzymać się z pióra, natomiast Janusz Jasińczyk, autor „Słowa o bitwie”, prowadził agencję reklamową „Odra”.

Pewna mała grupa utrzymuje się przy różnych polskich instytucjach czy pismach. Stanisław Baliński i J. Sakowski mają wcale nieźle gaże przy „Dzienniku Polskim”. Wiesław Wohnout zarabia na życie jako redaktor techniczny, Waclaw Zagórski pracuje w „Tygodniu Polskim”, Maria Danilewiczowa — w swoim fachu jako kierowniczka Biblioteki Polskiej. Niektórzy żyją z zasiłku *Assistance Board*, bardzo nieliczni, tak jak Mieroszewski — tylko z pióra. Wielu oscyluje między różnymi formami zarobku; radio, publicystyka, dziennikarstwo, tłumaczenia, jakaś dorywcza praca fizyczna, biurowa (np. Czesław Dobek pracuje obecnie jako *post clerk*), do czego dochodzi w roku kilka honorariów za prace rzeczywiście związane z literaturą itd. Na ogół czasopisma emigracyjne (z wyjątkiem „Kultury”) płacą bardzo niskie stawki; „Wiadomości” za wiersze z reguły nie płacą nic (od reguły, są oczywiście, wyjątki); nic w ogóle nie płacą dotychczas „Kontynenty”, których zespół redakcyjny pracuje zresztą również bezinteresownie.

Zarobki z wydanych książek są zazwyczaj bardzo małe. W 1954 roku Związek Pisarzy przeprowadził ankietę, (w której nie wzięli udziału pisarze pracujący na kontraktach w instytucjach amerykańskich), na temat ile zarabiają pisarze polscy. Z ankiety wynikało, że przeciętny dochód pisarza w stosunku rocznym wynosił £ 500, z czego z pracy literackiej przeciętnie £ 230. A więc wcale nie najgorzej, chociaż £ 500 rocznie to żadne bogactwo. Czy, gdyby przeprowadzić taką ankietę dzisiaj, wyszłaby na jaw jakaś zasadnicza zmiana? Prawdopodobnie tak, i to na lepsze (myślimy o przeciętnej). Zaważyłyby tu na szali szczególnie zarobki pisarzy młodszego pokolenia, którzy wszyscy mają jakiś drugi zawód, na ogół nieźle płatny.

Jest zresztą rzeczą charakterystyczną, że jeśli kiedyś pisarze spodziewali się jakiegoś skromnego przynajmniej zarobku w wypadku wydanej książki, dzisiaj gotowi są czasami dopłacić lub pożyczyć wydawcy na pokrycie kosztów druku lub jako asurancję (mowa oczywiście o wydawcach emigracyjnych).

Niemniej, jeżeli nędzy nie ma, to równocześnie trudno mówić o dobrobycie. Zjawiskiem stałym u pisarzy jest brak czasu na poważną twórczość, podróżowanie, niemożność przeprowadzenia jakichś głębszych studiów, małe kontakty z intelektualistami zachodnimi (ograniczające się przeważnie do zjazdów PEN Clubu). I stąd pisarz emigracyjny często rozmienna się na drobne,

chwytą się form małych lub łatwiejszych, jak wspomnienia, pamiętniki, szkice, stąd również rozpowszechniony autobiografizm powieści. Mieroszewski zwrócił kiedyś uwagę na fakt istnienia dużej ilości poetów w młodszym pokoleniu, i na brak prozaików. „Owa zdumiewająca przewaga poezji nad prozą u młodego pokolenia ma podkład socjologiczny. Są poetami bo nie mają warunków by przedzierzgnąć się w prozaików”.

Niewielu spośród starszych pisarzy jest ludźmi w pełni zdrowymi; przejścia wojenne, okres ciężkich warunków i harówki dają znać o sobie. Chory jest Jan Bielatowicz i Mieczysław Lisiewicz, nienajlepszym zdrowiem cieszy się kilkunastu innych. Wiek coraz bardziej przypomina o sobie.

Smutnym zjawiskiem jest odchodzenie od pisania na dłuższe okresy czasu, wyczerpywanie się inwencji, lub po prostu brak warunków. Bardzo mało drukują: Jasięńczyk, Józef Kisielewski, Wacław Grubiński, Stanisław Baliński, Józef Bujnowski (który ma na warsztacie studium o Wyspiańskim, ale wierszy nie drukuje już chyba w ogóle); tylko eseje, ale także w czasopiśmie angielskich, drukują ostatnio Zbigniew Grabowski i Zdzisław Broncel.

Zdarzają się jednak nagle renesanse. Kilkunastu pisarzom zebrała się dostateczna ilość szkiców, aby wydać ich wybory; zadziwiający renesans twórczy przeżył przed niedawną śmiercią Ferdynand Goetel; inni wydobywają napisane na przestrzeni lat utwory i niosą do wydawcy. Zamieszkały poza Londynem (w Walii — gdzie mieszka także Jerzy Horzelski, psycholog i tłumacz) i pracujący jako lekarz w szpitalu angielskim dr Wit Tarnawski wydał niedawno tom nowel pt. „Uciezka” — dotychczas uważany był tylko za krytyka i conradystę. „Wiadomości” zaczęły niedawno drukować nowe wiersze Bielatowicza; ukazała się nowa powieść Stefanii Zahorskiej.

Twórczość pisarzy londyńskich daleka jest więc jeszcze od zamarcia, chociaż minęło ożywienie, jakie przyniosły wypadki październikowe i perspektywy drukowania w kraju. Spośród pisarzy londyńskich jedynie paru zdążyło utwory swoje wydrukować w czasopiśmie krajowych: wydawnictw książkowych, z wyjątkiem paru tomów wierszy poetów młodszych, prawie w ogóle nie było. A okazja, niestety, już chyba raczej minęła.



Jaki jest ogólny dorobek literacki, twórczy, środowiska pisarzy polskich w Londynie? Jaka jest jego wartość? Na te pytania nie możemy dać tutaj odpowiedzi — musielibyśmy bowiem pisać

historię literatury polskiej na emigracji. Nie jest to na ogół do-robek wybijający się ponad inne, właściwie Londyn nie posiada pisarzy tego kalibru, co Gombrowicz, Herling-Grudziński, Hostowiec, Józef Mackiewicz, Czesław Miłosz, Tadeusz Nowakowski, Parnicki, Straszewicz, Wierzyński; można by wymienić jeszcze szereg nazwisk.

Znaczenie ważnego ośrodka kulturalnego, prestiż ośrodka intelektualnego nadaje Londynowi raczej ilość pisarzy, krytyków, naukowców, dziennikarzy i takie wyróżniające cechy jak posiadanie polskiego teatru, fakt, że w Londynie wychodzą „Wiadomości” i kilkanaście innych pism, istnieje duże zagęszczenie różnego rodzaju instytucji kulturalnych i wydawnictw. Ważnym czynnikiem jest także duże skupisko inteligencji liczące kilka tysięcy osób, bez wątpienia największe poza granicami kraju.

Te elementy czynią z polskiego Londynu ośrodek o dużym promieniowaniu i wciąż jeszcze — intelektualną i twórczą stolicę całej polskiej diaspory na Zachodzie.



Polski Londyn doczeka się kiedyś swego epika (nie mówiąc o historyku). My, niestety, musieliśmy się ograniczyć do reportażu, długiego, prawie pedantycznego.

Forma reportażu nie daje pełnego zadowolenia. Piszącym rządzi tysiące faktów, staje się ich niewolnikiem, nie może sobie pozwolić na zagłębianie się w psychikę ludzką, na pokazanie stosunków ludzkich w całej ich nagości.

Oczywiście, i ten reportaż mógł być napisany inaczej. Mógł się na przykład zczytać tak:

Jest pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Autobusy przestają kursować już o 3.00 po południu. Kolejki podziemne chodzą tylko co 40 minut. Ulice opustoszały, żaden Anglik nie wychyli nosa, chyba że musi.

Popołudnie jest ciemne i zimne. Zaczyna ostry, gruby deszcz. We framudze sklepowej stoi jakaś postać, okutana płaszczem, z nastawionym kołnierzem, z nasadzoną na czoło kapeluszem. Podchodzimy bliżej. Tak, to rodak, czeka na autobus. Mówimy mu, że autobusy już nie chodzą i pytamy, gdzie zdąży. Do znajomych, na drugi koniec Londynu. Radzimy, żeby dojechał do stacji kolejki podziemnej South Kensington i proponujemy wzięcie taksówki na spółkę. Zgadza się i za chwilę pędzimy przez puste ulice, niesamowite w deszczu i połyskach świateł na skrzyżowaniach: zielone, żółte, czerwone.

Na South Kensington Polak kupuje bilet, idzie na peron i czeka na kolejkę. My zaglądamy do jedynej otwartej restauracji, tuż obok Daquisa. Przy stoliku nad niedopitą filiżanką kawy siedzi w kapeluszu o uderzająco szerokim rondzie i w płaszczu, były polonista, ostatnio lokaj w ekskluzywnym angielskim hotelu. Przez zalane deszczem szyby nie widzi nas, patrząc zresztą pusto w neonowe lampy nad kontuarem. Parę stolików dalej znany kiedyś polski polityk kończy obiad. Obok niego leży „Orzeł Biały”, na siedzeniu pękata teczka. W kącie kawiarni siedzi młoda para polska. Ci przynajmniej nie są samotni. Poza nimi w kawiarni jest paru Hindusów, jakiś Chińczyk, jakiś Cypryjczyk — i to wszystko. Dołącza do nich brytyjski żołnierz na urlopie, jedyny Anglik w tym towarzystwie obcokrajowców, podпиты i ziewający.

Schodzimy w pobliże kasy na stacji. Tam, przy budce telefonicznej jakiś młody Polak głośno tłumaczy, że ktoś jeszcze nie przyjechał. Kładzie słuchawkę, i już wita się z jakimś wysokim mężczyzną, o pięknej twarzy, siwej brodzie. Uradowani, odchodzą na peron.

Idziemy za nimi. Na ławeczce siedzą dwie Polki; ich mężowie stoją rozmawiając o czasach wojennych i wypadkach samochodowych. Stacja jest prawie wymarła. Słychać szum deszczu, rzadkie pociągi przelatują jak widma. Szyny błyszczą raz zielono, raz czerwono.

Na przeciwległym peronie zjawia się polonista w kapeluszu o szerokim rondzie. Daleko, na końcu naszego peronu, na ławeczce, mającą jakieś dwie sylwetki. Podchodzimy bliżej. To pracownicy Ogniska — pani w futrze i w kapeluszu, pan w palcie i z laseczką, rozmawiają o przykrościach zimy. Dalej czernieje most i błyszczą szyny.

Ciszę przerywają od czasu do czasu pijane śpiewy grupy Irlandczyków — także narodu nomadów.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, kiedy przebrzmiało już wigilijne kołędowanie i śpiewy pasterki, Londyn należy do Polaków: do tych, co starym zwyczajem muszą, wbrew trudnościom transportowym, wbrew pogodzie, złożyć sobie wizytę, i tych, których samotność wyganiania z mieszkań.

Wracamy do domów z uczuciami mieszanymi: i wesołości, i melancholii, i poczucia wspólnoty, i osamotnienia, w wielkim, dla wielu wciąż jeszcze tak obcym, mieście.

CZĘŚĆ DRUGA

POLONIA BRYTYJSKA W CYFRACH

1. Dane ogólne

Za początek naszej emigracji na wyspach brytyjskich przyjąć można pierwsze dni września 1939 r., kiedy do portów brytyjskich zawinęły jednostki morskie polskiej marynarki handlowej i wojennej. Ale pierwsza, rzeczywiście znaczna, grupa Polaków przybyła do W. Brytanii dopiero w czerwcu 1940 roku, po kapitulacji Francji. Opracowanie „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej” podaje, że do 15 lipca 1940 roku z Francji wyewakuowano 19.451 żołnierzy i oficerów wojska, 986 oficerów i 3.217 podoficerów i szeregowych lotnictwa. W sumie daje to 23.654 osoby¹. Jerzy Zubrzycki podaje cyfrę wyższą: według niego 35.500 osób przybyło do W. Brytanii z Francji w czerwcu 1940 roku. Zubrzycki dolicza do tej cyfry, która odnosi się tylko do wojska, około 3.000 cywilów, rodzin żołnierzy i otoczenia rządu.

Jeżeli uwzględnimy, że w tym okresie w W. Brytanii było około 3.000 osób starej Polonii (spośród których wielu miało obywatelstwo polskie), i że do czerwca 1940 roku na ziemi brytyjskiej znalazło się około 1.400 oficerów, podoficerów i szeregowych marynarki polskiej, oraz około 2.300 oficerów, podoficerów i szeregowych lotnictwa, to przyjmując cyfry Zubrzyckiego, otrzymamy ogólną liczbę Polaków w okolicy 45.000, lub też, biorąc za podstawę cyfry „Polskich Sił Zbrojnych” — około 36.000. Jesteśmy skłonni przyjąć raczej cyfrę ostatnią².

1. Tom II cz. I str. 145. (Instytut gen. Sikorskiego, Londyn, 1959).

2. Szczególnie, że w swojej książce *Polish Immigrants in Britain*, Zubrzycki podaje raz cyfrę 30.500, raz 35.500 (por. str. 54 i str. 57).

A. Liebich (z którego Zubrzycki zaczerpnął niektóre ze swoich cyfr)

W następnych latach przybywały do W. Brytanii nowe fale Polaków. W r. 1942 zaczęli pojawiać się Polacy z Rosji; ogółem I Korpus, stacjonowany w Szkocji, przyjął z tego źródła 7.000 osób; marynarka wojenna — ok. 1.000; lotnictwo — ok. 3.000; razem — 11.800 osób³.

Równocześnie, w latach 1941-43 przybyły małe grupy ochotników do wojska polskiego zza oceanu: 1.223 z Argentyny, 722 z Kanady, 345 z Brazylii. Od r. 1943 zaczęły także napływać grupy Polaków-jeńców z wojska niemieckiego i z organizacji Todta. Do W. Brytanii przybyły następujące większe grupy:

z kampanii północno-afrykańskiej	ok. 2 000
od chwili inwazji do końca 1944 r.	ok. 33.200
od 1.1. 1945 do 31.4. 1945	ok. 15.400
maj i czerwiec 1945	ok. 4.000
Razem	ok 54.600⁴

W roku 1944 ogromna część wojska polskiego opuściła Wyspę, udając się na front. Ponowny napływ, i to falą o wiele większą, gdyż obejmującą także II Korpus, nastąpił w latach 1945-47, po zakończeniu działań wojennych.

Ogólna liczba wojska polskiego na Zachodzie po zakończeniu wojny wynosiła prawie 250.000. Z tej liczby do W. Brytanii w latach 1945-47 przybyło około 200.000. Dokładną cyfrę trudno podać, gdyż równocześnie z pierwszymi transportami przybyłymi na wyspę, rozpoczęła się repatriacja do Polski i odpływ ochotników do krajów swego poprzedniego zamieszkania — Argentyny, Brazylii, Francji i Kanady. Do Polski, do r. 1949, wróciło ogółem z terenu W. Brytanii prawie 95.000 b. wojskowych⁵.

Gros wojskowych, pozostałych w W. Brytanii, zapisało się do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia

podaje, że do 18 lipca 1940 r. wyewakuowano z Francji ogółem 6.503 oficerów i 23.944 szeregowych. („Na obcej ziemi — Polskie Siły Zbrojne”, 1939-1945, Londyn 1946).

3. A. Liebich, op. cit., str. 64.

4. Ibid. str. 69.

5. Dokładną analizę procesu demobilizacyjnego podaje *The Fourth Report from the Select Committee on Estimates, Parliamentary Papers* 91. 1948-49.

Z punktu widzenia socjologicznego omawia go szczegółowo Jerzy Zubrzycki — *Polish Immigrants in Britain*, Martinus Nijhoff) The Hague, 1956 (część II).

(PKPR — PRC), którego zadaniem było, jak mówi nazwa, przygotowanie byłych żołnierzy do życia w nowym społeczeństwie i rozlokowanie ich w W. Brytanii. Do PKPR zapisało się ogółem do lutego 1949 roku 114.000 byłych wojskowych. Nawet jednak z tej liczby, do lutego 1949, powróciło do Polski prawie 9.000 osób; wyemigrowało lub powróciło do innych krajów 11.400 osób⁶.

Jeżeli więc rok 1945 przyjmiemy jako początek okresu osiedlania się Polaków w W. Brytanii — a więc jako rzeczywisty początek Polonii brytyjskiej — to musimy także zauważyć, że równoległe z procesem osiedlania się, następował proces odpływu.

Zmniejszaniu ilości Polaków w W. Brytanii przeciwdziałały, do r. 1950, dwie akcje, obie stanowiące o znacznym napływie cywilów. Pierwsza z nich dotyczyła rodzin żołnierzy i dipisów, których rząd angielski zobowiązał się sprowadzić do W. Brytanii. W latach 1945-50 przybyło do W. Brytanii około 33.000 członków rodzin żołnierzy i dipisów. Poniższa tabela ilustruje ten proces:

Tabela I.

Ilość cywilów — rodzin i bliskich krewnych byłych żołnierzy — sprowadzonych do W. Brytanii w latach 1945-50

Z Niemiec	2.000
Z Włoch	10.000
Z Bliskiego Wschodu i Afryki	15.000
Z Indii	3.000
Rodziny lotników	2.600
Razem	32.600⁷

Druga akcja znana jest pod nazwą *European Voluntary Workers' Scheme*. Polegała ona na sprowadzeniu z Niemiec i Austrii pewnej ilości dipisów, celem wzmocnienia siły roboczej W. Brytanii. Według oficjalnych obliczeń w ramach tej akcji przybyło do W. Brytanii na stałe 14.018 Polaków⁸.

6. Pierwsza cyfra uwzględniona została w liczbie 95.000 repatriantów do Polski, podanej wyżej.

7. *The Fourth Report etc. i Report of the National Assistance Board for 1950 (1951)*.

8. J.A. Tannahill, *European Voluntary Workers in Britain*, Manchester Univ. Press, 1958, Tab. II, str. 30. Zubrzycki podaje cyfrę 29.400, opie-

Tak więc ogółem w latach 1945-50 przyjechało do W. Brytanii ponad 46.600 cywilów.

Prawie równocześnie z zakończeniem tych dwóch akcji nastąpiła ponowna fala odpływu Polaków z Anglii, tym razem wyłącznie w formie emigracji za ocean. Główną rolę odegrało tu zwiększenie polskiej kwoty migracyjnej przez Stany Zjednoczone i rozluźnienie restrykcji przez Kanadę i inne kraje.

Dokładne cyfry emigracji nie są niestety znane. Według *Ministry of Labour*, z końcem 1950 roku około 16.000 Polaków zgłosiło się na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Z tego w latach 1951-52 do Stanów Zjednoczonych wyjechało prawie 7.000 osób. W tym samym czasie do Kanady wyjechało 1.500 osób, do Australii — około 350. Cyfry te dotyczą jednak tylko tych osób, którym w emigracji pomógł specjalny urząd zwany *The Central Polish Resettlement Office*⁹. Zubrzycki podaje, że do grudnia 1951 roku z owych 16.000 zgłoszonych wyjazdów, wyjechało około 10.500 osób¹⁰.

Jeżeli kierować się cyframi *The Central Polish Resettlement Office*, obraz za lata 1947-52 jest następujący: 14.164 Polaków otrzymało pomoc w emigracji. Z tej liczby do Stanów Zjednoczonych wyjechało 7.528 osób; do Kanady — 3.042 osoby; do Argentyny — 1.915 osób; do Australii — 307 osób. Podaliśmy, że z PKPR'u do r. 1949 wyemigrowało nieco ponad 11.400 osób (ta cyfra częściowo musi się pokrywać z cyfrą 14.164).

Po roku 1952 emigracja nieco osłabła, ale nie na tyle by przestała stanowić główne źródło ubytku Polaków w Anglii. Jeden z raportów *NAB* stwierdza, że przewidywania na zakończenie się emigracji po roku 1952 okazały się przedwczesne. I tak z samych hosteli, w których na ogół znajdował się element mniej ruchliwy wyemigrowało w latach 1953-58 prawie 1.500 osób. Wielu Polaków emigrowało na własną rękę, korzystając często z udogodnień przyznawanych przez kraj przyjmujący (Australia np. opłacała podróż). Pewna ilość emigrowała do zamorskich posiadłości brytyjskich; w latach ostatnich dotyczy to szczególnie młodzieży wykształconej już w Anglii; ten proces

rajac się na oświadczeniu Ministra w Parlamencie brytyjskim. Tannahill jako źródło podaje *Ministry of Labour*. Jesteśmy skłonni przyznać rację Tannahillovi, raz, dlatego, że odpowiedź Ministra dotyczyła i innych kategorii osób, dwa, że mówiła o wydaniu prawa zamieszkania (czy „wpuszczeniu na zamieszkanie”). Wiadomo jest jednak, że około 5.500 EVW's wróciło z Anglii do Niemiec. (Poza tym mała nieścisłość u Zubrzyckiego — Hansard wymienia cyfrę 29.040, a nie 29.400).

9. *Ministry of Labour Annual Report for 1952 (1953)*.

10. Bez podania jednak źródła, str. 63.

będzie trwał nadal, chociaż chyba nie na wielką skalę.

Spadek ilościowy Polonii brytyjskiej możemy ukazać najlepiej na cyfrach podawanych rok rocznie przez brytyjski urząd statystyczny, dotyczących obywateli polskich zamieszkałych w W. Brytanii. Cyfry takie posiadamy za rok 1951 i następnie za resztę lat od r. 1954. Oto tabela, z podziałem na ilość mężczyzn i kobiet.

Tabela II.

*Ilość Polaków, obywateli polskich w W. Brytanii
w latach 1951 i 1954-58*

Rok	Ilość mężczyzn	Ilość kobiet	Ogółem
31.12.1951	101.284	34.486	135.770
.. 1954	89.584	29.603	119.187
.. 1955	85.518	28.885	114.403
.. 1956	82.088	27.838	109.926
.. 1957	79.068	27.928	106.996
.. 1958	76.155	27.499	103.654 ¹¹

Odejmując ostatnią pozycję od pierwszej, otrzymujemy ogólny spadek ilości Polaków w W. Brytanii, wyrażający się cyfrą 32.116 (w latach 1952-1958). Nie jest to jednak ubytek absolutny. Po pierwsze, cyfry powyższe nie obejmują dzieci i młodzieży do lat 16; po drugie, nie obejmują Polaków, którzy przyjęli obywatelstwo brytyjskie, z których ponad 50 % pozostało na Wyspie i najczęściej nadal utrzymuje żywy kontakt ze społecznością polską.

Niemniej jednak, pamiętając o tym że cyfra 32.116 dotyczy jedynie lat 1952-58, i że spośród Polaków naturalizowanych pewien procent także emigrował (przyjmując obywatelstwo często właśnie w tym celu, dla uzyskania lepszych warunków), możemy przyjąć, że cyfra około 30.000 „wtórnych” emigrantów w latach 1947-1959 jest bliska prawdy.

Pewien procent ubytku odliczyć trzeba, oczywiście, na zgon. Jak wysoka jest stopa śmiertelności wśród Polonii brytyjskiej — trudno dokładnie określić. Znamy cyfrę z okresu PKPR'u. I tak w latach 1946-1949 na 114.000 członków PKPR'u, zmarło trochę ponad 3.100, a więc prawie 3 %. Wysoka stopa śmiertelności w okresie początkowym zrozumiała jest w związku z wyćienieniem przejściami wojennymi. Z biegiem czasu powinna

11. *Annual Abstract of Statistics* za podane lata.

jej była przeciwdziałać świetna opieka lekarska w Anglii. Z drugiej strony, wrażenie optyczne raczej skłania do przyjęcia, że stopa śmiertelności, o ile nawet się zmniejszyła, to jednak jest nadal wysoka. Pokolenie starsze stanowi poważny procent emigracji, a przejścia w obozach dają o sobie znać nieraz zupełnie niespodziewanie i w średnim wieku także¹².

Cyfra 103.654 z grudnia 1958 roku dotyczy jedynie Polaków nienaturalizowanych. Aby obliczyć ogół Polonii brytyjskiej, musimy do niej dodać pewien procent liczby Polaków z obywatelstwem brytyjskim, tzw. naturalizowanych i ilość dzieci.

W pierwszym wypadku posiadamy dokładne dane naturalizacji za lata 1946-1958.

Tabela III.
Naturalizacja Polaków w W. Brytanii

Rok	Ilość naturalizowanych
1946	60
1947	1.279
1948	1.780 (x)
1949	2.656
1950	2.916
1951	1.565
1952	1.823
1953	1.840
1954	2.214
1955	1.800
1956	1.676
1957	1.962
1958	1.746

Razem . 23.317

12. „Tydzień Polski” za r. 1959 zanotował 240 zgonów Polaków zamieszkałych w W. Brytanii. Cyfra ta nie stanowi, oczywiście, pełnej liczby. Raz, nie wszystkie zgony są podawane do wiadomości „Dziennika” czy „Tygodnia”. Dwa, spis nie był prowadzony zbyt dokładnie. Trudno jest powiedzieć jaki procent ogólnej liczby zgonów stanowi cyfra 240.

Analiza wieku pierwszych 6 miesięcy 1959 r. — ogółem 117 zgonów (reszta klepsydr lub notatek nie podawała wieku) wykazała, że 25 osób zmarło w wieku poniżej lat 50, 22 osoby między 50-60; 70 osób powyżej lat 60, co procentowo wynosi: 21.4 %, 18.8% i 59.8 %. (Obliczenie ilości zgonów od września 1957 do lutego 1958 znajdujemy w „Roczniku PTNO, 1957/58, str. 76. W tym okresie „Dziennik” zanotował 349 zgonów. Odliczając pewną ilość na Polaków z poza W. Brytanii, cyfra jest wciąż wysoka. Obliczenie dotyczy jednak miesięcy zimowych).

x) U Zubrzyckiego błędnie: 1.280, str. 161.

Ogółem więc, w przeciągu 13 lat, 23.317 Polaków przyjęło obywatelstwo brytyjskie¹³.

Jeżeli chodzi o ilość dzieci małżeństw polskich i małżeństw mieszanych, to tutaj nie posiadamy prawie żadnych danych, tak że istnieje pole dla wszelkich spekulacji (np. niedawno jedno z pism podało, że od początku emigracji (1945) w Anglii urodziło się około 30.000 dzieci polskich). Najczęściej przyjmuje się cyfrę szacunkową 16.000-18.000 dzieci „polskich”. Warto przy okazji zauważyć, że według prawa brytyjskiego, dzieci polskich rodziców urodzone na ziemi brytyjskiej nabywają automatycznie obywatelstwo brytyjskie i prawo do paszportu brytyjskiego z chwilą ukończenia pełnoletności.

Raz jeszcze podkreślamy, że trudno jest podać nawet w wielkim przybliżeniu cyfrę dzieci „polskich”; przyjmując jako miarodajną cyfrę szacunkową 16.000-18.000 robimy to bez wielkiego przekonania (stanowi ona ok. 11% przybliżonej liczby ogółu Polonii brytyjskiej z r. 1958)¹⁴.

Przypuścimy jednak, że jest ona bliska prawdzie. Obliczając liczbę ogółu Polonii brytyjskiej, powinniśmy więc teoretycznie, dodać do siebie: cyfrę Polaków nienaturalizowanych, cyfrę Polaków naturalizowanych i szacunkową cyfrę dzieci „polskich”. Dodajmy więc te trzy cyfry:

Obywatele polscy (1958)	103.654
Polacy naturalizowani	23.317
Dzieci „polskie”	16.000
	<hr/>
Razem	142.971

Liczba ta jest jednak stanowczo wygórowana. Przyjęliśmy już, że pewna ilość Polaków naturalizowanych wyemigrowała. Trzeba by także w ich wypadku przyjąć pewną poprawkę *in minus* na zgony. Następnie, w liczbie Polaków naturalizowanych pewien procent stanowią Ukraińcy, których w W. Brytanii jest spora liczba, a którzy w danych statystycznych brytyjskich nie zawsze posiadają osobną rubrykę. Nieco większy odsetek stanowią Ukraińcy w liczbie Polaków nienaturalizowanych¹⁵.

13. Ale patrz niżej.

14. Można by oczywiście przeprowadzać różne obliczenia na podstawie wycinkowych danych, które posiadamy. Patrz niżej: „Podział według wieku i płci”.

15. Ukraińców oblicza się w W. Brytanii na 20.000 do 30.000. Wśród Polaków naturalizowanych duży procent stanowią polscy Żydzi, szczególnie w pierwszych paru latach po wojnie, jak wykazują listy nazwisk przyjmujących obywatelstwo, publikowane przez *Her Majesty's Stationary Office* rok rocznie (pt. *Aliens & British Protected Persons (Naturalisation)*). Imiona:

Widzimy, jak trudno obliczyć dokładną cyfrę Polonii brytyjskiej. Nie trzeba jednak dalej udowadniać, że jest ona na pewno niższa niż normalnie przyjmowana cyfra 150.000¹⁶. Będziemy o wiele bliżsi prawdy jeśli cyfrę tę obniżymy o jakieś 10 %, otrzymując maksymalną cyfrę Polonii brytyjskiej 135.000. Odejmując zaś szacunkową liczbę dzieci i młodzieży do lat 16, otrzymamy ilość Polaków powyżej lat 16 około 120.000.

W liczbie 135.000 pewien mały odsetek stanowią Polacy przybyli po roku 1955 z Kraju. Nie posiadamy cyfr obrazujących ilości udzielonych praw pobytu na stałe. Rząd angielski prawdopodobnie niechętnie widziałby jakiś nowy masowy napływ Polaków. Stąd też wizy na dłuższy pobyt, prawo stałego pobytu i prawo pracy udzielane są w drodze wyjątku. Dotyczą one głównie rodzin, wypadków chorobowych i specjalnych oraz kobiet wychodzących za mąż za Polaków zamieszkałych już w W. Brytanii.

Przypuszczalnie, cyfra szacunkowa 2.000 za lat 1955-60 nie będzie daleka od prawdy. (Stanowiąc ok. 1,4 % ogółu). Trudno tu więc mówić o jakiejś „nowej emigracji”¹⁷.

2. Podział według płci i wieku

Cechą charakterystyczną Polonii brytyjskiej jest trzykrotna przewaga mężczyzn w stosunku do kobiet. Fakt ten jest łatwo wytłumaczalny: wojskowa geneza Polonii brytyjskiej była zasadniczym powodem. Szczególnie w pierwszej fali ilość Polek była minimalna. W drugiej fali (jeńcy z wojska niemieckiego)

Moszek, Sruł, Sura powtarzają się regularnie. Część polskich Żydów naturalizująca się w pierwszych latach po wojnie przybyła do W. Brytanii jeszcze przed 1939 r.

16. Cyfrą tą szermował np. „Kurier Polski”, próbując w ten sposób uzasadnić że wśród tak dużej Polonii jest miejsce na dwa pisma codzienne.

17. Liczbę 2.000 uzyskujemy na podstawie następujących danych: Brytyjski Urząd Statystyczny (H.M.S.O.) rok rocznie drukuje *Statistics of Foreigners Entering and Leaving the United Kingdom*. Przeglądając te statystyki za lata 1956-58 wyluskujemy następujące dane: w roku 1956, 12 osób otrzymało prawo pobytu na okres dłuższy niż 12 miesięcy (jako robotnicy); dalej — 219 osób (nie w kategorii robotników lub dyplomatów) uzyskało prawo pobytu na okres 12 lub więcej miesięcy. Te dwie rubryki oznaczają mniej więcej pobyt stały. Szczególnie, że w rubryce drugiej najwyższą liczbę stanowią kobiety. W roku 1957 prawo pobytu „stałego” uzyskało 578 osób. W roku 1958 — 518. Razem daje to 1.327 osób, w tym 845 kobiet, 264 osoby poniżej lat 21, reszta mężczyźni, z których 26 zaciągnęła się na statki brytyjskie. Jeżeli przyjmiemy, że w r. 1959/60 także pewna liczba Polaków uzyskała to prawo, to cyfra nasza zbliży się do 2.000.

była zupełnie nikła. Dopiero w trzeciej fali przybyła pewna ilość kobiet wraz z 2 Korpusem. W PKPR na ogólną liczbę 114.000 członków kobiet było nieco ponad 5.600, co stanowi 4.9 % ogólnej liczby. Sprowadzenie rodzin wojskowych zwiększyło znacznie ten procent (choć warto zauważyć, że dużą proporcję stanowiły dzieci¹⁸). Następnie wśród wolontariuszy europejskich znalazło się ponad 4.600 kobiet. Na tym napływ Polek do W. Brytanii praktycznie się zakończył, aż do roku 1955, a nawet 1956, to znaczy do otwarcia granic Polski dla wyjazdów na Zachód.

Podaliśmy już cyfry kobiet według oficjalnych obliczeń statystycznych. Przeliczając je na procenty, widzimy początkową zniżkę: w r. 1951 kobiet było 25.4%, w r. 1954 — 24.8%. Natomiast w roku 1957 ilość kobiet wynosiła 26.1 % całości, a w roku 1958 — 26.5 %. Warto zauważyć, że w roku 1957 liczba kobiet zwiększyła się w porównaniu z r. 1956, o 90. Ta „absolutna” zwyczajka została najprawdopodobniej spowodowana przyjazdem Polek z kraju, które następnie wyszły tu za mąż, lub też pozostały na stałe z rodzinami¹⁹.

Brak Polek był i jest nadal ostro odczuwany przez wielu Polaków, którzy pragnęliby mieć Polkę za żonę, chociaż problem ten z biegiem lat traci na ostrości. Zubrzycki słusznie zauważył, że dystrybucja Polek nie wszędzie była równomierna. Do dziś Londyn i okolice Manchesteru liczą większy procent Polek niż gdzie indziej (Manchester ze względu na możliwości pracy w przemyśle włókienniczym).

Jeżeli chcielibyśmy się zorientować jaki jest procent Polek w stosunku do całości Polonii brytyjskiej (Polaków naturalizowanych i nienaturalizowanych), okazałoby się, że jest on jeszcze mniejszy niż w wypadku Polaków nienaturalizowanych. Stosunek naturalizacji wśród mężczyzn i kobiet wyraża się cyfrą 4:1.

Dokładne zorientowanie się, jaka jest struktura wieku Polonii brytyjskiej jest prawie niemożliwe; winę ponosi tu zupełny brak danych za ostatnie lata.

The Fourth Report podał w r. 1949 następujące dane dotyczące ok. 10.000 wojskowych, którzy pozostawali jeszcze wtedy w PKPR: 50 % członków było w wieku lat 40 do 50; 21 % oficerów i 13 % podoficerów i żołnierzy w wieku powyżej lat 50.

18. Oczywiście, obojga płci. Warto wymienić przede wszystkim siostrzyczki z Indii, Afryki środkowej i Libanu.

19. Dalszego wytłumaczenia można szukać w większej śmiertelności mężczyzn, większej ilości naturalizacji wśród mężczyzn i in.

Dane te mogą posłużyć jedynie jako wskaźnik. Podobnym wskaźnikiem mogą być dane zebrane przez NAB w czterech polskich hostelach w roku 1951 (podajemy je za Zubrzyckim):

W hostelach tych 19.4 % mieszkańców miało poniżej lat 18; 62.1 % od 18 do 59, i 18.5 % powyżej 60-ki.

Oba te wskaźniki pozwalają przypuszczać, że gros społeczności polskiej to ludzie w wieku średnim z przechyleniem się ku 50-ce; że duży jednak procent stanowią ludzie powyżej lat 50, a nawet 60. Powiedzieliśmy już, że ilość dzieci i młodzieży do lat 16 szacuje się na 16.000-18.000 (11 % całości).

Jak duży jest przyrost naturalny dokładnie nie wiemy. Możemy tu się jedynie posługiwać danymi wycinkowymi, które jednak trudno przyjmować jako miarodajne dla wszystkich ośrodków czy też dla całej Polonii. I tak np. wiemy na podstawie ksiąg parafii polskiej w Birmingham, że w okresie 1947-58 odbyło się około 470 chrztów. Polonia w Birmingham liczy ponad 3.500 osób. Ale nie wiemy, ile dzieci ochrzczonych zostało poza parafią polską, ile ochrzczonych nie było, ile zaś z tych ochrzczonych zmarło. Podobnie możemy podać dane dla około 2.000 Polaków zamieszkałych na Clapham w Londynie. Według danych parafialnych, przeciętna ilość chrztów wynosi 50 rocznie (od r. 1952). Ale znowuż cyfra ta może być jedynie ilustracyjna.

Jedna rzecz z obserwacji (i zdrowego rozsądku) jest jasna: mamy do czynienia z dużą luką jeśli chodzi o osoby w wieku lat 15-20. Są to tak zwane roczniki wojenne, których brak jest zupełnie naturalny. Odbija się on znacznie np. na małej ilości polskiej młodzieży studiującej w chwili obecnej.

3. Struktura zawodowa

Znowu napotykamy tutaj na kompletny brak dokładnych danych dla okresu ostatniego. Mimo to z obserwacji naszej i innych wynika, że nastąpiło ogromne przesunięcie w strukturze i że proces ten trwa nadal.

W pierwszym rzędzie należy uprzytomnić sobie, na tyle na ile to jest możliwe, strukturę zawodową przybywającego do W. Brytanii wojska. Ogromny procent żołnierzy był pochodzenia wiejskiego, w wypadku II Korpusu głównie z Kresów wschodnich. Dużą grupę stanowili ziemianie i osadnicy, szczególnie wśród oficerów. Bardzo znaczny procent to byli oficerowie zawodowi. Wykształcenie zawodowe posiadało natomiast około

10.000 osób (cyfra ta dotyczy 102.000 zapisanych do PKPR do roku 1948).

W tych 10.000 występowały następujące zawody: 165 profesorów i wykładowców uniwersyteckich, 319 nauczycieli szkół średnich, 690 nauczycieli szkół powszechnych, 131 dziennikarzy, 54 pisarzy i literatów, 617 prawników, 400 aktorów, muzyków, malarzy i rzeźbiarzy, 850 urzędników sądownictwa, 64 architektów, 71 duchownych, ponad 1.000 inżynierów, 790 lekarzy i dentystów, 302 farmaceutów, ponad 2.500 urzędników państwowych i 1.800 urzędników i pracowników przedsiębiorstw prywatnych i banków²⁰.

Grupę tę możemy określić terminem inteligencji. Doliczyć do niej musimy znaczną cyfrę oficerów zawodowych. Według danych oficjalnych, na 114.000 zapisanych do PKPR — ponad 17.000 byli to oficerowie; wśród nich duży procent oficerów zawodowych. Niewątpliwie, cyfry 10.000 i 17.000 muszą się w pewnej mierze pokrywać, niemniej liczbę inteligencji musimy powiększyć o parę tysięcy osób. Licząc z grubsza, stanowiła ona do 15 % wojska polskiego w W. Brytanii.

Powiedzieliśmy już, że gros wojska polskiego w W. Brytanii stanowili rolnicy i pracownicy rolni. Robotników jeszcze z Polski i rzemieślników było najmniej.

Podobnie musiał przedstawiać się skład zawodowy rodzin żołnierzy sprowadzonych z Indii i Afryki. Natomiast struktura zawodowa wolontariuszy europejskich musiała być bardziej zróżnicowana. Przede wszystkim większość z nich pochodziła z zachodniej Polski, i procent robotników i rzemieślników był wśród nich na pewno większy. Podobnie jak w pierwszym wypadku, gdzie na grupę robotników i rzemieślników w wojsku złożyli się głównie byli jeńcy z wojska niemieckiego, pochodzący ze Śląska i w ogóle z Polski zachodniej²¹.

Na przemiany w strukturze zawodowej całej grupy polskiej złożyły się następujące czynniki:

- a) polityka rządu angielskiego
- b) możliwości angielskiego rynku pracy
- c) kwalifikacje Polaków
- d) predylekcje Polaków.

W początkowym okresie trudno mówić o pełnych możliwościach wyboru pracy. Polityka rządu angielskiego zmierzała do

20. Zubrzycki, op. cit., str. 67.

21. Większość np. zecerów i drukarzy w drukarniach polskich w Londynie, to Ślązacy lub mieszkańcy Polski zachodniej; dotyczy to także polskich górników.

jak najszybszego rozlokowania polskiej siły roboczej w tych gałęziach produkcji, gdzie najbardziej odczuwał się brak rąk do pracy. W wypadku żołnierzy i oficerów PKPR'u, część przeszła odpowiednie kursa dokształcające, które często dawały nowy zawód (np. zegarmistrzostwo), większość jednak poszła na zwykłych robotników. Podobnie wyglądało rozlokowanie wolontariuszy europejskich, którzy byli specjalnie sprowadzani do pewnych gałęzi przemysłu.

Możliwości angielskiego rynku pracy, mimo że dosyć różnorodne jeśli chodzi o gałęzie przemysłu, ograniczone były właśnie potrzebą zwykłego robotnika. Ponadto Związki Zawodowe czuwały nad tym, by Polacy zbyt szybko nie przeskakiwali szczebli starszeństwa. Ograniczał je dalej albo brak kwalifikacji, lub też niezajomość języka. Tak więc predylekcje Polaków nie zawsze miały wpływ na otrzymaną pracę.

Konsekwencją tych czynników było przekształcenie masy zasadniczo włościańskiej na masę robotniczą.

Ferdynand Zweig pisząc w „Kulturze” artykuł pt. „Robotnik polski w Anglii” słusznie zauważył, że „właściwie śmiało można mówić zamiast o robotnikach polskich w W. Brytanii, o Polakach w W. Brytanii, bo poza robotnikami, innych kategorii jest stosunkowo niewiele”. Następnie rozróżnił on cztery typy robotnika polskiego: włościanin-robotnik, inteligent-robotnik, rzemieślnik-robotnik, i robotnik, który także w Polsce był robotnikiem. Przeważającą większość stanowiła oczywiście kategoria pierwsza; znikomą mniejszość kategorie 3 i 4²².

W artykule tym, pisanym w r. 1954, Zweig podawał, że szacunki polskie obliczają cyfrę robotników polskich na z górą 90.000, szacunki brytyjskie na 80.000.

Spróbujmy zbadać, na tyle na ile to jest możliwe, jakie przemysły brytyjskie wchłonęły największą ilość robotników polskich i jak wyglądał stan „zawodowy” emigracji w jej okresie początkowym.

Posiadamy tu głównie cyfry dotyczące PKPR'u. W latach 1947-50 wyłonił się następujący podział zawodowy, ilustrowany przez poniższą tabelę:

22. Ferdynand Zweig, „Robotnik polski w Anglii”, „Kultura” 3/77.

Tabela IV.

Skład „zawodowy” byłych członków PKPR w latach 1947-1950.

A. Robotnicy wykonujący pracę fizyczną

Przemysł budowlany	9.000
Rolnictwo	8.200
Górnictwo	7.300
Przemysł włókienniczy	6.400
Fabryki i warsztaty techniczne	6.500 *)
Hotelarstwo i zakłady gastronomiczne ..	6.200
Cegielnie	3.100
Huty żelaza i stali	2.500
Inne rodzaje pracy	16.800 **)
Razem	66.000

B. Pracownicy umysłowi i inni

Wolne zawody	2.000
Urzednicy państwowi	5.000 ***)
Urzednicy samorządów	1.000
Własne warsztaty pracy i inni	8.000
Studenci	2.000
Razem	18.000
Ogółem	84.000 ²³

Jak powiedzieliśmy, cyfry te dotyczą jedynie byłych członków PKPR. Co do zatrudnienia wolontariuszy europejskich nie posiadamy dokładnych danych odnośnie grupy polskiej. Na podstawie jednak danych ogólnych można stwierdzić, że gros Polaków poszło do pracy w rolnictwie, górnictwie, przemyśle włókienniczym, jako służba, w zakładach gastronomicznych i do hutnictwa.

Na ogół więc w pierwszej fazie Polacy zostali zatrudnieni

*) M.in. tzw. „general and civil engineering”.

***) W tej cyfrze: ok. 1.500 przy produkcji żywnościowej, i 1.300 jako służba domowa.

****) U Zubrzyckiego młynie: 1.000.

23. Na podstawie danych *The Refugee in the post-war world*, United Nations, 1951, str. 372.

w przemyśłach ciężkich i podstawowych, gdzie odczuwany był brak rąk do pracy.

Byłoby rzeczą dziwną, gdyby z upływem lat nie nastąpiły poważne przesunięcia jeśli chodzi o charakter zatrudnienia Polaków w W. Brytanii. O jednym takim przesunięciu już wspominaliśmy: ucieczka Polaków z rolnictwa. Dzisiaj Polacy zatrudnieni na roli stanowią cyfrę znikomą.

W innych jednak wypadkach, przy prawie całkowitym braku jakichkolwiek danych, jest niezmiernie trudno określić rodzaj zmian jakie nastąpiły. Możemy tu jedynie posługiwać się obserwacją i zdrowym rozsądkiem.

W cytowanym już artykule F. Zweig pisał: „Z moich doświadczeń wiem, że robotnicy polscy długo miejsca w tym samym warsztacie pracy nie zagrzewają, starając się polepszyć swe warunki pracy i płacy”. Jest to obserwacja słuszna. Biorąc dalej pod uwagę fakt nie tylko upływu czasu, który pozwolił wielu robotnikom na lepsze opanowanie swego fachu, dokształcenie się, poznanie języka, ale i pewien przyływ młodzieży już wykształconej w Anglii, a także zmianę stosunku angielskich pracodawców i robotników do robotnika polskiego, możemy z dużą dozą pewności twierdzić, że w wielu wypadkach robotnik polski znacznie polepszył sobie tak warunki pracy jak i płacy. Awans robotnika polskiego na lepszą pozycję w warsztatach pracy nie jest już od kilku lat rzeczą rzadką. Ogólna więc tendencja idzie w kierunku zwiększania się liczby robotników wykwalifikowanych, lub pół-wykwalifikowanych. Następnie, odpadły pewne restrykcje, jak na przykład w wypadku służby publicznej, gdzie dzisiaj Polacy przyjmowani są prawie bez żadnych trudności. Stąd też można przypuścić, że ilość Polaków zatrudnionych w urzędach miejskich i państwowych, w transporcie, na poczcie i w innych podobnych instytucjach wzrosła. W wielu wypadkach odpadł także utrudniający nieraz znalezienie lepszej pracy, lub otrzymanie awansu, brak obywatelstwa brytyjskiego, które zresztą często z tego powodu było przyjmowane. Coraz częściej spotyka się Polaków w szkolnictwie brytyjskim, na stanowiskach nauczycieli i wykładowców (tych ostatnich liczba nie może być oczywiście, zbyt duża). W wypadku szkolnictwa zwiększenie się liczby polskich nauczycieli ułatwione jest z jednej strony brakiem sił nauczycielskich w Anglii, z drugiej strony możliwością uzyskania stypendium na kursa nauczycielskie.

Mimo to jednak, charakter Polonii brytyjskiej nadal pozostaje robotniczy, z tym że zmniejsza się procent zwykłych wyrobników, a wzrasta procent robotników wykwalifikowanych.

Tak więc dokładna struktura zawodowa Polonii brytyjskiej nie jest znana i nie możemy wyjść poza ogólniki. A więc można przypuszczać, że różne zmiany i przesunięcia spowodowały większą różnorodność zawodową, ale że równocześnie, z wyjątkiem rolnictwa, procentowo najsilniejszymi branżami zatrudniającymi Polaków są te przemysły, które już wymieniliśmy. Nawet bowiem jeśli przyjmiemy, że pewna ilość osób z każdego z tych przemysłów ubyła, to jednocześnie trzeba przypuścić, że na ich miejsce przyszli inni i że ubytek był wymienny i w rezultacie się czasami wyrównywał. Te uwagi potwierdza obserwacja: tak górnictwo, jak przemysł włókienniczy, hotelarstwo, zakłady gastronomiczne, huty żelaza i stali, zatrudniają nadal Polaków w dużych proporcjach, i łatwo to sprawdzić jadąc czy to do Ipswich, czy Stafford, czy do Mansfield, Rochdale lub Manchester.

Nieco dokładniejsze dane posiadamy dla grup mniej licznych, takich jak właściciele własnych przedsiębiorstw, kamienic i pracownicy wolnych zawodów.

Ferdynand Zweig podawał w roku 1954 ilość polskich warsztatów, sklepów i innych przedsiębiorstw na 1.000. Ilość ta na przestrzeni ostatnich kilku lat więcej niż podwoiła się. Według cyfr szacunkowych zebranych przez Związek Kupców i Przemysłowców Polskich, w W. Brytanii mamy około 2.500 polskich przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych²⁴. W tym aptek — 32, firm eksportowych — 54, sklepów spożywczych — 230, hoteli — 69, restauracji — 96, fryzjerni — 38, firm budowlanych — 41, zegarmistrzów-jubilerów — 59, drukarni — 20, zakładów krawieckich męskich — 42, zakładów krawieckich damskich wysokiej klasy — 20. Oprócz tego mamy około 70 pralni (laundretok), 17 agencji sprzedaży nieruchomości, i niesprecyzowaną bliżej ilość przedsiębiorstw elektrotechnicznych, piekarń, zakładów filmowych i fotograficznych, zakładów metalowych, naprawczych, garaży, tkalni, warsztatów wyrobu torebek plastikowych i skórzanych, sklepów skórzanych, parę fabryczek (i co najmniej jedna ogromna fabryka) plastyku, a także pewną ilość najróżnorodniejszego rodzaju sklepów, księgarń, firm wydawniczych, masarni, kreałarni itp.

Ponad 2.000 z tych przedsiębiorstw, warsztatów, firm znajduje się w Londynie²⁵.

24. Związek wydaje biuletyn: „Wiadomości gospodarcze”; w roku 1960 wydał „Polski informator przemysłowo-handlowy”.

25. Warto tu przy okazji zacytować parę zdań z przedmowy do Informatora przemysłowo-handlowego, napisanej przez Stanisława Józwiaka, zasłużonego działacza Związku K. i P. „Wobec zniszczenia mieszczaństwa

Nie są to wszystko przedsiębiorstwa na wielką skalę, raczej średnie i bardziej niż średnie, z kilkunastoma większymi, i dużym procentem (ok. 15 %) zakładów jedno-dwu- i trzyosobowych.

Przedsiębiorstwa zatrudniające ponad 50 osób są rzadkością, powyżej 100 osób, wyjątkami.

W ostatnich latach wzrosła także znacznie liczba właścicieli kamienic. Ogółem ilość domów polskich oblicza się na 10.000, z których większość stanowią domki jednorodzinne, utrzymujące ewentualnie jednego lub dwóch lokatorów. Kamienic, a więc domów liczących ponad 10 pokoi, umeblowanych, a często z obsługą, jest około 2.700. Jest to ważne źródło dochodu Polaków, i niemal w każdym środowisku spotyka się tzw. kamieniczników, warstwę o specjalnych kłopotach, nastawieniach i cechach. Polacy posiadają także około 4.000 samochodów.

Pisaliśmy już uprzednio, że ilość robotników rolnych spadła. Zmniejszyła się także ilość właścicieli gospodarstw. Obecnie jest około 300 farm polskich, z tego mlecznych około 250, warzywniczych — 20, pieczarkarni — 20, hodowlanych — 15 i kilka pasiek.

Cyfry szacunkowe dla wolnych zawodów przedstawiają się następująco (chodzi nam jedynie o zawody praktykowane): około 700 lekarzy, ponad 50 artystów-malarzy, rzeźbiarzy i grafików, około 40 prawników różnych rodzajów, pewna liczba architektów, około 11 księgowych. Wykładowców na uniwersytetach brytyjskich oblicza się na około 40-50, księży nieco ponad 90.

Bardzo trudno jest zorientować się dokładnie w ilości inżynierów i techników, a także kreślarzy. Obok zawodu lekarskiego, stanowią oni zdecydowanie najliczniejszą grupę nowej inteligencji polskiej w W. Brytanii.

W roku 1945 liczbę techników i inżynierów polskich w Anglii obliczano na 5.000, z czego około 96 % zatrudnionych było w przemyśle brytyjskim. W tymże roku członkostwo Stowarzyszenia Techników Polskich w W. Brytanii osiągnęło cyfrę ponad 2.000. Dziesięć lat później (1955) Stowarzyszenie liczyło

polskiego w samej Polsce rozwój polskich przedsiębiorstw w W. Brytanii jest pozycją bardzo dodatnią... dowodzi ona, że polscy przedsiębiorcy mają inicjatywę, zaczynając swoje warsztaty czasami z bardzo nikłym kapitałem i umiędą sobie wywalczyć rynki zbytu na obcym terenie i przy silnej konkurencji tubylców. Oddajemy ten Informator jako dowód teźyżny polskiej z tym życzeniem, aby służył on społeczeństwu polskiemu w W. Brytanii, a władzom w Polsce wykazał jedną prawdę — nie ma państwa nowoczesnego bez inicjatywy prywatnej i dystrybucji przy pomocy czynników, które muszą się liczyć ze współzawodnictwem”.

już tylko 600 członków. Wskazywałoby to, że ilość techników polskich w W. Brytanii poważnie spadła. Jest to słuszne, ale spadek nie mógł być aż tak duży. Niewątpliwie, duży procent emigrował, ale równocześnie uniwersytety brytyjskie rok rocznie wypuszczały pewną liczbę młodych techników, z których część natychmiast znajdowała pracę w przemyśle brytyjskim. Najczęściej oblicza się, że obecnie w W. Brytanii jest co najmniej 1.000 techników i inżynierów polskich, z czego tylko połowa zrzeszona jest w Stowarzyszeniu. Wydaje nam się że cyfra ta jest jednak za niska i że w W. Brytanii powinno przebywać nie wiele mniej niż 2.000 polskich techników i inżynierów.

Poza brakiem danych, analizę struktury zawodowej Polaków w W. Brytanii utrudnia fakt, że inaczej kształtuje się ona jeśli za kryterium przyjmiemy wykonywanie zawodu, a inaczej, jeśli pojęcie zawodu utożsamimy z wykształceniem. W drugim wypadku cyfry dotyczące wolnych zawodów wzrosną znacznie. W Londynie jest na przykład pewna liczba polskich aktorów (ok. 45), z których część gra od czasu do czasu na scenie emigracyjnej. Wspominaliśmy już o oficerach zawodowych. W W. Brytanii przebywa kilkudziesięciu polskich pisarzy i dziennikarzy, paru historyków oraz szereg naukowców, doktorów, docentów, profesorów. Musimy pamiętać o politykach, którzy w nielicznych wypadkach potrafili nawet do dziś zapewnić sobie możliwość „praktykowania” swego zawodu. Innym przykładem są nauczyciele szkół sobotnich.

Tak więc Polonia wielkobrytyjska posiada wciąż jakby dwie struktury zawodowe, w pewnej ilości wypadków nakładające się na siebie. Przyszłość przyniesie niewątpliwie zmiany uszczuplające warstwę tak zwanej inteligencji, wyeliminuje warstwę oficerów zawodowych, podkreślając charakter robotniczy Polonii. Z drugiej jednak strony, wydaje się, że właśnie Polonia wielkobrytyjska ma największe szanse przechowania tradycji inteligencji polskiej, poszerzając równocześnie warstwę nowej inteligencji technicznej i pracującej.

4. Geografia Polonii Brytyjskiej

Na przestrzeni 20 lat nastąpiły tu duże zmiany. I tak w okresie wojennym gros wojska polskiego znajdowało się w Szkocji, z tym, że lotnictwo koncentrowało się w południowo-wschodniej Anglii, a także w okolicach Leicester, Nottingham, Blackpool.

Po wojnie część Polaków wróciła do dawnych miejsc postoju ich jednostek, często do żon — Szkotek lub Angielek, a następnie w wielu wypadkach wsiąkła w społeczeństwo brytyjskie (na przykład w hrabstwie Kentu mieszka wielu Polaków — byłych lotników, ożenionych z Angielkami i rzadko udzielających się w życiu polskim).

Rozmieszczenie II Korpusu było bardzo różnorodne. Prawie cała Anglia pokryta była siecią obozów, a następnie hosteli. Może najmniej Polaków trafiło do Walii, chociaż i tam było parę obozów.

W pierwszych latach po wojnie zaznaczyły się dwie główne tendencje przesunięć w rozmieszczeniu. Pierwszy proces polegał na odpływie z obozów i okręgów rolniczych do miast; świadoma dążność do likwidacji hosteli spotęgowała ten proces w latach 1954-57, i prawie go zakończyła w roku 1960. Drugi proces stanowił odpływ Polaków ze Szkocji. Edynburg, w którym w pierwszych latach po wojnie mieszkało ponad 2.000 Polaków, obecnie liczy Polaków nie cały 1.000, i to z okolicami. Ogółem w Szkocji pozostało obecnie nie więcej niż 5.000 Polaków, co stanowi odpływ około 35.000. Większość z tej ostatniej cyfry repatriowała się do Polski lub emigrowała dalej, ale część przeniosła się albo do Londynu albo do Midlandów.

W tych i dalszych przesunięciach, mniej już znacznych, podstawowym czynnikiem był łatwiejszy rynek pracy. Pewną rolę odgrywała zapewne także i żywotność poszczególnych ośrodków polskich.

Oba te czynniki wpłynęły na fakt, że największym skupiskiem Polaków w W. Brytanii jest Londyn. Dodatkową atrakcją stanowiło bogate życie wielkiej metropolii, a także koncentracja większości central politycznych i społecznych w Londynie, który po klęsce Francji stał się siedzibą rządu polskiego, a następnie dwóch najważniejszych politycznych reprezentacji polskich za granicą.

Czynnik łatwiejszego rynku pracy posiadał zresztą dwojaki charakter: z jednej strony 8-milionowe miasto daje w sposób oczywisty większe możliwości zatrudnienia; z drugiej strony, liczebność ośrodka polskiego i istnienie wielu polskich instytucji i firm ułatwiało także znalezienie pracy pewnej ilości polskiej inteligencji, niezdolnej z powodu wieku, nieznamomości języka, lub oporów wewnętrznych (niechęć deklasowania się) do przystosowania się do nowych warunków.

Dużą atrakcją było zawsze bogate życie towarzyskie i kulturalne, najbogatsze na całej wyspie.

Szczytową cyfrę osiągnęła Polonia londyńska w roku 1949, kiedy mieszkało w Londynie 38.000 Polaków nienaturalizowanych, plus parę tysięcy naturalizowanych i polskich dzieci. Można więc powiedzieć, że w tym roku ilość Polaków w Londynie przekroczyła znacznie 40.000.

Następnie obserwujemy jednak stały ubytek, spowodowany emigracją i śmiertelnością. Poniższa tabela ilustruje proces wzrostu a następnie spadku ilości Polaków w Londynie. W tym drugim wypadku pewien procent ubytku zaliczyć trzeba na karb naturalizacji (cyfry dotyczą tylko Polaków nienaturalizowanych), tak że w rzeczywistości spadek jest nieco mniejszy.

Tabela V.

*Ilość Polaków nienaturalizowanych w Londynie
(w zasięgu tzw. Metropolitan Police District)
w latach 1945-58.*

<i>Data</i>	<i>Ilość Polaków</i>	<i>Procent całej liczby obcokrajowców w Londynie</i>
31.12.1945	12.523	9.0
„ 1946	14.441	10.1
„ 1947	23.064	17.1
„ 1948	32.106	23.9
„ 1949	37.819	27.2
„ 1950	36.199	25.6
„ 1951	33.452	24.14
„ 1952	31.542	26.0
„ 1953	30.956	25.9
„ 1954	28.811	25.2
„ 1955	27.722	23.7
„ 1956	26.635	21.6
„ 1957	26.015	20.2
„ 1958	25.133	18.7 ²⁶

Szacunkowo biorąc, do tej ostatniej cyfry można z powodzeniem doliczyć co najmniej 7.000 Polaków naturalizowanych i dzieci polskich, zamieszkałych w Londynie, co da nam ogólną liczbę Polaków przekraczającą 30.000. Jest to najsilniejsza grupa obcokrajowców w Londynie.

Drugim najsilniejszym skupiskiem Polaków są Midlandy, wraz z hrabstwami Lancashire i Yorkshire. Z miast na pierwszym

26. Źródło: *Annual Reports of the Commissioner for the Metropolitan Police District*, za lata j.w.

miejscu stoi Manchester, gdzie mieszka ponad 4.000 Polaków; dalej idzie Birmingham — prawie 4.000, Bradford — około 3.000; Wolverhampton, Leeds, Nottingham, Sheffield, Coventry, Leicester — od 1.500 do 3.000.

Jeśli przeciągnąć linię z Manchester przez Oldham, Huddersfield do Leeds, z Leeds przez Bradford, Halifax, Rochdale, Bury, Bolton, Wigan do Liverpoolu, z Liverpoolu przez Chester, Wolverhampton do stolicy zachodnich Midlandów — Birmingham, z Birmingham przez Coventry, Reddich, Rugby do Northampton, z Northampton przez Leicester, Nottingham, Derby, Sheffield z powrotem do Leeds, to otrzymamy nieregularny wielobok, który zamieszkuje ponad 40.000 Polaków.

Najsilniejszym ośrodkiem na południu tego wieloboku jest Birmingham, na północy — Manchester.

Tak więc ponad połowa Polonii brytyjskiej mieszka w Londynie i w środkowej Anglii, to znaczy w miastach Midlandów, Lancashire i Yorkshire.

Z innych większych ośrodków w Anglii wymienić trzeba Bristol (ponad 1.000). Gloucester, Reading, Slough (tuż pod Londynem — prawie 2.000), Ipswich, Hull, Lincoln, Peterborough, Swindon, Bedford, Newcastle; w Walii — Cardiff; w Szkocji — Glasgow, Edynburg, Perth, Dundee, Aberdeen.

W całej Walii Polaków mieszka nie więcej niż 3.000; najsilniejsze skupisko farm znajduje się w hrabstwie Carmarthen.

W Szkocji, jak już pisaliśmy, mieszka ogółem około 5.000 Polaków, głównie w pasie hrabstw Lanark, Fife i Angus.

Na ogół nie ma podstaw do przewidywań, że nastąpią jakieś poważniejsze zmiany w rozmieszczeniu Polaków na Wyspie. Ruchy większych grup prawie ustały, chociaż na pewno byłoby grubą przesadą mówić o „zamrożeniu” skupisk. Przeciwnie, obserwować można powolny wzrost liczebności niektórych skupisk, gdzie warunki pracy stanowią atrakcję, a spadek liczebności skupisk mniej atrakcyjnych. Te zmiany aby były uchwytne liczbowo wymagają dłuższego czasu. Być może, na przestrzeni następnych 10 lat obraz geograficznego rozmieszczenia Polonii brytyjskiej będzie nieco różny od dzisiejszego, ale różnica będzie chyba dotyczyła raczej liczebności skupisk niż ich rozmieszczenia.

5. Konkluzja

W konkluzji warto postawić parę kwestii ogólnych.

Po pierwsze, tendencja zmniejszania się Polonii brytyjskiej zarysowuje się dosyć wyraźnie, ale brak dokładnych danych

odnośnie przyrostu naturalnego utrudnia wyciągnięcie całkowicie pewnych wniosków. A więc jeśli pewną jest rzeczą, że ubytek *obywateli polskich* jest absolutny i postępować będzie nadal, to już o wiele trudniej odpowiedzieć na pytanie, czy tendencja zmniejszania się liczby całej Polonii brytyjskiej ma cechy trwałe. Jest rzeczą znaną, że przyrost naturalny w Anglii nie jest wysoki, i wolno przypuszczać, na podstawie obserwacji, że Polacy na ogół stosują się do zwyczaju angielskiego posiadania małej ilości dzieci — rodziny polskie z trojgiem dzieci nie stanowią procentu przeważającego, bardzo wiele rodzin ogranicza się do dwojga dzieci; liczne rodziny są raczej wyjątkami.

Można by więc stawiać pytanie, czy przyrost naturalny w dostatecznym stopniu przeciwdziała dwóm najważniejszym źródłom ubytku: emigracji i śmiertelności. Odpowiedź na to jest trudna tak długo jak nie znamy dokładnych cyfr przyrostu naturalnego i stopy śmiertelności. Natomiast można ostrożnie twierdzić, że jesteśmy niezbyt daleko od momentu (a chyba jeszcze go nie przekroczyliśmy), w którym przyrost naturalny zacznie równoważyć ubytek²⁷.

Z tego punktu widzenia Polonia brytyjska zdaje się wchodzić w okres stabilizacji. Tym bardziej, że z obserwacji wynika, iż większość Polonii brytyjskiej zdecydowała się już pozostać na stałe w W. Brytanii, i emigracja „wtórna” obejmuje niezbyt wysoką liczbę z roczników głównie młodszych. Repatriacja do

27. Rozumowanie to można oprzeć na następujących przesłankach cyfrowych:

W latach 1955-58 „absolutny” ubytek można obliczać na około 8.500 osób, odejmując od sumy ubytku obywateli polskich sumę Polaków naturalizowanych. Dla poszczególnych lat obraz będzie następujący:

Rok	ubytek obywateli polskich	ilość naturalizacji	różnica
1955	4.784	1.800	2.984
1956	4.477	1.676	2.801
1957	2.930	1.962	968
1958	3.342	1.746	1.596

Przeciętny spadek roczny wynosi więc za te lata około 2.100 osób. Jeśli przyjmiemy, że w latach 1945-58 urodziło się 16.000 dzieci polskich, to otrzymujemy przeciętny przyrost roczny — ok. 1.100 dzieci. Zakładając, że tendencja zniżkowa przy cyfrach ubytku będzie miała miejsce nadal, i zakładając, że przyrost naturalny z każdym rokiem będzie się nieco zwiększał, możemy się spodziewać, że w przeciągu 5 lat nastąpi wyrównanie.

Oczywiście, jeżeli poddać w wątpliwość cyfrę szacunkową dzieci, obraz zmieni się w jedną lub drugą stronę. Na podstawie danych i obserwacji z różnych poszczególnych skupisk, gotowibyśmy jednak twierdzić, że ilość dzieci jest większa raczej niż mniejsza.

Polski za ostatnie lata jest zupełnie znikoma. Ponieważ nie wydaje się, aby w najbliższych latach zaistniały możliwości jakiegos masowego powrotu do Polski, szanse takiego odpływu na dalszą przyszłość z każdym dniem maleją.

Ogólnie więc biorąc, Polonię brytyjską trzeba uznać za osiedlenie stałe.

Trzeba zaznaczyć, że brak danych statystycznych niezmiernie utrudnia jakąkolwiek analizę socjologiczną; większość cyfr, to cyfry szacunkowe. Dlatego też ten rozdział ma głównie za zadanie (oprócz zebrania wspólnie tych cyfrowych danych, które istnieją) pobudzić badaczy polskich a także odpowiednie instytucje do zajęcia się tym problemem. Zdajemy sobie sprawę, że mogliśmy w tym rozdziale popełnić niejedną pomyłkę. Niestety na to nie było rady.

Dotychczasowy brak zainteresowania danymi liczbowymi Polonii brytyjskiej źle świadczy o jej samo-świadomości *).

*) Jak w wielu innych wypadkach, luki wypełnia praca jednostki: mamy na myśli „Roczniki Polonii”, opracowywane i wydawane przez B.O. Jeżewskiego. W „Rocznikach” autor próbował zebrać i zestawzić niektóre cyfry dotyczące Polonii Brytyjskiej; zawierają one ponadto informacje o życiu polskim i jego formach organizacyjnych, adresy firm, instytucji, oraz swego rodzaju „who is who” wraz z adresami. P. Jeżewski przystąpił obecnie do opracowania wydawnictwa jeszcze ambitniejszego, „Who is Who among the Poles in the British Commonwealth”, po angielsku. Jest to praca niezwykle żmudna, ale również bardzo potrzebna.

FORMY ŻYCIA SPOŁECZNEGO

Większa część tej książki poświęcona jest formom życia społecznego emigracji. W części reportażowej o tych sprawach mówiliśmy opisowo, posługując się konkretnymi, własnymi obserwacjami. Ale i tam dotykaliśmy problemów bardziej ogólnych, chociażby poprzez relację zasłyszanych opinii. Obecnie problematykę tę spróbujemy uporządkować w jakiś możliwie czytelny schemat, biorąc za szkielet istniejącą strukturę organizacyjną.

W teorii, organizmem nadrzędnym i szczytem hierarchii organizacyjnej jest Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii. „Przegląd Społeczny”, powielany organ Zjednoczenia, nazywa tę instytucję „rodzajem parlamentu, który ma za zadanie stać na straży prawidłowego funkcjonowania naszego życia społecznego”. „Parlament” ten ma być forum międzyorganizacyjnym „do wymiany poglądów i doświadczeń, służy potrzebom ustalania hierarchii zadań, udziela zbiorowego poparcia ważniejszym poczynaniom, uzgadnia i koryguje zamierzenia, jest naczelną reprezentacją całości życia społecznego”.

Przy takich założeniach koniecznym warunkiem efektywności związku jest jego powszechność. Brak poparcia ze strony paru silnych organizacji czy instytucji, od razu stawia użyteczność Zjednoczenia pod znakiem zapytania. Spis z końca 1958 roku wymienia 41 stowarzyszeń-członków: Podajemy całą listę:

Stowarzyszenie Techników Polskich w W. Brytanii,
Związek Rzemieślników i Robotników Polskich w W. Brytanii — dwa
odłamy,
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów — Oddział W. Brytanii,
Stowarzyszenie Lotników Polskich,
Samopomoc Marynarki Wojennej,

Związek Harcerstwa Polskiego,
 Koło b. Żołnierzy Armii Krajowej,
 Zrzeszenie b. Pracowników Rządu R.P.,
 Związek Inwalidów Wojennych PSZ,
 Związek Lekarzy Polskich na Wychodźstwie,
 Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego za Granicą,
 Stowarzyszenie Ekonomistów Polskich w Zj. Królestwie,
 Związek Dziennikarzy R.P.,
 Związek Artystów Scen Polskich,
 Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie,
 Związek Farmaceutów Polskich poza Granicami Kraju,
 Zrzeszenie Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich,
 Zjednoczenie Polek na Emigracji,
 Zrzeszenie Sędziów i Prokuratorów R.P.,
 Stowarzyszenie Prawników Polskich w Zjedn. Królestwie,
 Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych,
 Zrzeszenie Kooperatystów Polskich w W. Brytanii,
 Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży,
 Związek b. Jeńców z Niewoli Niemieckiej,
 Polski Związek b. Więźniów Politycznych,
 Związek Ziemi Południowo-Wschodnich,
 Związek Ziemi Północno-Wschodnich,
 Związek Polskich Ziemi Zachodnich,
 Towarzystwo Oświaty Powszechnej,
 Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego,
 Związek Polskich Spadochroniarzy,
 Polska Macierz Szkolna,
 Polish University College Association Ltd.,
 Fundusz Oświaty Polskiej,
 Osiedle Delamere Park,
 Osiedle Melton Mowbray,
 Osiedle Husbands Bosworth,
 Polskie Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych,
 Związek Polskich Klubów Sportowych,
 Zjednoczenie Polskie w Manchester,
 Koło Polaków w Rugeley i Okolicy.

Drobnie zmiany w składzie Zjednoczenia następują z roku na rok. Od 1958 odpadły dwa osiedla hostelowe a przybyło Zjednoczenie w Bradford, Derby i Leicester. Nie dają już znaku życia: Zrzeszenie b. Pracowników Rządu R.P., Stowarzyszenie Ekonomistów, Zrzeszenie Kooperatystów Polskich i inne. Spis organizacji członkowskich brzmi jednak wciąż imponująco, ale ciągle też wykazuje dość poważne luki. Nie chodzi o drobne, ekscentryczne związki, jak Związek Filatelistów; nie wydaje się też ważna — choć trudna do zrozumienia — nieobecność organizacji takiej jak Związek Rolników. Natomiast kłopotliwy jest już fakt, że wiele lokalnych Komitetów Koordynacyjnych woli pozostać poza ramami Zjednoczenia. Największym jednak ograniczeniem w pracy Zjednoczenia jest zupełny brak przedstawicielstwa organizacji religijnych, które przecież w życiu społecz-

nym emigracji odgrywają rolę pierwszorzędą. Nie reprezentowane są ani parafie, ani organizacje typu Akcji Katolickiej.

Od paru lat Zjednoczenie czyni wysiłki, by ze związku centrali, istniejących w Londynie, przekształcić się, przynajmniej częściowo, w związek organizacji terenowych, pokrywających równomierną siatką całą Wyspę. Nawołuje się do tworzenia Komitetów Porozumiewawczych. Według regulaminu „do Międzyorganizacyjnego Komitetu Porozumiewawczego mogą należeć: a) lokalne ogniwa organizacji członkowskich Zjednoczenia Polskiego, i inne organizacje lokalne, odpowiadające warunkom art. 11 statutu Zjednoczenia”. (Art. 11 reguluje sprawy członkostwa); b) instytucje zaproszone do współpracy przez Międzyorganizacyjny Komitet Porozumiewawczy”.

Jak na razie, rezultaty tej akcji nie są imponujące. Tylko cztery ośrodki zreorganizowały się według tych zaleceń i stały się członkami Zjednoczenia (Manchester, Bradford, Derby i Leicester).

Samorodne Komitety Koordynacyjne niechętnie rezygnują z samodzielności na rzecz centrali, zapewne działa tu też niechęć i podejrzliwość „terenu” wobec „centrali”. Autorytet Zjednoczenia w oczach prowincji nie jest na tyle duży, by presja z Londynu miała jakąkolwiek wagę.

Pracami Zjednoczenia kierują Rada i Zarząd. Rada Zjednoczenia „składa się z przedstawicieli organizacji, należących do Zjednoczenia i delegowanych na mocy uchwał władz organizacji. Organizacjom, liczącym do 1.000 członków, przysługuje prawo wyznaczenia jednego przedstawiciela, organizacjom liczącym do 5.000 członków przysługuje prawo wyznaczenia dwu przedstawicieli, organizacjom liczącym ponad 5.000 członków — trzech przedstawicieli”. Rada wybiera własnego przewodniczącego i zbiera się co najmniej trzy razy do roku. W obradach mogą brać udział, bez prawa głosowania, członkowie Zarządu. Do kompetencji Rady należy (cytujemy znów według statutu):

- a. ustalanie kierunku działalności Zjednoczenia w okresie między Walnymi Zjazdami;
- b. wydawanie opinii w sprawach przedstawionych przez Zarząd lub z własnej inicjatywy;
- c. czuwanie nad wykonywaniem przez Zarząd uchwał Walnego Zjazdu;
- d. składanie Walnemu Zjazdowi uwag o działalności Zarządu;
- e. przyjmowanie, skreślanie i wykluczanie organizacji członkowskich Zjednoczenia;
- f. uchwalanie preliminarza budżetowego Zjednoczenia i ustalanie skali wysokości składek na rzecz Zjednoczenia;
- g. zatwierdzanie sprawozdań Zarządu z wykonania budżetu”.

Doroczny Walny Zjazd wybiera Zarząd, w składzie prezesa i 10 członków. Zarząd wyłania ze swego grona trzech wiceprezesów, sekretarza generalnego i skarbnika, a w razie potrzeby ma prawo, za zgodą Rady, kooptacji dalszych czterech członków. Posiedzenia Zarządu powinny się odbywać co najmniej raz na miesiąc.

Kompetencje Zarządu statut określa następująco:

- a. kierowanie działalnością Zjednoczenia;
- b. wykonywanie uchwał Walnego Zjazdu;
- c. występowanie w imieniu Zjednoczenia we wszystkich sprawach będących przedmiotem jego działalności;
- d. koordynowanie prac zrzeszonych organizacji, w zakresie zadań Zjednoczenia;
- e. powoływanie w miarę potrzeby komisji stałych lub czasowych, delegatur oraz takich instytucji, które ułatwiają realizację zadań Zjednoczenia".

Szczególnie ważny jest tu punkt ostatni. Rozwija go szerzej art. 34, który stwierdza: „W zakresie spraw kulturalno-oświatowych, opieki społecznej, koordynacji prac organizacji społecznych statutem, są też komisja czasowe powoływane do wypomocy stałych komisji: Kulturalno-Oświatowej, Opieki Społecznej, Koordynacji Prac Organizacji Społecznych w Terenie i Finansowo-Gospodarczej”. Obok tych komisji stałych, określonych statutem, istnieją też komisje czasowe powoływane do wykonania zadań specjalnych. W roku 1958 działały: Komisje: Studiów, Organizacyjna, Zbiórek Publicznych, Pomocy Dzieciom Polskim w Niemczech oraz powołane przez Radę Kulturalno-Oświatową sekcje Biblioteczna i Artystyczna.

W instytucji o założeniach takich jak Zjednoczenie, komisje są niewątpliwie najbardziej właściwą formą pracy. Zarząd (i — w mniejszym stopniu — Rada), zajmuje się sprawami ogólnej administracji i rozdziela, klasyfikuje problemy; robota konkretna i konstruktywna, wykonywana jest w komisjach. Poniżej po krótko scharakteryzujemy tę pracę, opierając się na danych z końca 1958 i z 1959 roku.

Komisja Koordynacji Opieki Społecznej poza koordynowaniem prac na tym odcinku, zajmuje się też bezpośrednio opieką nad chorymi. Zajmuje się tym sekretarka komisji i dwóch tzw. opiekunów społecznych. Trójka ta odwiedza chorych Polaków w szpitalach i domach prywatnych, a czasami, np. w okresie Bożego Narodzenia, rozsyła swym podopiecznym paczki. Środki na tę akcję zdobywa komisja drogą zbiórek w parafiach polskich w Londynie i na prowincji i w niektórych lokalach polskich oraz z dotacji organizacji członkowskich. W roku budżetowym

1957-58 wpływy wyniosły £ 434.19.4. W roku 1958-59 dość smutną sytuację finansową poprawiła dotacja 500 dolarów z Legionu Młodych Polek z Chicago. Ogólnie jednak biorąc, wpływy wykazują tendencje zniżkowe, podczas gdy problem ma coraz to większe rozmiary. Zwiększają się szczególnie liczby znie-doleżniałych starych ludzi, nie koniecznie chorych, którzy nie trafiają do szpitala, a przecież potrzebują opieki. Komisja znajduje się właściwie w impasie.

Na nieco innych zasadach opiera się działalność Komisji Pomocy Dzieciom Polskim w Niemczech. Rola komisji ograniczona jest praktycznie do przeprowadzenia zbiórki i skierowania pieniędzy w odpowiednie kanały. Zbiórka publiczna w roku 1957-58 dała £ 530.13.5: z roku poprzedniego pozostało w kasie £ 720.8.10., co w sumie wyniosło £ 1251.2.3. £ 507.10.0. wypłacono z tego Komisji Oświatowej Polskich Uchodźców w Niemczech, po £ 253.15.0. otrzymało Zjednoczenie Polek (dla Sekcji Pomocy Dzieciom Polskim w Niemczech) i Polska Macierz Szkolna (Koło Pomocy Szkołom w Niemczech i Austrii), £ 115.0.0. przesłano Związkowi Polaków w Austrii. Z inicjatywy Komisji, PMS i Zjednoczenie Polek, które poprzednio przeprowadzały osobne zbiórki na ten sam cel, zgodziły się połączyć siły i w roku 1958-59 przeprowadzić jedną, wspólną akcję.

Rada Kulturalno-Oświatowa do roku 1958 ograniczała się do koordynacji prac w swym dziale. W okresie, o którym mówimy, wprowadzono nową formę działania: małe zespoły-sekcje, powoływane dla wykonania konkretnych zadań. Poza tymi sekcjami, komisja pracowała po staremu.

W sprawozdaniu rocznym Rada wymienia następujące działy pracy kulturalno-oświatowej i organizacje, współpracujące w ramach komisji:

1. utrzymywanie i dalsza rozbudowa istniejących Szkół Ojczystych: Polska Macierz Szkolna, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży, Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego za granicą, Parafie Polskie, Koła Rodzicielskie;
2. organizowanie bibliotek powszechnych i czytelnictwa. Działalność tą koordynuje sekcja biblioteczna. Współpracują organizacyjnie: Centrala Bibliotek Ruchomych, SPK, Towarzystwo Pomocy Polakom, Polska YMCA;
3. rozbudowa amatorskich kół teatralnych, śpiewaczych i muzyczn.: SPK Instytut Polskiej Akcji Katolickiej, Związek Chórów Polskich, Polska YMCA, Związek Harcerstwa Polskiego;
4. tworzenie kół, klubów, zespołów młodzieży i współpraca z nimi. SPK, IPAK, Związek Polskich Klubów Sportowych, Polska YMCA, TPDM, ZHP;
5. organizowanie świetlic: SPK, ZHP, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Koła Młodzieży;

6. organizowanie oświaty pozaszkolnej dla młodzieży i dorosłych: SPK, ZHP, IPAK, ZNPZ, YMCA, Związek Robotników i Rzemieślników Polskich, TPDM, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Związek Artystów Scen Polskich;
7. prowadzenie Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego z zakresu przedmiotów: J. polski, historia i geografia Polski dla młodzieży uczęszczającej do brytyjskich szkół powszechnych i średnich, oraz przygotowawczy kurs z języka polskiego jako przedmiotu do matury angielskiej: Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego za Granicą;
8. realizacja planu oświatowego w organizacjach kobiecych: Zjednoczenie Polek na Emigracji;
9. organizowanie kolonii letnich dla dzieci i młodzieży: ZHP, PMS, Parafie Polskie, Koła Rodzicielskie;
10. utrzymywanie Bursy Polskiej dla Chłopców i Domu Dziecka Polskiego: TPDM;
11. wydawnictwa materiałów oświatowych dla dzieci, młodzieży i dorosłych PMS — „Wychowanie Ojczyste”; PMS i Zjednoczenie Polskie „Dziatwa”; Polska YMCA — „Poradnik Kulturalno-Oświatowy” (obecnie już nie wychodzi).

Imponująca ta lista daje na ogół realny obraz zorganizowanej pracy w dziedzinie oświatowo-kulturalnej na emigracji, ale w niektórych wypadkach ze Zjednoczeniem ma związek bardzo luźny. Niektóre z wymienionych inicjatyw nie wychodzą poza ramy jednej z organizacji członkowskich i nawet kwestia koordynacji nie wchodzi w grę.

Poza tymi bardzo ogólnymi kontaktami z pracą w „terenie” Rada zorganizowała w roku sprawozdawczym cztery zebrania dyskusyjne, poświęcone zagadnieniom a) ogólnoprogramowym, b) używania podręczników szkolnych z Kraju, c) projektowi powołania sekcji artystycznej przy Radzie K.O., d) młodzieży polskiej w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie (Odczyt Z. Szadkowskiego).

W roku 1958 Rada K.O. powołała do życia dwie sekcje: biblioteczną i artystyczną. Przewodniczącym sekcji obrano kierownika Centrali Bibliotek Ruchomych, p. M. Stopę. Zadaniem sekcji ma być „zrzeszenie pracowników bibliotecznych wszystkich instytucji polskich na obszarze W. Brytanii i wypracowanie programu propagandy i sposobów upowszechniania książki polskiej na obczyźnie”. Konkretnym zadaniem na pierwszy okres działalności miało być przeprowadzenie rejestracji wszystkich bibliotek oświatowych na terenie W. Brytanii i organizowanie bibliotek przy szkołach nauczania przedmiotów ojczystych.

W ramach tej akcji Centrala Bibliotek Ruchomych rozsyłała setki ulotek z informacjami, w jakiej formie korzystać można z jej usług. Centrala Bibliotek Ruchomych całkowicie zmajoryzowała działalność sekcji bibliotecznej. „Przegląd Społeczny” z czerwca 1959 roku mówi już tylko o Centrali, która w tym

okresie właśnie obchodziła dziesięciolecie swego istnienia. Biblioteka posiada obecnie 35.500 tomów, a korzysta z niej ponad 10.000 czytelników. Rozwój tej instytucji umożliwiły subsydia brytyjskich władz oświatowych.

Sekcja artystyczna, która w swym programie miała między innymi poradnictwo w dziedzinie pracy artystycznej, wydawanie biuletynu i stworzenie własnej kostiumerii, za swe pierwsze i najważniejsze zadanie uznała zorganizowanie teatru dla dzieci. Z inicjatywy sekcji powstał Komitet Teatru dla Dzieci, w skład którego weszli przedstawiciele 17 organizacji społecznych. Inicjatywa ta jest chyba najbardziej pozytywnym i wymownym przykładem użyteczności Zjednoczenia. W roku 1959 teatr wystawił dwie sztuki: „Kot w Butach” i „Powrót Pana Twardowskiego” i pod kątem widzenia frekwencji okazał się imprezą całkowicie udaną. Na siedmiu przedstawieniach „Kota w Butach” było ok. 2600 widzów, w tym ok. 1800 dzieci w wieku od lat 5 do 12. Warto zanotować fakt, że stan szkół sobotnich Londynu i najbliższej okolicy wynosi około 1500 dzieci, z czego wynika, że pewna ilość dzieci obecnych na widowisku, nie jest objęta nauczaniem przedmiotów ojczystych. Dwa wypadki na prowincję, do Wolverhampton i Manchester, były także, pod względem frekwencji i zainteresowania, imprezami całkowicie udanymi.

Mimo jednak oczywistego zapotrzebowania na tego rodzaju spektakle, Teatr dla Dzieci stoi przed poważnymi trudnościami natury finansowej i organizacyjnej; brak jest sali i sceny, stosownej dla tego typu przedstawień. Wynajem sali opłacać trzeba niezwykle wysokimi cenami biletów. Na subsydia nie ma nadziei.

Inicjatywą Komitetu K.O. o podobnym nieco charakterze była wystawa prac dzieci polskich, która miała miejsce w Instytucie Sikorskiego od 13 do 21 czerwca 1959, pod hasłem „Będziemy Polakami”. Była to druga tego rodzaju impreza; w roku 1958 Polska Macierz Szkolna przy współpracy dodatku dla dzieci w „Dzienniku Polskim” zorganizowała wystawę pt. „Jak Piszą Nasze Dzieci”. Tym razem wystawę organizowano pod egidą Zjednoczenia, które powołało w tym celu Komitet, składający się z przedstawicieli zainteresowanych organizacji. Na wystawie, nawiasem mówiąc, miał też swe stoisko Teatr dla Dzieci.

Komisja Organizacyjna pracowała w roku 1958 nad rewizją i uzupełnieniem Statutu. Opracowano „Regulamin Międzyorganizacyjnych Komitetów Porozumiewawczych”, który służyć miał jako wzorzec dla „zjednoczeń” lokalnych i uprawniał je do członkostwa w Zjednoczeniu centralnym. Nowa forma człon-

kostwa pociągała za sobą konieczność drobnych zmian w statucie, sformułowanych przez Komisję.

Walny Zjazd z 1957 roku obarczył Zjednoczenie zadaniem uregulowania kalendarzyka zbiorów publicznych. Do tego czasu panowała w tej dziedzinie zasada *laissez faire*, skutkiem czego organizacje często wchodziły sobie w drogę, a ludzie narzekali na ilość zbiorów. Zarząd do uregulowania tej sprawy powołał specjalną komisję, która w pocie czoła i burzliwie pracowała przez z górą rok. W końcu jednak opracowano i ogłoszono uzgodniony Kalendarzyk Zbiorów Publicznych na rok 1959, który podajemy w całości: maj — „Dar Narodowy 3 Maja” na cele oświatowo-szkolne: 8-14 czerwiec — Tydzień Lotnika Polskiego; lipiec — „Pomoc Dzieciom Polskim”, przy współpracy Komisji Pomocy Dzieciom Polskim w Niemczech, Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży i Zjednoczenia Polek na Emigracji¹; 15 sierpień — 11 wrzesień „Miesiąc Inwalidy”; 1-15 listopada „Zbiórka z Okazji Święta Niepodległości” na cele oświatowo-wychowawcze, szkolnictwa wyższego i nauki polskiej na obczyźnie (PMS, FOPZ, Fawley Court, ZHP); 16 listopada — 15 grudzień — Komisja Koordynacji Opieki Społecznej, na paczki gwiazdkowe dla chorych i opiekę nad chorymi.

Ostatnia z Komisji, Komisja Studiów, powstała także w wyniku uchwały Walnego Zjazdu z 1957 roku. Zadaniem jej było przeprowadzenie studium na temat: a) struktury życia społecznego w W. Brytanii, b) potrzeby i możliwości powołania powszechnej organizacji społecznej, c) potrzeby i możliwości przeprowadzenia wyborów powszechnych do reprezentacji społecznej uchodźstwa polskiego w W. Brytanii. Wyniki prac tej komisji stanowiąc będą materiał rozważań ostatniej części obecnego rozdziału.

Wydaje się nam, że krótkie i suche streszczenie rocznej działalności Zjednoczenia daje lepszy obraz organizacji, niż założenia, statut i drętwa mowa referatów programowych (które normalnie stanowią sporą część numerów „Przeglądu Społecznego”). Pod pokrywką owej „drętwej mowy” kryje się organizacja pożyteczna, konieczna nawet przy obecnej strukturze życia społecznego. Luźność form Zjednoczenia w obecnej sytuacji jest zaletą raczej niż wadą, stanowi o elastyczności tej instytucji. Jej słabością jest natomiast fakt bojkotu przez niektóre organizacje i ośrodki, w szczególności, jak już mówiliśmy, przez parafie

1. Zastanawiające jest, że połączona zbiórka na dzieci dała mniej, niż przedtem zbiórki osobne.

i organizacje katolickie, oraz wyraźna dominacja ludzi z politycznego obozu Zjednoczenia. Do tych spraw jeszcze wrócimy.

S.P.K.

Zjednoczenie ogranicza się w zasadzie do koordynacji działalności różnych organizacji w wypadkach kiedy taka koordynacja jest wyraźnie potrzebna. Nie ma ono własnego aparatu i nie może mieć w swej obecnej formie ambicji organizowania Polonii brytyjskiej bezpośrednio. Ambicje takie i środki po temu ma natomiast Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, największa i najważniejsza z organizacji członkowskich Zjednoczenia. Według danych z 31.3.1960 na terenie W. Brytanii istniało 111 kół SPK zrzeszających łącznie 6754 Polaków. Życie organizacji skupia się głównie w 26 „Domach Kombatanta”, rozrzuconych po całej Wyspie. Domy te są głównym źródłem siły SPK. Nie tylko dlatego, że tworzą bazę ekonomiczną dla działalności organizacji ale i dlatego, że są ogniwami sieci, związanej z centralą w Londynie.

Poniżej podajemy kompletny spis miejscowości, w których domy te się znajdują:

Bradford, Bridgwater, Bristol, Chorley, Coventry, Dundee, Edinburgh, Falkirk, Forres, Glasgow, Gloucester, Halifax, Huddersfield, Kidderminster, Kircaldy, Leicester, Londyn, Manchester, Mansfield, Newcastle, Perth, Preston, Scunthorpe, Sheffield, Swindon, Worcester.

Innym atutem SPK jest kombatantski charakter organizacji. SPK uważa się za prawnego spadkobiercę Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i PKPR'u. Nie jest to pretensja całkowicie bezpodstawna. Organizacja przejęła część majątku powojkowego a w głośnym procesie o zamrożone „włoskie” sumy 2 Korpusu występowała jako strona i proces wygrała. Istniejące precedensy oznaczają, że Anglicy praktycznie uznali status prawny SPK.

Konkretne przykłady pracy kół i klubów w terenie daliśmy w reportażowej części książki (Edinburgh, Glasgow, Manchester itd.). Obecnie obraz ten zamierzamy podbudować danymi w cyfrach oraz przeprowadzić wykres nie tyle rozwoju, ile degeneracji SPK na przestrzeni ostatnich lat.

Członkostwo organizacji stale spada i to w tempie, które nie da się wytłumaczyć przyczynami naturalnymi: śmiercią lub dalszą emigracją. Poniżej podajemy tabelę ilustrującą ten spadek w latach 1951-1960, z uwzględnieniem podziału na hostele i osiedla, Londyn i inne miasta.

<i>data</i>	<i>hostele i osiedla</i>		<i>Londyn</i>	<i>miasta</i>		<i>razem</i>		
	kół-członków		kół-członków	kół-członków		kół-członków		
31.III.1951	111	5571	(brak danych)	91	9620	202	14510	
31.III.1952	90	3391	„	93	8796	183	12187	
31.III.1953	74	3192	„	91	8416	165	11608	
31.III.1954	55	2450	18.	2600	82	5450	155	10500
31.III.1955	51	2100	17	2300	83	5900	151	15300
31.III.1956	37	1512	18	2466	81	6339	136	10327
31.III.1957	31	1000	18	2435	81	5882	129	9317
31.III.1958	25	768	16	2008	78	5203	119	7979
31.III.1959	18	520	18	2086	76	4671	112	7277
31.III.1960	12	393	(brak danych)	99	6361	111	6454	

W przeciągu 8 lat stan organizacji zmniejszył się prawie o połowę². Ubytek w poszczególnych latach wynosił: w 1952 — 2323, w 1953 — 579, w 1954 — 1108, w 1955 — 500, w 1956 — + 27 (choć nie można mieć pewności, że chodzi tu o rzeczywisty przybytek. Liczby z 1955 są wyraźnie zaokrąglone, przybliżone), w 1957 — 1010, w 1958 — 1338, w 1959 — 702. Ciekawy jest fakt, że w latach 1955-56 stan członków wykazywał tendencje do stabilizacji, by spaść znów ostro w ostatnich latach. W latach 1951-52 spadek częściowo tłumaczy dość liczna emigracja zamorska, szczególnie z hosteli. W miarę jak intensywność emigracji słabła, ubytek w hostelach był prawie równoważony rozwojem organizacji w miastach, do których ludność hostelowa się przenosiła. Od 1956 jest to jednakże spadek bezwzględny, zbyt ostry, by go tłumaczyć można naturalnymi zjawiskami i wynikający raczej z jakiejś organicznej słabości organizacji. Obecnie członkowie tej najpotężniejszej na terenie W. Brytanii polskiej organizacji społecznej stanowią poniżej 6 procent społeczności polskiej.

Spadek członkostwa dotyczy tylko kół, jednej z form działalności SPK, twierdzić można, że nie najważniejszej. Użyteczność społeczna Domów Kombatanta jest często o wiele szersza niż samych kół. Domy te są czasem siedzibą także i innych organizacji, korzystają z nich nawet osoby całkiem niestowarzy-

2. Dodać trzeba, że cyfry z pierwszych paru lat nie są całkowicie wiarygodne. W kółkach na porządku dziennym było zaokrąglanie stanów w górę. Nie skreślano też prawie nigdy członków „martwych”, tzn. nie płacących składek i nie biorących udziału w życiu organizacji. Ścisłe są dopiero dane za ostatnie 4-5 lat, z zastrzeżeniem, że około 30-35 procent stanów to członkowie nie płacący składek, większość których od organizacji prędzej lub później odpadnie. Zasadą jest, by nie dopuścić do zwiększenia się tej proporcji. Co roku skreśla się więc z list pewną ilość nazwisk członków całkowicie już „martwych”.

szone. Nie można więc oceniać stanu posiadania SPK, nie biorąc pod uwagę domów.

Kiedy w okresie demobilizacji SPK przejmowało majątek po-wojskowy dla zarządzania majątkiem powołano do życia przedsiębiorstwo PCA Limited (*Polish ex-Combatants Association Ltd.*). Rozdzielono w ten sposób pracę czysto społeczną od gospodarczej, stworzono dwoistość w strukturze organizacji, która przetrwała do dzisiaj. Formalnie PCA Ltd. związane jest z organizacją społeczną tylko na najwyższym szczeblu hierarchii; Zjazd Światowy SPK wybiera Radę Główną na trzy lata. Rada jest dysponentem w sprawach gospodarczych, i wyłania władze. Z punktu widzenia prawa, Rada Główna jest walnym zebraniem akcjonariuszy. Majątek należy do Stowarzyszenia jako całości, które z kolei oddaje go w administrację PCA Ltd. Z urzędu do spółki wchodzi prezes, sekretarz generalny i wiceprezes³. Na szczeblu komórki lokalnej kierownik Domu Kombatanta, jako funkcjonariusz przedsiębiorstwa, jest całkowicie niezależny od lokalnego koła SPK i odpowiedzialny jedynie przed centralą w Londynie i częściowo przed członkami miejscowego klubu Domu.

Istnieje zasada — o ile nie zawarto umowy specjalnej — że jedną trzecią czystego zysku z Domu otrzymuje lokalne koło, dwie trzecie odprowadzane jest do Zarządu głównego. Rentowność Domów Kombatanta jest dla organizacji sprawą zasadniczą. Rentowność ta oparta jest w pierwszym rzędzie o wpływy z baru, w mniejszym stopniu o restaurację. Wydawać by się mogło, że wraz ze wzrostem zamożności Polaków, rosną obroty Domów. W rzeczywistości rzecz się ma odwrotnie. Wprawdzie okresowe wahania gospodarcze, przejściowe zaciskanie pasa, odbija się na obrotach bezpośrednio, ale na przestrzeni ostatnich lat dwunastu zyski domów wykazują stale tendencje zniżkowe, mimo stopniowego dorabiania się emigracji. W pierwszych latach po demobilizacji (lub przyjeździe z obozów niemieckich), samotni często i nieurządzeni jeszcze Polacy, przepijali dużą część swych zarobków. Obecnie są znacznie wstrzemięźliwsi. Ci, co założyli rodziny, o wiele rzadziej zaglądają do klubu, a jeśli nawet przyjdą, rozmawiają przeważnie przy jednym, dwu kieliszkach, zamiast, jak kiedyś, przy butelce. W wielu wypadkach sytuację komplikuje jeszcze otwarcie gospody konkurencyjnej czy to prywatnej, czy parafialnej, czy należącej do jakiejś innej organizacji

3. Od walnego zebrania Oddziału W. Brytania w Manchester w sierpniu 1960, gospodarczy i społeczny aspekt organizacji związany jest możliwie najsilniej personalnie, w osobie p. S. Soboniewskiego, płatnego kierownika PCA Ltd., który objął także honorową funkcję prezesa oddziału SPK.

społecznej. W takich wypadkach wąski margines zysku znika, dom staje się deficytowy, co w dalszej konsekwencji przeważnie prowadzi do jego likwidacji. Zarząd Główny bowiem prowadzi gospodarke ostrożną i oszczędną i w zasadzie nie bierze pod uwagę możliwości subsydiowania domów deficytowych, choć społecznie użytecznych.

Rozmiary problemu zilustrują najlepiej cyfry porównawcze za lata budżetowe 1957/58 i 1958/59, a więc lata stosunkowo „tłuste”. Według sprawozdania z 1957/58 zysk brutto z 21 Domów Kombatanta wynosił £ 34.952; w 1958/59 zysk brutto z 26 Domów wynosił £ 35.186, a więc prawie tyle samo. Połączone zyski kół i Zarządu Głównego w 1957/58 wyrażają się sumą £ 2.856, straty Domów deficytowych £ 2.623. Za rok 1958/59 cyfry te wynoszą £ 2.314 dla połączonych zysków i £ 1.572 dla strat. Mimo więc większej ilości domów spadły zyski, ale udało się też zmniejszyć deficyty. Porównajmy to z cyframi z 1954/55 roku, kiedy czysty zysk z 15 Domów wyniósł £ 2.156, a deficyty wszystkiego £ 137.

Na przykładzie kilku reprezentatywnych, dużych klubów, widać jeszcze wyraźniej pogarszanie się sytuacji gospodarczej. Poniżej podajemy tabelkę porównawczą z lat 1957/58 i 1958/59 z sześciu takich domów. (Pierwsza kolumna każdej pozycji dotyczy roku 1957/58, druga — 1958/59.

Dom	Zysk brutto suma wydatków				zysk koła		zysk Z. Gl.		straty	
Bradford	3187	2753	2638	2406	142	83	407	264	—	—
Chorley	1144	1023	820	855	108	56	216	112	—	—
Falkirk	2528	2850	1903	2687	208	54	417	109	—	—
Kirkaldy	1414	2035	1414	1642	—	131	—	262	—	—
Leicester	819	1222	1598	1579	—	—	—	—	779	357
Manchester	9003	7252	8524	7252	—	—	479	—	—	—

Z sześciu Domów właściwie tylko Kirkaldy wykazało rzeczywistą poprawę (jako że zmniejszony deficyt w Leicester trudno wciąż uznać za oznakę zdrowia)⁴. Nie jest to zestawienie tendencyjne. Kirkaldy i Sheffield to jedyne dwa kluby, które w ciągu

4. Rok sprawozdawczy 1959-60 był, ogólnie biorąc, rokiem dobrym i częściowo zahamował postępowy spadek obrotów. Oto cyfry dla tych samych domów.

Dom	zysk brutto	suma wydatków	zysk koła	zysk Z. Gl.	straty
Bradford	3307	2376	276	655	—
Chorley	1003	958	15	30	—
Falkirk	2805	2334	157	314	—
Kirkaldy	1777	1585	64	128	—
Leicester	1170	1540	—	—	370
Manchester	7248	6936	—	312	—

roku poprawiły swą sytuację gospodarczą w wyraźny sposób. Z dwudziestu sześciu Domów, objętych sprawozdaniem z 1958/59 roku tylko sześć powiększyło swe obroty (z tych sześciu — dwa, Leicester i Swindon, pozostały placówkami deficytowymi). W dwudziestu pozostałych obroty spadły.

Tak więc stopniowe, postępowe zmniejszanie się obrotów łatwo jest zauważyć nawet na przestrzeni roku. Stwierdzić tu trzeba, że dość powszechne na emigracji przekonanie, że SPK jest organizacją niezmiernie bogatą, jest właściwie mitem. Oczywiście, SPK rozporządza znacznym majątkiem, ale majątek ten zainwestowany jest w przedsiębiorstwach, których opłacalność jest dziś minimalna. Budżet organizacji napięty zawsze jest do tego stopnia, że wycofanie stosunkowo drobnej nawet sumy, jest niezmiernie trudne. Nie łatwo jest też wygospodarować cokolwiek na dalsze inwestycje. Istnieje stały „fundusz inwestycyjny” na który Zarząd przekazuje część swoich zysków z Domów i z istniejącego w Londynie warsztatu PCA Ltd., przerabiającego po-wojskowe radioodbiorniki, stacje nadawcze i różnego rodzaju instrumenty precyzyjne.

W ciągu lat 1956-57, zebrano £ 2.897.6.0. Wydano z tego £ 2.284.11.8, z czego ponad £ 1.200 pochłonęły deficytowe Domy w Wolverhampton, Swindon i Leicester, a resztę zainwestowano w nowo-powstałe kluby w Perth, Halifax i Kidderminster. Zlikwidowano stale nierentowny klub w Wolverhampton, ale pozostawiono deficytowe domy w Swindon, Leicester i Glasgow, w nadziei, że sytuacja ulegnie tam dalszej poprawie.

Wydaje się, że trudno oczekiwać dalszej, znacznej rozbudowy sieci Domów SPK, chociaż obiektywna potrzeba takiej rozbudowy niewątpliwie istnieje. Są jeszcze na Wyspie stosunkowo liczne ośrodki polskie, nie posiadające własnego klubu. Na tym tle dochodzi czasami do nieporozumień pomiędzy kołami terenowymi, a Zarządem Głównym. Natrafiliśmy na jeden z targów tego rodzaju w Bury, pod Manchesterem. Mieszka tam ponad 100 polskich rodzin. Lokalu własnego nie ma. Koło SPK, około 40 członków, oddawna ciułało grosze na ten cel. Nadarzyła się okazja — dom, odpowiedni do celów społecznych za £ 800. Koło zwróciło się do centrali o pożyczkę. Po dłuższej zwłoce Londyn odpowiedział odmownie. Dom kupić Anglik. Łatwo jest wyobrazić sobie rozgoryczenie miejscowych Polaków i ich pretensje do Zarządu Głównego. Innym przykładem jest Manchester, gdzie SPK zaangażowane jest w ambitne plany rozbudowy Domu, największego na terenie wyspy (patrz „Manchester”). Koło nie zgadza się na odprowadzanie zysków z klubu do Zarządu Głównego chcąc czerpać z nich na rozpoczętą przeróbkę ruin

kościół na salę teatralną. Centrala nie ma ochoty zrzec się swojej części dochodów. Jest to nie tyle nieporozumienie, ile autentyczny konflikt interesów. Obydwie strony mają swe silne racje.

Zatargi tego rodzaju podsycają jeszcze istniejącą i tak niechęć „terenu” do centrali. Wśród zarzutów, jakie się „Londynowi” stawia, wiele jest niesłusznych. Marnotrawna, lekkomyślna gospodarka, to sprawa dalekiej przeszłości, nie obciążająca ludzi obecnie kierujących organizacją. Rzeczywiście, po wojnie istniejących wtedy możliwości nie wyzyskano. Zmarnowano wiele powojkowego sprzętu, pieniądze lokowano byle jak, w niestosowne często objekty. Stare te błędy, ciężą na organizacji do dziś. Ale w ramach istniejących obecnie możliwości centrala londyńska zarządza majątkiem SPK całkiem sprawnie, choć bez rozmachu, ostrożnie. Więcej sensu ma już zarzut że Zarząd zbyt zaabsorbowany jest sprawami gospodarczymi, że pracując ciężko już nawet nie nad pomnożeniem, ale nad utrzymaniem majątku, nie wiele ma czasu i energii na realizację właściwych celów organizacji. Na tym tle rodzą się zatargi pomiędzy kołem a kierownikiem Domu. Kierownik, wyznaczany przez Zarząd Główny, reprezentuje w pewnym sensie centralę i już to stawia go w trudniej sytuacji. Mówi się o nim, z niechęcią, że jest płatnym pracownikiem przedsiębiorstwa, a nie działaczem społecznym. Kierownik odpowiada twierdzeniem, że płatny czy nie, spełnia on ważną rolę społeczną, ważniejszą może od zarządu koła. Będąc obecny w Domu cały dzień staje się on instytucją quasi-konsularną. Reprezentuje społeczność polską wobec władz brytyjskich, ma kontakty z policją i magistratem. Zwracają się więc do niego z jednej strony urzędy angielskie przekazując sprawy dotyczące Polaków, z drugiej strony rodacy, którzy nie wiedzą jak wypełnić jakiś formularz, albo którzy nie znają procedury sprowadzania rodzin z Kraju, lub po prostu chcą odszukać krewnego czy znajomego. Nie ma chyba kierownika domu SPK którego rola kończyłaby się na sprawach ściśle gospodarczych.

Mimo to w wielu wypadkach niechęć koła do kierownika łatwo jest zrozumieć. Dualizm organizacji najbardziej dotkliwie daje się odczuć właśnie na szczeblu koła. Gospody SPK istnieją na zasadach klubu, co oznacza, że powołuje się do życia kluby, jako instytucje niezależne od koła. Nie jest konieczne należenie do organizacji, by zostać członkiem klubu. Kierownik jednego z Domów tłumaczył nam, że ludzie niechętni SPK wstępują do klubu bez żadnych oporów. Stwarza to często sytuację paradoksalną. Teoretycznie istnieje wyraźny podział zadań: kluby zajmują się gospodarką, koła działalnością społeczną. Praktycznie podział kompetencji nie jest taki łatwy. Kontrola nad domem,

szczególnie w ośrodkach mniejszych, gdzie jest to jedyny polski lokal, oznacza kontrolę nad środowiskiem i konflikty na tym tle są formą walki o władzę. Naturalna niechęć zarządu koła do kierownika, „człowieka nasłanego” z Londynu, skłania tego ostatniego do szukania oparcia w klubie. Powstaje konflikt koło — klub. Fakt, że przeważnie ci sami ludzie stanowią człon obu organizacji, wcale sytuacji nie poprawia. Stwarza to tylko możliwości manewru i intrygi dla ludzi o temperamentie awanturniczym czy warcholskim. Kierownicy też nie mają łatwego życia. Zdarza się, że nie potrafią dać sobie rady z klubem i, rozgoryczeni, rezygnują z posady.

W ramach obecnej, dwoistej struktury SPK zaradzić tym konfliktom można w sposób trojaki: Komitet klubu, któremu przysługują pewne kompetencje w sprawach administracyjnych, można utożsamić z zarządem koła, tzn. na walnym zebraniu wybrać w całości zarząd Koła. Takie rozwiązanie ma podobno zapewnione błogosławieństwo londyńskiej centrali, i niektóre ośrodki wprowadziły je z powodzeniem. Drugie rozwiązanie jest właściwie herezją. Wprowadził je w życie dr Mglej prezes koła SPK w Edynburgu. Po odejściu kierownika, (ściślej mówiąc, dzierżawcy domu) dr Mglej objął prowadzenie domu sam, rezygnując jednocześnie z wynagrodzenia. Tylko dzięki temu dom, mimo trudnej sytuacji (patrz Edynburg) stał się dochodowy. Formalnie krok taki oznacza, że koło przejmuje klub w dzierżawę od PCA, Ltd. To rozwiązanie nie zawsze jest jednak możliwe i na pewno nie może liczyć na poparcie Zarządu Głównego. Trzecie wreszcie wyjście to wydzierżawienie baru i restauracji prywatnemu przedsiębiorcy. Przekazuje się wtedy ryzyko komu innemu, zapewniając organizacji dochody określonej wysokości. Ale w wypadku gospody potencjalnie dochodowej, w dużym i zamożnym środowisku, istnieje pokusa, by wygospodarować dla organizacji jak najwięcej, podczas gdy w ośrodkach uboższych, gdzie ryzyko jest większe, nie łatwo jest znaleźć dzierżawcę.

Dom SPK jest zawsze ważną placówką, centrum życia społecznego. Rola koła zmienia się zależnie od specyfiki środowiska. W niektórych ośrodkach Koło jest najsilniejszą, a czasem nawet jedyną organizacją społeczną i wtedy jemu przypada rola organizowania życia polskiego; w innych, koło istnieje w cieniu jakiejś bardziej lokalnie rozrośniętej i wpływowej organizacji, która sama zaspakaja ważniejsze potrzeby społeczne środowiska.

Na czoło działalności społecznej kół wysuwa się opieka nad *week-end*'owymi 'szkołami przedmiotów ojczystych'. W 1959 roku 53 szkoły znajdowały się albo pod bezpośrednim nadzorem SPK, albo prowadzone były przez inne organizacje przy współ-

pracy SPK. Tak np. nowopowstałą szkołę na Putney, w Londynie, prowadzi koło SPK nr 11, wspólnie ze Związkiem Oficerów Marynarki Handlowej. Na skutek likwidacji hosteli w porównaniu z rokiem 1958 ubyłoby 8 szkół. Cztery inne szkoły, w Bury, Bedford, Rochdale i Swindon, przeszły całkowicie pod opiekę innych organizacji, a szkoła w Bargoed, w Walii, „zamarła z braku zrozumienia u rodziców”, jak mówi sprawozdanie. Straty te zrównoważone zostały powstaniem, obok wspomnianej już wspólnej inicjatywy na Putney, dwóch nowych szkół w Szkocji, jednej w Glenrothes i wskrzeszeniem starej, zamarłej szkółki w Middlesborough. SPK utrzymuje stałego referenta szkolnego (którym od lat wielu jest zasłużony oświatowiec, L. Bojczuk) i inspektoraty rejonowe. W okresie sprawozdawczym 1958-59 czynne były inspektoraty w Bradford, Dodding-ton, Edynburg, Gloucester, Leeds, Lancaster, Londyn, Manchester i Nottingham. Sprawy nadzoru nad szkołkami reguluje umowa o współpracy pomiędzy SPK i Polską Macierzą Szkolną, chociaż jej wprowadzenie w życie nie zawsze odbywa się bez przykrych starć i sporów. W każdym razie w konferencjach, organizowanych przez PMS dwukrotnie w Londynie i w Swindon, brał udział referent szkolny i grupa nauczycieli ze szkół SPK. Organizowano poza tym konferencje rejonowe: w lipcu 1958 w Newcastle-upon-Lyne, w październiku 1958 w Nottingham, w lutym 1959 w Preston dla rejonu Lancaster. W ramach tych konferencji odbywały się lekcje pokazowe, referaty omawiające program i metody nauczania i dyskusje. W styczniu 1959 zorganizowano specjalny zjazd inspektorów rejonowych w Londynie, w celu przedyskutowania trzech spraw: 1. problemu nauczania dzieci nie mówiących w ogóle po polsku, lub słabo tym językiem władających, 2. organizowania klas gimnazjalnych i kursów dokształcających dla młodzieży kończącej szkoły sobotnie, 3. tworzenia gromad zuchowych i drużyn harcerskich przy szkołach sobotnich. Poza nauczycielami, działaczami oświatowymi i władzami Oddziału i Zarządu Głównego SPK, do wzięcia udziału w dyskusji zaproszono także przedstawicieli duchowieństwa, Związku Harcerstwa Polskiego, Polskiej Macierzy Szkolnej i Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży. Owocem zjazdu był projekt powołania do życia stałej komisji porozumiewawczej, złożonej z przedstawicieli SPK, PMS, ZHP i Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego, której celem byłoby rozwijanie współpracy pomiędzy tymi organizacjami na polu oświaty.

Innym aspektem tej działalności jest opieka i rozbudowa bibliotek szkolnych. Pomaga tu wydatnie Centrala Bibliotek Ruchomych, a uzupełnia się zbiory z dotacji Zarządu Oddziału,

opiekuńczych kół, czy komitetów rodzicielskich. W roku sprawozdawczym 1958-59 Zarząd Oddziału przesłał ogółem 168 tomów beletrystyki dla dzieci i młodzieży; z malejących zapasów wydano 482 podręczniki szkolne oraz 12 podręczników specjalnych dla organizującego się kursu nauczycieli szkół ojczystych w Huddersfield, wysłano poza tym 16 kompletów alfabetu ruchomego, 10 map ściennych Polski i 80 mapek konturowych. Poza tym uchwalono pożyczkę p. B. Świdierskiemu na wydanie tomu pt. „Złote Polskie Legendy”.

Koła prowadzą też działalność kulturalno-oświatową wśród dorosłych. Ogólnie biorąc, o ile szkoły sobotnie rozwijają się, a w każdym razie nie tracą zdobytego terenu, akcja oświatowa dla dorosłych słabnie z roku na rok. Formy tej akcji, wymagające większego wysiłku ze strony zarówno organizatorów, jak i odbiorców, jak np. kursy i cykle wykładów, zamierają zupełnie. Sądząc po doświadczeniach SPK, czytelnictwo na emigracji od paru lat utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie. W wypadkach kiedy czytelnictwo w jakimś ośrodku spada, nie musi to oznaczać spadku absolutnego; częstym powodem jest akcja Centrali Bibliotek Ruchomych, która umieszcza zestawy swych książek w brytyjskich bibliotekach publicznych. Wiosną 1959 roku 59 kół utrzymywało własne biblioteki. Księgozbiory te liczą w sumie 41.977 tomów, z czego 368 zostało zakupionych przez koła w roku sprawozdawczym. Główne bolączki w tej akcji to brak stosownych lokali, szczupłość funduszy na rozbudowę bibliotek, trudności ze znalezieniem personelu i wspomniany już nieustający kryzys czytelnictwa.

Ważną formą działalności jest organizowanie i prowadzenie zespołów artystycznych, już choćby dlatego, że jak mówi sprawozdanie, praca taka „daje możliwości akcji planowej, co jest rzeczą doniosłą w życiu organizacji”. W roku 1959 pod opieką SPK znajdowało się 5 amatorskich zespołów teatralnych, 5 tanecznych, 4 chóry i 2 orkiestry. Zespoły dramatyczne urządziły w sumie 16 przedstawień, zespoły tańców ludowych 17, chóry — 21, orkiestry — 80 (obydwie orkiestry zarabiała, grając na zabawach także brytyjskich). Projektowany jeszcze w 1957 r. konkurs dla teatrów amatorskich skończył się niepowodzeniem. W ramach konkursu odbyły się wszystkiego dwa przedstawienia. Zauważyć się raczej daje stopniowe obumieranie działalności zespołów dramatycznych i tanecznych. U źródeł tego procesu, jak tłumaczy sprawozdanie, leży obecna tendencja powierzania części „artystycznej” obchodów i akademii dzieciom ze szkół sobotnich.

Inne formy akcji kulturalno-oświatowej, to np. wieczory przy magnefonie (patrz Szkocja, Galashiels), obchody świąt i rocz-

nic narodowych (w roku sprawozdawczym 1958-59 było ich 166, o cztery więcej niż w roku poprzednim), odczyty (ilość ich spadła w przeciągu roku z 74 na 51), wycieczki (68, zysk 16 w porównaniu z rokiem 1957-58) seanse kinowe (istnieje filmowa czołówka kombatancka, prowadzona przez p. Stefana Gołę. Seansów było w sumie 53), koncerty (4), teatr zawodowy z Londynu (9 przedstawień) i zebrania „tradycyjno-towarzyskie”, połączone też często z programem „artystycznym” (102).

Próby stworzenia własnego pisma i rozprowadzania go poprzez sieć organizacyjną zakończyły się całkowitym fiaskiem. „Nasz Głos” ukazywał się trochę ponad rok, najpierw jako miesięcznik, potem jako kwartalnik, ale mimo prób wprowadzenia na łamy tematów kontrowersyjnych, pismo nie spotkało się w terenie z żadnym absolutnie odzewem. Zlikwidowano go jako jeszcze jedną niepotrzebną deficytową pozycję.

Działalność społeczna SPK nie różni się więc właściwie w swym charakterze od działalności innych organizacji, np. parafii i gmin. Różnica polega na skali i strukturze organizacji: SPK jest, obok parafii, tworem najbardziej rozbudowanym i to stanowi o jego sile. Stosunkowo gęsta sieć kół i domów daje tej organizacji pozycję kluczową. Nie jest też zapewne bez wpływu fakt, że cały ten opisany przez nas organizm, stanowi, jako Oddział W. Brytania, część składową organizmu większego, część zresztą najważniejszą. W londyńskim domu SPK, na 18 Queen's Gate Terrace, mieszczą się biura zarówno zarządu Oddziału W. Brytania, jak i Zarządu Głównego, a także Zjednoczenia. Tutaj też tradycyjnie już odbywają się zjazdy światowe SPK. Ta specjalna rola londyńskiego SPK niewątpliwie podwyższa prestiż przywódców organizacji.

Inne organizacje

Poza SPK i parafiami żadna inna organizacja nie posiada sieci klubów, pokrywającej całą wyspę. Ale kilka domów znajduje się w rękach innych organizacji, które, w oparciu o nie, zyskują czasem znaczenie przynajmniej lokalne. Warto o nich wspomnieć dla dopełnienia obrazu.

Organizacją nie kombatancką o sporych zasobach materialnych jest TPP, Towarzystwo Pomocy Polakom, w pewnym sensie kontynuacja Polskiego Czerwonego Krzyża. TPP powstało w 1946 roku, w warunkach analogicznych jak te, w których

Komitet Obywatelski przyjmował działalność Konsulatu (patrz „Londyn”). Polski Czerwony Krzyż musiał się rozwiązać, ale grupa jego czołowych działaczy stanęła na czele nowej organizacji by kontynuować tę samą działalność. Celami TPP miała być pomoc żołnierzom polskim w przystosowaniu się do życia cywilnego, pomoc cywilom, jak np. DP w Niemczech i Austrii i pomoc „materialna i moralna” dla rodzin pozostałych w Polsce.

Pierwszy okres istnienia TPP był też okresem najbardziej intensywnej działalności. TPP asystowało w rozładowaniu PKPR prowadząc hostele i kluby, rozdzielając dodatkowe cywilne ubrania, udzielając porad, organizując biblioteki itd. DP'om wysyłano w dużych ilościach żywność, artykuły pierwszej potrzeby, jak np. mydło, a nawet papierosy, lekarstwa, witaminy itd. Organizowano też w Niemczech ruchome biblioteki, objazdowe przychodnie dentystyczne, służbę informacyjną, udzielano bezpłatnych porad prawnych. Potrzebującym w Polsce, przeważnie wdowom, sierotom, lub inwalidom, wysyłano bezpłatne paczki. W samym tylko roku 1948 wysłano paczek na sumę £ 4.625, a poza tym przekazano polskiemu „Caritasowi”, towary ocenione na sumę £ 10.848.14.8. Pomagano w poszukiwaniu rodzin, przesyłano osobiste dokumenty itd. Charytatywna działalność organizacji oznaczała, że fundusze odpływały, zasoby TPP malały za każdym rokiem. W roku 1953 sytuacja stała się na tyle krytyczna, że trzeba było powziąć jakąś radykalną decyzję. Obciążono prawie całą pomoc Polakom poza granicami W. Brytanii, a pozostały kapitał zainwestowano w przedsiębiorstwa dochodowe: pod firmą Resofopo Ltd., w hotelach, restauracjach, sklepach żywnościowych itp. Dochody z tych źródeł wynosiły £ 11.256 w roku 1954, £ 14.672 w 1955, £ 16.903 w 1956. Oszczędzając jednocześnie na kosztach administracyjnych i zacieśniając teren działalności do W. Brytanii, zrównoważono budżet i już w 1955 roku uzyskano przewagę wpływów nad wydatkami. Umożliwiło to nawet zwiększenie wydatków na pomoc Polakom w W. Brytanii, z £ 5.400 w roku 1954 do £ 6.401 w 1956. TPP jest właścicielem nieruchomości (*freeholds*) w Birmingham (obszerna kamienica — hostel, klub, kawiarnia, boiska), Leeds (klub, restauracja, kawiarnia, boisko), Brandon w Suffolk (klub i sklep żywnościowy); w Londynie jest dzierżawcą domów przy 55 Princess Gate (Polskie Ognisko), 1-3, Lexham Gdns., W. 8. (Shellbourne Hotel), 18 Eccleston Street, S.W.1. (apteka i dom mieszkalny), 36 Hugh Street S.W.1. (Hostel tranzytowy).

Poza tym TPP prowadzi w wynajętym lokalu klub w Plymouth, w barakach hostel dla rekonwalescentów w Foxley pod

Hereford i 6 kantyn w „Anglo-Polish Housing Estates” (patrz 'Hostele').

W Londynie organizacja prowadzi bibliotekę i wyekwipowała medyczną i dentystyczną przychodnię na 47 Rutland Gate, która działa w ramach *National Health Service*.

Wedle uproszczonej, kawiarnianej klasyfikacji, działacze TPP rekrutują się z emigracyjnej prawicy; faktem jest, że duże wpływy posiada tam Stronnictwo Narodowe.



Obok SPK istnieje, jakżeśmy już pisali, cały szereg niezależnych organizacji kombatanckich. Za najzamożniejszą z nich uważane jest Stowarzyszenie Lotników Polskich, subsydiowane dotychczas przez *War Office*. Udział jednostek polskich w *Battle of Britain* zapisał naszych lotników w angielskich sentymentach o wiele trwalej, niż najbardziej bohaterskie czyny oddziałów lądowych. Z apelem o pomoc pieniężną dla organizacji zwrócił się przez angielskie radio słynny as lotnictwa (inwalida, bez nóg), kpt. Douglas Bader. W pewnym sensie więc bazą dla Stowarzyszenia jest całe pięćdziesiąt milionowe społeczeństwo tubylcze i jego ofiarność umożliwia dość intensywną akcję charytatywną. Do roku 1958 Stowarzyszenie wypłaciło zapomóg na ogólną sumę około 35.000 funtów. Wysyła też stale darmowe paczki dla rodzin lotników w Polsce.

Stowarzyszenie Lotników na terenie wyspy posiada 4 domy: w Londynie (w okolicy Earls Court'u), w Derby, w Nottingham i „dom wypoczynkowy” w Blackpool. Szczególnie dom i gospoda w Nottingham ma szeroką sławę.



Organizacją kombatancką zasługującą na trochę szersze omówienie jest Związek Inwalidów. Zawiał się on na terenie W. Brytanii jeszcze w roku 1940. Na temat genezy organizacji istnieje anegdota, podobno oparta na faktach, których ślady znaleźć można we współczesnych źródłach. Nieliczni jeszcze inwalidzi, umieszczeni byli wtedy w hotelu, gdzieś na północy wyspy. Ministerstwo Opieki Społecznej na którego czele stał wówczas p. Stańczyk z PPS, wysłało im dar w naturze, w postaci zarżniętej, stosunkowo tłustej, świni. Ale świnie poddano podobno jakiejś operacji, w wyniku której najbardziej smakowite kęski wróciły do Ministerstwa Opieki i skonsumowane zostały przez jego pracowników. Oburzeni inwalidzi poderwali się do obrony swych

interesów i czym prędzej ukonstytuowali się jako Związek Inwalidów Wojennych Polskich Sił Zbrojnych. Ze świnii i świństwa zrodziła się organizacja buńczuczna i do władz nastawiona wojowniczo.

Ironizować można, że niewiele się od tych czasów zmieniło — afer o charakterze „świńskim” i teraz nie brak. Związek Inwalidów do dziś kultywuje ducha niezależności, potrafi być wojowniczy i zaczepny.

Niestety, celem ataku nie zawsze były instytucje na zewnątrz organizacji. Związek Inwalidów ma długą tradycję walk wewnętrznych, które przez czas jakiś groziły permanentnym, głębokim rozłamem. Tendencje rozłamowe istniały jeszcze w czasie wojny, kiedy tenże p. Stańczyk próbował powołać do życia konkurencyjny Związek Inwalidów Rzeczypospolitej. Dywersja okazała się mało poważna. O wiele groźniejsza sytuacja powstała w 1949, kiedy rozłam przepołowił organizację od wewnątrz. Gwałtowna walka pomiędzy dwoma członami związku trwała przeszło półtora roku. Mobilizowano członków, rzucano na przeciwników oskarżenia coraz to gorsze, spierano się o kapitały. W końcu jednak zdrowy rozsądek zwyciężył i w roku 1952 organizacja znów się zjednoczyła. Nastąpił okres żywej ekspansji, też zresztą nie wolny od swarów, na mniejszą już trochę skalę. Następne próby stworzenia konkurencyjnej organizacji zbiegły się z rozłamem politycznym w 1954 roku. Powstały aż dwa związki lojalne „zamkowi” (Związek Inwalidów uważany był za organizację „zjednoczeniową”): Legia Inwalidów im. gen. Sowińskiego i Legion Inwalidów. Jak się okazało, była to tylko drobna dywersja, irytująca może, ale nie zagrażająca całości Związku. Podobno obydwie nowe, połączone obecnie organizacje, liczą zaledwie kilkudziesięciu członków, głównie w Londynie i Szkocji. „Zamkowcy” nie dysponują zasobami materialnymi, które pozwoliłyby im rozwinąć jakąkolwiek szerszą działalność. Dają natomiast o sobie znać raz na dwa lata, przed walnym zebraniem Związku Inwalidów, drukując i kolportując ulotki z ostrym i jadowitym atakiem na kierownictwo Związku.

Ten ostatni „rozłam” odegrał pewną rolę w sporze o fundusze na Dom Inwalidy w Edynburgu. Spór ten wyrósł na gruncie specjalnie silnej w Szkocji niechęci do Londynu i dążenia do niezależności. Zdobycie własnego domu inwalidzi edynburscy widocznie uważali za pierwszy krok w tym kierunku. Zebrawszy na ten cel £ 1.300, w tym £ 600 przyznanych im decyzją Zarządu Głównego, wycofali całą sumę z konta swego koła na konto specjalnie w tym celu powołanego do życia komitetu kupna domu, a kiedy Zarząd Główny zaczął oponować, przenieśli pie-

niądze jeszcze dalej, na trzecie konto, szukając jednocześnie oparcia w inwalidach „zamkowych”. Sprawa oparła się wreszcie o angielski sąd, który orzekł na rzecz Zarządu Głównego. Ostatecznie zatarg załatwiono w sposób dyplomatyczny. Zakupiony dom formalnie jest własnością Zarządu Głównego, ale dzierżawi go koło w Edynburgu, płacąc nominalny czynsz £ 1 rocznie. Praktycznie więc inwalidzi w Szkocji gospodarują we własnym zakresie. I wilk syty i koza cała.

Te kłótnie są w Związku Inwalidów dość notoryczne. Ale kłótnie wśród Polaków w ogóle nie są rzadkością. Należy raczej podziwiać, że Związek Inwalidów wychodzi z nich na ogół obronną ręką i ze zwiększonym stanem posiadania. Związek Inwalidów wydaje się rozwijać wbrew wszelkiej logice, sądząc po cyfrach w dostępnych dokumentach. W roku 1942 Związek liczył 118 członków; w roku 1945, w momencie zakończenia wojny, 266 członków; w 1948 1.042 członków; w 1951 2.777; w 1953 — 3.646, w 1956 — 3.939. Obecnie liczby te nieznacznie spadają. Są to cyfry dla całego uchodźstwa, ale ogromna większość inwalidów mieszka na terenie W. Brytanii. Członkami Związku jest niespełna połowa ogółu inwalidów: ilość ich oblicza się na około 8000, z czego jakies 6.000 na terenie W. Brytanii.

Bardziej jeszcze imponująco wygląda wzrost majątku organizacji. W roku 1942 wynosił on £ 6, w roku 1945 — £ 219, w 1948 — £ 2.854, w 1951 — £ 2.453 (okres walk zahamował rozwój), w 1953 — £ 5.215, w 1956 — £ 12.904, w 1960 — £ 15.265. W rzeczywistości majątek Związku Inwalidów należy szacować o wiele wyżej, w związku z powszechnym na terenie W. Brytanii wzrostem cen nieruchomości.

Wykres ofiarności publicznej na rzecz Związku Inwalidów dałby linię bardziej krętą, ale i tu, w perspektywie lat 15 osiągnięcia są duże. Od paruset funtów zbieranych w latach po wojnie, do blisko £ 14.000 w kadencji 1952-54 (walne zebrania Związku zbierają się co dwa lata) i blisko £ 16.000 w kadencji 1954-56. Ale są to cyfry dotyczące całej emigracji, gdzie Stany Zjednoczone są pozycją przeważnie większą niż W. Brytania. W W. Brytanii zbiórka w miesiącu Inwalidy zrealizowała w kadencji 1952-54 £ 2.963, w kadencji 1954-56 £ 4.528, w 1956-58 £ 4.993, w 1958-60 £ 3.291. Jak nas informowano, większość sum zebranych wydatkowana jest normalnie na bezpośrednią pomoc potrzebującym inwalidom.

Związek jest właścicielem czterech nieruchomości, z których dwie znajdują się w Londynie: dom, a raczej cały kompleks budynków, na Cheptow Place, gdzie mieszczą się biura Związku i mieszkają lokatorzy, i mniejszy dom na 100 Netherwood Road,

gdzie pokoje wynajmuje się inwalidom po niskich cenach. Poza tym domy i kluby inwalidów znajdują się w Birmingham i Edynburgu (patrz reportaże). Największą z tych posiadłości są domy na Chepstow Place, zakupione za sumę £ 20.250. Zainwestowano tam przyznaną Inwalidom część 'sum włoskich' (£ 8.500) oraz uzyskaną pożyczkę hipoteczną w wysokości £ 13.000 — do spłacenia w okresie 15 lat. O uzyskaniu części 'sum włoskich' sprawozdanie za kadencję 1952-54 informuje tonem typowym: „Zarząd Główny zdołał wywalczyć w SPK z tzw. sum włoskich kwotę £ 8.500, z której to sumy £ 1.660 zostało Związkowi już wypłaconych, zaś pozostała suma £ 6.640 znajduje się jeszcze w ręku SPK i zgodnie z uchwałą Walnego Zjazdu SPK będzie wypłacona na konkretny obiekt na terenie W. Brytanii wybrany przez Związek w porozumieniu z SPK na Dom Inwalidy.

Wywalczenie tej sumy wymagało ze strony Zarządu Głównego i jego delegacji, która prowadziła rokowania, wielkiego wysiłku i trudu tym bardziej, że Związek natrafiał na opory i trudności nie tylko ze strony czynników nie-inwalidzkich, ale również i ze strony nielicznej garstki inwalidów, którzy nie wahałi się nawet publicznie nawoływać SPK do wstrzymania się z decyzją wypłaty Związkowi jakichkolwiek sum...”.

Wydaje się, że obecne podstawy materialne Związku są zdrowe. Nie znaczy to, by zasobów wystarczyło na wszelkie inwalidzkie potrzeby. Nie stać np. Związek na to, by wypłacać stałą, przyzwoitą zapomogę tym wszystkim, którzy nie mają tytułu do renty inwalidzkiej od władz brytyjskich.

Pomoc materialna stanowi tylko jedną stronę działalności Związku i chyba nie najbardziej ważną. Związek odziedziczył po wojsku kartoteki z dokładnymi danymi co do ran i stopnia inwalidztwa wszystkich żołnierzy. Dywizyjne referaty inwalidzkie i służba zdrowia rozwiązując się przekazały dokumenty i — właściwie — zadania, Związkowi. Jedyne orzeczenia lekarskie w sprawie polskich lotników pozostały w RAF'ie. Związek — organizacja wtedy raczej słaba i marginesowa — z dnia na dzień musiała przejąć obowiązki spełniane dotychczas przez doświadczony aparat, składający się z około 35 osób. Przejmując całe archiwum Związek musiał walczyć z naciskami władz brytyjskich, które kartoteki wołałyby widzieć pod własną kontrolą. Wkrótce jednak stosunki się ułożyły i dziś urzędy brytyjskie często korzystają z usług biura inwalidów. Tutaj musi być sprawdzone każde podanie o inwalidzką rentę. Zgłasza się bowiem wielu ludzi, przeważnie zresztą naprawdę ułomnych i potrzebujących pomocy, których kalectwo nie ma żadnego związku przyczynowego ze służbą wojskową. Wiele pół-kalek wywie-

ziano z Rosji, inni stracili zdrowie już po wojnie. Z drugiej strony zdarza się, że stosunkowe niegroźne, zdawałoby się, rany odzywają się po latach i powodują częściowe kalectwo. Każda taka historia zostawiła ślad w kartotekach, który służyć może za podstawę do starań o pomoc materialną.

Jak z tego widać, Związek służy wszystkim inwalidom, nie tylko członkom organizacji. Tę samą zresztą zasadę stosuje się względem osób, zwracających się o pomoc bezpośrednio. Mówiono nam, że na rozszerzeniu członkostwa Związkowi obecnie nie zależy. Nowe zapisy przyjmuje się ostrożnie, czasem niechętnie. Jest bowiem masa ludzi z ogromnymi kompleksami, czy po prostu anormalnych⁵. Jedna taka osoba może w pracy społecznej, a specjalnie na zebraniach, narobić masę zamieszania. Przyjęło się, że po jakimś dzikim wystąpieniu kogoś z działaczy sprawdza się w kartotekach — na wpół żartem, na wpół serio — czy aby nie był on ranny w głowę.

Na terenie W. Brytanii w trzech miejscach inwalidzi polscy tworzą odrębne skupiska: w Radcliffe, Stover i Penley. W Stover i Penley mieszka grupa inwalidów stuprocentowych; Radcliffe to hostel dla Polaków o dużym procencie inwalidztwa, ale zdolnych jeszcze do pracy, zatrudnionych obok hostelu w fabryce mebli. Jest ich tu około 60, a dalszych dwudziestu kilku mieszka poza hostelem i dojeżdża do fabryki. Hostel urządzony jest dobrze i wygodnie, tak że na warunki materialne trudno jest narzekać (nie znaczy to, by nie narzekano). Wielu mieszkańców otrzymuje znaczne renty inwalidzkie, niezależnie od zarobków i nie podlegające opodatkowaniu. Obsługę hostelu stanowią Polacy nie-inwalidzi (kucharzem jest tu chorąży Stanisław Wójcik, który kiedyś, jako kucharz I Brygady Legionów, gotował dla Piłsudskiego). Mimo jednak dobrych warunków, hostel jest miejscem raczej smutnym. Inwalidzi w swej masie nie robią tu wrażenia naprawdę „urządzonych”, przystosowanych do normalnego społecznego życia.

Inwalidzi tworzący odrębne skupiska stanowią drobny tylko procent całości. Większość żyje w rozproszeniu. Według obliczeń Zarządu, z około 6.000 inwalidów, zamieszkałych na terenie wyspy, mniej więcej połowa nie może wykonywać żadnej pracy i potrzebuje opieki. Są to ludzie różni wiekiem, pochodzeniem przeszłością. Znaleźć pomiędzy nimi można żołnierzy z armii Berlinga, weteranów spod Lenino, którzy do Anglii trafili poprzez niemieckie obozy jenieckie. Jest nawet jeden żołnierz z

5. Według obliczeń z 1948 roku, w W. Brytanii znajdowało się 1200 umysłowo chorych Polaków, byłych żołnierzy.

armii Petlury. Ale ludzie ci są raczej terenem pracy Związku niż samą organizacją. Związek, to przede wszystkim grupa zadzierzystych, niezależnych działaczy. Niezależność ich warto podkreślić. Być może wpływa ona z przekonania, że w społeczności emigracyjnej inwalidzi zajmują pozycję specjalną, że społeczeństwo ma względem nich obowiązki. Od walk czysto politycznych Związek obecnie stroni. Swego czasu na jego terenie współzawodniczyły ze sobą PPS i Stronictwo Narodowe i SN — zdawało się, uzyskał wpływ dominujący. Między innymi członkiem SN był p. Maciejko, działacz pięciokrotnie obierany prezesem organizacji. P. Maciejko wszedł jednak w konflikt ze swym stronictwem — trudno się dowiedzieć na jakim dokładnie tle — i w konsekwencji zerwał z partią, pozostając prezesem Związku Inwalidów. Krok ten jeszcze bardziej wzmógł agresywnie nieufny stosunek związku do partii i organizacji społecznych.

Działacze Związku Inwalidów zdają sobie na ogół sprawę z tego, że ich organizacja z natury rzeczy wykruszać się będzie w tempie szybszym niż inne organizacje i instytucje emigracyjne. Już teraz myślą, komu przekazać majątek. Ich podejście do tego problemu jest charakterystyczne. Nie chcą sły-
szyć o wyznaczeniu swym spadkobiercą — powiedzmy — SPK. Latem 1960 walny Zjazd Związku Inwalidów przyjął następującą uchwałę:

„XI Światowy Walny Zjazd Delegatów Związku Inwalidów Wojennych PSZ w Birmingham, zdając sobie sprawę, iż majątek Związku pochodzący z ofiarności publicznej, winien służyć sprawie publicznej, deklaruje już obecnie, iż Związek Inwalidów majątek ten na wypadek likwidacji zamierza przekazać na cele polskiej młodzieży na uchodźstwie.

W związku z tym Walny Zjazd Delegatów zaleca Zarządowi Głównemu opracowanie konkretnych form współpracy z organizacjami i zespołami młodzieżowymi, które w ten sposób będą mogły zapoznać się z zagadnieniem inwalidzkim i czynnie wykazać pracę na rzecz pomocy inwalidom wojennym, iż będą dbać o nich w przyszłości”.



Należy wspomnieć jeszcze jedną organizację kombatancką, mimo, że nie posiada ona solidnego, materialnego zaplecza w postaci domów i klubów i że spierać się nawet można czy jest ona organizacją społeczną w pełnym tego słowa znaczeniu. Ma-

my na myśli Związek Kół Oddziałowych i instytucje z nim związane.

Koła wojskowe zaczęły się tworzyć samorzutnie jeszcze w okresie demobilizacji. Istniały nawet początkowo obawy, że stać się mogą poważną konkurencją dla SPK. Ale już na zjeździe w listopadzie 1948 określono charakter kół: miały to być związki tradycyjne, nie wkraczające bezpośrednio na teren pracy społecznej.

Ogółem Koła Wojskowe mają dzisiaj około 16.500 członków, z czego mniej więcej 9.000 na terenie W. Brytanii. Nie jest to dużo. Na Zachodzie zostało przecież mocno ponad 100.000 żołnierzy polskich. Maksymalna ilość kół r. 1949 wynosiła 159. Dzisiaj jest ich 139. 20 zamarło zupełnie.

Według przyjętej przez sekretariat nomenklatury, koła dzielą się na „historyczne”, lub „tradycyjalne” i „żywotne”. Historyczne” gromadzą byłych żołnierzy jednostek sprzed 1939 roku; „żywotne” podtrzymują tradycję oddziałów z II Wojny Światowej. Kół „żywotnych”, na ogół większych od „historycznych”, — jest ponad 70. Do najwyższych należą koła oddziałów 5 KDP, 3 DSK i AK.

Zjawisko powstawania i rozwoju tych organizacji łatwo jest zrozumieć. Więzy sentymentu łączące emigrantów z ich żołnierską przeszłością są silne, tym silniejsze teraz, kiedy jest to przeszłość już daleka i znowu idealizowana. Doroczne walne zebranie jest jednocześnie zjazdem członków, wraz z rodzinami, na tradycyjne spotkanie. Zjazd taki wyznaczany jest przeważnie w dzień święta pułkowego i wetereni przyjeżdżają z najdalszych zakątków Wyspy. Np. na spotkanie 6 Pułku Pancernego Dzieci Lwowskich przybyło 120 ludzi, którzy w naturalnym odruchu usiedli przy stole załogami czołgów.

Towarzystwo — tradycyjne spotkania działalności kół nie wyczerpują. Zarządy utrzymują łączność z członkami osiadłymi w innych krajach. Biuletyny informacyjne niektórych kół wypełniane są listami kolegów. Istnieje akcja samopomocowa, wysyła się paczki potrzebującym kolegom w Kraju, prowadzi dokumentację, wydaje duplikaty legitymacji, odznaczeń itd. Bezpośrednich inicjatyw społecznych koła nie podejmują, ale przekazują czasem kwoty ze składek i imprez na cele oświatowe, kulturalne, Skarb Narodowy i inne. Zdarzyło się raz, że Koło Oddziałowe powołało do życia koło SPK, by działać w jego ramach.

Niektóre z biuletynów nie są pozbawione szerszych ambicji. Z zaciekawieniem też przeglądaliśmy stare numery „Biuletynu Informacyjnego” sekretariatu kół. W numerach z roku 1949 znaleźliśmy artykuły o tytułach takich jak „O Podział Zadań Po-

między Kraj i Emigrację", lub „Emigracja — czy Zarobkowa”. W jedenaście lat później tematy te są dyskutowane z zapalem na łamach popularnej emigracyjnej prasy.

Walki partyjne na ogół na teren kół oddziałowych nie wchodzi, ale rozłam „Zamek” — „Zjednoczenie” dotarł i tu, choć, w porównaniu z innymi organizacjami, nie uczynił szkód wielkich. Tylko trzy koła przeszły do „Zamku”, a ostatnio i z nimi kontakty, przynajmniej towarzyskie, z powrotem się zawiązują.

Ważność kół oddziałowych sprowadzić dziś można do jednego: jest to obok SPK drugi „świecki” związek, pokrywający całą wyspę stosunkowo gęstą siecią organizacyjną. Jakaś masową, szeroką demonstrację, można zorganizować tylko poprzez SPK i Koła Oddziałowe.



Luźno związane z systemem Kół Oddziałowych jest Koło Generalów i Wyższych Dowódców. Uległo ono zresztą rozłamowi: część istnieje przy „Zamku”, część przy „Zjednoczeniu”. Koło „Zjednoczeniowe” pod przewodnictwem gen. Głuchowskiego, jest o wiele liczniejsze. Podział polityczny wśród dowódców nie jest specjalnie głęboki (istnieją wyjątki, jak np. gen. Tokarzewski), czy po prostu koleżeństwo broni silniejsze jest od innych względów, bo mniej więcej przed rokiem koło „Zamkowe” zwróciło się do „Zjednoczeniowców” z propozycją powrotu do stosunków towarzyskich. Odbywają się obecnie zorganizowane spotkania, stworzono też wspólny komitet pomocy kolegom.

Zadaniem Koła Generalów jest po prostu — istnieć. Ale sam fakt jego istnienia posiada pewną wagę. Koło uznaje zwierzchność gen. Andersa i jest elementem w szkieletowym systemie „dowództwa” które na emigracji wciąż istnieje. W ramach jego działają instytucje takie jak Koło Wyższych Studiów Wojskowych, Biuro Historyczne — nieoficjalny Sztab Główny — gdzie króluje gen. Kopański, ze swą prawą ręką, płk. Piątkowskim, i o które oparte jest pismo „Bellona”, a na niższym szczeblu „Pogoń” i Szkoły Podchorążych, prowadzone przez pułkownika Czarneckiego. Oficjalnym inspektorem „Pogoni” jest gen. Wiśniowski, sekretarz generalny Związku Kół Oddziałowych.

O ile mogliśmy się zorientować, nie ma współpracy na wyższym szczeblu pomiędzy tym „emigracyjnym wojskiem” a armią brytyjską, chociaż swego czasu niektóre komórki „Pogoni” ćwiczyły w *territorial army*, (obecnie już nieistniejąca).

Cały ten system łatwo jest wyśmiać. Ale niezależnie od poglądów na jego celowość, przyznać trzeba, że jego siła na emigracji, w oparciu o Koła Oddziałowe i spory autorytet osobisty generała Andersa, jest znaczna. Zresztą istnieniu tego szkolectwa dowództwa trudno się dziwić, pamiętając o genezie emigracji.



Organizacją o charakterze społeczno-oświatowym, jest Polska Macierz Szkolna. Powstała w 1953 roku w celu uzupełnienia działalności oświatowej innych organizacji, z zadaniem „rozwoju polskiej oświaty szkolnej i przedszkolnej, utrzymania i pogłębiania świadomości religijnej i narodowej wśród dzieci i młodzieży, wychowania młodego pokolenia w duchu wiary ojców, tradycji i kultury narodowej oraz wierności dla sprawy niepodległości i wolności Rzeczypospolitej Polskiej” (art. 3. Statutu P.M.S.).

Głównym zadaniem PMS miało być początkowo nie tyle organizowanie na własną rękę szkół sobotnich, co zbieranie funduszy na pomoc szkołom już istniejącym i powstającym, współpraca z organizacjami prowadzącymi akcję oświatową oraz zajęcie się poważnym problemem podręczników i wydawnictw. Niemniej, przystąpiono również do tworzenia własnych szkół sobotnich i wkrótce, mimo tarć na tym tle z innymi organizacjami, które miały już dorobek w tej dziedzinie, PMS stała się odpowiedzialna, pośrednio lub bezpośrednio, za kilkadziesiąt szkół, przyczyniając się bezsprzecznie do rozwoju szkolnictwa sobotniego.

W W. Brytanii działalność PMS oparto na sieci kół, których w roku 1957 było już 57. Przy kołach tych działały w tym roku 52 szkoły sobotnie, a Zarząd Główny miał pod swoją opieką 8 dalszych szkół, o łącznej ilości ok. 2.500 dzieci. Rok 1957 był szczytowym rokiem rozwoju, w ostatnich latach liczba kół spadła do ok. 45, a liczba szkół do 53. Ponadto PMS utrzymuje kontakt z około 300 szkołami w 30 krajach polskiego osiedlenia, niejednokrotnie pomagając im w różnej formie⁶. Podstawą finansową działalności PMS są roczne zbiórki — w listopadzie i zbiórka znana jako Dar Narodowy 3 Maja, składki członkowskie i dary. Poniższa tabela (zaczepnięta z „Wychowania Ojczystego”, listopad — grudzień 1959), daje obraz wpływów za lata 1955-59.

6. Przez cały okres swojej działalności, Zarząd Główny PMS wydał ok. 5.000 legitymacji członkowskich.

	1955-56	1956-57	1957-58	1958-59
	£	£	£	£
Składki członkowskie	428	479	491	515
Zbiórka listopadowa	223	377	601	707
Ofiary zamiast życzeń świętecznych	52	197	212	231
Dar Narodowy 3 Maja	2.203	1.746	2.244	2.094
Dotacje i dary	96	121	81	206
Różne wpływy	—	35	27	53
Razem	3.005	2.958	3.658	3.808⁷

Budżety roczne wszystkich kół PMS w W. Brytanii wahają się w granicach £ 4.000-5.000. Mimo widocznego z tabeli zwiększania się wpływów PMS, cierpi ona chronicznie na niedobór funduszy na zaspokojenie nawet najważniejszych potrzeb szkolnictwa sobotniego na emigracji. Jednym z głównych problemów są podręczniki.

Wydatki organizacji za okres 1957-59 dają obraz potrzeb choć w części zafatwionych. W okresie tym PMS udzieliła pomocy finansowej szkołom na sumę £ 2.900 w gotówce lub podręcznikach, dostarczyła szkołom podręczniki i pomoce szkolne wartości £ 1.860, wydała ok. £ 1.000 na wydawnictwo „Wychowanie Ojczyste” i „Dziatwę”. Wydano w tym czasie 2 podręczniki szkolne: „Nauka pisania” i „Moja czytanka” oraz umożliwiono wydanie „Katechizmu dziecka polskiego” i sfinansowano drugi nakład „Dziennika lekcyjnego” — wszystko to kosztem ponad £ 1.400. Przekazano ZHP £ 420. Od początku istnienia PMS pomaga finansowo Kolegium OO. Marianów w Fawley Court (wkład dotychczas wyniósł ponad £ 1.000).

Przy Zarządzie głównym istnieje Wydział Szkolny, kierownikiem którego jest mgr M. Goławski, redaktor „Wychowania Ojczystego”. Prace związane z dostosowaniem metod nauczania do nowych warunków, dania nauczycielom w szkołach sobotnich, nie zawsze siłom w pełni fachowym, odpowiednich materiałów, potrzeba wszelkiego rodzaju skryptów dla dzieci, to ogromne problemy, które Wydział Szkolny i redakcja „Wychowania Ojczystego” przy współpracy aktywnych członków Związku Nauczycielstwa Polskiego, próbują rozwiązywać w miarę swoich możliwości.

„Wychowanie Ojczyste” redagowane jest żywo i ciekawie, na ogół na bardzo dobrym poziomie. Pismo zawiera materiały

7. Cyfry podane bez szylingów i pensów.

do obchodów rocznic, obrazki sceniczne, wiersze, pieśni, wskazówki organizacyjne i programowe, artykuły z zakresu psychologii dziecka i nauczania, materiały lekcyjne i omówienia lekcji, porady dla nauczycieli, recenzje, kronikę i dyskusje. Nakład pisma wynosi 1.500 egzemplarzy, numer z okazji 3 Maja — 3.000.

Brak podręczników i niechęć, z małymi wyjątkami, do używania podręczników krajowych, nie tylko ze względów politycznych, ale i pedagogicznych, spowodowały, że zajęto się bardzo poważnie opracowywaniem nowych, przystosowanych do warunków emigracyjnego dziecka. W przygotowaniu są: „Związała gramatyka języka polskiego” w opracowaniu Z. Sołtysikowej, kierowniczkii szkoły SPK w Leeds, oraz „Czytanka” dla dzieci starszych, redagowana przez p. Jadwigę Otwinowską, oraz krótki podręcznik historii Polski, w opracowaniu M. Goławskiego na wzór podręczników angielskich. Potrzeby jednak są o wiele większe. W zakresie książek do czytania, nieliczna na ogół w tej dziedzinie literatura dziecięca autorów emigracyjnych, uzupełniana jest bez skrupułów bogato ilustrowanymi i pięknymi wydawnictwami krajowymi. PMS sprowadza niektóre z tych wydawnictw z Polski, często jednak szkoły zaopatrują się same, lub też korzystają w niektórych wypadkach z przesyłek Towarzystwa „Łączności”, mimo, że zalecana jest w tej mierze ostrożność, a nawet odsyłanie przesyłek nadawcy. W ogóle na temat korzystania z podręczników i wydawnictw krajowych, zdania w PMS i wśród nauczycieli są dosyć podzielone.

PMS organizuje również przy współudziale innych organizacji jak Związek Nauczycielstwa, SPK i in., konferencje nauczycielskie w Londynie lub w poszczególnych okręgach, na których dyskutowane są trudności nauczania, wymieniane doświadczenia; odbywają się też wykłady dla nauczycieli. Tak w Związku Nauczycielstwa jak w PMS i w referacie oświatowym SPK skupia się pewna grupa sił fachowych na wysokim poziomie, z dużym doświadczeniem z Polski i z okresu szkolnictwa polskiego w czasie wojny i potem. Związek Nauczycielstwa liczy około 300 członków, ale nauczycielstwo starsze powoli wykrusza się, tak że istnieje konieczność dobierania nauczycieli spośród osób dobrej woli. Częściowo lukę zapełniają nauczyciele wykształceni już w Anglii i uczący w szkołach angielskich. Dla pomnożenia liczby nauczycieli zorganizowany został przez Związek Nauczycielstwa przy pomocy SPK i innych organizacji, kurs nauczycielski w Londynie, pod kierownictwem Mariana Bulicza, jednego z wielkich entuzjastów oświatowych, ucznia wybitnego pedagoga polskiego, S. Szumana. Kurs obejmuje wykłady z metodyki nauczania, psychologii,

kultury i literatury polskiej oraz języka. Zapisano się na kurs 34 osoby, duża część z tego nauczycieli już uczących. Osób młodych jest kilka, przeważają kobiety.

Przy PMS istnieje specjalna sekcja Pomocy Dzieciom Polskim w Niemczech i Austrii gdzie energiczną działaczką jest p. Z. Arciszewska. Sekcja pomaga szkołom polskim w tych krajach finansowo i w formie podręczników i wydawnictw, zajmuje się również sprowadzaniem na kształcenie dzieci do W. Brytanii. Ostatnio wielką pomocą w tej dziedzinie okazał się Rok Uchodźczy, który spotkał się z dużym oddźwiękiem w W. Brytanii. Poszczególne brytyjskie organizacje charytatywne i firmy sprowadziły szereg rodzin polskich i dzieci, otwarto specjalną bursę dla dzieci, nie mówiąc już o zbiórce, która dała imponujące rezultaty.

Odzywają się często głosy, że PMS powinna koncentrować się na zbieraniu i rozgospodarowywaniu funduszy pomiędzy szkoły polskie, a nie na tworzeniu odrębnej sieci organizacyjnej i sieci szkół. Na pewno o szerokiej roli PMS zdecydowały również względy polityczne — jest ona pod wyraźnym wpływem Stronnictwa Narodowego. Ale z drugiej strony współpraca między PMS a SPK w dziedzinie szkolnictwa układa się na ogół pozytywnie. Z biegiem czasu jednak można przypuszczać, że tendencja wiązania szkoły sobotniej bezpośrednio z danym ośrodkiem, a nie w formie członu ogólnej organizacji, będzie się zwiększać. Obecnie poza ramami SPK i PMS działa około 30 szkół. Są to przeważnie szkoły parafialne. Ponieważ w każdym wypadku powstania szkoły sobotniej powstają również Komitety Rodzicielskie, istnienie obok tego kół Polskiej Macierzy Szkolnej może słusznie wydawać się częściowym dublowaniem pracy. Słusznie też krytykowany jest z punktu widzenia sprawności pracy podział szkolnictwa na szkoły SPK i szkoły PMS.

Ta krytyka jednak nie zmienia faktu, że osiągnięcia organizacyjne polskiego szkolnictwa sobotniego na emigracji są imponujące i odpowiadając realnej potrzebie, winny też mieć jak największe poparcie społeczności emigracyjnej.

Długoletnim prezesem Zarządu Głównego jest p. M. Kański, przewodniczącym Rady jest gen. Anders.

Pracę szkoły sobotniej uzupełnia na ważnym odcinku Związek Harcerstwa Polskiego. W roku 1960 harcerstwo polskie obchodziło 50 lecie swego istnienia. Jubileusz obchodzony był szumnie na emigracji, ze zlotem w Lilford, wystawą, artykułami w prasie. Podobno w Kraju pominięto go milczeniem. Ale też czołowi emigracyjni harcerze podkreślają z naciskiem, że Władze Naczelne ZHP są tu, nie w Kraju.

Przewodniczącym ZHP był i formalnie jest nadal Michał Grażyński. Ale pracą skautową czynnie nie zajmuje się już on od szeregu lat. Przewodniczącym ZHP poza granicami Kraju jest obecnie drh. Zygmunt Szadkowski i jego uznać należy za szczyt hierarchii. Co dwa lata zjeżdża się do W. Brytanii Naczelna Rada Harcerska — kilkudziesięciu delegatów z Europy, czasem nawet z krajów zamorskich.

Przewodniczącemu podlega Główna Kwatera Harcerzy, Główna Kwatera Harcerek i Główna Kwatera Starszego Harcerstwa. Na terenie W. Brytanii harcerek jest około 1.000, harcerzy około 1500, starszych harcerzy około 400. Istnieją poza tym Koła Przyjaciół Harcerzy, które skupiają około 600 osób.

Osobliwością harcerstwa emigracyjnego jest prawie zupełny, zrozumiały zresztą, brak roczników wojennych. Przez pewien czas równowaga była więc zachwiana: były zuchy — i młodzież. Obecnie roczniki powojenne zaczęły już tę lukę wypełniać. Istnieją już warunki na prowadzenie normalnej pracy harcerskiej. Ale inny kłopot daje się we znaki: brak instruktorów, częściowo zresztą wypływający z tej samej anomalii.

Jeśli celem ma być wychowanie następnego pokolenia w jakiejś częściowej przynajmniej polskości, wagi wychowania harcerskiego w polskich drużynach nie da się przecenić. Harcerskie gry, atmosfera obozu i kontakt z naturą, posiadają atrakcje, z którymi konkurować nie potrafi najlepiej prowadzona szkoła sobotnia. Często obietnicą zbiórki gromady zuchowej po lekcjach, wabi się młodsze dzieci do szkoły.

Przeżyciem najważniejszym jest dla młodych harcerzy letni obóz. ZHP dzierżawi ośrodki kolonijne w Delamere Park (wypożyczany czasem Anglikom na kurs kolonii zuchowych) i Ilford. Swego czasu korzystano sporo z hosteli takich jak Kelvedon i Checkendon. Zapraszają też czasem harcerzy polscy farmerzy. Zdarza się, że Polacy obozują razem z Anglikami, na terenach gospodarzy. Podobno we wszystkich takich wypadkach polscy skauci wykazują wielką sprawność i otrzymują dyplomy z wyróżnieniem. Wielkim powodzeniem cieszą się, wśród starszych i członków kręgów starszo-harcerskich, wyprawy żeglarskie. Świetną tradycję ma już coroczna wyprawa na pojezierze w Norfolk, odbyło się też parę wypraw dalekomorskich.

Stosunki z brytyjskim i międzynarodowym skautingiem, które w parę lat po wojnie, po wypowiedzeniu polskiemu harcerstwu uznania, przechodziły fazę bardzo nieprzyjemną, układają się obecnie coraz to lepiej. Mimo tego, że oficjalnie Polacy nie są członkami międzynarodowego biura skautowego, są z nim

w ścisłym kontakcie, biorą udział w konferencjach itd. Od 1957 Polacy biorą udział w Jamboree i międzynarodowych zlotach: w 1957 w Cambridge, w 1959 na Filipinach. Można nawet zauważyć, że Polacy są w pewnym stopniu faworyzowani w stosunku do harcerzy z innych „ujarzmionych krajów”: W czasie Defilady Narodów na Filipinach, polski harcerz niósł własną, polską flagę, podczas kiedy inne uchodźcze delegacje stanowiły jedną reprezentację, pod wspólną flagą.

Stosunek do nowego ruchu skautowego w Kraju, nasi wodzowie harcerscy określają formułką, że jest on harcerski w duchu, choć obcy w formach. Początki tego ruchu podsypane były strumieniem literatury fachowej z Londynu, której ogółem ZHP wyekspediowało na sumę około £ 2.000, wszystkie na adresy prywatne. Oficjalnych kontaktów od tej strony nie było nigdy, chociaż w roku 1957 Główna Kwatera w Warszawie zwróciła się z formalną propozycją współpracy, dodając, by o szczegóły zwrócili się do ambasady. Żywa jest natomiast prywatna korespondencja z harcerzami w Kraju, a harcerze przyjezdni czasem biorą udział w emigracyjnych obozach i zlotach. Do akcji na Kraj zaliczyć też trzeba audycje poprzez rozgłośnie BBC, Madryt i „Wolnej Europy”. Przez Radio „Wolna Europa” harcerze nadają raz na dwa tygodnie kronikę, a raz na miesiąc audycje o problematyce skautowej lub o historii ruchu.

Czy harcerstwo emigracyjne pracuje dobrze? Nie mamy wszystkich elementów, by na to odpowiedzieć. Niewątpliwie ma już za sobą spore osiągnięcia. Istnieją też możliwości rozwoju, wciąż niewyzyskane. Częściowo odpowiedzialny jest za to, jak już wspominaliśmy, brak instruktorów. Ale wydaje się nam, że pewne szkody poczyniło też zaangażowanie się polityczne szeregu doświadczonych i wybitnych działaczy harcerskich. Michał Grażyński jest prezesem Ligi Niepodległości; Zygmunt Szadkowski między innymi prezesem SPK — Oddział W. Brytania i członkiem Grupy Społecznej, Kazimierz Sabbat, swego czasu energiczny kierownik Starszego Harcerstwa, a obecnie Komisarz Zagraniczny ZHP, jest członkiem Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego. Już sam fakt kierowania energią tych ludzi w inne kanały, zuboża harcerstwo (choć mają oni wszyscy — oczywiście — prawo do wybrania osobistej kariery). Poza tym dać to musi dość ściśle powiązania z wojującą polityczną emigracją, podczas gdy zadania emigracyjnego harcerstwa, powiedzieć trzeba bez żenady, leżą na polu polonijnym. Wiek wychowanków o tym decyduje.

W rozmowach z czołowymi przedstawicielami emigracyjnego życia społecznego zapewniano nas parokrotnie, że okres walk politycznych na terenie organizacji społecznych już minął, że jest to sprawa przeszłości, sprawa zamknięta. Wydaje się, że nie jest to twierdzenie bez podstaw. Ale okres intensywnych walk wewnętrznych pozostawił kompleksy, które dziś ciążyą nad życiem organizacji i stanowią jedną z przyczyn kryzysu. By zrozumieć więc stan obecny, cofnąć się musimy do lat najbardziej burzliwych.

Walki ugrupowań politycznych na terenie organizacji społecznych były chyba nieuniknionym następstwem sytuacji, w której partie nie mogły spełniać swych naturalnych funkcji. Koncepcja „Państwa na wygnaniu”, zakładająca potrzebę restauracji całego aparatu władzy i systemu politycznego, dodała impetu dążeniom do odbudowania wszelkich możliwych ugrupowań na emigracji. Jednocześnie normalna walka o władzę nie była możliwa, tworzenie i ścieranie się programów nie mogło mieć miejsca: Koncepcja „Państwa na wygnaniu” szła w parze z doktryną, według której mandaty stronnictw politycznych pochodzą z Kraju, co wyłączało cały system spod demokratycznej kontroli społeczeństwa emigracyjnego. Z drugiej strony udział w „parlamencie”, czy „rządzie” emigracyjnym, bez jakiegokolwiek władzy wykonawczej, nie mógł zaspokoić naturalnych aspiracji tych ugrupowań. Jediną znośną namiastką władzy mogła być kontrola nad organizacjami społecznymi, posiadającymi znaczny majątek i spore wpływy w społeczeństwie. Stąd walka o tę kontrolę, tym ostrzejsza, że tocząca się w małym i zamkniętym świecie, i prowadzona przez polityków, nie odpowiedzialnych bezpośrednio przed wyborcą (rzecz jasna, nie mówimy o odpowiedzialności wewnętrzno-organizacyjnej).

O życiu politycznym mówimy szerzej gdzie indziej. Tutaj zajmujemy się tylko jednym jego aspektem.

Walki na terenie organizacji społecznych pozostawały zawsze w pewnym związku z podziałami ściśle politycznymi. Ujawniły się one po śmierci prezydenta Raczkiewicza, w roku 1947, kiedy spór o następstwo podzielił ugrupowania polityczne na dwie grupy: te, które weszły w skład Rady Narodowej, „parlamentu” uznającego legalność Augusta Zaleskiego i na grupę opozycyjną, której reprezentacja znana była jako Rada Polityczna. Walki na terenie organizacji społecznych zaostrzyły się w początkach lat pięćdziesiątych, by swój punkt kulminacyjny osiągnąć w latach 1954-55, kiedy fiasko misji gen. Sosnkowskiego

doprowadziło do nowego rozłamu, na tzw. „Zamek” i „Zjednoczenie”. Konflikty te nie oszczędziły chyba żadnej z większych organizacji społecznych. Na terenie SPK głównymi rywalami były: Stronnictwo Narodowe, NiD i Grupa Społeczna i przez szereg lat szala chyliła się raz w jedną, raz w drugą stronę; na terenie Związku Robotników i Rzemieślników Polskich toczyła się wojna pomiędzy PPS i NiD'em; Polska Macierz Szkolna od lat uważana już jest za domenę Stronnictwa Narodowego; w Związku Inwalidów PPS walczyło ze Stronnictwem Narodowym; w Zjednoczeniu Polek, gdzie kiedyś duże wpływy miało PPS, ostatnio przewagę uzyskało SN; Związek Harcerstwa Polskiego, rządzony, upraszczając sprawę, przez sanację — sojusz Ligi Niepodległości z Grupą Społeczną — znajdował się kiedyś pod ostrym ostrzałem Stronnictwa Narodowego itd.

Oczywiście tego rodzaju lista upraszcza całe zjawisko. Ale pokazanie tych walk w proporcjach prawdziwych, porozdzielanie wszystkich zagmatwanych lojalności, ustalenie odpowiedzialności byłoby zadaniem ogromnym i — właściwie — bezcelowym. By jednak dać dokładniejszy trochę obraz tych walk i ich bezpośrednich następstw, wybraliśmy przykład dość jaskrawy: Związek Robotników i Rzemieślników Polskich.

Związek Robotników i Rzemieślników Polskich powstał jeszcze w roku 1940 i korzystając z pomyślniej koniunktury, nawiązał stosunki z niektórymi brytyjskimi Związkami Zawodowymi. W roku 1943 podpisano umowę z jednym z większych związków, *National Union of General and Municipal Workers*, na podstawie której członkowie ZRRP zyskują prawo do normalnej pomocy Związkowej, wzamian za co NUGMW brał 7d. z szylingowej składki płaconej ZRRP. Po wojnie szereg innych związków i *Board of Trade* zgodziły się honorować świadectwa kwalifikacji fachowych, wydawanych przez Komisję Weryfikacyjną ZRPP. Opinie i rekomendacje ZRRP brane też były pod uwagę przez *Labour Exchange*.

Przy tym liberalnym i praktycznym stosunku władz brytyjskich do ZRRP zdawało się, że Związek ma obiektywne możliwości do rozwinięcia się w organizację potężną i potrzebną. Przez pierwsze lata, wszystko szło stosunkowo gładko. Już według spisu z 1949 stan organizacyjny Związku wynosił 77 kół (terytorialnych i hostelowych) i 6.153 członków, a w 1953 11.022 członków. Była to wtedy niewątpliwie jedna z najsilniejszych organizacji emigracyjnych.

ZRRP miał tradycyjnie mocne powiązania z PPS i przez szereg lat pozycji PPS nikt nie próbował atakować. Dopiero NiD, ugrupowanie „młode” i według własnego mniemania rady-

kalne, spróbowało monopol ten podważyć i, ewentualnie, przejąć. Do rozgrywki doszło na walnym zebraniu organizacji; w 1953 roku w Birmingham. Kłótnie wybuchły w łonie „komisji matki”, gdzie na stanowisko prezesa ZRRP stawiano dwie kandydatury: dotychczasowego prezesa, p. Michalskiego, za którym — paradoksalnie — stał murem NiD i p. Górki, członka PPS i Rady Głównej Związku. Spory sparaliżowały walne zebranie do tego stopnia, że kiedy upłynął dwudniowy termin obrad, zarząd wciąż nie był wybrany. Część delegatów opuściła wtedy salę, a reszta, pozostając, obrała Zarząd z p. Górką na czele. Nieobecna, „Nidowa” grupa oświadczyła, że wybór jest nieważny, bo jakoby na sali nie było plenum. Zwołano też „dalszy ciąg” zebrania w Birmingham i wybrano drugi zarząd z p. Michalskim na czele. Próba grupy p. Górki uzyskania orzeczenia sądowego, rozstrzygającego legalność wyboru nie powiodła się. Rozpoczęła się natomiast przewlekła i kosztowna sprawa sądowa i bezpardonowa walka, pożerająca energię i zasoby gospodarcze organizacji i podważająca jej autorytet. W rezultacie w 1959 odłam p. Górki skupiał 1.089 członków. Nie znamy dokładnych cyfr co do drugiego odłamu, ale przypuszczalnie zamknie się on w tych samych granicach. Nie trzeba chyba dalszych dowodów na szkodliwość rozłamu.

W miarę jak płynęły lata, walka traciła charakter ściśle polityczny, stawała się natomiast coraz bardziej personalna.

Dlatego też ponawiane od czasu do czasu próby porozumienia spełzły na niczym. Ostatnią taką i może najbardziej dramatyczną próbą była w roku 1959 inicjatywa dwóch kół w Birmingham, należących do dwu przeciwnych odłamów. Inicjatywa szła od dołu i wydawało się przez jakiś czas, że ma szansę powodzenia. Doszło do spotkania inicjatorów, pp. Królikowskiego i Lesińskiego, z pp. Górką i Michalskim i wydanie wspólnego oświadczenia o powołaniu „Komisji Zjazdowej”, której zadaniem miałyby być zwołanie wspólnego Nadzwyczajnego Walnego Zjazdu, który wybrałby władze i zlikwidował spór.

Zjazd został wyznaczony na czerwiec 1959, ale, nim do niego doszło, projektowana zgoda już się rozleciała.

Pewnego rodzaju epilogiem tej sprawy był list w „Dzienniku Polskim”, datowany 4 sierpnia 1959 roku i podpisany przez Tadeusza Prokopowicza, działacza PPS i prezesa Samodzielnego koła ZRRP w Birmingham, wchodzącego swego czasu w skład „Związku p. Górki”. P. Prokopowicz pisał między innymi: „Gdy jako samodzielne Koło ZRRP rozpoczęliśmy pracę nad scaleniem rozdwojonego związku robotniczego w W. Brytani

przyświecała nam myśl wprowadzenia naszego związku na właściwy tor służenia interesom robotnika i rzemieślnika polskiego w tym kraju. Niestety, osobiste ambicje przewyciężyły zdrowy rozsądek i nadal mamy dwa Zarządy Główne i dwie skłócone grupy, które oczywiście w tych warunkach prawie nic lub bardzo mało mogą dać robotnikowi czy rzemieślnikowi polskiemu w W. Brytanii.

W tej sytuacji członkowie Samodzielnego Koła ZRRP w Birmingham na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu w dniu 12 lipca postanowili przejść na realną i właściwą pracę związku zawodowego i Koło nasze pracuje obecnie jako Sekcja Polska przy *General and Municipal Workers Union*". Dalszy ciąg listu poświęcony jest uzasadnieniu tego kroku.

Przykład Samodzielnego Koła z Birmingham na razie naśladowców nie znalazł. Obydwa odłamy będą zapewne wegetowały jeszcze czas dłuższy. Organizacja, która mogła odegrać na emigracji ogromną i pozytywną rolę, prawie na pewno już nie odżyje.

Rozłam w ZRRP jest wypadkiem krańcowym, ale całkiem typowym. Przed kilku laty praktycznie każdy walny zjazd każdej organizacji społecznej był momentem kryzysu. Przed walnym zjazdem stronnictwa mobilizowały swe kadry, delegatów na zjazd wybierano według partyjnego klucza. Obrady stały pod znakiem zakulisowych manewrów, ataków i kontrataków, prób rozszyfrowania intencji przeciwników politycznych. Każde starcie mogło mieć w sobie zarodki poważnego i długotrwałego rozłamu.

Atmosfera stała się zdrowsza z chwilą kiedy gen. Sosnkowski podjął się swej misji zjednoczenia. Można było mieć nadzieje, że naprawa stosunków politycznych pociągnie za sobą likwidację walk o kontrolę organizacji społecznych. Czynniki społeczne, na równi z politycznymi, brały udział w organizowaniu nacisku opinii publicznej na „górze” obydwu obozów. Niektóre ośrodki, jak np. Manchester (gdzie zresztą walki polityczne nigdy nie przekroczyły rozsądnych granic) całkowicie zaangażowały się po stronie „akcji zjednoczeniowej”. Tym głębsze było rozczarowanie, kiedy akcja ta dała wynik odwrotny od zamierzonego. Reakcje były dwojakie: zniechęcenie i apatia jeśli chodzi o szeregi szarych członków organizacji i niektórych działaczy, nie posiadających powiązań ani temperamentu politycznego, lub niesłuchanie gwałtowny wybuch namiętności politycznych u ludzi, którzy takie powiązania mieli, nie koniecznie należąc do stronnictw. Na porządku dziennym były rozmyślnie próby rozbicia zebrań strony przeciwnej, z głębokim poczuciem słusz-

ności sprawy po obydwu stronach. Organizacje społeczne stały wobec nacisków, by zadeklarować swą lojalność jednej ze stron. Paradoksalnie, obydwa obozy używały tych samych argumentów: że spór nie ma nic wspólnego z partyjną polityką, że chodzi o decyzje natury moralnej; lub nawet, że powstrzymanie się od zadokumentowania swojej lojalności byłoby czynem politycznym. Ogólnie biorąc, na terenie głównych organizacji społecznych, wygrał „obóz Zjednoczenia”. Po oświadczeniu gen. Andersa w sierpniu 1954 r. że przestaje uznawać Augusta Zaleskiego jako prezydenta Rzeczypospolitej, między innymi delegaci zarządów SPK, Zjednoczenia i ZHP zostali przyjęci przez generała i zgłosili swą lojalność powstającej „Radzie Trzech”.

Czas — i wypadki w Kraju — uśmierzyły namiętności polityczne. Ale szkoda została wyrządzona. W świadomości ludzkiej i SPK i Zjednoczenie — federacja emigracyjnych organizacji społecznych — połączone zostały z „Obozem Zjednoczenia”, a więc stały się częścią całego „emigracyjnego bałaganu”. Nie pomaga obecne umiarkowanie ludzi stojących na czele SPK, ostrożność, by nie przejawiać swych lojalności politycznych zbyt jaskrawo. Mówiono nam np. w SPK, że gen. Anders zapraszany często na wszelkiego rodzaju kombatantkie imprezy, występuje jako były wódz, nie jako członek Rady Trzech i że tej formy skrupulatnie się przestrzega. Należy jednak wątpić, czy subtelność ta jest doceniana, powiedzmy, przez „zamkowców”. Tym bardziej, że personalne powiązania ludzi, stojących na czele SPK i Zjednoczenia Polskiego z „obozem Zjednoczenia”, są dość powszechnie znane. Jednocześnie przyznać trzeba, że osoba gen. Andersa, choć politycznie kontrowersyjna, posiada wciąż swój ciężar gatunkowy w kofach jego byłych żołnierzy. Ktokolwiek chciałby urządzać życie społeczne emigracji, musi liczyć się z osobistym wpływem gen. Andersa. Dla pewnej mniejszości jednak nazwisko generała jest czerwoną płachtą i zwalczają oni każdą organizację, w której widzą jego wpływy.

Obecnie sytuacja unormowała się na tyle, że na niższych szczeblach organizacji takiej jak SPK znaleźć można pojedynczych „zamkowców” lub „mikołajczykowców”, ale nie mają oni żadnych szans na zajęcie kluczowych stanowisk. Walki polityczne pomiędzy stronnictwami też praktycznie ustały. Znaleźć można członków Stronnictwa Narodowego i PPS współpracujących ze sobą w pełnej harmonii. W „terenach”, w konkretnej pracy społecznej, przynależność polityczna działaczy nie gra już wielkiej roli. Ale przed walnym zjazdem organizacji, delegatów wybiera się wciąż według partyjnego klucza: stronnictwa upar-

cie bronią swego obecnego stanu posiadania. Jest to jednak obecna taktyka prawie całkowicie defensywna; okres agresji już minął.

Pisząc o walkach na terenie organizacji społecznych nie można pominąć konfliktu w formie całkowicie apolitycznego: konfliktu organizacji społecznych z parafiami. Pisaliśmy o nim dość szeroko w reportażowej części książki, głównie przy Birmingham, także w wypadku Falkirk, Rochdale, Manchester.

W W. Brytanii mieszka ok. 90 polskich księży. Na jednego kapłana przypada więc około 1.400 Polaków, choć w rzeczywistości z usług religijnych polskich księży korzysta zapewne nie więcej niż połowa emigrantów. Istnieje 76 stałych placówek duszpasterskich podzielonych na 12 rejonów. Prawie wszyscy księża, poza obsłużeniem własnej parafii dojeżdżają do jednego lub dwóch innych ośrodków. W sumie istnieje około 175 ośrodków duszpasterskich. 13 ośrodków posiada dziś własne Domy Parafialne choć nie w każdym mieści się klub. Są to Birmingham, Blackburn, Coventry, Falkirk, Halifax, Leeds, Manchester, Newcastle, Nottingham, Oldham, Reddich, Rochdale, Wolverhampton. Liczba domów powiększa się z roku na rok. Po dwóch świeżych nabytkach na przestrzeni roku, to samo można powiedzieć o kościołach. Obecnie istnieją na Wyspie trzy całkowicie polskie kościoły: na Devon Rd. w Londynie, w Manchester i w Bradford. Można mieć nadzieję, że przybędą jeszcze dalsze, np. dosyć zaawansowane są przygotowania do kupna drugiego kościoła w Londynie w parafii na Clapham. Częścią tego samego systemu jest poza tym zakład OO. Marianów w Fawley Court (gimnazjum i internat dla chłopców), bursa dla chłopców w Hereford, także prowadzona przez ks.ks. Marianów i szkoła z internatem dla dziewcząt SS. Nazaretanek w Pitsford. Dołączyć do tego należy świeckie stowarzyszenia i instytucje katolickie, współpracujące bardzo ściśle z emigracyjną hierarchią kościelną: Instytut Polskiej Akcji Katolickiej, koordynujący prace terenowych komitetów Akcji Katolickiej, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Fundacja „Veritas”, która jest instytucją powierniczą dla Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „Veritas” i dla Katolickiego ośrodka wydawniczego „Veritas”, posiadającego własną drukarnię i „Iuventus Christiana” Organem powierniczym majątku kościelnego jest Polskie Towarzystwo Dobroczynności (*Polish Benevolent Fund*), które, jako osoba prawna (*charity*) jest centralą wszelkich akcji charytatywnych i właścicielem Domów Parafialnych.

Duchowieństwo polskie na emigracji jest więc w posiadaniu aparatu na tyle silnego, że może się on stać poważną konkuren-

cją dla organizacji społecznych, z SPK na czele. Właściwie należy tu opuścić tryb warunkowy; rywalizacja jest faktem dokonanym. Czołowi przedstawiciele organizacji społecznych przyznają się do tego nieśmiało, ostrożnie dobierając słowa. Polakom trudno jest walczyć z duchowieństwem, a tym trudniej na emigracji. Księża natomiast formułują swój punkt widzenia na temat tego konfliktu często w sposób całkiem dobitny. W reportażu z Birmingham, omawialiśmy te sprawy dość szeroko, na przykładzie ks. dziekana Kąckiego i tamtejszego Koła Katolickiego. Birmingham jest swego rodzaju poligonem eksperymentalnym, wprowadzającym w życie bardzo konkretną i radykalną koncepcję zamknięcia całego polskiego życia społecznego w ramach organizacji parafialnej. W żadnym z innych ze znanych nam ośrodków nie ma na razie organizacji parafialnej rozbudowanej tak szeroko. Ale konflikty, nieraz ostre, z organizacjami społecznymi, są na porządku dziennym. Poza wypadkami, opisanymi przez nas w części reportażowej, znane są zatargi w Halifax, Mansfield, Swindon, Newcastle i w innych ośrodkach. Zatargi przyjmują różne formy, zależnie od osobowości proboszcza, działaczy społecznych i specyfiki środowiska. Są zresztą nieliczne skupiska, gdzie zatarg ten wcale nie zaistniał. Zapewne nie ma szczegółowych instrukcji odnośnie stosunku do organizacji społecznych, ale każdy polski kapłan wie, że projekty otwarcia domu i klubu katolickiego i jak najściślejszego związania życia społecznego z parafią będą przez jego zwierzchników dobrze widziane i że w ewentualnych konfliktach może on liczyć na zrozumienie i poparcie swych władz.

Ośrodkiem dyspozycyjnym jest Misja Polska na Devon Rd. w Londynie i jej głowa — ks. prałat Staniszewski, któremu przysługuje tytuł Wikariusza Generalnego i Dyrektora Narodowego. Formalnie ks. prałat dzieli się odpowiedzialnością z ks. infułatem Michalskim; ks. Staniszewskiemu podległe są parafie miejskie, ks. Michalskiemu kapelanowie obozowi. W praktyce różniczenie to nie jest takie proste; ci sami księża nieraz obsługują ośrodki hostelowe i miejskie. Dwaj dostojnicy podpisują więc oficjalne okólniki razem. Wydaje się, że ks. Infułat Michalski, związany jest raczej z nową, polityczną emigracją i używa swego wpływu w kierunku zlikwidowania zatargu z organizacjami społecznymi; ale jego wpływ nigdy nie był zbyt duży, a ostatnio, po likwidacji hosteli, zmalał tym bardziej. Ks. prałat Staniszewski jest całkownie świadom konfliktu, jaki zaistniał, ale wierzy, że z walki tej obronną ręką wyjdzie sieć organizacji parafialnych. Uważa, że cały system stworzony przez emigrację polityczną musi z biegiem czasu umrzeć śmiercią naturalną, pod-

czas gdy system parafii ma szanse przetrwania. Pozwala takie nadzieje budować encyklika papieska z 1951 roku, „Exul Familias”, stwierdzająca, że wszyscy uchodźcy mają prawo do opieki religijnej we własnym języku. Ksiądz prałat Staniszewski uzbrojony jest w ważne argumenty za słusnością koncepcji parafialnej, pomijając analogie z polonią amerykańską, które wydają się nam fałszywe: organizacje społeczne wyrosły z założeń tymczasowości uchodźstwa, podczas gdy ksiądz prałat od początku postulował, że niezależnie od nadziei na rychły powrót do Kraju, praca duszpasterska prowadzona musi być tak, jakby osiedlenie miało charakter stały; efektywność organizacji społecznych paraliżowana jest przez ich polityczne powiązania, których emigracyjna hierarchia kościelna, jako całość nie posiada. Ks. Staniszewski jest w stanie przytoczyć tu szereg przykładów z okresu rozłamu na „Zamek” i „Zjednoczenie”, kiedy obydwie strony starały się zaangażować duchowieństwo w sporze. Samo pojawienie się Augusta Zaleskiego z orszakiem w kościele na Devon Rd. stwarzało delikatną sytuację, z której wyjście wymagało dyplomacji i zdecydowania.

Powody zatargu widzi ks. prałat między innymi w pewnych nawykach psychicznych „społeczników”, wynikających z kombatanckiej genezy organizacji: skłonność do traktowania księży jako kapelanów, stanowiących część składową tej samej struktury. (Zapewne w oskarżeniu tym jest ziarno prawdy, szczególnie jeśli cofniemy się o kilka lat wstecz. Obecnie tendencja ta zredukowana została do rozmiarów *wishful thinking*. Nie widać, by manifestowała się na zewnątrz w jakichkolwiek deklaracjach lub posunięciach). Lokalne, „terenowe” zatargi powstają często dlatego, że we władzach miejscowych komórek organizacyjnych zasiadają „nie-katolicy”: mieszane małżeństwa zawarte w kościele protestanckim, lub tylko w urzędzie stanu cywilnego, a czasem pary obywające się w ogóle bez ślubu. Rzeczywiście, i my na prowincji szereg razy spotykaliśmy się z rozgoryczeniem i narzekaniami na tym tle. Słyszeliśmy o wypadkach, w których ksiądz piętnował z ambony znanych działaczy społecznych za życie w grzechu. Problem jest dość powszechny, bo Angielki często nie zgadzają się na ślub w świątyni katolickiej, a Polacy, którzy mają żony w kraju, albo uzyskują prawną separację nieuznaną przez kościół katolicki, albo zakładają „nieoficjalną” rodzinę. Paradoksalnie, czasami uważają że na starania rozwodowe nie pozwalają im przepisy wiary.

W „Gazecie Niedzielnej”, w artykule redakcyjnym T. Borowicza z 10 lipca 1960, zatytułowanym „Narodowe i Społeczne Znaczenie Parafii” znajdujemy echa tych spraw obok

raczej bezceremonialnego sformułowania tezy o specjalnej roli duszpasterza. Czytamy tam:

„Są bowiem pewne sprawy, w których duszpasterz nie może ustąpić i w których musi on mieć głos decydujący i ostateczny. Musi, z natury swego duszpasterskiego urzędu. Wiele spraw spornych odnosi się do nauczania dzieci w szkołach sobotnich. ...duszpasterz musi wymagać spełnienia pewnych warunków ze strony organizatorów szkoły i ze strony personelu nauczającego. On bowiem właśnie, ksiądz, jest odpowiedzialny za kierunek nauczania, wychowanie religijne i moralną atmosferę tych prac oświatowych i wychowawczych. W tych sprawach nie może być kompromisu pomiędzy organizacją kościelną i świecką i pod tym względem praca społeczna musi pozostawać pod opieką i nadzorem duszpasterza parafii.

Nie może być także dla duszpasterza rzeczą obojętną to, jacy ludzie prowadzą różne prace społeczne, i czy nie są to ludzie, którzy są przyczyną publicznego zgorznienia. Nie można tu pominąć starej i wciąż bolesnej sprawy epidemii rozwodów i ślubów cywilnych na emigracji. Jakże, w oczach duszpasterza katolickiego, mogą wyglądać ludzie, którzy stoją na czele różnych prac społecznych, przewodzą różnym przedsięwzięciom, reprezentują społeczeństwo polskie w zakresie takich czy innych prac społecznych, a równocześnie mają nieuregulowane sprawy osobistego czy rodzinnego współżycia, i są pod tym względem bardzo, bardzo nie w porządku? Jakże może duszpasterz katolicki być obojętnym, jeśli ludzie tacy zajmują się wychowywaniem cudzych dzieci, nauczaniem ich w szkole sobotniej?”.

Komentarze są zbędne.

Ostatnim i nie najmniej ważnym punktem zapalnym są sprawy gospodarcze. Parafie, wciąż jeszcze znajdujące się w stadium budowy, stale rozszerzające swój stan posiadania, nie mają subsydiów z zewnątrz, zależne są całkowicie od tego, co zbiorą i wygospodarują wśród wiernych. Na tacę w czasie mszy Polacy dają sumy raczej skromne. Imprezy dochodowe, klub lub sklepik, oznaczają od razu konkurencję z domem SPK czy jakąś inną centralą społeczną. Ale tutaj też obok sprzecznych interesów istnieją możliwości pojednania. W tych ośrodkach, gdzie organizacje społeczne okazały hojność wobec parafii i pomagają jej materialnie, stosunki wyraźnie się poprawiły. Charakterystyczne jest że w Manchester, gdzie SPK pomagało w przeprowadzeniu zbiórki na fundusz kościelny, po kupnie kościoła stosunki z parafią ułożyły się zupełnie dobrze. W ogóle na przestrzeni ostatniego roku odczuć się daje pewne złagodzenie sporu. Być może stopniowe kurczenie się polskiego życia społecznego na terenie wyspy, uzmysłowiło obu stronom szkodliwość tych konfliktów.

Należy wątpić, czy konflikt ten da się usunąć całkowicie. Jest to przecież starcie się dwóch różnych koncepcji urządzenia emigracji: koncepcji polonijnej, reprezentowanej przez parafie i koncepcji uchodźstwa politycznego, z pozostałościami „Pań-

stwa na wygnaniu", idącej tylko na absolutnie konieczne kompromisy ze zmieniającym się charakterem osiedlenia.

Próby zmian

Zmniejszające się stopniowo stany organizacji były sygnałem ostrzegawczym. Wypadki październikowe w Polsce, stawiając znak zapytania nad całym status quo, stworzyły klimat przychylny dla rozwoju koncepcji reform.

Odzywały się głosy nawołujące do radykalnych zmian. Na stroje na walnych zebraniach pod koniec 1957 roku były takie, że gruntowne reformy wydawały się być tylko kwestią czasu. Powołano do życia Komisję Studiów pod przewodnictwem W. Donigiewicza przy Zjednoczeniu Polskim i Biuro Studiów przy SPK. Obydwa zespoły zastanowić się miały nad potrzebą zmian struktury organizacyjnej i sformułować swoje propozycje. W obu czynny był Jarosław Żaba z Manchester i jego referat przedstawiony w Biurze Studiów SPK formułował punkt widzenia najdalej idący. Czytamy tam na przykład: „...wynika jasno, że podział na starą i nową emigrację jest co najmniej nieuzasadniony, jeżeli nie wręcz szkodliwy”. I dalej: „Można wręcz zaryzykować twierdzenie... że nawet w razie odzyskania pełnej wolności, większość osób polskiego pochodzenia, żyjących dziś w wolnym świecie, a nawet większość nowej emigracji do Kraju nie wróci głównie ze względów materialnych. W interesie narodu polskiego leży utrzymanie swej części w wolnym świecie, byle by tylko ta część była w ścisłym związku z tronem narodu na ziemi ojczyściej. ...SPK powinno już obecnie swą koncepcję organizacyjną oprzeć na przewidywaniu potrzeby *długotrwałej pracy poza granicami ojczyściego kraju*” (podkreślenie J. Żaby). Opierając się na tych przesłankach, referent proponuje przekształcenie SPK w organizację o charakterze powszechnym.

Niejako dopełnieniem referatu był wniosek manchesterskiego koła SPK na Zjazd Oddziału, o następującym brzmieniu:

„SPK jako najliczniejsza organizacja społeczna na terenie W. Brytanii powinno systematycznie dążyć do uproszczenia skomplikowanej obecnie struktury życia organizacyjnego naszego uchodźstwa oraz objęcia nią społeczeństwa ciągle niezorganizowanego. W tym celu w roku bieżącym należy przede wszystkim:

a) dążyć do objęcia członkostwem SPK kombatanatów należących do innych organizacji kombatanckich jak lotnicy, marynarze, spadochroniarze, Akowcy, najlepiej za specjalną, zniżoną składką członkowską.

b) dążyć do upowszechnienia naszej organizacji poprzez współpracę w ramach „Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii” i uznanie SPK za orga-

nizację powszechną, do której powinien należeć każdy Polak, niezależnie od tego, do jakiej innej organizacji należy”.

Przez jakiś czas zdawało się, że dojść może do poważnych zmian. Okazało się jednak, że konserwatyzm organizacji i różnego rodzaju opory są zbyt wielkie. Największą chyba przeszkodą dla zmian jest wspomniany już stan zupełnej neutralizacji, wynikający z nieoficjalnego podziału wpływów pomiędzy ugrupowania polityczne. Neutralizacja ta umożliwia funkcjonowanie normalnej rutyny pracy społecznej bez przeszkód, ale — sztywniejac — paraliżuje wszelkie poczynania zmierzające do zmiany obecnego porządku. Grupy wewnątrz organizacji pogodziły się, ogólnie biorąc, ze stanem, w ramach którego nie mogą mieć nadziei na zdobycie pozycji dominującej, ale są wystarczająco silne, by udaremnić zakusy potencjalnych rywali. Nowa koncepcja grozi zburzeniem tej równowagi sił, i budzi groźne widma „polonijności”.

Nowe koncepcje nie mogą też liczyć na całkowite, szczerze poparcie ludzi, stojących od paru lat na czele SPK i Zjednoczenia, nawet abstrahując od ich powiązań politycznych. Jak już mówiliśmy, ludzie ci stworzyli sobie niezły aparat i administrują majątkiem organizacji na ogół sprawnie. Ale w takich sytuacjach wychodzą na jaw ich ograniczenia. Są to jednostki o umysłowości raczej urzędniczej, które same żadnej radykalnej koncepcji nigdy nie wyprodukują, a w stosunku do obcej zajmą zawsze defensywne, podejrzliwe stanowisko. Zastąpić tych ludzi byłoby niezmiernie trudno, nawet zakładając, że walne zebranie miałoby po temu ochotę. Wybór praktycznie jest ograniczony do społeczników londyńskich, a wśród tych nie widać żadnej świeżej i dynamicznej osobowości.

Dodać trzeba, że nie istnieje na emigracji szeroka opinia publiczna, która by mogła naciskać na społeczników w jakimkolwiek kierunku. Debaty na ten temat nie wychodziły z zasady poza ścisłe grono osób bezpośrednio zainteresowanych.

Są jednak środowiska, które w dalszym ciągu widzą potrzebę zmian. Rodzą się koncepcje mniej lub bardziej realne. Do mniej realnych zaliczyć trzeba interesujący zresztą projekt lansowany przez sekretariat jednego z odłamów ZRRP (tego, w którym dominował kiedyś NiD) zorganizowania życia społecznego na bazie Polskich związków zawodowych. Stosunek tych organizacji do „kierownictwa politycznego emigracji” miałby być wzorowany na stosunku brytyjskich związków zawodowych do *Labour Party*. Ale koncepcja taka natrafiłaby na tym większe

opory ze strony czynników politycznych i społecznych, a poza tym nie istnieje właściwie baza, na której można by się oprzeć. Emigracyjne organizacje zawodowe są na ogół słabe i rzadko „zawodowe” w ścisłym tego słowa znaczeniu.



Pisaliśmy już o ZRRP — rozpaczliwie rozbitym i zżartym wewnętrznymi walkami — i o Związku Rolników, dobrze zorganizowanym ale małym i samowystarczalnym, którego główny wkład do emigracyjnego życia, to doroczne „Dożynki” i „Puszczanie Wianków”. Obok nich najważniejszą organizacją zawodową jest Stowarzyszenie Techników Polskich w W. Brytanii. Powinna to być organizacja o wielkich potencjalnych możliwościach, ogarniająca kilkutysięczną rzeszę młodej polskiej inteligencji technicznej. W rzeczywistości, niestety, jest inaczej. Jak dotychczas, w Stowarzyszeniu znalazł się jedynie bardzo drobny odsetek młodych techników. Co więcej, stan organizacji, zamiast rosnąć, spada.

Stowarzyszenie Techników jest jedną z nastarszych organizacji nowej emigracji. Założone zostało już w styczniu 1940 roku. Ewidencje z roku 1942 wykazują 2.300 inżynierów i techników polskich poza Krajem, z czego około 1.400 na terenie W. Brytanii. W roku 1943 organizacja miała 1.605 członków. W 12 lat potem, w 1955 było ich już tylko 605. Spis z 1.11. 1958, ostatni jaki posiadamy, podaje liczbę 575 członków. Od tego czasu stany utrzymują się na tym samym mniej więcej poziomie, ale na pewno nie wykazują tendencji zwykłych. W grupie inteligencji technicznej ruchy migracyjne są silniejsze niż w jakiegokolwiek innej warstwie na emigracji i mają charakter stały. Rok rocznie pewna ilość członków Stowarzyszenia opuszcza wyspę. Wyniki rekrutacji z trudem zapełniają lukę powstałą na skutek emigracji zamorskiej, zgonów i skreślenia z list członków marłych, nieuiszczających składek.

Trudno jest czynić wyrzuty za ten stan rzeczy kierownictwu organizacji. Działalność Stowarzyszenia Techników z natury rzeczy obraca się w kręgu zorganizowanego życia polskiego, a duża część młodych inżynierów, wykształconych na Zachodzie, stoi już poza tym życiem (nie jest to wcale równoznaczne z całkowitą asymilacją). Nie bardzo nawet wiadomo, jakimi drogami propagować Stowarzyszenie, by do nich trafić. Jednocześnie należenie do brytyjskich organizacji zawodowych daje korzyści, z którymi polski Związek konkurować nie może. Próby nawiązania współpracy z instytucjami brytyjskimi nie przynoszą, jak

na razie, żadnych rezultatów. Ludzi nie odznaczających się więc temperamentem społecznym, Stowarzyszenie Techników zupełnie nie pociąga.

W ramach swych skromnych możliwości Stowarzyszenie prowadzi działalność niewątpliwie pożyteczną. Wymienić tu przede wszystkim trzeba zorganizowanie kursów kreślarskich, w Londynie i w Manchester. Po ukończeniu tych kursów kilkudziesięciu Polaków uzyskało dobrze płatną pracę w przemyśle brytyjskim. Poza tym Stowarzyszenie prowadzi akcję odczytową, a od sierpnia 1958 wydaje kwartalnik „Technika i Nauka”, pismo fachowe na zupełnie dobrym poziomie. Będąc członkiem Zjednoczenia i łożąc, w miarę możliwości, na cele społeczne i oświatowe, Technicy nie mają i nie mogą mieć ambicji odegrania większej roli społecznej na emigracji.



Organizacją o interesujących możliwościach jest Związek Kupców i Przemysłowców Polskich w Wielkiej Brytanii. Założony został w marcu 1943 roku, kiedy na terenie wyspy istniały 2 polskie przedsiębiorstwa (chyba absolutne minimum potrzebne do powstania Związku?) Dzisiaj ilość firm polskich oblicza się na około 2.500. W ramach Związku istnieje sekcja właścicieli nieruchomości. Wydawany jest powielany miesięcznik „Wiadomości Gospodarcze”: istnieje kasa samopomocy. Nakładem Związku ukazuje się „Polski Informator Przemysłowo Handlowy”, dający spis polskich przedsiębiorstw we wszystkich działach. Poprzez „Informator” Związek obejmuje jedną przynajmniej formą akcji wszystkich polskich kupców i przemysłowców, z których większość do organizacji nie należy. Jest to jednak organizacja luźna, która nie wytworzyła i chyba nie wytworzy ścisłych więzów lojalności i stąd, mimo imponujących cyfr, nie zostawi chyba większego śladu w emigracyjnym życiu społecznym.



Inne organizacje zawodowe mają już prawie wyłącznie charakter tradycyjno-towarzyski. Nie ma więc na pewno żadnej analogii z brytyjskim ruchem zawodowym i koncepcja oparcia na strukturze Związków Zawodowych całego życia społecznego jest, niestety, spekulowaniem w próżni.

Ciekawsza i chyba bardziej praktyczna jest koncepcja „gminy”⁷. Niewątpliwie jest to obok parafii forma najbardziej „polo-
nijną”, nic nie zawdzięczająca politycznej genezie emigracji.

Jednym z najwcześniejszych przykładów gminy jest Towarzystwo Społeczno-Oświatowe Domu Polskiego im. gen. Wł. Sikorskiego w Glasgowie, które powstało jeszcze w roku 1954. Pierwszy punkt statutu brzmi: „Członkiem Towarzystwa może być każdy Polak (Polka) bez względu na przynależność państwową”. Towarzystwo kładzie duży nacisk na sprawy gospodarcze i w kontroli członków nad pieniądzem widzi główny warunek powodzenia gminy. Inż. Kot, jeden z założycieli i *spiritus movens* inicjatywy w Glasgow wyobraża sobie, że gdyby wszystkie ośrodki przeorganizowały się na tych samych zasadach, można by powołać do życia przedstawicielstwa skupisk, jako organy koordynujące w sprawach danego terenu, a w końcu przedstawicielstwo Polaków w W. Brytanii. Byłby to znów komitet koordynacyjny równorzędnych organizacji, raczej niż administracja całości.

Już na tym przykładzie widać, że zjawisko powstawania gmin wynika z tendencji decentralizacyjnych, z dążeń do uwolnienia się spod kurateli londyńskich centrali. Paradoksalnie, dążenia te przejawiały się ostatnio bardzo silnie na terenie samego Londynu. Istnieją już w stolicy gminy Londyn — Południe i Londyn — Zachód, są próby zorganizowania gminy Londyn — Północ. Statut Londynu — Południe tak określa cele i zadania organizacji:

„Gmina Polska Londyn-Południe jest organizacją o charakterze społecznym, która za podstawowe cele swego istnienia i działania przyjmuje organizowanie i prowadzenie życia społecznego członków gminy, a w szczególności:

1) Krzewienie miłości Ojczyzny i pielęgnowanie tradycji narodowych.

7. Jedynym ugrupowaniem politycznym, interesującym się koncepcją gminy, jest NiD. Zjazd Okręgowy NiD'u w maju 1960 r. powziął uchwałę, wyrażając pełne poparcie dla tej koncepcji. NiD odnalazł jednakże w tej koncepcji aspekty polityczne. W rezolucji czytamy między innymi: „gmina nie ma być jeszcze jedną organizacją społeczną, lecz zrzeszeniem samorządowym, którego charakter powszechny winien umożliwić działalność — na rzecz potrzeb ogólnie narodowych i własnych — także tym Polakom, którzy dotąd nie są nigdzie zorganizowani. Jednocześnie charakter powszechny gminy powinien pozwolić na przerzucenie pomostu pomiędzy dotychczasowymi formami pracy niepodległościowej, prowadzonej przez starsze pokolenie, a tym jakie są dostępne i zrozumiałe dla pokolenia wychowanego na obczyźnie”.

- 2) Wychowanie młodego pokolenia w duchu przywiązania i miłości do Narodu Polskiego i Kraju Ojczystego.
- 3) Organizowanie i prowadzenie akcji kulturalno-oświatowej.
- 4) Organizowanie akcji samopomocy społecznej, pomocy prawnej, poradnictwa, pośrednictwa pracy itp.
- 5) Organizowanie i prowadzenie czytelni i świetlic.
- 6) Urządzanie uroczystości o charakterze kościelnym i narodowym.
- 7) Urządzanie odczytów, zebrań informacyjnych i dyskusyjnych pogadanek itp.
- 8) Urządzanie imprez, zabaw, przedstawień dla celów dobroczynnych i dochodowych.
- 9) Organizowanie i prowadzenie akcji wychowania fizycznego".

Chodzi więc o pracę społeczną o identycznym charakterze, jak ta, którą wykonują obecnie organizacje społeczne, lub parafie. Różnica polega na tym, że gminy są tylko w tym celu powoływane i nie mają żadnej innej bazy, ani zadeklarowanych politycznych celów (choć „stoją na platformie niepodległościowej”). Pożywką dla rozwoju gmin jest niezadowolenie z obecnego stanu, przekonanie, że obecne kierownictwo emigracji, społeczne i polityczne, jest poza wszelką społeczną kontrolą. W statutach i oświadczeniach gmin widać wyraźnie chęć naprawienia tego stanu. W gminie Londyn — Południe członkowie zwyczajni mają czynne i bierne prawo wyborcze, prawo udziału w zebraniach Rady Gminnej, będącej organem wykonawczym, zarządem gminy (członkowie zwykli mogą być obecni na zebraniach Rady, ale bez prawa zabierania głosu i głosowania) i prawo wglądu do protokołów Rady. Na zebraniu organizacyjnym gminy Londyn-Zachód mówiono wiele o wyłanianiu władz poprzez „powszechne” wybory jej członków. Wyszła na jaw niechęć do bardziej ogranych emigracyjnych frazesów. Na tym zebraniu w Chiswick jeden z mówców, wychowany już na Zachodzie, oświadczył między innymi: „zamiast walczyć o wolność Polski, zamiast pomagać na wielką skalę Krajowi, zorganizujmy się najpierw na własnym podwórku: zanim zaczniemy pomagać innym, pomóżmy sami sobie”. Wniosek o nazwanie nowej organizacji Związkiem Wolnych Polaków spotkał się na sali z głośnym śmiechem.

Dla tak stosunkowo małej i niezależnej organizacji problemem jest zdobycie środków na działalność. Składki członkowskie, by zachęcić Polaków do wstępowania, utrzymane są na niezwykle niskim poziomie: w gminie Londyn-Południe wynoszą one 1 shilling rocznie, a więc stanowią daninę wprost symboliczną. Urządzanie imprez już nie jest tak łatwym i pewnym źródłem dochodu, jak przed kilku laty. „Ofiary i dary”, pozycja wymieniona w statucie, nie przyniosła dużo, o ile nie ma jakiegos

konkretnego i atrakcyjnego celu, na który ludzie zechcą łożyć. W tej sytuacji interesująco brzmi pomysł, wysunięty na zebraniu organizacyjnym Londyn-Zachód, stworzenia pod firmą gminy spółki akcyjnej*).

Powstające gminy są, być może, zapowiedzią przyszłego kształtu polskiego życia społecznego na terenie wyspy. Ale jest to przyszłość dość jeszcze odległa. Na razie można co najwyżej oczekiwać, że parę gmin przetrwa, zapuści korzenie, zdobędzie dla tych form prawo obywatelstwa.

*) Spółka taka powstała parę miesięcy temu.

SPORT

Rozwój sportu wśród emigracji polskiej w W. Brytanii trudno jest omawiać inaczej, jak od strony jego roli społecznej. Nie można zresztą wymagać, by osiągnięcia sportowe zawodników, zrzeszonych w klubach polskich, liczyły się w skali międzynarodowej. Wśród asów angielskich nie ma wybitniejszych sportowców polskiego pochodzenia. Pod tym względem Polonia brytyjska uboższa jest od francuskiej.

Natomiast w życiu społecznym emigracji sport gra rolę dość znaczną. Wpływ jego nie ogranicza się do ludzi, bezpośrednio sport uprawiających, ani nawet do grupy kibiców klubu. Jak wiadomo, do Anglików towarzysko niezbyt przystępnych, zbliżyć się najłatwiej właśnie przez sport. Wiele polskich klubów bierze udział w rozgrywkach lokalnych lig, coraz częściej też można spotkać Anglików, występujących w barwach drużyny polskiej¹. Rozwój sportu na emigracji jest więc czynnikiem wyjątkowym, który jednocześnie i podkreśla odrębność gromad polskich i wiąże je z życiem środowisk tubylczych. Jednocześnie imprezy takie jak mistrzostwa emigracji, organizowane w różnych dyscyplinach sportowych, zapewniają łączność klubów polskich, pomiędzy sobą. By docenić wartość tych kontaktów trzeba przypomnieć, że wiele ośrodków polskich, to wysepki odizolowane od reszty emigracji, organizacyjnie jedynie powiązane z centralami w Londynie. Sport pomaga w nawiązaniu się stosunków poziomo, z pominięciem organizacyjnej hierarchii. Współ-

1. Maud Bulbring w artykule *Post-War Refugees in Great Britain* (*Population Studies*, listopad 1954) odnotowuje ciekawy przykład sportowego zbliżenia Polaków i Anglików. 34 Polaków zamieszkałych w małym hostelu Dorchester-on-Thames założyło własną drużynę piłki nożnej. Drużyna została zaadoptowana przez miasteczko i w rozgrywkach występowała w barwach lokalnych, pod nazwą Dorchester-on-Thames.

zawodnictwo rodzi patriotyzm lokalny, co z kolei wzmacnia wewnętrzną spójność środowiska.

Obecne formy życia sportowego emigracji wywodzą się w linii prostej z wojska, a przede wszystkim z organizacji sportowych 2 Korpusu. Nie oznacza to wcale, by istniały tu jakieś rzucające się w oczy podobieństwa. Obecny obraz emigracyjnego sportu odbiega daleko od tego, co w tej dziedzinie robiono w wojsku polskim bezpośrednio po wojnie, ale poszczególne stadia rozwoju można by, mając na to czas i miejsce, dokładnie wysledzić.

2 Korpus przywiózł z Włoch do Anglii bogate, choć jeszcze młode tradycje sportowe. Podczas działań wojennych możliwości uprawiania sportu były, oczywiście, ograniczone, ale już w roku 1945 na tę dziedzinę położono szczególny nacisk. Często osiągnano poziom wcale wysoki. Piłkarska i bokserska reprezentacja Korpusu walczyły, jak równy z równym, z czołowymi drużynami włoskimi; w czwórmeću lekkoatletycznym w Udine, w którym poza 2 Korpusem udział wzięły armie amerykańska, angielska i RAF, zwyciężyli Polacy. Jesienią 1945 r., od 21 sierpnia aż do 20 listopada odbywały się mistrzostwa 2 Korpusu. Program objął konkurencje następujące: bieg na przelaj, trójbój wojskowo-lekkoatletyczny, pływanie, siatkówkę, koszykówkę, piłkę nożną, szczypiorniak, lekkoatletykę i boks. Ogółem w mistrzostwach wzięło udział 2467 zawodników, a liczba widzów sięgnęła 250.000 — cyfry, które mówią za siebie.

Prawie wszyscy ci sportowcy jesienią 1946 roku znaleźli się, wraz z 2 Korpusem, w W. Brytanii. Dopiero stąd rozpoczął się odpływ asów do kraju. Powrócił bokser Chychła, późniejszy mistrz olimpijski i dwukrotny mistrz Europy, piłkarze Kulawik, Janduda i Wiśniewski, którzy w Polsce weszli w skład drużyny reprezentacyjnej oraz czołowy koszykarz, Pawlak.

W obozach PKPR powstały drużyny sportowe, oparte na reprezentacjach wielkich jednostek 2 Korpusu i kontynuujące tradycje oddziałów. Najgłośniejszym z tych klubów był „Carpathians”, spadkobierca 3. DSK, dywizji sportowo najsilniejszej. Drużyna piłki nożnej „Carpathians” odniosła szereg wartościowych zwycięstw nad zespołami angielskimi i brała udział w rozgrywkach o amatorski puchar Anglii. Sekcja koszykówki przez jakiś czas była na terenie wyspy bez konkurencji. W 1947 r. „Carpathians” zdobyli puchar Anglii i Walii, a w meczu w Wembley pokonali reprezentację Anglii.

Inne kluby nie mogły pochwalić się sukcesami tej samej miary, choć niektóre zdobyły sobie sporą sławę lokalną. Znane było np. „Wilno”, klub skupiający sportowców dawnej 5 KDP.

Nieco później powstała drużyna koszykówki przy AZS Londyn, gdzie znalazło się między innymi, kilku graczy „Carpathians” i 5 KDP, która zdobyła sobie pozycję czołowej drużyny Anglii. W szermierce członkiem reprezentacji Anglii był szablista Połębski.

W pierwszych latach pobytu na Wyspie, życie obozowe sprzyjało kontynuowaniu dawnych form. Wraz z rozsiedleniem, zacierającym linie wojskowych podziałów, rozpoczęła się ewolucja w kierunku tworzenia klubów na bazie skupisk raczej niż oddziałów. Jakkolwiek wydawać się to dziś może dziwne, ewolucja ta odbywała się w tempie raczej wolnym. Dawne więzy wciąż były silne, nowe lojalności grupowe jeszcze nie narosły. Sportowcy woleli odbywać długie podróże, by grać z kolegami, niż szukać nowych, miejscowych kontaktów. Mimo to, już w 1948 r., obok wciąż istniejących starych, „powojkowych” klubów, powstawały nowe: „Naprzód” w Mansfield, „Unitas” w Manchester, kluby istniejące do dzisiaj². (Rzecz charakterystyczna: w okręgu górniczym w Mansfield osiedlili się polscy dipiści z Niemiec, którzy przybyli tu jako *European Voluntary Workers* i nie przeszli przez polską armię. Poza tym byli to przeważnie Ślązacy którzy tradycje sportowe wynieśli z Kraju. Stąd natychmiastowe powołanie do życia klubu).

W tym samym czasie (r. 1948), po demobilizacji, odbyło się zebranie organizacyjne działaczy sportowych. Powołano do życia Radę Wychowania Fizycznego, na którego czele stanął gen. K. Głabisz, przedwojenny prezes PZPN. Rada była właściwie komitetem koordynacyjnym, miała charakter głównie doradczy. Między innymi jej inicjatywą było wprowadzenie Polskiej Odznaki Sportowej, która w owych latach miała na emigracji spore powodzenie. Rada istniała przez cztery lata, działając coraz to bardziej niemrawo, aż w końcu uschła zupełnie. Jeszcze za jej życia postanowiono zorganizowanie na terenie W. Brytanii dorocznych polskich mistrzostw piłkarskich. Powołano w tym celu przy SPK komitet organizacyjny; pomoc finansową dało SPK i Rada W.F.

Po raz pierwszy mistrzostwa rozegrano w r. 1949. Mecz finałowy odbył się na boisku pod Slough. Mistrzem, jak zresztą i w roku następnym, została drużyna „Carpathians”. Finały mistrzostw z punktu stały się najważniejszą imprezą sportową emigracji. Na stadion w *Cannock*, pod Birmingham, gdzie, z jednym wyjątkiem, finały odbywały się od 1953 roku, przybywa, zależnie od pogody, do 4000 ludzi³. Obecni są emigracyjni dygni-

2. Klub „Naprzód” rozwiązany został w roku 1960.

3. Niezależnie od pogody, bezwzględny spadek frekwencji na prze-

tarze z gen. Andersem i prezesem SPK na czele, którym drużyny przed meczem uroczą się przedstawione. Boisko, jak twierdzą weterani sportowi, przypomina przedwojenny Stadion Wojska Polskiego. Prostokąt zielonej murawy wpisany jest w koło pochyłej szarej bieżni, na której normalnie odbywają się angielskie wyścigi kolarskie. Na okalających stadion wałach wyrastają w dzień finałów namioty z wędrownym bufetem, gdzie — za pieniądze dość słone — dostać można kielbasę, parówki, bigos, pączki i kawę. Wśród głośniego i ruchliwego tłumu zwraca uwagę duża ilość ludzi młodych. Jest to chyba jedyna emigracyjna impreza, której uczestnicy w swej większości nie przekroczyli jeszcze czterdziestki.

W ciągu dziesięcioletniej już historii mistrzostw poziom gry prawdopodobnie dość znacznie się obniżył. Jest charakterystyczne, że drużyny najsilniejsze, „Gwiazda Gdyni” i „Naprzód” (obydwie przestały istnieć w r. 1960) składały się z zawodników już nie młodych. Z kilkunastu klubów, tradycyjnie biorących udział w mistrzostwach, chyba tylko cztery: „Czarni” (Londyn), „Młodzi” (Londyn), „Unitas” (Manchester) i „Orkan” (Leicester) mają przewagę zawodników młodych. Wszystkie one reprezentują poziom raczej średni.

Odnosi się wrażenie, że mimo swej popularności, football na emigracji stopniowo podupada. Brak własnych boisk, koszta, trudności techniczne okazują się na dłuższą metę ciężarem zbyt dużym. Poza tym dużym wstrząsem dla tej gałęzi sportu jest likwidacja hosteli, które ze względu na udogodnienia treningowe, bliski kontakt zawodników i brak kontr-atakacji były dotychczas twierdzą footballu. Ostatnio przestały istnieć takie drużyny jak „Junak” z Hodgemoor, „Kresy” z Kelvedon, „Lechia” z Daglingworth, „Niemen” z Burton-on-the-Wolds.

Drugą twierdzą piłkarstwa są ośrodki górnicze, gdzie daje się obecnie odczuć światowy kryzys rynków węgla. Świetną drużynę z Mansfield „Naprzód”, utrzymywali właściwie kibice, górnicy ze Śląska, którzy na każdy apel odpowiadali deszczem funtowych banknotów. Z chwilą jednak, gdy w górnictwie pogorszyły się możliwości zarobkowania, „Naprzód” znalazł się w ciężkiej sytuacji i przestał istnieć.

Tam jednak, gdzie cofa się piłka nożna, na jej miejsce wchodzi często siatkówka (męska i żeńska), tenis stołowy lub

strzeni lat kilku jest wyraźny. Organizatorzy tłumaczą ten spadek faktem kolidowania terminu mistrzostw z okresem urlopów. Jednym z rezultatów rosnącej zamożności Polaków jest spędzanie wakacji coraz to dalej od domu, często na kontynencie. W związku z tym w 1960 roku mistrzostwa przesunięto na termin późniejszy.

koszykówka, dyscypliny sportu nie wymagające wielkich boisk i skomplikowanej organizacji. Te dziedziny wyraźnie się rozwijają i jest to chyba wskaźnik, w jakim kierunku ewolucja pójdzie w przyszłości. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat nowe sekcje siatkówki powstały w klubach „Unitas” Manchester, „Polonia” Wolverhampton, „Cracovia” Coventry, „Bałtyk” Rugby, „Sokół” Nottingham, „Świtezianka” Stafford, „Polonia” Bradford. Niektóre drużyny reprezentują wysoki poziom. Mistrz emigracji „Pogoń” z Birmingham, zdobyła pierwsze miejsca zarówno w brytyjskim „Wiosennym Festiwalu Siatkówki”, jak i w międzynarodowym turnieju, organizowanym w Londynie przez amerykańską armię.

Tenis stołowy jest w sytuacji o tyle lepszej, że jest to sport w Anglii niezwykle popularny. W lokalnych ligach angielskich gra ogółem 24 polskich sekcji. Nie wszystkie z nich biorą udział w emigracyjnych mistrzostwach. Najsilniejsze zespoły to „YMCA” Londyn (Schramm, Łappo), PKS Manchester (bracia Jutrzenka) i „Pogoń” Birmingham (Ciesielski).

Nowe sekcje koszykówki powstały w ostatnim roku w Bristolu („Iskra”) Manchester („Unitas”). Wolverhampton („Polonia”). Aktualnym mistrzem emigracji jest „Pogoń” Birmingham.

Inne dyscypliny zorganizowane są już o wiele słabiej. Sekcje tenisa istnieją tylko w Londynie „Polonia” i w Manchester. Zakład Ojców Marianów w Fawley Court organizuje rok rocznie 3 maja narodowy bieg na przełaj. Istnieje harcerski klub żeglarski. Polscy londyńczycy najbardziej zajadłe uprawiają sport motorowy. Polski Klub Motorowy liczy 200 członków, posiada budżet roczny około £ 700 i jest niezwykle aktywny. Urządza częste raidy, podobno na bardzo wysokim poziomie. Ma grupę członków fanatycznie zapalonych, nie uchylających się od roboty organizacyjnej.

Całość życia sportowego emigracji zorganizowana jest w Związek Klubów Sportowych w W. Brytanii, z siedzibą w domu SPK w Londynie. Związek powstał w roku 1953 i jest, jak mówi statut, organizacją niezależną, o charakterze sportowo — wychowawczym. Związek działa w oparciu o Oddział SPK W. Brytanii, ale zrzesza poza klubami SPK także kluby Samopomocy Lotniczej, KSM, ZHP i samodzielne. SPK subwencjonuje Związek (w roku 1960 subwencja wyniosła £ 431, przy budżecie £ 924), a poszczególne ogniwa Stowarzyszenia fundują dla drużyn nagrody.

Czołową rolę odgrywa w Związku p. T. Krasoń, swego czasu piłkarz lwowskiej „Lechii” i trener PZPN, później kierownik referatu sportowego dywizji Karpackiej i trener „Carpathians”.

W swej bogatej karierze sportowej był on także instruktorem pływania, lekkoatletyki, narciarstwa, boksu itd. — uniwersalność, która na pewno mu się obecnie przydaje. Od samego początku p. Krasoń pełni funkcje sekretarza Związku, co oznacza, że na niego spada ciężar roboty nie tylko papierkowej, załatwiania zgłoszeń na turnieje, korespondencji itp., ale, przede wszystkim, organizacyjnej. Ujęcie sportu na emigracji w stosunkowo rozsądne formy organizacyjne jest w dużym stopniu jego zasługą.

Związek myśli i o dalszej przyszłości. W roku 1960, w porozumieniu z ZHP i Związkiem Nauczycielstwa Polskiego rozpoczęto akcję organizowania drużyn sportowych młodzików. Powstało już 8 drużyn piłki nożnej. Odbyły się dwa turnieje, w Mansfield i Derby i mistrzostwa młodzików o nagrodę przechodnią ZHP.

Osobny rozdział należałoby poświęcić sportowym kontaktom pomiędzy Krajem i Emigracją. Oficjalnych kontaktów wciąż brak, pomimo batalii staczanych o to przez niektórych członków Związku. Istnieją za to i rozwijają się kontakty personalne, ułatwiane osobistymi, przedwojennymi znajomościami p. Krasonia. Stosunki są na tyle serdeczne, że nieraz przybywające do Anglii drużyny polskie spotykane są przez przedstawicieli Związku już na lotnisku. Często na boiskach, przed meczami międzynarodowymi, zespoły polskie witane są przez emigrantów kwiatami. W miarę możliwości i potrzeby emigracyjni działacze sportowi starają się też pomagać przybyłym z kraju sportowcom w różnych praktycznych sprawach.

Inna forma „sportowych” kontaktów to przyjazdy młodzieży na dłuższy urlop, do rodziny. Prawie w każdej drużynie polskiej w Anglii można obecnie znaleźć 2-3 zawodników z kraju.

Tak się złożyło, że gwałtowny rozwój niektórych gałęzi sportu zbiegł się w Polsce z Październikiem. Konsekwencją jednego i drugiego był wielki wzrost ilości zagranicznych startów polskich zespołów. Jednocześnie duma narodowa Polaków na obczyźnie, wygłodzona długotrwałym postem karmić się zaczęła zwycięstwami odnoszonymi przez Polaków na arenie międzynarodowej. Dla wielu, chodzenie na polsko-brytyjskie mecze jest patriotycznym obowiązkiem. Nawet na spotkaniu drużyn bokserkich Polski i Anglii zauważyć można na widowni eleganckie panie z emigracji, u których zamiłowania do tego sportu nikt by nie podejrzewał.

Wśród młodych zainteresowanie sportem w Kraju jest na ogół żywe. „Przegląd Sportowy” jest chyba na emigracji najbardziej popularną gazetą krajową, a w niektórych skupiskach prowincjonalnych praktycznie jedyną, jaka dociera.

ŻYCIE POLITYCZNE

Kiedy w czerwcu 1940 roku Naczelnny Wódz i Premier Rządu Polskiego, gen. Władysław Sikorski lądował na Wyspie brytyjskiej, przyszłość nie rysowała się różowo. Ale nikt w tym czasie nie mógł przewidzieć, co Polskę czeka. Nikt też nie przewidział, że legalne władze polskie, przebywające na obczyźnie, nie tylko będą musiały uznać swój powrót do kraju za niemożliwy, ale że stracą poparcie zachodnich sojuszników.

Ale nawet wtedy, kiedy państwa zachodnie cofały swoje uznanie dla rządu polskiego w Londynie — a więc dla władz, co do których legalności nie mogło być żadnych wątpliwości, przy całym tragizmie „Polski raz jeszcze zdradzonej przez Zachód”, sytuacja rządu polskiego w Londynie nie była zupełnie beznadziejna. Tragedie są zwykle pełne wzniosłości — słuszność była po stronie pokrzywdzonych. Linia polityczna rysowała się jasno: trwać, nie rezygnować z uprawnień, nie uznawać umów międzynarodowych powziętych bez współudziału przedstawicieli legalnych władz polskich, oprzeć się o masy emigracyjne, utrzymać instytucje państwowe reprezentować głos wolnej Polski, prowadzić niezależną polską politykę, czekać na nieunikniony konflikt między Zachodem a Wschodem, który odwróci serca byłych zachodnich sojuszników ponownie ku legalnym władzom polskim. Uratować ile się da: zachować potencjał wyzwolenczej armii polskiej, zachować niezależną myśl polityczną, kontynuować ruchy polityczne które w kraju zaczynały być glajchszaltowane, utrzymać i rozwijać wolną kulturę polską. Otwierała się jakby era nowej Wielkiej Emigracji, z tą tylko różnicą, że nikt, albo prawie nikt, nie wierzył, aby miała ona trwać lat dwadzieścia i więcej.

Jakkolwiek państwo polskie na wygnaniu nigdy nie było wolne od ostrych konfliktów wewnętrznych, legalne władze w chwili, gdy rządy zachodnie cofały im uznanie, liczyć mogły na pełne poparcie uchodźstwa. Nikt z pozostających na emigracji Polaków nie kwestionował, że jest tylko jeden legalny Prezydent Polski, Władysław Raczkiewicz, jeden rząd prawomocny, jeden Wódz Naczelny. Cofnięcie przez szerokie masy emigracyjne lojalności władzom polskim odbywało się drogą powolnego, dziesięć lat co najmniej trwającego procesu.

Każdy opis obecnej sytuacji politycznej na emigracji będzie fałszywy i niejasny bez podbudowania go krótkim szkicem historycznym. Zanim więc przejdziemy do omawiania sytuacji dzisiejszej, damy krótki zarys wypadków, które do niej doprowadziły. Ten zarys nie rości sobie pretensji do źródłowości, nie będzie to „historia polityczna emigracji”, którą pewnie ktoś kiedyś napisze, ale dziś jest na nią za wcześnie. Nasz szkic „historyczny” będzie miał na celu ustalenie pewnej chronologii, spojrzenie na całość i omówienie w jej ramach wypadków, które wielu osobom są znane, ale których zarysy zaczynają się stawać coraz bardziej mgliste.

Szkic historyczny

Można by w wielkim skrócie powiedzieć, że cała historia polityczna emigracji w jej aspekcie wewnętrznym (a częściowo i zewnętrznym) jest jakby przedłużeniem konfliktów z okresu dwudziestolecia, przybierających na emigracji różne formy i konfiguracje, ale niemniej sięgających korzeniami tamtego właśnie okresu. Pod tym względem historia polityczna emigracji zachowuje ciągłość.

Objęcie rządów przez gen. Sikorskiego po klęsce wrześnieiowej było równocześnie polityczną przegraną sanacji. Formalnym tego wyrazem była tzw. umowa paryska. Sikorski obejmując rządy oparł się na koalicji stronnictw, które w Polsce przedwojennej stały w ostrej opozycji do sanacyjnych rządów i konstytucji kwietniowej. Stronnictwa te wykorzystały sytuację powrześniową dla uzyskania od ówczesnego Prezydenta (Władysława Raczkiewicza), pewnych gwarancji nazwanych umową paryską. Umowa polegała na tym, że Prezydent stwierdził, iż swoje uprawnienia konstytucyjne będzie wykonywał tylko w porozumieniu z rządem. Oświadczenie brzmiało:

„W ramach Konstytucji Kwietniowej postanowiłem te jej

przepisy, które uprawniają mię do samodzielnego działania, wykonywać w ścisłym porozumieniu z Prezesem Rady Ministrów”.

Interpretacja tego oświadczenia ze strony partii politycznych była następująca:

„W myśl zgodnego pojmowania sprawy przez Pana Prezydenta R.P. i przez Rząd — każde postanowienie w sprawach ważnych zapada w ścisłym porozumieniu Pana Prezydenta z Rządem”.

W obu tych oświadczeniach dopatrzeć się można pewnej rozbieżności, i rzeczywiście dopatrzono się jej, ale dopiero później. Poza tym do tej umowy doszła jeszcze dodatkowa glossa, znana jako list Liebermanna, rozszerzająca jeszcze bardziej interpretację umowy na korzyść stronnictw. Umowa Paryska miała odegrać niepoślednią rolę w historii politycznej emigracji.

Mimo odsunięcia od rządów, ugrupowania sanacyjne wykazały jednak dużą żywotność i spoistość i odgrywały sporą rolę w wojsku i w różnych instytucjach. Jednak powrót sanacji do znaczenia politycznego na emigracji nastąpił dopiero po wojnie.

W czasie wojny nie istniały właściwie na emigracji organizacje partyjne stronnictw, których przedstawiciele wyszli z Polski, ale które miały pełny garnitur władz krajowych, własne sieci organizacyjne, a nawet własne formacje bojowe. Po wojnie wyjazd do Polski Mikołajczyka wraz z Karolem Popielem spowodował, że PSL i Stronictwo Pracy Karola Popiela nie starały się o stworzenie organizacji partyjnych na emigracji. Część zwolenników i sympatyków obu stronnictw pozostała oczywiście na emigracji, ale do ucieczki Mikołajczyka z Polski, PSL znajdowało się właściwie w kraju. Inaczej miała się rzecz ze stronnictwami, które nie ryzykowały lub nie mogły przenieść swej otwartej działalności na kraj, i które stały w opozycji do polityki Mikołajczyka¹. Zabrały się one natychmiast do odbudowania swych organizacji partyjnych opierając się na swych dawnych członkach, pozostających na emigracji. 22-23 marca 1947 roku obradował w Londynie Zjazd członków PPS w W. Brytanii, który wybrał Komitet Główny z powierzeniem mu kierownictwa nad całokształtem życia partyjnego na Wyspie. Na zjeździe tym postanowiono, że do czasu utworzenia ogólnej reprezentacji PPS na wychodźstwie i wyłonienia jej władz, całością ruchu socjalistycznego wśród emigracji nadal kierować będzie istniejący poza granicami kraju Komitet Zagraniczny PPS. Już w marcu 1948 r. ukazał się w „Robotniku” artykuł, który stwierdzał

1. Stronictwo Narodowe nie ujawniło się w ogóle w Polsce po wojnie.

że robotniczy charakter emigracji polskiej w W. Brytanii pozwala dążyć do uczynienia z PPS organizacji *masowej*. Pierwszy zjazd PPS na obczyźnie odbył się w dniach 24-30 maja w Pont-à-Lesse, w Belgii. Powołano na nim *normalne* organy partii m.in.: Radę Partyjną (przemianowaną później na Centralną), Centralny Komitet Zagraniczny. Jako jeden z podstawowych celów postawiono sobie: „skupić *nowe* zastępy działaczy socjalistycznych i częściowo choćby wypełnić szczyby w szeregach partii”.

W dniach 1-3 maja 1948 r. odbył się w Londynie (pierwszy od 1939 r.) zjazd Stronnictwa Narodowego. Obejmował on jedynie teren wielkobrytyjski. Zjazd wykazał wielką liczebność Stronnictwa w terenie, dowodem czego była ilość delegatów i mężów zaufania przybyłych na zjazd — około 800 osób. Odbyty w czerwcu tegoż roku zjazd kontynentalny w Paryżu zebrał 400 osób. Okazało się, że struktura organizacyjna stronnictwa przetrwała wojnę i na zjeździe w Londynie pozostawiono władze stronnictwa w niezmiennym składzie, stwarzając jedynie Radę S.N. w W. Brytanii. I tutaj postawiono postulat masowości: „Musí nas być dużo” — oświadczył ideolog Stronnictwa, M.E. Rojek.

Do odbudowy organizacyjnej stronnictw na emigracji przystąpił także Mikołajczyk i Popiel po ucieczce z Polski.

Odbudowa organizacyjna stronnictw politycznych opierała się na pewnych przesłankach, które streścić można w jednym słowie: reprezentatywność. Jeżeli w wypadku rządu i prezydenta kładziono tak wielki nacisk na *ciągłość* władz państwowych, w wypadku stronnictw położono główny nacisk na reprezentatywność, wypływającą, według różnych oświadczeń, z faktu *historyczności* pewnych stronnictw. I tak władze PPS stwierdziły we wrześniu 1949 r. że stronnictwa stanowią podstawę organizacji politycznej narodu i są jedynym wykładnikiem woli kraju. Jedynie one bowiem (tak można by streścić różne wywody na ten temat) mogą wykazać się w przeszłości określonym zasięgiem wpływów wśród społeczeństwa, a jako ruchy polityczne, mają swe korzenie w historii narodu polskiego i są wyrazem jego „myśli politycznej”².

2. W broszurze, będącej odbitką z „Jutra Polski”, pt. „Stronnictwa i ich przeciwnicy” (autor: Wacław Soroka, rok 1953), znajdujemy następujące uzasadnienie roli stronnictw politycznych na emigracji; „Opinia publiczna na emigracji jest pozbawiona jednego zasadniczego dla narodu elementu: instynktu narodowego, który można odczuć jedynie żyjąc w zespole narodowym we własnym kraju. Odczucie dążeń kraju, tym cenniejsze dla nas na emigracji, że to jedyny sposób zastąpienia tego instynktu, łatwiejsze jest

Dodatkowe uzasadnienie dla reprezentowania interesów narodowych na emigracji znalazło PSL, którego przywódca powoływali się na bezpośredni mandat (mandat świeżej wówczas daty) od wyborców krajowych, a mianowicie na ponad 80% głosów w referendum w 1946 r., i ponad 70% głosów faktycznie oddanych na listę PSL w wyborach sejmowych w styczniu 1947 r.³

To stanowisko stronnictw zaważyło zasadniczo na losach wewnętrznej polityki emigracyjnej.

Oprócz odbudowy organizacyjnej stronnictw historycznych i powiązania dawnego nurtu sanacyjno-piłsudczykowskiego w jeden (mniej więcej) ośrodek — Liga Niepodległości Polski, powstało w W. Brytanii przynajmniej jedno ugrupowanie polityczne całkiem nowe: było nim ugrupowanie młodych „piłsudczyków” — Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja”, wywodzące się po części z ruchu podziemnego, ale powstałe wyłącznie na bazie emigracyjnej (założki tego ruchu tworzyły pewien ferment jeszcze w wojsku). Początkowo NiD miał charakter ruchu intelektualnego, ale wkrótce przekształcił się w jeszcze jedno stronnictwo, zachowując jednak duży wachlarz poglądów i tworząc rodzaj luźnej koalicji.

Rządy polskie czasu wojny opierały się na różnych koalicjach partyjnych, w Londynie bowiem skupiały się grupy czołowych polityków przedwojennych stronnictw, zasilane od czasu do czasu przybyciem przedstawicieli z kraju. Po wojnie część polityków krajowych przedostała się na Zachód.

Do rządów koalicyjnych w czasie wojny wchodziły (w różnych układach) cztery główne partie: PPS, Stronnictwo Narodowe, PSL i Stronnictwo Pracy. I tak w 1941 r. wystąpiło z koalicji rządowej Stronnictwo Narodowe w związku z treścią zawartej wówczas umowy polsko-sowieckiej. Jesienią 1944 r.,

zapewne, a może nawet jedynie możliwe, w oparciu o te ośrodki polityczne, które miały i mają w kraju tę samą podstawę społeczną i ideologiczną i te same główne założenia polityczne, czerpiące z tych samych źródeł socjologicznych.

Jeśli dążeń kraju nie odczuwają stronnictwa, to skąd je może odczuć jakikolwiek zespół poza stronnictwami?

Na emigracji realnie istnieje wielkie stronnictwo polityczne, które są rezonansem odpowiednich tendencji narodu. I choć naród ulega ogromnym przemianom, często zresztą w kierunku postulowanym przez te stronnictwa, w ciągu lat ich pracy... byłoby zupełnym zamykaniem oczu na rzeczywistość i pogłębianiem szkodliwych nieporozumień, gdybyśmy w imię tej ewolucji kraj nazwali wielką niewiadomą i tworzyli izolowany komitecik emigracyjny, nie liczący się z żywymi dążeniami politycznymi... Str. 10-11.

3. Emfaza, z jaką PSL powoływało się na ten mandat, była cierniem w oku innych stronnictw, szczególnie PPS. Równie mocno bronił swego prawa do reprezentatywności NiD wobec roszczeń partii historycznych.

po ustąpieniu Mikołajczyka z premierostwa i wycofaniu się PSL z rządu, Stronnictwo Narodowe zmontowało anty-jaltańską koalicję rządową, której premierem został Tomasz Arciszewski. Ta koalicja przetrwała do roku 1947, kiedy z kolei PPS opuściło rząd na znak protestu przeciwko objęciu urzędu prezydenta przez Augusta Zaleskiego. W rządzie pozostali więc już tylko przedstawiciele dwóch stronnictw: Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy. W lutym 1949 r. rząd koalicji, którego premierem był gen. Bór-Komorowski, podał się do dymisji. Data ta stanowi wyraźną granicę współpracy stronnictw historycznych z legalnym ośrodkiem państwowym. Ale rozejście się dróg ośrodka prezydenckiego i stronnictw zaczęło następować już znacznie wcześniej i datę przełomową stanowi tu właściwie czerwiec 1947 r., kiedy po śmierci prezydenta Raczkiewicza, urząd prezydencki objął August Zaleski.

Objęcie urzędu przez Augusta Zaleskiego uznane zostało przez PPS za „swoisty zamach stanu”. Jeszcze bowiem w roku 1944 Tomasz Arciszewski wyznaczony został przez prezydenta Raczkiewicza na następcę, w myśl woli wyrażonej przez krajową Radę Jedności Narodowej i przy poparciu przedstawicieli stronnictw na Zachodzie. Nominacja ta nie była nigdy publicznie odwołana, niemniej prezydent Raczkiewicz anulował ją na parę miesięcy przed śmiercią, mianując swoim następcą, pod wpływem ugrupowań prawicowych, Augusta Zaleskiego. PPS zmiany tej nie uznała za prawomocną, szczególnie że odbyła się ona bez konsultacji ówczesnego rządu, którego premierem był właśnie Arciszewski — co oznaczało złamanie Umowy Paryskiej.

Rok 1947 zakończył pierwszą fazę wewnętrznej historii emigracji politycznej. Od tego momentu drogi ośrodka prezydenckiego i stronnictw politycznych zaczęły się coraz bardziej rozchodzić. Niemniej, legalizm pozostał nadal fundamentalną przesłanką myślenia politycznego całej emigracji. Dał temu dobitny wyraz Tadeusz Bielecki, który podczas kryzysu 1947 roku scharakteryzował stanowisko SN w następujący sposób: „Można się politycznie różnić z Panem Prezydentem... ale nie wolno kwestionować legalizmu i podcinać w ten sposób gałęzi na której wszyscy siedzimy”.

Nie trzeba zapominać, że podczas tej pierwszej fazy sytuacja polityczna kraju pozwalała wciąż jeszcze na otwartą, chociaż z każdym dniem trudniejszą, walkę polityczną, że stronnictwa na emigracji wciąż mogły utrzymywać i utrzymywały kontakt z własnymi ugrupowaniami w Polsce. Zbliżał się jednak koniec tej pół-swobody, rozpoczynały się procesy pokazowe, szła wiel-

kimi krokami fuzja PPS i PPR, a przedtem jeszcze nastąpiła ucieczka Mikołajczyka i Popiela na Zachód.

Jak już powiedzieliśmy, jedynymi stronnictwami, które nie stały na gruncie ciągłości władz polskich na obczyźnie, odrzucając prawomocność konstytucji kwietniowej, były PSL Mikołajczyka i Stronnictwo Pracy Karola Popiela. Ich powrót na Zachód zbiegł się mniej więcej z momentem, gdy PPS oglądała się za sojusznikami. Po wycofaniu się z rządu w 1947 roku PPS weszła w luźny związek z paroma stronnictwami określanymi mianem demokratycznych, w odróżnieniu od sanacji i endecji. Były to: NiD, Stronnictwo Demokratyczne i odłam Stronnictwa Pracy, do czego doszło Stronnictwo Ludowe „Wolność” (odłam Kuncewicza). Powstała w ten sposób tzw. Koncentracja Demokratyczna, która odegrała rolę całkowicie przejściową. Już bowiem 15 listopada 1948 roku podpisana została w Londynie wspólna deklaracja Porozumienia Stronnictw Demokratycznych, do którego weszły: PPS, PSL Mikołajczyka i Stronnictwo Pracy Karola Popiela, a niecały rok później — Stronnictwo Demokratyczne. Formacja ta była jednak również krótkotrwała, gdyż 11 grudnia 1949 roku Naczelny Komitet Wykonawczy PSL wykluczył PPS z zespołu Porozumienia Stronnictw Demokratycznych.

Dzieje tego sojuszu są niezwykle charakterystyczne dla dialektyki polityki emigracyjnej. Wyjaśnieniem może tu być uchwała powzięta przez zjazd PPS w Pont-à-Lesse na temat celów ruchu socjalistycznego na obczyźnie, z których jako jeden wymieniono: „zadanie odbudowania podstaw ciągłości państwowości polskiej na zasadach rzetelnie demokratycznych”, co oznaczało, że PPS nie rezygnuje z legalizmu i w swoich posunięciach wewnętrzno-politycznych ma zamiar opierać się na konstytucji kwietniowej „udemokratycznionej” przez Umowę Paryską. Porozumienie z PSL mogło być więc jedynie porozumieniem taktycznym, chociaż PPS miała prawdopodobnie zamiar doprowadzić PSL do wejścia w skład jakiegoś szerokiego porozumienia stronnictw na emigracji, które nastąpiło wkrótce pod egidą i w formie Rady Politycznej.

Rada Polityczna powstała 20 grudnia 1949 roku, i zakończyła drugą fazę historii politycznej emigracji, fazę, w której istniało rozbicie polityczne, ale nie miało jeszcze form wykryształizowanych, gdyż jedynie ośrodek prezydencki i rządowy rozporządzał atutami instytucjonalnymi. (Istniała co prawda od 1946 r. Rada Polskich Stronnictw Politycznych, ale nie odgrywała ona większej roli).

Do Rady Politycznej weszły następujące stronnictwa: SN, PPS, NiD i personalnie Korboński i Bagiński, których Mikołajczyk wykluczył z PSL.

Tak więc na emigracji powstały trzy ośrodki polityczne, każdy z nich uważający się za prawomocną reprezentację narodu polskiego i interesów Polski: ośrodek prezydencki, przy którym z ugrupowań politycznych pozostały jedynie Liga Niepodległości i odłam ludowców SL „Wolność” i przy którym powołana została ponownie do życia Rada Narodowa (tzw. Trzecia Rada Narodowa — pierwsze posiedzenie 6 czerwca 1949 roku); ośrodek Rady Politycznej i ośrodek Mikołajczyka, zreorganizowany jako Polski Narodowy Komitet Demokratyczny. Ten ostatni ośrodek w życiu politycznym emigracji w W. Brytanii zeszedł na plan dalszy, chociaż PSL potrafiło odbudować organizację partyjną na terenie wyspy.

W dalszych latach do Rady Politycznej dołączyły jeszcze dwa stronnictwa, a właściwie odłamy stronnictw: PSL-Odłam Jedności Narodowej, pod kierownictwem Bagińskiego i Korbońskiego i Stronnictwo Pracy⁴.

Jednym z celów Rady Politycznej było wywarcie nacisku na ośrodek prezydencki i zdobycie dla reprezentowanych w niej stronnictw politycznych atrybutów pełnej reprezentatywności, co mogło nastąpić jedynie poprzez odtworzenie Rady Jedności Narodowej i oparcie na niej struktury państwa na wygnaniu. Cel ten wyraziła niedwuznacznie deklaracja przedstawiona w lutym 1952 roku przez Jerzego Zdziechowskiego, przewodniczącego Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej, która stwierdzała, że „Rada Jedności Narodowej powinna powstać z inicjatywy stronnictw politycznych jako wyraz myśli politycznej narodu w celu obrony zagrożonych interesów Polski. Po ukonstytuowaniu się powinna być włączona w ogólny aparat władz państwowych jako czynnik ustalający kierunek polityki polskiej oraz jako organ kontroli politycznej nad rządem”.

W deklaracji tej zawarta jest kwintesencja ówczesnych poglądów stronnictw politycznych, chociaż pomija ich ważny aspekt reprezentowany przede wszystkim przez PPS i NiD. Cytowaliśmy już deklarację PPS, w której mówi się o odbudowaniu cią-

4. Jak wielką wagę przywiązywano do tego kontredansu stronnictw, przywódców i odłamów świadczy chociażby takie stwierdzenie „Robotnika” (A.C.) a propos faktu, że pp. Bagiński i Korboński zdecydowali się nie uznać wykluczenia ich przez Mikołajczyka i stworzyć własne SL: „Z oświadczenia tego wypływają ważne konsekwencje. Uważamy je za jedno z najważniejszych wydarzeń życia polskiego w okresie pojaltańskim” (podkr. nasze).

głości państwowej na zasadach „rzetelnie demokratycznych”. Podobnie formułował tę zasadę NiD, stawiając sobie za zadanie egzorcyzmowanie widma „białej emigracji”.

Cofnięcie uznania rządowi polskiemu w Londynie przez Anglię i Stany Zjednoczone miało swój poważny aspekt finansowy. Niemniej, w posiadaniu rządu i różnych agend były fundusze, które sięgały tysięcy funtów szterlingów. Partie rozporządzały funduszami mniejszymi, ale tak długo, jak znajdowały się w rządzie, i jak długo były pieniądze, z pieniędzy tych korzystały w ramach prac rządu. Oczywiście, działalność każdego stronnictwa z osobna także wymagała funduszy, na które składały się różne, czasem całkiem poważne pozostałości, z sum na cele akcji podziemnej i inne. Fundusze te wyczerpywały się jednak bardzo szybko, i stąd znalezienie się poza koalicją rządową miało dodatkową stronę ujemną. Na tym tle rozpoczął się tzw. kryzys powiernictwa. Nie będziemy dokładnie opisywali wszystkich etapów tego kryzysu. Wystarczą dwa przykłady: W rządzie Arciszewskiego ministerstwo skarbu objął Jan Kwapiński. Po wycofaniu się PPS z koalicji rządowej Jan Kwapiński zatrzymał kasę państwową. Nieco inny charakter miała sprawa płk. Kamińskiego, który miał w swojej pieczy ponad 2.000.000 dolarów. Nie będziemy wchodzić w to, jak pieniędzmi tymi gospodarował, chociaż warto nawiasem dodać, że wiele z poczynionych przez niego inwestycji okazało się nierozsądnymi i przyniosło straty. Ważny dla nas w tej chwili jest fakt, że uratowania reszty tych funduszy podjęły się trzy stronnictwa, które następnie utworzyły Radę Polityczną (SN, PPS i NiD), co niewątpliwie częściowo utorowało drogę do porozumienia⁵. Topnienie funduszy państwowych czy też rządowych spowodowało, że z kół Ligi Niepodległości wyszły projekty utworzenia Funduszu Narodowego, które następnie przyjęły formę Skarbu Narodowego.

Idea Skarbu Narodowego wpływała zresztą nie tylko z potrzeby zdobycia funduszy, ale miała i swój aspekt organizacyjno-administracyjny. Co więcej, miała rozwiązywać częściowo problem reprezentatywności. W roku 1949 rząd ówczesny nie reprezentował żadnego z większych ugrupowań politycznych na emigracji. W tym czasie partie miały już swoje organizacje, które rozbudowywały coraz szerzej. Natomiast ośrodek przydencki rozporządzał pozostałościami struktury państwowej: a

5. Kuratela ta nie udała się w pełni, chociaż stawiano Radzie Politycznej zarzuty, ze strony ośrodka rządowego, że z funduszy państwowych, będących w depozycie płk. Kamińskiego przywłaszczyła sobie ok. 500.000 dolarów.

więc placówki dyplomatyczne w tych paru krajach, które nie cofnęły swego uznania, nieoficjalne przedstawicielstwa w innych krajach, pozostałości władz wojskowych. Organizacja Skarbu Narodowego rozwiązywała problem oparcia rządu i ośrodka prezydenckiego o sieć komórek w terenie. Szło to po linii tradycyjnego rozumowania obozu piłsudczyków, których myśl polityczna nigdy nie bazowała się na stronnictwach, a na bezpartyjnych.

Ośrodek prezydencki nie odcinał się zresztą całkowicie od partii. Argumentem przemawiającym za włączeniem przynajmniej niektórych stronnictw politycznych w orbitę państwową była sprawa osłabienia reprezentatywności ewentualnego ośrodka konkurencyjnego. Wchodziła także w grę opinia publiczna, szczególnie w kraju⁶. Nie obyło się bez różnych nacisków na ośrodek prezydencki i powoływania się obu stron na poparcie kraju. W maju 1949 roku — aby dać jeden przykład — kilku działaczy politycznych, którzy wydostali się z kraju, z mec. A. Sergotem (SN) na czele, złożyło Prezydentowi oświadczenie, w którym m.in. stwierdzali, że „wypowiedzi naczelnych czynników państwowych skierowane przeciwko stronnictwom i umniejszające ich rolę, są całkowicie niezgodne z rzeczywistością krajową...”.

W tej sytuacji ośrodek prezydencki dążył do pewnej współpracy ze stronnictwami, ale na własnych warunkach i w ramach powołanej w tym celu w czerwcu 1949 roku Rady Narodowej, trzeciej z kolei na obczyźnie (pierwsza Rada Narodowa powołana była w Paryżu w 1939 r., druga w Londynie w 1942 r., została rozwiązana przez rząd Arciszewskiego po układzie jałtańskim). W trzeciej Radzie Narodowej reprezentowane były: Liga Niepodległości, odłamek SL Kuncewicza „Wolność”, odłamek Stronnictwa Pracy i odłamek PPS w osobach T. Tomaszewskiego i A. Pragiera, nie będących już w stronnictwie od paru lat.

Poglądy ośrodka prezydenckiego na temat reprezentatywności sformułował wówczas najpełniej T. Tomaszewski:

6. Ośrodek prezydencki w tym czasie ostro reagował na wszelkie wystąpienia niezależne na forum międzynarodowym i przywłaszczanie sobie prawa do reprezentowania interesów narodu przez inne ośrodki czy osoby. I tak np., Sąd Koleżeński Koła Generalów i Pułkowników b. Dowódców Wielkich Jednostek Wojskowych wydał orzeczenie potępiające gen. Bora-Komorowskiego za to, że podpisał memoriał do konferencji ambasadorów amerykańskich. W orzeczeniu „Sąd” oświadczył, że postępowanie gen. Bora „stało się przedmiotem zgorszenia wśród żołnierzy” oraz że „w normalnych czasach gen. Bór za swój postępek oddany by został pod sąd wojskowy”. W odpowiedzi Rada Polityczna wyraziła gen. Borowi, której był on członkiem, głębokie uznanie, stwierdzając, że jego pełna lojalność wobec państwa, nieposzlakowana ideowość i wzorowe poczucie obowiązku żołnierza i obywatela stoją ponad próbami doraźnych ocen.

„Reprezentatywność, możliwą do osiągnięcia w naszych warunkach, uzyskuje się przez udział trzech czynników: 1) możliwie największej ilości stronnictw politycznych, 2) możliwie największej ilości organizacji społecznych o odpowiednim ciężarze gatunkowym, oraz, 3) przez udział najwybitniejszych obywateli. Poprzednie Rządy Polskie na obczyźnie ograniczały swoją podstawę polityczną do pierwszego z tych czynników, przy czym owa podstawa nigdy nie była pełna. Rząd mój i Rada Narodowa opierają się: 1) na tych stronnictwach niepodległościowych, które zechciały przyjąć współodpowiedzialność za kierownictwo sprawą polską w obecnych ciężkich warunkach politycznych i krytycznej sytuacji materialnej, oraz 2) na działaczach organizacji społecznych, którzy weszli do Rady Narodowej R.P., jak również na tych wszystkich, którzy stojąc na rzetelnym stanowisku niepodległościowym, niosą nadal trud pracy społecznej. Czyż jest to z naszej strony dążność do ekskluzywności i *zwężania* podstawy? A wreszcie — czy mogą w tych warunkach pominąć setki tysięcy Polaków i obywateli polskich innych narodowości, a wśród nich — w tym tylko kraju — ponad sto tysięcy żołnierzy polskich, którzy acz nie zrzeszeni w ugrupowaniach politycznych, przy każdej okazji manifestują swoją wolę politycznego działania na rzecz odbudowy Państwa Polskiego pod kierownictwem jego prawnych władz. Ten zdrowy instykt państwowy najszerzych mas polskich, żyjących w rozproszeniu, ...stanowi... nienajgorszą „podstawę polityczną”, a także czynnik reprezentatywności”⁷.

Skarb Narodowy powołany został do życia dekretem Prezydenta z dn. 14 października 1949 roku, i można powiedzieć — z miejsca okazał się sukcesem. W pierwszym roku istnienia, tzn. w r. 1950, zebrano ogółem (w formie sprzedaży znaczków, darów itp.) — £ 18.199, w r. 1951 — £ 22.851, w r. 1952 — £ 30.140, w r. 1953 — £ 37.520. Razem, w przeciągu tych czterech lat wpływy Skarbu wynosiły prawie 110.000 funtów szterlingów, co pozwalało na skromną ale różnorodną działalność polityczną, informacyjną, kulturalną. Szczególnie rozwinął się Skarb Narodowy w Stanach Zjednoczonych, gdzie w przeciągu wyżej wymienionych czterech lat wpływy wzrosły z £ 3.000 w pierwszym roku na £ 17.240 w czwartym roku. Zaraz po Stanach Zjednoczonych szła Wielka Brytania, gdzie proporcjonalnie wpływy były również duże, chociaż nie wykazały tendencji zwykłej, co częściowo trzeba przypisać akcji stronnictw Rady Politycznej, która zajęła wyraźne stanowisko negatywne, oświadczając, np., że: „Powszechna danina polska powinna być przeprowadzona dopiero po uzdrowieniu życia politycznego na emigracji, zgodnie z demokratyczną praktyką w oparciu o szerokie porozumienie stronnictw”. Niemniej jednak w latach 1950-53 wpłynęło na Skarb Narodowy w W. Brytanii ponad £ 29.000. (W poszczególnych latach: w r. 1950 — £ 7.625, w 1951 — £ 7.842, w 1952 — £ 6.381, w 1953 — £ 7.555). Dobrze rozwijał się Skarb Narodowy w Niemczech i we Francji.

7. Diariusz Rady Narodowej R.P., Nr 4-5, str. 61-62, 1949.

Podanie najważniejszych pozycji wydatków scharakteryzuje nam ówczesną działalność rządu i prezydenta jak i zakres tej działalności. W latach 1950-53, na urzędy centralne wydano: £ 12.856; na placówki dyplomatyczne (Watykan, Liban, Hiszpania, Irlandia — uznające wówczas rząd polski w Londynie) — £ 13.600; na placówki MSZ nie uznawane oficjalnie (np. Francja) — £ 8.549; na akcję informacyjną różnego rodzaju (międzynarodową, w sprawach kraju, prasową) — prawie £ 44.000; na akcję kulturalno-oświatową — £ 8.000; na akcję społeczną — £ 10.468.

W roku 1954 istniało 64 samodzielnych komitetów Skarbu Narodowego w 41 krajach, co oznaczało, że władze polskie dorobiły się całkiem okazałej struktury organizacyjnej, łączącej rząd z terenem. Na takiej bazie i przy takim dochodzie rocznym, mającym stałą tendencję wzrostową, można było z powodzeniem w skromnych ramach, prowadzić akcję dla której emigracja pozostała na Zachodzie.

Na czele Skarbu Narodowego stanął gen. Anders, piastujący funkcję Generalnego Inspektora Polskich Sił Zbrojnych, zapewniając mu w ten sposób poparcie szerokich rzesz byłych żołnierzy, dużej części struktury organizacyjnej w jaką przekształciła się dawna formacja wojskowa, i poparcie „Orla Białego”.

Rozwój Skarbu Narodowego miał jeszcze jedno zasadnicze znaczenie: pozwalał na niezależność polskiego ośrodka dyspozycyjnego. Że taka niezależność finansowa była sprawą zasadniczą, wskazuje chociażby tzw. afera Bergu, do której doprowadziła akcja na kraj stronnictw skupionych w Radzie Politycznej.

Ten trzeci okres trwał do momentu rozwiązania się Rady Politycznej i powstania Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, w 1954 roku. Oprócz wypadków już wymienionych, zaszły w nim wydarzenia dla polskiego świata politycznego na emigracji wielkiej wagi.

Powstanie Rady Politycznej pod koniec 1949 roku zbiegło się z rosnącym napięciem stosunków międzynarodowych, co stwarzało duże nadzieje dla przedstawicieli sprawy polskiej na Zachodzie, uaktywniając równocześnie szersze masy emigrantów. Ostrość rywalizacji pomiędzy trzema ośrodkami polityki polskiej na emigracji była częściowo funkcją wypadków międzynarodowych: na horyzoncie rysowały się możliwości odzyskania poważniejszego statusu politycznego na arenie międzynarodowej, i w tym okresie rzeczywiście można mówić, że walka rozgrywała się o to, kto będzie reprezentował niezależną politykę polską.

Bezpośrednio z sytuacją międzynarodową związana była również tzw. akcja zjednoczeniowa.

W latach 1949-51 nastąpił wydatny rozrost organizacji partyjnych na terenie W. Brytanii. Za przykład tego rozrostu może posłużyć PPS, która z początkiem kwietnia 1951 miała na terenie wyspy: 3 komitety okręgowe, 20 organizacji miejscowych (kół) oraz 89 mężów zaufania. W listopadzie tegoż roku organizacja miała już 4 komitety okręgowe, 28 kół, a w stadium organizacyjnym były dalsze dwa koła. W tym roku „Robotnik” miał około 650 prenumeratorów i sprzedawał do 400 egzemplarzy każdego numeru. W okresie październik 1948 — marzec 1951 ukazywał się powielany dwutygodnik „Notatnik Socjalisty” o przeciętnym nakładzie 500 egzemplarzy. PPS wydała w tym czasie szereg broszur i ulotek, w tym koło w Bradford wydało ulotkę w 10.000 egzemplarzy. Na początku 1948 roku powstał Związek Niezależnej Akademickiej Młodzieży Socjalistycznej, który w lutym 1949 zaczął wydawać pismo „Poglądy” w nakładzie 300 egzemplarzy. Odbyły się ponadto kursy tzw. Centralnych Szkół Robotniczych, przy pomocy i pod egidą Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, które pod kierownictwem Wacława Brunera rozwijały szeroką działalność. Odbyły się łącznie trzy kursy: w Folkstone w 1947 r., w Sea-view, na wyspie Wight, w 1948 r., w Heacham-Norfolk w 1949 r. Ogółem przez kursy te przeszło 59 uczestników. (Ciekawym szczegółem w wypadku kursu w Sea-view był fakt odbycia pielgrzymki na miejsce gdzie w 1835 roku w baraku wojskowym powstał „Lud Polski” — pierwsza polska organizacja socjalistyczna). Urządzono też szereg lokalnych kursów. TUR urządziło trzy szkoły weekendowe w Londynie, z których korzystało ok. 50 słuchaczy. W Glasgowie odbył się zimą 1950/51 kurs społeczno polityczny; odbył się też podobny kurs w Bradford. TUR założyło swoje oddziały w Leeds, Derby, Brandon, Glasgow, Edynburgu i Londynie, prowadząc 5 bibliotek.

W tym okresie aktywność PPS była bardzo duża. Zorganizowano kilkanaście zgromadzeń publicznych na terenie Londynu i w wielu ośrodkach na prowincji, często z udziałem gości angielskich i innych narodowości. Odbyło się ponad 70 zebrań, odczytów i konferencji na prowincji z udziałem członków władz. Rozbudowano łączność z *Labour Party*, której członkowie brali często udział w wystąpieniach publicznych PPS, lub jako wykładowcy na kursach. Zainteresowanie *Labour Party* losami prześladowanych socjalistów w Polsce dały w wyniku szereg wystąpień i publikacji, m.in.: książkę „The Curtain Falls” o losach ruchów socjalistycznych za żelazną kurtyną. Sprawy polskiego

socjalizmu poruszane były przez życzliwych członków *Labour Party* na terenie parlamentu brytyjskiego. Ze swojej strony PPS wzięło udział w akcjach wyborczych na rzecz *Labour Party* w roku 1950 w takich miejscowościach jak Glasgow, Guildford, Horshorth i w paru okręgach londyńskich, i ponownie w 1951 w Walii, Derby i innych miejscowościach. Bliski kontakt ustalony został z lokalną komórką *Labour Party* w okręgu wyborczym Paddingtonu. Poza tym PPS utrzymywało żywy kontakt z angielskim ruchem zawodowym.

Jednym z największych sukcesów PPS na terenie międzynarodowym w tym czasie był jej powrót do Międzynarodówki Socjalistycznej.

PPS zaczęła również coraz bardziej rozciągać swe wpływy na emigracyjne organizacje społeczne i zawodowe. Dla przykładu: w wyborach do Rady Głównej Związku Rzemieślników i Robotników Polskich w W. Brytanii, który wówczas liczył około 90 kół i 7250 członków (w tym 4.000 płacących), jakie odbyły się w lipcu 1951 roku, do Rady weszło 7 członków PPS na ogólną liczbę 20 (jeden z tych 7 został wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego). W oddziałach: Londyn, Szkocja i Walia stanowiska sekretarzy ZRRP znalazły się w ręku PPS; członkowie PPS stanęli na czele także szeregu kół Związku. PPS miało również w tym czasie duże wpływy w Zjednoczeniu Polskim, Zjednoczeniu Polek i w paru innych mniejszych organizacjach, natomiast znalazło się w roku 1951 chwilowo w defensywie w SPK Oddział wielkobrytyjski, i w Towarzystwie Pomocy Polakom.

Tak więc, w przeciągu paru lat, PPS stało się jedną z najlepiej rozbudowanych organizacji partyjnych na terenie W. Brytanii, stając się — jak na stosunki emigracyjne i proporcjonalnie do ilości Polaków na Wyspie — organizacją masową.

Drugim stronnictwem, które rozbudowało swoją sieć organizacyjną co najmniej równie mocno, było Stronnictwo Narodowe. Oprócz szeregu kół i okręgów, uzyskało ono duży wpływ w wielu organizacjach społecznych, który czasami dzieliło z PPS i NiD'em, lub też monopolizowało. Nie będziemy się zagłębiać w szczegóły, przykład PPS musi wystarczyć. Chcemy jednak jeszcze wspomnieć, na przykładzie Stronnictwa Narodowego, o silnej rozbudowie na zewnątrz W. Brytanii. W zjeździe delegatów Stronnictwa Narodowego, jaki odbył się w maju 1955 roku w Londynie wzięło udział 65 przedstawicieli, w tym duży procent z 7 krajów poza W. Brytanią (Stany Zjednoczone, Francja, Kanada, Niemcy, Szwajcaria, Szwecja i Belgia).

Kontakty międzynarodowe Stronnictwa Narodowego były w tym czasie również duże i to mimo braku odpowiedniej międzynarodówki. W Anglii SN utrzymywało żywy kontakt z dosyć aktywną grupą posłów konserwatywnych o sympatiach polskich.

Inne stronnictwa również posiadały sieci organizacyjne w terenie, chociaż na mniejszą skalę. Wzrastał w sile NiD, który odegrał poważną rolę przy powstawaniu takich organizacji społecznych jak SPK czy Zjednoczenie Polskie, i przyczynił się do powstania lub rozwoju *British League for European Freedom*, *Anglo-Polish Society*, *Anglo-Polish Catholic Association* i *Scottish-Polish Society*. Szczególną siłą NiDu okazała się młoda inteligencja, która wkrótce zaczęła wybijać się i zajmować poważne pozycje w świecie naukowym, dziennikarskim, a w końcu w Wolnej Europie, do powstania której NiD w drobnej mierze również się przyczynił. Rozwijala się też, początkowo powoli, organizacja Mikołajczykowskiego PSL, wokół grupy wydającej i redagującej organ stronnictwa „Jutro Polski”. (F. Wilk, Młodożenc i in.).

W okresie tym całkiem nieźle rozwijały się różne pisma partyjne, jak „Myśl Polska” Stronnictwa Narodowego, „Trybuna” NiDu i wymienione już: „Robotnik” „Jutro Polski”. Polski Londyn i prowincja zarzucone były już nie dziesiątkami, a setkami broszur, których szczególnie płodnym autorem był Stanisław Mackiewicz. Walka na broszury wzmogła się z chwilą rozpoczęcia akcji zjednoczeniowej przez gen. Sosnkowskiego, wiece publiczne, niektóre z nich na wielką skalę, zebrania, obchody, zjazdy, były na porządku dziennym. Pod koniec tego okresu Stronnictwo Narodowe spróbowało nawet podważyć monopol „Dziennika Polskiego” (a we Francji „Narodowca”), wydając przy pomocy amerykańskiej subwencji „Słowo Polskie” w Paryżu, które jednak nie chwyciło i zostało wkrótce zamknięte.

Rozwój Skarbu Narodowego, rozbudowa sieci organizacyjnej stronnictw politycznych, wzrost ich wpływów w organizacjach społecznych i samopomocowych, działalność Rady Politycznej, akcja zjednoczeniowa, mobilizująca szerokie rzesze uchodźców, czynią z omawianej fazy szczytowy okres politycznego uaktywnienia emigracji, a szczególnie uaktywnienia stronnictw politycznych, większych i mniejszych.

Oprócz akcji zjednoczeniowej, do uaktywnienia tego przyczyniła się niemało sprawa odtworzenia polskich sił zbrojnych na obczyźnie, która właśnie w tym okresie weszła na wokandę. Projekty zachowania sił zbrojnych a później ich odtworzenia istniały od samego początku, ale nabrały kształtów bardziej real-

nych z chwilą, gdy napięcie spowodowane wojną koreańską osiągać zaczęło swój szczyt. Szczególnie aktualny stał się projekt odtworzenia PSZ w roku 1952, kiedy odbyły się na ten temat prywatne rozmowy między jednym z amerykańskich kongresmanów a przedstawicielami uchodźców krajów środkowo-europejskich. Odbyła się w tymże roku w Paryżu konferencja wojskowych zza żelaznej kurtyny, w której brał udział gen. Anders. Spodziewano się funduszków od Amerykanów, przywiązując dużą wagę do uchwalonej w sierpniu 1951 roku przez Izbę Reprezentantów tzw. poprawki Kerstena, która przeznaczała kwotę 100.000.000 dol. na specjalne cele związane z uchodźcami, wymieniając jako jeden z nich utworzenie narodowych jednostek wojskowych na Zachodzie. Jednostki te chciano nazwać Armią Wyzwolenia, jak jednak słusznie zapytywała część prasy polskiej w W. Brytanii i na świecie, powstawała kwestia czy armia ta stałaby się rzeczywiście armią wyzwolenia, dopóki oficjalną polityką Stanów Zjednoczonych było nie *liberation* lecz *containment*. Wiele głosów prasowych wywołała sprawa ewentualnego użycia tych jednostek, a także kontroli nad nimi. Na przykład w ulotce zatytułowanej „Wojsko a Naród” Komitet Koła PPS w Glasgowie oświadczał:

„Polacy w Szkocji,

Bieg polityki międzynarodowej pozwala przypuszczać, że zbliża się chwila w której będzie musiała być powzięta decyzja w sprawie odtworzenia Polskich Sił Zbrojnych (...).

O powstaniu wojska i jego użyciu mogą decydować tylko zwierzchnie organy narodu, tj. parlament i rząd, a w warunkach emigracyjnych ciała zastępcze. Ciała takie mogą wyłonić tylko te czynniki, które w każdym demokratycznym społeczeństwie wolę narodu reprezentują — partie polityczne. W naszym wypadku te historyczne stronnictwa które głęboko tkwią korzeniami w Narodzie Polskim.

(...) ...należy jak najostrzej potępić wszelkie próby tworzenia polskich sił zbrojnych w służbie bądź obcej, bądź w ramach obcej „armii wyzwolenia” w oparciu o tego, czy innego możnego protektora. Do czasu odbudowania rzeczywistego przedstawicielstwa Narodu opartego o historyczne partie polityczne, wszelkie memoriały i deklaracje na temat tworzenia i użycia Polskich Sił Zbrojnych będą decyzją podjętą bez gospodarza — NARODU”.

Wszystkie projekty dotyczące odtworzenia PSZ, jak wiadomo, spaliły na panewce. Niemniej koncepcja ta wykazuje dużą żywotność. Na przykład w roku 1955 zjazd delegatów Stronnictwa Narodowego powziął uchwałę następującej treści:

„Odbudowanie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie we właściwym czasie i na podstawie umów międzynarodowych jest ważnym elementem polityki polskiej.

Szkolenie kadr i przygotowanie ich do wymogów walki nowoczesnej powinno być praktycznym w obecnych warunkach etapem do odbudowania niezależnych Polskich Sił Zbrojnych”.

Podobną uchwałę podjął w grudniu 1956 roku VII Zjazd Ligi Niepodległości Polski, w której wyrażono przekonanie, „że jednym z najpoważniejszych zadań w okresie prac niepodległościowych jest stałe przygotowywanie się do walki zbrojnej. Zjazd wzywa członków Ligi by propagowali kształcenie wojskowe”.

Rzecznikiem koncepcji odbudowy PSZ był zawsze ze względu na zrozumiałych, gen. Anders, popierający w pełni takie inicjatywy jak „Pogoń”, Koła Studiów Wojskowych itp.

Akcja zjednoczeniowa była silnie powiązana z sytuacją międzynarodową. Wychodzono z założenia, że w razie zwiększania się napięcia i ewentualnego konfliktu jest rzeczą zasadniczą, aby „wolna Polska” przemawiała jednym a nie dwoma czy nawet kilkoma głosami. Propozycja rozmów zjednoczeniowych wyszła od prezydenta Zaleskiego, który zaprosił specjalnie w tym celu do Londynu gen. Sosnkowskiego.

Powierzenie misji zjednoczenia gen. Sosnkowskiemu nie było przypadkiem. Wątpić można, czy na emigracji istniała druga osoba mająca równe szanse doprowadzenia misji do pomyślnego końca. Abstrahując od niewątpliwej inteligencji generała, był on człowiekiem do przyjęcia dla wszystkich zainteresowanych stron. Dla piłsudczyków był przede wszystkim jednym z najwybitniejszych piłsudczyków, dla przeciwników Sikorskiego — przeciwnikiem Sikorskiego; partie polityczne, cierpiące nadal mocno na kompleks sanacji i przewrotu majowego, pamiętały, że w maju 1926 roku generał popełniał samobójstwo i że po przewrocie odsunął się od grupy rządzącej; po wojnie zaś nie mieszał się zupełnie w walki wewnętrzno-emigracyjne.

Gen. Sosnkowski przybył do Londynu z końcem 1952 roku. Po odbyciu przez niego konferencji ze stronnictwami, prezydent Zaleski wyraził gotowość natychmiastowego mianowania go swym następcą. Gen. Sosnkowski propozycji jednak nie przyjął, warunkując przyjęcie jej w przyszłości dojściem do zgody pomiędzy zainteresowanymi stronami. Stanowisko to było logiczne: gen. Sosnkowski nie chciał przyjmować nominacji bez uzgodnienia uprzednio zasad i form współpracy ze stronnictwami politycznymi, do których miał bardziej pozytywny stosunek niż prezydent Zaleski i których znaczenie doceniał.

Nastąpiły ponad rok trwające rokowania ze stronnictwami, napotykające na wiele trudności. Punktem o który mało nie rozbiły się pertraktacje była sprawa tzw. Jałtańczyków (słynny 5

punkt Aktu Zjednoczenia). Rozegrała się namiętna batalia na temat niedopuszczenia Mikołajczyka i Popiela do Zjednoczenia, w której pewną rolę odegrała ankieta urządzona przez „Dziennik Polski” (rodzaj referendum) wśród czytelników. Na ponad 30.000 głosów, jedynie ok. 1.000 wypowiedziało się za dopuszczeniem PSL i SP. Ostatecznie więc pozostały te stronnictwa poza jego nawiasem. Innym punktem spornym była sprawa ordynacji wyborczej i składu Rady Jedności Narodowej, która miała powstać po wejściu w życie Aktu Zjednoczenia, jako organ kontrolny nad działalnością rządu, posiadający charakter parlamentarny. Te i inne punkty sporne zostały powoli uzgodnione i wreszcie 14 marca 1954 roku podpisany został przez większość stronnictw Akt Zjednoczenia. Następujące stronnictwa i ugrupowania podpisały Akt w pierwszym rzucie: Stronnictwo Narodowe, PPS, PSL-OJN, Liga Niepodległości, NiD i Stronnictwo Pracy (gen. Hallera). Powstrzymały się od podpisania Aktu: Związek Socjalistów Polskich (Pragiera), SL „Wolność” Kuncewicza i Klub Ziem Wschodnich Mackiewicza. Następnie jednak i one złożyły swoje podpisy. Warto zauważyć, że podpisując Akt Zjednoczenia, PPS cofnęła właściwie swoją tezę o nieprawomocności zasiadania na urzędzie prezydenckim Augusta Zaleskiego.

Przez chwilę wydawało się, że osiągnięte zostały trwałe podstawy jednolitej akcji politycznej na Zachodzie: ze strony prezydenckiej odbudowany został pełny legalizm, stronnictwa uzyskały potwierdzenie prawa do kontrolowania rządu i nawrót do zasad umowy paryskiej, uzyskano idealne w warunkach emigracyjnych podstawy do reprezentatywności, łącząc ciągłość konstytucyjną z reprezentacyjnością stronnictw; stronnictwa ponadto uzyskiwały pośrednio dostęp do funduszy Skarbu Narodowego. Rezultatem wejścia w życie Aktu Zjednoczenia mogło więc być jedynie znaczne wzmocnienie polskiej akcji politycznej i odzyskanie prestiżu w oczach emigracji i obcych. Jeden silny ośrodek polityki polskiej, poza nawiasem którego stały jedynie dwa stronnictwa, mógł spełnić nadzieję, że głos emigracji zacznie odgrywać pewną rolę, skromną ale poważną, na arenie międzynarodowej.

Podpisanie Aktu Zjednoczenia przez wszystkie stronnictwa i ugrupowania biorące udział w rokowaniach było „wielkim” osiągnięciem, chociaż trudno dziś zrozumieć powody dla których cała sprawa ciągnęła się aż tak długo. Ale Akt Zjednoczenia miał jedynie znaczenie polityczne tak długo dopóki nie nastąpiło podpisanie dekretów potwierdzających go i wprowadzających w życie przez Prezydenta. Dalszym warunkiem jego wej-

ścia w życie było zapowiedziane ustąpienie prezydenta i objęcie urzędu przez gen. Sosnkowskiego.

Te ostatnie warunki nie zostały jednak spełnione. Prezydent odroczył mianowanie gen. Sosnkowskiego następcą, i nie podpisał odpowiednich dekrétów przedłożonych mu przez ówczesny rząd. Wobec czego „gen. Sosnkowski ocenił, że jego dalszy pobyt w Londynie jest zbędny i w dn. 19 marca 1954 r. wyjechał do swojego kanadyjskiego — Sulejówka” (J. Mieroszewski).

Sprawa nie była jeszcze całkowicie pogrzebana, gdyż Prezydent zapowiedział swoje ustąpienie na dzień 9 czerwca, czyli koniec kadencji siedmioletniej. Ale w dniu tym ponownie cofnął swoją zapowiedź i nie ustąpił⁸.

Można bez przesady twierdzić, że jednym z architektów Aktu Zjednoczenia była Liga Niepodległości Polski, a więc obóz piłsudczyków i sanacji. Niechętny zawsze stronnictwom, obóz ten doszedł jednak do wniosku, że kompromis ze stronnictwami jest rzeczą pożyteczniejszą niż istnienie na emigracji dwóch lub trzech ośrodków politycznych pretendujących do roli jedynych przedstawicieli wolnej Polski. Kompromis ten osłabiał fakt, że kandydat na następcę prezydenta, gen. Sosnkowski, był czołowym z żyjących piłsudczyków i jako taki dawał gwarancję, iż nie stanie się pionkiem w rozgrywkach stronnictw. Akt Zjednoczenia był więc dla Ligi Niepodległości znaczną wygraną: odsuwał w nieskończoność możliwość objęcia urzędu prezydenta przez przedstawiciela któregoś ze stronnictw, a przede wszystkim z PPS, które podpisując Akt zrzekało się właściwie pretensji do objęcia urzędu przez Zaleskiego; zapewniał Lidze możliwość poważnych wpływów na decyzje prezydenckie i kluczową pozycję w nowym układzie; odsuwał od Zjednoczenia „skompromitowane” uznaniem Jałty stronnictwa: Ludowe i Pracy. Dla PPS Akt Zjednoczenia był ciężkim kompromisem. Stronnictwo to rezygnowało ze swoich praw prezydenckich; pozwalając na pozostawienie PSL poza nawiasem zjednoczenia osłabiało obóz demokratyczny w przyszłej Radzie Jedności Narodowej, szło na współpracę z sanacją. Duży odłam stronnictwa przyjął Akt Zjednoczenia niechętnie, doszło nawet do wystąpień i wydaleń. Temu niezadowoleniu dała wyraz uchwała powzięta przez Komitet

8. Powstał tu jeszcze jeden poważny problem konstytucyjny, a mianowicie, czy oświadczenia prezydenta, stanowiące wykładnię obowiązującej konstytucji, mają moc prawa i wiążą wszystkie organy państwowe, włącznie z samym prezydentem. Według ekspertyzy, ogłoszonej w tym czasie przez B. Hełczyńskiego i B. Miedzińskiego, oświadczenia takie mają moc prawa i wiążą samego prezydenta. Trudno się w te subtelnosci zagłębiać, szczególnie, że ekspertyza ta nie była jeszcze ich szczytem.

Główny PPS w W. Brytanii, która m.in. stwierdziła: „Po zapoznaniu się z brzmieniem tzw. aktu zjednoczenia, podpisanego przez przedstawicieli CKZPPS i KG PPS w W. Brytanii stwierdza z żalem, że akt ten nie jest aktem pełnego zjednoczenia emigracji polskiej, albowiem pozostawia on ugrupowania, należące do tzw. PNKD poza nawiasem Zjednoczenia. Zarazem akt ten wprowadza do RJN ugrupowania „sanacyjne” ...Komitet jako jeden z celi postawił sobie, w związku z nową sytuacją: „dalszą pracę nad umasowieniem organizacji PPS, a przez to nad tworzeniem opinii publicznej, czuwającej w imię demokracji i postępu społecznego nad polityką RJN i rządu jedności narodowej”. Dla Stronnictwa Narodowego Akt Zjednoczenia był prawie pełnym sukcesem.

Nie ustąpienie prezydenta Zaleskiego w czerwcu 1954 roku i powstanie Tymczasowej Rady Jedności Narodowej zamyka trzecią fazę historii stosunków wewnątrzno-politycznych na emigracji, otwierając fazę ostatnią, która trwa do dziś.

Najważniejszym wydarzeniem w tym okresie był polski październik, który oddziałwał wybitnie na sytuację polityczną emigracji, przyspieszając pewne procesy które zaznaczyły się już przedtem.

Z procesów tych najważniejszym, z punktu widzenia tego rozdziału, było spotęgowanie się — po fiasku akcji zjednoczeniowej — rozbitcia emigracji, które teraz sięgnęło w głąb społeczności emigracyjnej, w dziedzinę pracy społecznej i kulturalnej, wytwarzając na dłuższy przeciąg czasu ostry podział opinii publicznej, niezliczoną ilość zadrażeń i lokalnych konfliktów, oraz silną dewaluację wszystkich trzech ośrodków politycznych w oczach przeciętnego emigranta.. Rozpoczął się spadek liczbowy stronnictw i płatników na cele polityczne.

Do dewaluacji ośrodków politycznych przyczyniła się w dużej mierze ostra kampania na przełomie 1954/55 roku, prowadzona i w dużej mierze zainicjowana przez ośrodek zamkowy (szczególnie przez Stanisława Mackiewicza) w związku ze sprawą Bergu. Ujawnienie sprawy Bergu nastąpiło nieco wcześniej, jej owoce i reakcja opinii publicznej zaznaczyły się później, podczas gdy „oficjalny” raport na ten temat, wydany pod egidą TRJN, sporządzony został dopiero w 1956 roku. Niezmiernie ważnym elementem atomizującym życie polityczne i dewaluującym prestiż ośrodków politycznych był rozłam w Skarbie Narodowym, będący rezultatem wymówienia posłuszeństwa prezydentowi przez gen. Andersa⁹.

9. Trudno jest nie zacytować tu fragmentu listu, jaki gen. Anders wystosował wówczas do prezydenta Zaleskiego. List, którego nagłówek

Jako przykład natychmiastowych skutków rozpadu ugrupowań politycznych może służyć Liga Niepodległości Polski. Jest paradoksem, że w rokowaniach w sprawie ustalenia przez prezydenta terminu mianowania gen. Sosnkowskiego swoim następcą, między ośrodkiem prezydenckim a Komisją Porozumiewawczą Stronnictw i Ugrupowań Politycznych, stronę ośrodka prezydenckiego reprezentował Jerzy Hryniewski, członek Ligi Niepodległości, a stronę Komisji Michał Grażyński, prezes tejże grupy. Fiasko tych rozmów zakończyło się rozbiciem Ligi Niepodległości na trzy odłamy, z których dwa, mniejsze, pozostały przy ośrodku prezydenckim, a jeden, większy, wraz z większością władz Ligi, odegrał dużą rolę w powołaniu TRJN, do której wszedł jako jedno z najsilniejszych ugrupowań (ugrupowania rozłamowe przyjęły następujące nazwy: Związek Niepodległości Polskiej i Liga Niepodległości Polski — Kraj i Prawo). To rozbitcie zwartego dotąd obozu piłsudczyków było symptomatyczne.

Tymczasowa Rada Jedności Narodowej utworzona została 31 lipca 1954 roku. Weszło do niej: 40 przedstawicieli delegowanych przez stronnictwa polityczne i ugrupowania dotychczasowej Rady Politycznej i 22 przedstawicieli byleży IV Rady Narodowej, 15 przedstawicieli powołanych przez Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego (Niezależna Grupa Społeczna), 3 przedstawicieli Rad Naczelnych Związków: Ziemi Wschodnich, Zachodnich i Północno-Wschodnich (po jednym z każdego), 12 osób powołanych ad personam w równych ilościach przez zespoły stronnictw i ugrupowań Rady Politycznej i IV Rady Narodowej, oraz prezesa Światopoli i ZPUW — razem 94 osoby.

Z chwilą zebrania się TRJN wyłoniły się w niej ugrupowania o następującej liczbie członków: Stronnictwo Narodowe — 16, Liga Niepodległości Polski — 15, PPS — 14, dwa odłamy Stronnictwa Pracy — 13, Niezależna Grupa Społeczna — 13, NiD — 11, PSL-OJN — 6, bez przynależności — 6. Następnie przystąpiło do TRJN Stronnictwo Demokratyczne.

TRJN powołała własną egzekutywę, tzw. Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego, i Radę Trzech, jako organ zwierzchni, do której weszli: Tomasz Arciszewski, gen. Anders i Edward

zwracał się jeszcze do „prezydenta”, w dalszej swej części był czymś więcej niż tylko wymówieniem posłuszeństwa. Gen. Anders pisał: „po głębokim rozważeniu wytworzonej sytuacji stwierdzam, że nie może Pan wykonywać obowiązków Prezydenta Rzeczypospolitej i — zgodnie z nakazem sumienia — oświadczam, że przestałem uważać Pana jako Prezydenta Rzeczypospolitej i zwoerzchnika Polskich Sił Zbrojnych”. W historii, nie tylko polskiej, jest to chyba dokument o wartości unikatowej.

Raczyński. Pierwszym przewodniczącym Egzekutywy ZN został gen. Odzierzyński.

Odpowiedzią ośrodka zamkowego na powstanie TRJN było powołanie Rady Rzeczypospolitej, mającej się składać z części powoływanej osobiście przez prezydenta, części mianowanej przez stronnictwa i z części pochodzącej z wyborów. Koncepcja wyborów została teraz wprowadzona w życie przez Stanisława Mackiewicza, który objął urząd premiera w okresie rzeczywiście trudnym dla ośrodka prezydenckiego.

Wybory Mackiewicza były jedynymi wyborami jakie przeprowadzono na emigracji. Objęły one jedynie W. Brytanię i skończyły się fiaskiem. Ogółem głosowało 4.661 osób, z tego oddano 235 głosów nieważnych, pozostało więc 4.426 głosów ważnych. W tym osobiście oddano 2.216 głosów, a listownie — 2.445. Prawo głosowania mieli tylko obywatele polscy.

Wybory odbyły się 7 listopada 1954 roku. Można przyjąć, że w tym czasie uprawnionych do głosowania było ok. 115.000 osób, a więc głosowało trochę ponad 4 % uprawnionych.

Przeciwnicy ośrodka zamkowego powitali wybory i ich wynik drwiną. Ma jednak rację Mackiewicz gdy twierdzi, że i tak były one czymś niezwykłym¹⁰. Trzeba pamiętać, że w tym czasie większość społeczeństwa na emigracji była szczerze przekonana o winie ośrodka zamkowego w związku z rozbięciem zjednoczenia. Ponadto aparat wszystkich stronnictw pokłóconych z prezydentem, wpływy najwyższych kół wojskowych i prawie cała prasa zaciekle zwalczały wybory. W tej sytuacji fakt głosowania 4 % społeczności polskiej w W. Brytanii był jednak swego rodzaju sukcesem — ale w danym momencie wydawał się zupełną klęską.

Warto dodać, że stronnictwa polityczne miały wszelkie szanse wzięcia udziału w tych wyborach, i były nawet namawiane przez gen. Sosnkowskiego, który nie zgodził się na przyjęcie miejsca w Radzie Trzech, aby nie tworzyć „dwóch legalizmów”. „Ale stronnictwa oświadczyły — jak pisze Mackiewicz w „Zielonych oczach” — że nie mają zamiaru brać udziału w „mackiewiczowskich” wyborach”. Co więcej Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego wydała nawet odezwę, w której stwierdziła, że „udział w wyborach przynosi szkodę najżywniejszym interesom narodowym i państwowym”.

10. Natomiast zupełnie przesadzone są obliczenia Mackiewicza, że te cztery tysiące z czymś stanowiło ok. 30 % uprawnionych, po odliczeniu Polaków naturalizowanych, Ukraińców i Volksdeutschów. W grudniu 1954 r. w W. Brytanii wg. oficjalnych danych było 119.187 obywateli polskich powyżej lat 16.

Niemniej, TRJN również stanęła na gruncie częściowych wyborów. 30 grudnia 1954 roku powzięła jednogłośnie uchwałę: „TRJN wzywa EZN do przedstawienia Radzie projektu ordynacji wyborczej, mającej na celu wprowadzenie do Rady osób, powołanych w drodze wyborów” — na miejsce kategorii członków TRJN delegowanych przez organizacje społeczne (razem — 18 miejsc). Przygotowywanie projektu ordynacji wyborczej przedłużało się w nieskończoność. Można by powiedzieć, że popierały wybory właściwie tylko te stronnictwa, które czuły się w danym momencie na tyle silne w terenie, by na wybory patrzeć jako na sposób powiększenia ilości swych członków w TRJN. Początkowo stronnictwem takim było PPS, przez cały czas był nim NiD (z tym, że pierwszy wniosek o zorganizowanie wyborów wyszedł od Niezależnej Grupy Społecznej). PPS zmieniło następnie zdanie, a jego przedstawiciel w TRJN, przewodniczący EZN, argumentował, że wybory nie mogą się udać, gdyż nie ma na to funduszy i że nawet przy funduszach, emigracja do wyborów według wszelkiego prawdopodobieństwa by nie poszła, tak że stałyby się one większym fiaskiem niż wybory Mackiewicza. W każdym razie idea wyborów odżywała jeszcze niejednokrotnie, podejmowana czy to przez „Dziennik Polski” (czy paryską „Kulturę”), rządziej przez któreś ze stronnictw. Jedynie w 1956 roku zdawało się, że TRJN postawiła rzeczywiście na wybory.

Złożyło się na to parę przyczyn, które ostatecznie doprowadziły do — „dwóch legalizmów”.

Jedną z najważniejszych był wyjazd do Polski Hugona Hankego — premiera rządu przy prezydencie Zaleskim. Na emigracji wyjazd ten wywołał pewne poruszenie, kompromitując wybitnie ośrodek zamkowy (podobnie duże poruszenie wywołał wyjazd do Polski Stanisława Mackiewicza w kilka miesięcy później).

Aby zmniejszyć efekt propagandowy wyjazdu premiera rządu emigracyjnego do Polski, jak i z innych względów, TRJN powzięła po wyjeździe Hankego uchwałę, w której stwierdziła, że Hugon Hanke „nigdy nie zajmował stanowiska premiera rządu polskiego, ponieważ p. Zaleski, gdy go tym tytułem obdarzył, nie był prezydentem R.P.”. Ta uchwała spotkała się z krytyką ze strony gen. Sosnkowskiego. W parę miesięcy później (21 lipca 1956) TRJN posunęła się o krok dalej, podejmując tzw. uchwałę interpretacyjną. Uchwała brzmiała:

„W oparciu o swe uchwały z 31 lipca i 8 sierpnia 1954 r. TRJN stwierdza, że w ramach postanowień Aktu Zjednoczenia oraz w zgodzie z tymi uchwałami

- 1) Rada Trzech jako organ zwierzchni czuwający nad żywotnymi interesami Rzeczypospolitej, pełni zastępczo funkcje prezydenta R.P.,
- 2) EZN pełni zastępczo funkcje Rządu R.P. na obczyźnie,
- 3) W tym charakterze wspomniane organy mają w ramach Aktu Zjednoczenia prawo podejmowania niezbędnych aktów, w szczególności wykonywania obowiązujących aktów ustawodawczych. Uzupełnienie istniejących aktów ustawodawczych oraz wydawanie nowych dokonuje się w formie uchwał TRJN ogłaszanych przez Radę Trzech, jako obowiązujące przepisy. Uprawnienia Rady Trzech nie obejmują wyznaczania następcy Prezydenta R.P."

W odpowiedzi na tę uchwałę, listem z dn. 18 sierpnia 1956 r., gen. Sosnkowski złożył kandydaturę na godność następcy prezydenta R.P., oświadczając, że „uchwała (interpretacyjna) jest sprzeczna z literą i duchem Aktu Zjednoczenia, który działania polskie na obczyźnie opiera na legalizmie, stwierdzając na wstępie, iż podpisane stronnictwa i organizacje stoją na stanowisku obowiązującej Konstytucji oraz ciągłości prawnej państwa polskiego”. List ten zakończył serię bezpośrednich interwencji gen. Sosnkowskiego w wewnętrzną politykę emigracyjną.

Stworzywszy rodzaj własnego pseudo-legalizmu i „państwowości”, TRJN postanowiła przekształcić się w Radę Jedności Narodowej, odrzucając tymczasowość. Uznano, że można tego dokonać przez przeprowadzenie wyborów części członków Rady. 30 lipca 1956 r. TRJN określiła zakończenie swej kadencji na dzień poprzedzający dzień głosowania do TRJN w W. Brytanii. Do wyborów tych jednak nigdy nie doszło.

Mimo tak skomplikowanej sytuacji prawno-konstytucyjnej, TRJN potrafiła w wielu wypadkach przejąć różne agendy działalności rządu przy prezydencie. Część „przedstawicielstw dyplomatycznych” opowiedziało się za nią, Skarb Narodowy wniesiony w posagu przez gen. Andersa rozwijał się nawet lepiej niż Skarb Narodowy zamku, powstały oddziały TRJN we Francji, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Wielkim sukcesem na terenie brytyjskim był pochód protestacyjny w Londynie, zorganizowany pod egidą „obozu zjednoczenia”, z powodu wizyty Bułganina i Chruszczowa, który zgromadził ok. 20.000 Polaków.

Dla zobrazowania działalności tego ośrodka politycznego na zewnątrz, postaramy się dać obecnie w skrócie przegląd różnych wystąpień i akcji w okresie 1956/57, który był okresem wybitnego ożywienia politycznego również i na emigracji w wyniku wypadków w Polsce i w związku z ogólnym rozwojem sytuacji za żelazną kurtyną i na świecie. Można więc powiedzieć, że okres ten pokaże nam działalność jednego z ośrodków polityki polskiej na Zachodzie w momencie szczytowym i najbardziej sprzyjającym dla odegrania pewnej roli politycznej (wybierając

TRJN jako przykład nie chcemy tym dać do zrozumienia, że działalność ośrodka prezydenckiego nie warta jest omówienia, pozostaje jednak faktem, że w tym okresie ośrodek prezydencki znajdował się w stadium kryzysowym i że działalność TRJN była i bogatsza i miała „większe znaczenie”).

Przewodniczącym Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego w tym okresie był Adam Ciołkosz. Na czele działu zagranicznego stał Jan Starzewski. Organizacja pracy w Dziale Spraw Zagranicznych opierała się o bezinteresowną współpracę dawnych urzędników polskiej służby zagranicznej i szeregu osób, które miały pewne doświadczenie w tej dziedzinie. Przyjęto system referatów, samodzielnych i odpowiedzialnych bezpośrednio przed kierownikiem Działu. Referatów takich ogółem było 18, a mianowicie: referat watykański i stosunków ze światem katolickim, referat ONZ, referat Zjednoczonej Europy, środkowo-europejski, młodzieżowy, krajowy, ogólnopolityczny i ogólny, oraz: referaty terenowe obejmujące: Stany Zjednoczone, W. Brytanię, Francję i Włochy, Związek Sowiecki, Niemcy, Półwysep Iberyjski i Amerykę Łacińską, Daleki Wschód oraz referaty litewski i ukraiński. Referaty zajmowały się przygotowaniem opracowań dotyczących ich dziedzin, które następnie były rozsyłane do placówek dyplomatycznych i do placówek radiowych. Placówek dyplomatycznych — tzn. przedstawicieli nieoficjalnych w tym okresie było 19.

W okresie kwiecień 1956 — marzec 1957, EZN wystosowała szereg not, przedłożyła kilka memorandów, a jej przedstawiciele odbyli pokaźną ilość rozmów z przedstawicielami przede wszystkim amerykańskimi.

I tak pobyt Adama Ciołkosza w Stanach Zjednoczonych zbiegł się z wypadkami poznańskimi (wyjazd Ciołkosza do Stanów Zjednoczonych odbył się na zaproszenie Komitetu Wolnej Europy, co EZN uznała za ustabilizowanie się opinii amerykańskich kół politycznych wobec TRJN i obozu zjednoczenia). W związku z tymi wypadkami przewodniczący EZN wysłał depeszę do prezydenta Eisenhowera, premiera Edena i premiera Molleta, z propozycją zwołania konferencji międzynarodowej 3 mocarstw zachodnich i reprezentantów polskich w sprawie przywrócenia Polsce niepodległości. Odbył także szereg rozmów z przedstawicielami paru państw zasiadających w ONZ, w celu nakłonienia ich do postawienia sprawy sytuacji w Polsce na forum Narodów Zjednoczonych. Równocześnie b. ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych i nieoficjalny przedstawiciel odbył kilka rozmów z urzędnikami w Departamencie Stanu, po-

ruszając szczególnie sprawę procesu poznańskiego. Te różne zabiegi przyczyniły się m.in. do tego, że 3 lipca 1956 r. Izba Reprezentantów przyjęła rezolucję wzywającą Prezydenta Stanów Zjednoczonych do przedstawienia położenia Polski Narodom Zjednoczonym oraz do kroków dyplomatycznych celem zapobieżenia masowym represjom, a także do przesłania Polsce żywności. Jak wiadomo, sprawa Polski nie weszła pod obrady ONZ, ale wszystkie te akcje (a wymieniamy tylko niektóre z nich) wzmogły poruszenie opinii publicznej. Ta zresztą zasada, że jakiegokolwiek oddziaływanie na politykę rządów zachodnich uzależnione jest ściśle od poruszenia opinii publicznej, postawiona została jako podstawowa dla polityki polskiej na Zachodzie.

Telegramy i noty wysyłane były również podczas wypadków październikowych. Dotyczyły one sprawy ewentualnej interwencji wojsk sowieckich, pomocy gospodarczej dla Polski (którą EZN poparła) i in. W listopadzie, podczas ponownego pobytu w Stanach Zjednoczonych, Adam Ciołkosz przedstawił w Departamencie Stanu sześciopunktowy polskim program: domagał się on ostatecznego załatwienia przez mocarstwa zachodnie sprawy granicy na Odrze i Nysie, wycofania z całej Polski wojsk sowieckich wzamian za wycofanie armii sojuszniczych poza Ren, neutralizacji zjednoczonych Niemiec, gwarancji wolnych wyborów w krajach dotychczas okupowanych przez Sowiety, wysuwał postulat związku środkowo-wschodniej Europy w ramach zjednoczonej Europy i europejskiego paktu bezpieczeństwa.

W ciągu listopada przeprowadzone zostały rozmowy w Stanach Zjednoczonych, Anglii i Francji, sondujące stosunek trzech rządów do granicy na Odrze i Nysie. Sondáže te nie dały rezultatów.

Przez cały ten okres EZN prowadziła również akcję, w formie memoriałów itp., w obronie prawa b. więźniów obozów niemieckich do odszkodowania, a także na rzecz pomocy repatriantom z Rosji.

Niektóre akcje podejmowane były wspólnie z innymi przedstawicielstwami narodów zza żelaznej kurtyny, szczególnie poprzez Zgromadzenie Europejskich Narodów Ujarzmionych (ACEN) i w ramach działającego tylko na terenie W. Brytanii Londyńskiego Komitetu Wolnych Przedstawicieli Krajów Europy Środkowo-Wschodniej, utworzonego z polskiej inicjatywy w maju 1955 roku.

Działalność w ramach ACEN'u warta jest opisania. Posłużymy się tu sprawozdaniem EZN (za okres od dn. 1 marca 1956

do dn. 18 lipca 1957, na którym zresztą oparty jest powyżej podany opis działalności EZN). Według tego sprawozdania:

„Zadaniem ACENu, który z reguły obraduje w gmachu położonym na przeciw gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, jest ścisła obserwacja działalności oraz wystąpień delegacji Związku Sowieckiego i rządów satelickich w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz przeciwdziałanie im przez prostowanie i piętnowanie nieprawdziwych twierdzeń szerzonych przez wspomniane delegacje. Dalszym głównym zadaniem ACENu jest informowanie szerokiej opinii świata o rzeczywistym losie narodów Europy środkowo-wschodniej, pozostających w orbicie Związku Sowieckiego w wyniku błędów popełnionych przez zwycięskie państwa Zachodu w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu. Udział nasz (tj. TRJN) w ACENie został uregulowany uchwałą Komitetu Głównego ACENu z dnia 21 września 1955 roku, która w ramach 16 miejsc przyznanych delegacji polskiej zastrzegła 11 miejsc dla EZN, zaś 5 miejsc dla tzw. PNKD. Miejsca tego ostatniego pozostały do tej pory nieobsadzone. W składzie 11 delegatów, których EZN wyznacza na każdą kolejną sesję ACENu, znajduje się dwóch przedstawicieli PSL (tj. — OJN)... W okresie sprawozdawczym odbyła się II sesja specjalna ACENu w Strasburgu..., druga część II sesji zwyczajnej w Nowym Jorku..., konferencja „okrągłego stołu” w Strassburgu, pierwsza część III sesji zwyczajnej w Nowym Jorku..., i III specjalna sesja w Strassburgu. We wszystkich tych obradach udział delegacji polskiej był żywy i owocny. W pierwszej części okresu sprawozdawczego wysiłki nasze szły w kierunku przeciwstawienia się koncepcji wyzolenia stopniami (gradual liberation), po pierwsze dlatego, że dążeniem narodu polskiego jest pełna niepodległość i całkowita demokracja, po drugie dlatego, iż — o ile wiadomo — w koncepcji Tito... Polska miała całkowicie pozostać na uboczu jako teren o takim znaczeniu dla Związku Sowieckiego, iż Moskwa nigdy z niego nie byłaby skłonna zrezygnować. Wydarzenia październikowe stworzyły jednak nową sytuację. Właśnie w Polsce, która z przewidywanego rozwoju wydarzeń po linii titoizmu była wykluczona, przełamany został ortodoksyjny marionetkowy typ rządów komunistycznych. Stąd dla niezależnej polityki polskiej wypłynął nakaz przyjęcia taktyki elastycznej, która by umożliwiła społeczeństwu w Polsce konsolidację osiągniętych zdobyczy i we właściwym momencie dalsze posunięcie się naprzód. Stąd też postawiliśmy zagadnienie pomocy gospodarczej dla Polski jako wspólny postulat całego rejonu. Stąd też wysunęliśmy plan pokojowego rozwiązania problemu pasa bałtycko-czarnomorskiego, narzucający się z uwagi na sytuację zmienioną wydarzeniami w Polsce i na Węgrzech i osłabienie Związku Sowieckiego w całym tym rejonie. ...W obu tych zagadnieniach niestety napotkaliśmy na duże trudności we wszystkich innych delegacjach narodowych i trzeba było wielkich wysiłków, by osiągnąć zmodyfikowanie rezolucji przedłożonych przez Komitet Główny ACENu, wprowadzając do nich bodaj częściowo sformułowania czyniące zadość naszym postulatom w zakresie pomocy gospodarczej dla Polski. ...Uchwałą Komitetu Głównego ACENu została z dniem 1 kwietnia br. utworzone w Londynie biuro ACENu, którego dyrektorem mianowany został kandydat wysunięty przez EZN, a mianowicie p. Antoni Dargas”.

Ten przydługi cytat ilustruje dosyć dobrze rodzaj działalności polskiej i jej skuteczność w ramach ACENu.

Przy okazji można tu dodać parę słów o „polityce zagranicznej” polskich ośrodków politycznych. Jest rzeczą uderzającą, że jedynie konflikt z Mikołajczykiem i Popielem miał istotne podłoże w różnicy poglądów na politykę wobec Rosji i sprawę Jałty. Ale wszystkie trzy ośrodki stały zawsze na płaszczyźnie pełnej walki o niepodległość, stawiały sobie za cel podstawowy, początkowo może niezbyt śmiało, skłonienie mocarstw zachodnich do uznania granicy na Odrze i Nysie, rozwijały w jakiejś formie idee federacyjne, a w momencie koniunktury koncepcji pasa neutralnego, popierały którąś z licznych form tej koncepcji, chociaż nie bez zastrzeżeń. Co zaś do Jałty i granic na wschodzie, to nawet PNKD wycofał się z pozycji zajętej przez Mikołajczyka w 1944/45 roku, chociaż nie wszystkie partie polityczne i odłamy opinii są jednakowo nieustępliwe w tym względzie, szczególnie w paru ostatnich latach.

Stałym założeniem, o które opierały się nadzieje polityczne dużego odłamu emigracji, było przekonanie o nieuchronności konfliktu zbrojnego między wschodem i zachodem. W rzeczywistości, pewne ugrupowania wyraźnie na ten konflikt stawiały, przygotowując się do wzięcia w nim udziału. To stanowisko, liczące na wojnę, osłabło wyraźnie w wyniku przyjmowanej coraz szerzej tezy, że w erze bomb wodorowych i pocisków zdalnie kierowanych, konflikt taki przestałby mieć znaczenie polityczne, powodując zagładę lub co najmniej prawie całkowite wyniszczenie ludzkości. Niemniej nawet dziś w niektórych, szczupłych zresztą, kołach byłych wojskowych, wiara że wojna przyniosła by zwycięstwo zachodowi, a tym samym Polsce, pokutuje nadal. Wiara ta opiera się na dwóch różnych przesłankach: że wojna atomowa zostanie wygrana przez Amerykę; że do wojny atomowej i użycia bomb i pocisków raketowych nigdy by nie doszło, gdyż obie strony powstrzymałyby się od tego używając broni konwencjonalnych. Trzeci wariant stawiania na wojnę jest bardziej skromny. Wystarczyłaby mu wojna lokalna w jakimś punkcie na tyle newralgicznym, by spowodowało to w rezultacie ustępstwa Rosji w Europie środkowo-wschodniej. Jak już jednak powiedzieliśmy, te nastroje spotkać można jedynie w nielicznych grupach; rzadko też są one wypowiedziane otwarcie.

Na ogół więc w poglądach na podstawowe cele polityki niepodległościowej różnic — po Jałcie — właściwie nie spotykamy. Spotykamy jedynie różnice w poglądach na stopień niezależności tej polityki od państw zachodnich. Nie spotykamy także różnic co do metod osiągnięcia stawianych sobie celów, a nie spotykamy ich, gdyż trudno mówić, aby metody takie zostały wypracowane (abstrahując od stawiania na wojnę). Sprowadzają się te metody

praktycznie do dwóch: akcji quasi-dyplomatycznej utrzymującej sprawę Polski na forum międzynarodowym i przeciwdziałającej akcji rządu warszawskiego — oddziaływania na opinię publiczną¹¹.

Dopiero wypadki październikowe w kraju wprowadziły element silnej kontrowersji w zapatrywaniach tak na cele jak i metody niezależnej polityki polskiej.

Sytuacja obecna

W Londynie działają nadal dwa ośrodki polityczne: prezydencki i TRJN. Istnieją nadal centrale stronnictw, ukazują się ich organy prasowe, ale ogólny stan posiadania, liczebność, sieć organizacyjna, autorytet, środki finansowe — wszystko to się skurczyło.

Ośrodek prezydencki posiada dziś minimalne wpływy wśród Polaków na Wyspie. Można wręcz mówić o pełnym wyobcowaniu tego ośrodka ze społeczności polskiej, jak i o zepchnięciu go na margines jej życia tak przez upływ czasu i wypadków jak przez akcję jego przeciwników. Wyrazem tego odosobnienia jest nikły stan posiadania, a właściwie prawie zupełny brak — jakichkolwiek efektywów. Obóz Zjednoczenia posiada prasę, wpływy lub kontrolę nad organizacjami społecznymi, sieć organizacyjną itd. Ośrodek zamkowy posiada jedno pismo, minimalne lub żadne wpływy w organizacjach społecznych, prawie żadnej sieci organizacyjnej.

Centrum życia ośrodka zamkowego jest w Londynie budynek przy 43, Eaton Place, gdzie mieszka i ma swoją siedzibę prezydent Zaleski, gdzie jest rząd i siedziba Rady Rzeczypospolitej.

Na czele rządu od paru już lat stoi Antoni Pająk (ze Związku Socjalistów Polskich, odprysku PPS), łączący funkcję premiera i ministra skarbu. Wśród ministrów spotykamy następujące nazwiska: Aleksander Zawisza — minister spraw zagranicznych, Z. Muchniewski — minister dla zagadnień emigracji politycznej, Stanisław Pomianowski minister spraw wewnętrznych, Stanisław Lubodziecki — minister sprawiedliwości, płk. Broch-

11. Niedawnym przykładem „akcji przeciwdziałającej” jest depesza jaką Rada Trzech wysłała do Sekretarza Stanu, A. Hertera, o następującym brzmieniu: „Według wiadomości prasowych p. Gomulka, sekretarz Polskiej Partii Komunistycznej zabiega o zaproszenie go do dokonania objazdu Stanów Zjednoczonych. W imieniu naszych rodaków w ujarzmionej Polsce wzywamy Pana by przeciwstawił się Pan temu planowi i położył kres temu prowokacyjnemu zamierzeniu. — Gen. W. Anders, Gen. T. Bór-Komorowski, Amb. E. Raczynski”.

wicz-Lewiński — minister obrony narodowej, Józef Kapica — minister wyznań religijnych, oświaty i kultury, Jerzy Gawenda — minister do spraw informacji, płk. Tadeusz Machalski — minister bez teki (skład rządu z lipca 1960).

Rada Rzeczypospolitej skupia następujące ugrupowania polityczne, zorganizowane w kluby: Związek Socjalistów Polskich na Obczyźnie, którego prezesem jest prof. Adam Pragier, Klub Chrześcijańskiej Demokracji, którego prezesem jest ks. Brandys, Konwent Walki o Niepodległość, zrzeszający piłsudczyków, na czele którego stoi Jerzy Ścibor, Klub Obrony Ziemi Wschodnich, Klub Ruchu Odrodzenia Narodowego, którego prezesem jest Sokolnicki (skupia on młodszą generację piłsudczyków), Klub Niezależnych-Koła Wojskowe, na którego czele stoi płk. Machalski, i Niezależny Ruch Chłopski. Dwa ostatnie kluby nie istnieją jako osobne organizacje, a są jedynie tworamami wewnątrz Rady R.P. Łatwo zauważyć, że w ugrupowaniach tych nie ma ani jednego stronnictwa politycznego, a jedynie odłamy stronnictw politycznych lub ugrupowania całkiem nowe, efemerydalne. Uderza także, z paroma wyjątkami, drugorzędny garnitur osób czy to w rządzie czy na czele klubów.

Wewnętrzna opozycję w chwili obecnej tworzą trzy ugrupowania, które choć stoją na gruncie legalizmu, nie chcą jednak brać udziału w pracach rządu: Stronnictwo Ludowe „Wolność”, Liga Niepodległości „Kraj i Prawo” (grupa Jerzego Hryniewskiego i gen. Sawickiego), i Niezależny Ruch Społeczny.

Członkostwo wszystkich tych ugrupowań jest bardzo szczupłe i rzadko wybiega na prowincję.

Ośrodek prezydencki nie ma zbyt wielkich wpływów w kołach byłych wojskowych, chociaż istnieje cała struktura organizacyjna, odbudowana przy pomocy kilku lojalnych generałów, po — jak ta rzecz jest w tych kołach określana — „rokoszu” gen. Andersa (który został oficjalnie zwolniony przez prezydenta ze stanowiska Generalnego Inspektora Polskich Sił Zbrojnych, choć tytułu tego używa nadal).

Przy ośrodku prezydenckim Generalnym Inspektorem PSZ jest gen. Tokarzewski-Karaszewicz, posiadający własny sztab, w którym jest trochę „młodych” oficerów (m.in. z 2 Korpusu). Oprócz tego, równoległe do kół oddziałowych gen. Andersa, istnieje lojalny Związek Żołnierzy Wiernych Przysiędze, posiadający oddziały — poza W. Brytanią — w Niemczech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i innych krajach. Wpływy i członkostwo tego Związku w W. Brytanii są małe. Działa ponadto Koło Wiedzy Wojskowej. Z generałów przy prezydencie pozostali (obok już wymienionych): gen. Karpiński (lotnik), gen

Bortnowski, gen. Miller, gen. Przeździecki, gen. Ząbkowski i adm. Korytowski. Ostatnio można zaobserwować w sferach byłych wojskowych tendencje do utrzymywania kontaktu, mimo podziału na dwa obozy. Brygadowe Koło „Pogoń”, posiadające paruset członków, uznaje za swych zwierzchników tak gen. Andersa, jako Wodza Naczelnego, jak gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza, jako jego zastępcę, obdarzając ponadto wielkim sentymentem gen. Sosnkowskiego, jako wodza duchowego.

Ośrodek zamkowy zdołał utrzymać, lub po zreorganizowaniu, odtworzyć w wielu krajach, placówki dyplomatyczne, nieoficjalne. Placówki takie są w Belgii, Holandii, Danii, Szwajcarii, Hiszpanii, Nowej Zelandii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i w innych krajach, gdzie są przedstawiciele lub obserwatorzy (jak np. w Niemczech). Niemniej, po rozłamie, bardzo wielu przedstawicieli przeszło na stronę TRJN i Rady Trzech. Niektórzy przez pewien czas pracowali dla obu stron, ale w końcu musieli wybierać.

Nie mając żadnego wpływu w organizacjach społecznych, ośrodek zamkowy próbuje utrzymywać kontakt z terenem poprzez sieć delegatów Skarbu Narodowego i delegatów rządu. Kontakt ten jest minimalny. Odbywają się co pewien czas wyjazdy przedstawicieli rządu do różnych ośrodków prowincjonalnych, ale są one sporadyczne i nie mają większego znaczenia. Jedyne szersze poparcie ma ośrodek zamkowy w Szkocji, przede wszystkim w Edynburgu (o czym pisaliśmy już obszerniej). Poparcie kleru jest również bardzo skąpe.

System delegatów ma charakter struktury pseudo-administracyjnej i jako taki jest czymś zupełnie sztucznym. Lista delegatów z 1957 roku, podana w „Dzienniku Ustaw R.P.” wymienia 23 ośrodki w W. Brytanii, gdzie rezydują delegaci; połowa z nich to ośrodki bardzo małe.

Na pełnym wyobcowaniu z organizacji społecznych zaważył fakt, że zwolennicy zamku, zamiast próbować opanować je od wewnątrz, wycofali się z nich w momencie rozłamu, próbując tworzyć organizacje nowe. To zupełnie się nie udało.

Jedyny organ prasowy ośrodka prezydenckiego, „Rzeczpospolita” ukazuje się jako dwutygodnik, w 2.500 egzemplarzy. W tym jest około 800 prenumeratorów i 1.000 egz. sprzedażnych, oczywiście nie tylko w W. Brytanii. Zasięg pisma nie jest duży, ale stosunkowo jeszcze nie najgorszy. Są projekty przekształcenia pisma w tygodnik.

Ośrodek prezydencki prowadzi swój własny Skarb Narodowy, zreorganizowany po oderwaniu się większości Głównej Ko-

misji z gen. Andersem na czele, i ponownie zreorganizowany w 1959 r. Można powiedzieć, że struktura zamkowego Skarbu Narodowego została odbudowana w pełni, szczególnie że wiele ośrodków od początku opowiedziało się za prezydentem. Niemniej wpływy Skarbu Narodowego R. P. (taka jest jego oficjalna nazwa) są niezbyt duże. Nie możemy podać wszystkich danych, gdyż przez pewien okres czasu nie ukazywały się komunikaty Skarbu Narodowego R.P. (poza tym nie mogliśmy się doprosić o komplet wydanych komunikatów). Dla ilustracji podamy dane za lata 1958-59.

Skarb Narodowy R.P. uzyskał w tym okresie w Stanach Zjednoczonych — £ 11.855; w Kanadzie — £ 328; w W. Brytanii — £ 2.079, z innych krajów oraz wpłat indywidualnych — £ 414. Razem wpływy wynosiły nieco ponad £ 14.700 (co daje ok. £ 7.000 rocznie). Rubryka: „inne kraje” wykazuje, jak słabe są wpływy z krajów europejskich, gdzie organizacja Skarbu Narodowego R.P. prawie w ogóle nie działa. Natomiast występuje wyraźnie znaczenie Stanów Zjednoczonych, gdzie ośrodek zamkowy cieszy się stosunkowo dużymi wpływami.

Budżet z okresu nieco wcześniejszego uzmysłowi nam rodzaj i wysokość wydatków. Podajemy go w prawie dosłownym brzmieniu:

Na okres od 1 lipca 1956 do 30 czerwca 1957 preliminowano następujące kwoty:

Wydatki personalne:	
Prezydent	£ 520
Szef Kancelarii Cywilnej	£ 260
Adiutant	£ 208
Woźny do dyspozycji Prezydenta	£ 312
Wydatki związane z urzędem Prezydenta:	
a) reprezentacyjne	£ 156
b) kancelaryjne	£ 52
Razem	£ 1.508

Rada R. P.	
Prezes	£ 260
Dyr. Biura Rady R.P.	£ 156
Podróże członków Rady R.P.	£ 208
Salę i lokale na obrady	£ 52
Diariusz i in. wydawnictwa	£ 156
Biuro Rady R.P.	£ 52
Razem	£ 884

Najwyższa Izba Kontroli:	
Lokal i telefon	£ 260
Kancelaryjne i pocztowe	£ 52
Razem	£ 312

Prezydium Rady Ministrów:**Personalne:**

Prezes Rady Ministrów	£ 416
Ministrowie bez teki	£ 520
Dyrektor Biura	£ 156
Maszynistka	£ 260
Siła pomocnicza	£ 182

Razem £ 1.534

Rzeczowe:**Propaganda:**

Rada Kulturalno-Prasowa	£ 364
wydawnictwa PAT i in.	£ 520
ogłoszenia i komunikaty w prasie i in. wydaw. własne	£1.040
urządzenie zebrań, odczytów, obchodów	£ 260
Fundusz Dyspozycyjny Prezydium Rady Min. ...	£ 260
Propaganda radiowa	£ 416
Kancelaryjne	£ 312

Razem £ 3.172

Ministerstwo Spraw Zagranicznych:

Minister	£ 312
Referenci	£ 312
Sekretarka	£ 260
Wydawanie biuletynu	£ 156
Działalność międzynarodowa	£ 260
Utrzymanie placówek zagr.	£4.160
Kanc. i poczt.	£ 104
Fundusz dyspozycyjny	£ 156

Razem £ 5.720

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

Minister	£ 156
Siła pomocnicza	£ 104
Złożone prace	£ 52
Badanie zagadnień krajowych	£ 260
Kanc. i poczt.	£ 52
Prenumerata pism i wydawn.	£ 52

Razem £ 676

Ministerstwo Obrony Narodowej:

GIPSZ	£ 416
Minister	£ 312
Sekretarz i maszynistka	£ 364
Prace sztabowe	£ 312
Wydawnictwa wojskowe	£ 104
Kanc. i poczt.	£ 104

Razem £ 1.612

Ministerstwo Skarbu	
Minister	£ 156
Księgowy	£ 156
Siła pomocnicza	£ 104
43, Eaton Place (utrzymanie domu)	£2.028
Remonty i inne wydatki związane z domem ..	£ 728
Podróże służbowe	£ 520
Razem	£ 3.692
Ministerstwo Sprawiedliwości	
Minister	—
Siła pomocnicza	£ 104
Sądy Obywatelskie	£ 208
Dziennik ustaw	£ 104
Pomoc prawna	£ 260
Kancelaryjne	£ 52
Razem	£ 728
Ministerstwo dla Spraw Obywateli Polskich na Obczyźnie:	
Minister	£ 312
Rektor Uniwersytetu Polskiego	£ 260
Referent	£ 208
Maszynistka	£ 208
Wydział oświaty	£ 260
Skarby Wawelskie	£ 156
Pomoc dla wyższych uczelni i bibliotek	£ 208
Inwalidzi Wojskowi	£ 520
Pomoc dla Polskiej Kultury i Sztuki	£ 208
Kanc. i pomoc	£ 156
Razem	£ 2.496
Ogółem	£ 22.334

Nie wiemy, jak wyglądało wykonanie preliminarza budżetowego. W każdym razie, dalsze preliminarze wykazują stałą zniżkę: na okres 1 lipca — 30 czerwca 1957-58 preliminowano ogółem £ 20.644, na okres 1958-59 — £ 16.900, na okres 1 lipca — 31 grudnia 1959 — £ 7.371, na okres 1.1.1960 — 31.12.1960 — £ 15.106.

Jest to wyraźny wskaźnik, że wpływy Skarbu Narodowego R.P. ciągle maleją, tak że bez przerwy jakaś forma aktywności jest obcinana. Przestał się na przykład ukazywać Diariusz Rady R.P., przez pewien okres czasu nie ukazywały się powielane komunikaty Skarbu Narodowego, itd.

Wystąpienia prezydenta na zewnątrz są coraz rzadsze. Na ostatnim z nich, na akademii Święta Żołnierza w 1960 r. było około 300 osób.

W rozprawie naukowej (złożonej w Szkole Nauk Politycznych i Społecznych) napisanej przez dr. J. Gawendę, ministra informacji, i zatytułowanej „Legalizm Polski w świetle Prawa Publicznego”, znajdujemy następujący program pracy nakreślony dla rządu i ośrodka prezydenckiego:

„Do głównych zadań rządu na uchodźstwie należy: a) utrzymanie ciągłości władzy państwowej i prowadzenie powszechnej akcji niepodległościowej, b) prowadzenie niezależnej polskiej polityki zagranicznej, c) kierowanie polską akcją walki z komunizmem w ramach walki całego wolnego świata, d) wszechstronna akcja propagandowa wśród obcych, na rzecz wyzwolenia kraju.

(...) Zakres działania jest ogromny. Koncepcje wyłącznie polskie na emigracji w latach 1947-54, były błędne. Zatarły one sens istnienia rządu R.P. na uchodźstwie. (...)

Do naczelnego obowiązku rządu R.P. należy akcja niepodległościowa. Wykonuje ją rząd poprzez naród polski na uchodźstwie”.

I, co jest naczelną tezą tej książki, pod zwierzchnictwem jedynej *legalnej* władzy polskiej, prezydenta R.P. w Londynie.

Książka ukazała się w 1959 roku¹².



Tak zwany Obóz Zjednoczenia jest w nieco lepszej sytuacji finansowej niż ośrodek zamkowy. Przede wszystkim jego Skarb Narodowy, chociaż nie rozwija się specjalnie, utrzymuje się jednak na mniej więcej stałym poziomie. Posiada on obecnie 50 placówek w 31 krajach, a jego wpływy roczne wynoszą przeciętnie £ 18.000 (od 1954 roku do 1958). Dla przykładu: w roku 1958 ogólne wpływy wynosiły £ 18.121, w czym, ze znaczków Skarbu Narodowego — £ 3.964, z darów — £ 9.155, z darów o specjalnym przeznaczeniu — £ 2.571, z innych wpływów, jak dochód z obu domów Skarbu Narodowego, wydawnictw itp.: — £ 2.430. W roku 1959 ogólne wpływy wynosiły £ 17.987, rozbić bardzo podobne do podanego powyżej. Cechą charakterystyczną jest stały spadek wpływów ze sprzedaży znaczków a wzrost wpływów z darów i imprez. Prowadzi się np. propagandę za przekazywaniem spadków na Skarb Narodowy, udziela się fir-

12. Warto podać że według ostatniej nominacji, następcą prezydenta jest Aleksander Zawisza. Jest to, od 1947 roku, czwarta z kolei nominacja. Poprzednio na zastępców wyznaczeni byli: T. Tomaszewski (9.6.1947), gen. W. Anders (11.8.1950) i prof. T. Brzeski (3.6.1954). (Wg. „Legalizm Polski w świetle Prawa Publicznego”, White Eagle Press, Londyn, 1959, str. 110). Książka nie wspomina głośnej swego czasu nominacji ks. Eustachego Sapięhy.

mom i przedsiębiorstwom złotych odznak za opłatą, rozpoczęto wydawnictwo kartek świątecznych itp.¹³.

Największe wpływy ma Skarb Narodowy Zjednoczenia (odwrotnie niż zamkowy) z terenu europejskiego; Stany Zjednoczone są na drugim miejscu. Oto porównanie wpływów za okres 9 miesięcy w 1958 i 1959 roku, w zaokrąglonych cyfrach (wg. Biuletynu Informacyjnego Gł. Kom. S.N., grudzień 1959):

Europa (łącznie z W. Brytanią)	£ 6.149	£ 6.580
Ameryka (łącznie z Kanadą)	£ 3.717	£ 4.016
Australia i Nowa Zelandia	£ 440	£ 377
Afryka	£ 36	£ 22
Azja	£ 150	£ 166

Wydatki własne Głównej Komisji Skarbu Narodowego zamykają się w granicach £ 2.000 rocznie. Według dekretu o Skarbie Narodowym, 70 % dochodów przekazuje się na działalność polityczną i podtrzymywanie polskości. Tak więc np. w roku 1957/58 (lipiec-czerwiec), wypłacono na rzecz Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego ze Skarbu Narodowego sumę £ 11.321.5.8. Jak suma ta była wydana? Preliminarz budżetowy EZN na ten okres zamykał się kwotą £ 24.320. Wykonanie budżetu wyrażało się kwotą: £ 11.608.15.10 (a więc 48% sumy preliminowanej — jest to stała cecha gospodarki EZN). Wydatki były następujące:

TRJN, Prezydium	£ 148. 6. 2
Egzekutywa, zwrot wydat. osobistych przew.	£ 220. 0. 0
Fundusz do dyspozycji	£ 31. 7. 2
Zwrot wydatków osobistych członków	£ 440. 0. 0
Sekretarka	£ 402. 9. 0
Materiały kancelaryjne	£ 45. 4. 0
Różne i świadczenia społeczne	£ 15.18. 0
Pomoc wdowom po osobach zasłużonych	£ 100. 0. 0
Dom w Londynie, komorne	£ 780. 0. 0
Telefon, opał, sprzątanie	£ 216.14. 3

Dział Spraw Zagranicznych,

działalność międzynarodowa	£ 534. 0. 0
Wydatki kancelaryjne	£ 126. 4. 7
Wydatki personalne, kierownik	£ 120. 0. 0
Referenci	£ 240. 0. 0
Akcje nadzwyczajne	£ 39. 7. 6

13. Nawiasem warto dodać, że Główna Komisja prowadzi szeroką akcję informowania o Skarbie Narodowym, trzymając się zasady regularnego wydawania komunikatów obrazujących sytuację finansową i organizacyjną, sprawozdań finansowych itp.

Placówki

Francja	£ 1.263.16. 8
Hiszpania	£ 738. 7. 9
Irlandia	£ 30. 0. 0
Watykan	£ 130. 0. 0
Stany Zjednoczone	£ 1.809.17.10
Liban	£ 608.17.10
Turcja	£ 120. 0. 0
Szwecja	£ 120. 0. 0
Kanada	£ 120. 0. 0

Dział informacji,

Biuletyn EZN	£ 328. 0. 8
„Polish Affairs”	£ 990.12. 5
Personel pomocniczy	£ 156. 0. 0
Radio Madryt	£ 491. 0. 7
Akcje różne	£ 74.10. 2
Akcja wydawnicza	£ 212.10. 0
Fundusz Odry i Nysy	£ 64.12. 6

Dział Spraw Wewnętrznych,

Instytut Badania Zagadnień Krajowych	£ 50. 0. 0
Zjednoczenie PUW	£ 37.14. 1
ZHP	£ 15. 0. 0
Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii	£ 20. 0. 0
Kuratorium szkolne i naucz. przedm. ojczyźtych	£ 17.15.10
Wydatki kulturalno-oświatowe i społeczne w 8 krajach	£ 735. 8.10
Podróże i łączność z terenami	£ 15. 0. 0

Możliwość wydatkowania około £ 12.000 rocznie przez EZN trzeba porównać z podobną sumą wydatkowaną przez ośrodek zamkowy. Dodając obie, i przyjmując cyfrę optymistyczną dla ośrodka zamkowego, możemy powiedzieć, że oba ośrodki nie wydają więcej niż £ 30.000 rocznie na pokrycie wydatków personalnych, działalność polityczną, kulturalno-społeczną i oświatową i inne. Co najmniej połowa z tej sumy, jeśli nie więcej, to są wydatki dublowane.

Do niedawna wydawało się, że ośrodek zjednoczeniowy jest również bardziej spójny, a w każdym razie bardziej dynamiczny, niż ośrodek zamkowy. Dynamizm poszczególnych członów ośrodka zjednoczeniowego jest nadal duży, ale spójność tego ośrodka uległa w ostatnich latach wyraźnej erozji, tak że w tej chwili przyszłość TRJN stoi pod dużym znakiem zapytania. Głównym powodem tarć wewnętrznych stała się sprawa stosunku do kraju oraz ocena sytuacji na emigracji.

Polski październik uaktywnił wybitnie emigrację polityczną, jej ośrodki i instytucje i stronnictwa. Uaktywnienie to nie miało jednoznacznego charakteru. Ośrodki dyspozycyjne początkowo widziały dla siebie nowe możliwości na arenie międzynarodowej, szczególnie po wypadkach poznańskich, ale bardzo szybko znalazły się w defenzywie wobec zmian w nastawieniu do kraju jakie ogarnęły emigrację oraz zmian w pojmowaniu roli emigracji. Zmiany te otworzyły nową fazę wewnętrznych walk na emigracji, z tym że obecnie walki te miały istotniejsze podłoże niż niejednokrotnie przedtym. Emigrację ogarnęła fala sympatii do Polski, wzmożonego zainteresowania życiem kraju, poszukiwań dróg pomocy, kontaktów, wymiany myśli. Rozpoczęły się wyjazdy i przyjazdy. Po odwilży w kraju odwilż ogarnęła również emigrację.

Zarysowała się wyraźna linia podziału: w najogólniejszych kategoriach, na pesymistów i optymistów.

Jedni w polskim październiku widzieli autentyczną rewolucję dokonaną polskimi rękoma, w Gomułce narodowego komunistę o zliberalizowanych, dzięki własnym doświadczeniom z okresu stalinizmu, poglądach, a w sytuacji popaździernikowej zadatki na ewolucję w kierunku drugiego etapu — a więc w kierunku dalszej demokratyzacji życia politycznego, budowy *polskiego* modelu gospodarczego, swobody naukowej i twórczej, a wreszcie — wolnej gry sił politycznych, co rysowało nadzieje na ewentualne dopuszczenie politycznych ugrupowań emigracyjnych do udziału w życiu politycznym kraju. W ramach tych ogólnych poglądów występowały, oczywiście, różnorodne odmiany, skrajności i odcienie. Na ogół jednak efekt był ten, że niezwiązany z rzeczywistym obliczeniem sił, możliwości i warunków, emigracyjny polityczny maksymalizm, wykazał, w pewnych granicach, gotowość uznania niektórych racji stanu, znajdując na chwilę wspólnotę interesów narodowych nawet z nie-natolińskimi komunistami (rewizjonistami).

Drugi odłam emigracji politycznej dopatrywał się w wypadkach październikowych jedynie posunięć taktycznych, spowodowanych koniecznością rozładowania nastrojów społeczeństwa, w Gomułce widział przede wszystkim komunistę, dążącego do odbudowy siły partii i konsolidacji władzy komunistycznej. Odłam ten zapatrywał się pesymistycznie na dalszy rozwój sytuacji, zmiany w Polsce mierzył nie tyle miernikiem wewnętrznych możliwości na tle otoczenia socjalistycznego, ale miernikiem własnych postulatów — pełnej niepodległości, wycofania wojsk rosyjskich, wyjścia z paktu warszawskiego, i jeśli nie wejścia w obręb systemu zachodniego, to co najmniej pełnej neu-

tralizacji, a na wewnątrz: wolnych wyborów i pełnej gry sił politycznych (z ewentualnym wyłączeniem z niej komunistów).

W zrozumieniu tego odłamu październik ani na jotę nie zmieniał podstawowych i maksymalnych celów emigracji politycznej. W liście do płk. Schaetzla, ogłoszonym jako broszura, gen. Sosnkowski pisał w miesiąc po październiku 1956:

„Z podziału zadań pomiędzy Kraj i emigrację wynika, że powinna ona być rzecznikiem *pełnego, integralnego* programu niepodległościowego, bezkompromisowego i pozbawionego subtelnosci taktycznych. Subtelnosci te nie mają racji bytu w warunkach, w których nie posiadamy mozności prowadzenia polityki w sensie wykonawczym. W podobnych okolicznościach nadużywany tak często argument „realizmu” staje się gorzkim nieporozumieniem. Głos emigracji musi być jednolity, a więc zjednoczony; winien rąbać prawdę prosto w oczy bez owijania słów w bawelnę; musi to być głos nieustającego buntu przeciwko zimnemu egoizmowi i samobójczej głupocie Zachodu. Emigracja winna grać pełnym akordem dążeń narodowych, obejmującym wszystkie struny; a więc całkowite odrzucenie komunizmu we wszystkich jego odmianach i odcieniach; przekreślenie paktów jałtańskich i teherańskich; należne nam granice na zachodzie i na wschodzie; zerwanie przez demokrację zachodnie stosunków dyplomatycznych z Moskwą; przywrócenie uznania legalnym władzom Rzeczypospolitej; wycofanie garnizonów sowieckich z Polski; wolne wybory pod kontrolą międzynarodową; zabezpieczenie i gwarancje przed rewizjonizmem niemieckim itd... Żadna nuta w tym akordzie nie powinna być pomijana lub tłumiona dla złudnych względów taktycznych, czy „dyplomatycznych”. W naszym położeniu najlepszą taktyką jest wysuwanie żądań maksymalnych, a kierownicy emigracji dobrze zrobiają, jeśli do czasu zapomną o słusznej skądinąd maksymie, że polityka jest sztuką osiągnięcia rzeczy możliwych. To co wydaje się nieosiągalnym dzisiaj, może stać się *réalisable* jutro, gdy konflikt między dwoma światami wejdzie w stadium ostrego i nieodwołalnego kryzysu”.

Zacytowaliśmy ten ustęp, gdyż oddaje on najlepiej i najpełniej podstawowe założenia myślenia politycznego odłamu tzw. niezłomnych.

Z takich założeń wychodząc (czy też raczej — przy takich założeniach pozostając), odłam ten przyjmował zmiany zachodzące w nastawieniu do kraju jako cios, który w konsekwencji musi spowodować rozbitcie emigracji, uczynienie z niej Polonii, i jeśli nie przekształcenie jej w masę powolną rozkazom reżymu, to co najmniej całkowitą neutralizację jej znaczenia politycznego. W rezultacie odłam ten pozostał wrogi wobec wszystkiego co reprezentowało oficjalne czynniki krajowe, zaciekle zwalczał wszelkie objawy non-konformizmu w tej dziedzinie, podtrzymując tezy o swej reprezentatywności. Skrajne skrzydło tego odłamu wydawało się przyjmować wszelkie polepszenie sytuacji w Polsce jako rodzaj klęski narodowej, rozbijające bowiem opór narodu (a naród w tym obrazie pozostawał nadal tworem wręcz mitycznym, od którego reżym i partia odcięte były jak

toporem). Krótko mówiąc, elementem podstawowym pozostał nadal cel odebrania władzy, i bez *takiej* zmiany, wszystkie inne przybierały znaczenie drugorzędne, a ich ocena uzależniona była od tego kryterium. To stwierdzenie nie jest przesadą. Szczególnie jaskrawo zarysował się ten bezkompromisowy stosunek w wypadku sprawy amerykańskiej pomocy dla Polski — znalazła się bowiem grupka ludzi która była jej kategorycznie przeciwna — chociaż obiektywnie trzeba stwierdzić, że była to grupka bardzo nieliczna. W tym konkretnym wypadku tak ośrodek zamkowy jak i EZN zajęły stanowisko przychylne, czyniąc nawet starania aby nakłonić czynniki amerykańskie do udzielenia pożyczki.

Wspomnieliśmy już o wstrząsach przez jakie przeszedł ośrodek zamkowy na tle wypadków w kraju: wyjazd Hankego, następnie Mackiewicza, ewolucja londyńskiego „Tygodnika”, który z pisma popierającego ośrodek prezydencki przekształcił się w forum zbliżenia między krajem a emigracją, aby po okresie krótkiej vegetacji, ulec likwidacji. Ale skutki wypadków krajowych odbiły się na ogół mniej na ośrodku zamkowym niż na obozie zjednoczenia. I to mimo, iż z obozu tego jedynie parę osób, wcale nie na czołowych stanowiskach, wyjechało na stałe do kraju (choć ustąpienie J. Zdziechowskiego z TRJN, mając podobne podłoże, wywołało pewne poruszenie).

Ośrodek zamkowy jest tworem dziś już czysto nadbudowkowym, jeśli chodzi o emigrację polską w W. Brytanii. Wyjazdy Mackiewicza, czy Hankego, to były wyjazdy indywidualne, nie pociągające za sobą szerszych kręgów społeczności emigracyjnej. Różnica wystąpi wyraźniej, jeśli na chwilę przypuścimy, że cały ośrodek zamkowy wyjechał do Polski. Wyjazd ten nie naruszyłby w zasadzie podstawowego układu sił na emigracji. Natomiast wyjazd całej TRJN miałby konsekwencje o wiele poważniejsze: sięgnąłby swymi skutkami na prowincję, w organizacji społeczne, do najdrobniejszych komórek stronnictw politycznych. Oczywiście, grupa polska w W. Brytanii pozostałaby grupą polską, ale ucięto by jej polityczną głowę.

Stąd wstrząsy w ramach obozu zjednoczenia trzeba traktować jako zjawisko o wiele poważniejsze (oczywiście, bez przesady). Szczególnie, że powolna erozja spistości Rady miała swoje źródła oddolne — np. w wypadku PPS.

Początkowo jedynie trzy ugrupowania zaczęły wyłamywać się z ogólnej linii politycznej TRJN. Były nimi: Stronnictwo Demokratyczne, Stronnictwo Pracy (w pewnej swej części) i NiD. Następnie doszła grupa Thugutta (PSL-OJN.) Ale ferment oddolny i nowe koncepcje odgórne pchnęły wkrótce na podobną drogę PPS.

Wystąpienia wymienionych ugrupowań (bez PPS), cechowała: krytyka postawy tzw. niezłomnych, postawy bezkompromisowej wobec zmian w kraju, uznanie, że naród uzyskał częściową możliwość wypowiedzania swej woli, porzucenie koncepcji legalizmu i atak na ten legalizm, oraz ostrożne nadzieje na włączenie się w grę polityczną w kraju i jakieś „dogadanie się” z oficjalnymi czynnikami krajowymi z myślą o restauracji ruchów politycznych w Polsce.

Najwyraźniej w fazie początkowej formułował swoje poglądy na potrzebę zmian NiD. W uchwale Rady Naczelnej z dnia 30 marca 1957 (obradującej w Leicester) znajdujemy następujące sformułowania:

„Dopóki naród był całkowicie politycznie ubezwłasnowolniony pod rządami agentów Moskwy i odcięty od wolnego świata żelazną kurtyną, a Polska była faktycznie prowincją sowiecką, — na emigracji ciążył obowiązek reprezentowania państwowości polskiej i narodu, oraz prowadzenia w jego imieniu akcji niepodległościowej. Ta ostatnia czynność była z natury rzeczy wielce utrudniona i ograniczona na skutek przez statyczność ówczesnej sytuacji międzynarodowej. W rezultacie funkcja reprezentowania państwa i narodu, oparta o przedwojenne tytuły legalne i polityczne, wybijała się na plan pierwszy.

Przemiany październikowe w Polsce wykazały, że w zmienionych od śmierci Stalina warunkach, naród ma możliwość częściowego wpływania na rozwój wydarzeń w Kraju i wypowiedzania swojej woli. Jednocześnie upłynienie sytuacji międzynarodowej otworzyło perspektywy odzyskiwania przez Polskę niepodległości etapami, co przedtem było niemożliwe.

Ten stan rzeczy — o ile się utrzyma — zmienia również dotychczasową rolę emigracji. Z przedstawiciela narodu, staje się ona jego pomocnikiem w walce o wolność. O dalszym znaczeniu emigracji w tej walce decydować będą nie tytuły, którymi się dotąd legitymowała, lecz wielkość i zakres pomocy, jaką będzie w stanie udzielać narodowi na kolejnych etapach jego drogi do wolności.

(...) Dla skutecznego wypełniania tych zadań konieczne jest w pierwszym rzędzie, aby emigracja starała się w pełni wykorzystywać możliwości, jakie stwarza podniesienie żelaznej kurtyny, która ją odgradzała od narodu, dla odbudowy i zacieśnienia łączności ze społeczeństwem w Kraju i wzajemnego na siebie oddziaływania, dla wszechstronnej mu pomocy i Rodakom wyjeżdżającym zagranicę, oraz dla ułatwienia narodowi jaknajszerszej wymiany wartości kulturalnych z Zachodem.

Drugim koniecznym warunkiem należytego wypełniania nowej roli przez emigrację jest taka przebudowa jej politycznej struktury organizacyjnej, aby z jednej strony struktura ta umożliwiała włączenie do akcji na rzecz sprawy polskiej wszystkich żywych sił uchodźstwa, a z drugiej — była na tyle elastyczna, by pozwalała emigracji spełniać swe zadania polityczne niezależnie od zmian, jakim mogą ulegać sytuacja międzynarodowa i krajowa w obecnym stanie płynności i przejściowości. Tym wymaganiami nie odpowiada już dotychczasowy system polityczny, oderwany zarówno od rzeczywistości krajowej jak i emigracyjnej, oraz oparty o sztywne założenia reprezentacji państwa i narodu”.

NiD próbował te wytyczne zastosować tak w akcji na zewnątrz, jak w stosunku do TRJN, wykazując wiele inicjatywy w momencie gdy ta wysuwała się z rąk oficjalnego przedstawicielstwa politycznego. Z działalności NiD'u po tych liniach warto wymienić próbę zaangażowania szerokich rzesz społeczeństwa w akcję uzyskiwania od lokalnych członków parlamentu brytyjskiego zapewnień poparcia dla pomocy gospodarczej Polsce, granicy na Odrze i Nysie i idei pasa neutralnego i akcję tworzenia Komitetów Pomocy Repatriantom z ZSSR, które objęły szereg ośrodków polskich w W. Brytanii (mimo bojkotu akcji przez „Dziennik Polski”); w chwili likwidacji „Po Prostu” NiD spowodował pewne poruszenie na emigracji i krytykę ze strony niezłomnych, wysyłając telegram protestacyjny na ręce Gomułki. Na terenie TRJN NiD domagał się wyborów i całkowitej zmiany charakteru Rady, składając następujący wniosek:

Tymczasowa Rada Jedności Narodowej wzywa stronnictwa podpisane pod Aktem Zjednoczenia, aby przeprowadziły rewizję Aktu w celu dostosowania go do zmienionych warunków akcji niepodległościowej wobec przemian, jakie dokonały się w Kraju i na terenie międzynarodowym od czasu opracowania Aktu w roku 1954.

W szczególności Akt Zjednoczenia powinien być tak zmieniony, by umożliwił włączenie do pracy na rzecz sprawy polskiej wszystkich żywych sił uchodźstwa przez stworzenie z Rady Jedności Narodowej przedstawicielstwa emigracji politycznej pochodzącego w całości z wyborów i dzięki temu mającego jej zaufanie i poparcie”.

Jak na razie koncepcja ta nie została wprowadzona w życie, chociaż wzmocniła ją bardzo zmiana linii w PPS.

PPS miała na emigracji od początku dwa skrzydła: jedno zwrócone bardziej na prawo, stawiające na legalizm i współpracę z prawicą (z różnych powodów. Jeden z nich podany nam przez czołowego socjalistę, brzmiał: lewicy, w razie odzyskania przez Polskę wolności, grozi w kraju noc długich noży — uratować nas przed nią może tradycja współpracy z prawicą, co czynimy na emigracji), drugie bardziej na lewo, niezadowolone z sojuszu z sanacją, w pewnym okresie ciężące raczej ku PSL Mikołajczyka, gotowe na radykalne posunięcia, niechętnie legalizmowi.

Pierwszą tendencję reprezentował przede wszystkim Tomasz Arciszewski, a po jego śmierci, Adam Ciołkosz. Druga tendencja nie miała wybitnych przywódców, ale nurtowała wśród wielu członków partii. Wyrazem jej było powstanie Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, oraz rosnąca w partii opozycja do Adama Ciołkosza, tak na terenie brytyjskim jak w Paryżu.

Możliwości konfliktu w łonie TRJN zarysowały się już w 1956 roku, kiedy Zygmunt Zaremba ustąpił z funkcji przewodniczącego paryskiego Oddziału Rady, na znak protestu przeciwko składowi Rady Trzech (bez reprezentanta lewicy). Erozja organizacji partyjnej PPS, spowodowana częściowo wypadkami w kraju, rozwój PPSD w W. Brytanii, coraz większe utożsamianie się Adama Ciołkosza z „koalicją” TRJN i ośrodkiem gen. Andersa, wszystko to razem spowodowało, że prąd do rozluźnienia więzów z prawicą i sanacją, szczególnie z myślą o „drugim etapie” w Polsce, stał się dosyć silny.

Koncepcja Zygmunta Zaremby nie została nigdzie ogłoszona w całej swej rozciągłości — utożsamiamy ją z nim tutaj, gdyż utożsamienie takie nastąpiło również w kołach politycznych emigracji. Koncepcję tę można by streścić następująco: Sojusz PPS z prawicą i sanacją na emigracji jedynie zaszkodził partii, a jeżeli kiedykolwiek dawał jej jakieś korzyści, dzisiaj jest już tylko obciążeniem. Oddziaływać na kraj mogą przede wszystkim ruchy ideologiczne, a szczególnie PPS, której elementy w Polsce stanowią część obecnej PZPR, ale nie zatraciły poczucia swej odrębności. Instytucje w rodzaju TRJN, reprezentujące choćby nawet tylko pseudo-legalizm i będące rodzajem konkurencyjnej państwowości, nie pozwalają na elastyczną politykę wobec kraju, a szczególnie stoją na przeszkodzie próbom restauracji partii w Polsce. Dążność do restauracji PPS w Polsce oznacza zaakceptowanie nie struktury ustrojowej Polski, ale państwa polskiego w ramach którego może się jedynie dokonać. Stawiając więc na drugi etap, PPS musi równocześnie wyzwolić się od obciążeń legalizmu i emigracyjnej państwowości, jeżeli chce dla siebie zdobyć prawo działania jako partia polityczna w Polsce. Stąd też chęć wyjścia z TRJN, lub przekształcenia jej w Komitet Porozumiewawczy Stronnictw.

Koncepcja Zaremby opiera się na jednym, podstawowym założeniu, mianowicie, że w Polsce musi dojść do drugiego etapu, pod naciskiem presji społeczeństwa na władze komunistyczne i w ramach walki klasowej klasy robotniczej z tzw. nową klasą¹⁴.

Na tle tej koncepcji i analizy sytuacji, rozegrała się batalia wewnątrz władz PPS, którą ostatecznie wygrał Zygmunt Zaremba. Nie będziemy wchodzić w różne fazy tej batalii, ani

14. Stawianie na walkę klas w Polsce jest może najslabszą stroną koncepcji Zaremby, chociaż jeżeli odrzucimy tę tezę, stawiamy znak zapytania nad całą teorią „drugiego etapu”, a co najmniej nad możliwościami jakie otworzyłyby się wtedy dla PPS. Zresztą, trzeba się chyba zgodzić z Mieroszewskim, że najmniejsze szanse ma restauracja partii socjalistycznej w Polsce.

opisywać szczegółowo, jak odbijało się to na TRJN. Wystarczy powiedzieć, że początkowo Adam Ciołkosz poszedł na kompromis ustępując z funkcji przewodniczącego EZN, ale nadal sprzeciwiając się stanowczo występowaniu z TRJN. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja: większość klubu PPS w TRJN wzięła stronę Ciołkosza, postanawiając pozostać w TRJN niezależnie od linii partyjnej. Co więcej, klub ten nawet postarał się o obsadzenie własnymi ludźmi dwóch miejsc przypadających PPS w Radzie, mimo że władze PPS delegowały własnych delegatów. Władze PPS postanowiły więc wycofać całą delegacją z TRJN i na jej miejsce wprowadzić nową. Tutaj jednak klub odmówił posłuszeństwa, podtrzymując swoje mandaty. W rezultacie doszło do usunięcia Adama Ciołkosza i jego towarzyszy z PPS i „najścia” na obrady TRJN nowej delegacji, co spowodowało burzliwe sceny i zawieszenie obrad. Było to — do chwili kiedy to piszemy — ostatnie zebranie TRJN.

Odbyło się w międzyczasie zebranie Komisji Weryfikacyjnej, która zweryfikowała nowe mandaty, ale bez aprobaty trzech najsilniejszych ugrupowań w Radzie: SN, Niezależnej Grupy Społecznej i Ligi Niepodległości. Wypadki te sparaliżowały TRJN i, jak już wspomnieliśmy, jej przyszłość jest niejasna. Nie można oczywiście absolutnie wykluczać jakiegś próby porozumienia trzonu prawicowego TRJN z ośrodkiem prezydenckim, ale nie wydaje się to, na razie przynajmniej, prawdopodobne¹⁵.

Rozgrywka ta, w swoich aspektach taktycznych mniej nas interesuje, niż w aspektach ogólnych. Dlatego też zilustrujemy ją od strony Adama Ciołkosza cytatem z listu do CKZ PPS, będącego odpowiedzią na wydalenie go z partii. List ten polemizuje z wieloma szczegółowymi zarzutami i porusza sprawy czysto wewnętrzne, nawet osobiste, ale równocześnie formułuje te punkty w których koncepcja Zaremby okazała się sprzeczna z poglądami Ciołkosza, a co za tym idzie, dużej części góry politycznej emigracji. Oto one:

Zarzucacie mi, Panowie, działalność przeciwko zasadom programowo-taktycznym partii. Zasadami programowymi partii są niepodległość Polski, demokracja i socjalizm. (...) Różnię się z Panami zupełnie odmienną oceną sytuacji w Polsce oraz zadań emigracji. (1) Wy, Panowie, jesteście zdania, że masy pracujące Polski są na drodze do „drugiego etapu przewrotu październikowego”, ja zaś widzę, że dyktatura PZPR w okrażonej przez państwa komunistyczne Polsce likwiduje jedną po drugiej zdobycze „pierw-

15. Nawiasem, warto zwrócić uwagę na paradoksalność stanowiska PPS, która dążąc do rozluźnienia więzów z TRJN, a nawet ich zerwania, równocześnie za wszelką cenę dąży do obsadzenia przysługujących jej w Radzie mandatów.

szego etapu" i że polskie masy pracujące stoją w ogniu ciężkich walk — samoobrony przed naporem i naciskiem dyktatury. (2) Wy Panowie jesteście zdania, że rola emigracji zmalała i spadła do zadań „zachowania polskości, przywiązania do tradycji narodowych i utrzymania łączności duchowej i kulturalnej z Macierzą”, że przypada nam rola przedstawicielstwa politycznego jedynie emigracji, ja jestem zdania, że masy pracujące i w ogóle społeczeństwo w Polsce nie ma żadnej możliwości swobodnego wypowiedzenia swej woli i że emigracji przypada nadal rola rzczykowników polskich ideałów i interesów narodowych i państwowych. (3) Wy, Panowie, jesteście zdania, że dotychczasową organizację polityczną emigracji należy rozluźnić, a zwłaszcza wykreślić z niej Radę Trzech jako reprezentację polskiej suwerenności, ja zaś jestem zdania, że dotychczasową organizację Zjednoczenia Narodowego należy wzmocnić i podbudować jak największym autorytetem, nieodzownym zwłaszcza na arenie międzynarodowej. Sądzę także, że w razie zniszczenia istniejącego obecnie ośrodka TRJN nie da się na to miejsce stworzyć już żadnego równie poważnego ciała. (4) Wy, Panowie, jesteście zdania, że najważniejszym zadaniem stojącym przed nami jest rewizja Aktu Zjednoczenia z roku 1954, ja zaś widzę przed nami sprawy znacznie ważniejsze i twierdzę, że nie ma żadnej potrzeby dokonywania zmian w Akcie Zjednoczenia. (5) Wy, Panowie, jesteście zdania, że droga do lepszej przyszłości w Polsce prowadzi przez walkę o odzyskanie swobody ruchu robotniczego, inaczej mówiąc, przez walkę o legalizację PPS (legalizację u kogo? u komunistów?). Ja zaś jestem zdania, że nie da się oddzielić walki o swobodę działania PPS od walki o swobodę działania wszystkich stronnictw politycznych i o prawa obywatelskie dla wszystkich w Polsce bez żadnego wyjątku”.

Konflikt w PPS prowadzi nas do sprawy partii politycznych w W. Brytanii. Zacznijmy od listy partii, ugrupowań i odłamów.

Istnieją w tej chwili następujące partie, ugrupowania i odłamy:

Stronnictwo Narodowe; Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL) Mikołajczyka, oraz odłamy: PSL-OJN Korbońskiego i Bagińskiego, którego czołową postacią w Anglii jest T. Thugutt, PSL „Wolność” Kuncewicza (pryzamkowe), małe grupki zwolenników Bańczyka i Wójcika oraz „Naszego Znak” w Szwecji; Polska Partia Socjalistyczna (PPS), Centralny Komitet Odrodzenia PPS Ciołkosza, Związek Socjalistów Polskich (pryzamkowy), Polska Partia Socjalno-Demokratyczna, Stronnictwo Pracy w kilku odmianach: odłam Kuśnierza, odłam Sopickiego, odłam zamkowy, odłam Karola Popiela (centrum we Francji); Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja”, Liga Niepodległości Polski, oraz odłamy: Konwent Walki o Niepodległość i Liga Niepodległości „Kraj i Prawo” (oba przyzamkowe). Niezależna Grupa Społeczna, Ruch Odrodzenia Narodowego (pryzamkowy); Stronnictwo Demokratyczne (oraz jakiś jego odłamik); wreszcie o odrębnym ugrupowaniu politycznym można mówić w wypadku najbliższych zwolenników gen. Ander-

sa (np. osoby tak zaangażowane politycznie jak dr Z. Stahl, Z. Stermiński, i paru innych).

Daje nam to około 20 ugrupowań politycznych, o bardzo różnej sile, spoistości, znaczeniu, dynamice.

Poza tymi organizacjami *par excellence* politycznymi istnieje cały szereg organizacji *quasi*-politycznych, z tym że są one zwykle ekspozyturą którejś z większych partii lub któregoś z większych ugrupowań. Do tego typu organizacji należą: Związek Ziemi Wschodnich, Związek Ziemi Zachodnich, Ziemi Północno-Wschodnich, Stowarzyszenia b. więźniów sowieckich i niemieckich; wyraźne oblicze polityczne utrzymuje poza tym większość organizacji społecznych i zawodowych, jak SPK, Związek Dziennikarzy Polskich, Zjednoczenie Polek itp. Można powiedzieć, że prawie wszystkie organizacje społeczne i zawodowe stoją, co najmniej oficjalnie, na tzw. płaszczyźnie niepodległościowej. Na wewnątrz większość z tych organizacji popiera obóz zjednoczenia z gen. Andersem na czele, z tym, że różne poszczególne organizacje związane są blisko z poszczególnymi partiami politycznymi.

Stronnictwo Narodowe ma około 30 mniejszych lub nieco większych kół w W. Brytanii. Liczebność tych kół waha się od kilku do kilkudziesięciu osób — można przyjąć przeciętną 15-20 osób w kole. Najsilniejszym ośrodkiem jest Londyn. Summa summarum liczebność stronnictwa w W. Brytanii nie przekracza zapewne 600 osób, z tym że duży procent z tej liczby to są członkowie całkowicie bierni, lub tylko sympatycy. Szacunek ten potwierdza nakład wydawanego wewnętrznego biuletynu stronnictwa, który wynosi 700 egzemplarzy.

Skład socjalny stronnictwa jest dość różnorodny: w naszych objazdach stykaliśmy się z jego członkami wśród robotników, rolników, w zawodach wolnych i inteligencji. Procent inteligencji w stronnictwie jest stosunkowo duży, jest nawet parę osób wybitnych (np. prof. Folkierski). Bardzo duży procent najaktywniejszej części stronnictwa to działacze społeczni. Stąd m.in. tak duże wpływy narodowców w organizacjach społecznych.

Kontrola nad organizacjami społecznymi to cel, który stronnictwo postawiło sobie już dość dawno, chociaż początkowo na zbyt ni ich rozrost patrzyło niechętnym okiem¹⁶. Z biegiem czasu położono bardzo duży nacisk na opanowanie lub uzyskanie wpły-

16. Zjazd delegatów w Paryżu w 1948 r. „wypowiedział się przeciwko przerostom na terenie życia społecznego emigracji, zmierzającym do przekształcenia rządu Rzeczypospolitej na rząd emigracji polskiej” — „SN w walce o Polskę”, Londyn, 1948, str. 88).

wów w organizacjach społecznych. Całkowicie w rękach stronnictwa jest Polska Macierz Szkolna, przeważające lub częściowe wpływy ma stronnictwo w TPP, w Zjednoczeniu Polek, w związkach regionalnych, w SPK (tak w centrali jak w kołach na prowincji) w niektórych parafiach (np. Leeds), w Veritasie, i w wielu innych, mniej ważnych. Właściwie można powiedzieć, że SN świadomie przygotowało się do uczynienia z W. Brytanii podobnego bastionu idei narodowej, jakim była przed wojną duża część Polonii Amerykańskiej. Kurczenie się jednak organizacji społecznych i oderwanie wielu z nich od podłoża pozwala wątpić, czy cel ten zostanie zrealizowany.

Stronnictwo Narodowe jak dotychczas nie miało oficjalnego rozłamu, ale i ono dalekie jest od jednolitości: podziały taktyczne istnieją. W Londynie pewna grupa tworzy człon niezależny (wokół Jędrzeja Giertycha), w Paryżu grupa Olszewskiego i „Horyzontów” idzie po linii całkowicie sprzecznej z oficjalną linią stronnictwa, podobnie wystąpił ostatnio ferment w Stanach Zjednoczonych. Istnieje także opozycja wewnętrzna w stosunku do prezesa stronnictwa, dr. Tadeusza Bieleckiego.

Drugie co do liczebności stronnictwo to PSL Mikołajczykowski, którego prezesem na W. Brytanię jest Franciszek Wilk, długoletni redaktor „Jutra Polski”. Rozrost PSL w W. Brytanii odbywał się w obliczu szerokiej naganki na Mikołajczyka ze strony prawie wszystkich stronnictw, obu ośrodków dyspozycyjnych i prasy (szczególnie „Dziennika Polskiego”). Według ilości wydanych legitymacji PSL powinna w tej chwili posiadać około 1.000 członków; bez wątpienia jednak jest to cyfra wygórowana. Koło PSL działa w W. Brytanii — 27. Początkowo bazą PSL były hostele, obecnie są nią okręgi przemysłowe. Główne okręgi to — Herefordshire, West Midland, Lancashire, Wiltshire, Yorkshire, Szkocja i Londyn (oraz jedno koło w Walii). Paradoksem jest skład społeczny PSL w W. Brytanii: ani jednego z polskich farmerów, dosłownie kilka osób z inteligencji, gros — to robotnicy pochodzenia chłopskiego, z przewagą robotników budowlanych, bawełnianych, górników, trochę nawet robotników portowych. Nie jest to element biedny, raczej przeciwnie, ale mało wyrobiony.

PSL, mimo swej stosunkowej liczebności, nie odgrywa większej roli w życiu polskim w W. Brytanii, nie ma prawie żadnych wpływów w organizacjach społecznych, nie wchodzi do żadnego z obu ośrodków politycznych, natomiast odgrywa pozytywną rolę w paru skupiskach polskich na prowincji jako organizator miejscowego życia (np. w Preston, gdzie koło PSL liczy ok. 65

członków, a na swoich imprezach skupia do 200, paru energicznych działaczy ma Glasgow).

W PPS w chwili obecnej sytuacja jest dosyć skomplikowana — od czasu kiedy postawiono sobie za cel umasowienie organizacji, co zostało osiągnięte w dostępnych ramach na początku lat 1950', nastąpiło wiele zmian: brytyjska *Labour Party* znalazła się w defensywie, co odbiło się na nastrojach wielu sympatyków PPS, współpraca z ugrupowaniami sanacyjnymi i pravicowymi w TRJN i październik doprowadziły w rezultacie do zamarcia paru kół, powstania PPSD, indywidualnych wystąpień, a wreszcie do wydalenia Ciołkosza, długoletniego prezesa PPS w W. Brytanii i członka najwyższych władz, w obecnej PPS postaci może najwybitniejszej. Powołany przez Ciołkosza po wydaleniu Centralny Komitet Odbudowy PPS nie znalazł jednak szerszego poparcia.

Ogólna siła PPS w W. Brytanii skurczyła się znacznie. Działa w tej chwili na terenie Wyspy ok. 13 kół, jest ponadto 8 kół „ewidencyjnych” (a więc takich, które nie działają, ale oficjalnie się nie rozwiązały). Liczbowo jest to maksimum około 300 osób. PPS straciła także wiele ze swoich wpływów w organizacjach społecznych. Odłam ZRRP pozostający pod wpływem partii nie odgrywa żadnej wybitniejszej roli — poza tym była to zawsze domena osobistych wpływów Ciołkosza; TUR, po śmierci Wacława Brunera, przestał właściwie istnieć; w SPK, w TPP, w Zjednoczeniu Polek, wszędzie wpływy PPS znikły lub zmalały. PPS ma wciąż w swoich szeregach pewien procent inteligencji, ale jest to grupa nie zasilana nowym narybkiem i ciągle przerezzana.

Stosunkowo silny organizacyjnie jest nadal NiD, który posiada w W. Brytanii ok. 90 punktów, gdzie znajdują się jego członkowie. Punkty te mogą liczyć od 3 do 40 osób, stąd oszacowanie liczebności NiD'u jest bardzo trudne. NiD, jak już wspominaliśmy, był początkowo ruchem inteligenckim, ale z biegiem czasu zyskał wielu członków wśród robotników. NiD ma nadal poważne wpływy w niektórych organizacjach społecznych: własny odłam ZRRP (dziś już bez większego znaczenia), pewne wpływy w SPK, w Veritasie; a przede wszystkim szereg osób na poważnych stanowiskach w Radio Wolna Europa.

W okresie natychmiast po październiku NiD zrobił kilka prób rozszerzenia swoich wpływów w społeczności emigracyjnej poprzez akcję pomocy krajowi, akcję wyborczą itp. Akcje te ożywiły polityczne życie emigracji, a ich założenie było słuszne: emigracja jeśli ma pozostać emigracją polityczną, musi dawać

wyraz swoim nastrojom poprzez akcje mobilizujące nie tylko zawodowych polityków i działaczy, ale i szersze kręgi Polaków, NiD nie potrafił jednak podtrzymać pierwszego impetu i próba rozszerzenia zasięgu wpływów właściwie się nie powiodła.

Najsilniejszym atutem NiD'u jest to, że posiada on wciąż pewną liczbę ludzi stosunkowo młodych, w wieku średnim, dynamicznych, na dobrych posadach, aktywnych nie tylko politycznie, ale i kulturalnie i naukowo.

Z innych ugrupowań poważną pozycję ma Niezależna Grupa Społeczna, skupiająca działaczy SPK, ZHP, Kół Oddziałowych, ale nie jest to organizacja, lecz rodzaj klubu, popierającego na ogół bez zastrzeżeń gen. Andersa. Liga Niepodległości jest również bardzo słaba organizacyjnie, mając na wyspie jedynie parę szczątkowych kół. Niemniej, posiada ona szereg zwolenników, rozsiąanych po różnych skupiskach polskich, czasami na wpływowych stanowiskach. Stronnictwo Pracy, ugrupowania przyzawkowe, wszelkie odłamy, są organizacyjnie bardzo słabe, a ich znaczenie polityczne ogranicza się w zasadzie do posiadania w Londynie małych grup ludzi zajmujących się polityką „zawodowo” lub pół-zawodowo, mających kontakty lub kluczowe pozycje w instytucjach i organizacjach społecznych, kulturalnych i zawodowych. Prawie wszyscy generałowie, z małymi choć dobitnymi wyjątkami, jak gen. Maczek czy gen. Sosabowski, odgrywają jakąś rolę polityczną. W popularnym rozumieniu, a jest to głęboko w przeszłość sięgająca tradycja polska, generał to jest postać co najmniej równie polityczna co wojskowa.

Zamiast partii politycznych na emigracji, mamy w coraz to większym stopniu do czynienia z czołówkami partyjnymi, które niejednokrotnie zrezygnowały z ambicji masowości, poprzestając na chęci utrzymania co najwyżej stanu posiadania.

Nastroje polityczne emigracji

Wśród emigracji polskiej w W. Brytanii wyróżnić można trzy zasadnicze warstwy: dawną inteligencję, nową inteligencję techniczną (którą zresztą, według innego podziału, uznać trzeba za *middle class* i część składową mieszczaństwa) i warstwę drobnomieszczańską (*lower middle class*). Dawna inteligencja, tworząca kościec emigracji politycznej, podzielona jest wewnętrznie po liniach, które już naszkicowaliśmy. Pewna jej część, głównie ci, którzy „urządzili się” materialnie, stoi całkowicie na uboczu jakiegokolwiek życia politycznego, ale gros zorientowane jest według przynależności do takiej czy innej partii, ugrupowania czy

obożu. Zależnie też od tego kształtują się postawy polityczne tej grupy i jej stosunek do kraju. W ramach powszechnej oczywiście orientacji pro zachodniej, występują zróżnicowania rządzone sympatiami i wiarą w — powiedzmy — Stany Zjednoczone, rzadziej w Wielką Brytanię lub Francję, zupełnie rzadko w Niemiecką Republikę Federalną. W grupie tej występują tak samo duże antagonizmy do W. Brytanii (kompleks antyjaltański jeszcze całkowicie nie zamarł), ale nie są one już dzisiaj zjawiskiem częstym. Wewnętrzna polityka brytyjska, jak i w ogóle cała polityka międzynarodowa, rozpatrywana jest przede wszystkim z punktu widzenia interesów Polski, pojętych jako przeciwstawienie interesom komunizmu. Przykładem nastrojów panujących w tej grupie mogą być „Wiadomości”, które wszystkie sprawy polityczne traktują z punktu widzenia: czy to przynosi szkodę czy korzyść Rosji. To kryterium powoduje, że nawet walka o niepodległość krajów Afryki i Azji traktowana jest bez entuzjazmu, a czasem nawet wrogo, jako osłabiająca Zachód. Więcej sympatii dla ruchów niepodległościowych ras żółtych i czarnych okazuje „Dziennik Polski”, ale jego stanowisko bywa i w tych sprawach zabarwione ogólnym kompleksem anty-rosyjskim.

Kompleks ten jest podstawowym czynnikiem myślenia politycznego całej emigracji, która w swojej większości przeszła poprzez Rosję. Drugim podstawowym czynnikiem jest anty-komunizm, bardzo często przekształcający się w anty-lewicowość w ogóle. Radykalizm myślenia wśród inteligencji polskiej w W. Brytanii (tak jak radykalizm w sztuce), non-konformizm, gotowość odrzucenia przeszłości na rzecz koncepcji odpowiadających bardziej czasom współczesnym, to są cechy rzadkie i spotykają się często z niechętną reakcją. Przeszłość jest dla dawnej inteligencji bliska, tym bliższa, że widziana przez mgiełkę sentymentu. Jest to więc środowisko na ogół bardzo konformistyczne, nietwórcze, niezdolne do nowych koncepcji, a nawet w ogóle do zauważenia nowości. Rozpoznanie prowadzi z reguły do nieufności, krytycyzmu i odrzucenia.

W polityce brytyjskiej inteligencja w większości, chociaż nie bez zastrzeżeń, bierze stronę partii konserwatywnej. Zastrzeżenia takie wywołuje na przykład każda inicjatywa rządu Macmillana mająca na celu zbliżenie dwóch bloków. Polityka *Labour Party* pod tym względem uważana jest za jeszcze gorszą.

Inteligencja na ogół stoi na gruncie demokracji, ale w tej, jak i w wielu innych sprawach, występuje obficie zjawisko niepoprzebijanych ścianek. Demokracja jest dobra — z tego hasła

nie zawsze wypływają konsekwencje światopoglądowe. Akceptowanie go nie zmienia stosunku do przeszłości, (np. do władzy Piłsudskiego) ani do de Gaulle'a ani do gen. Franco. Z tym zastrzeżeniem, że nawet wśród dawnej inteligencji, i to nie tylko lewicowej czy centrowej, istnieje nurt prawdziwej wiary w demokrację, o czym można się od czasu do czasu przekonać w listach do redakcji „Dziennika Polskiego” czy „Wiadomości”.

Bardzo ogólnie można powiedzieć, że dawna inteligencja jest w przeważającej części poglądów prawicowych, konserwatywnych, ale że atmosfera polityczna W. Brytanii złagodziła wiele skrajności poglądowych, takich jak antysemityzm (który istnieje w złagodzonej, ucywilizowanej formie), anty-lewicowość, elitaryzm i poczucie wyższości klasowej.

Nowa inteligencja, wykształcona już na Zachodzie, nie ma wyraźnego oblicza politycznego. Jej najstarsze roczniki orientują się jeszcze częściowo według podziałów polityki emigracyjnej, ale i one patrzą już na wiele spraw inaczej. Inteligencja techniczna przesiąkła angielskim sposobem myślenia często do tego stopnia, że nie wykazuje prawie żadnych zainteresowań politycznych. Jeszcze w silniejszym stopniu dotyczy to pokolenia młodego. Pokolenie to jest niezwykle słabo zorientowane w sprawach wewnątrz-politycznych emigracji, mało wie o Polsce — o jej historii tak dawniejszej jak i najnowszej, ale ostatnio, dzięki wyjazdom do kraju poznaje tamtą rzeczywistość i swoje poglądy polityczne kształtuje często na podstawie porównań systemu istniejącego w Polsce i w W. Brytanii. Zresztą, pomimo że porównanie wypada na korzyść Anglii, usłyszeć można próby uzasadnienia systemu w kraju ogólną demoralizacją gospodarczą i brakiem dyscypliny społecznej. Warstwę najliczniejszą — polską *lower middle class* — polityka emigracyjna przestała już obchodzić. Ludzie z tej warstwy interesują się polityką brytyjską pod kątem widzenia własnych interesów gospodarczych, co oznacza sympatie raczej pro-konserwatywne; w polityce zagranicznej powszechne są nastroje anty-rosyjskie i anty-niemieckie i obawa przed wojną. Ta część warstwy drobno-mieszczańskiej, która uzyskała największy awans społeczny, odznacza się dużym podziwem dla Anglii i Anglików, dumą ze zdobytego poziomu materialnego, co w czasie wizyt w Polsce pozwala na utożsamienie się do pewnego stopnia z W. Brytanią i na krytykę polskiego bałaganu z pozycji wyższości. Natomiast w młodszych pokoleniach spotyka się często zachwyty nad Polską, głównie ze względu na bezpośredniość ludzi, dynamikę życia towarzyskiego, humor i piękno przyrody.

Stosunek do Kraju

Stosunek do kraju przeszedł różne fazy. W pierwszej fazie, trwającej mniej więcej do roku 1956, całość emigracji cechował stosunek do Polski jak najbardziej negatywny. Obraz kraju malowano przeważnie w barwach czarnych, ponurych, groźnych, spod którego przebijała czysta biel — duch umęczonego narodu. Reżym był zły pod każdym względem: zły aparat administracyjny, zła gospodarka, pełna niewola, nędza, strach, terror. A wśród tego — bohaterski naród, oczekujący tylko okazji do wielkiego, wolnościowego zrywu. Wyjazdy do Polski były niezwykle rzadkością (w latach 1950-55 nie było ich właściwie zupełnie) i natchmianst prowadziły do napiętnowania, bojkotu, burzy w prasie. Emigracja nie utrzymywała żadnych kontaktów oficjalnych z przedstawicielami reżymu, czy to członkami lokalnych placówek dyplomatycznych, czy przyjezdnymi. Odnosiło się to zarówno do handlu, jak wymiany kulturalnej czy kontaktów towarzyskich. Wszelkie imprezy oficjalne i kulturalne urządzone przez reżym były bojkotowane, przyjazd amb. Milnickiego do Birmingham wywołał demonstrację publiczną tamtejszej Polonii. Z wyjątkiem prasy katolickiej, wszystkie periodyczne wydawnictwa krajowe były na indeksie: nie sprzedawano ich w kioskach i nie prenumerowano. Czytanie prasy krajowej prywatnie miało posmak zabronionego owocu.

Powiedzieć by można, że emigracji nie wystarczał fakt, iż żelazna kurtyna zaciągnięta została przez reżym. Emigracja zaciągnęła drugą, własną żelazną kurtynę, odizolowując się od wszelkich form kontaktu, jak od zarazy. Co pewien czas przechodziły przez społeczność polską fale podejrzliwości, akcje wykrywania agentów, mobilizowanie czujności wobec prób rozbicia emigracji. Że próby takie były, nie trzeba udawać, ale wokół nich zbierało się dużo hysterii i przesady.

Ostatnią fazą tego pierwszego okresu była akcja repatriacyjna, jaką podjął reżym w formie audycji radiowych, rozsyłania biuletynu „Kraj” itd. Akcja ta zakończyła się całkowitym niepowodzeniem i dowiodła jak słaba była w kraju znajomość sytuacji na emigracji. Jedyнным rezultatem jaki dała ta akcja, było wzmoczenie na emigracji poczucia własnej misji.

Wypadki poznańskie, a po nich Październik, zapoczątkowały drugi okres w stosunkach kraj — emigracja. Odwilż na emigracji nastąpiła nieco później niż w kraju, ale poprzedził ją żywioły wybuch zainteresowania Polską. Prasa krajowa stała się nagle niezwykle poczytna, tak że księgarnie znalazły w niej poważne źródło dochodu. Radio coraz częściej nastawiano na

Warszawę; w niejednym emigracyjnym domu w skupieniu wysłuchano słynnego przemówienia Gomułki. Rósł popyt na książkę polską. Przyjazd zespołu „Mazowsze” do Londynu, wkrótce po Październiku, doprowadził emigrację do nastroju ostatecznej, szczytowej egzaltacji. Na występy „Mazowsza” i na bal studencki z udziałem członków tego zespołu, przyjeżdżały grupy Polaków z najodleglejszej prowincji.

Wkrótce rozpoczęły się batalie, spowodowane coraz to licznymi wyłomami w emigracyjnej ortodoksji. Przyjazd grona pisarzy z kraju z Marią Dąbrowską na czele i wspólny ich obiad z grupą pisarzy emigracyjnych wywołał ostrą nagankę na winowajców w londyńskiej prasie. Spotkania przez pewien czas odbywały się pół po kryjomu, prywatnie, plotki o nich wzburzały opinię publiczną, lub co najmniej grono znajomych. Pierwsze wyjazdy do kraju wywołały też burzliwą reakcję, ale stopniowo do głosu doszedł rozsądek, karty się odwróciły, znalazła się duża część opinii publicznej, która, wraz z częścią prasy poparła kontakty z krajem — szczególnie ważne było tu wystąpienie „Kultury”. Wkrótce wyjazdy na urlop do Polski stały się chlebem powszednim, i obrońcy emigracyjnej żelaznej kurtyny znaleźli się w mniejszości. Kontakty z pisarzami krajowymi na terenie emigracyjnym, po serii wieczorów urządzonych przez grupę ówczesnego „Merkuriusza”, przejęte zostały przez Związek Pisarzy, który początkowo stał na stanowisku nie drukowania w kraju, ale z biegiem czasu stanowisko to zmodyfikował. Wielu emigracyjnych pisarzy zaczęło w kraju drukować i wydawać książki. Fakt, że ta ograniczona współpraca należy już właściwie do przeszłości, nie obciąża pisarzy emigracyjnych. Wydaje się, że obecnie partia a nie emigracja boi się kontaktów.

Wydawać się mogło, że kontakty z krajem spowodowały to, czego obawiały się ośrodki polityczne: rozbitcie emigracji. Zakwestionować można i ocenę i sam termin: rozbitcie.

Proces odpolitycznienia emigracji w momencie przełomu październikowego zaawansowany był już całkiem poważnie. Wbrew różnym twierdzeniom początkowo przełom ten wybitnie uaktywnił emigrację politycznie. Wkrótce jednak zaczął oddziaływać w odwrotnym kierunku. Duża część emigracji przekonała się naocznie, że rzeczywistość krajowa nie była aż tak czarna, jak ją nadal malowała prasa emigracyjna. Stwarzając warunki do ponownego wyboru: pozostawania za granicą czy powrotu, Październik zmusił do dokonania takiego wyboru przynajmniej na użytek prywatny: i większość Polaków w W. Brytanii zdecydowała się nie wracać nie tyle ze względów politycznych ile materialnych, z uwagi na lepsze warunki pracy i płacy w Anglii,

na bezpieczniejszą przyszłość, z uwagi na dzieci. W dalszej konsekwencji nastąpiło rozluźnienie napięć w jakich żyła poważna część społeczności emigracyjnej.

Coraz więcej było głosów, widzących główną rolę emigracji po prostu w pomaganiu krajowi, bez wyraźnych celów politycznych. A że świeża była jeszcze w wielu umysłach afera Bergu, pojawiło się negatywne sformułowanie, że krajowi przede wszystkim nie wolno — szkodzić.

Z roku na rok rósł pęd do zobaczenia kraju na własne oczy. Przez samo Biuro Podróży Fregata od marca 1959 do marca 1960 wyjechało do Polski około 1.500 osób (w tym wyjazd grupowy 45 dzieci na wakacje do krewnych w Polsce). Szacuje się, że w roku 1960 do Polski wyjechało z W. Brytanii na urlopy blisko 3.000 osób. Fala przyjazdów Polaków z kraju jest już dzisiaj mniejsza, ale są one nadal stałą cechą życia polskiego. Powoli zaczynają topnieć obiekcje przeciwko wysyłaniu dzieci na kolonie letnie, organizowane przez władze krajowe. Nawet „Dziennik Polski” wydrukował parę listów broniących tych wyjazdów, chociaż oficjalnie pismo jest im jak najbardziej przeciwnie. Sprawa wychowania dzieci na Polaków staje się jednym z największych i najsilniej odczuwanych problemów na emigracji. Obiekcje przeciwko formalnym kontaktom z rządem komunistycznym w Polsce ustępują po mału pod naporem chęci zapoznania dzieci z Polską i przywiązania ich do niej.

Emigracja polska w W. Brytanii zmieniła więc zasadniczo swoje nastawienie do kraju. Nie uznając komunistycznych rządów za własne, czy choćby prawomocne, ogólnie traktuje się obecną sytuację polityczną jako coś istniejącego, mającego cechy pewnej trwałości. Inaczej mówiąc jest to uznanie rzeczywistości krajowej i przy zachowaniu wobec niej krytycyzmu: przyjęcie postawy rzeczowej. Ilość Polaków, którzy przyjęli paszporty krajowe, czy też ilość tych, którzy uznają rząd Cyrankiewicza i Gomułki za prawowity rząd polski jest nadal w W. Brytanii minimalna.

Między oficjalnym stosunkiem do spraw krajowych emigracyjnej góry i dużej części prasy, a stosunkiem szerokich rzesz społeczności emigracyjnej, zarysowała się poważna szczelina, której istnienie powoduje narastanie hipokryzji i dwulicowości¹⁷.

17. Niektóre organizacje emigracyjne (ZHP, SPK) wciąż niechętnie patrzą na wyjazdy członków do kraju i starają się ich od tego odwieść. Były nawet wypadki wyciągania sankcji organizacyjnych względem członków którzy ostrzeżenia puścili mimo uszu. Zdarzają się nawet wyjazdy po kryjomu, o których opowiada się, prosząc o dyskrecję.

Oczywiście, Polonia brytyjska w swej większości chciałaby, aby Polska uzyskała pełną wolność i niezależność od Rosji, aby wszelkie bariery znikły, aby w Polsce zapanował większy dobrobyt i większa swoboda gospodarcza itd. Ale Polonia brytyjska w swej masie nie sądzi, że jakkolwiek działalność polityczna emigracji może być skuteczna. Coraz szersze staje się przekonanie, że emigracja nie posiada odpowiednich po temu możliwości i że zresztą sprawa polska zależna jest i od koniunktury międzynarodowej i od ewolucji politycznej w Rosji i że w momencie przychylniej dla nas koniunktury o przyszłości Polski zadecyduje naród w kraju. Rola polityczna emigracji to nie „państwo polskie na wygnaniu”, ale oddziaływanie na opinię Zachodu i — w ograniczonym zakresie — na opinię w Polsce. Obecnie zaś przede wszystkim pomoc materialna i kulturalna¹⁸.

Należy zauważyć, że rzesze emigracyjne w większości nie zastanawiają się nad tą sprawą i nie czują potrzeby formułowania swych poglądów politycznych, nawet gdy dotyczą one stosunku do kraju. Ale wydaje się, że nasze sformułowania odzwierciedlają już dziś nastroje większości.

Abstrahując zresztą od sytuacji międzynarodowej, stosunek emigracji do kraju jest wypadkową dwóch funkcji: wewnętrznej sytuacji w Polsce i wewnętrznych procesów emigracji: Wewnętrzne procesy na emigracji dążąją w kierunku ustalenia tego stosunku na płaszczyźnie rzeczowej, krytycznej, nacechowanej sympatią i poczuciem solidarności z narodem. Rozwój wewnętrznej sytuacji w Polsce, w chwili kiedy piszemy te słowa, wydaje się niestety działać w kierunku odwrotnym. Można powiedzieć wbrew głosom takich pism jak „Orzeł Biały”, lub „Dziennik Polski”, że Polonia brytyjska jako całość przełamała opory i przestała się bać kraju; Warszawa natomiast nie przestała się bać Polonii brytyjskiej. Stąd rosnąca dążność czynników warszawskich do neutralizacji nastrojów politycznych i podsywania „polonijności”.

18. Jednocześnie „Dziennik Polski”, organ obozu niepodległościowego, pójść musiał na kompromis z szeroką opinią. Malując nadal rzeczywistość krajową w barwach najczarniejszych, zamieszcza jednocześnie w przychylnym na ogół tonie utrzymane notatki np. o wystęпах Małcużyńskiego w Polsce, lub wywiad z L. Halamą, o jej 13 miesięcznym pobycie w Kraju, itd.

PRASA

Bodajże na emigracji już zrodził się dowcip, że gdyby dwóch Polaków spotkało się na środku Sahary, założyliby gazetę. Powszeczne jest mniemanie, że na emigracji istnieje cała plejada pism i piśmiek, których wpływy nie wychodzą przeważnie poza wąskie grono osób bezpośrednio zainteresowanych i że większość tych pism wychodzi w Londynie. Taki obraz emigracyjnej prasy w coraz mniejszym stopniu odpowiada rzeczywistości. Gdybyśmy chcieli spojrzeć na tę prasę z historycznej perspektywy, byłoby o czym pisać. Rejestrując jedynie stan obecny, malujemy obraz uboższy. Uubożeje on zresztą ciągle. W miarę wyczerpywania się funduszków umierać muszą różnego rodzaju deficytowe gazetki, prasa coraz bardziej dopasowywana jest do potrzeb rynku¹. A jednocześnie kurczy się rynek. Zeszło też ze sceny kilka indywidualności, które, jak Cat-Mackiewicz, własną energią i niepokojem ożywiały emigracyjne dziennikarstwo. Pokolenie dziennikarzy, które swego zawodu uczyło się w przedwojennej Polsce, starzeje się, nie tylko fizycznie. Młodsze pokolenie reprezentowane jest, w najlepszym wypadku, przez kilka osób. Co gorzej, młody czytelnik stanowi znikomy odsetek. Tak więc atak młodszego pokolenia na pozycje starszego, który w życiu normalnego społeczeństwa jest zjawiskiem naturalnym na emigracji istnieje w bardzo słabym stopniu. Nieliczni młodzi dziennikarze, nie mogąc liczyć na młodego czytelnika, zerkają w stronę prasy brytyjskiej, lub myślą o innej karierze. Na jakiś większy zastrzyk świeżej krwi nie można liczyć.

Poniżej podajemy pełną listę pism polskich, wychodzących na terenie W. Brytanii:

1. W 1953 J. Zubrzycki doliczył się 52 czasopism wydawanych w W. Brytanii. Obecnie jest ich około 40.

Dzienniki:

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza"

obecny nakład ok. 24.000

Tygodniki:

„Gazeta Niedzielną”	obecny nakład	7-8.000
„Oblicze Tygodnia”	„ ..	ok. 3.000
„Orzeł Biały — Syrena”	„ ..	ok. 3.000
„Tydzień Polski”	zbliżony do nakł. „Dziennika”	
„Wiadomości	„ ..	ok. 4.000 ²

Dwutygodniki:

„Fotorama”	„ ..	ok. 1.250
„Jutro Polski”	„ ..	ok. 4.000
„Myśl Polska”	„ ..	ok. 1.500
„Rzeczpospolita”	„ ..	ok. 2.500

Miesięczniki:

„Głos Inwalidy”		
„Kontynenty”		
„Mercuriusz Polski — Życie Akademickie”		
„Przegląd Zachodni”		
„Odnowa”		
„Robotnik”		
„Sodalis Marianus”		
„Światowid”		
„Wychowanie Ojczyście”		
„Życie Gospodarcze” (powielane)		

Kwartalniki i inne:

„Bellona”
„Dziatwa”
„Goniec Karpacki”
„Ku Wolnej Polsce”
„Na szlaku Kresowej”
„Na Tropie”
„Technika i Nauka”
„Znicz”
„Nauka Polska”

2. W roku 1951 nakład „Gazety Niedzielnej” wynosił około 10.000, nakład „Wiadomości” — 7.000. Większość nakładów podajemy na podstawie informacji uzyskanych od redakcji pism.

„Niepodległość”
„Rocznik PTNO”
„Teki Historyczne”*)

Pisma w języku angielskim:

„Polish Affairs”
„Poland and Germany”

Wszystkie powyższe pisma redagowane są w Londynie. Prasa prowincjonalna zamarła prawie zupełnie. Wiadomo nam obecnie tylko o powielanych, skromniutkich „Wiadomościach z Leicester” i ukazującym się co drugi tydzień edynburskim „Biuletynie Informacyjnym”. Poza tym niektóre ośrodki i organizacje wydają czasem, przeważnie z okazji jakiegoś jubileuszu, jednodniówki.

Czy pism jest za dużo, czy za mało? Z punktu widzenia istniejącego rynku czytelniczego, jest ich niewątpliwie wciąż za dużo. Z tych przesłanek wychodząc fuzje pism o podobnym obliczu ideologicznym, jak „Orzeł Biały” i paryska „Syrena”, są krokiem słusznym i logicznym. Ale, z drugiej strony, prasa żywa i naprawdę aktualna, prasa wprowadzająca ferment intelektualny wszystko jedno na jakim poziomie i w jakiej dziedzinie, poparta do tego dobrą organizacją, potrafi sobie rynek stworzyć i rozszerzyć. Jest to prawdą nawet w wyjątkowo trudnych warunkach emigracyjnych. Potencjalnym rynkiem jest całe uchodźstwo, nie tylko teren W. Brytanii. Polskiemu Londynowi, pomimo jego przywódczych ambicji, brak jest takiej właśnie dynamicznej prasy.

Z punktu widzenia społecznej roli jaką spełnia, najważniejszym z pism jest jedyny na terenie W. Brytanii dziennik polski. „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” obchodził niedawno dwudziestolecie swego istnienia. Warto jest w paru słowach opowiedzieć jego dość barwną historię.

„Dziennik” powstał z połączenia dwóch różnych pism: „Dziennika Polskiego”, który od roku 1940 wydawany był w Londynie jako organ Rządu Polskiego i „Dziennika Żołnierza”, który w tym samym czasie narodził się wśród oddziałów polskich w Szkocji. W jubileuszowym numerze „Dziennika” (12 lipca 1960) o początkach dziennika londyńskiego pisze Karol Zbyszewski, w artykule zatytułowanym „Dziennik to wszystko

*) W 1961 ukazało się nowe pismo, dwumiesięcznik polityczno-społeczno-kulturalny „Akcenty”, redagowany przez członków Stronnictwa Pracy. (Przypisek późniejszy).

przetrawiał". Nakład wynosił wszystkiego parę tysięcy, deficyt £ 2.000 miesięcznie. Zbyszewski tak określa ówczesny charakter pisma: „Dziennik był urzędówką. Każdy minister coś czasem duknął i każdy chciał to zaraz mieć in extenso w „Dzienniku”. Radni narodowi żądali, by ich gadulki też przekazywać potomności — poprzez „Dziennik”.

Wszystkie obiady, wizyty, drzemki ministrów musiały być z namaszczeniem odnotowane w „Dzienniku”. Każda defilada każdej kompanii przed każdym generałem była opisywana w „Dzienniku” niczym bitwa pod Grunwaldem. Kapało w „Dzienniku” od mów, uroczystości, rewii... jak każda urzędówka był nudną, niestrawną piłą”.

W tym samym jubileuszowym numerze o początkach „Dziennika Żołnierza” z wyraźnym sentymentem pisze Aleksander Bregman. Dziennik ten redagowany był przez Ludwika Rubla. „Pierwszy numer pisany był na maszynie i ukazał się w imponującym nakładzie trzech egzemplarzy pod nazwą „Dziennik II Brygady”. Zaraz potem Dziennik odbijany był na kamieniu, początkowo w nakładzie 16 egzemplarzy, które krążyły po namiotach. Toteż pierwszy okres nazywano „epoką kamienną”. Po dwóch tygodniach przemianowany został na „Dziennik Żołnierza” i stał się organem nowostworzonej wówczas 10 Brygady Kawalerii Pancerniej. Począwszy od 14 lipca 1940 był powielany. W październiku tegoż roku Brygada przeszła na odcinek wschodniego wybrzeża Szkocji, a w miasteczku Forfar, gdzie mieściło się dowództwo, odkryto z radością drukarnię, wyposażoną nawet w linotyp. 20 grudnia ukazał się pierwszy drukowany numer „Dziennika Żołnierza”.

W roku 1943 „Dziennik Żołnierza” osiągnął nakład 9990. Było to podobno pismo o wiele bardziej niezależne i zadziorne niż „Dziennik” londyński. Red. Bregman pisze: „Tę swoją popularność — nieporównanie większą niż ówczesnego „Dziennika Polskiego” w Londynie — zawdzięczał „Dziennik Żołnierza” temu, że starał się zawsze mówić prawdę i nie wprowadzać czytelnika w błąd, czego o londyńskim „Dzienniku” nie zawsze można było powiedzieć. Nie był też żadną urzędówką, której nigdy ani żołnierze ani cywile czytać nie chcą. ...nie były czezyimi słowami zapewnienia redakcji: 'Byliśmy i będziemy przede wszystkim pismem informacyjnym. Powtarzamy też, że mówienie prawdy i odwaga przekonań są cnotą żołnierską, a zarazem pierwszym i głównym przykazem uczciwego dziennikarstwa. Będzie nam, jak dotąd, przyświecać troska o bezstronność i trzeźwą ocenę sytuacji”.

„Dziennik Żołnierza” był podobno solą w oku londyńskim władzom i koncepcja połączenia go z „Dziennikiem Polskim” miała na celu wzięcie go pod kontrolę rządu. Mimo oporów przed i po połączeniu pism, manewr powiódł się całkowicie. Można powiedzieć, że zakończył się wtedy pierwszy epizod walk o kontrolę „Dziennika”, walk które w odcinkach, jak powieść sensoryjna, trwają po dziś dzień.

Pierwszy numer „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” ukazał się 1 stycznia 1944 roku. Następną datą przełomową jest 25 czerwca 1945, kiedy rząd utworzył fundację pod nazwą „The Polish Daily and Soldiers Daily Trust” i zrzekł się własności pisma na rzecz pięciu członków fundacji. Rząd przekazał im też kapitał w wysokości £16.311 na wydawanie, jak głosił akt fundacyjny, „Dziennika przez okres 21 lat dla woj-ska polskiego i Polaków przebywających za granicą i prowadzenia pisma w takim kierunku, który by zachęcał Polaków do używania języka ojczystego”. Stworzenie fundacji miało na celu ochronę „Dziennika” przed konsekwencją zbliżającego się cofnięcia uznania rządowi przez władze brytyjskie.

Właściwie z tą chwilą wkraczamy w czasy nowożytne. Trust powołał do życia nową fundację z kapitałem £13.350 pod nazwą „The Polish Cultural Trust”. Fundacja ta z kolei stała się właścicielem drukarni rotacyjnej pod firmą „Caldra House Limited”. 1 listopada 1947 „Dziennik” drukowany już był we własnej drukarni, co uważano za jedyną drogę do samowystarczalności. (W latach 1940-1945 wydawanie „Dziennika” kosztowało rząd około £129.000). Po śmierci red. Jana Czarnockiego w 1947 redakcję objął Tadeusz Horko. Wśród członków fundacji stopniowo dominującą pozycję zdobywał sobie dr Leszek Kirkien.

Następny wielki wstrząs miał miejsce dopiero w roku 1959 i doprowadził do kolejnej zmiany warty. Zajścia te są przedmiotem sprawy sądowej, wciąż jeszcze otwartej. Rozprawa ta zapewne zostanie rozstrzygnięta wtedy, kiedy książka ta znajdować się już będzie w druku. Ze zrozumiałych względów nie możemy się na ten temat rozpisywać.

Sprawa miała dwa etapy: pierwszy — który nie jest przedmiotem sprawy sądowej — był nieudaną próbą ze strony dr. Kirkiena uniezależnienia się od pozostałych członków fundacji. W wyniku tego „zamachu” do fundacji, w charakterze jej przewodniczącego, wprowadzono gen. Andersa. Drugim etapem była sprawa o drukarnię.

28 października „Dziennik” podał suchą informację, że redaktorem naczelnym pisma zostaje Aleksander Bregman. W

dzień później ukazała się notatka pt. „O Drukarnię Dziennika Polskiego”, informująca, że w celu zabezpieczenia mienia fundacji jej zarząd wystąpił na drogę sądową. Czytamy dalej: „W czasie przewodu sądowego wyszło na jaw, że „Caldra House Ltd.”, w której dyrektorem jest dr Leszek Kirkien, a sekretarzem p. Czesław Sroga, wydzierżawiła 12 sierpnia 1959 innej firmie na 28 lat budynek drukarni w Hove, równocześnie sprzedając tejże firmie magazyny i całe urządzenie drukarni. Caldra House również zawarła z tą samą firmą umowę o dalszy druk „Dziennika Polskiego” na nowych warunkach.

Przedmiotem sporu jest, między innymi, ważność tych umów”.

Sędzia zamianował zarządcą sądowym (*receiver and manager*) p. J. Szydłowskiego (który był kiedyś polską „głową” Komitetu Oświaty).

Na tym wypada zakończyć oficjalną historię „Dziennika”. W części nieoficjalnej spróbujemy określić co i jak się zmieniło na skutek „Dziennikowego Października”.

J. Zubrzycki w swej pracy „The Polish Immigrants in Britain”, wydanej w 1954, przeprowadza *contents analysis* — analizę treści „Dziennika”, wykazując ewolucję pisma od tematyki ściśle politycznej, do społeczno-emigracyjnej. Jego metoda — mierzenie w procentach, ile miejsca pismo poświęca różnym tematom, posiada atrakcję całkowitej obiektywności, ale zastosowanie ma ograniczone, w niektórych wypadkach może okazać się zawodna. Zubrzyckiemu pozwala ona stwierdzić rzecz raczej oczywistą, ale gdyby tą samą metodą badać „Dziennik” przed i po październiku 1959, doszlibyśmy do błędnego wniosku, że pismo nic się nie zmieniło, lub że zmieniło się tylko nieznacznie. Układ gazety pozostał ten sam: wiadomości ze świata, przeważnie polityczne, na pierwszej i ostatniej stronie, artykuły polityczne i problemowe, felietony, listy do redakcji i ewentualnie odcinkowa powieść na drugiej, recenzje, wiadomości z emigracji, krótkie reportaże, Tydzień w Londynie itd. na trzeciej stronie. A jednak dla każdego zainteresowanego czytelnika jasne jest, że polityka redakcyjna uległa dużym zmianom.

Dziennik przed „przewrotem”, czyli, jak się popularnie w Londynie mówi, „Dziennik Kirkienowy”, był wypadkową wpływu dwóch ludzi: dr. Kirkiena i red. Horki. Wpływ Horki, redaktora naczelnego, był bardziej bezpośredni, ale nie ulega wątpliwości, że w ważnych sprawach, decydująca była wola dr. Kirkiena. „Dziennik” był wtedy gazetą popularno-sensacyjną, niesympatyczną, ale zrecznie redagowaną. Wydaje się, że wzo-

rem dla pp. Horki i Kirkiena była nie polska prasa przedwojenna, ale wielkie popularne dzienniki angielskie, agresywnie komercyjne, windujące na pierwsze miejsce wiadomości sensacyjne, nie koniecznie ważne. W tym sensie, jak na jedyny dziennik emigracji politycznej, była to gazeta stosunkowo mało polityczna.

„Kirkienowy Dziennik” na pewno daleki był od ideału. Na jego łamach ukazywały się nieraz niewybredne w tonie osobiste ataki, niektóre nazwiska konsekwentnie były przemilczane. Kapryśne sympatie i antypatie dr. Kirkiena znajdowały w nim swój wyraz. Irytowało to wielu tym bardziej, że formalnie pismo wciąż było własnością społeczną.

Ale, z drugiej strony, ludzi, którzy kontrolowali wtedy „Dziennik” cechował — jak zwykle „businessmen’ów” — szacunek dla faktów. Gotowi byli iść na kompromisy z procesami, które zachodziły i zachodzą na emigracji. Robiąc pismo według popytu, popularne i sensacyjne, pojmowali to zapotrzebowanie dość szeroko. Rozumieli np., że czytelnik czasem, choć się do tego nie przyzna, lubi znaleźć w gazecie opinie, z którymi się gwałtownie nie zgadza. Tłumaczy to, dlaczego od 1957 roku istniały w „Dzienniku” „Kontury”, niezależna strona młodych, konsekwentnie wprowadzająca na łamy pisma tematykę, która normalnie nie miała tam prawa obywatelstwa.

Ten charakter pisma, popularno-sensacyjny, poszukujący kontrowersji, jeszcze silniej podkreślany był w „Kurierze Polskim”, dzienniku, który Horko redagował przez kilka tygodni po wyjściu z „Dziennika”. „Kurier” nie udał się jakoby dlatego, że nie potrafił zorganizować sobie dystrybucji. Było to pismo całkowicie już apolityczne, drukujące odezwy Rady Trzech tuż pod odezwą Augusta Zaleskiego. Rzucalo się zbyt gorączkowo z jednej ostateczności w drugą, ale redagowane było żywo, a łamane na sposób zupełnie już angielski.

Tymczasem „Dziennik” po przejęciu redakcji przez Aleksandra Bregmana, stał się niewątpliwie pismem bardziej niż poprzednio politycznym. Sam ten fakt jest zgodny z osobowością nowego redaktora naczelnego. Był on redaktorem politycznym „Kirkienowego Dziennika” i sprawami polityki i światowej i polskiej interesuje się o wiele żywiej niż poprzedni redaktor. Red. Bregman, zarumieniony, nieśmiały, chryząkający, nie robił tajemnicy ze swego krytycznego nastawienia do dawnych porządków w „Dzienniku”. 7.XI.1959 ogłosił on artykuł programowy, w którym mówi, między innymi:

.....zmienić się powinno niejedno. Wiele rzeczy dobrych oczywiście pozostanie bez zmiany. Ale rzeczy złe powinny ulec naprawie.

...Rola prasy polskiej na emigracji jest wyjątkowa. Zwłaszcza pismo codzienne ma do spełnienia wyjątkowe zadania. Wydaje mi się, że najważniejszym, najbardziej podstawowym z tych zadań, jest rzetelne, uczciwe i obiektywne informowanie o życiu Kraju, emigracji i wydarzeniach w świecie. Społeczeństwo emigracyjne jest zbyt dojrzałe, by ktokolwiek miał je pouczać i narzucać mu swoje własne opinie.

Zadne pismo nie może sobie uszupować prawa do przemawiania imieniem emigracji. Złe byłoby zaiste, gdyby czysto osobiste poglądy miały być narzucane społeczeństwu emigracyjnemu bez dania mu możliwości skonfrontowania tych, często dziwacznych, a czasem wręcz niepokojących poglądów z innymi...

„Dziennik” — jestem przekonany — nie może spełnić swego zadania, jeśli obok rzetelnej informacji nie dopomoże przez wszechstronną wymianę poglądów do sformowania się opinii publicznej.

Jako jedyne polskie pismo codzienne w W. Brytanii — „Dziennik” ma obowiązek dać wyraz możliwie najszerszemu wachlarzowi poglądów politycznych emigracji niepodległościowej.

Cele polityczne są znakomitej większości społeczeństwa emigracyjnego wspólne. Sprowadzają się one do bezkompromisowego dążenia do pełnej niepodległości Polski, do pomagania narodowi w Kraju, stawiającemu w ramach możliwości opór komunizmowi, do odmowy jakiegokolwiek układania się z reżymem. Choć cele są wspólne, metody, którymi mają być urzeczywistniane mogą być różne. Rozbieżne koncepcje winny być konfrontowane aby dopomóc do wyjaśnienia i skryształizowania poglądów”.

Przy końcu artykułu dochodzimy do konkretnych już zarzutów pod adresem starego „Dziennika”.

...Nie będę wchodził w szczegóły, wystarczy powiedzieć, że docho-
dziło do tego, że takie czy inne nazwisko nie mogło nigdy się pojawić, nawet w nekrologu”.

Obiecano „złoty wiek” Dziennika. Rzeczywistość, jak to często bywa, okazała się raczej szara. Choć pewne reformy naprawdę wprowadzono. Zniknął np. „Bywalec”, rubryka zakulisowych, złośliwych przeważnie plotek. Ale na tym samym miejscu pojawiła się rubryka „Co w trawie piszczy”, o podobnym charakterze, pisana — podejrzewać można, tą samą ręką. Wszystkie nazwiska — jesteśmy tego pewni — mają teraz szansę ukazania się w nekrologu, ale metoda milczącego bojkotu używana jest nadal. Stosowano ją wobec „Kuriera”, póki istniał, kontynuuje się ją wobec „Oblicza Tygodnia”, przemilczano krytykę ze strony „Kontynentów”. Obiecana konfrontacja poglądów istnieje tylko w specyficznych formach. Wymowną ilustracją jest tu niedawna wielka polemika, w której głównymi aktorami byli dr Stahl i Aleksander Bregman. Nie była to właściwie konfrontacja różnych koncepcji politycznych, a dyskusja nad czystością „postawy niepodległościowej”: Czy wolno „niepodległościowcom” widzieć np. różnice pomiędzy komunizmem sowieckim i chińskim, czy można, choćby bardzo nieśmiało, jakoś je warto-

ściować? Dr Stahl, który reprezentuje skrajną emigracyjną prawi-
cę ma prawo swoje pretensje do „Dziennika” głosić na jego
łamach, ale artykuły na podobny temat (dyskusja postawy nie-
podległościowej) wychodzące z lewicy, które zespół „Konturów”
chciał drukować na swojej stronie, zostały przez redaktora
odrzucone. Konsekwencją tego była rezygnacja zespołu „Kon-
turów” i ich likwidacja.

Nie należy za ten stan rzeczy winić osobiście red. Breg-
mana. Jest oczywiste, że nie ma on pełnej swobody w redagowa-
niu pisma. Obok niego w redakcji jest p. J. Sakowski, członek
fundacji, delegowany przez fundację do spraw pisma. Głębiej za
kulisami napotykamy gen. Andersa, przewodniczącego fundacji,
Obecną trójkę członków fundacji dopełnia p. W. Czerwiński,
prezes Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, uważany za czło-
wieka bliskiego gen. Andersowi. Sam redaktor Bregman jest
członkiem NiD'u.

Obecny „Dziennik” jest raczej organem politycznym obozu
„zjednoczenia”, niż gazetą codzienną, informującą bezstronnie
i rzetelnie o wydarzeniach na świecie i w kraju, i stanowiącą
platformę do szerokiej wymiany zdań. Utrzymanie tego charak-
teru pisma, nie odpowiadającego przecież zapotrzebowaniu, moż-
liwe jest w warunkach monopolu, który dziennik faktycznie po-
siada (francuski „Narodowiec” nie stanowi na razie poważnego
zagrożenia). Nakład pisma spada nieznacznie, choć tendencja
ta utrzymuje się już od paru lat. Według udzielonych nam
informacji obecny nakład „Dziennika” wynosi około 24.000.
Liczyć więc można, że czyta „Dziennik” około 50.000 Polaków,
co mniej więcej odpowiada ilości Polaków utrzymujących kon-
takt ze zorganizowanym życiem polskim³.

Następnym po „Dzienniku” co do ważności pismem londyń-
skim są „Wiadomości”, o których piszemy na innym miejscu⁴.
Rola ich dotyczy głównie życia kulturalnego emigracji i wykracza
poza ramy tego rozdziału.

„Gazeta Niedzielną” jest popularnym tygodnikiem katolic-
kim, wydawanym przez ośrodek wydawniczy „Veritas”. Ogólnie
biorąc jest ona pod wpływem katolickiej endecji (trochę NiD'u),
z tym, że w sprawach społecznych utożsamia się z polityką i inte-
resami emigracyjnej hierarchii kościelnej. Jest to pismo o poziomie
chyba świadomie niskim, obliczone na odbiorcę o bardzo prymi-
tywnym poziomie społecznej i politycznej świadomości; gazeta

3. Szczytowa przeciętna nakładu „Dziennika”, w roku 1951, wynosiła
31.067.

4. Patrz reportaż o Londynie.

dla „tłumu”, redagowana w tonie, w którym trudno dopatrzeć się choćby śladu szacunku dla inteligencji przeciętnego czytelnika, apodyktycznie komentująca wszelkiego rodzaju zjawiska ze ściśle parafiańskiego punktu widzenia. Istnienie i zakorzenienie się tygodnika typu „Gazety Niedzielnej” z jednej strony, a niepowodzenia wysiłków tegoż „Veritasu” utrzymania poważnego pisma katolickiego („Życie”), nasuwają smutne refleksje na temat poziomu i charakteru emigracyjnego katolicyzmu.

Zapewne można dowieść, że istnieje też zamówienie społeczne na pismo typu „Orła Białego”, choć zamówienie to na pewno stale się kurczy. Doprowadziło to do fuzji „Orła Białego” z paryską „Syreną”, pismem o podobnych założeniach i charakterze. „Orzeł Biały”, związany z osobą gen. Andersa, uważany jest za organ najbardziej nieskazitelnie niezłomnych. Choć jest to pismo przede wszystkim polityczne, ma ono ambicje zaspakajania szeroko pojętych kulturalnych potrzeb czytelnika, głównie poprzez swe dodatki: literacki i humorystyczny („Lekkim Piórem” i „Pokrzywy” — swego czasu pismo autonomiczne). Posiada też stosunkowo bogaty dział recenzji, dział sportowy, kolumnę fraszek itd. Istnieje dość zabawny kontrast pomiędzy politycznym i niepolitycznym aspektem pisma.

Dodać tu warto, że redaktorem „Orła Białego” jest Paweł Zaremba, błyskotliwy liberał, autor, wydanej w serii „Biblioteki Kultury”, „Historii Stanów Zjednoczonych”.

Wśród pism emigracyjnych pozycję zupełnie specjalną zajmuje tygodnik „Oblicze Tygodnia”, dawne „Odgłosy”. Powstał on w czerwcu 1957 roku, pod redakcją Karola Lewkowicza, byłego członka PPS, i wystartował z programem uzyskania debitu w Kraju jako „opozycyjny” głos emigracji, tzn. krytyczny w stosunku do rządu warszawskiego, ale jednakowoż związany z nim więzami lojalności. Poruszenie, wywołane na emigracji Październikiem wciąż jeszcze było wtedy żywe i podobne projekty nurtowały niektóre środowiska. „Odgłosy” w pierwszym okresie korzystały ze współpracy kilku radykalnych dziennikarzy, w niektórych wypadkach pisujących pod pseudonimem. Z czasem jednak, częściowo na skutek cofania się w kraju niektórych zdobywczy Października, podczas gdy linia pisma w stosunku do partii nie uległa zmianie, a częściowo pod wpływem plotek na temat powiązań „Odgłosów” z „Warszawą”, dziennikarze ci wycofali swą współpracę. Ze znanych na emigracji nazwisk pozostał w „Odgłosach” przemianowany wkrótce na „Oblicze Tygodnia” tylko K. Smogorzewski, przedwojenny korespondent „Polski Zbrojnej”.

Nie jesteśmy oczywiście w stanie zaprzeczyć, ani też potwierdzić pogłosek krążących koło pisma, ale jasne jest, że są one powodem jego pewnej izolacji od kół emigracyjnych, izolacji z którą redaktor wydaje się godzić. Debitu w kraju pismo wcalej rozciągłości nigdy nie uzyskało, zresztą jest ono obliczone wyraźnie na rynek emigracyjny; dysponuje natomiast paroma piórami z kraju i korzysta z krajowego serwisu fotograficznego.

Wszystkie pozostałe pisma londyńskie mają już charakter o wiele węższy. „Myśl Polska” dwutygodnik Stronnictwa Narodowego i „Robotnik” miesięcznik PPS, rozchodzą się tylko w obrębie członków i ścisłych sympatyków tych ugrupowań. Żadne z nich, niestety, nie rozwija oryginalnej myśli politycznej. Spotkać natomiast można artykuły, których poziom określić trzeba jako kompromitujący dla pisma, uważającego się za oficjalny organ partii politycznej o wielkich tradycjach. Tak np. w „Myśli Polskiej”, z okazji 40 rocznicy Bitwy pod Warszawą spotykamy artykuł płk. F.A. Arciszewskiego, pt. „Cud nad Wisłą”. Pułkownik ponawia twierdzenie, że zwycięstwo w 1920 roku było skutkiem boskiej interwencji, znajdując do tego analogie w Starym Testamencie. Pod koniec artykułu autor uprzedza przezornie zarzuty, jakie, w tej samej płaszczyźnie rozumowania możnaby mu postawić: dlaczego Bóg opuścił Polskę obecnie. Otóż uchwałą sejmu w marcu 1921 roku w Warszawie stanąć miał na koszt państwa Kościół Opatrzności Bożej. Ślub ten nie został wykonany. Czyż można się dziwić, że Bóg nie interweniował po raz drugi?

Byłoby niesprawiedliwe twierdzenie, że artykuł p. Arciszewskiego stanowi kwintesencję myśli politycznej narodowców. Ale w piśmie brak jest w ogóle poważnej, przekonywującej analizy politycznej, czy choćby argumentów.

Niewiele lepszym pismem politycznym, jest obecnie „Robotnik”. Przez czas jakiś, pod redakcją A. Ciołkosza, „Robotnik” pomimo swego „niezlomnego” charakteru był chyba najciekawszym ściśle politycznym pismem na emigracji. Po odejściu Ciołkosza podupadł dość mocno, chociaż ostatnio widać pewną poprawę.

I w „Robotniku”, podobnie jak i w innych pismach emigracyjnych (wyjątek trzeba zrobić chyba tylko dla paryskiej „Kultury”), wypowiedzi czysto deklaratywne mają ogromną przewagę nad analitycznymi. Są tam rzeczy wartościowe, o charakterze informacyjnym, jak choćby artykuł o formach spółdzielczych w Izraelu. Ale artykuł na temat sprawy Ciołkosza ukazuje się pod typowym tytułem „Niema Rozłamu” (zachowujemy oryginalny

nalną pisownię „Robotnika”), a przesłanki, na których oparta była „rewolucja” w stronnictwie doczekały się sformułowania w jednym zdaniu: „Masy pracujące (w kraju prz. nasz) są na wskroś sproletaryzowane i w ich klasowym konflikcie z nową klasą rządzącą, już ukształtowaną, lub będącą w toku tworzenia się na wzór ZSRR, tkwi dynamiczna siła przyszłości. Taka jest nasza teza zasadnicza...”. Od stwierdzenia tego rodzaju do nowej kompletnie doktryny droga jest daleka i nie widać na razie, by „Robotnik” miał zamiar w nią wyruszyć⁵.

Podobnie przedstawia się sprawa z „Jutrem Polski”, organem PSL. Pismo to ma może trochę więcej zacięcia polemicznego, stoi na trochę gorszym poziomie literackim, ale też szpalty zapewniają polityczne deklaracje i kroniki, raczej niż polityczna analiza.

Organem obozu Zamkowego jest dwutygodnik „Rzeczpospolita Polska”. Jest to także, niestety, pismo niesłychanie słabe. Pojęcie o treści i poziomie pisma dają próbki tytułów: „Jedna jest tylko Wierność” J. Walewskiego, lub „Wojna Moskiewskiego Szatana z Religią Chrześcijańską”.

Przyjemne niespodzianki można natomiast napotkać w pismach mało znanych, mających właściwie charakter biuletynu organizacyjnego. Tak więc luźno związane z kołami oddziałowymi 3 Dywizji Strzelców Karpackich są dwa rywalizujące ze sobą kwartalniki (rozpad nastąpił na tle lojalności do Zamku i gen. Andersa, chociaż gen. Kopański pisuje do obu): „Goniec Karpacki” i „Ku Wolnej Polsce”. Szczególnie „Goniec Karpacki” jest pismem żywym, szukającym kontrowersyjnej tematyki i ostrych piór. Toczyła się tam między innymi szeroka polemika na temat kampanii wrześniowej, pisują znani rebelianci przeciwko własnym środowiskom, jak Jędrzej Giertych (skłócony ze Stronnictwem Narodowym) lub płk. Kędzior (przeciwnik gen. Andersa). Więcej znaleźć tu można żywej treści niż w wielu pismach o sławnych tytułach i wysokim, jak na stosunki emigracyjne, nakładzie.

Dla całości obrazu dziennikarstwa londyńskiego wspomnieć trzeba „Fotoramę”, magazyn ilustrowany, a ściślej mówiąc składający się z samych materiałów fotograficznych. Jest to rodzaj emigracyjnej kroniki fotograficznej. Powodzenie tego dwutygodnika, założonego przed rokiem przez p. Wojtczaka, leży zapewne u źródeł nowej inicjatywy stworzenia miesięcznika „Światowid”.

5. Pewne ożywienie przyniosła dyskusja na łamach pisma, pod koniec 1960 i w poc. 1961 r., w związku ze Zjazdem PPS. (Przypisek późniejszy).

popularnego i obficie ilustrowanego, obliczonego jakoby na Polonię i starą i nową.

Ogólny obraz dziennikarstwa londyńskiego ma w sobie niewiele barw jasnych. Na jego niski poziom wpływa cały splot przyczyn, które podsumować można w paradoksalnym pozornie stwierdzeniu, że jest to dziennikarstwo o poglądach zwężonych do własnego podwórka a jednocześnie oderwane od podłoża; dziennikarstwo, które zamiast spełniać normalną swą funkcję, łączenia czytelnika ze światem, stara się, w zbyt wielu wypadkach, utrzymać go w sztucznej izolacji. A jednocześnie rzeczywistość emigracyjna nie jest w stanie dostarczyć barwnej aktualności, szczególnie jeżeli założeniem jest omijanie spraw najbardziej drażliwych.

POKOLENIE MŁODE I NAJMŁODSZE

Pokolenie młode

Zrównoważony rozwój społeczeństw zależy w dużej mierze od tego, czy pokolenia odchodzące potrafiły stworzyć takie warunki i wywrzeć taki wpływ na pokolenia przejmujące ich funkcje, że zachowana zostaje ciągłość życia społecznego. Każde nowe pokolenie zaczyna jako pokolenie dzikusów — niezliczona ilość instytucji od rodziny począwszy, na uniwersytecie skończywszy, ma za zadanie dzikusów tych ucywilizować, powiązać ich z najistotniejszą tradycją swego kraju, wpoić w nich pewne ideały i przygotować technicznie do samodzielnego życia, odpowiedzialności i następnie — spełnienia tej samej roli wobec pokoleń dalszych.

Ta „inżynieria dusz” jest konieczna tym bardziej, że nieporozumienia między pokoleniami są rzeczą naturalną. W normalnym społeczeństwie chodzi o to, by krytycyzm pokolenia wchodzącego w życie nie przerodził się w całkowitą negację, by znalazł zdrowe ujście, by poszedł koleinami wyłobionymi przez wieki narastającej tradycji, i wnosząc nowe wartości, równocześnie nawiązywał do dawnych.

Bywa jednak, że brak wspólnego języka pomiędzy pokoleniami nie daje się zatrzeć: konflikt nabiera wtedy cech ostrości znajdując wyraz w każdej dziedzinie życia: obyczajowej, ideologicznej, artystycznej i umysłowej.

Normalnie jednak, tylko część pokolenia wchodzącego w życie wykazuje tendencje rebelianckie w tak dużym stopniu. Większość wchodzi spokojnie na utarte koleiny, znajduje swoje miejsce w społeczności, i siłą inercji podtrzymuje ciągłość.

Tak bywa w społeczeństwach normalnych. Cóż jednak się dzieje, gdy jakaś społeczność jest społecznością nienormalną,

a jej istnienie związane jest ściśle z utrzymaniem stanu nienormalności?

Nienormalność społeczności takiej jak emigracja polska w W. Brytanii polega na wielu czynnikach. Jednym z nich jest fakt, że jest ona czymś w rodzaju mniejszości narodowej, ale bez własnych korzeni w historii narodu, którego stała się składową częścią. Jej korzenie znajdują się gdzie indziej: w kraju rodzinnym, w jego historii i tradycji, które próbuje kontynuować w warunkach niezbyt sprzyjających, w oderwaniu od konkretnego podłoża, na którym wyrosły. Aby zachować swoje wartości i odrębności, społeczność ta próbuje się zamknąć we własnym świecie, żyć przeszłością (i ewentualnie przyszłością), walczyć o utrzymanie stanu posiadania, unikać wszelkich innowacji, i stwarzać atmosferę egzaltacji wokół ideałów, dla których stała się emigracją, przy okazji idealizując to, co do sfery idealnej nie należy, lub należeć nie musi.

Społeczność ta rzadko jest na tyle silna, by we własnym zakresie stworzyć odpowiednie warunki materialne jako przynętę dla swojej młodzieży. Nie posiadając „beneficjów”, nie dysponując realnie wartościowymi stanowiskami, nie mając nawet możliwości udzielania stypendiów na studia, społeczność ta chwyta się formy „szantażu”, który ma charakter moralny i idealistyczny, i w tym leży jego główna słabość i siła.

Społeczność ta, w swej najbardziej uświadomionej części, wierzy na ogół w swoje ideały — i w pewnym sensie utożsamia się z nimi. Stąd też celowo nie dopuszczając do siebie zwątpień, które godzą w jej istotę, ma duże trudności z nawracaniem całkowitych pogan, z cywilizowaniem kompletnych „dzikusów”, jakimi — ku jej wielkiemu nieraz rozgoryczeniu — okazuje się jej młodsze pokolenie.

Cały ten proces obserwujemy bardzo dokładnie na przykładzie Polonii brytyjskiej.

W pierwszej części tej książki niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na brak młodego pokolenia w zorganizowanym życiu emigracji. Brak ten widoczny jest na wszystkich polach: od ugrupowań czy partii politycznych, po zespoły teatralne i chóry. Przeciętny wiek emigrantów aktywnych społecznie jest o wiele wyższy od przeciętnego wieku Polonii Brytyjskiej.

Normalnie nie wymaga się aktywności społecznej czy politycznej od wszystkich członków danej społeczności. Ludzi aktywnych jest zawsze tylko pewien procent. Sytuacja staje się poważna, gdy procent ten spada poniżej pewnego minimum, a tak jest właśnie

z udziałem młodego pokolenia w zorganizowanym życiu emigracji.

Termin „młode pokolenie” jest na emigracji niezwykle rozciągliwy. Zalicza się do niego czasem nawet ludzi około czterdziestki. Oczywiście, trudno jest ustalać jakieś granice wieku: młodość w sensie społecznym jest relatywna. Ponieważ jednak nie możemy dyskutować tych spraw bez jakiegoś ustalonego terminu, przyjmujemy określenie „pokolenie młodsze” jako użyteczniejsze. Pod terminem tym rozumiemy będziemy grupę osób, których osobowość uformowała się już na obczyźnie, w czasie wojny, czy nawet po niej. Takie założenie narzuca granice wieku mniej więcej od 18 do 35 lat. Oznacza to, że mamy do czynienia z grupą wybitnie zróżnicowaną z punktu widzenia całego szeregu istotnych czynników: wiedza o Polsce i własne o niej wspomnienia, wychowanie i wykształcenie, stopień znajomości języka polskiego, doświadczenia wczesnego okresu życia. Na szczycie skali będziemy mieli ludzi, którzy już w Polsce zaczęli chodzić do gimnazjum, a w okresie wojny znaleźli się najprawdopodobniej albo w szkołach junackich albo w obozach polskich w Afryce i Indiach, gdzie też mieli okazję przejść przez polskie gimnazja, albo nawet — w wypadku roczników najstarszych — w wojsku. W momencie zakończenia wojny osiągnęli oni wiek dojrzały, wstępując czy to na uniwersytety brytyjskie, czy na polskie uczelnie w W. Brytanii, lub jako zapóźnieni, zdając maturę, w polskich gimnazjach przywojskowych lub gimnazjach, jakie powstały po wojnie w Anglii. Znajomość Polski nie jest u nich duża, ale kilkanaście lat spędzonych w Polsce wycisnęło swoje piętno, tak że ich więzy z krajem są całkiem istotne. Ich znajomość języka polskiego jest na ogół niezła i zdobyta normalnymi drogami, chociaż zubożona długoletnim pobylem poza krajem. Ich doświadczenia są bardzo bogate i szerokie (a także mniej nacechowane urazami wojennymi, niż roczników nieco młodszych, które wojnę przeżywały w okresie najwyższej wrażliwości dziecięcej): Rosja, Niemcy, Afryka, Indie — Wielka Brytania.

Na dole naszej skali mamy młodzież osiemnastoletnią, urodzoną już podczas wojny. Tej młodzieży jest bardzo niewiele, ze zrozumiałych zresztą względów (rozłąka rodzin). Duża jej część przeszła przez polsko-angielską szkołę powszechną w hotelach, nieliczni zdążyli może zahaczyć o któreś z polskich gimnazjów tuż przed ich likwidacją, większość kończyła angielską szkołę średnią („Modern” i „Grammar”). Jej przedstawiciele spotykamy w tej chwili na uniwersytetach brytyjskich. Wychowanie tej młodzieży, w najlepszym razie polsko-angielskie, wykształ-

cenie, urazy psychiczne z okresu wojny, węższa znajomość świata, prawie żadna znajomość Polski, której obraz kształtował się najczęściej na podstawie informacji rodziców i obserwacji emigracyjnego środowiska, doskonala znajomość angielskiego przy słabej już często znajomości języka polskiego — oto najważniejsze z naszego punktu widzenia cechy charakterystyczne.

Niezmiernie trudno jest uchwycić te pokolenia cyfrowo. Wiemy tylko, że stosunkowo liczne są roczniki przedwojenne, bardzo natomiast szczupłe roczniki wojenne. Pewien wskaźnik co do liczebności tych grup dadzą nam cyfry udzielonych stypendiów, jak i cyfry dotyczące uczniów i uczennic w polskich, a następnie polsko-angielskich szkołach hostelowych i gimnazjach — cyfry ważne i interesujące dla nas także z innych punktów widzenia.

Według danych *Ministry of Education*, ze stypendiów Komitetu dla Oświaty Polaków w W. Brytanii korzystało, w okresie 1947-1960, około 9.000 stypendystów (włączając w to *Polish University College* i inne polskie wydziały przy uniwersytetach brytyjskich). Liczba ta nie obejmuje kilkudziesięciu stypendystów Uniwersytetu Wolnej Europy, a co ważniejsze, nie obejmuje stypendystów lokalnych samorządów (obecnie stypendiów udziela Polska Sekcja przy Ministerstwie Oświaty w skromnej liczbie kilkudziesięciu rocznie, oraz samorządy lokalne, w ramach przydziałów dla poszczególnych szkół — cyfry tych ostatnich dotyczące polskich uczniów szkół angielskich są nieuchwytny). Do cyfry tej trzeba by dodać pewien mały odsetek Polaków, którzy studia ukończyli na własną rękę, zapisując się na kursa wieczorowe, dające pełne kwalifikacje techniczne, kursy nauczycielskie, czy kursy organizowane w ramach akcji dokształceniowej zakładów pracy. Można przyjąć, że ogółem 10.000 — 11.000 młodych Polaków uzyskało wyższe wykształcenie lub przynajmniej jeden rok studiów. Można chyba także przyjąć, że połowa tej liczby wyemigrowała z W. Brytanii.

W tej grupie około 5.000 studentów zdało obok angielskiej maturę polską w gimnazjach polskich: Haydon Park, Stowell Park, Grendon Hall, Doddington, Lilford i Bottisham (przez sam Bottisham przeszło około 1.000 chłopców). Ostatnia z tych szkół została zlikwidowana w 1956 roku. Duży procent młodszych roczników przeszedł przez polskie przedszkola i szkoły powszechne polsko-angielskie. Według tabeli zamieszczonej na 52 stronie „*Education in Exile*”¹ w szkołach powszechnych polsko-angielskich było uczniów:

1. Broszura Ministerstwa Oświaty obrazująca prace Komitetu Oświaty.

1947	1948	1949	1950	1951	1952	1953	1954
304	650	1778	684	582	618	582	643

Dla kontrastu warto podać cyfry dotyczące dzieci uczących się w szkołach angielskich, którym Komitet pomagał finansowo:

1947	1948	1949	1950	1951	1952	1953	1954
488	1092	1204	1180	764	611	467	377

Spadek liczb w drugiej kolumnie oznacza, że w miarę wzrostu dobrobytu rodzice przestali korzystać z pomocy Komitetu. Można przyjąć za pewnik, że w cyfrach absolutnych ilość dzieci pobierających naukę w szkołach angielskich stale wzrastała. Pod koniec tego okresu niewątpliwie o wiele wyższy procent dzieci uczył się w szkołach angielskich niż w hostelowych, polsko-angielskich. Niemniej spora grupa ukończyła polskie szkoły średnie, lub co najmniej powszechne. Dodać trzeba, że ponad 1.500 młodzieży korzystało z kursu korespondencyjnego, (przez 7 lat utrzymywanego przez Komitet) prowadzonego w Glasgow na poziomie szkoły średniej i powszechnej w zakresie przedmiotów ojczystych. W okresie siedmioletnim korzystało z kursu 1.336 osób, z czego 768 ze szkoły powszechnej angielskiej lub szkockiej, a 568 ze szkół średnich angielskich lub szkockich. Ukończyło kurs w pierwszej kategorii 578 uczniów, a w drugiej 294. Pewna liczba studentów korzystała również korespondencyjnie lub na miejscu z kursów Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych i PUNO (obu w Londynie). Ciągłe od 100 — 200 osób rocznie uczy się w gimnazjach prowadzonych przez Księżę Marianów i Siostry Nazaretanki.

Już te cyfry mówią, że w polskość młodszego pokolenia, a przynajmniej poważnej jego części nie można wątpić. Ale jasne jest, szczególnie w odniesieniu do roczników młodszych, że jest to polskość już wtórna i nieco sztuczna, zabarwiona w dużym stopniu wpływami szkoły angielskiej, studiów na angielskich uniwersytetach, a następnie angielskich środowisk w pracy i — w mniejszym stopniu — towarzyskich.

Na tle tych cyfr możemy także mówić o istnieniu w W. Brytanii sporej grupy młodej inteligencji, wykształconej już tutaj. Nie mamy pełnych danych, by przeprowadzić dokładny podział na rodzaj studiów i charakter zawodowy tej grupy. Dla przykładu jednak: W roku 1946 w W. Brytanii studiowało około 2.200 studentów polskich. Z tej cyfry na wydziale humanistycznym było — 90, sztuki piękne studiowało — 70, na wydziale prawa

było — 60, na psychologii 30, — w szkołach dramatycznych 20, na architekturze — 120. Razem około 400 na studiach humanistycznych lub bliskich humanistyce. Tendencja do wybierania sobie zawodu praktycznego, mającego popyt w W. Brytanii nie zarysowała się jeszcze tak ostro, jak miało to miejsce później. Poza tym wielu z tych studentów to eks-kombatanci, kończący studia rozpoczęte przed wojną. Nie istniał też jeszcze Komitet Oświaty, który w polityce stypendialnej zdecydowanie faworyzował studia techniczne, pedagogiczne i medyczne, na humanistykę udzielając stypendiów niechętnie. Bezpośrednio po wojnie pewną rolę w wyborze zawodu odgrywał też fakt, że na studia szły w tym czasie przede wszystkim dzieci inteligentów. Z biegiem lat nastąpiło pewne przesunięcie na korzyść dzieci rodziców pochodzenia wiejskiego i robotniczego.

Te trzy czynniki: względy praktyczne, polityka Komitetu Oświaty i pochodzenie społeczne rodziców zdecydowały, że przynajmniej większość młodzieży szła na studia techniczne, medyczne lub pedagogiczne. Taki też jest charakter młodej inteligencji polskiej w W. Brytanii: jest to inteligencja techniczna, o większości techników, mechaników, inżynierów, chemików, ze sporą proporcją lekarzy, z pewną proporcją nauczycieli i architektów, i zupełnie małą domieszką humanistów — głównie języki obce i ekonomia; w sporadycznych wypadkach socjologia, historia, literatura, trochę sztuki piękne².

Ta młoda inteligencja jedynie w paru wypadkach może wykazać się naprawdę wybitnymi osiągnięciami naukowymi. Natomiast są wśród niej wysokiej klasy fachowcy, pracujący na odpowiedzialnych stanowiskach, dobrzy lekarze i dentyści, świetni i cieszący się ogólnym uznaniem w W. Brytanii architekci, szereg wykładowców na uniwersytetach. Czystych naukowców jest bardzo niewiele.

Brak wyższych studiów nie oznaczał wcale, że jedynym dostępnym zawodem stawała się praca niewykwalifikowanego robotnika w fabryce. Szczególnie dziewczęta, po ukończeniu odpowiednich kursów, bez trudu znajdowały pracę jako sekretarki czy siostry szpitalne. Pewien procent młodych Polek szedł do zawodów kulinarnych lub na kelnerki oraz na szwaczki, wykańczarki, recepcjonistki, do sklepikarstwa itd. Stosunkowo nieliczna grupa trafiała do fabryk.

Pewna część młodych mężczyzn również poszła do rzemiosła, lub na pracę robotników pół-wykwalifikowanych. Nie-

2. Sporą grupę humanistów stanowią tzw. „Irlandczycy”, absolwenci uniwersytetów irlandzkich.

wielu — głównie ci którzy woleli szybki zarobek od mozolnych studiów lub praktyki w rzemiośle — wybrali takie zawody jak górnictwo, hutnictwo lub budowa.

Wydaje się nam, że grupa młodzieży nieinteligentniej na emigracji ma oblicze dość typowe dla tego rodzaju zjawisk. Procesy polonijne przebiegają w niej prawidłowo. Reprezentują oni po prostu wyższy stopień asymilacji niż pokolenie starsze. Całkowita, lub prawie całkowita asymilacja następuje raczej w wypadkach pojedynczych, w formie odprysków młodych od środowiska polskiego, przeważnie w konsekwencji małżeństwa z Angielką. Gros pozostaje w sferze wpływów parafii, lokalu polskiego, czy jakiegoś środowiska towarzyskiego, polityką nie interesuje się zupełnie, czasem uprawia sport w ramach klubów emigracyjnych i utrzymuje luźny kontakt z polskim życiem społecznym. Niektórzy, szczególnie w ośrodkach oddalonych od centrali, rozwijają z czasem zainteresowania społeczne i można mieć nadzieję, że staną się kiedyś działaczami polonijnymi. Jeśli prawidłowość pewnych procesów społecznych uznać należy za oznakę zdrowia, jest to niewątpliwie grupa zdrowa.

Ale specyfiką młodego pokolenia emigracji jest o wiele wyższa proporcja młodych o wykształceniu co najmniej średnim, niż w normalnym, żywym społeczeństwie. Tą też grupą zająć się chcemy trochę szerzej.

Jest to grupa niesłychanie płynna, której aktualną liczebność i zagęszczenia lokalne uchwycić jest niezmiernie trudno. Przede wszystkim istnieje stały i niezmiennie silny odpływ polskiej inteligencji technicznej do krajów zamorskich. Przepuszczalnie mniej więcej połowa dawnych stypendystów Komitetu Oświaty opuściła już W. Brytanię. Większość tych, którzy pozostali, odsunęła się prawie zupełnie od zorganizowanego życia polskiego. Nie należy zresztą utożsamiać tego z całkowitym zerwaniem więzów z polskością. Życie towarzyskie tych ludzi, czasem całkiem żywe, toczy się przeważnie w ramach zamkniętych kół polskich rówieśników. Pozazawodowe kontakty z rówieśnikami Anglikami są niezbyt częste. Niektórzy z młodych chodzą na polską mszę do kościoła, rzadziej czytają polską prasę i oglądają niektóre przedstawienia emigracyjnego teatru. Nie jest rzeczą przypadkową, że nieliczni, którzy w życiu polskim biorą szerszy udział, mają wykształcenie humanistyczne: gros techników — w najszerszym znaczeniu — znajduje zadowolenie w życiu zawodowym i polskim życiu towarzyskim.

Zastanawiając się nad przyczynami odejścia tych ludzi od zorganizowanego życia polskiego, trzeba zwrócić uwagę na szereg czynników, działających bądź to osobno, bądź wspólnie.

Spoleczność emigracyjna nie jest dla większości z nich atrakcyjna. Ogromną rolę odgrywa na przykład czynnik czasu. Młody inżynier czy technik pracuje 5 do 6 dni w tygodniu, nie rzadko robiąc nadgodziny. Na aktywność pozazawodową pozostaje mu więc maksimum 2 dni, ewentualnie parę wieczorów. Życie kulturalne angielskie, dom i rodzina, posiadanie auta, telewizji, konieczność dokształcania się zawodowo, wszystko to powoduje, że na branie udziału w życiu społecznym emigracji nie pozostaje czasu. Gdyby jeszcze życie to miało wyraźnie określone formy, gdyby nie rozbijało się na dziesiątki kanałików i podsekcji, z których każda pretenduje do nadrzędności! Życie emigracyjne pochłania bowiem swe ofiary całkowicie. Przy braku środków, przy rozmięnianiu ważnych problemów na szereg drobnych, każda rzecz wymaga o wiele więcej czasu niż zajęłaby normalnie.

Młodzi ludzie nie znajdują więc czasu na te sprawy. Niektórzy z nich przeszli już kiedyś przez magiel emigracyjnej nadaktywności i odeszli od niego, często z niesmakiem. Odbiło się to nieraz na ich karierze, nauce czy życiu osobistym. Są tacy co z pewnym nawet zadowoleniem patrzą na pogłębiający się kryzys góry emigracyjnej, gdyż jest to dla nich usprawiedliwienie ich odejścia od tych spraw.

Często całkowicie wtórna polskość tej grupy oraz przesiąknięcie angielskim sposobem myślenia, stylem życia, przejęcie zwyczajów, wytworzyły w nich ostry krytycyzm wobec polskiego charakteru narodowego (jedynie u bardzo nielicznych rezultatem kontaktu z życiem angielskim było zwiększone poczucie odrębności narodowej lub szowinizm).

Ludzie ci zaczęli ponadto patrzeć na sprawy polskie przez angielskie okulary. Daje się to zauważyć zwłaszcza od czasu Października, kiedy to prasa brytyjska zainteresowała się Polską. Październik zwiększył na ogół krytycyzm tej grupy wobec oficjalnej emigracji. Z jednej strony zaimponował im, z drugiej, o ile ich zainteresowania polskością były jeszcze silne, skierował je na kraj. Dla pewnego procentu Październik stanowił ostateczne rozgrzeszenie z jakichkolwiek skrupułów, że nie biorą udziału w spełnianiu misji, jaką nałożyła na siebie emigracja.

W tym miejscu dochodzimy do sprawy konfliktu pokoleń na emigracji, na przykładzie którego najlepiej będzie pokazać cały szereg aspektów „przemiany materii” w życiu emigracyjnym.

Specyfikę tego konfliktu już częściowo wskazaliśmy w pierwszych paragrafach tego rozdziału. Polega ona na tym, że kry-

tycyzm wobec starszego pokolenia wypływa z konfrontacji jego cech charakterystycznych, rzucających się w oczy, z życiem brytyjskim. Konflikt ten z góry jest przesądzony na niekorzyść strony polskiej: młodzi ludzie porównują bowiem rzeczy — nieporównywalne. Porównują zachowanie się społeczeństwa pełnego, żywego, osadzonego w realiach wszystkich kategorii, ze społecznością skazaną na obumieranie, mającą do czynienia z formami raczej niż realiami, oderwaną od współczesnego życia i świata. Stąd społeczność ta musi wydać się groteskowa, śmieszna, nawet odpychająca — szczególnie, że patrzy ona niechętnie na wyobcowaną z niej młodzież.

A pole do porównań jest nadal duże. Większość młodzieży przynajmniej raz w życiu była na polskiej akademii, w polskim kościele, na polskim zebraniu, odczycie, itd. Sam fakt różnicy w sposobie bycia, mówienia wystarczał czasem do wyciągania krytycznych wniosków. Emigracyjny konflikt pokoleń ma bowiem wyraźne cechy konfliktu obyczajowego — to jest jakby pierwsze, chociaż najbardziej powierzchowne jego stadium. Wyraża się to w takich sprawach jak zażenowanie przy powitaniach i żegnaniu się, gdy przychodzi podać rękę, pocałować w dłoń, lub co jeszcze gorzej — wycałować się z dubeltówki w miejscu publicznym. Młody człowiek wyczulony jest bardzo na te wszystkie drobiazgi. Jedni więc będą akcentować swoją „polskość” w tym względzie przy każdej okazji, robiąc z siebie przesadnych grzecznościów, inni przechodzą męki Tantalusa, zanim zdecydują się pocałować kobietę w rękę. Czasem można zaobserwować ten moment wahania w humorystycznej formie, gdy młodzieniec witając się z kobietą, podnosi jej rękę prawie do swego podbródka, i z nagle odzyskaną determinacją ściska ją i puszcza samopas.

Wykształconych młodych razi polski sposób rozmowy i argumentowania, nauczyli się mówić spokojnie, rzeczowo lub wymijająco, zależnie od tego czy sprawa jest konkretna czy też chodzi o wyrażenie poglądów, bez narzucania własnej osobowości, z lekkim czasem zająkiwaniem się. Zakosztowali tak dobrych jak i złych stron angielskiej rezerwy i *privacy*.

Nauczyli się nieufności wobec opinii starszych, szczególnie ci, którzy mieli okazję porównać wiadomości wyniesione z polskiej szkoły z prawie zupełnym brakiem potwierdzenia w opinii angielskiej wszelkich superlatywów odnośnie polskiej kultury. W tym wypadku często nie potrafili się zorientować w brakach angielskiego prowincjonalizmu i ignorancji, dodając do nich własną ignorancję spraw polskich. Niemniej, trudno zaprzeczać, że ta nieufność ma również podłoże rzeczowe.

Młodzi nie znoszą poza tym emigracyjnych wspominków, które zupełnie naturalnie, są dla nich światem podwójnie w czasie i przestrzeni oddalonym.

Dużą barierę stanowi ponadto język. Nawet bowiem ci spośród młodszego pokolenia, którzy znają język polski nie najgorzej, znają go jakby na innym szczeblu odczucia i zrozumienia, nie rzadko na szczeblu bardziej prymitywnym, dziecinnie-młodzieńczym. Powoduje to brak zrozumienia.

Można zaryzykować uogólnienie, że dla młodego człowieka świat reprezentowany przez starsze pokolenie emigracyjne jest obyczajowo miniony, niezrozumiały, naznaczony klęską i następnie dziwacznym poplątaniem wszystkiego z wszystkim³. Jeżeli dodamy do tego fakt, że świat ten i grupa najsilniej go reprezentująca rości sobie pretensje nie tylko do szacunku i uznania, czy choćby współczucia i zrozumienia ze strony młodych, ale wymaga od nich spełniania pewnych obowiązków, mamy jak na dłoni zasadnicze podłoże konfliktu pokoleń na emigracji.

Jego formą najbardziej powierzchowną jest konflikt obyczajowy. Na wyższych stopniach rozeznania przeradza się on w krytykę polskiej umysłowości. Oto fragment takiej krytyki:

3. Dostyc rozrzucającym przykładem tego co z angielska można by określić *utter incomprehensibility* jest artykuł jaki niedawno ukazał się w studenckim piśmie „Merkuriusz Polski-Życie Akademickie”. Autor, młody student, rozwija taki obraz zadań, stojących przed młodzieżą studencką na emigracji. „Powinniśmy stworzyć jeden związek pod nazwą na przykład Związku Młodzieży Polskiej w W. Brytanii. (...) Tuż po stworzeniu takiego Związku należałoby wypracować formę polityczną. Nie chodzi mi tu o jakiś manifest polityczny ale o wyrobienie i sprecyzowanie poglądu politycznego, tak na sprawy krajowe jak i emigracyjne. Doskonale powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że tak Zamek jak i Zjednoczenie liczy na poparcie ludzi młodych, na których im bardzo zależy. Przecież za kilka, może kilkanaście lat MY przejmujemy ster emigracji polskiej w W. Brytanii. Starsze pokolenie nie będzie żyło wiekami, aczkolwiek z całego serca życzymy im „sto lat”.

Nie możemy jednak czekać i mówić „jakoś to będzie”. Już teraz powinniśmy budować silne fundamenty i wznosić nasz Związek. Już teraz powinniśmy zacząć działać wśród drętwej i skłóconej emigracji. Jakie są możliwości działania politycznego? Od razu na myśl przychodzi mi konferencja prasowa, środek tak często obecnie używany i tak efektywny. Na konferencjach prasowych należałoby składać oświadczenie na jakikolwiek bieżący temat. Przede wszystkim domagać się kompromisu i połączenia Zmaku ze Zjednoczeniem. Jeśli do tego nie doszło po oświadczeniu Związku, po pewnym terminie należałoby zorganizować demonstracje młodzieżowe tak przed Zamkiem jak i przed Zjednoczeniem. Przyjść z transparentami i głośno protestować. Zawstydić Olimp i Everest emigracyjny. Na pewno by nam nic nie zrobili, bo by się bali skandalu. A kto wie, czy nie osiągnęlibyśmy sukcesu, jak osiągnęli go studenci w Turcji, Korei i innych krajach”. (Janusz S. Stawarz, „Złote jabłko” (artykuł dyskusyjny), „M.P.-Z.A.,” lipiec-sierpień 1960).

„Jak to się dzieje, że tylu polskich inteligentów na emigracji nie umie racjonalnie myśleć?

Polacy uważają się za naród o kulturze zachodniej, a więc kulturze opartej na greckiej filozofii i rzymskim porządku, kulturze wzbogaconej przez scholastyczną subtelnosć, szczytującą się kartezjańską jasnością, obiektywizmem swych metod naukowych, precyzją swjej techniki. Inteligencja polska jest wykształconą częścią narodu. Zachodni obserwatorzy, zachwyceni jej urokiem i wszechstronnym talentami, nieraz przyznają jej wysokie miejsce wśród kulturalnych elit europejskich. Inteligencja emigracyjna starszego pokolenia wychowała się we własnej ojczyźnie, przeżywała okres niepodległości, nie była poddana przemożnemu naciskowi obcej ideologii. Powinna być solą ziemi. Jakże często jest zeschniętym odlogiem, ciemnogrodzkim zautkiem, martwą wierzbą płaczącą, na której gnieżdzą się szerszenie!

My, wychowani na uczelniach brytyjskich, raz po raz oblewamy się wstydem, kiedy członkowie starszej generacji zabierają głos w obecności Anglików. Wstydzimy się tego, że przez tyle lat — mając czas na brydża i kawiarniane rajce — nie nauczyli się porządnie języka gospodarzy. Żenuje nas zupełny brak zrozumienia angielskiej mentalności, dogmatyzm, brak taktu, i rozpatrywanie każdej kwestii — czy to będzie telewizja w Rosji, czy *apartheid* w Afryce — z punktu widzenia „komunizm a sprawa polska”. Wstydzimy się nie tylko przestarzałych wiadomości naszych seniorów, ale przede wszystkim ich przestarzałego sposobu myślenia; takiego sztywnego i pewnego siebie, takiego sejmikowo-sarmackiego, takiego barokowo-romantycznego, takiego... barbarzyńskiego. Tradycjoniści, jak mówi poeta, buńczucznie-prawi, postępowcy światoburczo-lewi; jedni i drudzy zaściankowi i... *rather pathetic*⁴.

Głos ten nie był głosem odosobnionym — był raczej podsumowaniem całej serii wypowiedzi krytycznych, momentami bardzo ostrych w formie, na temat starszej emigracji, jej ideałów, założeń, sposobu myślenia. Przez krytycyzm ten przebijały dwa ważne kompleksy: kompleks niższości, który dopiero ostatnio zaczął ustępować podejściu bardziej neutralnemu, i coś co można by określić mianem „kompleksu ojca”. Ostrość krytycyzmu wpływała niejednokrotnie z potrzeby autorytetu, było w nim coś z zawiedzionej miłości. Nie można także pominąć czynnika sieroctwa.

Pokolenie dwudziestolatków jest już uformowane trochę inaczej. W pewnej ich grupie występują dosyć silnie problemy przynależności; widzimy próby zadowolenia się w obu światach: polskim i angielskim; rozdwojenie bywa czasami bardzo bolesne, ale raczej u bardziej wrażliwych i świadomych jednostek, niż jako reguła. Odzywa się od czasu do czasu chęć wiedzy o Polsce, kraj dla tych młodych stanowi dużą atrakcję; ich poglądy polityczne są dalekie od skrytalizowania. W ogóle trudno jest bardzo charakteryzować tych młodych. Jeżeli roczniki starsze potrafiły znaleźć sposoby na wyrażenie swego zdania na temat

4. Andrzej Malkiewicz, „Kontynenty”, maj 1959.

nurtujących ich problemów, roczniki młodsze są już w dużym stopniu nieme. Na ujawnienie ich doświadczeń trzeba czekać jeszcze parę lat; trudno jest także powiedzieć, jaką to przybierze formę; o ile problemy ich dojdą do głosu, będzie to już głos chyba dwujęzyczny.

Te młodsze roczniki są już jednak chyba mniej zbuntowane; konflikt pokoleniowy na emigracji jest już dla nich mało zrozumiały; mniej także czują się one na siłach do zabierania głosu w sprawach czysto polskich, nie tylko ze względu na ignorację, ale i ze względu na słabsze poczucie przynależności. Ich rola coraz bardziej ma charakter postronnej obserwacji.

Na koniec warto zwrócić uwagę, że mówiąc o młodej inteligencji technicznej, używamy terminu „inteligencja” w trochę niewłaściwym już znaczeniu. Ale jest to o tyle uzasadnione, że mimo krytycyzmu wobec starszej inteligencji emigracyjnej, charakter tej warstwy udzielił się częściowo wykształconej grupie młodszego pokolenia. Problem kultury humanistycznej i technicznej jest dla tej grupy problemem całkiem żywotnym. Dowodzi tego chociażby szereg wypowiedzi i dyskusji na ten temat. Przykładem może być numer jubileuszowy organu Stowarzyszenia Techników, gdzie obok artykułów bardzo specjalistycznych, znalazł się artykuł Karola Szwarca, technika wykształconego już na Zachodzie, pt. „Czy istnieje kultura techniczna?”, w którym autor m.in. stwierdza niedwuznacznie, że „jeśli technik nie jest humanistą, to wtedy mamy do czynienia z okaleczonym, niepełnym człowiekiem”.

Pokolenie najmłodsze

W rozdziale tym ograniczamy się do danych, dotyczących szkół sobotnich i harcerstwa, oraz paru uwag ogólnych. Pokolenie najmłodsze jest oczywiście zagadką. Bez poważnych badań socjologicznych nie sposób dawać jego charakterystyki — a to co można o nim powiedzieć na podstawie obserwacji musi być fragmentaryczne i sporne. Lepiej więc unikać spekulacji i chodzić po gruncie, który jest przynajmniej trochę twardszy.

Interesuje nas przede wszystkim polskość tego pokolenia.

W rozdziale „Polonia Brytyjska w cyfrach” przyjęliśmy szacunkową liczbę 16.000-18.000 dzieci i młodzieży poniżej lat 16, zastrzegając się, że może to być liczba zbyt niska. Najstarsi w tej grupie urodzili się po 1944 roku, mieli więc jeszcze okazję

przejsć przez polskie przedszkole hostelowe, a nawet przez szkołę polsko-angielską. Za ilustrację może posłużyć tabela podająca cyfry dzieci w przedszkolach polskich pod opieką Komitetu Oświaty (wiek dzieci, od 2-5 lat):

1947	1948	1949	1950	1951	1952	1953	1954
146	420	533	461	740	895	876	848

Cyfry te są raczej niskie, biorąc pod uwagę, że w poszczególnych latach dotyczą one częściowo tych samych dzieci (*summa summarum*, co najwyżej 2.500-3.000 dzieci). Jak wiemy, hostele uległy z biegiem lat prawie całkowitej likwidacji, a z nimi i przedszkola. Przeważająca liczba rodzin polskich znalazła się w latach 1950 w miastach, gdzie polskie przedszkola były rzadkością. Można więc twierdzić, że tylko nieliczny odsetek najmłodszego pokolenia przeszedł przez przedszkola, a tym bardziej szkoły polsko-angielskie.

Wśród ok. 16.000 dzieci i młodzieży poniżej lat 16, bardzo duży procent stanowią muszą dzieci z małżeństw mieszanych, których ogólną cyfrę szacuje się na około 8.000 (choć nie jest to cyfra małżeństw pozostających na terenie W. Brytanii, wiele z nich wyemigrowało). To jest drugi ważny czynnik, który musimy brać pod uwagę gdy myślimy o polskości najmłodszego pokolenia. Z naszych objazdów wynikało jasno, że mimo licznych wyjątków małżeństwa mieszane nie dbają o polskość swoich dzieci, tak że, nawet jeżeli posyłają je do szkół sobotnich, rezultaty są nikłe, gdyż szkoła sobotnia może mieć odpowiedni wpływ na polskość dziecka jedynie w pełnej kooperacji z rodzicami.

Trzecim, niezwykle ważnym czynnikiem, są szkoły sobotnie. Ich wzrost na terenie Wyspy jest jednym z najbardziej dynamicznych i pozytywnych zjawisk w życiu Polonii Brytyjskiej. Właściwie, jest to chyba jedyna forma życia emigracyjnego ciągle się rozrastająca, chociaż można mówić o zbliżaniu się do szczytowego punktu możliwości.

Pierwsze szkoły sobotnie powstały w latach 1948-49, jako inicjatywy lokalne różnych organizacji lub ich kół terenowych. Wymienić trzeba Związek Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży, SPK. Imponująca jest tabela wzrostu w tych pierwszych latach. Podajemy dane za okres 1950-53 (a więc jeszcze przed powstaniem Polskiej Macierzy Szkolnej):

Rok	ilość szkół sobotnich	ilość dzieci	ilość nauczycieli
1950	10	250	20
1951	35	700	60
1952	70	1.700	90
1953	80	2.000	140 ⁵

Dzisiaj szkół sobotnich w W. Brytanii jest około 150, a korzysta z nich do 5.000 dzieci, tzn. mniej więcej jedna trzecia dzieci w wieku szkolnym.

Nawet jeżeli istnieje pełna kooperacja pomiędzy rodzicami a szkołą sobotnią, polskość dzieci jest problematyczna dopóki przez większość tygodnia przebywają one w towarzystwie dzieci angielskich⁶. W przeciętnym domu polskim dziecko słyszy dosyć ubogą polszczyznę domową, w szkole sobotniej, raz na tydzień, przez 4 godziny, polszczyznę nieco bogatszą, ale w bardzo wielu wypadkach, o zabarwieniu religijno-patriotycznym, z mniejszym lub większym dodatkiem polszczyzny praktycznej, rzeczowej, dotyczącej jego życia wśród Anglików, lub polszczyzny literackiej. Nawet jeżeli szkoła sobotnia daje dziecku język żywy i istotnie związany z otaczającą go rzeczywistością, 4 godziny tygodniowo nie mogą rywalizować z 5 dniami w szkole angielskiej, wśród rówieśników, do czego dochodzą jeszcze zabawy i gry w gronie dzieci angielskich tak w dni powszednie jak i w czasie tzw. weekend'u.

Jeżeli więc nauka języka polskiego ma dać pozytywne wyniki, dziecko polskich rodziców musi mieć możliwość bawienia się i przebywania w środowisku dzieci polskich, mówiących po polsku między sobą. O takie środowiska jest bardzo trudno, nie tylko dlatego, że rodziny polskie rozproszone są po wielkich obszarach miast angielskich i że ich kontakty nie zawsze są częste, ale także i dlatego, że dzieci polskich rodziców, pozostawione same sobie, najczęściej natychmiast przechodzą w grach, zabawach i rozmowach na język angielski, w którym jest im łatwiej się porozumieć.

Stąd, teoretycznie, ogromną rolę spełnia polska gromada zachowa. Piszemy — teoretycznie — gdyż praktycznie gromad

5. Cyfry są zaokrąglone. (Dane z „Dziennika Polskiego”, 10.9.1953). W Londynie, w roku 1952, były 2 szkoły sobotnie, do których chodziło około 150 dzieci. Dzisiaj w Londynie jest 14 szkół sobotnich z 1.400 dziećmi.

6. Nauczyciele szkół sobotnich wiedzą z obserwacji, że dzieci w wieku przedszkolnym, o ile nie pochodzą z małżeństw mieszanych mówią na ogół czysto po polsku. Wypieranie języka polskiego zaczyna się od mniej więcej 5 lat i ciągle wzrasta.

tych nie jest wiele, obejmują one tylko pewien procent dzieci polskich, a upilnowanie dzieci, by mówiły tylko po polsku przerasta niejednokrotnie siły wodza gromady. Obserwowaliśmy parokrotnie jak podczas zbiórki, część dzieci mówiła po polsku, wtrącając od czasu do czasu słowa i zdania angielskie, a część przy każdej okazji mówiła po angielsku. Podobnie bywa na koloniach letnich, które stanowią inny ważny czynnik w walce o polskość dzieci. I podczas zbiórek i na koloniach letnich stosowane są czasami zakazy mówienia po angielsku, wraz z określoną karą za odezwanie się w tym języku. Nie trzeba dodawać, że ma to i swoje złe strony.

Predylekcja do języka angielskiego jest u dzieci zrozumiała. Jest to, przede wszystkim, język łatwiejszy, język, w którym rozwija się umysłowość dziecka a wraz nią jego zainteresowania, język praktycznego życia, ulicy, całego otoczenia. W wypadku dzieci rodziców starszych, źle mówiących po angielsku, wytwarza się nawet rodzaj kompleksu na tym punkcie — dzieci wstydzą się swoich rodziców.

Zakładając jednak, że dziecko uczy się języka polskiego w domu od wczesnego dzieciństwa, że następnie regularnie uczęszcza do szkoły sobotniej, że jest w gromadzie zuchowej, i ma oprócz angielskiego także i polskie środowisko rówieśników, polskość tego dziecka dalej stoi pod znakiem zapytania dopóty dopóki nie przejmie go po szkole sobotniej drużyna harcerska, sobotnie gimnazjum polskie, wreszcie polskie środowisko młodzieżowe. Im bardziej zaś oddalamy się od wieku szkoły sobotniej, tym trudniej o zachowanie i rozwijanie polskości. Podawaliśmy już cyfry młodzieży harcerskiej; gimnazja polskie praktycznie nie istnieją, z wyjątkiem paru tzw. gimnazjalnych klas przy szkołach sobotnich, co jest rzadkością, i gimnazjów OO. Marianów i SS. Nazaretanek. Środowiska młodzieżowe rozpadają się zaś coraz bardziej. Do tego dochodzi jeszcze moment przełomowy przed zdawaniem przez dzieci egzaminów *eleven plus*, kiedy to bardzo często rodzice wycofują dziecko ze szkoły sobotniej i czasami już go do niej ponownie nie посыłają⁷.

7. „Już dzieci 8-mio, 9-letnie słyszą w domu i szkole o czekającym je w niedalekiej przyszłości egzaminie „eleven plus”, od którego zależy kierunek ich dalszego wykształcenia, koncentrują więc swoje wysiłki na nauce języka angielskiego, zaniedbując naukę ojczystego. Zaobserwowałam największe nasilenie niechęci do szkoły polskiej, a nawet rodzaju idiosynkrazji u dzieci 8-10-letnich, które najtrudniej dają sobie radę z nauką w dwóch językach, a nie posiadają ani chęci, ani dostatecznie wyrobionej ambicji, aby trudności te pokonywać. Zdarza się, że rodzice ulegając dzieciom, odbierają je ze szkoły polskiej lub pozwalają im opuszczać naukę, traktując to niekiedy, jak mi się przyznał jeden z ojców, jako „nagrode” za pomyślnie

Te wszystkie czynniki powodują, że trzeba być sceptycznym co do polskości dzieci nawet w wypadku gdy przeszły one przez szkołę sobotnią, mają rodziców dbających o ich polszczyznę, i utrzymują kontakt z polskimi rówieśnikami po opuszczeniu szkoły sobotniej.

Niemniej, sceptycyzm ten nie oznacza, że szkoła sobotnia jest niepotrzebna i mija się z celem; nie oznacza również, że pokolenie najmłodsze w pełni się wynaradawia.

W wypadku pewnego procentu dzieci warunki i wysiłki rodziców oraz polskiego otoczenia tak się układają, że dziecko nabywa i utrzymuje dobrą znajomość języka polskiego, oczywiście w formie uboższej niż by to miało miejsce w kraju rodzinnym, ale wystarczającej do mówienia, czytania a nawet pisania po polsku. Jak duży jest ten procent, trudno powiedzieć. Pewne jest jednak, że z biegiem lat, będzie on się zmniejszał, nawet przy rozrastaniu się szkół sobotnich.

Znajomość języka polskiego jest najważniejszym czynnikiem decydującym o polskości dziecka, ale czynnikiem nie wystarczającym. Język polski zaczyna być w Anglii traktowany przez wiele rodzin polskich jako drugi język, który wzbogaca umysłowość dziecka, a może być uzyskany bez specjalnego wysiłku. Jest to podejście słuszne i rodzice, którzy uważają naukę języka polskiego za stratę czasu, a nawet za coś szkodliwego, rozumują bardzo niesłusznie i przeciwko swym dzieciom. W takim jednak stosunku do ojczystego języka kryje się już założenie, że jest to język drugorzędny, pomocniczy, a tym samym, że polskość dziecka jest również sprawą drugorzędną, chociaż ważną.

Trudno jednak sprzeczać się z tak realistycznym podejściem do tej sprawy. Ktoś, kto chciałby wychowywać swoje dzieci, urodzone w Anglii, na pełnych, stuprocentowych Polaków, byłby może przykładem patrioty, ale i przykładem człowieka nieobliczalnego. Oczywiście, jest to nadal możliwe, ale raczej w wypadkach wyjątkowych. Ogólnym rezultatem musi być pokolenie pół-Anglików pół-Polaków, lub nawet Anglików pochodzenia polskiego, uczuciowo związanych z krajem pochodzenia. Większość rodziców w ten sposób zdaje się do tej sprawy podchodzić.

zdany egzamin w szkole angielskiej". Jadwiga Otwinowska, komunikat pt. „Środowisko kulturalno-językowe w szkole nauczania przedmiotów ojczystych na Willesden Green w Londynie”, Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, t. X., 1959-60.

Nawiasem warto dodać, że p. Janina Heydzianka-Pilatowa prowadzi w ramach PUNO, przy współpracy paru osób, badania nad językiem ojczystym dzieci emigrantów polskich w Londynie. Powyższy komunikat jest jedynie fragmentem tych badań.

Rodzice ci starają się w coraz częstszych wypadkach posłać dziecko do Polski, tak aby jego pojęcie o Polsce z abstrakcyjnego uczynić realnym i powiązać uczucia dziecka z krajem pochodzenia. Ale tylko nieliczni rodzice chcą dla swoich dzieci powrotu do Polski, a jeszcze mniej liczni, statusu uchodźcy. Zdarzają się oczywiście i tacy. Spotkaliśmy wysoko w hierarchii emigracyjnej postawionego działacza politycznego, który twierdził, że jego dzieci, z chwilą gdy dojdą pełnoletności, zrzekną się prawa do obywatelstwa angielskiego, przechodząc na status uchodźczy. Może się to zdarzyć, ale wydaje się to sprzeczne z poczuciem realiów.

Problem jest zresztą poważny; wiele rodziców obawia się wychowania dzieci na osoby o rozdwojonej jaźni. Obawa ta jest szczególnie silna wśród inteligencji, która często całkiem świadomie nie dba o język polski i poczucie polskości u swoich dzieci. Obawa ta jest istotna. Zdarzają się przykłady rozdwojenia i występujących na tym tle konfliktów w pokoleniu młodym, ale wydaje się, że pewien stopień rozdwojenia będzie istniał nawet u dzieci wychowanych w pełni na Anglików, i że może nawet lepiej jest wzamian za to dać dziecku znajomość drugiego języka i osadzić go konkretnie w dwóch światach, tak żeby w obu czuło się jak u siebie w domu. Nie trzeba dodawać, że osiągnięcie tego ideału nie jest łatwe.

Organizacje młodzieżowe

Organizacji młodzieżowych jest niewiele, są one poza tym bardzo słabe. Nie będziemy specjalnie zagłębiać się w ich historię, chociaż byłaby to rzecz interesująca z wielu punktów widzenia. Wystarczy powiedzieć, że z każdym rokiem maleje potrzeba takich organizacji: więź społeczna w młodym pokoleniu jest naturalnie proporcjonalnie mniejsza niż w starszym.

Cała W. Brytania pokryta jest siecią kółek tanecznych, kółek dramatycznych i klubów sportowych. Przy prawie każdym większym ośrodku mamy przynajmniej jedno takie koło, w wielu dwa lub wszystkie. Na ogół nie są to koła duże, liczą co najwyżej kilkunastu członków. Utrzymują ze sobą łączność jedynie sporadyczną, prowadząc żywot bardzo niestały: zamierają, odradzają się, rozpraszają. W życiu ich bierze udział głównie element robotniczy i pół-wykwalfikowany, w Londynie trochę studentów i absolwentów. Niezbyt żywotne są koła starszoharcerskie, członkostwo ich na całej Wyspie wnosi około 400 osób. Wraz z likwidacją hosteli zupełnie znikły Koła Młodych, kiedyś dość

szeroko rozpowszechnione. Ruch kół młodzieży katolickiej przechodzi także kryzys. Działa jedynie parę Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej, zorganizowanych przy bardziej dynamicznych parafiach, oraz „Juventus Christiana” w Londynie.

W ostatnich latach bardzo osłabło życie towarzyskie młodszego pokolenia. Jednym z wielu powodów jest rozproszenie środowisk, opartych o więzy koleżeństwa czy to z uwagi na wspólne studia, czy przebywanie w jednym obozie itp. Środowisko młodzieży przybyłej z Indii czy z Afryki znikło prawie zupełnie, podobnie znikło środowisko szkół junackich, Akowskie (choć w mniejszym stopniu), rozproszyło się środowisko wychowanków polskich gimnazjów w W. Brytanii, chociaż szczątki jego jeszcze istnieją. Na powstawanie nowych środowisk z paroma wyjątkami, właściwie, nie ma warunków.

W Londynie młodsze pokolenie żyje więc na ogół w małych zamkniętych grupkach, dobranych czy to na zasadzie przypadkowych znajomości, lub też jako pozostałości dawnych, większych środowisk. Wzorec londyński powtarza się regularnie w większości skupisk polskich na prowincji. Niektóre z nich zresztą posiadają środowisko młodzieżowe tak nieliczne, że prawie nieistniejące.

Młodzieżowych organizacji politycznych na Wyspie prawie że nie ma. Wyjątki, to *Central European Federal Youth Movement*, prowadzony przez J. Cydzika, ruch niezbyt liczny choć o charakterze międzynarodowym, i dawno już nie-młodzieżowy (obecnie porzucił w nazwie *Youth*); szczątkowe komórki „Wici” i wreszcie Brygadowe Koło Młodych „Pogoń”, ale i w tym wypadku przydomek „młodych” wprowadza już w błąd.

Można powiedzieć, że nie wypracowano żadnych form zorganizowania młodzieży robotniczej i w ogóle nie-inteligenckiej. Koła taneczne, teatryki, sport — to rozrywki, które w zamiarze społeczników, dzięki swej atrakcyjności, mają prowadzić do wciągnięcia części uczestników w prace społeczne i problemy polskiego życia danego skupiska. Przekonanie, że jest to najlepsza forma przyciągania młodzieży jest prawdopodobnie jedną z przyczyn dla których nie zrobiono próby objęcia jakąś jedną atrakcyjną i powszechną organizacją rozproszonej młodzieży robotniczej.

Warto tu wspomnieć o Stowarzyszeniu Byłych Wychowanków Szkół Polskich. Jeszcze parę lat temu Stowarzyszenie to było bardzo liczne; urządzone opłatki i zabawy zbierały wcale pokaźną liczbę osób, głównie byłych uczniów Bottisham i Lilford (Lilford zlikwidowano dopiero w 1956 roku). Obecnie do-

roczne uroczystości zbierają już dużo mniej młodych, a na walnych zebraniach frekwencja waha się między 20-30 osób, licząc już w to paru byłych nauczycieli i dyrektora gimnazjum w Bottis-ham, Tadeusza Bornholtza. Stowarzyszenie jest typowym przykładem rozproszonego środowiska, utrzymującego jeszcze łączność w szczątkowej formie.

Organizacje studenckie i absolwenckie były kiedyś w W. Brytanii najbardziej żywotne i dynamiczne. Pierwsza organizacja studencka powstała jeszcze w czasie wojny, przekształcając się następnie w Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Oprócz życia towarzyskiego, kontaktów międzynarodowych, i ciągłego ścierania się wpływów politycznych różnych partii, które dążyły do opanowania organizacji, główną atrakcją Zrzeszenia były jego wpływy, w formie głosu doradczego, przy Komitecie Oświaty. Dla studentów spoza W. Brytanii Zrzeszenie miało znaczenie jeszcze większe: poprzez Fundusz Pomocy i na szereg innych sposobów udzielało ono stypendiów i zapomóg, otaczając szczególną opieką studentów w Niemczech i w Szwecji, ale również we Francji, Szwajcarii, Belgii, Hiszpanii, Irlandii. Centrala Zrzeszenia, Zarząd główny, Komisja Rewizyjna i Fundusz Pomocy znajdowały się w Londynie. W Londynie też odbywały się rok rocznie walne zjazdy delegatów kół oddziałów, na które przyjeżdżało do kilkudziesięciu osób z terenu europejskiego i z W. Brytanii. Zjazdy te były wydarzeniami nie tylko w zakresie życia studenckiego, ale i na szerszą skalę, przede wszystkim polityczną. Prezesura i członkostwo Zarządu Głównego dawały duże pole do działalności i w pierwszych latach kandydatów na te funkcje nigdy nie brakło. Likwidacja Komitetu Oświaty, zmniejszające się liczby studentów, nieudolność i polityczne rozgrywki, brak funduszy — wszystko to spowodowało, że członkostwo Zrzeszenia zaczęło się wybitnie kurczyć. Zwinięto pomoc dla studentów poza W. Brytanią (z wyjątkiem sporadycznych wypadków), zaprzestano szeregu innych akcji.

Od roku mniej więcej 1955 okazało się, że Zrzeszenie oderwane jest właściwie od studentów nawet na terenie wielkobrytyjskim. Jednym z powodów było starzenie się góry organizacji: wyrobiła się grupa „zawodowych” działaczy młodzieżowych, wchodzących już w wiek średni, nie mających kontaktu z właściwym środowiskiem studenckim. Istniejące poza Londynem koła powoli odpadły lub znikły. Przez pewien czas działało jeszcze koło w Londynie, prowadzące Klub Akademicki, ale i ono zostało ostatnio zlikwidowane. Zresztą właśnie Koło Londyńskie stało się domeną czysto absolwencką.

Dowodem oderwania się organizacji od środowisk studenckich był fakt powstania na paru uniwersytetach tzw. *Polish Societies*, które początkowo formalnie nie należały do Zrzeszenia. Ciekawą działalność kulturalną prowadziło np. Stowarzyszenie Polskie na Uniwersytecie Oxfordzkim. Przyjęło ono zupełnie różną od dotychczasowych formę pracy, dopuszczając do członkostwa również studentów angielskich i innych narodowości. Stowarzyszenie Oxfordzkie podupadło wraz z ukończeniem studiów pewnej aktywniejszej grupki, ale w międzyczasie rozwinęło się Stowarzyszenie Polskie na Uniwersytecie Londyńskim, na którego zebraniach, w okresie 1956-57, bywało do 100 osób. Stowarzyszenie przyjmuje na członków jedynie polskich studentów, ale obok działalności wewnętrznej: towarzyskiej, odczytowej, prowadzi działalność na zewnątrz, popularyzującą tematykę polską: urządzane są wystawy, dyskusje, odczyty i doroczny *dinner*, na który zapraszani są goście angielscy, profesorowie, przedstawiciele studentów angielskich i polscy wykładowcy. Przewodniczącym jest wybijający się młody naukowiec, Witold Busza*).

Okres rozkwitu tej organizacji także już minął. Na walnym zebraniu SPUL'u w 1959 roku było obecnych około 25 osób, wieczory taneczne gromadzą 60-70 osób. Spróbowano założyć komórki Stowarzyszenia na wszystkich uczelniach Uniwersytetu Londyńskiego, gdzie studiowali studenci polscy, ale nie dało to pożądaných rezultatów. Nikłe rezultaty dała również próba zorganizowania studentów polskich na kolegiach poza-universyteckich w Londynie.

Dzisiejsza organizacja studentów polskich w Londynie jest bardzo luźna, liczebnie słaba, ale nie bez inicjatywy. Drugim ośrodkiem gdzie studenci polscy są zorganizowani jest Manchester: istnieją tam dwa Stowarzyszenia, jedno przyjmujące Anglików, drugie czysto polskie.

Stowarzyszenie londyńskie ma najwięcej szans przetrwania, jako komórka odrębna, zakresem swojego działania nie wychodząca specjalnie poza własny teren uniwersytecki. W ramach różnych stowarzyszeń uniwersyteckich, jak *Photographic Society* czy *Music Society*, jest to po prostu jeszcze jedno stowarzyszenie łączące osoby zainteresowane problemami polskimi. Nadzieje na odrodzenie się dynamizmu środowiska studenckiego odkładane są do czasu gdy zaczną przychodzić na uniwersytety roczniki powojenne. Można przypuszczać, że ilość studentów na uniwer-

*) W marcu 1961 odbyły się nowe wybory, przewodniczącym został E. Lipiński.

sytecie londyńskim, utrzymująca się obecnie około cyfry 250, zwiększy się w przyszłości.

Kryzys Zrzeszenia Studentów i Absolwentów spowodował, że zaczęto rozglądać się za nowymi formami pracy. Zaznaczyła się chęć usamodzielnienia terenu brytyjskiego od innych terenów, ze względu na przeciążenie pracą i częściowo ze względu na różnice poglądowe. Byłoby to jedynie odbiciem sytuacji już istniejącej, gdyż zarząd główny organizacji z siedzibą w Londynie nie ma najmniejszego wpływu na życie oddziałów w innych krajach.

Z chęci uaktywnienia tak członu studenckiego jak i absolwenckiego nastąpiło rozłączenie obu członów: obok Związku Studentów Polskich w W. Brytanii powołano Związek Absolwentów, pod jedną firmą ZSAPU. Ale i te formy okazały się sztuczne. Związek Studentów został wkrótce rozwiązany, Związek Absolwentów istnieje, ale jedynie w załączku. Na ostatnim walnym zebraniu było 8 osób, o jedną za mało aby uzyskać *quorum* (Związek liczy 20 członków)⁸.

Na przestrzeni ostatnich paru lat zaznaczyły się cztery główne nurty działalności ZSAPU i jego brytyjskich członów. Na pierwszym miejscu stała próba odzyskania kontaktu z terenem, przez organizowanie dorocznych zjazdów w Fawley Court. Zjazdy te mają z każdym rokiem mniejszą frekwencję, ale one właśnie mogą stać się — przy dojeździe roczników powojennych na studia — załączkiem odrodzenia. Drugą akcją jest wydawanie miesięcznika „Merkuriusz Polski — Życie Akademickie”. Trzecią jest pomoc studentom z kraju i utrzymywanie kontaktów. Mamy wreszcie którąś już z rzędu próbę kupna Domu Młodzieży.

W historii projektu kupna Domu Młodzieży charakterystyczne są dwie rzeczy: nieudane próby powołania reprezentacyjnego Komitetu Koordynacyjnego, który obejmowałby przedstawicieli wszystkich organizacji młodzieżowych i godził się na jednolitą akcję oraz trudności z wydostaniem od SPK sumy kilku tysięcy funtów, którą organizacja ta przejęła swego czasu pod warunkiem przeznaczenia jej na ośrodek młodzieżowy. W ostatnich latach udało się wreszcie powołać reprezentacyjny Komitet Koordynacyjny oraz wyjednać zapewnienie od SPK, że z chwilą gdy znajdzie się obiekt, pieniądze, zresztą już uszczuplone pożyczką na Fawley Court, zostaną przekazane przedstawicielom zorganizowanej młodzieży. Komitet Koordynacyjny wyłonił Ko-

8. Na walnym zjeździe ZSAPU w styczniu 1961, nastąpiło dalsze rozdrożkowanie: częściowo na skutek różnicy poglądów wystąpił z ZSAPU-SPUL.

komitet Kupna Domu Młodzieży, który następnie wyłonił Komitety: Zbiórkowy i Honorowy, pod protektoratem gen. Andersa. Planowana jest szeroka akcja zbiórkowa. Jakie są szanse doprowadzenia akcji do skutku? Niezbyt duże; mimo pełnych sympatii deklaracji, organizacje społeczne właściwie nie kwapią się z realną pomocą: z jednej strony zrozumiały one zdaje się wreszcie, że brak ośrodka młodzieżowego w Londynie przyspiesza proces odchodzenia od polskości, z drugiej strony jednak powstanie takiego ośrodka odbierałoby im szanse zdobywania nawet w obecnym minimalnym procencie młodego narybku. Co zaś do organizacji studencko-absolwenckiej, widzieliśmy, jak jest słaba, jest więc wątpliwe czy potrafi zrealizować przedsięwzięcie dosyć poważne, jakim jest kupno, urządzenie i prowadzenie takiego domu i ośrodka. Organizacja nie ma poza tym prawie żadnych własnych środków — przez ostatnich parę lat walne zjazdy i przyjazd delegatów spoza W. Brytanii możliwe były jedynie dzięki finansowej pomocy z zewnątrz.

Akcja pomocy studentom z kraju i kontaktów z nimi jest jedną z bardziej pożytecznych. Polega ona na wysyłaniu zaproszeń, szukaniu mieszkań dla przyjezdnych, częściowo opłacania ich pobytu, itp. Powstał również Fundusz Stypendialny, oparty o wpłaty byłych stypendystów Komitetu Oświaty. Zebrano paręset funtów. W ramach tej akcji warto zanotować zorganizowanie pod egidą Stowarzyszenia Polskiego na Uniwersytecie Londyńskim koncertu Małcużyńskiego na rzecz ufundowania dwóch stypendiów dla studentów krajowych na tym uniwersytecie.

Wydawanie „Merkurjusza Polskiego — Życia Akademickiego” jest ważną funkcją Zrzeszenia. „Kontynenty”, które rozwinęły się z pisma studencko-absolwenckiego (dawny „Mercuriusz”), mają już dziś charakter pisma literacko-kulturalnego i starają się dotrzeć nie tylko do odbiorcy w młodym pokoleniu, ale także w średnim i starszym. Istniejące do niedawna „Kontury”, jedyna próba dotarcia na większą skalę — dzięki nakładowi „Dziennika” — do pokolenia dwudziestolatków, tak studentów jak i robotników, nie udało się (zresztą oddźwięk w tym pokoleniu miały „Kontury” raczej mały, np. ankieta pt. „Czym jesteśmy” zebrała jedynie kilkanaście odpowiedzi). „Merkuriusz Polski” jest więc w tej chwili właściwie jedynym pismem młodzieżowym o ambicjach docierania przede wszystkim do studentów i młodej inteligencji. Ambicje te, mimo poważnego wysiłku redakcji i administracji, nie dają spodziewanych rezultatów. Pismo ukazuje się w nakładzie 800-1.000 egzemplarzy miesięcznie (objętość 16-20 stron), prenumeratorów ma jednak dużo mniej.

Czytane jest głównie przez studentów londyńskich i grupy studentów i absolwentów w krajach gdzie istnieją oddziały Zrzeszenia, oraz przez pewną liczbę osób z pokolenia średniego i starszego. Zresztą, rzecz charakterystyczna, główni współpracownicy pisma, rekrutują się również raczej z pokolenia średniego niż studenckiego. Dowodzi to jak coraz trudniej jest znaleźć wśród młodzieży polskiej nie tyle już talenty pisarskie, bo te są wielką rzadkością, co umiejętność poprawnego władania polskim językiem. Trudno jest powiedzieć, czy pismo zdobędzie sobie dostateczną bazę czytelniczą, pozwalającą na samowystarczalność finansową. Niemniej utrzymanie pisma jest o tyle rzeczą ważną, że byłoby wielką szkodą gdyby kapitał jaki przedstawia młoda inteligencja polska w W. Brytani miał być całkowicie stracony dla kultury polskiej.

„Merkuriusz Polski” posiada regularny dodatek artystyczny, dział publicystyki, dział informacji z życia studenckiego oraz dział — bardzo na ogół słabych — wierszy. W dziale publicystycznym prowadzony jest stały komentarz polityczny o sytuacji międzynarodowej, często poruszana jest tematyka krajowa (młodzieżowa i gospodarcza). Na ogół jednak dobór materiałów jest przypadkowy, uderza zupełny brak prozy literackiej. Redaktorem pisma jest od dwóch lat dr Leszek Klimek, z wykształcenia chemik i ekonomista, należący już bezsprzecznie do średniego pokolenia*).

*) (Przyp. późniejszy):

Ostatnio parę energiczniejszych jednostek (A. Stypulkowski, K. Brzeski, J. Kulczycki) nawiązało, pod firmą Zrzeszenia Studentów i Absolwentów, kontakty z brytyjskimi organizacjami studenckimi, w rezultacie czego w kwietniu 1961 zorganizowany został w Fawley Court ciekawy *weekend* odczytowy dla studentów angielskich wybierających się w odwiedziny do Polski. Na *weekend*, urządzony trochę w pośpiechu, zgłosiło się ok. 30 osób. Odczyty objęły przede wszystkim zagadnienia krajowe. Próba warta kontynuowania.

KONKLUZJA

I.

Specyfiką Polonii Brytyjskiej jest jej geneza. Historia nie zna chyba drugiego takiego wypadku jak emigracja polska w W. Brytanii. Po raz pierwszy w dziejach znalazła się na obczyźnie wielotysięczna grupa uchodźców, której skład społeczny odpowiadał przekrojowi społeczeństwa kraju pochodzenia, wraz z głównymi konstytucyjnymi organami władzy oraz wieloma elementami struktury państwowej: prezydent, rząd, wódz naczelny i cała hierarchia wojskowa, instytucje naukowe i uczelnie, komórki partii politycznych, wydawnictwa i prasa, duchowieństwo, niektóre organizacje z władzami (jak np. ZHP), zrzeszenia zawodowe, korporacje, i inne. Koncepcja państwa na wygnaniu miała podłoże jak najbardziej realne i w jej też ramach uzupełniano przez pewien jeszcze okres brakujące elementy struktury państwowej: powołano sądy obywatelskie, powstały *quasi*-parlamenty i Skarb Narodowy, co więcej, spróbowano nawet przeprowadzić wybory. Całość podbudowano teorią państwa na wygnaniu (obalającą jakoby tezę o terytorium jako o nieodzownym elemencie państwowości) opartego o wydestylowany preparat narodu. Wyznawcy ortodoksyjnej definicji państwa rozglądali się zresztą i za terytorium, upatrując miejsce na Polskę w Afryce, a nawet dalej. Założeniem jednak stała się tymczasowość: pobyt w Anglii rozumiano jako „przystanek w marszu do Polski”.

Elementy struktury państwowej nie mogły zaspokoić potrzeb życia całej społeczności polskiej w W. Brytanii. Zaistniała potrzeba organizacji społecznych. Cechą specyficzną genezy organizacji społecznych na emigracji było ich powoływanie nie zaś ich wzrost naturalny. Powstawały one nie jako wynik procesów społecznych, ale jako wynik koncepcji, kierujących się analizą

potrzeb i względami spistości, ale mających przede wszystkim na uwadze cele, zakreślone ramami ogólnej koncepcji politycznej: państwa na wygnaniu. Centrale powstawały przed komórkami lokalnymi, w momencie demobilizacji masy wojskowej i napływu z zewnątrz rodzin i robotników, (wołontariuszy), w momencie ponadto ostrej agitacji i akcji politycznej (za powrotem do kraju i przeciw itp.). Do organizacji powstających w tym czasie doszły z biegiem lat dalsze, powstające z kolei na zasadzie mechanicznego powoływania instytucji na miejsce likwidowanych instytucji w kraju, lub jako „wolne” odpowiedniki przejmowanych przez władze komunistyczne. Niektóre organizacje i instytucje powstawały również ze względów wewnętrzno-politycznych emigracyjnych, jako społeczne czy oświatowe ramię partii lub ośrodka politycznego. W przeciągu kilku lat nagromadziło się w ten sposób kilkadziesiąt organizacji różnego rodzaju doprowadzając w rezultacie, drogą mechanicznego często mnożenia ogniw, do przerostu organizacyjnego, jaki opisywaliśmy niejednokrotnie. Sieć domów jaką SPK pokryło W. Brytanię była również w niektórych wypadkach operacją, opartą o przesłanki gospodarcze¹.

Powstała z biegiem lat struktura organizacyjna o pięciorakim charakterze: administracyjno-państwowym (np. komitety Skarbu Narodowego), politycznym — będącym w pewnej mierze częścią układu pierwszego — poprzez partie polityczne, społecznym, zawodowym i religijnym (Polska Misja Katolicka, parafie).

Ta struktura organizacyjna istnieje i dzisiaj, ale nastąpiło osłabienie działalności w jednych dziedzinach, jej wzrost w innych, przy równoczesnej zmianie wzajemnego stosunku i zacieraniu się niektórych granic. Osłabieniu uległy przede wszystkim: dziedzina administracyjno-państwowa, i to nie tylko przez powstanie dwóch struktur tego typu, ale i w sensie absolutnym; dziedzina polityczna, poprzez atomizację partii politycznych

1. Przy powstawaniu struktury organizacyjnej Polonii Brytyjskiej ogromną rolę odegrał czynnik o charakterze złożonym, bo i geograficznym społecznym: hostele. Zawierał on w sobie element tymczasowości, przejściowości polskiego osiedlenia, i jako taki był ważnym czynnikiem psychicznym. Równocześnie zatłwiał mechanicznie sprawę niezwykle istotną: pozwalał na tworzenie się małych społeczności polskich w oderwaniu od społeczeństwa miejscowego, usuwając tym samym tak trud, jak i całą maszynię powstawania jednolitych skupisk w warunkach rozproszenia w mieście: ośrodków otwartych. Na hostele też przerzuciła się cała sieć organizacyjna typu i społecznego i quasi — administracyjnego, w formie kół organizacji społecznych, komitetów hostelowych, z biegiem czasu — delegatów skarbu narodowego. Zhierarchizowanie społeczności hostelowej najczęściej pozostawało wojskowe, a dopiero później społeczne.

oraz obumieranie ogniw sieci organizacyjnej, wreszcie dziedzina zawodowa, w której nastąpiło prawie całkowite zamarcie organizacji i kół łączących ludzi na zasadzie nie zawodu praktykowanego, ale zawodu wyniesionego z Polski, inercja organizacji takich jak stowarzyszenia lekarzy czy techników (tych ostatnich w mniejszym stopniu i okresami), rozbitcie ZRRP, i jedynie w nielicznych wypadkach nieznaczny rozrost, jak Związku Kupców i Przemysłowców, czy powstanie Związku Właścicieli Pralni (o lokalnym zresztą znaczeniu). Do organizacji o charakterze zawodowym wypada także zaliczyć kofa oddziałowe — tutaj również obserwujemy powolne i naturalne kurczenie się stanu posiadania.

W dziedzinie społecznej struktura organizacyjna również uległa osłabieniu, szczególnie w wypadku organizacji centralnych, ale jednocześnie obserwujemy zjawisko narastania nowych form. Mamy na myśli głównie (choć nie tylko) — parafię która obok zaspakajania potrzeb religijnych, coraz bardziej zaczyna nabierać charakteru społecznego.

Można by w wielkim skrócie powiedzieć, że zmiany opisane przez nas powyżej cechuje zanikanie struktury pionowej na rzecz struktury poziomej. Proces ten wyraża się tendencjami do usamodzielniania się ogniw organizacji centralnych, powstawaniem ośrodków niezależnych (o charakterze gmin) i ofensywą parafii. Nie jest to proces zakończony, a widzieliśmy, na jakie napotyka opory. Na razie rezultatem jego jest struktura mieszana: część ośrodków pozostaje zorganizowana wokół filii organizacji centralnych, część skupiona jest głównie wokół parafii, a część przyjmuje za podstawę organizacyjną koncepcję gminy. Innym aspektem tego samego problemu jest oddalanie się prowincji od Londynu i na pewno nie malejący antagonizm komórek lokalnych do własnej centrali. Nie oznacza to całkowitej samowystarczalności terenu. Paradoksalnie, im bardziej prymitywne środowisko, tym bardziej samodzielne. Z trzech podstawowych potrzeb społecznych, dwie — klub i parafia — mogą być zaspokojone bez pomocy centrali (oczywiście, w niektórych wypadkach ośrodki lokalne korzystają z pożyczki, podobnie bez przydziału proboszcza nie byłoby parafii); trzecia — szkoła sobotnia — jedynie z trudem może się obyć bez takiej pomocy. Dopiero ośrodki o bardziej rozwiniętych potrzebach kulturalnych doceniają wartość Londynu.

Na ogół jednak w opinii działaczy terenowych i szerokiej opinii Londyn daje prowincji mniej niż z niej czerpie. W wyobraźni niektórych utrwalił się obraz centrali jako kapitalisty,

żyjącego z procentów od kapitału. Jeżeli ten kapitalista inwestuje na prowincji, kieruje się jedynie chęcią zysku. Jest to jeszcze jeden dowód jak rozwija się patriotyzm lokalny, a zanika sentyment i poczucie lojalności wobec stolicy „państwa na wygnaniu”². Przyczyny tych zmian są różne. Szczegółowa ich analiza wchodziłaby już za bardzo w zakres studium naukowego; zresztą wiele z nich już naświetlaliśmy. Natomiast ważne jest dla nas zobaczenie pewnej kategorii tych przyczyn w odniesieniu do sprawy społecznej spoiwości.

Można spojrzeć na historię emigracji polskiej w W. Brytanii jako na proces erozji jej społecznej spoiwości. Pierwszą fazą był zanik poczucia przynależności do „państwa na wygnaniu”, objawiający się nawet nie tyle w przyjmowaniu obywatelstwa brytyjskiego, co w apatii wobec spraw politycznych. Nie należy przeceniać roli, jaką odegrał tu tzw. kryzys zaufania do kierownictwa politycznego na tle znanych rozłamów; w racjonalizowaniu własnej apatii niewątpliwie robiono z niego częsty użytek (zresztą kryzys ten był częścią kryzysu szerszego i głębszego — kryzysu polskości). Rolę pierwszorzędną odegrał sam proces osiedlenia. Możliwości sprawowania władzy na emigracji i nad emigracją są odwrotnie proporcjonalne do stopnia zakorzenienia grupy polskiej w społeczeństwie tubylczym. Zanik poczucia przynależności do „państwa na wygnaniu” nie jest równoznaczny z zanikiem poczucia przynależności do emigracji politycznej (czy do narodu polskiego). Te ostatnie pojęcia są oczywiście pojęciami szerszymi. Jednakże sam proces osiedlenia działał tu i działa w podobny sposób, osłabiając intensywność świadomości politycznej (a u większości świadomość ta nie była nigdy wysoce rozwinięta), i rozbijając tym samym więź społeczną. Jest to tym bardziej niebezpieczne, że wszystkie centralne organizacje społeczne utożsamiały się z emigracją polityczną. Szczególnie silnym katalizatorem tych przemian stały się wypadki polityczne w Kraju, od Poznania i Października począwszy: wypadki te i wyniki z nich możliwości szerokich kontaktów z Krajem, konfrontacja obrazu umęczonego narodu, urobionego przez organy opinii emigracyjnej z rzeczywistością, były ciosem dla emigracji politycznej, rozprzegając wspólnotę ideałów i podważając wiarę w prawo emigracji do przemawiania w imieniu narodu. Uderzenie trafiło

2. Zresztą pretensje do Londynu są bardzo różnorodne: o rozbicie polityczne, o stosunek do kraju, o brak zainteresowania prowincją, lub bardziej szczegółowe i skonkretyzowane: do „Dziennika Polskiego”, za to że nie drukuje wszystkich listów, i za to, że utrzymuje „Tylon”, którego na prowincji „nikt” nie rozumie, itd., itd.

w założenia, które stanowiły właściwą rację bytu emigracji politycznej.

Bez wątplenia istniało zjawisko patriotyzmu ogólno-emigracyjnego. Zakorzenie powodowało narastanie więzów lojalności wobec kraju osiedlenia i sprzyjało wytwarzaniu się patriotyzmu lokalnego (w sensie poczucia lokalnej wspólnoty społeczności polskiej). Wypadki w Kraju otworzyły możliwości wyładowania się uczuć nacjonalistycznych, rozszerzyły poczucie wspólnoty emigracyjnej wzmacniając poczucie wspólnoty narodowej, zakotwicząc sentymenty polskości w realiach krajowych (współczesnych). Patriotyzm krajowy, podobnie jak narost więzów lojalności wobec społeczeństwa tubylczego, stał się czynnikiem rozbijającym spójność ogólno-emigracyjną, nie kłócąc się jednak z patriotyzmem lokalnym. Tam gdzie ustępuje patriotyzm emigracyjny, spotykają się na ogół zgodnie, na płaszczyźnie polonijnej, patriotyzm wobec kraju pochodzenia i patriotyzm lokalny.

Ilustracją postawy defensywnej, w jakiej znajduje się grupa stanowiąca jądro emigracji politycznej, są ciągle ponawiane próby re-definicji tzw. płaszczyzny niepodległościowej, poza nawias której stawia się coraz to nowe grupy ludzi. Kiedyś byli to jałtańczycy, później ludzie przyjmujący obce obywatelstwo, następnie ludzie nie uchylający się od spotkań z przedstawicielami reżymu, pisarze drukujący w kraju, czy ostatnio osoby wyjeżdżające do Polski. Te re-definicje miały zawsze charakter negatywny: określały nową kategorię dezertersów, jednocześnie nie wytrzymując próby życia. Tak więc każda nowa próba re-definicji płaszczyzny niepodległościowej, zważając początkowo, prowadziła do coraz większego jej rozładnienia. Ponieważ jednak ta swoista liberalizacja szła zawsze o krok za opinią publiczną, ludzie raz postawieni za nawias najczęściej nie czuli potrzeby powrotu³.

W związku z tym procesem powstaje coraz większy obszar jakby *no-mans-landu*. Na coraz to szerszych marginesach obozu niepodległościowego są ludzie, którzy zachowując świadomość polityczną, wybrali osobisty *disengagement*. Zmieniły się nie tyle poglądy (które nadal pozostają anty-komunistyczne i anty-rosyjskie) co postawa psychiczna.

Kto wie, czy nie ostatnim sztańcem jest nowa re-definicja emigracji politycznej jako zaprzeczenia Polonii. Paradoksalnie,

3. Najważniejszą platformą, na której rozgrywają się te batalie, są łamy „Dziennika Polskiego”, który licząc się z opinią publiczną a jednocześnie będąc organem obozu niepodległościowego, jest typowym przykładem tej dialektyki. Każde jego ustępstwo pod naporem opinii publicznej pociąga za sobą potrzebę nowej re-definicji.

właśnie teza o wzajemnym wykluczaniu się tych dwóch pojęć, pomaga we wzroście świadomości polonijnej. Można bowiem mówić o procesie upolonijniania społeczności polskiej w W. Brytanii jedynie w znaczeniu rezygnacji coraz to szerszych rzesz z ambicji reprezentowania narodu. Nie są to natomiast, i przez dłuższy jeszcze czas nie będą, konwencjonalne formacje polonijne, podobne do amerykańskich czy francuskich. Polityczna i wojskowa geneza emigracji rzucać będzie jeszcze długo na nie swój cień.

Kryterium upolitycznienia nie może być jedynym kryterium według którego rozróżnia się Polonię od emigracji politycznej. Polonia amerykańska przed drugą wojną światową miała całkiem wyraźne oblicze polityczne, anty-sanacyjne, a przecież nie była emigracją polityczną. Podobnie Polonia francuska, gdzie „Narodowiec” nie tylko kształtował ale i wyrażał nastroje polityczne, nie była nigdy politycznie neutralna w stosunku do spraw polskich. Tym bardziej w naszych czasach, w momencie ideologicznego konfliktu wschód-zachód, w którym wszystkie Polonie biorą jakiś udział, stopień upolitycznienia może się zmieniać z dnia na dzień, zależnie od fluktuacji zimnej wojny, wypadków w kraju, i stopnia poczucia zagrożenia. Z tym, że upolitycznienie to nie koniecznie będzie się odbywało w ramach spraw czysto polskich — im głębsze zakorzenienie w życiu społeczności tubylczej, tym mniejszy monopol sprawy polskiej na zainteresowania polityczne. Jest jednak zwykłym truizmem, że każda „odwilż” oddala rzesze emigracyjne od kierownictwa, a każdy wzrost napięcia przybliża je do niego.

II.

W dużo większym stopniu niż kryterium polityczne decyduje o charakterze polonijnym jakiejś społeczności kryterium kulturalne. Przemiany w płaszczyźnie kulturalnej są trwalsze i bardziej zasadnicze. Pierwszą fazę charakteryzuje przejście od postawy twórczej wobec kultury narodowej do postawy czysto zachowawczej. Chodzi nam nie tyle o twórców dóbr kulturalnych, jakkolwiek i ich ten proces dotyka, ale o konsumentów — o stosunek twórczy do kultury pojętej możliwie najszerzej. Kultura narodowa jest tym fragmentem krajobrazu, który daje się przenieść na obczyznę i zachować w postaci niezmienionej.

Zamrożenie następuje na tym szczeblu, na którym zerwane zostały związki organiczne z krajem pochodzenia. Wytwarza się postawa nostalgiczna, obronna. W tej sytuacji coraz mniej jest jednostek posiadających warunki rozwijania kultury narodowej. Obserwujemy to wśród Polaków wielko-brytyjskich: kurczeniu się środowisk twórczych nie towarzyszy powstawanie nowych (Jedyny wyjątek jest z rodzaju potwierdzających regułę).

Nie znaczy to, że Polonia w ogóle nie wzbogaca kultury narodowej. Wzbogaca ją poprzez sam fakt tworzenia związków z kulturą odmienną. Poza tym trudno byłoby zaprzeczać, że postać i twórczość np. Conrada stanowi wzbogacenie kultury polskiej, mimo, że pisał w obcym języku.

Niemniej, istotą kultury narodowej jest język. Można spojrzeć na przemiany polonijne jako na funkcję kostnienia języka. Język emigracji nie nadaża za rozwojem języka w kraju; tworzą się tendencje purystyczne, niechętnie zmianom w polszczyźnie krajowej; kurczy się zasób słów; stopniowo w polszczyznę emigracyjną wdzierają się elementy obce, makaronizujące słownik i mające wpływ na składnię; rozszerza się coraz bardziej sfera pojęć i terminów, w której słownictwo polskie nie wystarcza i wypierane jest przez język kraju osiedlenia.

Polszczyzna młodszych pokoleń jest oczywiście proporcjonalnie uboższa. W wypadku roczników, które wczesne dzieciństwo spędziły w Polsce, jest to polszczyzna późnego stadium opisanego powyżej procesu, z tym, że proces ten przebiega w tempie zwolnionym wśród absolwentów polskich szkół średnich w Anglii. Do pokolenia najmłodszego z powodzeniem zastosować już można termin ukuty przez Mieroszewskiego: „polszczyzna domowa”, uzupełniając go terminem „polszczyzna szkół sobotnich”. Polszczyzna domowa jest już polszczyzną bardzo prymitywną, prawie wyłącznie mówioną, o wąskim zakresie pojęciowym, głównie z dziedziny życia rodzinnego, spraw domowych i dzieciństwa, o raczej infantylnym diapazonie i uczuciowym i intelektualnym. Szkoła sobotnia uzupełnia ją w małym stopniu słowem drukowanym i pisanym, z zakresu patriotyczno-sentymentalnego i katechizmowo-religijnego, zbyt rzadko niestety wychodząc poza te dwa kręgi.

Wartość tej polszczyzny jako instrumentu wyrażania uczuć i formułowania myśli oraz porozumiewania się na pewnym poziomie jest bardzo niska. W rezultacie daje to zjawisko jakby dwu-poziomowości umysłowej, występującej już dziś u młodej inteligencji. Spotyka się młodych Polaków którzy po polsku potrafią mówić tylko o rzeczach prostych, chociaż przechodząc na język angielski, wykazują duży zasób słów, szczególnie w ich

specjalności. Nie posiadają oni żadnej dyscypliny myślenia we własnym języku, a już zupełnie nie potrafią formułować myśli w formie pisanej.

Stosując kryterium kulturalne, widzimy znowu jasno, że społeczność polska w W. Brytanii ma charakter mieszany: są w niej środowiska i warstwy nastawione twórczo do kultury polskiej, a nawet wzbogacające ją w polskim języku; życie kulturalne największego z nich, środowiska londyńskiego, jest nadal bogate. Ale obok tego są warstwy czy to już na pograniczu polonijności, czy też całkowicie polonijne, których wartość dla kultury polskiej może być również bardzo duża, ale tylko w formie pośredniej. Ten podział jak już powiedzieliśmy, zależny jest przede wszystkim od stopnia znajomości języka polskiego.

Jakkolwiek można by oceniać polityczne skutki krajowego Października na emigracji, jego skutki kulturalne są bez zastrzeżeń pozytywne. Skorzystały z niego tak środowiska twórcze, jak i szerokie rzesze odbiorców. Fale przyjazdów z Polski i rosnące liczby wyjazdów na wakacje do kraju nie tylko ożywiły emigracyjną polszczyznę, ale zahamowały proces wynaradawiania się językowego pewnej części młodszego i najmłodszego pokolenia (rola ciotek i babek sprowadzonych z kraju jest może niedoceniana). O tym, jak wielki wpływ na psychikę dziecka mają wakacje w kraju, nie trzeba specjalnie pisać.

Środowiska twórcze odnowiły kontakt z głównym nurtem kultury polskiej, co na ogół było bodźcem do wzmożenia pracy. O ile nie podniósł się poziom najlepszych osiągnięć literatury emigracyjnej, to objętościowo produkcja literacka wzrosła; powiększył się zasięg czytelników, a uznanie, jakim cieszy się w kraju szereg pisarzy emigracyjnych dodało ciężaru gatunkowego całej twórczości emigracyjnej. W innych dziedzinach, czy to w plastyce czy w historiografii, nastąpiło również pewne ożywienie. Trzeba by większej perspektywy, aby ocenić czy zysk był absolutny, czy też i w tym wypadku Październik zahamował jedynie naturalny proces kurczenia się zasobów twórczych.

Efekt w innych dziedzinach był o wiele większy. Jeżeli masowy napływ prasy i książek krajowych odebrał pewną ilość czytelników wydawnictwom emigracyjnym, w ostatecznym rozrachunku zysk był bezwzględny, gdyż poszerzył czytelnictwo przede wszystkim wśród pokolenia najmłodszego (masowy napływ książek dla dzieci), a w wielu wypadkach spowodował powrót do książek i prasy polskiej w pokoleniu młodym i średnim. Szerzej jeszcze niż książka i prasa dotarł do ogółu emigracyjnego film polski. Przyjazdy zespołów teatralnych, tanecznych, poszczególnych artystów, orkiestr, długa seria wieczorów

literackich z pisarzami krajowymi w Londynie, i osobisty kontakt z życiem kulturalnym kraju dzięki wyjazdom do Polski — wszystko to stanowiło bardzo poważny zastrzyk wzmacniający dla kultury polskiej na emigracji. Uogólniając, można powiedzieć, że Październik i ostatnie lata zahamowały na całej linii procesy polonijne w płaszczyźnie kulturalnej. Cena polskości poszła w górę; pozostał kapitał, który będzie procentował jeszcze przez czas dłuższy (szczególnie, o ile podobne formy kontaktów będą się rozwijały nadal).

III.

Jak wspomnieliśmy już na wstępie, społeczność polska, która znalazła się po wojnie na terenie W. Brytanii przedstawiała cały przekrój społeczny przedwojennej Polski, chociaż proporcje pomiędzy poszczególnymi warstwami były zachwiane. Przeważał element chłopski i inteligencki, grupy — mieszczańska i robotnicza, reprezentowane były bardzo słabo. (Grupa robotnicza i rzemieślnicza wzrosła nieco później dzięki napływowi „wolonariuszy europejskich”). Tę początkową próżnię wypełniać zaczęły konieczności życiowe kierujące Polaków do zawodów robotniczych, jako jedynych szeroko otwartych możliwości zarobkowania. W przeciągu paru lat społeczność polska w W. Brytanii stała się społecznością robotniczą, zachowując jednakże przez dłuższy czas dawną świadomość klasową. Zamiast rzeczywistej klasy robotniczej otrzymaliśmy, z jednej strony, rodzaj chłopo-robotników (analogia jest prawie ścisła w wypadku mieszkańców hosteli pochodzenia chłopskiego, gdzie np. w rodzinie często jedna osoba pracowała na roli, a druga w fabryce w pobliskim mieście), a z drugiej, zdeklasowaną inteligencję.

Przedłużający się pobyt na Wyspie upodabnia coraz bardziej przekrój społeczny emigracji do przekroju społeczeństwa brytyjskiego. W drugiej fazie nastąpiło ugruntowanie się warstwy robotniczej oraz mieszczańizacja części grupy polskiej. Ponieważ jednak brytyjska warstwa robotnicza posiada pewne cechy mieszczańskie, wynikające z osiągnięcia wysokiej stopy życiowej (konserwatyzm, wygodnictwo, smak i zakres zainteresowań), i ponieważ w grupie polskiej procent autentycznych robotników był mały, rezultatem tych przemian jest ogólna mieszczańizacja grupy polskiej. W wypadku ludzi pochodzenia chłop-

skiego mamy do czynienia ze znacznym awansem społecznym, który czyni z tej warstwy element szczególnie dynamiczny. Ogólna zaradność życiowa, duża wydajność pracy, energia, pęd i rozmach w gromadzeniu dóbr materialnych i wysokie tempo dorabiania się, ambicje kształcenia dzieci, nawet na poziomie uniwersyteckim, świadomość awansu, pewność siebie i pewna ostentacja w obyczajach, pomimo oszczędności — oto cechy charakterystyczne tej warstwy.

W parze z awansem społecznym idzie awans kulturalny, wyrażający się udziałem w kulturze masowej (głównie telewizja i film), chociaż wartość tego awansu jest osłabiona równoczesnym rozluźnieniem związków z własną tradycją kulturalną (ludową).

Najgorzej pod względem kulturalnym wyglądają robotnicy pochodzenia inteligentckiego, dla których, oczywiście, obecna sytuacja stanowi pod każdym względem regres, a nie awans. Ciężka praca fizyczna źle idzie w parze z zainteresowaniami intelektualnymi. Ludzie ci na ogół nie potrafią przystosować się psychicznie do nowego zawodu, brak im przy tym życiowego sprytu chłopów lub autentycznych robotników, by urządzić się materialnie. Świadomość deklasacji pozostaje na zawsze. Na szczęście, jest tych zdeklasowanych coraz mniej — większość inteligentów znalazło już sobie sposób zarobkowania mniej uciążliwy.

Bez większych natomiast oporów część inteligencji przeszła do stanu mieszczańskiego. W grupie ściśle mieszczańskiej jest na emigracji autentycznych, przedwojennych mieszczan niewiele. Gros stanowi dawna inteligencja, w czym duży procent oficerów zawodowych, mała ilość przedwojennych chłopów i robotników. Tutaj także włączyć trzeba grupę młodej inteligencji technicznej, wykształconej już na Zachodzie.

Jakkolwiek powiedzieliśmy, że przekrój społeczności polskiej upodabnia się do przekroju społeczeństwa brytyjskiego, nie twierdzimy, że polska grupa mieszczańska posiada już podziały właściwe mieszczaństwu brytyjskiemu. Nie wydaje się, by krystalizacja na *lower middle class*, *middle class* i *upper middle class* w grupie polskiej już nastąpiła. Właściwie można mówić tylko o ogólnych podziałach zawodowych, na „kamieniczników”, czyli ludzi zarabiających na życie wynajmem mieszkań, właścicieli przedsiębiorstw handlowych i warsztatów rzemieślniczych, urzędników, i na młodszą wiekiem grupę inteligencji technicznej⁴.

4. Piotr Wiśniewski, w książce „O Polakach Zagranicą” (W-wa, 1934), zwrócił uwagę na zupełny brak inteligentkich jednostek kierowni-

Specyfiką brytyjskiej struktury klasowej jest brak klasy inteligentnej, takiej, jaką spotykamy na Kontynencie, a szczególnie w Europie wschodniej. Stąd polska grupa urzędnicza i młoda inteligencja techniczna wchodzi w skład klasy mieszczańskiej, co nie odpowiada polskiemu podziałowi społecznemu. W jakim stopniu podział ten nadal utrzymuje się w społeczności polskiej w W. Brytanii? Jest rzeczą zrozumiałą, że zacierają się on łatwiej w warstwach niższych, które uczestnicząc w awansie społecznym, nie są zainteresowane w podtrzymywaniu dawnego podziału. Natomiast dla dawnej inteligencji utrzymanie pierwotnego, polskiego podziału, jest tym istotniejsze, im ciężiej dotknęła ją deklasacja, chociaż nie we wszystkich wypadkach jest ona bolesna, lub nawet świadoma, np. w wypadku kamieniczników. Wynajmowanie mieszkań zapewnia znośną stopę życiową, ale absorbuje troskami materialnymi, zwążając horyzonty myślowe i zakres stosunków towarzysko-społecznych (krótko mówiąc, jest to dość typowa, emigracyjna „dulszczyzna”). Kwestia deklasacji prawie w ogóle nie wchodzi w grę w wypadku właścicieli przedsiębiorstw, którym szerokie kontakty zawodowe i zamożność dają poczucie zadowolenia z osiągniętego sukcesu życiowego. Szukając uznania dla swego sukcesu ciężą oni naturalnie do społeczności polskiej i wciąż sobie cenią swój dawny status inteligentki.

Tym bardziej ceni go sobie ta grupa dawnej inteligencji, która uległa widocznej deklasacji. Istnienie społeczności polskiej i to w jak najczystszej pierwotnej formie, leży w „interesie klasowym” tej grupy. Jedynie bowiem w ramach społeczności polskiej wraca ona do swego poprzedniego statusu. O ile jednak warstwa ta jest czynnikiem wzmacniającym spójność społeczną, jej zachowawczość i tendencje elitarne miewają też skutek odwrotny. Istnienie jej nie pozwala zapomnieć warstwom niż-

szych wśród dawnych Polonii, przypisując to strukturze zawodowej. Według jego obliczeń (trudno powiedzieć, na ile ścisłych), struktura zawodowa wychodźstwa polskiego w latach 1920-26, była następująca: rolników — 53 %, górników — 0,7 %, robotników przemysłowych — 3,8 %, handel — 0,6 %, wolne zawody — 0,2 %, służba domowa — 0,98 %, bez określonego zajęcia — 11,6 %, członkowie rodzin — 15,4 %, inne — 13,1 %. (zaokrąglone). Zwracając dalej uwagę na odbywające się przeklasowanie, wnioskował, że pojawia się klasa społeczna, złożona z drobnych sklepikarzy i rzemieślników, która jest klasyczną podbudową inteligencji i której dzieci pójdą już na lekarzy, adwokatów, księży, nauczycieli itd. Powstawanie więc drobnomieszczaństwa uważał za czynnik ulepszający strukturę społeczną Polaków zagranicą. Warto to przy okazji podkreślić, jako kontrast z Polonią brytyjską, gdzie już w pierwszym pokoleniu mamy młodą inteligencję i gdzie przeklasowanie ma inny charakter w wypadku dawnej warstwy inteligentkiej co najmniej.

szym, a obecnie awansującym społecznie, o ich pochodzeniu. Jest to zapewne jedno ze źródeł anty-inteligenckiego kompleksu na emigracji.

Współlistnienie tych dwóch podziałów społecznych, obejmujących jedną i tę samą grupę polską, jest cechą charakterystyczną Polonii brytyjskiej. I pod tym względem emigracja polska w W. Brytanii znajduje się wciąż w fazie przejściowej. Oznacza to po prostu, że proces asymilacji trwa i daleki jest od zakończenia. Wciąż dynamiczny stan grupy polskiej nie poddaje się łatwo uogólnieniom i chyba nie należy jeszcze mówić o jednolitej, skryształizowanej społeczności polonijnej w W. Brytanii. Z punktu widzenia socjalnego podstawowy nurt przemian jest natomiast łatwo uchwytne. Podobnie jak w społeczeństwie brytyjskim, zanikają ostrości podziałów klasowych, co w końcowym efekcie prowadzi do egalitarnego społeczeństwa bezklasowego (mówimy oczywiście o egalitaryzmie w sensie nowoczesnego społeczeństwa kapitalistycznego, a nie marksistowskiego).

Jerzy Zubrzycki analizując problemy asymilacyjne w swojej książce „The Polish Immigrants in Britain”, rozróżnił trzy stadia asymilacji: stadium konfliktu, akomodacji i właściwej, czyli pełnej asymilacji. Przez pełną asymilację Zubrzycki rozumie krańcową formę przystosowania się do nowego społeczeństwa, kiedy grupa obca jest wchłonięta przez społeczeństwo tubylcze w takim stopniu, że zatracą całkowicie swoją odrębność. Przez konflikt Zubrzycki rozumiał stan napięcia, niezgody, lub rywalizacji pomiędzy dwoma grupami, nacechowany dyskryminacją ze strony tubylczej, lub w innym sensie, stan psychiczny jednostki powodujący rozdźwięk pomiędzy daną jednostką a społeczeństwem⁵. Akomodacja, w rozumieniu Zubrzyckiego, jest czymś pośrednim. W jednym z artykułów w „Kulturze” (9/1954) wyróżnił on trzy cechy tego stanu, który nazwał akomodacją:

- a) zachowanie odrębności kulturalnej u grupy imigrantów,
- b) segregacja mieszkaniowa, na odcinku pracy, w rozrywce i odpoczynku,

5. Rozdźwięk taki nie rzadko prowadzi do chorób nerwowych. Liczba Polaków chorych nerwowo, na tym tle, jak i na tle przeżyć wojennych, była całkiem poważna. Jak jest w ostatnich latach, niestety, nie możemy powiedzieć. Można jedynie przypuszczać, że z każdym rokiem procent zachorowań się zmniejsza.

- c) ograniczenie styczności ze społeczeństwem tubylczym do kontaktów opartych na zasadzie instytucyjnej, to jest za pośrednictwem polskich organizacji i instytucji”.

Definiując te trzy terminy, Zubrzycki zastrzegł się, że rozumie je nie statycznie, lecz dynamicznie, jako tendencje.

Pisząc w roku 1954, Zubrzycki doszedł m.in. do następujących dwóch wniosków: że ogromna większość społeczności polskiej znajduje się w fazie akomodacji, i że w związku z ekskluzywnym charakterem społeczności brytyjskiej i tradycyjną ksenofobią, nie jest możliwa asymilacja przy równoczesnym zachowaniu odrębności grupowej, jaką spotykamy w Stanach Zjednoczonych, czy w Kanadzie.

Jeżeli przyjmiemy definicję akomodacji jako fazy przejściowej, nie ulega wątpliwości, że społeczność polska w W. Brytanii znajduje się nadal w tej fazie i że znajdować się w niej będzie jeszcze przez czas dłuższy. Wniosek ten jest z rodzaju oczywistych: dopóki bowiem możemy w ogóle mówić o społeczności polskiej dopóty, *ex definitione*, nie jest ona zasymilowana, lecz znajduje się w fazie akomodacji.

Rozpatrując dalej sprawę z punktu widzenia trzech cech podanych przez Zubrzyckiego, trzeba zauważyć, że nie wszystkie one i nie w jednakowym stopniu stosują się do fazy w jakiej znajduje się społeczność polska obecnie. Odpada prawie zupełnie punkt c), według którego styczność ze społeczeństwem tubylczym ogranicza się do kontaktów opartych na zasadzie instytucyjnej. Prawda, są jeszcze wciąż ludzie potrzebujący pośrednictwa polskich instytucji, ale coraz bardziej należą oni do wyjątków. Podobnie w mniejszym stopniu występuje segregacja mieszkaniowa, jak i zresztą inne formy segregacji.

Ogólnie biorąc, wydaje się że użyteczność pojęcia akomodacji jest dosyć ograniczona. Termin tak rozciągliwy znaczy zbyt wiele. Ale zakwestionować można też i założenia, na których Zubrzycki podział swój bazuje: że w ramach społeczeństwa brytyjskiego nie jest możliwe istnienie grupy zasymilowanej ale zachowującej poczucie własnej odrębności. Ekskluzywność społeczeństwa tubylczego była i jest nadal faktem, ale nie należy ona do rzędu zjawisk statycznych i niezmiennych. Bardzo mocno podkreślić trzeba fakt, że grupa polska osiedliła się na Wyspie w momencie, kiedy rozpoczynał się w zbiorowej psychice wyspiarskiej proces daleko idących, rewolucyjnych wprost zmian. Dziś ogół Brytyjczyków zdaje sobie już sprawę ze śmierci imperium. Ekonomicznie i politycznie W. Brytania zależna jest w wysokim stopniu od swych międzynarodowych powiązań, stała

się organizmem niesłychanie uczulonym na wszelkie wahania i zmiany światowego rynku. Tradycyjny izolacjonizm wyspiarszy — *the splendid isolation* — nie jest w tych warunkach na dalszą metę do utrzymania. Widać już zresztą pierwsze w nim wyłomy. Rosną wciąż milionowe rzesze corocznych brytyjskich urlopowiczów na kontynencie, zaznaczają się w miastach kulturalne i obyczajowe wpływy kontynentalne (o wpływach amerykańskich nie trzeba przypominać). Zresztą i samo osiedlenie Polaków odegrało tu pewną rolę. Pamiętać bowiem trzeba, że było to zjawisko bez precedensu w nowoczesnej historii Wyspy. Nic dziwnego, że wzbudzało początkowo zarówno obawy czynników oficjalnych jak i opory wśród społeczeństwa. Dziś chyba każdy z rzeczoznawców brytyjskich przyzna, że osiedlenie polskie było, z ich punktu widzenia, eksperymentem całkowicie udanym. Fakt ten na pewno wpłynął na stopieńle najostrożniejszych form angielskiej ksenofobii.

Równoległe z przybliżaniem się całej Wyspy do świata zewnętrznego (proces ten zresztą dotyczy nie tylko W. Brytanii), trwa proces przemian społecznych w łonie społeczeństwa brytyjskiego. Jednym z elementów tych przemian jest właśnie ukazanie się i szybki rozrost warstwy inteligencji technicznej (a nawiasem mówiąc, jest to warstwa w swym światopoglądzie mocno kosmopolityczna), a także ukazanie się zalążka warstwy inteligentnej w sensie kontynentalnym, dotychczas w tym kraju nie znanej.

Reasumując, społeczeństwo brytyjskie jest dzisiaj o wiele bardziej chłonne, a jednocześnie bardziej tolerancyjne w stosunku do grup narodowościowo obcych, niż można było przypuszczać jeszcze w roku 1946. Nie istnieją też żadne widoczne naciski o charakterze administracyjnym, lub innym, by przyspieszyć proces asymilacji⁶. Raczej przeciwnie — z chwilą, gdy osiedlenie polskie przestało być problemem, państwowe urzędy i instytucje brytyjskie współpracują chętnie z polskimi organizacjami społecznymi.

Otwierają się więc obiektywne możliwości zachowania odrębności grupy polskiej przy jednoczesnym wysokim stopniu jej asymilacji. Oczywiście, mówiąc w tym kontekście o asymilacji, rozumiemy ją inaczej niż Zubrzycki. Ale wydaje nam się, że asymilacja absolutna jest pojęciem trochę mistycznym. Wpływy pochodzenia, psychiczne, genetyczne itd., istnieją zawsze.

6. Tendencje takie natomiast wykazują niektórzy duchowni kościoła katolickiego w Anglii, nie tyle oczywiście ze względów szowinistycznych, co z chęci powiększenia stanu posiadania.

nawet w wypadku kiedy jednostka nie podtrzymuje żadnych kontaktów z grupą ludzi tego samego pochodzenia. Warunki życia we współczesnej Europie nie sprzyjają zresztą całkowicie wygaśnięciu świadomości pochodzenia. Wydaje nam się, że przez asymilację trzeba rozumieć pełne włączenie się jednostki w życie społeczeństwa tubylczego i utożsamienie się z nim jak również ostateczne przyjęcie tej jednostki jako „jednego ze swoich” przez środowisko tubylcze. Tak pojęta asymilacja powinna być faktem dokonany w drugim pokoleniu emigracji, ale nie musi to wykluczać świadomości pochodzenia i chęci kontynuowania pewnej obyczajowej tradycji oraz sporadycznego manifestowania związków z macierzą.

IV.

Im dalej w las, tym więcej drzew. Czytelnik jednak ma prawo od nas oczekiwać nie tylko podsumowania, ale próby określenia zarysowujących się perspektyw. Jedną z trudności jest liczebność i rozproszenie grupy polskiej: mikroskopijność zachodzących w niej procesów kpi sobie nieco z uogólnień. Ale nawet najmniejsze grupy społeczne mają swoją dynamikę. Pisząc tę książkę byliśmy świadomi tej dynamiki, jak również jej wielokierunkowości. Obok — paradoksalnie mówiąc — dynamiki obumierania, widzieliśmy także dynamikę tendencji rozwojowych.

Proces wyobcowania politycznie niezłomnej części społeczności polskiej w W. Brytanii będzie postępował, o ile nie nastąpi jakaś rewolucyjna zmiana w światowej sytuacji politycznej. Używając określenia „niezłomna część społeczności polskiej” nie rozumiemy go pejoratywnie, lecz dosłownie. Dla wielu z nich utrzymywanie niezmięionej postawy politycznej stało się ostateczną racją bytu. Tak długo jak pewna grupa tych ludzi pozostanie przy życiu, wśród elementów tworzących oblicze społeczności polskiej w W. Brytanii nie zabraknie pierwiastka „niepodległościowego”. Ale przekazanie tej specyficznej postawy pokoleniom następnym wydaje się rzeczą mało a nawet zupełnie nieprawdopodobną. Nie będzie to jednoznaczne z zanikiem tradycji wolnościowych. Natomiast oznaczać będzie wygaśnięcie owego mistycznego, religijnego stosunku do pojęcia niepodległości, który był zjawiskiem tak typowym dla Polski porzobiorowej.

Będzie również nadal postępować proces decentralizacji życia społecznego, a centrale jako ośrodki dyspozycyjne zanikną zupełnie. Punkt ciężkości przeniesie się na związki lokalne⁷. Nie wyklucza to jednak możliwości powstania z biegiem lat ogólnego Związku Polaków w W. Brytanii, o charakterze luźnym, federalnym — w rodzaju Kongresu Polonii brytyjskiej.

Pisząc o ośrodkach lokalnych, rozróżniliśmy trzy główne ich typy: filię organizacji centralnej, parafię i gminę. Musimy powiedzieć, że nie bez niepokoju obserwowaliśmy wysiłki parafii zmierzające do monopolizowania polskiego życia społecznego. Ale nie ulega dla nas wątpliwości, że parafie co najmniej utrzymają swój stan posiadania, a nie można wykluczyć, iż właśnie one zostaną przede wszystkim na placu boju. Wydaje nam się jednak, że forma gminy dawałaby większe szanse zachowania pewnej różnorodności życia społecznego i kulturalnego.

Jest to tym bardziej istotne, że kultura polska na emigracji i tak ulega ciągle postępowi parafianšczyzny. Potrzeby kulturalne Polonii, a co za tym idzie, i obiektywne możliwości twórczej pracy na tym polu, będą się niewątpliwie stale kurczyć. Chciałoby się wierzyć, że nim jeszcze będzie za późno, emigracja zdobędzie się na stworzenie w Londynie instytucji kulturalnej o charakterze trwałym, obejmującej bogactwo zbiorów bibliotecznych i archiwalnych, rodzaj Instytutu Polskiego, który byłby nie tylko jedną z ważniejszych placówek kulturalno-naukowych diaspory polskiej na Zachodzie, ale również punktem obustronnej wymiany wartości kulturalnych pomiędzy Krajem a diasporą.

Na przyszłość prasy polskiej w W. Brytanii trzeba się zapatrywać sceptycznie. Tak „Dziennik Polski” jak „Wiadomości” i inne czasopisma, to są pisma starszego i średniego pokolenia. Z wyjątkiem paru pism pokolenia młodszego, młode pokolenie nie czytuje prasy emigracyjnej (z periodyków wydawanych poza Anglią, chyba głównie „Kulturę”). Można więc powiedzieć, że prasa związana ściśle z „obozem niepodległościowym” wraz z „Dziennikiem Polskim”, nie przeżyje starszego pokolenia, a główne dziś tygodniki — pokolenia średniego. Nastąpią pewnie dalsze fuzje (np. w logice sytuacji leżałaby fuzja „Orla Białego” z „Tygodniem Polskim”) i likwidacje. Zresztą prawdopodobnie już dzisiaj doszłoby do likwidacji paru wegetujących pism, gdyby nie subsydia. Zostanie zapewne w Londynie jeden tygodnik

7. W 1961 r. ma się odbyć w Szkocji od dawna odkładany Zjazd Polaków. (Przyp. późniejszy).

polonijny, być może jakiś poważniejszy trochę miesięcznik i parę powielanych biuletynów.



Osiedlenie polskie w W. Brytanii ma charakter trwały. Niewątpliwie grupa polska, asymilując się coraz bardziej, wycisnie swoje piętno na życiu brytyjskim i — biorąc pod uwagę stosunkowo szybki awans społeczny oraz powstanie dosyć liczebnej warstwy nowej inteligencji — można się spodziewać, że jej wkład w rozwój gospodarki, technologii i kultury będzie coraz większy. Z dzisiejszej perspektywy widać, że wysiłek administracyjny i finansowy rządu brytyjskiego w początkowych latach osiedlenia, opłacił się całkowicie. Grupa polska jest w życiu brytyjskim czynnikiem dynamicznym i będzie nim coraz bardziej. Tego rodzaju zastrzyki świeżej krwi dla społeczeństw starych, obrosłych tradycją i letargicznych są rzeczą bezsprzecznie cenną.

Następne twierdzenie jest z rodzaju banalnych. Cokolwiek by nie powiedzieć o przyszłości osiedlenia polskiego na Wyspie w jego formach polonijnych, nie można pominąć faktu, że zależy ona od pokolenia młodego i najmłodszego. Inaczej mówiąc, zależy od tego, czy wysiłki czynione obecnie — od rodziny począwszy, przez szkołę przedmiotów ojczystych, harcerstwo, sport, paralię — i wpływ wyjazdów do kraju itp., odniosą zamierzony skutek, utrzymując dla polskości i przy polskości przynajmniej pewną część młodego i najmłodszego pokolenia. Jak duża będzie ta część? Czy spośród młodej inteligencji wyłoni się nowa kadra działaczy społecznych? Czy — przechodząc na nieco inną płaszczyznę — przy znikomej ilości powołań uda się odmłodzić duchowieństwo polskie na Wyspie? Nie ma najmniejszej wątpliwości, że suma tych czynników pozwoli na przetrwanie odrębnej grupy polonijnej jeszcze na przeciąg dwóch następnych pokoleń, ale rozmiarów tej grupy nie sposób dokładnie określić. Bez wątpienia będzie się ona kurczyć. Pozostanie z biegiem czasu parę bastionów polskości, przede wszystkim Londyn, ewentualnie Manchester. Dopływ, nawet sporadyczny, „nowej emigracji” będzie miał tu znaczenie bardzo duże.

Abstrahując na koniec od wszelkich powikłań politycznych, i patrząc na Polonię brytyjską w kategoriach tego, co można określić mianem „polskiego imperium” (abstrahując również od ironii zawartej w tym określeniu), trzeba ocenić pozytywnie fakt, że diasporze polskiej przybył nowy element, element który znalazł się na ziemi bogatej w doświadczenia i myśl, jakich Polsce

zawsze brakowało. Polonia brytyjska stanowi nie tylko ważny członek pomostu między krajem a cywilizacją anglo-saską i europejską, ale w ogóle między Polską a światem zachodnim. Rola takich pomostów, przede wszystkim kulturalnych, jest niezwykle ważna, jedynie ludzie do ostateczności zaślepieni politykierstwem nie doceniają jej znaczenia również i politycznego w najlepszym zresztą sensie. Podziały świata mogą nigdy nie zniknąć, ale o ile ludzkość ma istnieć nadal, spinać ją muszą jak klamry, poprzez granice, pomosty zrozumienia i poczucie podstawowej wspólnoty. Niestety, dzisiaj ani ludzie odpowiedzialni za politykę w kraju, ani ludzie odpowiedzialni za politykę na emigracji, nie doceniają w pełni wartości tych pomostów, prawdę mówiąc, boją się ich. Czynniki rządzące w Polsce nie posiadają żadnej koncepcji wobec emigracji, poza takimi czy innymi doraźnymi i małostkowymi koncepcyjkami, oraz nadzieją, że emigracja nie będzie stanowić dla nich zagrożenia. Odważniejsi myślą o ukuciu z emigracji taktycznego kapitału politycznego i wyciąganiu korzyści gospodarczych.

Na emigracji natomiast oficjalnie nadal widzi się stosunek do kraju w kategoriach prawie wyłącznie politycznych, co pozwoliło i pozwala na zaprzepaszczanie kapitału kulturalnego, jakim Polacy w W. Brytanii dysponują i mogli dysponować. Z obu stron występuje zadziwiająca krótkowzroczność i szereg — być może nieuleczalnych — kompleksów.

Można wyrazić jedynie nadzieję, że rozwój sytuacji na świecie i w Polsce pozwoli na pełne pęknięcie barier, z korzyścią dla obu stron. O ile nie nastąpi to zbyt późno, Polonia brytyjska będzie mogła w o wiele większym stopniu spełniać swą naturalną rolę jako punkt wyjściowy dla diaspory polskiej na Zachodzie i jako pomost łączący Zachód z Polską.

Nie chcąc być pesymistami, możemy wybrać jedynie ostrożny optymizm.

INDEKS NAZWISK

- Alf-Jacewicz 306
 Anders Władysław, gen. 106, 136,
 148, 200, 210, 212, 228, 237,
 256, 257, 263, 274, 277, 279, 286,
 289, 290, 302, 303, 325, 326,
 329, 423, 424, 427, 434, 449,
 463, 466, 471, 472, 475, 480,
 481, 482, 486, 493, 496, 497,
 500, 511, 515, 518, 541
 Andrzejewski Bogumil 365
 Andrzejewski Jerzy 176
 Andrzejewski Stanisław 359
 Angerer Ludwik 303
 Ankwiczówna Krystyna 322
 Arciszewska Melania 268, 269,
 270
 Arciszewski F.A. 517
 Arciszewski Tomasz 268, 313, 314,
 457, 460, 461, 472, 493
 Arczyńska Maria 277
 Arlt F., ks. 204
 Arway S. 336
- Babicz J. 195
 Badowicz Maria 363
 Bagiński Kazimierz 459
 Baj-Jędrzejewski 314
 Baliński Stanisław 274, 368, 369
 Baliński-Jundziłł Jan 235, 325, 326
 Banasiewicz W. 72
 Bańczyk 496
 Barnby, Lord 290
 Bartnicki J. 196
- Bas Jan, ks. 174, 182, 184, 185
 Bączkowska Irena 358
 Bąkowski A. 173
 Beck, ks. bp. 184, 185, 186
 Bednarczyk Czesław 331, 332, 353,
 367
 Bednarczyk Krystyna 331
 Bednarek Wl. 72, 73
 Berent J. 88
 Bereza plk. dr 142, 145
 Berka 211
 Berling Zygmunt, gen. 420
 Beutlich Tadeusz 352
 Bęben E. 223
 Biddle Drexel Anthony 290
 Biejat 314
 Bielatowicz Jan 329, 369
 Bielecki Tadeusz 181, 200, 201,
 263, 310, 311, 457, 498
 Biszyńska Jadwiga 98
 Bloch J. 296
 Bobolewski C. 23
 Bobrowski Tadeusz 352
 Bogdanowiczowa Z. 104
 Bogdańska Renata 277
 Bojakowski 153
 Bojakowski 272
 Bojczuk Ludwik 302, 412
 Bombas L., ks. 19, 39
 Boniakowski prof. 154
 Bonnie Prince Charlie 15, 244
 Bornholtz Tadeusz 538
 Borowicz Tadeusz 329, 437
 Borowy Waclaw 16, 328

- Bortnowski W., gen. 482
 Boryński, ks. 209
 Bourne, kard. 158
 Boy-Zeleński Tadeusz 356
 Bór-Komorowski T., gen. 263,
 290, 326, 334, 457, 461, 480,
 481
 Brandstaetter J. 254, 347
 Brandys J., ks. 481
 Bregman Aleksander 274, 310, 510,
 511, 513, 514, 515
 Brochwicz-Lewiński A. 480
 Brodowski 213, 214, 215
 Brodowska 214
 Brodziński Bohdan 270, 336
 Broncel Zdzisław 365, 369
 Broniewski Wł. 324
 Brzeski Tadeusz 292, 293, 296,
 486
 Brzezińska Kora 277, 348
 Brzeziński Zbigniew 293
 Bruner Wacław 464, 499
 Budzyński Wiktor 345, 349
 Bujnowski Józef 299, 367, 369
 Bulbring Maud 446
 Bulicz Marian 426
 Bułaj Wł. 133
 Bułganin Nikołaj 475
 Bunsch 176
 Bunsch Adam 260, 261
 Bursewiczowie E. 20
 Busza Andrzej 364
 Busza Witold 539
 Bzikot K. 126, 129, 130
 Bzowski Józef 277
- Carrell 328
 Chmiel Jan 173
 Chmielewski M. 295
 Chopin Fryderyk 258
 Chowaniec, ks. 210
 Chróścicy 25, 26
 Chruszczow N. 475
 Chudzyński 349
 Churchill W. 326
 Chwalibóg M. 147
 Chychła 447
 Ciechanowski Jan 364
 Ciepielowski W. 74
 Ciepliński J. 336
 Ciesielski 450
 Ciesliński 130
 Ciolkosz Adam 181, 263, 297, 310,
 311, 459, 476, 477, 493, 494-5,
 496, 499, 517.
- Conrad J. 283, 305, 364
 Cordeaux M.P. 149
 Cunningham Zofia 36
 Cydzik J. 537
 Cynar St., ks. 265, 266, 268
 Cyrankiewicz Józef 505
 Czajkowski Andrzej 350
 Czapska Maria 305
 Czarnecki Zygmunt 423
 Czarnocka H. 334
 Czarnocki J. 511
 Czechowicz J. 362
 Czechowicz, mjr. 210
 Czeręśniewski W. 305
 Czerniawski Adam 363
 Czernicy 132
 Czerwińska Jadwiga 42
 Czerwiński W. 263, 277, 311, 515
 Czosnowski 316, 320
 Czuchnowski Marian 276, 331, 367
 Czulowski Antoni 302, 303
 Czuma Walerian, gen. 148
- Dalton Hugh, lord 290
 Danilewiczowa Maria 285, 301,
 305, 326, 328, 354, 368
 Dargas Antoni 310, 311, 478
 Darowski Jan 364
 Dąbrowska Maria 504
 Dąbrowski Jan 74, 80, 81, 83
 Dekański J., dr 23
 Delmar Irena 350
 Dłużewska W. 328
 Dmochowski Z. 321
 Dobek Czesław 58, 66, 275, 368
 Domańska Jadwiga 277
 Domański J.K. 85, 86
 Domański M. 302
 Donigiewicz W. 111, 113, 439
 Drobina W., ks. 40, 43, 45, 46
 Duch Bronisław, gen. 246
 Dudek Louis 332
 Dymnik F. 321
 Dybarewicz 188, 190, 191
 Dygatówna Krystyna 277
 Dytrych 113
 Dzierżkowa 171
 Dzikowska Cz. 223
 Dźwig Kazimierz 352
- Eden Anthony 476
 Eichlerówna Irena 347
 Eisenhower Dwight 476
 Elgin, lord 34, 37, 85, 289
 Eliot T.S. 332

- Faecher S. 365
 Felsztyn T. 195, 197, 328
 Ferworn 171
 Flukowski Stefan 332
 Foltin J.A., ks. 153, 155, 156, 157, 158, 159
 Folkierski Władysław 498
 Forsy T. 195
 Franco, gen. 502
 Frankowski, ks. 245
 Frączek Julian 70
 Fredro A. 351
 Frenkiel Stanisław 352, 365
 Fusek-Forosiewicz 21, 23, 25, 26
- Gaitskell H. 326
 Galsworthy J. 283
 Garbiak Jan 172, 177, 180
 Gaś A. 235
 de Gaulle Charles, gen. 502
 Gawenda J. 301, 481, 486
 Gawlina J., arcbp 184, 264, 326
 Gedl Z. 223
 Giergiewicz M. 112, 300
 Giętych Jędrzej 328, 498, 518
 Ginalska Marta 306
 Głabisz K., gen. 302, 448
 Glezman 62
 Gliwa J. 331
 Głazewski A., ks. 97-8
 Głuchowski, gen. 423
 Godfrey, kard. 326
 Goetel Ferdynand 148, 175, 259, 273, 347, 369
 Gola Stefan 414
 Gołowski M. 425, 426
 Gołąb J., ks. 195, 197
 Gołowczyński B. 195
 Gołubiew A. 176
 Gombrowicz Witold 355, 362, 370
 Gomulka Władysław 203, 311, 480, 489, 492, 504, 505
 Gottlib Henryk 351
 Górka S. 432
 Grabowski M.B. 317, 319
 Grabowski Zb. 365, 369
 Granowska K. 223, 225, 350
 Grażyński M. 296, 311, 428, 429, 472
 Greene Graham 364
 Grocholski S. 274
 Grodyński T. 293
 Grosman H., dr 83
 Grubiak Jan 84
- Grubiński Wacław 349, 369
 Grudziński-Herling Gustaw 362, 370
 Gruszka J., ks. 62, 75
 Grydzewski M. 356-358
 Grzanka 44, 45
 Guareschi 328
 Günther W. 299, 354
 Czowska 41, 42
- Halama Loda 506
 Halecki Oskar 301, 328, 357
 Halski Czesław 350
 Haluch Franciszek 313, 314
 Hanke Hugon 474, 491
 Harasowska Jadwiga 15, 64
 Harington Brenda 134, 136
 Harrod F.H. 118
 Hartlib S. 258
 Heitzman Halina 322
 Hełczyński Bronisław 296, 297, 312
 Hemar Marian 40, 42, 178, 277, 347, 348
 Herbert Auberon 290
 Herman Józef 351
 Herter A. 480
 Hill R.H. 325
 Hlond, kard. 154, 157, 158, 198, 261, 314
 Hlasko Marek 61, 74, 175, 189, 348
 Hoffman Jakub 197, 337, 367
 Hołownia J. 97
 Horendalski 216
 Horko Tadeusz 274, 511, 512, 513
 Horzelski Jerzy 370
 Hosowicz H. 223
 Hostowiec Paweł 369
 Hryniewski J. 472, 481
 Hudson-Williams T. 105
- Iłakowiczówna Kazimiera 154
 Ionesco 348
 Iranek-Osmecki K. 334
 Ismay, lord 290
- Jabłoński Z.M. 349
 Jacob Max 364
 Jaksziński Józef 367
 Jakubczyk 217, 218
 Jakubowski 314
 Janduda 447
 Janiewicz Feliks 15
 Jankowska Maria 335

- Januszajtis-Zegota M., gen. 131
 Jarmulska Janina 49, 52
 Jarmulski J. 49, 50, 52
 Jarry Alfred 359
 Jarzębowski J., ks. 244
 Jasińczyk Janusz 368, 369
 Jasnowski J. 296, 299, 324
 Jasnorzewska-Pawlikowska M. 332
 Jeżewski B.O. 396
 Jędrzejewiczowa Cezaria (Beaudoin de Courtenay) 299, 301
 Józwiak St. 389
 Juchnowicz, dr 203
 Jurowski T. 303
 Jutrzenka (bracia) 450
- Kaczmarek J. 97
 Kaczorowscy 96
 Kalus 196
 Kałhaur, mjr 322
 Kamiński 460
 Kamińska Mila 277
 Kamiński 319
 Kański M. 427
 Kapica J. 481
 Kapica J. 480
 Karaszewicz-Tokarzewski Michał, gen. 423, 481, 482
 Kardasiński Czesław 232, 233, 234
 Karpiński Edward 173
 Karpiński S., gen. 481
 Karpiński W. 228-231
 Karpiński W. 228, 231
 Kasprowicz Jan 105
 Kącki Franciszek, ks. 192-193, 195 199, 204, 436
 Kądziela 44
 Kędzior A. 302, 518
 Kielanowski-Pobóg Leopold 277, 345, 348, 349, 366
 Kiersnowski Ryszard 278
 Kirken Leszek 274, 511, 512, 513
 Kisielewski Józef 329, 369
 Kisielewski Stefan 253, 354
 Kleeberg J., gen. 288
 Klimek Leszek 542
 Kmietowicz Franciszek 211
 Knapp Stefan 351, 352
 Knop Jan 172
 Kocerka T. 246
 Kochanowski J. 362
 Kocy Leon 23, 27, 83, 85
 Komarnicki Tytus 290, 296, 322, 362
- Komorowski Bór T. patrz Bór Komorowski T.
 Kon Zygmunt 275
 Konieczko S. 306-308
 Konopczyński W. 305
 Konopnicka Maria 105
 Kopański S., gen. 423, 518
 Kopec S. 167-170
 Koper Tadeusz 352
 Kopernik M. 322
 Korboński Stefan 459
 Korda 43
 Korian Tola 42, 347
 Korytowski K., adm. 481
 Kossak-Szczucka Zofia 175
 Kossowski A. 352
 Kostrzewski Stanisław 277
 Kościalkowski Marian 352
 Kościalkowski Stanisław 104, 301, 357
 Kot Władysław 68, 71-76, 83, 443.
 Kowalewska Regina 348
 Kowalewski Janusz 275, 367
 Kowalewski Władysław 304
 Kozubowski B. 163, 164
 Krasieński Zygmunt 185, 305, 355
 Krasoń T. 302, 450, 451
 Kraszewski I.J. 175, 258
 Krawczyk 81
 Krawiecka 174-177
 Kromer M. 322
 Kropiwnicki Jerzy 223
 Królikowski 314
 Królikowski 432
 Kruk-Wantuch J. 23
 Krupiński 314
 Krzyżanowski Julian 356
 Kuczyński 328
 Kukiel Marian, gen. 289, 290, 296, 299, 357, 362
 Kulawik 447
 Kulczycki Jerzy 303
 Kulesza 314
 Kuncewicz J. 458, 469
 Kuncewiczowie 180
 Kundzielski J. 153
 Kurtyanek M. 196
 Kuśnierz B. 496
 Kwapiński Jan 289, 460
 Kwiatkowski Walerian 299, 301, 342
- Lach-Szyrna K. 258
 Laszyński I. 314

- Lawiński Ludwik 273, 278
 Lechoń Jan 283, 358
 Lehman Leo 348
 Lesiński 432
 Lesisz Tadeusz 186, 187
 Lewicki S. 302
 Lewiński J. 336
 Lewkowicz Karol 516
 Liebermann 454
 Liebich A. 376
 Lipiński 195
 Lipiński E. 539
 Lipski J. 288
 Lis Franciszek 105
 Lisiecki 335
 Lisiewicz Mieczysław 306, 369
 Lisiewicz Teodozja 349, 353, 354
 Lithgow William 16
 Lorca Garcia 331, 348
 Lubodziecki S. 480.
- Łabędź Leopold 297, 365
 Ładyga, ks. 154
 Łappo 450
 Łaski Jan 258
 Ławrynowicz Zygmunt 364
 Łochtin Stefan 303
 Łomiński I. 80
 Ługomski 190
 Łukaszczyk R. 223
- Machalski T. 481
 Maciejko D. 421
 Maciejewski B. 335
 Macieliński, inż. 203
 Mackiewicz Józef 175, 273, 370
 Mackiewicz Stanisław 65, 253, 266,
 304, 466, 469, 471, 473, 474,
 491, 507
 Macmillan H. 326, 501
 Maczek Stanisław, gen. 15, 37, 38,
 500
 Maj Stanisław 27, 31, 32, 33, 39
 40
 Majchrzak, ks. 158
 Majewska Włada 42, 277
 Makowski Z.S. 293
 Malicz M. 278
 Malkiewicz Andrzej 22, 530
 Maluty 60
 Małcużyński Witold 186, 350, 506,
 541
 Mansfield, lord 50
- Marchand A. 170
 Marczak 314
 Martynowicz 236
 Marynowicz W. 336
 Maślona 240-41
 Maślonka J. 192, 196, 198
 Matlachowska Róża 322
 Matusiewicz Kazimierz 52, 53
 Mękowski S. 303, 312
 Mgłej Maria 23, 30, 31
 Mgłej W. 23, 29-31, 39-41, 43,
 45, 411
 Michalski, ks. inf. 237, 436
 Michalski M. 432
 Mickiewicz Adam 176, 185, 305,
 322, 328
 Mieroszewski Juliusz 367, 369, 470,
 494, 549
 Mikołajczyk Stanisław 72, 454, 455,
 457, 458, 459, 469, 479, 498
 Miller, gen. 482
 Milnikiel Eugeniusz 370
 Miłoś Czesław 370
 Mirecki Wiesław 345
 Mitchell Harold 290
 Mleczo Piotr 352
 Młodożeniec Stanisław 355, 466
 Mochliński Kazimierz 312
 Modzelewska Maria 347
 Mollet G. 476
 Moniuszko S. 224
 Morbitzer, płk. 40, 41, 42, 58
 Morris Malcolm 245
 Morstin H. 347
 Mościcki Ignacy 314
 Mrozek Sławomir 348
 Muchniewski Z. 480
 Murat, ks. 221
 Muszyński Tadeusz (patrz Znicz-
 Muszyński)
- Naglerowa Herminia 148, 354
 Nałęcz Halina 320, 359
 Nałkowska Zofia 351
 Niekraszowa S. 335
 Niemcewicz J.U. 258
 Niemojowski Jerzy 353, 367, 365
 (Niemojowscy)
 Norwid C.K. 244, 305, 332, 362
 Nowak Jadwiga 283
 Nowakowski Marian 196, 223, 224,
 350
 Nowakowski Tadeusz 370
 Nowakowski Zygmunt 278, 325

- Ochojno 41, 42
 Odrzywolski, dr 147
 Odzierzyński Roman, gen. 303, 473
 Ogórek L. 223
 Okołowicz Eugeniusz 133
 Okoński, ks. 328
 Olechnowicz Józef 273
 Olechowski Jan 331
 Olejniczak J. 173
 Oleńska Nina 277
 Olszewski Stanisław 310, 311
 Olszewski W. 498
 Onyszkiewicz 235, 237
 Opeldus B. 223
 Oppmanowa Regina 287
 Orda Alfred 350
 Orłowicz Tadeusz 347
 Orłowski J. 195
 Orzeszkowa Eliza 105
 Ossoliński J. 194, 197
 Ostaszewski Jan 297
 Ostrowski Jan 337
 Otwinowska Jadwiga 270, 271, 426, 535

 Paderewski Ignacy 314
 Pajak A. 263, 480
 Paliczka 42
 Panufnik Andrzej 350
 Parnicki Teodor 370
 „Partyzant” 61
 Pasławska H. 71, 80
 Pasławski Stefan, gen. 71
 Pasternak Borys 332
 Paszkiewicz Henryk 296, 339, 362
 Paszkiewicz Mieczysław 364
 Pawlak 447
 Pawlik L. 173
 Pawlik Zbigniew 173
 Pawłowicz Bohdan 305
 Pawłowska Romana 277
 Pelczyński Tadeusz, gen. 334
 Pelczyński Zbigniew 362
 Penkul 314
 Perl F. 314
 Petlura S. 421
 Piątkowski Henryk, plk. 423
 Piątkowski U. 196
 Piątkowski Z. 183
 Pieczora Stanisław 350
 Piekarski S. 194
 Piesowocki Leon 352
 Piestrzyński R. 303
 Pietrkiewicz Jerzy 16, 328, 349, 355, 361, 362

 Pilatowa (Heydzianka) Janina 299, 535
 Piłsudski J. 148, 161, 263, 278, 314, 333, 420, 502
 Piłsudski Rowmund 181, 274, 311
 Piotrowska Jadwiga 96
 Piotrowski 314
 Piotrowski 336
 Piotrowski Tadeusz 96
 Pius XII 260
 Płonka B. 194, 223
 Płoski K. 294
 Pniewska Danuta 271-2
 Podhorski, gen. 218
 Poklewski-Koziell Alfons 326.
 Polak, ks. 218
 Polański 47
 Poliszewski, mjr 206
 Pomianowski S. 480
 Poniatowski Józef 296, 312
 Poniatowski Juliusz 296
 Popiel Karol 303, 329, 454, 455, 469, 479, 496
 Port K. 153
 Potocki 240
 Potworowski Piotr 351, 352
 Pound Ezra 353
 Powieża W. 104
 Poznański Karol 338, 339, 340
 Poznański Wiktor 365
 Pożarowski Mieczysław 78
 Półtorak Władysław 69, 70
 Pragier Adam 357, 461, 469, 481
 Prokopieni Paweł 196
 Prokopowicz Tadeusz 188, 203, 205, 206, 432
 Prus Bolesław 176
 Przeździecki W.J., gen. 482
 Przybyszewski Stanisław 176
 Przyłuski Bronisław 331

 Raczkiewicz Władysław 259, 430, 453, 457
 Raczyński, bkp 265
 Raczyński Edward 263, 282, 290, 297, 330, 324, 326, 473, 480
 Radwański Gustaw 364
 Radziwiłł 290
 Rauch 314
 Rdultowski Konstanty 93
 Refren 178, 278
 Rendel George 326
 Reńska Barbara 347, 348
 Rewkowski Zygmunt 277

- Reymont Wł. 105, 258, 328
 Roberts Shirley 223
 Rodziewiczówna M. 175
 Rojek M.E. 455
 Rokicki T. 336
 Romanowski Czesław 164-6
 Rose W.J. 112
 Rostowski, dr. 23
 Rozwadowski, mjr. 137
 Rózewicz Tadeusz 363
 Różycka 336
 Rzewuski H. 328
 Rubel Ludwik 510
 Rubinstein Artur 351
 Rusin Jan 52-4
 Russell Bertrand 360
 Russell Peter 332
 Ruszkowski Tadeusz 351
- Sabbat Kazimierz 310, 429
 Sakowski Juliusz 274, 368, 515
 Sapiaha Lew 365
 Sawicki, gen. 481
 Sądek Napoleon 349
 Schaetzel T. 490
 Scheybal Władysław 347
 Schiller Leon 358
 Schmidt 105
 Schramm 450
 Schwitters Kurt 358, 359
 Scott J.B.M. 35
 Seliga Stanisław 83
 Semczyk 81
 Sergot A. 461
 Serwatko 180, 217, 218
 Sędzikowski 195
 Sienkiewicz Henryk 105, 175, 258, 284, 328
 Sikorska Helena 83, 290, 338
 Sikorski Witold 278
 Sikorski Władysław, gen. 37, 83, 85, 86, 286, 288, 290, 452, 453, 468
 Singer Burns 362
 Sito Jerzy 363
 Skorupa (alias McGregor) 61
 Skowroński J. 196
 Skwarczyński Paweł 296, 362
 Sławinas, ks. 154
 Sławoj-Składkowski Felicjan 305, 357
 Stonimski Antoni 105, 349
 Słowacki Juliusz 176, 258, 321
 Smogorzewski Kazimierz 516
- Smolka Adam 84
 Smolny M. 223
 Sobieski Jan 15, 244
 Soboniewski Stefan 263, 302, 303, 312, 326, 407
 Sokolnicki J. 481
 Solski Wacław 305
 Sołtysikowa Z. 426
 Sopicki Z. 496
 Sorawski 241
 Soroka W. 455
 Sosabowski Stanisław, gen. 15, 500
 Sosnkowski Kazimierz, gen. 181, 430, 433, 466, 468, 470, 472, 473, 474, 475, 482, 490
 Sroga S. 512
 Stahl Zdzisław 274, 303, 311, 497, 514, 515
 Stalin J. 492.
 Staniszeński Władysław, ks. prałat 184, 186, 195, 260, 261, 346, 437
 Stanton-Święcicki L. 336
 Stańczyk 416, 417
 Starzakowie 137, 138, 140
 Starzewski J. 296, 310, 476
 Starzyński Stefan 352
 Stawarz J.S. 529
 Stec 98
 Stepan O. 334
 Stermiński Zygmunt 303, 312, 497
 Stern Anatol 358
 Stopa M.A. 323, 324, 335, 402
 Straszewicz Czesław 175, 370
 Stroński Stanisław 296
 Strzałkowski Wiesław 299
 Strzeszewski, inż. 104
 Stypułkowski Zbigniew 311
 Sukiennicki W. 296, 297
 Sulikowski 196
 Sulimirski Tadeusz 88, 296, 300, 301
 Sułkowski Tadeusz 353, 354
 Surzyński Leon 222, 224
 Swift Jonathan 360
 Syski Ryszard 294
 Szadkowski Zygmunt 302, 303, 402, 428, 429
 Szal 314
 Szczygiel J. 173
 Szaniawski 347
 Szomek W. 23
 Szpak Józef 154, 163
 Szpak Michał 154, 163
 Szpiganowicz St. 277, 348

- Szuman S. 426
 Szwarc Karol 531
 Szwejkowski 240
 Szydłowski S.W.J. 325, 326, 512
 Szygala 43
 Szyszko-Bohusz Marian 171, 301,
 319, 335, 351-352
- Scibor J. 481
 Śliżyński B. 23
 Śmieja Florian 363
 Świderski Bolesław 304-6, 329, 413
 Świącicki Marek 259
- Taborski Bolesław 364
 Tannahill J.A. 8, 377
 Tarkowski A. 359
 Tarnawski Wit 305, 369
 Tendyra Wiktor 173
 Terlecki Tymon 305, 312, 344, 354,
 355, 367
 Terne Zofia 350
 Tetmajer Kazimierz 41
 Themerson Franciszka 358-60
 Themerson Stefan 358-61
 Thomas V. 223
 Thugutt M. 311, 491, 496
 Thurso, lord 290
 Tito (Broz J.) 478
 Tokarski Jan 329, 368
 Tomaszewski T. 461, 462, 486
 Tomaszewski W. 23
 Tonecki Z. 112
 Topolski Feliks 331, 332, 351
 Treszka Adam 312
 Trybuchowska O. 180
 Turek Andrzej 20
 Turek K. 20
 Turkiewicz Zygmunt 352
 Twardowicz 195
- Walczak J., ks. 226
 Walewski J. 518
 Wandur F. 153
 Wańkowicz Melchior 175
 „Warszawiak” 61
 Wasilewski L. 314
 Wawro Tadeusz 56
 Werner Aleksander 352, 365
 Wernik 148
 Westfal Stanisław 83, 328
 Węgrzyńska-Kościałkowska J. 305
- Wiatr J., gen. 295
 Wielhorski W. 301, 312
 Wieniewski Ignacy 354
 Wierzyński Kazimierz 278, 354,
 370
 Wilczyńska Zofia 283
 Wilde Oscar 113
 Wilhelm III 243
 Wilk Franciszek 466, 498
 Wilson 33, 34
 Winczakiewicz Jan 331
 Winiarski Maciej 303
 Wiśniewski 447
 Wiśniewski Jan 153-163
 Wiśniewski P. 552
 Wiśniowski Kazimierz, gen. 302,
 423
 Witwicki Stefan 364
 Wlastowski 42
 Wnuczynscy (F., A., Cz., A., E.,
 J..) 249-50
 Wnuk 113
 Wohnout Wiesław 274, 305, 354,
 368
 Wojciechowski 170
 Wojciechowski S. 314
 Wojtczak L. 518
 Wojtecki W. 347
 Wojtowicz P. 299
 Wolkowyski, gen. 104
 Woronowicz L. 125, 126
 Woyczyński Jan 154, 159, 161
 Wójcik S. 420
 Wójcik S. 496
 Wren Krzysztof 243, 245
 Wroński J. 223
 Wtórzecka Janina 350
 Wysocka Janina 210
 Wysocki, ks. 147
 Wyspiański Stanisław 305, 346,
 369
 Wyszyński Stefan, kard. 27, 184,
 264
- Young, miss 34, 35
- Zabelski 314
 Zabielska Janina 285
 Zablocki Tadeusz 317-319, 326
 Zabłudowski B., ks. 95-6
 Zagórski Wacław 274, 368
 Zahorska Stefania 301, 305, 357,
 358, 369

- Zaleski August 30, 34, 200, 263,
 303, 430, 434, 437, 457, 468,
 469, 471, 474, 480, 513
 Zaleski Tadeusz 248-9
 Zaleski Wojciech 249
 Zaleski W. 322
 Zakrzewski Ryszard 312
 Zamoyska W. 306
 Zamoyski Stefan 288, 290
 Zarański Józef 365
 Zaremba Paweł 516
 Zaremba Zygmunt 494-5
 Zawieyski Jerzy 354
 Zawisza A. 480, 486
 Zaziuk E. 336
 Zauberman Alfred 296, 362
 Ząbkowski L., gen. 482
 Zdziechowski J. 459, 490
 Zbyszewski Karol 274, 509
 Zbyszewski W.A. 108, 115, 118,
 120, 274, 356, 365, 367
 Zienkiewicz W. 126, 130
 Zięciakiewicz St. 278
 Znamirowski F. 194, 195
 Znanięcki Florian 293, 337
 Znicz-Muszyński Tadeusz 352
 Zubrzycki Jerzy 8, 161, 293, 375,
 376, 377, 378, 380, 383, 384,
 385, 387, 507, 512, 554-556
 Zweig Ferdynand 386, 388, 389
 Zychowicz Czesław 232-34
 Zytkiewicz K. 195
 Zaba Jarosław 174, 184, 439
 Zaba Zofia 180
 Żeromska Olga 178, 304, 346
 Żeromski Stefan 176
 Żółtowski Adam 291, 293, 301,
 320, 322, 362
 Żuławski Marek 351, 365
 Żywina Józef 305, 312

INDEKS RZECZOWY

- ACEN (Assembly of Captive European Nations) 477, 478
 Agencja Reklamowa „Odra” 367
 Agricultural Education Committee 108, 114
 A.K. 334, 422
 Akademia literatury emigracyjnej 357
 „Akcenty” 509
 Akt Zjednoczenia 469, 470
 „Akta i materiały do dziejów Polski w dobie II wojny światowej” 290
 Alma Mater Vilnensis 301
 Anglo-Polish Catholic Association 466
 Anglo-Polish Society 102, 169, 201, 205, 466
 „Antokol” 339, 340-343
 Apteka Grabowskiego 317, 319
 Apteka Greene’a 313
 Archiwum Kancelarii Prezydenta R.P. 289
 Archiwum Polski Podziemnej 334
 Ashby Folville 116
 Asthon 180, 185
 Association of Friends of Polish Patients 321
 AZS Londyn 448
- „Bałtyk” 450
 Balet Pamela 351
 „Bellona” 286, 423, 508
 Berg 471, 505
- „Bibliography of Books in Polish or Relating to Poland Published outside Poland since September 1939” 285
 Biblioteka Jagiellońska 323
 Biblioteka Narodowa 323
 Biblioteka Polska w Londynie 281-285, 296-7, 298, 325, 368
 Birmingham 188-207, 236, 237, 248, 323
 Biuro Historyczne 423
 Biuro Podróży „Fregata” 304, 505
 Biuro Pośrednictwa Pracy SPK 306-309
 Bletchley 122, 248
 „Books in Polish” 285
 Bradford 153, 208-212, 323
 British Broadcasting Corporation 113, 133, 223, 303, 364, 365, 366, 367, 429
 British Council 321
 British League for European Freedom 466
 British Museum 321, 322
 Brompton Oratory 259, 262-263, 275
 „Broń i Barwa” 86
 Brownjones Ltd 317
 Brytyjska Służba Zdrowia 150, 339
- „Caldra House Ltd” 511, 512
 „Caritas” 415
 „Carpathians” 447, 448, 450
 Catholic Committee for Poland 321

- Catholic Council for Polish Welfare 321
 Centrala Bibliotek Ruchomych 163, 174, 176, 323-326, 335, 342, 401, 402, 413
 Central European Federal Youth Movement 537
 Centralne Szkoły Robotnicze 464
 Centralny Komitet Odrodzenia Polskiej Partii Socjalistycznej 496, 498
 „Chez Sophie” 350
 „Chimera” 322
 Chór akademicki 223
 Chór „Bard” z Oldham 223
 Chór „Halka” z Leicester 223
 Chór „Echo” 192, 194, 195, 196, 223
 Chór im. K. Szymanowskiego 223
 Chór im. St. Kostki z Blackburn 223
 Chór „Lutnia” 194
 Chór PKKS „Varsovia” z Huddersfield 223
 Chór polski im. F. Chopina 223
 Chór polski z Bristol 223
 Chór SPK im. Stanisława Moniuszki w Manchester 169, 178, 223
 Chór Wojska Polskiego 64, 223
 Committee for the Education of Poles in Great Britain 109, 111, 118, 325, 523, 524, 525, 526, 532, 538, 541
 Coombe Farm 126-131
 Cotton of Pitkenney 53, 54
 County Council 241
 Coventry 323
 „Cracovia” 304, 315
 „Cracovia” (Coventry) 450
 „Czarni” 449
 Daglingworth 114, 116, 117
 „Dakowski” (Daquise) 262, 303, 371
 „Definition” 330
 Delamere Park (osiedle) 398
 Denhead Farm 52
 Detroit House 269
 „Dialog” 283
 Diddington 269
 Doddington 112
 Dom Aktora 345, 349
 Dom Dziecka w Heathfield 268, 269, 270
 Dom im. gen. Sikorskiego w Glasgow 67, 68, 69, 70, 73, 76, 77, 83, 86, 87
 Dom Inwalidy w Birmingham 188, 190, 191, 201
 Dom Inwalidy w Edynburgu 29, 30, 33
 Dom Katolicki w Redditch 195
 Dom Kombatanta w Dundee 54, 55, 58
 Dom Kombatanta w Manchester 164, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 173, 174, 181, 182, 183, 186
 Dom Lotników w Londynie 295
 Dom Pisarza w Londynie 254, 331, 353
 Dom SPK w Londynie 262
 „Dookoła Świata” 177
 Driani Gallery, The 320
 Drugi Korpus 376, 384, 392, 446, 481
 Dundee 35, 54-58
 „Dziatwa” 177, 425, 508
 „Dziennik Polski” 510, 511
 „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 15, 24, 47, 65, 71, 81, 84, 106, 119, 149, 150, 166, 175, 177, 178, 217, 235, 240, 254, 256, 274, 275, 278, 280, 282, 329, 342, 356, 367, 380, 403, 432, 466, 469, 474, 492, 498, 501, 502, 505, 506, 508, 509-515, 533, 546, 547, 558
 „Dziennik Żołnierza” 15, 510, 511
 „Eastern Quarterly” 295
 East European Institute, The 126
 East Moor 93-96, 113, 117, 118
 Edynburg 18-39, 79, 80, 124, 181, 323
 „Edynburski Biuletyn Informacyjny” 20, 27, 28, 35, 509
 Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego 263, 277, 310, 312, 429, 472, 473, 475, 487, 488, 491, 495, 515
 „Encounter” 283, 365
 European Voluntary Workers 107, 125, 181, 377, 448
 Fairford 112, 113, 114
 Falkirk 42-46
 Fawley Court 195, 243-247
 Filharmonia warszawska 351
 „Film” 15

„Fotorama” 330, 508, 518
„Free Europe” — Radio „Wolna
Europa” 40, 202, 277, 347, 363,
366, 367, 429, 466
Fregata Merchants 317
Fundacja „Dziennika Polskiego”
274
Fundacja Kościuszkowska 334
Fundusz budowy Polskiego Centrum
w Birmingham 196, 197, 203
Fundusz im. gen. Sikorskiego 35, 37,
38
Fundusz Oświaty Polskiej Zagranicą
294, 300, 398, 404

Gaberbochus Press, The 359
Galashiels 40-42, 217
„Gazeta Niedzielną” 24, 71, 149,
175, 177, 236, 280, 329, 437,
508, 515, 516
General & Municipal Workers
Union 47, 200, 205
Gimnazjum SS Nazaretanek w Pits-
ford 435, 524
Gimnazjum w Bottisham 226, 241,
246, 523, 537, 538
Gimnazjum w Grendon Hall 523
Gimnazjum w Haydon Park 523
Gimnazjum w Lilford 523, 537
Gimnazjum w Stowell Park 523
Glasgow 22, 35, 62, 63-84, 123
188, 275
„Głos Inwalidy” 508
Gmina Londyn-Południe 266, 267,
270, 444
Gmina Londyn-Północ 267
Gmina Londyn-Zachód 267, 444,
445
Gminy polskie 32, 443-445
„Goniec Karpacki” 508, 518
„Grabowski Gallery” 317, 319,
320, 351
Great Bower Wood 118, 239, 240
Gromada „Grudziądz” 258
Grupa „Kontynentów” 364, 365
„Gryf” 304, 329
„Gwiazda Gdyni” 449

Haskoba Ltd 317
Health Center 339
Hednesford 195
Hiltingbury 119
„Hodowca Pieczarek” 126

Hornsey Printers 329, 330
„Horyzonty” 177, 498
Hospicjum św. Stanisława 316, 317
Hospital Visiting Committee 321
Housing Authorities 115
Housing Estates 103
Huddersfield 323
Husbands Bosworth 398

Instytut Badania Zagadnień Krajo-
wych 297, 334, 339, 488
Instytut Badań Najnowszej Histo-
rii Polskiej 333
Instytut Historyczny im. gen. Sikor-
skiego w Londynie 85, 260, 275,
279, 285-291, 293, 354, 375, 403
Instytut Józefa Piłsudskiego 333-354
Instytut Polskiej Akcji Katolickiej
69, 103, 196, 235, 236, 398, 401,
402, 435
Instytut Wschodni „Reduta” 295
Interim Treasury Committee for Po-
lish Questions 282
Iscoyd Park 143
„Iskra” 450
„Iuventus Christiana” 317, 435, 537
Izba Reprezentantów (St. Zjedno-
czonych) 477

Java Trading Co Ltd. 317
„Junak” 449
„Jutro Polski” 71, 279, 280, 330,
455, 466, 498, 508, 518

„Kalendarz Komбатanta” 254
Katolickie Stowarzyszenie Młodzie-
ży Polskiej 193, 196, 197, 401,
435
Katolicki Ośrodek Wydawniczy
(„Veritas”) 326-329
Katolicki Uniwersytet w Lublinie
323
Kącik Artystyczny w Manchester
171, 172
Kelvedon 113
Kidderminster 248
„Kierunki” 177, 304
Kircaldy 46-48
Klub Chrześcijańskiej Demokracji
481
Klub Gaberbochusa 359
Klub im. T. Kościuszki 153

- Klub Inteligentów Katolików 358
 Klub Niezależnych — Koła Wojskowe 481
 Klub „Polonia” w Leicester 220
 Klub Polski w Birmingham 188, 201
 Klub Polski w Slough 240
 Klub Przyjaciół Dzieci i Młodzieży w Bradford 210
 Klub Obrony Ziemi Wschodnich 481
 Klub „Orla Białego” 273
 Klub „Orla Białego” w Liverpool 230
 Klub Ruchu Odrodzenia Narodowego 481, 496
 Klub Słowiański 156
 Klub sportowy „Pogoń” 201
 Klub sportowy „Unitas” 169, 447, 448, 449, 450
 Klub Szachowy (przy YMCA) 336
 Klub Towarzyski w Edynburgu 20-22, 38, 81
 Klub Ziemi Wschodnich 469
 Kolegium OO Marianów w Fawley Court 425, 435, 439
 Koła Młodych 536
 Koła Oddziałowe 254, 302, 499
 Koła Generalów i Wyższych Dowódców 423, 461
 Koło Katolickie w Birmingham 190, 192-199, 201, 202, 203, 204, 236, 436
 Koło Katolickie w Redditch 195
 Koło Londyńskie ZSAPU 538
 Koło Młodych w Slough 241, 242
 Koło Młodych w Swindon 236
 Koło Polaków w Rugeley i okolicy 398
 Koło Polskie w Manchester 154, 157, 158, 161, 162, 163, 166, 171, 179
 Koło Przyjaciół Harcerstwa w Manchester 169
 Koło Przyrodników im. Kopernika w Edynburgu 20, 22-23, 80, 171
 Koło Rodzicielskie w Manchester 169, 180
 Koło Studentów Polskich w Manchester 174
 Koło Studiów Wojskowych w Edynburgu 23, 27
 Koło Wiedzy Wojskowej (przy Zamku) 481
 Koło Wiedzy Wojskowej w Manchester 169, 179
 Koło Wyższych Studiów Wojskowych 423
 Koło Żołnierzy AK 169, 182, 309, 398
 Koło Żołnierzy D-ctwa I Korpusu WP i Oddziałów Pozadywizyjnych 27, 30
 Komisja Artystyczna ZASP'u 347
 Komisja dla Ochrony Zabytków Państwowych 244
 Komitet Apelowy Polskiego Funduszu Bibliotecznego 326
 Komitet budowy kościoła w Manchester 183, 186
 Komitet Budowy Polskiego Centrum Katolickiego w Birmingham 196, 197
 Komitet Koła PPS w Glasgowie 467
 Komitet Koordynacyjny Polskich Organizacji Społecznych w Birmingham 200, 201
 Komitet Koordynacyjny w Glasgow 69, 76
 Komitet Kulturalno-Oświatowy w Northwick Park 103
 Komitet Kupna Domu Młodzieży 304, 540-541
 Komitet Kupna Domu w Slough 241
 Komitet Naukowy (przy Instytucie im. gen. Sikorskiego) 289, 290
 Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polakom 294, 300, 337-339, 340, 341, 415
 Komitet Oświatowo-Biblieczny 282, 325, 326
 Komitet Oświatowy w Edynburgu 35
 Komitet Parafialny w Manchester 182
 Komitet „Wolnej Europy” 476
 Komitety Koordynacyjne 398
 Koncentracja Demokratyczna 458
 „Konferencja Wolnej Kultury” 293
 Konfraternia Obozowców 337
 Kongres Polonii Amerykańskiej 257
 Kongres Polonii Kanadyjskiej 257
 „Kongres Wolnej Kultury Polskiej” 293
 Konsulat Generalny Rzeczypospolitej 337
 Konsulat Polski w Glasgow 63, 70, 81, 82, 84
 Konsulat Polski w Londynie 179, 338, 339
 Konsulat RP w Manchester 154

- „Kontury” 233, 274, 513, 515, 541
 „Kontynenty” 329, 353, 363, 364, 365, 368, 508, 514, 530, 541
 Konwent Walki o Niepodległość 481, 496
 Kościół na Devonian Rd 259-262
 Kółko łowieckie 130
 Krakowskie Towarzystwo Naukowe 322
 Krag starszo-harcerski „Chrobry” 232
 „Kresy” 449
 „Kronika Topolskiego” 332
 Królewska Akademia Muzyczna w Szkocji 335
 Królewski Instytut Spraw Międzynarodowych (Chatham House) 321
 „Książnica Polska” 64
 Księgarnia B. Świdzkiego 304-306
 „Kulisy” 177
 „Kultura” 24, 36, 58, 80, 96, 149, 177, 235, 257, 280, 329, 342, 344, 356, 358, 364, 367, 368, 386, 474, 504, 517, 558
 „Kurier Glasgowski” 15
 „Kurier Polski” 38, 275, 368, 382, 513, 514
 „Ku Wolnej Polsce” 508, 518
 K.W.K. Ltd 229
- Labour Party 204, 340, 364, 440, 464, 465, 498, 501
 Lampert & Polimex Co 317
 „Lechia” 449, 450
 Leeds 153, 162, 323
 Legia Inwalidów im. gen. Sowińskiego 417
 Legion Inwalidów 417
 Legion Młodych Polek w Chicago 401
 Legion Żołnierzy Wiernych Przyśiędźce 27, 481
 Leicester 220-225, 323
 Leighton Buzzard 122, 248
 Liga Niepodległości 310, 311, 429, 456, 459, 461, 469, 470, 472, 494, 496, 499
 Liga Niepodległości Polski „Kraj i Prawo” 472, 481, 495, 496, 500
 „Limba” 310
 Liverpool-Birkenhead 226-231
 London School of Economics 363
- Londyn 20, 22, 58, 70, 73, 75, 79, 86, 87, 88, 113, 124, 130, 147, 148, 149, 173, 178, 188, 191, 193, 223, 234, 237, 239, 246, 253-372
 Londyn-Clapham 265-269
 Londyn-Willesden 270-272
 Londyński Komitet Wolnych Przedstawicieli Krajów Europy Środkowo-Wschodniej 477
 Long Marston 100, 122, 206, 237
 Lower Bullingham 247
 „Lud Polski” 464
- Mabledon 150
 Manchester 152-187, 188, 323, 324
 Marlborough Gallery 352
 Marsworth 113
 „Mazowsze” 255, 273, 351, 504
 Melton Mowbray 113, 116, 398
 „Merkuriusz Polski” 233, 329, 365, 504, 508, 529, 540, 541-542
 M & G. Birkenhead Ltd 229
 Międzyorganizacyjny Komitet Koordynacyjny w Bradford 210
 Ministerstwo dla Spraw Obywateli Polskich na Obczyźnie 485
 Ministerstwo Informacji 289
 Ministerstwo Obrony Narodowej 286, 288, 484
 Ministerstwo Opieki Społecznej 416
 Ministerstwo Oświaty (brytyjskie) 245, 282, 298, 325
 Ministerstwo Prac Kongresowych 289
 Ministerstwo Przemysłu, Handlu i Żeglugi 289
 Ministerstwo Skarbu 484
 Ministerstwo Sprawiedliwości 289, 485
 Ministerstwo Spraw Wewnętrznych 288, 289, 484
 Ministerstwo Spraw Zagranicznych 289, 484
 Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego 287
 „Miryzm” 330
 „Młodzi” 449
 Modern Humanities Research Association 285
 „Monitor” 322
 Muzeum im. gen. Sikorskiego w Banknock 85-87

- „Myśl Polska” 24, 31, 47, 177.
216, 280, 361, 466, 507, 517
- Najwyższa Izba Kontroli 483
- „Naprzód” 448, 449
- „Narodowiec” 30, 71, 183, 235.
236, 256, 278, 466, 515, 548
- „Nasza Rodzina” 177
- „Nasz Głos” 414
- „Na Szlaku Kresowej” 508
- „Nasz Znak” 496
- National Assistance Board 24, 104,
108, 109, 110, 115, 116, 117,
121, 165, 176, 341, 367
- National Central Library 325
- National Coal Board 108, 115
- National Service Hostels Corpora-
tion 108
- „Na Tropie” 508
- „Nauka Polska” 291, 294, 508
- „New Left Review” 363
- New Scone 49
- NiD (Niepodległość i Demokracja)
69, 209, 274, 310, 311, 431,
432, 440, 443, 456, 458, 459,
460, 465, 466, 469, 472, 492,
493, 496, 500, 515
- „Niemen” 449
- „Niepodległość” 322, 333, 509
- Niezależna Grupa Społeczna 312,
429, 431, 472, 495, 500, 515
- Niezależny Ruch Chłopski 481
- Niezależny Ruch Społeczny 481
- Northwick Park 100-103, 113, 114,
117
- „Notatnik Socjalisty” 464
- „Nowa Kultura” 304, 359
- „Nowa Polska” 359
- „Oblicze Tygodnia” 279, 280, 330,
508, 514, 516
- Obóz „Zamku” 31, 32, 38, 43,
73, 95, 136, 200, 253, 266, 267,
342, 423, 431, 437, 480-486,
488, 490-491
- Obóz Zjednoczenia” 31, 32, 38,
43, 73, 95, 136, 200, 263, 267,
342, 423, 431, 433, 437, 486-
500
- „Odgłosy” 71, 516
- „Odnowa” 303, 329, 508
- „Odra” 368
- Oficerska Szkoła Kursów Wojsko-
wych 171
- „Oficyna Poetów i Malarzy” 331-
332
- „Oficyna Wydawnicza Poetów”
258
- „Ognisko” w Londynie 223, 254,
262, 275-281, 302, 317, 344,
346, 348, 354, 415
- „Ogniwo Przyjaźni” — „The
Clasp of Friendship” 64
- Oldham 180
- Old Scone 49, 50, 51, 52
- „Ono” 269
- „Orbis” 273
- Organizacja Kozaków Nacjonalis-
tów 28
- Organizacja Narodów Zjednoczo-
nych 476, 477, 478
- „Orkan” 221, 449
- „Orzeł Biały” 177, 280, 303, 329,
358, 370, 463, 506, 508, 509,
516, 558
- Ossolineum 323
- „Ostatnie Wiadomości” 149
- Ośrodek Nauczania Korespondencyj-
nego 74, 80, 325, 402
- Ośrodek „Zamkowy” — patrz
Obóz „Zamku”
- Ośrodek „Zjednoczenia” — patrz
Obóz „Zjednoczenia”
- Oxford 248
- „Panorama” 177
- „Panorama Północy” 177, 304
- Państwowe Liceum i gimnazjum żeń-
skie w Szkocji im. Marii Skło-
dowskiej-Curie 51
- Parafia Londyn-Sródmieście 316
- Parafia Polska na Clapham 265-266,
267
- Parafia w Birmingham 191, 192,
193
- Parafia w Bradford 209, 211
- Parafia w East Moor 94
- Parafia w Edynburgu 27, 28
- Parafia w Falkirk 43, 44, 45, 46
- Parafia w Glasgow 75
- Parafia w Hull 95
- Parafia w Manchester 180, 182,
183
- Parafia w Northwick Park 101
- Parafia w Rochdale 213, 214
- Parafie Polskie 435-439
- PCA Ltd. (Polish ex Combatants
Association Ltd. 407, 409, 411

- Pen Club 368
 Penley Hall 141-151
 Penrhos 103-106, 144
 Perth 49
 Piąta Kresowa Dywizja Piechoty 422, 447
 „Piąte Koło” 279, 365
 Pierwsza Brygada Legionów 420
 Pierwszy Korpus 376
 Pitsford 195, 247
 PKPR (Polski Korpus Przysposobienia i Rozsiedlenia) 26, 50, 104, 107, 108, 125, 181, 239, 302, 306, 376, 377, 379, 383, 385, 386, 387, 405, 447
 „Poglądy” 464
 „Pogon” (Birmingham) 450
 „Pogon” (Brygadowe Koło Młodych „Pogon”) 171, 179, 221, 222, 274, 280, 281, 286, 423, 468, 482, 537
 „Pokrzywy” 24, 177
 „Poland and Germany” 509
 „Polish Affairs 487, 509
 Polish Benevolent Fund (Polskie Towarzystwo Dobroczyńności) 186 435
 „Polish Cultural Trust, The” 511
 „Polish Daily and Soldiers Daily Trust, The” 511
 Polish Societies 539
 Polish Society w Manchester 174
 „Polish University College” 281, 282, 300, 523
 Polish Vocational College Association Ltd. 74
 „Polityka” 304
 „Polonia” (Bradford) 450
 „Polonia” (Wolverhampton) 450
 Polska Agencja Telegraficzna 484
 Polska Akademia Umiejętności 291, 292, 322
 Polska Macierz Szkolna 27, 32, 35, 38, 103, 169, 180, 195, 201, 202, 239, 240, 276, 398, 401, 402, 403, 404, 412, 424-427, 431, 498, 532
 Polska Misja Katolicka (na Szkocję) 19, 29, 46
 Polska Misja Katolicka w Anglii 183, 214, 235, 259, 261, 289 315, 436, 544
 Polska Partia Robotnicza 458
 Polska Partia Socjal-Demokratyczna 494, 499
 Polska Partia Socjalistyczna 69, 70, 199, 200, 201, 202, 203, 204, 209, 310, 312, 314, 416, 421, 431, 432, 434, 454, 455, 456, 457, 458, 459, 460, 464-465, 469, 470, 471, 472, 480, 492, 493, 494, 496, 498-499
 Polska Rada Naukowa na Obczyźnie 291, 292
 Polska Rozgłośnia Madryt 429, 487
 Polska Sekcja przy Ministerstwie Oświaty 523
 Polska Szkoła Architektury 226
 „Polska Walcząca” 283
 „Polska Zbrojna” 516
 Polska Zjednoczona Partia Robotnicza 493, 494
 Polski Chór „Arion” z Sheffield 223
 Polski Chór „Harfa” z Leeds 223
 Polski Chór Kościelny z Derby 223
 Polski Dom Katolicki w Birmingham (Polskie Centrum Katolickie) 192, 194, 196, 197, 198, 204, 236
 Polski Klub Motorowy 450
 Polski Klub Sportowy w Manchester 163, 450
 Polski Komitet Obywatelski w Birmingham 200, 201,
 Polski Kościół Ewangelicko-Reformowany 255
 Polski Narodowy Komitet Demokratyczny 459, 470, 478, 479
 Polski Ośrodek Naukowy 289, 320-326
 Polski Uniwersytet na Obczyźnie 282, 297-298, 300, 301, 339, 524
 Polski Wydział Lekarski w Edynburgu 19, 22
 Polski Związek b. Więźniów Politycznych 398
 Polski Związek Piłki Nożnej 448, 450
 Polskie Biuro Badań Politycznych 320
 Polskie Stronnictwo Ludowe 69, 72, 454, 456, 457, 458, 459, 466, 470, 493, 496, 498
 Polskie Towarzystwo Historyczne 286
 Polskie Towarzystwo Naukowe (na Obczyźnie) 23, 286, 290, 291-295, 339
 „Po Prostu” 492

- „Poradnik kulturalno-oświatowy” 337
 Porozumienie Organizacji Społecznych w Birmingham 195, 201, 202
 Porozumienie Stronnictw Demokratycznych 458
 PPS (odłam) 461
 Prezydium Rady Ministrów 287, 484
 „Pro Arte” 178, 302, 304, 346
 „Przegląd Sportowy” 173, 177, 451
 „Przegląd Zachodni” 508
 „Przekrój” 24, 177, 304
 „Przewodnik Farmerski” 125
 „Przewodnik Ogrodniczy” 125
 „Przewodnik Polski” 177
 Przychodnia Lekarska 338, 339
 PSL — Odłam Jedności Narodowej 459, 468, 472, 478, 491, 496
 PUCAL (Polish University College Ass. Ltd.) 281, 294, 301, 398
- Rada Delegatów Stowarzyszeń Społecznych i Zawodowych w Glasgow 76
 Rada Jedności Narodowej 457, 459
 Rada Kulturalno-Prasowa 484
 Rada Narodowa RP 289, 430, 459, 461, 462, 472
 Rada Organizacji Społecznych w Bradford 210, 211
 Rada Polityczna 430, 458-459, 460, 461, 462, 463, 466, 472
 Rada Polskich Stronnictw Politycznych 458
 Rada Rzeczypospolitej 473, 480, 481, 483, 485
 Rada Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu 27, 28, 30, 32
 „Rada Trzech” 263, 434, 472, 475, 482, 493, 495, 513
 Rada Wychowania Fizycznego 448
 Rady Międzyosiedlowe 121
 Redditch 195
 Resofopo Ltd. 415
 „Robotnik” 310, 454, 459, 464, 466, 508, 517-518
 Rochdale 180, 213-219
 „Rocznik Polonii” 254
 „Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie” 289, 294, 380, 509, 535
- „Rocznik Spraw Krajowych” 334
 „Royal School of Music, The” 336
 „Rubens” 255
 „Rząd Rzeczypospolitej” 294
 „Rzeczpospolita” 24, 177, 275, 279, 280, 330, 482, 508, 518
- Samodzielna Sekcja Historyczna 286
 Samodzielne Koło ZRRP w Birmingham 200, 201
 Samopomoc Lotników 169, 180, 182, 254, 294, 309, 397, 416, 450
 Samopomoc Marynarzy 69, 309, 397
 Samopomoc Policji Państwowej 169
 Samopomoc Spadochroniarzy 169, 180, 182, 302
 Sekcja Charytatywna w Edynburgu 27
 School of Slavonic and East European Studies 300
 Sekcja Muzealna Polskiego Towarzystwa Historycznego 86
 Sekcja Naukowa Związku Lekarzy 294
 Sekcja Pomocy Dzieciom w Niemczech i Austrii 427
 Sekcja Studiów Wojskowych 69, 80
 Sekcja Żołnierzy Brytyjskich — Byłych Jeńców Niemieckich w Polsce 205
 Seminarium Spraw Krajowych 297
 „Siedem Dni” 71
 Sheffield 232-234, 323
 Skarb Narodowy 422, 460-463, 466, 469, 471, 475, 543, 544
 Skarb Narodowy „Zamku” 69, 119, 200, 482-485
 Skarb Narodowy „Zjednoczenia” 69, 119, 169, 200, 309, 312, 486-488
 „Skorpion” 168
 „Slavonic Studies” 283
 Slough 121, 239-242
 „Słowo Polskie” 466
 Social Credit League 84
 „Sodalis Marianus” 508
 „Sokół” 450
 „Soviet Survey” 365
 SPK Bradford 209, 210, 211, 212
 SPK w Dundee 57
 SPK w Edynburgu 18, 20, 27, 28, 29, 30, 31, 35, 39, 40, 41
 SPK w Falkirk 43, 44

- SPK w Galashiels 42
 SPK w Glasgow 67, 68, 69, 70, 73, 76, 77, 83, 84
 SPK w Kircaldy 47, 48
 SPK w Leicester 220, 221
 SPK w Liverpool 230
 SPK w Londynie 248, 301-309
 SPK w Manchester 164, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 173, 174, 175, 176, 178, 179, 180, 182, 183, 184
 SPK w Northwick Park 103
 SPK w Penley 147, 148
 SPK w Penhros 104, 105, 106
 SPK w Perth 49, 51
 SPK w Rochdale 213, 214
 SPK w Sheffield 232
 SPK w Slough 240, 241
 SPK w Stover 99
 Społeczność Akademicka Uniwersytetu Stefana Batorego 301
 Sprinhill Loges 100, 113
 St. Martins Press 330
 „Stolica” 24, 177, 279, 304
 Stover 97-100, 117
 Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych 220, 222, 254, 276, 398, 496
 Stowarzyszenie b. Wychowanków Szkół Polskich 537
 Stowarzyszenie Ekonomistów Polskich 398
 Stowarzyszenie Elektryków Polskich w W. Brytanii 295
 „Stowarzyszenie Ewangelików Polskich” 201
 Stowarzyszenie Fotografów Polskich 336
 Stowarzyszenie Polskich Kombatan-tów 19, 27, 29, 31, 32, 33, 40, 45, 50, 83, 183, 201, 240, 245, 256, 257, 263, 302, 309, 335, 346, 397, 401, 402, 405-414, 416, 419, 421, 422, 423, 427, 429, 431, 434, 435, 438, 439, 440, 448, 450, 465, 466, 498, 500, 505, 532, 544
 Stowarzyszenie Polskie na Uniwersytecie Londyńskim 280, 539-540, 541
 Stowarzyszenie Polskie na Uniwersytecie Oksfordzkim 539
 Stowarzyszenie Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie 302, 398
 Stowarzyszenie Studenckie w Manchester 539
 Stowarzyszenie Techników Polskich 169, 282, 294, 390, 391, 397, 441-442, 531
 Stronnictwo Demokratyczne 310, 458, 472, 491, 496
 Stronnictwo Ludowe „Wolność” 201, 458, 459, 461, 469, 481, 496
 Stronnictwo Narodowe 31, 45, 47, 69, 199, 200, 201, 203, 209, 211, 215, 263, 274, 309, 310, 311, 361, 416, 421, 427, 431, 434, 454, 455, 456, 457, 459, 460, 461, 465, 466, 467, 469, 471, 472, 494, 496-498
 Stronnictwo Pracy 310, 311, 459, 461
 Stronnictwo Pracy (Karola Popiela) 454, 456, 457, 458, 470, 496
 Stronnictwo Pracy (odłam gen. Hallera) 469, 496
 Stronnictwo Pracy (odłam Sopickiego) 496
 Stronnictwo Pracy (odłam zamkowy) 496
 „Studia Filozoficzne” 283
 Studium Dramatyczne 345
 Studium Malarstwa Sztalugowego 301, 335, 351
 Studium Pedagogiczne w Edynburgu 19, 37
 Studium Polski Podziemnej 334
 Swindon 196, 235-238, 323
 „Syrena” 509, 516
 Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych 254, 295-297, 298, 334, 486, 524
 Szkoła Powszechna w Northwick Park 101, 102
 Szkoła Rolnicza 50
 Szkoła Sobotnia przy konsulacie w Glasgow 81, 84
 Szkoła Sobotnia w Bradford 210
 Szkoła Sobotnia w Dundee 57
 Szkoła Sobotnia w Edynburgu 19, 35-37
 Szkoła Sobotnia w Galashiels 40, 41, 81, 89
 Szkoła Sobotnia w Glasgow 73, 81, 84
 Szkoła Sobotnia w Manchester 179-180, 182
 Szkoła Sobotnia w Perth 49

- Szkoła Sobotnia w Rochdale 214, 217, 218
 Szkoła Sobotnia w Stover 99
 Szkoły Sobotnie 268, 286
 Szkoły Sobotnie w Londynie 255, 265, 269, 270-272, 336
 Szkoły Sobotnie w Szkocji 32, 88, 89
 Szósty Pułk Pancerny Dzieci Lwowskich 422
- „Świat” 24, 177, 304
 „Światowid” 508, 518
 Światpol 19, 257, 312-313, 472
 „Switezianka” 450
- Tazab 119, 121, 168, 248, 249, 317-319
 „Tazab House” 317, 319
 „Teatr” 177, 285
 Teatr Aktora 345
 Teatr Budzyńskiego 345
 Teatr dla Dzieci 270, 350
 Teatr Hemara 345
 Teatr im. Słowackiego 345
 Teatr Komedii 345
 Teatr Polski 351
 Teatr Sztuk Czytanych 345
 Teatr ZASP’u 347
 Teatr Żydowski 351
 „Technika i Nauka” 24, 295, 329, 508
 „Teki Historyczne” 24, 286, 290, 355, 509
 Towarzystwo Demokratyczne 314
 Towarzystwo Kultury Polskiej w Edynburgu 35
 Towarzystwo Łączności „Polonia” 426
 Towarzystwo Miłośników Kultury Polskiej w Manchester 169, 172
 Towarzystwo Naukowe Warszawskie 291, 292
 Towarzystwo Naukowe we Lwowie 291
 Towarzystwo Polskie w Londynie 313-315
 Towarzystwo Polsko-Szkockie 16, 27, 29, 30, 34, 35, 69, 466
 Towarzystwo Pomocy Polakom 195, 275, 276, 401, 414-416, 465, 498, 499
- Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży 268, 269, 270, 398, 401, 402, 404, 412, 532
 Towarzystwo Przyjaciół Kolegium OO Marianów w Fawley Court 245, 246
 Towarzystwo Przyjaciół Kultury w Glasgow 69, 80
 Towarzystwo Przyjaciół Polski 258
 Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego 398
 Towarzystwo Społeczno-Oświatowe w Glasgow 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 82, 83, 87, 443
 Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych 201
 Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych 70, 201, 398, 464, 499
 „Tralabomba” 351
 „Trybuna Ludu” 466
 Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 422, 446, 518
 „Twentieth Century, The” 362
 „Tydzień Polski” 139, 166, 177, 257, 274, 275, 330, 368, 380, 508, 558
 „Tygodnik” 491
 „Tygodnik Powszechny” 24, 177, 222, 279, 304
 „Tygodnik Warszawski” 16
 Tymczasowa Rada Jedności Narodowej 28, 253, 256, 263, 309, 312, 463, 471, 472-478, 480, 482, 487-495, 498
- Uniwersytet Londyński 365
 Uniwersytet Wolnej Europy 523
- Varsovia 168
 „Veritas” 265, 316, 326-329, 362, 435, 497, 515
 „Voice of America” 363, 367
 „Voice of Poland, The” 64
- War Office 160, 416
 Warsztat Teatralny 345
 West London Offset Co 330
 „White Eagle Press” 329, 330
 „Wiadomości” 24, 96, 104, 149, 177, 257, 274, 280, 342, 350, 355, 356, 357, 358, 368, 369, 370, 502

- „Wiadomości Literackie 357
 „Wiadomości z Leicester” 509
 „Wici” 537
 Wigdon Mill 134, 136
 Wintrex Co Ltd 317
 Wisła 168
 W.K. Stores 168
 „Wolna Trybuna” 70
 „Wychowanie Ojczyście” 424, 425, 508
 Wydział Studiów Weterynaryjnych w Edynburgu 19, 22

 YMCA 108, 232, 335-337, 351, 401, 402
 „YMCA” (Londyn) 450
 YMCA Polska w Londynie 254, 320
 Y’s Men’s Club 336
 York 93

 „Zamek” patrz obóz „Zamku”
 Zespół Tańców Ludowych im. Kolberga 304
 Zespół Tańców Ludowych „Narocz” 241
 „Zjednoczenie” patrz obóz „Zjednoczenia”
 Zjednoczenie Polek 254, 316, 398, 401, 402, 404, 431, 465, 497-499
 Zjednoczenie Polskich Uchodźców Wojennych 472, 488
 Zjednoczenie Polskie w Bradford 398
 Zjednoczenie Polskie w Derby 398
 Zjednoczenie Polskie w Leicester 398
 Zjednoczenie Polskie w Manchester 169, 182, 398
 Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii 133, 182, 302, 397-405, 414, 434, 439, 440, 465, 466, 472, 488
 „Znicz” 508
 „Znicz” 509
 Zrzeszenie b. Pracowników Rządu RP 398
 Zrzeszenie Chórów Polskich „Londyn” 223
 Zrzeszenie Chórów Polskich Północnej Anglii 223
 Zrzeszenie Chórów Polskich Południowo Zachodniej Anglii 223

 Zrzeszenie Kooperatystów 398
 Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą 19, 27, 32, 35, 113, 201, 302, 398, 401, 402, 412, 426, 450, 532
 Zrzeszenie Plastyków Polskich w W. Brytanii 319, 352
 Zrzeszenie Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich na Obczyźnie 301, 398
 Zrzeszenie Sędziów i Prokuratorów 398
 Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich 280, 303, 309, 364, 538-541
 Związek Absolwentów Szkół Wyższych 540
 Związek Artystów Scen Polskich 276, 278, 339, 398, 402
 Związek b. Więźniów Politycznych Niemieckich Więzień i Obozów Koncentracyjnych 302, 398, 496
 Związek Chórów Polskich w W. Brytanii 222, 401.
 Związek Drukarzy Polskich w W. Brytanii 330
 Związek Dziennikarzy RP 398, 497
 Związek Farmaceutów 398
 Związek Filatelistów Polskich w W. Brytanii 336, 398
 Związek Harcerstwa Polskiego 169, 173, 232, 254, 270, 339, 397, 401, 402, 404, 412, 425, 427-429, 431, 434, 450, 451, 488, 500, 505, 543
 Związek Inwalidów 20, 27, 30, 69, 103, 104, 106, 148, 188, 190, 191, 193, 200, 201, 205, 398, 416-421
 Związek Inwalidów Rzeczypospolitej 417
 Związek Kół Oddziałowych 422-423
 Związek Kupców i Przemysłowców 254, 389, 442, 545
 Związek Laundrciarzy 84, 545
 Związek Lekarzy 27, 398
 Związek Nauczycielstwa Polskiego 451
 Związek Niepodległości Polskiej 472
 Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej 464

- Związek Oficerów Marynarki Handlowej 412
- Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie 173, 274, 286, 319, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 368, 398, 402, 504
- Związek Polek 27
- Związek Polskich Klubów Sportowych 302, 398, 449, 450
- Związek Polskich Spadochroniarzy 398
- Związek Polskich Ziem Zachodnich 398, 472, 496
- Związek Polskich Żołnierzy Zawodowych 302
- Związek Polskich Żydów Kombatanów 254
- Związek Pracowników Służby Zdrowia 148
- Związek Robotników i Rzemieślników Polskich 20, 30, 69, 103, 200, 204, 206, 254, 276, 397, 402, 431-433, 440, 441, 465
- Związek Robotników Polskich w W. Brytanii 314
- Związek Rolników 49, 123, 124, 125-126, 131, 133, 134, 135, 137, 140, 254, 398, 441
- Związek Socjalistów Polskich 469, 480, 481
- Związek Stowarzyszeń Polskich w W. Brytanii 162
- Związek Studentów Polskich 540
- Związek Ziem Północno Wschodnich 276, 398, 472, 497
- Związek Ziem Południowo Wschodnich 302, 398
- Związek Ziem Wschodnich RP 27, 30, 201, 312, 472, 497
- Związek Ziem Zachodnich 497
- Związki Zawodowe 47, 126, 204, 307
- Zygmunt Pharmacy 317
- „Życie” 24, 177, 329, 358
- „Życie Gospodarcze” 508

SPIS RZECZY

PRZEDMOWA	7
-----------------	---

Część Pierwsza

REPORTAŻE

I. POLACY W SZKOCJI 1958-1959	13
<i>Wstęp</i>	15
<i>Edynburg — Kraków polskiej emigracji</i>	18
<i>Życie społeczne i organizacyjne</i>	27
<i>Dom Polski — a raczej pięć</i>	28
<i>Cztery sylwetki działaczy społecznych</i>	30
<i>Szkoła Sobotnia</i>	35
<i>Edynburg — rok 1960</i>	38
<i>Okolice podkrakowskie</i>	40
Galashiels	40
Falkirk	42
Kirkaldy	46
Perth i Old Scone	48
Pszczoly, szczury, indyki	52
Dundee	54
Tunelarze	58

<i>Glasgow</i>	63
Klub SPK	67
Towarzystwo Społeczno-Oświatowe i Dom im. gen. Sikorskiego	71
Zamożność	77
Inteligencja	79
Konsulat	81
Glasgow 1960	83
Muzeum w Banknock — czyli na historię kapie z dachu	84
Zakończenie	87
II. POLACY W ANGLII I WALII 1958-1960	91
<i>Hostele</i>	93
East More	93
Stover	97
Northwick Park	100
Penrhos	103
<i>Hostele — wczoraj i dziś</i>	107
<i>Rolnicy</i>	123
<i>Polski szpital w Penley Hall</i>	141
<i>Manchester</i>	152
Rozmowa ze starym emigrantem	153
Cheetham Hill	162
S.P.K.	166
Życie kulturalne	171
Akcja oświatowa	179
Życie polityczne i społeczne	180
Pierwszy kościół polski na prowincji	184
<i>Birmingham</i>	188
Koło katolickie	192
Inne organizacje	199
Współżycie z Anglikami	204
Chłop w battledresie	206
<i>Migawki i sylwetki</i>	208
Bradford	208
Rochdale	213
Leicester	220
Liverpool-Birkenhead	226

Sheffield	232
Swindon	235
Slough	239
Fawley Court	243
„Pan Tazab” na kółkach	249

III. POLSKI LONDYN

251

Wstępny katalog cnót	253
Przeszłość i terażniejszość	255
Devonia Road	259
Brompton Oratory	262
Trzy Claphamy	265
Odwiedziny w Szkole Sobotniej	270
Quartier Polonais	272
Polish Hearth	275
Biblioteka Polska	281
Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego	285
Polskie Towarzystwo Naukowe	291
Wyższe uczelnie	295
U Kombatantów	301
B. Świderski	304
Praca	306
W Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej	309
Światpol	312
Najstarsze polskie stowarzyszenie w Anglii	313
Cracovia	315
Hospicjum	315
Tazab	317
Grabowski Gallery	319
Ośrodek Naukowy i Centrala Bibliotek Ruchomych	320
„Veritas”	326
Podziemia emigracji	329
Instytuty	333
YMCA	335
„Konsulat” — Komitet Pomocy	337
Antokol	340

Srodowisko intelektualne i twórcze

344

Teatr	344
Plastycy	351
Srodowisko literackie	353

C z ę ś ć D r u g a

POLONIA BRYTYJSKA W CYFRACH

375

1. Dane ogólne	375
2. Podział według płci i wieku	382
3. Struktura zawodowa	384

4. Geografia Polonii Brytyjskiej	391
5. Konkluzja	394
FORMY ŻYCIA SPOŁECZNEGO	397
S.P.K.	405
Inne organizacje	414
Walki i kłótnie	430
Próby zmian	439
SPORT	446
ŻYCIE POLITYCZNE	452
Szkic historyczny	453
Sytuacja obecna	480
Nastroje polityczne emigracji	500
Stosunek do kraju	503
PRASA	507
POKOLENIE MŁODE I NAJMŁODSZE	520
Pokolenie młode	520
Pokolenie najmłodsze	531
Organizacje młodzieżowe	536
KONKLUZJA	543
INDEKS NAZWISK	561
INDEKS RZECZOWY	570

SA JESZCZE DO NABYCIA
NASTĘPUJĄCE TOMY
BIBLIOTEKI „KULTURY”

- Tom I. — Witold Gombrowicz — TRANSATLANTYK — ŚLUB.
Cena NF 6, (12 sh., dol. 2,00)
- Tom IV. — James Burnham — BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE?
Cena NF 6, (12 sh., dol. 2,00)
- Tom VIII. — Józef Łobodowski — ZŁOTA HRAMOTA (Poezje)
Cena NF 7, (14 sh., dol. 2,00)
- Tom XI. — Marian Pankowski — SMAGŁA SWOBODA
Cena NF 3,50, (7 sh., dol. 1,00)
- Tom XII. — Teodor Parnicki — KONIEC „ZGODY NARODÓW”
Cena NF 15, (30 sh., dol. 4,50)
- Tom XV. — Graham Greene — MOC I CHWAŁA
Cena NF 6,50, (13 sh., dol. 2,00)
- Tom XVIII. — Jeanne Hersch — POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ
Cena NF 7, (14 sh., dol. 2,00)
- Tom XX. — Józef Mackiewicz — KONTRA
Cena NF 7, (14 sh., dol. 2,00)
- Tom XXI. — Witold Gombrowicz — DZIENNIK (1953-1956)
Cena NF 8,50 (17 sh., dol. 2,50)
- Tom XXII. — Andrzej Bobkowski — SZKICE PIÓRKIEM (Francja
1940-1944)
Cena za całość w 2-ch częściach NF 18, (35 sh., dol. 5,00)
- Tom XXIII. — Paweł Zaremba — HISTORIA STANÓW ZJEDN.
Cena NF 18, (35 sh., dol. 5,00)
- Tom XXIV. — Aleksander Hertz — AMERYKAŃSKIE STRONNI-
CTWA POLITYCZNE (Mechanizm demokracji)
Cena NF 8, (15 sh., dol. 2,00)

- Tom XXV. — Daniel Bell — PRACA I JEJ GORYCZE (Kult wy-
dajności w Ameryce) Cena NF 4, (7 sh., dol. 1,00)
- Tom XXVI. — Jan Winczakiewicz — IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ
(Antologia) Cena NF 18, (35 sh., dol. 5,00)
- Tom XXX. — Jan Kowalik — POLSKA W BIBLIOGRAFII NIE-
MIECKIEJ Cena NF 4, (7 sh., dol. 1,00)
- Tom XXXI. — Stanisław Rembek — W POLU
Cena NF 8, (15 sh., dol. 2,00)
- Tom XXXIII. — Simone Weil — WYBÓR PISM
Cena NF 10, (18 sh., dol. 2,50)
- Tom XXXIV. — Albert Camus — CZŁOWIEK ZBUNTOWANY
Cena NF 10, (18 sh., dol. 2,50)
- Tom XXXV. — James Burnham — REWOLUCJA MANADŻERSKA
Cena NF 10, (18 sh., dol. 2,50)
- Tom XXXV. — Tadeusz Katelbach — ROK ZŁYCH WRÓŻB (1943)
Cena NF 8, (15 sh., dol. 2,00)
- Tom XXXVII. — Jurij Ławrynenko — ROZSTRZELANE ODRODZE-
NIE (Antologia ukraińska) Cena NF 30, (44 sh., dol. 6,00)
- Tom XL. — Dokumenty Zeszyt 5 — PROGRAM ZWIĄZKU KO-
MUNISTÓW JUGOSŁAWII Cena NF 8, (15 sh., dol. 2,00)
- Tom XLI. — Dokumenty Zeszyt 6 — KULTURA MASOWA
Cena NF 6, (14 sh., dol. 1,50)
- Tom XLII. — Jan Kowalik — „KULTURA” 1947-1957
Cena NF 12,50, (20 sh., dol. 3,00)
- Tom XLIV. — Borys Pasternak — DKTOR ŻIWAGO
Cena NF 17,50 (25 sh., dol. 4,00)
- Tom XLV. — Waclaw Lednicki — GLOSSY KRASIŃSKIEGO DO
APOLOGETYKI ROSYJSKIEJ Cena NF 4, (6 sh., dol. 1,00)
- Tom XLVI. — Abram Terc — SĄD IDZIE; ANONIM — CO TO
JEST REALIZM SOCJALISTYCZNY? Cena NF 7, (10 sh., dol. 1,50)
- Tom XLVII. — Tibor Dery — NIKI Cena NF 6, (9 sh., dol. 1,30)

- Tom XLIII. — Dokumenty Zeszyt 7 — Wiktor Sukienniki — KOLUM-
BOWY BŁĄD Cena NF 9, (13 sh., dol. 2,00)
- Tom XLIX. — Wacław Iwaniuk — MILCZENIA
Cena NF 5, (7 sh., dol. 1,00)
- Tom L. — Czesław Miłosz — RODZINNA EUROPA
Cena NF 12 (17/3 sh., dol. 2,50)
- Tom LI. — Gustaw Herling-Grudziński — SKRZYDŁA OLTARZA
Cena NF 7 (10 sh., dol. 1,50)
- Tom LII. — Halszka Guilley Chmielowska — SPOTKANIA NA GA-
LERII Cena NF 9, (13 sh., dol. 2,00)
- Tom LIII. — Józef Czapski — OKO
(Cena NF 12, (17/3 sh., dol. 2,50)
- Tom LIV. — Witold Gombrowicz — PORNOGRAFIA
Cena NF 9, (13 sh., dol. 2,00)
- Tom LV. — Leo Lipski — PIOTRUŚ
Cena NF 7, (10 sh., dol. 1,50)
- Tom LVI. — Aldous Huxley — NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT
POPRAWIONY Cena NF 7, (10 sh., dol. 1,50)
- Tom LVII. — Kazimierz Wierzyński — TKANKA ZIEMI
Cena NF 7, (10 sh., dol. 1,50)
- Tom LVIII. — Stanisław Kot — JERZY NIEMIRYCZ W 300-LECIE
UGODY HADZIACKIEJ Cena NF 7, (10 sh., dol. 1,50)
- Tom LIX. — Dokumenty Zeszyt 8 — WĘGRY
Cena NF 9, (13 sh., dol. 2,00)
- Tom LX. — Artur Marya Swinarski — SASZA I BOGOWIE
Cena NF 15, (22 sh., dol. 3,00)
- Tom LXI. — Andrzej CHCIUK — REJS DO SMITHTON. STARY
OCEAN Cena NF 12, (17/3 sh., dol. 2,50)
- Tom LXII. — Adam Ciołkosz — RÓŻA LUKSEMBURG A REWO-
LUCJA ROSYJSKA Cena NF 15, (22 sh., dol. 3,00)

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 5 MAI 1961
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 2^e trim. 1961



VI, 11.

B. S.